

Dla Wandy

Kiedy zło zaczyna się organizować, dobrzy ludzie muszą połączyć swe siły; inaczej zginą jeden po drugim, jako niewarte współczucia ofiary niegodnej szamotaniny.

Edmund Burke

Cała ta polityczna retoryka płynąca do nas z zagranicy, nie jest w stanie przesłonić jednego bezspornego faktu - według wszelkich norm cywilizowanego świata terroryzm jest zbrodnią, popełnianą na niewinnych ludziach, często z dala od sceny danego konfliktu politycznego i jak zbrodnia musi być traktowany...

To zrozumienie zbrodniczej natury terroryzmu leży u podstaw naszej nadziei na uporanie się z tym zjawiskiem...

Użyjmy więc dostępnych nam środków. Wezwijmy do współpracy, bo mamy prawo oczekiwać jej od całego świata. Wspólnymi siłami starajmy się ograniczać obszary, na których ci tchórzliwi szubrawcy mogą czuć się bezpieczni, aż wreszcie jako zwykli przestępcy zostaną postawieni przed obliczem sprawiedliwości i w publicznym procesie osądzeni za popełnione zbrodnie. I otrzymają karę, na jaką po wielokroć zasłużyli.

William H. Webster, Dyrektor Federalnego Biura Śledczego ~ 15.10. 1985

1

Słoneczne popołudnie w Londynie

W ciągu pół godziny Ryan dwukrotnie znalazł się o krok od śmierci.

Dzień był piękny, pogodny, popołudniowe słońce wisiało nisko na bezchmurnym niebie. Po kilku godzinach wysiadania na niewygodnym krześle, Ryan chciał się przejść, rozprostować zeszywniałe stawy, toteż kazał zatrzymać taksówkę kilka przecznic wcześniej. Ruch na ulicach był stosunkowo niewielki. Trochę go to zdziwiło, ale i ciekaw był, jak też wygląda miasto w porze wieczornego szczytu. Tutejszych ulic najwyraźniej nie budowano z myślą o samochodach i Jack był pewien, że za kilka godzin zapanuje na nich nielichy chaos. Londyn od samego początku wydał mu się miastem stworzonym do spacerów, szedł więc swym zwykłym, energicznym krokiem, nie zmienionym od czasów służby w piechocie morskiej, podświadomie wystukując rytm marszu grzbietem notebooka o nogę.

Zanim dotarł do skrzyżowania, ulica zrobiła się całkiem pusta i można było przejść na drugą stronę. Tak jak czynił to od dziecka, machinalnie spojrział w lewo, w prawo, potem znów w lewo i wkroczył na jezdnię...

Prosto pod czerwony, piętrowy autobus, który ochryple porykując klaksonem minął go w odległości nie większej niż pół metra.

- Za pozwoleniem szanownego pana...

Ryan odwrócił się, stając oko w oko z policjantem, tutaj nazywanymi posterunkowymi, jak sobie przypominał, w mundurze i hełmie jak z komedii Macka Senneta.

- Proszę zachować ostrożność i przechodzić ulicę na skrzyżowaniu. Zechce pan także zwrócić uwagę na znaki na jezdni. W ten sposób będzie pan wiedział, czy patrzeć w lewo, czy w prawo. Staramy się nie tracić zbyt wielu turystów w wypadkach drogowych.

- Skąd pan wie, że jestem turystą?

Policjant uśmiechnął się pobłażliwie. Teraz, słysząc akcent Jacka, nie mógł mieć już żadnych wątpliwości.

- Ponieważ spojrzał pan w niewłaściwym kierunku i jest pan ubrany jak Amerykanin. Jeszcze raz proszę o ostrożność. Życzę miłego dnia. - Przyjaźnie skinął głową i odszedł, zostawiając Ryana sam na sam z pytaniem, co takiego jest z jego nowiutkim, trzyczęściowym garniturem, że poznają w nim Amerykanina.

Posłusznie pomaszerował do skrzyżowania. Namalowany na asfalcie napis ostrzegał: SPÓJRZ W PRAWO. Dla dyslektyków wymalowano odpowiednią strzałkę. Jack czekał na zielone światło i ruszył przez jezdnię, pilnując się, by nie przekroczyć linii wyznaczającej przejście dla pieszych. Musi pamiętać, żeby bardzo uważać na ulicy, zwłaszcza że w piątek zamierzał wynająć samochód. Anglia była jednym z ostatnich krajów świata, gdzie ludzie nie nauczyli się jeździć właściwą stroną drogi. Jack czuł, że szybko do tego nie przywyknie.

Niemniej z innymi sprawami radzili sobie tutaj całkiem dobrze, myślał leniwie, próbując uporządkować swoje spostrzeżenia z pierwszego dnia pierwszej podróży do Brytanii. Ryan był bystrym obserwatorem i umiał szybko wyciągać wnioski. Znajdował się w dzielnicy, stanowiącej część handlowo-usługowego centrum Londynu. Przechodnie byli ubrani lepiej, niż przeciętni Amerykanie, jeśli nie liczyć punków o nastroszonych, pomarańczowych albo szkarłatnych włosach. Architektura dzielnicy tworzyła nieprawdopodobną mieszaninę stylów, od klasycyzmu po Miesa van der Rohe ((1886-1969) - niemiecki architekt, obok Gropiusa, Wrighta i Le Corbusiera zaliczany do twórców architektury współczesnej), ale większość domów miała specyficzny wdzięk starych budowli, w Waszyngtonie czy Baltimore dawno już zastąpionych równymi rzędami bezdusznych, szklanych pudeł.

Wygląd miasta i jego mieszkańców doskonale harmonizował z powszechną tu uprzejmością. Jak dotąd Ryan nie miał powodów do narzekania na maniery Brytyjczyków. I choć jego wakacje zapowiadały się pracowicie, wszystko wskazywało na to, że będą również przyjemne.

Mimo wszystko pewne szczegóły londyńskiej ulicy wydawały się odrobinę irytujące. Choćby te parasole widoczne u większości przechodniów. Przed wyjściem z domu Ryan skrupulatnie sprawdził aktualną prognozę pogody. Zapowiadano ni mniej ni więcej tylko pogodny dzień, prawdę mówiąc użyto słowa „upał”, chociaż temperatura nie przekraczała dwudziestu stopni. Istotnie, to ciepło jak na tę porę roku, ale żeby od razu „upał”? Jack był ciekaw, czy używają tu określenia „babie lato”. Pewnie nie. Tak czy inaczej, po co im te parasole? Czyżby nie ufali lokalnej służbie meteorologicznej? Może to po braku parasola ten gliniarz poznał w nim Amerykanina?

Czego jeszcze się nie spodziewał, to takiego mnóstwa Rolls-Royce'ów na ulicach. Przez całe życie widział nie więcej niż tuzin samochodów tej marki. Tu zaś, chociaż może nie jeździły stadami, było ich naprawdę sporo. On sam jeździł pięcioletnim Volkswagenem Rabbitem, amerykańską wersją Golfa.

Zatrzymał się przy stoisku z gazetami i kupił egzemplarz „The Economist”. Obliczanie należności zabrało mu kilka sekund. Grzebał w drobnych, wydanych mu przez kierowcę taksówki, a tymczasem sprzedawca czekał cierpliwie i niewątpliwie także poznał w nim Jankesa. Ruszył dalej, przeglądając w drodze gazetę i w pewnym momencie stwierdził, że znajduje się w połowie niewłaściwej przecznicy. Stał jak wryty i próbował przypomnieć sobie plan miasta, który studiował przed opuszczeniem hotelu. Jack nigdy nie pamiętał nazw ulic, miał natomiast fotograficzną pamięć do map. Doszedł teraz do końca ulicy i skręcił w lewo. Dwie przecznice dalej w prawo i oto miał przed sobą St. James Park. Zerknął na zegarek, przyszedł piętnaście minut za wcześnie. Teren obok pomnika Księcia Yorku łagodnie opadał w głąb parku. Ryan minął długi, lśniący bielą marmuru klasycystyczny budynek i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Kolejną zaletą Londynu była obfitość zieleni. Park wyglądał na dość rozległy. Uwagę Jacka zwróciły wypiełgnowane trawniki. Tego roku cała jesień musiała być wyjątkowo ciepła. Drzewa wciąż pokrywała masa liści. Ludzi było jednak niewiele. Cóż, Jack wzruszył ramionami, środa. Środek tygodnia. Dzieciaki w szkole, dla dorosłych normalny dzień pracy. Zresztą, tak było najlepiej. Celowo przyjechali po zakończeniu sezonu turystycznego. Ryan nie znosił tłoku. To też zostało mu po służbie w Korpusie Piechoty Morskiej.

- Tadoo!

Ryan odwrócił się i ujrzał swoją córeczkę wybiegającą spomiędzy drzew. Pędziła ku niemu, zapominając oczywiście o bożym świecie. Dopędziła ojca i jak zwykle skoczyła mu w objęcia. Również jak zwykle, Cathy Ryan pozostała daleko w tyle, bo nikt nie byłby w stanie dotrzymać kroku ich małej błyskawicy. Żona Jacka i owszem, wyglądała na turystkę. Przez ramię przewieszony miała swój aparat fotograficzny marki Canon, wraz z futerałem, który na wakacjach służył jej dodatkowo jako pojemniejsza torebka.

- Jak poszło, Jack?

Ryan pocałował żonę. A może Anglicy nie robią tego publicznie? - przemknęło mu przez myśl.

- Świetnie. Traktowali mnie, jakbym był u siebie. Wszystkie notatki siedzą sobie bezpiecznie tutaj. - Poklepał swój notebook. - Niczego nie kupiłaś?

Cathy zaśmiała się.

- Oni tutaj dostarczają zakupy do domu. - Jej uśmiech powiedział mu, że zdążyła się rozstać z pokaźną częścią pieniędzy, które przeznaczyci na zakupy. - Kupiliśmy coś naprawdę ładnego dla Sally.

- Ach, tak? - Jack pochylił się i zajrzał córce w oczy. - A cóż to takiego?

- To niespodzianka, tato. - Mała chichotała i, jak to dziecko w jej wieku, ani przez chwilę nie mogła ustać w miejscu. Wyciągnęła rękę w stronę parku. - Tato, a tam jest jezioro z łabędziami i pekalinami!

- Pelikanami - poprawił Jack.

- Są wielkie i białe! - Sally ogromnie spodobały się pekaliny.

- Coś takiego - mruknął Jack. Spojrzał na żonę. - Zrobiłaś jakieś dobre zdjęcia?

- Jasne. - Cathy poklepała swój aparat. - Londyn został już gruntownie obfotografowany. Chyba nie wolałbyś, żebyśmy cały dzień poświęciły na zakupy? - Fotografia była jedynym hobby Cathy Ryan, uprawianym zresztą z autentycznym powodzeniem.

- Nie daj Boże! - Ryan spojrział w głąb ulicy. Nawierzchnia jezdni była tu bordowa, nie czarna, a wzdłuż chodników rosły drzewa wyglądające na buki. Jak się nazywa ta ulica? The Mali? Nie mógł sobie przypomnieć, a nie chciał pytać żony, która w Londynie była nie po raz pierwszy. Buckingham Palace okazał się większy niż przypuszczał, ale zrobił na nim wrażenie chłodu. Widział jego bryłę,

oddaloną o trzysta metrów i przesłoniętą jakimś marmurowym pomnikiem. Ruch na jezdni zrobił się nieco gęstszy, ale nie wpłynęło to na prędkość pojazdów.

- Co zrobimy z obiadem?

- Możemy złapać taksówkę do hotelu. - Cathy spojrzała na zegarek. - Albo jeszcze się przejść.

- Restauracja w hotelu uchodzi podobno za dobrą. Tyle że jeszcze za wcześnie. W takich eleganckich lokalach nie dadzą człowiekowi zjeść wcześniej niż o ósmej. - Kątem oka Ryan spostrzegł kolejnego Rollsa zmierzającego w stronę Pałacu. Najchętniej poszedłby już na obiad, ale raczej wolałby nie zabierać ze sobą Sally. Czteroletnie dziewczynki i czterogwiazdkowe restauracje nie bardzo do siebie pasują. Gdzieś z lewej strony dobiegł go pisk hamulców. Ciekawe, czy w hotelu mają opiekunkę do dzieci...

BUUUM!

Ryan aż podskoczył, kiedy dźwięk eksplozji rozdarł powietrze nie dalej niż trzydzieści metrów od nich. Granat, pomyślał odruchowo. Posłyszał szeleszczący odgłos przelatujących blisko odłamków, a chwilę później terkot broni maszynowej. Odwrócił się i zobaczył Rollsa stojącego na ukos w poprzek jezdni. Przód samochodu wydawał się jakoś dziwnie opuszczony. Drogę blokowała mu duża, czarna limuzyna. Przy prawym przednim błotniku Rollsa stał jakiś mężczyzna z Kałasznikowem, strzelając w jego przednią szybę. Inny obiegnął wóz z lewej strony i zatrzymał się naprzeciw tylnych drzwi.

- Na ziemię! - Ryan pochwycił córkę za ramię i cisnął ją w trawę za najbliższym drzewem. Gwałtownie popchnął żonę, która wylądowała obok dziecka. Za Rollsem stało nierównym szeregiem około dziesięciu samochodów, najbliższy w odległości mniej więcej piętnastu metrów, tworząc barierę na linii ognia między strzelcem a Ryanami. Ruch z przeciwnej strony uniemożliwiała stojąca na środku ulicy czarna limuzyna. Człowiek z Kałasznikowem jak opętany zasypywał Rollsa gradem pocisków.

- Co za sukinsyn! - Ryan patrzył, nie wierząc własnym oczom. - To ta cholerna IRA... zabijają kogoś w biały... - Przesunął się nieco w lewo. W głębi ulicy widział ludzi. Odwracali się, wytrzeszczali oczy, każda twarz naznaczona ciemnym kółkiem otwartych ze strachu i zdumienia ust. To nie sen, pomyślał Ryan. To się dzieje naprawdę. Tuż przed moimi oczami, jak na jakimś gangsterskim filmie. Dwa bydlaki mordują ludzi. Tu i teraz. Po prostu mordują. - Skurwysyny!

Ryan przesunął się jeszcze bardziej w lewo, kryjąc się za błotnikiem jednego z unieruchomionych samochodów. Mógł teraz dostrzec drugiego mężczyznę, stojącego przy lewych tylnych drzwiach Rollsa. Po prostu stał z pistoletem w wyciągniętej ręce, jakby spodziewał się, że za chwilę wyskoczy nimi któryś z pasażerów. Masywna sylwetka samochodu zasłaniała Ryana przed wzrokiem człowieka z Kałasznikowem, który właśnie pochylał się nad swoją bronią. Ten bliższy zwrócony był doń tyłem. Stał w odległości nie większej niż piętnaście metrów. Ciągle odwrócony plecami. Ryan nie pamiętał potem, żeby podejmował jakąkolwiek świadomą decyzję.

Wybiegł zza stojącego samochodu, pochylony do przodu, z nisko opuszczoną głową i wzrokiem wbitym w cel, którym był krzyż terrorysty, dokładnie tak, jak to robił na boisku w szkole średniej. Przyśpieszając gwałtownie, pokonał dzielący ich dystans w kilka sekund. Cały czas modlił się, by mężczyzna jeszcze przez moment pozostał nieruchomy. W odległości dwóch metrów Ryan skoczył, odbijając się z obu nóg. Jego trener miałby powód do dumy.

Futbolowy manewr okazał się nad wyraz skuteczny. Uderzony niespodziewanie w plecy mężczyzna wygiął się w łuk. Ryan słyszał jak zatrzeszczały kości, kiedy jego ofiara runęła na ziemię, po drodze zawadzając głową o zderzak. Zerwał się błyskawicznie zdyszany, ale zarazem czując rozpierającą go dziką energię i przykucnął przy leżącym. Pochwycił broń, która wypadła z dłoni

terrorysty, pistolet nieznanego mu typu, przypominający dziewięćmilimetrowego Makarowa, czy jakiś inny z używanych w bloku wschodnim. Był załadowany i odbezpieczony, Ryan ułożył go pieczołowicie w prawej dłoni, lewa ręka wydawała się jakby niesprawna, ale nie zwracał na to uwagi. Spojrzał na obalonego przed chwilą mężczyznę i strzelił mu w biodro. Następnie z pistoletem w wyciągniętym ręku przesunął się wzdłuż zderzaka na prawą stronę Rollsa. Skulił się i ostrożnie wyjrzał zza tylnego błotnika.

Kałasznikow drugiego z zamachowców leżał na ziemi. On sam ostrzeliwał samochód z pistoletu. W drugim ręku trzymał jakiś przedmiot. Ryan odetchnął głęboko i wysunął się zza Rollsa. Złożył się, biorąc na cel pierś mężczyzny. Tamten odwrócił głowę, potem nie odrywając nóg od jezdni wykonał zwrot w lewo, kierując broń ku niemu. Obaj wystrzelili jednocześnie. Ryan poczuł palące smagnięcie w okolicy lewego ramienia, lecz zauważył, że wystrzelony przez niego pocisk dosięgnął klatki piersiowej terrorysty. Dziewięćmilimetrowy pocisk odrzucił go do tyłu, niczym potężny cios pięścią. Ryan ściągnął w dół poderwany odrzutem pistolet i strzelił ponownie. Druga kula trafiła mężczyznę w podbródek, wychodząc z tyłu głowy. Jego czaszka eksplodowała chmurą różowej cieczy. Niczym szmaciana lalka zwałił się na jezdnię i znieruchomiał. Ryan trzymał pistolet wycelowany w pierś terrorysty, aż do chwili, gdy zauważył co się stało z jego głową.

- Dobry Boże!

Podniecenie, wywołane koniecznością działania, nagle opadło. Czas zaczął biec zwykłym rytmem i Ryan poczuł, że kręci mu się w głowie, że brak mu tchu. Otwartymi ustami gwałtownie łąpał powietrze. Nieznana siła, która dotąd pozwalała mu utrzymać się na nogach, najwyraźniej go opuściła. Z trudem zachowywał równowagę, walcząc ze słabością rozlewającą się po całym ciele. Czarna limuzyna cofnęła się o kilka metrów i nabierając prędkości przemknęła obok niego, by po chwili zniknąć za rogiem w głębi ulicy. Ryan nie pomyślał nawet o spojrzeniu na tablicę rejestracyjną. Oszołomiony tempem wydarzeń, wciąż jeszcze nie był w stanie pojąć, co się stało.

Człowiek, do którego strzelił dwa razy, nie żył. Oczy miał otwarte, a na jego twarzy zastygł wyraz zdumienia. Wokół głowy rozlewała się kałuża krwi. Ryan zmartwiał, spostrzegłszy granat w okrytej rękawiczką lewej dłoni terrorysty. Pochylił się i stwierdził, że zawleczone tkwiła nienaruszona w drewnianej rękojeści. Powrót do pozycji pionowej okazał się trudnym i bolesnym przedsięwzięciem. Powolotku wyprostował się jednak i spojrzał w stronę Rollsa.

Pierwszy granat roztrzaskał maskę samochodu. Przednie koła były wykrzywione, puste opony rozpląszczyły się na nawierzchni ulicy. Kierowca nie żył. Obok niego widniały zwłoki drugiego mężczyzny. Wybuch rozniósł na kawałki grubą przednią szybę. Twarz kierowcy zniknęła, a w jej miejscu znajdowała się krwawa, gąbczasta masa. Na szklanej przegrodzie za przednimi siedzeniami widać było czerwone smugi. Jack podszedł do tylnych drzwi i zajrzał przez okno. Zobaczył mężczyznę, leżącego na podłodze twarzą do dołu i wystający spod niego róg sukienki. Zastukał rękojeścią pistoletu w szybę. Mężczyzna poruszył się, potem znów zastygł w bezruchu. Przynajmniej on przeżył.

Ryan spojrzał na swój pistolet. Wystrzelał wszystkie naboje; magazynek był pusty, zamek zatrzymał się w tylnej pozycji. Z każdym oddechem czuł teraz wstrząsające nim dreszcze. Nogi miał jak z waty. Ręce zaczynały trząść się konwulsyjnie, na co zranione ramię odpowiadało krótkimi falami ostrego bólu. Rozejrzał się i zobaczył coś, co kazało mu zapomnieć o tym.

Był to pędzący ku niemu żołnierz, o kilka metrów wyprzedzający biegnącego jego śladem policjanta. Któryś z wartowników spod Pałacu, pomyślał Jack. Żołnierz zgubił po drodze swoją futrzaną czapę, ale nadal dzierżył samoczynny karabin z zatkniętym na lufę dwudziestocentymetrowym bagnetem. Ryan przez moment zastanawiał się, czy to możliwe, że karabin jest załadowany, ale

natychmiast doszedł do wniosku, że nie oplaca się tego sprawdzać. To gwardzista, uspokajał sam siebie, zawodowy żołnierz z doborowego pułku, który musiał dowieść, że zna się na swoim fachu, zanim posłano go do szkółki wypuszczającej żołnierzyków, będących turystyczną atrakcją. Może nie gorszy od naszych z piechoty morskiej. Skąd wziął się tutaj tak szybko?

Ryan powoli wyciągnął przed siebie rękę z pistoletem i zwolnił zatrząsk magazynka, który z grzechotem upadł na jezdnię. Następnie odwrócił broń tak, żeby żołnierz widział, iż nie jest naładowana. Położył pistolet na ziemi i cofnął się. Próbował podnieść rękę do góry, ale lewe ramię okazało się zupełnie bezwładne. Gwardzista był coraz bliżej, biegł zerkając na boki, ale jednocześnie ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Ryana. Zatrzymał się trzy metry od niego, z karabinem trzymanym nisko przed sobą. Ostrze bagnetu mierzyło prosto w gardło Jacka, dokładnie tak, jak nakazuje instrukcja walki wręcz. Oddychał ciężko, ale w jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Policjant jeszcze nie dobiegł, twarz miał zakrwawioną, gorączkowo wykrzykiwał coś do małego radiotelefonu.

- Spocznijcie, żołnierzu - odezwał się Ryan. Starał się nadać swoim słowom zdecydowane brzmienie, ale nie wypadło to zbyt przekonująco. - Jesteśmy po tej samej stronie. Dwóch łobuzów mamy już z głowy.

Twarz gwardzisty nie zmieniła wyrazu. Nie było wątpliwości: chłopak to zawodowiec. Ryan miał wrażenie, że słyszy jego myśli: jeden ruch i bagnet przebije cel na wylot. Jack był w takim stanie, że nie zdołałby uniknąć nawet pierwszego pchnięcia.

- Tatotatotato! - Ryan odwrócił głowę i ujrzał swoją córkę biegnącą ku niemu wzdłuż rzędu samochodów. Mała zatrzymała się, rozszerzonymi z trwogi oczyma ogarniając rozgrywającą się przed nią scenę. Następnie przypadła do ojca i objąwszy oburącz jego nogę, krzyknęła w stronę gwardzisty.

- Nie ruszaj mojego taty!

Zdziwiony żołnierz spoglądał to na córkę, to znów na ojca, kiedy pojawiła się Cathy. Zbliżyła się ostrożniej niż Sally, z daleka pokazując puste dłonie.

- Jestem lekarzem - oznajmiła - ten człowiek jest ranny i wymaga mojej pomocy. Proszę więc natychmiast opuścić broń! - Mówiła rozkazującym tonem, jakby zwracała się do pacjenta w swoim szpitalu.

Policjant chwycił gwardzistę za ramię, coś do niego powiedział i chociaż Jack nic z tego nie rozumiał, spostrzegł, że żołnierz wyraźnie się rozluźnił. Jego broń zmieniła położenie. Zbiegało się coraz więcej policjantów. Z wyciem syreny nadjechał biały samochód. Nareszcie wszystko zaczynało toczyć się normalnym trybem.

- Ty wariacie! - Z zawodowym spokojem Cathy oglądała zranione ramię. Na nowym garniturze Jacka widniała ciemna plama. Materiał z szarego zrobił się purpurowy. Ryan trząsł się teraz na całym ciele, a ciężar uczeplonej jego nogi Sally sprawił, że chwiało się na nogach. Cathy ujęła go za prawą rękę i ostrożnie posadziła na jezdni, opierając

o bok samochodu. Odchyliła marynarkę i delikatnie dotknęła zranionego miejsca. Jackowi ten dotyk wcale nie wydał się delikatny. Cathy wyjęła mu z wewnętrznej kieszeni chusteczkę i przycisnęła do rany.

- Nie wygląda to zbyt dobrze - mruknęła do siebie.

- Tato, jesteś cały zakrwawiony! - Sally nerwowo wymachiwała rękami, ruchem który przywodził na myśl trzepotanie skrzydeł przestraszonego pisklęcia. Stała o krok od ojca i Jack chciał wyciągnąć do niej rękę, pogłaskać, powiedzieć że już wszystko w porządku, ale ten krok w tej chwili mógł równie dobrze liczyć tysiąc kilometrów... A to, co czuł w lewym ramieniu, mówiło mu, że

istotnie nie jest z nim zbyt dobrze.

Wokół Rollsa kręciło się już około dziesięciu zasapanych policjantów. Trzej z nich z pistoletami w dłoniach obserwowali gromadzący się tłum gapiów. Od strony pałacu nadbiegli jeszcze dwaj żołnierze w czerwonych kubrakach. Do Ryanów zbliżył się sierżant policji, ale zanim zdążył otworzyć usta, Cathy warknęła rozkazująco:

- Proszę natychmiast wezwać karetkę!

- Już jest w drodze, proszę pani - zadziwiająco grzecznie odparł sierżant. - Może pozwoli pani nam się nim zająć?

- Jestem lekarzem - odpowiedziała krótko. - Ma pan nóż? Sierżant odwrócił się, zdjął bagnet z karabinu gwardzisty i pochylił

się, aby pomóc Cathy. Przytrzymała marynarkę i kamizelkę, a sierżant ciął materiał. Potem rozcięli koszulę, odsłaniając ramię. Przez ten czas chusteczka całkowicie przesiąkła krwią. Cathy odjęła ją od rany

i cisnęła na bok. Jack zaczął protestować, ale usłyszał:

- Zamknij się, Jack. - Cathy spojrzała na sierżanta i ruchem brody wskazała Sally. - Proszę ją stąd zabrać.

Sierżant skinął na gwardzistę, który zbliżył się i wziął dziewczynkę na ręce. Odszedł kilka kroków, trzymając ją delikatnie przy piersi. Jack widział, że mała płacze żałośnie, ale miał wrażenie, że to wszystko dzieje się gdzieś daleko od niego. Czuł, że skóra pokrywa się zimnym potem. Szok?

- Cholera - burczała pod nosem Cathy. Sierżant podał jej zwój grubego bandaża. Przyłożyła go do rany, lecz zanim zdążyła umocować, gaza zrobiła się czerwona. Ryan jęknął. Miał wrażenie, że ktoś wbija mu topór pod łopatkę.

- Jack, coś ty, do diabła, próbował zrobić? - zapytała przez zaciśnięte zęby Cathy, ciągle borykając się z węzłami bandaża.

Nagły gniew pomógł Jackowi zapomnieć na chwilę o bólu.

- Ja nie próbowałem - warknął. - Do kurwy nędzy, ja to zrobiłem. - Wypowiedzenie tych słów kosztowało go niemal resztę sił.

- Jasne - mruknęła Cathy. - Krwawisz jak świnia, Jack.

Robiło się coraz ciasniej. Ludzi przybywało. Wyglądało to tak, jakby wokół Rollsa skupiło się ze sto wyjących syrenami radiowozów, z których wyskakiwali policjanci w mundurach i po cywilnemu. Jakiś policjant, sądząc po naszywkach, oficer, wykrzykiwał rozkazy. Wszystko to było frapujące. Ryan miał uczucie, że siedzi w kinie, że ogląda coś, co dotyczy kogoś zupełnie innego. Widział siebie, opartego plecami

o drzwi Rollsa, z koszulą przesiąkniętą czerwienią, jakby wylano na niego kubeł farby. Cathy, rękami czerwonymi od krwi, wciąż próbowała prawidłowo ułożyć bandaż. Jego córka połykała łyżę w ramionach rosnącego gwardzisty, który bodajże śpiewał jej jakąś piosenkę w nieznanym Jackowi języku. Sally wpatrywała się w ojca wzrokiem pełnym rozpaczliwej udręki. Cała ta scena przez chwilę wydawała się Jackowi dziwnie nierzeczywista i niesłychanie zabawna, ale kolejna fala bólu natychmiast sprowadziła go na ziemię.

Policjant, który najwyraźniej objął dowodzenie akcją, sprawdził rozstawienie uzbrojonych ludzi wokół Rollsa i podszedł do Ryanów.

- Sierżancie, przesuniecie tego człowieka. Cathy uniosła wzrok i warknęła ze złością:

- Cholera, otwórzcie z drugiej strony. On krwawi.

- Tamte drzwi są zablokowane. Proszę mi pomóc.

Kiedy pochylali się nad nim, Ryan słyszał coraz bliższy odgłos syreny innego rodzaju. We trójkę

zdołali przesunąć go o około pół metra

i oficer otworzył drzwi. Okazało się, że nie odsunęli Jacka dość daleko. Krawędź otwieranych drzwi uderzyła go w ramię. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał nim stracił przytomność, był jego własny wrzask bólu.

Powoli odzyskiwał zdolność widzenia i mglistą świadomość otaczających go przedmiotów, jakby pozbawionych fizycznych właściwości. Znajdował się w jakimś pojeździe. Kołysał się na boki, a każdy taki ruch odzywał się w jego piersi nieznośnym bólem. Skądś dobiegał go bliski, jednostajny, dręczący dźwięk. Widział nad sobą czyjeś twarze. Zdawało mu się, że je rozpoznaje. Cathy? Nie, ci ludzie mieli na sobie zielone fartuchy. Wszystko dokoła było jakieś niewyraźne i zamazane, tylko ten palący ból w ramieniu i klatce piersiowej... Zamrugał oczami i osunął się w nieświadomość, a kiedy się obudził, był już w innym miejscu.

Sufit wyglądał z początku jak zamglona, pozbawiona szczegółów płaszczyzna. Nie wiedzieć czemu, Ryan zdawał sobie sprawę, że znajduje się pod wpływem środków znieczulających. Po kilku minutach mozolnej koncentracji mógł już stwierdzić, że sufit tworzyły dźwiękochłonne płyty, oprawione w metalowe ramy. Niektóre z owych płyt, pomalowane na biało, widział wyraźniej i to pomogło mu się skupić. Inne, z matowego plastiku, świeciły łagodnym blaskiem ukrytych za nimi świetlówek. Z czegoś umocowanego pod nosem płynął chłodny gaz, wypełniający mu nozdrza. Tlen? Po kolei odzywały się inne zmysły, z ociąganiem przesyłając swoje informacje do mózgu Jacka: jakieś niewidoczne, drobne przedmioty przyklejone do piersi. Czuł jak plaster ciągnie go za włoski, którymi Cathy tak lubiła się bawić, kiedy sobie podpiała. Lewe ramię... na dobrą sprawę wcale nie czuł lewego ramienia. Całe jego ciało było tak ciężkie, że nie zdołałby się poruszyć choćby o centymetr.

Szpital - wywnioskował po dłuższym namyśle. Dlaczego jestem w szpitalu? Znalezienie odpowiedzi na to pytanie wymagało Bóg wie ile czasu, kiedy jednak tego w końcu dokonał, nareszcie mógł w pełni poczuć się człowiekiem, przebił się przez mgłę narkotycznego otępienia.

Czyżby i mnie postrzelili? Ryan powoli obrócił głowę w prawo. Z metalowego stojaka obok łóżka zwisała butelka z kroplówką. Biegająca od niej gumowa rurka znikwała pod prześcieradłem, w miejscu gdzie znajdowała się przywiązana do łóżka prawa ręka. Po wewnętrznej stronie łokcia powinien mieć wstawiony kateter, ale nic tam nie czuł. Usta miał wyschnięte na popiół. No dobrze, ale przecież nie ranili mnie z prawej strony... Próba odwrócenia głowy w lewo zakończyła się niepowodzeniem. Przeszkadzało mu coś miękkiego, ale stawiającego opór nie do pokonania. Nie miał siły, żeby się tym przejmować. Nawet zainteresowania swoim stanem nie traktował zbyt poważnie. Z jakichś powodów ciekawsze od własnego ciała wydało mu się otoczenie. Na przykład te elektroniczne przyrządy i aparat podobny do telewizora, widoczne prosto przed nim. Leżał w takiej pozycji, że nie mógł im się dokładnie przyjrzeć. Monitor EKG? Pewnie coś w tym rodzaju. Wszystko się zgadzało. Znajdował się w sali pooperacyjnej, niczym astronauta opłatany czujnikami przyrządów, które informowały, czy jeszcze żyje, czy już umarł. Pod wpływem środka znieczulającego był w stanie rozważać tę kwestię w sposób doskonale obiektywny.

- O, już nie śpimy? - Ten głos różnił się od dochodzącego z oddali, stłumionego bełkotu radiowęzła. Ryan przycisnął głowę do piersi, w ten sposób zyskując możliwość zobaczenia pięćdziesięcioletniej pielęgniarki o twarzy Bette Davis, porysowanej zmarszczkami przez lata robienia groźnych min. Chciał się odezwać, ale usta miał jakby sklejone żywicą. Dźwięk, jaki zdołał wydać, był czymś pośrednim między zgrzytaniem a krakaniem wrony. Zanim udało mu się go zidentyfikować, pielęgniarka zniknęła.

Po mniej więcej minucie w polu widzenia Jacka pojawił się mężczyzna. Też około



pięćdziesiątki, wysoki, szczupły, w zielonym, chirurgicznym kitlu. Z szyi zwieszał mu się stetoskop, w dłoni trzymał coś, czego Ryan nie był w stanie dojrzeć. Wyglądał na zmęczonego, ale twarz zdobił mu zadowolony uśmiech.

- A więc - rzekł - obudziliśmy się. Jak się czujemy?

Tym razem Ryanowi udało się wyartykułować pełne kraknięcie. Lekarz skinął na pielęgniarkę. Zbliżyła się i pozwoliła Jackowi pociągnąć przez szklaną rurkę łyk zimnej wody.

- Dzięki.

Woda zwilżyła mu tylko wnętrze ust. Nie było nawet co łykać. Jakby wsiąkla w bibułę, którą stało się jego podniebienie.

- Gdzie ja jestem?

- Na oddziale pooperacyjnym szpitala św. Tomasza. Przeszedł pan operację lewego ramienia i barku. Jestem pańskim lekarzem. Ja i mój zespół zajmujemy się panem od około sześciu godzin i wygląda na to, że jeszcze pan pożyje. - W ostatnich słowach chirurga zabrzmiało coś jak rezerwa. Niemniej zdawał się uważać Ryana za udane dzieło.

Angielskie poczucie humoru, jakkolwiek godne podziwu, w tej akurat sytuacji jest jakby zbyt kostyczne, ospale pomyślał Ryan. Zastanawiał się właśnie nad repliką na dowcip lekarza, kiedy spostrzegł, że do pokoju weszła Cathy. Bette Davis w pielęgniarskim fartuchu rzuciła się ją wypraszać.

- Przykro mi pani Ryan, ale tylko personel medyczny...

- Jestem lekarzem. - Cathy podała chirurgowi swoją plastikową kartę identyfikacyjną.

- Instytut Okulistyki Wilmera - czytał na głos. - Szpital im. Johna Hopkinsa w Baltimore. - Wyciągnął dłoń i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Witam, pani doktor. Jestem Charles Scott.

- Zgadza się - ochryple potwierdził Ryan. - Ona jest doktorem medycyny. A ja jestem doktorem historii. - Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

- Sir Charles Scott? Profesor Scott?

- To ja - chirurg uśmiechnął się zyczliwie.

Każdy lubi być popularny, pomyślał Ryan za jego plecami. - Jeden z moich wykładowców, profesor Knowles znał pana osobiście.

- A, Dennis! Co u niego?

- Wszystko w porządku, jest zastępcą ordynatora na oddziale ortopedii. Ma pan wyniki prześwietlenia? - Cathy zmieniła temat, gładko przechodząc do zagadnień medycznych.

- Proszę. - Scott wyjął z koperty duże zdjęcie i podniósł je do światła. - To było zrobione przed operacją.

- O, cholera. - Cathy zmarszczyła nos. Włożyła noszone przy czytaniu okulary z półokrągłymi szklami, których Jack nienawidził. Ze swojego miejsca obserwował, jak wpatruje się w zdjęcie, wolno kręcąc głową. - Nie wiedziałam, że było aż tak źle.

Profesor Scott skinął głową, jakby zgadzając się z jej diagnozą.

- Istotnie. Doszliśmy do wniosku, że w chwili, gdy męża postrzelono, obojczyk był już złamany. Kula weszła tędy, na szczęście mijając splot barkowy, tak że nie przewidujemy większych uszkodzeń nerwów. To ona spowodowała wszystkie te obrażenia. - Piórem pokazywał coś na fotografii, ale Ryan z łóżka nie był w stanie nic dojrzeć. - Zawadziła o nasadę kości ramiennej i zatrzymała się tutaj, tuż pod skórą. Ta dziewięciocentymetrowa amunicja nadaje cholernie dużo energii pociskom. Mieliśmy mnóstwo zabawy z wyszukiwaniem kawałków kości i składaniem ich do kupy, ale udało się. - Scott wyciągnął drugie zdjęcie i przyłożył je do pierwszego. Przez chwilę Cathy w milczeniu

przyglądała się na zmianę to jednej, to drugiej kliszy.

- Wspaniała robota, panie doktorze.

Sir Charles nie próbował ukryć uśmiechu.

- Zważywszy, iż jest pani chirurgiem ze szpitala Johna Hopkinsa, pozostaje mi tylko podziękować za pochwałę. Oba te gwoździe wszczepione są na stałe. Ta śruba, obawiam się, także, ale reszta powinna się zrosnąć bez problemu. Jak pani widzi, wszystkie większe odłamki kości wróciły na swoje miejsce. Mamy prawo oczekiwać pełnego powrotu do zdrowia.

- Jakie mogą być trwałe skutki uszkodzenia stawu? - Jakby dotyczyło to kogoś obcego! W sprawach zawodowych, Cathy umiała być koszmarnie rzeczowa.

- W tej chwili trudno powiedzieć - z namysłem zaczął Scott. - Jakies upośledzenie jest możliwe, chociaż raczej niezbyt poważne.

Nie możemy zagwarantować przywrócenia wszystkich funkcji stawu, obrażenia były zbyt rozległe.

- Czy ktoś zechciałby mi coś wreszcie powiedzieć? - Ryan chciał, żeby zagrzmiało to groźnie, ale nie bardzo mu się to udało.

- Chodzi o to, panie Ryan, że prawdopodobnie już zawsze będzie pan miał niezupełnie sprawne ramię. Nie możemy jeszcze określić, do jakiego stopnia. No i będzie pan miał prywatny barometr. O każdym załamaniu pogody dowie się pan pierwszy.

- Jak długo musi leżeć w tym gipsie? - chciała wiedzieć Cathy.

- Co najmniej miesiąc. - Chirurg zrobił skruszoną minę. - To okropne, wiem, ale przynajmniej tak długo ramię musi być całkowicie unieruchomione. Potem przeprowadzimy badanie kontrolne i prawdopodobnie będzie można założyć już zwykły gips, na dalszy... powiedzmy miesiąc, czy coś koło tego. Zakładam, że pacjent jest odporny, nie ma uczuleń. Wygląda na zdrowego i w przyzwoitej kondycji fizycznej.

- Jack rzeczywiście jest w dobrej formie, chociaż brak mu piątej klepki - potwierdziła Cathy, a w jej zmęczonym głosie pojawiło się coś jakby wymówka. - Regularnie uprawia jogging. Nie jest na nic uczulony z wyjątkiem ziela krostawca. Wszystkie skaleczenia goją mu się bardzo szybko.

- Fakt - poświadczył Ryan. - Ślady po jej zębach znikają z reguły po tygodniu. - Pyszny dowcip. Nie miał pojęcia dlaczego nikt się nie śmieje.

- Świetnie - powiedział Sir Charles. - Widzi więc pani, że mąż jest w dobrych rękach. Zostawię teraz państwa samych na pięć minut. Potem chciałbym, żeby chory trochę odpoczął. A i pani wygląda na zmęczoną. - Chirurg ruszył do drzwi z Bette Davis depczącą mu po piętach.

Cathy zbliżyła się do męża, w jednej chwili z zimnej profesjonalistki zmieniając się w czułą żonę. Ryan powtarzał już sobie z milion razy, że ta dziewczyna jest jego największym skarbem. Caroline Ryan była drobną blondynką, o krótkich włosach, okrągłej twarzy i najpiękniejszych na świecie niebieskich oczach. Do tego co najmniej dorównywała mężowi inteligencją, co tylko pogłębiało jego uczucie. Nigdy nie mógł pojąć, jak udało mu się ją zdobyć. Był boleśnie świadom, że w tak wyjątkowym dniu jego raczej pospolite rysy, mocny zarost i zapadnięte policzki nadają mu wygląd komiksowego antybohatera. Ona tymczasem zdawała się nie zwracać na to uwagi. Była teraz jego jedyną podporą. Chciał sięgnąć po jej dłoń, ale rękę miał przywiązaną do ramy łóżka. To Cathy ujęła jego dłoń.

- Kocham cię, maleńka - powiedział cicho.

- Och, Jack. - Próbowała go objąć, ale nic z tego nie wyszło, bo przeszkadzał jej gips, którego on nawet nie mógł zobaczyć. - Jack, dlaczegoś to, do diabła, zrobił?

Przygotował sobie odpowiedź na to pytanie.

- Już po wszystkim, a ja nadal żyję, widzisz? Co z Sally?

- Chyba w końcu zasnęła. Jest na dole, z policjantem. - Przyjrzała mu się zmęczonym wzrokiem.

- Jak myślisz, Jack, co ona czuje? Przecież, na Boga, widziała cię prawie martwym. Tak nas przestraszyłeś! - Jej błękitne oczy były podkrążone, włosy w okropnym nieładzie. Nigdy nie mogła sobie z nimi dać rady. Chirurgiczne czepki psuły jej każdą fryzurę.

- Tak, tak, wiem. W każdym razie nie wygląda na to, żebym w najbliższym czasie mógł powtórzyć ten numer. - Jego słowa sprawiły, że uśmiechnęła się. Dobrze było zobaczyć jej uśmiech.

- To świetnie. Musisz zbierać siły. Może to cię czegoś nauczy... Tylko mi nie mów, że łóżko w hotelu marnieje nieużywane. - Ścisnęła jego dłoń, a w jej oczach zapaliły się figlarne ogniki. - Za kilka tygodni postaramy się coś wymyślić. Jak wyglądam?

- Jak wiedźma! - Jack zachichotał cicho. - Zrozumiałem, że ten lekarz to nie byle kto. - Zauważył, że żona jest już trochę mniej spięta.

- To mało powiedziane. Sir Charles Scott jest jednym z najlepszych ortopedów na świecie. Uczył profesora Knowlesa. To co zrobił z twoim ramieniem, to jest majstersztyk. Masz szczęście, że nie straciłeś ręki, wiesz o tym? Mój Boże!

- Spokojnie, maleńka. Słyszałaś? Jeszcze pożyję.

- Tak. Wiem. Wiem.

- Będzie bolało, prawda? Znow się uśmiechnęła.

- Tylko troszeczkę. No, dobrze. Muszę położyć Sally do łóżka. Przyjdę jutro. - Pochyliła się, żeby go pocałować. Był nafaszerowany środkami znieczulającymi, rurka z tlenem tkwiła mu w nosie, czuł nadal suchość w ustach, a mimo wszystko sprawiło mu to przyjemność. Rany boskie, pomyślał, jak ja kocham tę dziewczynę. Cathy jeszcze raz ścisnęła jego rękę i wyszła.

Chwilę później wróciła Bette Davis przebrana za pielęgniarkę. Jack nie był zachwycony tą zamianą.

- Muszę panią zawiadomić, że też jestem doktorem - zagaił ostrożnie.

- To świetnie, panie doktorze. Pora na odpoczynek. Będę w pobliżu przez całą noc. Teraz proszę spać, doktorze Ryan.

Uraczony takim błogosławieństwem Jack zamknął oczy. Jutro będzie urwanie głowy, pomyślał. I miał rację.

## 2

### Gliniarze i monarchowie

Ryan obudził się, by usłyszeć jak prezenter w radio zapowiada godzinę 6.35. Potem rozległy się dźwięki amerykańskiej piosenki country z rodzaju tych, jakich unikał w domu jak mógł, słuchając tylko stacji nadających wiadomości. Śpiewak przestrzegał matki, by nie pozwalały swym synom zostać kowbojami i pierwszą tego dnia myślą półprzytomnego jeszcze Ryana było to, że tutaj na pewno nie mają tego problemu... A może mają? Jeszcze przez pół minuty rozważał leniwie tę kwestię, zastanawiając się, czy w Anglii istnieją kowbojskie bary z podłogą wysypaną trocinami i z mechanicznym rodeo, pełne urzędników, zadających szyku spiczastymi butami i pasami o dwukilowych klamrach... Właściwie czemu nie? W końcu wczoraj widziałem coś żywcem wyjęte z filmu o Dodge City.

Najchętniej spałby dalej. Próbował zamknąć oczy i rozluźnić się, w nadziei, że znow ześlıźnie się w sen, ale na próżno. Z Waszyngtonu odlecieli wcześniej rano, ledwie po trzech godzinach na nogach. W samolocie Jack nie spał, po prostu nie był zdolny do tego, ale latanie zawsze bardzo go męczyło, toteż wkrótce po przybyciu do hotelu poszedł do łóżka. A potem, jak długo leżał

nieprzytomny w szpitalu? Najwyraźniej za długo. Był całkowicie wyspany. Nie pozostawało nic innego, jak stawić czoło nadchodzącemu dniowi.

Z prawej strony dobiegały go dźwięki radia, na tyle głośne, że mógł rozróżnić słowa. Odwrócił głowę, by rzucić okiem na prawe ramię.

Ramię, pomyślał, dlatego tu jestem. Ale co znaczy tu? To już nie był tamten pokój, widział gładki, świeżo malowany sufit. Mrok pomieszczenia rozjaśniała jedynie mała lampka na stoliku przy łóżku, prawdopodobnie przeznaczona do czytania. Na ścianie wisiał chyba jakiś obraz. W każdym razie coś prostokątnego, ciemniejszego niż ściana. Ta też nie była biała. Ryan zanotował to wszystko w pamięci, świadomie odwlekając zbadanie lewego ramienia do chwili, gdy nie mógł już znaleźć żadnej wymówki. Powoli odwrócił głowę w tę stronę. Na początek zobaczył swoją rękę. Sterczała w górę, okryta gipsem i łupkami z włókna szklanego, sięgającymi dłoni. Palce, chyba przez przeoczenie, zostawiono w spokoju. Dziwnie szare, wystawały z gipsowego pancerza, niewiele zresztą różniąc się od niego barwą. Na wysokości

przegubu, po jego zewnętrznej stronie, umocowany był metalowy pierścień, w którym tkwił hak łańcuszka wiodącego do stalowej konstrukcji niczym ramię dźwigu wiszącej nad łóżkiem.

Po kolei. Na początek spróbował poruszać palcami. Minęło kilka sekund, nim przypomniały sobie o obowiązku posłuszeństwa wobec jego centralnego systemu nerwowego. Ryan wypuścił z płuc długo wstrzymywane powietrze i, zamknąwszy oczy, zmówił w duchu modlitwę dziękczynną. W okolicy łokcia z gipsu wystawał aluminiowy pręt, biegnący w dół, ku reszcie pancerza, który, jak w końcu ustalił, sięgał do szyi i dalej na ukos, aż do pasa. Pręt ów sprawiał, że przedramię na stałe było odsunięte od ciała i upodabniało Jacka do połówki zwodzonego mostu. Skorupa na piersi nie była zbyt ciasna, ale przylegała do skóry, która już tu i ówdzie zaczynała swędzieć. Oczywiście o podrapaniu się nie było mowy. Chirurg mówił coś o pełnym unieruchomieniu barku, pomyślał Ryan ponuro i najwyraźniej nie żartował. Ciąży ból w ramieniu nie był na razie specjalnie dokuczliwy, ale czuło się, że to tylko początek. Całe ciało miał sztywne i obolałe, a w ustach smak nocnika. Odwrócił głowę w drugą stronę.

- Jest tam ktoś? - spytał półgłosem.

- O, dzień dobry. - Nad krawędzią łóżka pojawiła się czyjaś twarz. Facet był młodszy od Ryana, na oko dwudziestopięcioletek, szczupły. Ubranie miał w nieładzie, krawat pod szyją rozluźniony, spod marynarki wystawała kabura pistoletu.

- Jak pan się czuje?

Ryan spróbował się uśmiechnąć i ciekaw był, na ile mu się to udało.

- Pewnie mniej więcej tak, jak wyglądam. Chciałbym wiedzieć gdzie się znajduję i kim pan jest, ale najpierw... czy nie znalazłaby się tutaj szklanka wody?

Policjant napełnił plastikowy kubek zimną wodą z plastikowego dzbanka. Ryan sięgnął po naczynie i dopiero wtedy zauważył, że prawa ręka nie była przywiązana, jak wtedy, gdy obudził się poprzednim razem. Czuł nawet teraz miejsce, gdzie wprowadzony był kateter od kroplówki. Łakomie wyssał wodę przez słomkę. Była to zwykła woda, ale żadne piwo po całym dniu pracy w ogrodzie tak mu nie smakowało.

- Dzięki, kolego.

- Jestem Anthony Wilson. Mam się panem opiekować. Znajduje się pan w sali dla szczególnie ważnych pacjentów szpitala św. Tomasza. Pamięta pan, dlaczego tu się znalazł?

- Tak, chyba tak - skinął głową Ryan. - Może mnie pan odczepić od tego czegoś? Muszę wyjść. - To także był rezultat podania kroplówki.

- Zadzwoń na siostrę... o, już - Wilson wcisnął guzik kontaktu, przypiętego do rogu poduszki

Ryana.

Po niespełna piętnastu sekundach w drzwiach pokoju stanęła pielęgniarka i włączyła górne światło. Ryan oślepiony nagłą jasnością dopiero po chwili zorientował się, że nie była to Bette Davis, tylko młoda, ładna dziewczyna o opiekuńczym, zdradzającym zawodowy entuzjizm spojrzeniu. Ryan widywał już ten wyraz twarzy u pielęgniarek i szczerze go nie znosił.

- Ó, już nie śpimy - rzuciła wesoło. - Jak się czujemy?

- W dechę - odburknął Ryan. - Może mnie pani odczepić? Muszę iść do ubikacji.

- Nie wolno nam jeszcze wstawać, doktorze Ryan. Coś panu przyniosę. - Wyszła, zanim zdążył zaprotestować. Wilson patrzył za nią taksującym spojrzeniem. Gliniarze i pielęgniarki, pomyślał Ryan. Jego ojciec ożenił się z pielęgniarką, którą poznał odwożąc na pogotowie ofiarę ulicznej strzelaniny.

Pielęgniarka, na plakietce przypiętej do fartucha widniało nazwisko Kitty WAKE, wróciła po minucie z kaczką z nierdzewnej blachy, którą niosła przed sobą niczym bezcenny dar. Ryan musiał przyznać, że w tych okolicznościach było to poniekąd uzasadnione. Podniosła okrywające go prześcieradło i nagle Jack uświadomił sobie, że szpitalna koszula, w którą jak sądził jest ubrany, była tylko luźno zawiązana na jego szyi. Co gorsza, pielęgniarka zabierała się już do czynienia niezbędnych przygotowań do użycia kaczki. Błyskawicznie sięgnął pod koszulę, przejmując inicjatywę. Dziękował Bogu, że jest w stanie wyciągnąć rękę dość daleko.

- Czy mógłbym, ee, przeprosić panią na chwilę? - Chciał, żeby dziewczyna wyszła, co też uczyniła, uśmiechnięta, lecz trochę jakby rozczarowana. Zaczekał, aż zamkną się za nią drzwi i dopiero przystąpił do dalszego ciągu. Tylko przez wzgląd na Wilsona, stłumił westchnienie ulgi. Nim zdołał policzyć do sześćdziesięciu, w drzwiach ponownie stanęła Kittiwake.

- Dziękuję. - Ryan podał jej naczynie. Wyszła, ale chwilę później była już z powrotem. Tym razem wetknęła mu w usta termometr i ujęła za przegub, badając puls. Termometr był z gatunku nowoczesnych, elektronicznych, toteż wszystko razem trwało nie więcej niż piętnaście sekund. Ryan zapytał o wynik, ale zamiast odpowiedzi, został uraczony uśmiechem. Ten uśmiech nie schodził z jej twarzy, kiedy wpisywała odpowiednie dane do karty. Następnie, wciąż promieniejąc, wygładziła kołdrę. Mała pedantka, pomyślał Ryan. Ta dziewczyna będzie prawdziwym utrapieniem.

- Czy coś panu podać, doktorze Ryan?

Jej brązowe oczy ciekawie kontrastowały z płowymi włosami. Była interesująca. Taka świeża. Ryan nigdy nie umiał złościć się na ładne kobiety. Zwłaszcza na młode, świeże pielęgniarki.

- Może kawę? - spytał z nadzieją.

- Śniadanie będzie dopiero za godzinę. Przyniosę panu filiżankę herbaty, zgoda?

- Świetnie.

Wcale nie świetnie, ale chciał już się jej pozbyć, choćby na chwilę. Panna Kittiwake wyfrunęła z pokoju, zabierając ze sobą swój prostolinijny śmiech.

- Oto uroki szpitalnego życia - sarknął Ryan.

- No, bo ja wiem... - Wilson miał świeżo w pamięci obraz siostry Kittiwake.

- To nie panu zmieniają pieluchy. - Ryan chrząknął i opadł na poduszkę. Zdawał sobie sprawę, że opór nie ma sensu. Mimowolnie uśmiechnął się. Opór nie ma sensu. Już dwukrotnie przechodził coś podobnego, za każdym razem z młodymi, ładnymi pielęgniarkami. Zrządzenie i gburowatość tylko wyzwalały w nich przyływ gorliwości. Robiły się nieodparcie miłe, a czas działał na ich korzyść. Miały dość czasu i cierpliwości, żeby przeczekać każdego. Westchnął z rezygnacją. Nie warto tracić energii na swary z pielęgniarką.

- A więc jest pan gliniarzem, zgadza się? Wydział Specjalny?

- Nie, sir. C-13, jednostka antyterrorystyczna.

- Może mi pan z grubsza opowiedzieć, co się wczoraj wydarzyło? Mam wrażenie, że pewne rzeczy mi umknęły.

- Co pan pamięta, doktorze? - Wilson przysunął krzesło bliżej łóżka. Ryan zauważył, że usiadł bokiem do drzwi, prawą rękę starał się mieć cały czas wolną.

- Zobaczyłem... nie, usłyszałem wybuch, chyba ręcznego granatu i kiedy się odwróciłem, ujrzałem dwóch facetów ostrzeliwujących Rolls-Royce'a. Myślę, że byli z IRA. Tych dwóch załatwiłem, trzeci uciekł samochodem. Nadciągnęła kawaleria, zemdlałem i obudziłem się tutaj.

- To nie IRA, to ULA, Ulster Liberation Army" (Armia Wyzwolenia Ulsteru), maoistowska przybudówka Tymczasowych". Banda sukinsynów. Ten, którego pan zabił, to John Michael McCrory, bardzo niegrzeczny chłopiec z Londonderry. Jeden z tych, którzy w lipcu uciekli z więzienia Masę. Pierwszy raz pojawił się od tej pory. I ostatni. - Wilson uśmiechnął się chłodno. - Drugiego jeszcze nie zidentyfikowaliśmy. To znaczy, do chwili, gdy trzy godziny temu wychodziłem na służbę.

- · Tymczasowi - PIRA, Provisional Wing of the Irish Republican Army (Skrzydło Tymczasowych Irlandzkiej Armii Republikańskiej) - powstały po rozłamie w IRA na początku lat siedemdziesiątych, radykalny, opowiadający się za stosowaniem terroru odłam IRA].

- ULA? - Ryan wzruszył ramionami. Słyszał tę nazwę, ale nie mógł teraz o tym powiedzieć. - Ten zabity... On miał AK, ale kiedy wyszedłem z samochodu, strzelał z pistoletu. Dlaczego?

- Karabin mu się zaciął. Kretyn, taśmą klejącą połączył dwa pełne magazynki, tak jak to często pokazują na filmach. A nam podczas szkolenia wyraźnie mówili, żeby tego nigdy nie robić. Przypuszczamy, że zawadził o coś podczas wysiadania z samochodu, bo drugi magazynek miał zdeformowane szczęki i nie podawał prawidłowo naboju. Miał pan cholerne szczęście. Wiedział pan, że bierze się za faceta z Kałasznikowem? - Wilson uważnie przyjrzał się twarzy Ryana.

Jack skinął głową.

- Nie brzmi to zbyt rozsądnie, prawda?

- Ciężki z pana idiota.

Siostra Kittiwake, która właśnie stanęła w drzwiach i słyszała ostatnie słowa Wilsona, obrzuciła policjanta spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Postawiła tacę z herbatą na stoliku na kółkach i przysunęła go do łóżka. Wszystko odbyło się jak należy. Pielęgniarka troskliwie napełniła filiżankę Ryana, a Wilson musiał obsłużyć się sam.

- A w ogóle to kto był w tym samochodzie? - zapytał Ryan. Zauważył, że jego słowa zrobiły na obecnych zaskakujące wrażenie.

- To pan nie wiedział? - Twarz Kittiwake wyrażała osłupienie.

- Nie miałem czasu, żeby sprawdzić. - Ryan wsypał do filiżanki dwie torebki brązowego cukru. Nie zdążył go jednak wymieszać, bo kiedy Wilson odpowiedział na jego pytanie, dłoń z łyżeczką zamarła.

- Księżę i księżna Walii. I ich mały synek.

- Co? - podskoczył Ryan.

- Naprawdę pan nie wiedział? - dopytywała się pielęgniarka.

- Mówi pan poważnie? - cicho zapytał Ryan. Chyba by nie żartowali na taki temat, pomyślał.

- Jak cholera - odparł Wilson głosem pozbawionym emocji. Jedyne dobór słów, wskazywał, jak głęboko poruszony jest całą

tą sprawą. - Gdyby nie pan, wszyscy troje byliby martwi. A to czyni z pana, doktorze Ryan, cholernego bohatera. - Wilson pociągnął łyk herbaty i wyłowił z kieszeni papierosa. Ryan odstawił filiżankę na stolik.

- Chce mi pan powiedzieć, że pozwalacie im jeździć bez eskorty policji, służby bezpieczeństwa, czy jak to się u was nazywa?

- Prawdopodobnie była to nieplanowana przejażdżka. Zresztą, bezpieczeństwo członków rodziny królewskiej to nie moja działka. Podejrzewam jednak, że ci, do których należą te sprawy, będą musieli przemyśleć kilka drobiazgów.

- Nic im się nie stało?

- Nie, zginął tylko ich kierowca. I ochroniarz z OKD, znaczy z Ochrony Korpusu Dyplomatycznego, Charlie Winston. Znałem Charliego. Zostawił żonę i czwórkę dorosłych dzieci.

Ryan nie mógł powstrzymać się od uwagi, że Rolls powinien mieć szyby ze szkła kuloodpornego. Wilson chrząknął.

- I miał. Właściwie ze sztucznego tworzywa, specjalnego poli-węglanu. Niestety nikt nie zadał sobie fatygi, żeby przeczytać, co było napisane na opakowaniu. Gwarancję wystawiono tylko na cztery lata. Okazuje się, że światło słoneczne w jakiś sposób niszczy strukturę tego tworzywa. Tak więc przednia szyba niewiele różniła się od zrobionej ze zwykłego szkła. Nasz przyjaciel McCrory władował w nią trzydzieści pocisków karabinowych. Kierowca zginął, a szyba po prostu się rozleciała. Wewnętrzna przegroda, nie narażona na działanie słońca, dzięki Bogu, zachowała swoje właściwości. Charlie zdążył jeszcze uruchomić podnoszący ją mechanizm. W pierwszej fazie zamachu to właśnie ocaliło życie pasażerom, chociaż Charliemu nic już nie mogło pomóc. Miał dość czasu, żeby wyciągnąć pistolet, ale później był bez szans, nawet nie strzelił.

Raz jeszcze Ryan przypomniał sobie tamtą scenę. Przód Rollsa był zachlapany krwią i nie tylko krwią. Głowa kierowcy została strzaskana wybuchem, a jego mózg rozprysnął się po szybie oddzielającej go od przedziału dla pasażerów. Jack wzdrygnął się na to wspomnienie. Ochroniarz prawdopodobnie pochylił się, żeby wcisnąć guzik. Nie myślał o własnym bezpieczeństwie... Ano, za to im w końcu płacą. Co za koszmarny sposób zarabiania na życie!

- Wkroczył pan niemal w ostatnim momencie. Wie pan, że obaj mieli granaty?

- Tak, zauważyłem. - Ryan wysączył z filiżanki resztkę herbaty. - Za cholerę nie wiem, o czym wtedy myślałem. - Wcale nie myślałeś, Jack. I w tym cały problem, pomyślał.

- Dobrze się pan czuje? - zatroskała się siostra Kittywake, widząc, że pacjent dziwnie pobladł.

- Chyba tak - mruknął Ryan, ciągle jednak nie mogąc przyjść do siebie. - Po tak idiotycznym numerze, muszę się czuć dobrze. Właściwie powinienem być trupem.

- No, w każdym razie tu nic panu nie grozi. - Poklepała go po ręku. - Proszę zadzwonić, jeśli będzie pan czegoś potrzebował. - Obdarzyła go jeszcze jednym promiennym uśmiechem i wyszła.

Ryan nadal nie mógł się uspokoić.

- Ten trzeci uciekł? Wilson skinął głową.

- Kilka przecznic dalej, koło stacji metra, znaleźliśmy samochód. Kradziony, oczywiście. Facet wymknął się bez trudu. Wsiadł do metra, potem pewnie pojechał na Heathrow i złapał samolot na kontynent. Na przykład do Brukseli, stamtąd do Ulsteru albo do Republiki i dalej samochodem. To zresztą tylko jedna z możliwych tras. Jest ich więcej i nie da się wszystkich obstawić. Wczoraj wieczorem ten typ najprawdopodobniej pił piwo w swoim ulubionym pubie, oglądając w telewizji doniesienia z Londynu. Przyjrzał mu się pan?

- Nie, widziałem tylko z grubsza jego sylwetkę. Nie spojrzałem nawet na numer rejestracyjny. Co za osioł ze mnie. Zresztą zaraz nadbiegł ten żołnierz w czerwonym wdzianku. - Ryan znów się wzdrygnął. - Jezu, myślałem że już po mnie, że jak nic nadzieje mnie na ten swój nóż rzeźnicki.

Wilson roześmiał się.

- Żeby pan wiedział, że miał pan szczęście. Wartę pałacową wystawia walijski pułk gwardii.

- I co?

- To w pewnym sensie pułk Jego Wysokości Księcia Walii. Jest jego honorowym dowódcą. Co miał sobie pomyśleć ten żołnierz, widząc pana z pistoletem w miejscu zamachu. - Wilson zgasił papierosa. - I znowu miał pan szczęście, że nadbiegły pańska żona i córka. Żołnierz postanowił chwilę poczekać i przez ten czas sytuacja nieco się wyjaśniła. Potem zjawił się ktoś od nas i uspokoił chłopaka. Zresztą, naszych zwała się tam wkrótce prawie setka. Niech pan spróbuje to sobie wyobrazić. Przyjeżdżamy, a tam trzy trupy, dwójka rannych, księżę i księżna, jak sądziliśmy, zastrzeleni. Nawiasem mówiąc, zanim przybyła karetka, pańska żona zbadala ich i stwierdziła, że są cali i zdrowi. Do tego jeszcze to dziecko, mrowie świadków, każdy z inną wersją tego, co się stało i jakiś cholerny Jankes, żeby było weselej, irlandzkiego pochodzenia, którego żona wrzeszczy wniebogłosy, że mąż jest cacy. - Wilson zachichotał. - Kompletny bajzel! Oczywiście najważniejszą sprawą było zapewnienie bezpieczeństwa parze księżęcej. Policja i gwardziści odwieźli ich do pałacu, prawdopodobnie tylko czekając, żeby ktoś wszedł im w drogę. Słyszałem, że byli bardzo paskudnie nastawieni, chyba bardziej wściekli niż po niedawnym zamachu w Hyde Parku. Chyba można to zrozumieć. Tak czy inaczej, pańska żona nie zgodziła się odstąpić pana na krok, dopóki nie znaleźliście się w szpitalu. Z tego co wiem, ma kobieta charakter.

- Cathy jest lekarzem, chirurgiem - wyjaśnił Ryan. - W sprawach zawodowych ma zwyczaj stawiać na swoim. Lekarze już tacy są.

- Kiedy wreszcie poczuła się spokojna o pański los, odwieźliśmy ją do Scotland Yardu. Przez ten czas trwała kołomyja z ustaleniem pańskiej tożsamości. Skontaktowano się z attache prawnym waszej ambasady i on sprawdzał pana przez FBI i dodatkowo przez departament kadr Korpusu Piechoty Morskiej.

Ryan podkradł papierosa z paczki Wilsona. Policjant pstryknął zapalniczką i podał mu ogień. Jack zakrztusił się dymem, ale miał ochotę na papierosa. Wiedział, że Cathy urwałaby mu za to głowę, ale parę dymków od czasu do czasu...

- Niech pan nie myśli, że poważnie traktowaliśmy możliwość pańskiego udziału w zamachu. Tylko wariat zabierałby na taką robotę żonę i dziecko. Niemniej trzeba być ostrożnym.

Ryan pokiwał zgodnie głową. Wypalony papieros sprawił, że czuł się trochę oszołomiony. Skąd wiedzieli, żeby sprawdzać w Korpusie... ach tak! Moja legitymacja Związku Żołnierzy Piechoty Morskiej...

- Tak czy inaczej, wszystko zostało wyjaśnione. Wasz rząd przesyła nam niezbędne informacje... a raczej pewnie już przesłał. - Wilson spojrzał na zegarek.

- Co z moją rodziną?

Wilson uśmiechnął się odrobinę zagadkowo.

- Znajdują się pod bardzo dobrą opieką, panie Ryan. Ma pan na to moje słowo.

- Jack. Na imię mi Jack.

- Przyjaciele mówią do mnie Tony. - W końcu podali sobie dłonie. - Jak więc mówiłem, jesteś teraz bohaterem jak cholera. Chcesz zobaczyć, co piszą w gazetach? - Wilson podał Ryanowi „Daily Mirror” i „Timesa”.

- Rany boskie!

Niemal całą tytułową stronę „Daily Mirror” wypełniało kolorowe, formatu mniej więcej A4 zdjęcie Ryana, który siedział nieprzytomny na jezdni, oparty o bok Rollsa, z olbrzymią, szkarłatną plamą na piersi.

ZAMACH NA CZŁONKÓW RODZINY KRÓLEWSKIEJ - AMERYKAŃSKI MARINĘ ŚPIESZY NA RATUNEK



Zuchwały zamach na życie Ich Wysokości Księcia i Księżnej Walii, który miał miejsce dzisiaj w pobliżu Pałacu Buckingham, został udaremniony dzięki odwadze amerykańskiego turysty. John Patrick Ryan, historyk i były porucznik Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, na oczach ponad stu wstrząśniętych i zaskoczonych londyńczyków, z gołymi rękami rzucił się w wir prawdziwej bitwy, jaka rozgorzała na środku The Mall. Ryan, trzydziestoletni mieszkaniec Annapolis w stanie Maryland, skutecznie obezwładnił jednego z zamachowców i z odebranej mu broni zastrzelił drugiego. W trakcie strzelaniny sam został poważnie ranny. Odwieziony do szpitala św. Tomasza, pomyślnie przeszedł operację przeprowadzoną przez Sir Charlesa Scotta.

Według posiadanych przez nas informacji, trzeci terrorysta zbiegł z miejsca zdarzenia. Widziano, jak jechał na wschód aleją Mali, skręcając następnie w Marlborough Road. Zapytani przez nas wysocy funkcjonariusze policji jednomyślnie wyrazili pogląd, że gdyby nie śmiała interwencja Ryana, zamachowcy bez wątpienia osiągnęliby swój cel.

Ryan przewrócił stronę i ujrzał drugą kolorową fotografię własnej osoby, tym razem zrobioną w przyjemniejszych okolicznościach. Było to zdjęcie z promocji w Quantico. Musiał się uśmiechnąć, patrząc na siebie, olśniewającego w granatowej kurtce z wysokim kołnierzem i naramiennikami zdobnymi dwiema lśniącymi złotem belkami, i z szablą. Uważał, że to jedna z niewielu przyzwoitych fotografii, jakie mu kiedykolwiek zrobiono.

- Skąd oni to wytrzasnęli?

- O, twoi kumple z piechoty morskiej byli bardzo skorzy do współpracy. Nawiasem mówiąc, jeden z waszych okrętów, śmigłowcowiec, czy coś takiego, cumuje właśnie w Portsmouth. Podejrzewam, że odbywa się tam teraz wielkie stawianie piwa twoim byłym kolegom.

Ryan zaśmiał się i sięgnął dla odmiany po „Timesa”. Tu nagłówki miały mniej sensacyjne brzmienie, ale tylko trochę.

Dzisiaj po południu książę i księżna Walii uniknęli niemal pewnej śmierci. Trzej, a być może czterej terroryści, uzbrojeni w granaty ręczne i karabiny Kalasznikowa zorganizowali zasadzkę na Rolls-Royce'a Ich Wysokości. Skrupulatnie przygotowany spisek zakończył się fiaskiem tylko dzięki śmiałej interwencji J. P. Ryana, byłego podporucznika Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, obecnie historyka...

Ryan przerzucił kilka stron, szukając artykułu redakcyjnego. W swoim komentarzu wydawca żądał przykładowego ukarania złoczyńców, wychwalając zarazem Ryana i Korpus Piechoty Morskiej oraz dziękował bożej opatrności, uciekając się do sformułowań godnych encykliki papieskiej.

- Czyta pan o sobie?

Ryan podniósł wzrok. Przed nim stał Sir Charles Scott z kartą choroby w dłoni.

- Pierwszy raz w życiu udało mi się trafić do gazet. - Ryan odłożył pismo.

- Najzupełniej zasłużenie. Widzę, że sen dobrze panu zrobił. Jak się pan czuje?

- W sumie nieźle. Jak pan ocenia mój stan?

- Puls i temperatura w normie... prawie w normie, kolory też już panu wracają. Przy odrobinie szczęścia, może uda nam się uniknąć infekcji pooperacyjnej, chociaż lepiej na to nie liczyć. Bardzo boli?

- Trochę, można wytrzymać - ostrożnie odparł Ryan.

- Minęły dopiero dwie godziny od podania leków. Wierzę, iż nie jest pan jednym z tych głupców, którzy odmawiają przyjmowania środków przeciwbólowych.

- Owszem, jestem. Widzi pan, doktorze, już dwukrotnie zdarzyło mi się leżeć w szpitalu. Za pierwszym razem dawano mi zbyt wiele tego świństwa, a potem... w każdym razie wolałbym tego znów nie przechodzić. Myślę, że wie pan o co mi chodzi.

Kariera Ryana w piechocie morskiej trwała zaledwie trzy miesiące i zakończyła się katastrofą śmigłowca podczas manewrów NATO u wybrzeży Krety. Z uszkodzonym kręgosłupem Jack trafił do Ośrodka Medycznego Marynarki w Bethesda pod Waszyngtonem. Tamtejsi lekarze okazali się zbyt hojni w szafowaniu środkami przeciwbólowymi. Wyjście z uzależnienia zajęło Ryanowi dwa tygodnie. Nie było to doświadczenie, które miał chęć powtórzyć.

Sir Charles ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Domyślam się. Cóż, to pańska ręka. - Wpisał coś do karty. Nim skończył, wróciła pielęgniarka. - Proszę odrobinę podnieść łóżko.

Ryan nie zorientował się dotąd, że wieszak podtrzymujący jego rękę był ruchomy. Kiedy wezglowie łóżka powędrowało do góry, ramię opadło, przyjmując znacznie wygodniejszą pozycję. Lekarz poprawił okulary i przyjrzał się dłoni pacjenta.

- Zechce pan poruszyć palcami? - Ryan spełnił jego życzenie. - Świetnie. To bardzo dobry objaw. Tak jak przypuszczałem, nerwy są nienaruszone. A teraz, doktorze Ryan, podamy panu jakiś łagodny środek przeciwbólowy. I żądam, aby przyjmował pan przepisane sobie lekarstwa. - Profesor surowym wzrokiem wpatrywał się w twarz Jacka. - Żaden z moich pacjentów nie popadł w uzależnienie od narkotyków. Panu też to nie grozi, nic takiego panu nie proponuję. Niech pan nie będzie idiotą. Ból i złe samopoczucie tylko opóźnią powrót do zdrowia. Chyba że chce pan poleżeć w szpitalu przez kilka miesięcy.

- Przyjęto do wiadomości, Sir Charles.

- W porządku. - Chirurg uśmiechnął się. - Jeśli będzie pan potrzebował czegoś mocniejszego, jestem w szpitalu cały dzień. Wystarczy wezwać pannę Kittiwake. - Twarz dziewczyny zajaśniała uśmiechem wyrażającym pełną gotowość.

- Co pan sądzi o małym co nieco?

- Będzie pan w stanie utrzymać coś w żołądku?

Jeśli nie, to panna Kittiwake z rozkoszą pomoże mi się wyrzygać, pomyślał.

- Panie doktorze, w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin zjadłem liche, kontynentalne śniadanie, kawę i bułki, a potem lekki lunch.

- Doskonale. Spróbujemy zatem czegoś lekkostrawnego. - Uczynił kolejną notatkę w karcie i zerknął na siostrę Kittiwake - jego spojrzenie mówiło: „miej na niego oko”. Skinęła głową.

- Pańska czarująca żona powiedziała mi, że jest pan dość odporny. Zobaczymy, jak to wygląda. Na razie spisuje się pan całkiem nieźle. Zawdzięcza to pan dobrej kondycji fizycznej i oczywiście moim niebywałym umiejętnościom jako chirurga. - Scott zachichotał, zadowolony z własnego dowcipu. - Po śniadaniu sanitariusz pomoże panu doprowadzić się do porządku przed wizytą bardziej... nazwijmy to, oficjalnych gości. Aha, i niech pan w najbliższym czasie nie spodziewa się zobaczyć z rodziną. Wczoraj wieczorem obie pańskie dziewczyny były bardzo wyczerpane. Dałem żonie coś, co powinno pomóc jej zasnąć. Mam nadzieję, że z tego skorzystała. Pańskie małeństwo też było okropnie zmordowane. A to, co mówiłem przedtem - Scott zrobił poważną minę - to była czysta prawda. Wszelkie zbędne dolegliwości naprawdę opóźniają powrót do zdrowia. Proszę stosować się do moich wskazówek, a za tydzień wstanie pan z łóżka. Jak dobrze pójdzie, za następny tydzień będziemy mogli pana wypisać. Ale musi pan być posłuszny.

- Rozumiem, panie profesorze. I dziękuję. Cathy powiedziała, że to co pan zrobił z moim ramieniem, to był majstersztyk.

Scott usiłował zbyć komplement wzruszeniem ramion. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Trzeba dbać o swoich gości. Wpadnę jeszcze po południu, zobaczycie jakie pan robi postępy. - Wyszedł, półgłosem udzielając pielęgniarce ostatnich instrukcji.

O 8.30 do szpitala wkroczyła policja. Wcześniej Ryan zdążył zjeść śniadanie i nieco się ogarnąć. Śniadanie okazało się wielkim niewypałem. Wilson zrywał boki, słuchając komentarzy Ryana na temat wyglądu potraw. Panna Kittiwake była jednak tak zmartwiona, że Jack czuł się w obowiązku zjeść wszystko do czysta, nawet śliwki z kompotu, do których czuł wstręt od dziecka. Dopiero potem uświadomił sobie, że jej przygnębienie było prawdopodobnie udawane i miało utrudnić mu odmowę zjedzenia tego paskudztwa. Pielęgniarki, upomniał sam siebie, to fałszywe stworzenia. O ósmej przyszedł sanitariusz, by pomóc choremu w toalecie. Trzymał lusterko przy goleniu i cmokał, ilekroć Jack się zaciął. Skończyło się na czterech skaleczeniach. Nienajgorzej, zważywszy, że Ryan golił się zawsze elektryczną maszynką i od lat nie miał do czynienia z żyłką. Tak czy inaczej o 8.30 znów czuł się i wyglądał jak człowiek. Siostra Kittiwake przyniosła mu drugą kawę. Dość podłą, to prawda, ale zawsze co kawa, to kawa.

Policjantów było trzech i chyba bardzo wysokiej rangi, sądząc po tym, jak Wilson zerwał się na ich widok i skoczył podawać krzesła. Następnie przeprosił i wyszedł.

James Owens wyglądał na najważniejszego z tej trójki. Zapytał Ryana o zdrowie na tyle uprzejmie, że chyba istotnie był tym zainteresowany. Przypomniał Jackowi jego ojca: surowy, mocno zbudowany, o wielkich, sękatych dłoniach, wskazujących na to, że doszedł do oficerskich stopni po latach służby na ulicy i wymuszaniu szacunku dla prawa nie zawsze salonowymi metodami.

Nadinspektor William Taylor był czterdziestoletnim mężczyzną, młodszym niż jego kolega z jednostki antyterrorystycznej i bardziej konwencjonalnym. Obaj policjanci nosili eleganckie garnitury i mieli podkrążone oczy po nocy nieprzerwanej pracy.

David Ashley, najmłodszy i najlepiej ubrany z całej grupy, był mniej więcej wzrostu i wagi Ryana, może pięć lat starszy. Przedstawił się jako reprezentant ministerstwa spraw wewnętrznych i robił wrażenie człowieka znacznie łagodniejszego niż dwaj pozostali.

- Czy na pewno jest pan w stanie rozmawiać z nami w tej chwili? - spytał Ryana Taylor.

Jack wzruszył ramionami.

- Nie ma sensu odkładać tego na później.

Owens wyjął z aktówki kasetowy magnetofon i ustawił na stoliku przy łóżku. Podłączył do niego dwa mikrofony, jeden skierowany w stronę Ryana, drugi ku policjantom. Wcisnął przycisk nagrywania i podał datę, godzinę i miejsce spotkania.

- Doktorze Ryan - zaczął urzędowym tonem - czy wie pan, iż niniejsze przesłuchanie jest nagrywane?

- Tak jest.

- Czy ma pan coś przeciwko temu?

- Nie. Czy mogę zadać pytanie?

- Oczywiście.

- Czy jestem o coś oskarżony? Bo jeśli tak, chciałbym skontaktować się ze swoją ambasadą i dostać adw... - Ryan czuł się bardzo niepewnie, widząc siebie w roli obiektu zainteresowania trzech tak wysokiej rangi funkcjonariuszy. Teraz aż zaniemówił słysząc chichot Ashleya. Tenże, za wyraźną zgodą pozostałych, odpowiedział na jego pytanie.

- Doktorze Ryan, chyba źle zrozumiał pan nasze intencje. Zapewniam pana, że nagrywanie niniejszej rozmowy, bynajmniej nie oznacza, że chcemy pana o cokolwiek oskarżyć. Gdybyśmy to zrobili, to ośmielał się twierdzić, że jeszcze dzisiaj moglibyśmy zacząć szukać sobie innej pracy.

Ryan, nieco uspokojony, skinął głową. Mimo wszystko nie był do końca przekonany o czystości ich intencji. Wiedział natomiast, że prawo nie zawsze działa w sposób zgodny z zasadami zdrowego rozsądku. Owens pochylił się nad żółtym notatnikiem i zaczął odczytywać pytania.

- Czy może nam pan podać swoje nazwisko i miejsce zamieszkania?

- John Patrick Ryan. Adres do korespondencji: Annapolis, Maryland. Nasz dom znajduje się w Peregrine Cliff, około piętnastu kilometrów na południe od Annapolis, nad zatoką Chesapeake.

- Czym pan się zajmuje? - Owens zaznaczył coś w swoim notatniku.

- Jestem wykładowcą historii w Akademii Marynarki USA w Annapolis. Od czasu do czasu wykładam w Akademii Sztabowej Marynarki w Newport. Sporadycznie przyjmuję od różnych firm niewielkie zlecenia na konsultacje.

- To wszystko? - Ashley uśmiechnął się przyjaźnie. Tylko czy na pewno przyjaźnie? Ryan miał wątpliwości. Zastanawiał się, ile zdołali dowiedzieć się o nim w ciągu minionych piętnastu godzin i do czego Ashley właściwie zmierzał. Nie jesteś gliną, myślał Jack. Kim więc jesteś? Bez względu na okoliczności, musiał trzymać się swojej wersji: pracował na część etatu jako konsultant Mitre Corporation.

- W jakim celu przybył pan do naszego kraju? - brzmiało kolejne pytanie Owensa.

- Na urlop. Na wakacje połączone ze zbieraniem materiałów naukowych. Gromadzę materiały do nowej książki, a Cathy po prostu potrzebowała odpoczynku. Sally nie chodzi jeszcze do szkoły, toteż celowo postanowiliśmy przyjechać teraz, poza sezonem turystycznym. - Ryan wyjął papierosa z zapomnianej przez Wilsona paczki. Ashley przypalił mu go złotą zapalniczką. - W mojej marynarce... nie wiem gdzie ona teraz jest, ale znajdzie pan w jej kieszeni listy polecające do Admiralicji i Królewskiej Wyższej Szkoły Marynarki w Dartmouth.

- Mamy te listy - odparł Owens. - Niestety są zupełnie nieczytelne. Obawiam się, że garnitur też musi pan spisać na straty. Jest cały zaplamiony krwią, a pańska żona z naszym sierżantem dopełnili dzieła zniszczenia. Kiedy zatem przybył pan do Anglii?

- Dziś mamy czwartek, prawda? A więc odlecieliśmy we wtorek wieczorem z lotniska międzynarodowego Dullesa pod Waszyngtonem. Byliśmy tutaj o siódmej trzydzieści. W hotelu zameldowaliśmy się koło dziewiętej trzydzieści, zamówiliśmy coś do jedzenia i poszliśmy spać. Latanie zawsze wytrąca mnie z równowagi... A przy tym ta zmiana czasu... Spałem jak zabity. - Nie było to całkiem prawdą, ale Ryan uważał, że nie muszą wiedzieć wszystkiego.

Owens skinął głową. Słyszeli już, dlaczego Jack nie znosi latania.

- A wczoraj?

- Wstałem chyba około siódmej. Poprosiłem o śniadanie i gazetę, zjadłem, a potem wałkonilem się do jakiejś ósmej trzydzieści. Z Cathy i Sally umówiłem się na czwartą w parku, złapałem taksówkę i pojechałem do gmachu Admiralicji. Okazało się, że to całkiem blisko, mogłem iść na piechotę. Jak mówiłem, miałem list polecający do admirała Alexandra Woodsona, szefa waszego archiwum marynarki, właściwie już na emeryturze. Zabrał mnie do jakiejś zatęchłej piwnicy, gdzie już czekało na mnie wszystko, czego szukałem. Chodziło mi o pewne zestawienia raportów, konkretnie o korespondencję między Admiralicją a admirałem Jamesem Somerville. W pierwszych miesiącach 1942 roku był on dowódcą waszej Floty Oceanu Indyjskiego. To jeden z tematów mojej książki. Tak więc kolejne trzy godziny spędziłem na odczytywaniu wyblakłych kopii meldunków i rozkazów dziennych oraz robieniu notatek.

- Na tym? - Ashley wyciągnął notebook Ryana. Ten porwał go uszczęśliwiony.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknął. - Byłem pewien, że go straciłem. -Otworzył pokrywę. Ustawił komputer na stoliku i uderzył w kilka klawiszy. - Ha! Wciąż działa!

- Co to właściwie jest? - zainteresował się Ashley. Cała trójka wstała z krzeseł, aby przyjrzeć się urządzeniu.

- To moje ukochane maleństwo - Ryan uśmiechnął się radośnie. Otwarta pokrywa odsłoniła

klawiaturę, przypominającą małą maszynę do pisania i żółty ciekłokrystaliczny ekran. Zewnętrznie całość wyglądała jak kosztowny, gruby na trzy centymetry, oprawiony w skórę notatnik. - Oglądacie panowie Cambridge Datamaster Model-C Field Computer. Produkuje je jeden z moich przyjaciół. Posiadają mikroprocesor MC-68000 i dwa megabajty stałej pamięci.

- Nie zechciałby pan nam tego przetłumaczyć? - zapytał Taylor.

- Przepraszam. To przenośny komputer. Całą robotę wykonuje w nim wzmiankowany mikroprocesor. Dwa megabajty oznaczają zdolność zapamiętywania do dwóch milionów znaków, tyle co duża książka. Ponieważ w tym przypadku jest to pamięć stała, wyłączenie komputera nie powoduje zatarcia informacji. Facet, z którym chodziłem kiedyś do szkoły, założył spółkę, gdzie składają te cudenka. Pomogłem mu zgromadzić kapitał założycielski. W domu używam komputera Apple, ten służy mi tylko w terenie.

- Domyśliliśmy się, że to jakiś komputer, ale nasi specje nie umieli go uruchomić - powiedział Ashley.

- Istnieje możliwość zabezpieczenia dostępu do zasobów komputera. Przed rozpoczęciem pracy, użytkownik wprowadza do pamięci określone hasło i uruchamia blokadę. Od tej chwili, jeśli nie poda się tego hasła, komputer nie działa i kropka.

- Coś takiego! - zdziwił się Ashley. - Jak skuteczne jest to zabezpieczenie?

- O to musiałby pan zapytać Freda. Może dałoby się odczytać informację bezpośrednio z układów pamięci. Nie wiem, na czym polega działanie komputerów. Po prostu ich używam. Tak czy inaczej, mam tu wszystkie zebrane wczoraj materiały.

- Wracając zatem do wczorajszego dnia - odezwał się Owens, obrzuciwszy Ashleya karcącym spojrzeniem. - Dojechaliśmy do południa.

- Zgadza się. Zrobiłem sobie wtedy przerwę na lunch. Facet urzędujący na parterze skierował mnie do pubu jakieś dwie przecznice dalej. Nie pamiętam nazwy tego lokalu. Zjadłem kanapkę i wypłem piwo, a przy okazji pomajstrowałem trochę w swoich notatkach. Trwało to około pół godziny. Jeszcze godzinę spędziłem w budynku Admiralicji, następnie wypisałem się u portiera i mniej więcej za piętnaście drugą wyszedłem. Podziękowałem admirałowi Woodsonowi, to bardzo porządny człowiek i złapałem taksówkę do... nie pamiętam adresu, był w jednym z moich listów. To bodajże gdzieś na północ od Regents Park. Dom admirała Rogera De Vere, który służył pod rozkazami Somerville'a. Nie zastałem go, a jego gosposia powiedziała, że musiał nagle wyjechać w związku ze śmiercią członka rodziny. Poprosiłem o przekazanie wiadomości o mojej wizycie i kolejną taksówką wróciłem do śródmieścia. Postanowiłem wysiąść kilka ulic wcześniej i resztę drogi przejść na piechotę.

- Dlaczego? - zapytał Taylor.

- Zesztywniałem od tego ciągłego siedzenia w Admiralicji, w samolocie, w taksówkach... Chciałem rozprostować kości. Normalnie co dzień biegam, bez tego czuję się nieswojo.

- Gdzie pan wysiadł? - to pytanie znów zadał Owens.

- Nie znam nazwy tej ulicy. Gdyby pokazał mi plan miasta, prawdopodobnie mógłbym ją wskazać. - Owens skinął głową, dając znak, by Ryan kontynuował. - Zanim dotarłem do parku, o mało nie przejechał mnie jeden z tych waszych piętrowych autobusów i zostałem upomniany przez policjanta, żeby nie przechodzić przez jezdnię poza pasami... - Owens zrobił zdziwioną minę i nagryzmołił coś w notesie. Najwidoczniej nie wiedzieli o tym incydencie. - U ulicznego sprzedawcy kupiłem gazetę i spotkałem się z Cathy o... jakiejś trzeciej czterdzieści. One też przyszły trochę wcześniej.

- A jak spędziła ten dzień pańska żona? - zapytał Ashley. Ryan był pewien, że mają już

wszystkie informacje na ten temat.

- Głównie chodząc po sklepach. Cathy nie po raz pierwszy jest w Londynie i lubi tu robić zakupy. Ostatnio była w Anglii trzy lata temu, na zjeździe chirurgów, ale ja nie mogłem wtedy jej towarzyszyć.

- Zostawiła pana z małym dzieckiem? - Ashley znów uśmiechnął się niewyraźnie. Ryan wyczuwał, że facet działa Owensowi na nerwy.

- Sally została u dziadków. Wtedy żyła jeszcze matka Cathy. Kończyłem właśnie studia doktorskie w Georgetown, zdawałem egzaminy, nie mogłem tego rzucić. Zrobiłem doktorat w dwa i pół roku, a ten ostatni rok to była straszna harówka, ciągła bieganina między uniwersytetem a seminariami w Ośrodku Badania Spraw Międzynarodowych i Studiów Strategicznych. Obecna wycieczka, to miały być nasze wakacje. - Ryan skrzywił się. - Pierwsze prawdziwe wakacje od miesiąca miodowego.

- Co pan robił w chwili, gdy nastąpił atak? - Owens wrócił do zasadniczego tematu rozmowy. Trójka inkwizytorów pochyliła się w krzesłach, zawisając wzrokiem na ustach przesłuchiwanego.

- Patrzyłem w całkiem innym kierunku. Rozmawialiśmy właśnie, gdzie wybierzemy się na obiad, kiedy wybuchł granat.

- Wiedział pan, że to granat?

- Owszem - skinął głową Ryan. - Wydają dość charakterystyczny dźwięk. Nie cierpię tego świństwa, ale to jedna z zabawek, którymi uczą się posługiwać w piechocie morskiej. Podobnie było z tym facetem od Kałasznikowa. W Quantico zaznajomiono nas z bronią bloku wschodniego. Miałem w ręku AK. Odgłos ich strzałów wyraźnie różni się od hałasu, jaki robi na przykład M-16. To coś, o czym dobrze wiedzieć podczas walki. Jak to się stało, że obaj nie mieli Kałasznikowów?

- Zdołaliśmy dotąd ustalić - odparł Owens - że mężczyzna, którego pan później zranił, unieruchomił samochód, wystrzeliwszy z Kałasznikowa przeciwpancerne granat nasadkowy. Potwierdzają to wyniki oględzin. Człowiek ten strzelał jednak prawdopodobnie z Kałasznikowa nowego typu, małokalibrowego AK-74. Wszystko wskazuje na to, że nie miał czasu odkręcić nasadki na lufę, umożliwiającą wyrzucanie granatów i zdecydował się sięgnąć po pistolet\*. Jak pan wie, miał też przy sobie granat ręczny. - Jack nie wiedział dotąd, że tamci posłużyli się granatem wystrzelonym z karabinka, ale nagle przypomniał sobie, że zna typ posiadanych przez nich granatów ręcznych.

\* Autor nie zadał sobie niestety trudu, by sprawdzić ten drobiazg. Nasadka do miotania granatów używana jest tylko do AK i AKM, a więc starszych wersji Kałasznikowa, kalibru 7,62 mm. Do małokalibrowego AK-74 opracowano granat nasadkowy odpalany ostrym nabojem, bez nasadki, do tej pory nie wprowadzony zresztą do produkcji. - Przeciwpancerne, zgadza się? - zapytał.

- Czyżby i na tym pan się znał? - wtrącił Ashley.

- Byłem kiedyś w wojsku, słyszał pan? To się nazywa RKG-coś tam, prawda? Jest w stanie wyrwać dziurę w lekko opancerzonym pojeździe, albo solidnie zdemolować ciężarówkę. - Skąd oni wytrzasnęli to draństwo, pomyślał Ryan. I dlaczego nie zrobili z niego użytku? Coś przegapiłeś, Jack.

- Co było potem? - rzucił Owens.

- Na początek kazałem żonie i córce położyć się na ziemi. Ruch na ulicy szybko zamarł. Podniosłem głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Dlaczego? - brzmiało pytanie Taylora.

- Nie wiem - z namysłem odparł Ryan. - Może to kwestia wyszkolenia wojskowego. Chciałem wiedzieć, co się tam, cholera, wyprawia... Możecie to nazwać głupią ciekawością. Ujrzałem jednego faceta, jak grzeje do Rollsa. Drugi podbiegł do tylnych drzwi, jakby zamierzał ustrzelić każdego, kto

spróbuję wyskoczyć ze środka. Zorientowałem się, że jeśli przesunę się trochę w lewo, będę mógł podejść bliżej. Zastłaniały mnie unieruchomione na jezdni samochody. Niespodziewanie znalazłem się około piętnastu metrów od miejsca akcji. Ten z Kałasznikowem był po drugiej stronie Rollsa, nie widział mnie. Drugi odwrócony był w moją stronę plecami. Spostrzegłem, że jest szansa i chyba po prostu z niej skorzystałem.

- Dlaczego? - Tym razem to pytanie zadał Owens.

- Ba, żebym to ja wiedział. Ale nie wiem. - Ryan milczał przez dobre pół minuty. - Byłem wściekły. Spotykałem tu dotąd samych sympatycznych ludzi i nagle widzę, jak dwóch skurwieli morduje kogoś na moich oczach.

- Domyślał się pan, kim oni są?

- Do tego nie trzeba zbyt wiele wyobraźni, prawda? Tym bardziej czułem się wkurzony. Myślę, że to było to, złość. Może ta sama złość, która kieruje człowiekiem na polu walki. Muszę się jeszcze nad tym zastanowić. Tak czy inaczej, pojawiła się szansa, więc zaryzykowałem. To było łatwe, a ja miałem ponadto dużo szczęścia. - Owens uniósł brwi. Skromność takiego stwierdzenia zrobiła na nim wrażenie. - Facet z pistoletem był idiotą. Zamiast gapić się bez przerwy na obiekt ataku, powinien pilnować pleców. Kompletny dureń. Zawsze pamiętaj o tyłach. Całkowicie go zaskoczyłem. - Ryan wyszczerzył zęby w nieco złośliwym uśmiechu. - Mój trener byłby ze mnie dumny. Rozłożyłem faceta jak się patrzy, tyle że powinienem mieć na sobie ochraniacze, bo jak twierdzi lekarz, coś sobie przy tym złamałem. Klapnął na ziemię, wziąłem jego pistolet i postrzeliłem go... Chcecie pewnie wiedzieć, dlaczego to zrobiłem?

- Tak - odrzekł Owens.

- Nie chciałem, żeby wstał.

- Był nieprzytomny. Ocknął się dopiero po dwóch godzinach i to z paskudnym wstrząsem mózgu. Gdybym wiedział, że ma granat, nie strzelałbym mu w tyłek, pomyślał Jack.

- Skąd miałem o tym wiedzieć? - Ryan starał się logicznie wyklądać swoje racje. - Zamierzałem wziąć się za gościa z karabinem w garści i nie chciałem mieć nikogo za plecami. Musiałem go wyeliminować. Mógłbym strzelić mu w tył głowy. W Quantico, kiedy mówi się „wyeliminować”, to znaczy „zabić”. Mój ojciec był gliniarzem. Większość tego, co wiem o metodach policyjnych, pochodzi z telewizji. Mam jednak świadomość, że to w większości bzdury. Wtedy wiedziałem tylko, że nie mogę dopuścić do tego, żeby ten facet zaatakował mnie od tyłu. Nie jestem specjalnie dumny z tego, co zrobiłem, ale w tamtej chwili nie miałem lepszych pomysłów. Wyszedłem z prawej strony zza samochodu i kiedy się rozejrzałem, okazało się, że ten drugi strzela z pistoletu. Wilson wytłumaczył mi, dlaczego... Znów miałem szczęście. Nie zwariowałem do tego stopnia, żeby z gównianym pistolecikiem porywać się na faceta z Kałasznikowem. Zobaczył mnie i wystrzeliliśmy obaj mniej więcej w tym samym momencie. Ale wychodzi na to, że mój strzał był celniejszy. - Ryan umilkł. To co mówił, brzmiało inaczej niż zamierzał. Czy tak właśnie było? Jeśli ty nie pamiętasz, to kto? Wiedział z doświadczenia, że w sytuacjach ekstremalnych czas kurczy się i zarazem zwalnia. To też wprowadza w błąd ludzką pamięć. Czy mogłem zrobić coś innego? Pokręcił głową.

- Nie wiem - odezwał się znowu. - Może powinienem rozegrać to inaczej? Może trzeba było zawołać „rzucić broń” albo „nie ruszać się”, tak jak to pokazują w telewizji... Tylko że ja nie miałem czasu. Wszystko działo się jednocześnie. On albo ja. To jasne. Człowiek... człowiek nie zastanawia się, kiedy musi podjąć decyzję w ciągu pół sekundy. Myślę, że działają wtedy odruchy wyniesione ze szkolenia i instynkt. Jedyne szkolenie jakie przeszedłem, to była służba w piechocie morskiej. Tam nie uczą, jak dokonywać aresztowań... Rany boskie! Nie chciałem nikogo zabić! Po prostu w pewnym momencie nie miałem wyboru. - Ryan urwał, by po chwili milczenia mówić dalej. - Dlaczego on nie

zrezygnował... nie uciekł, wszystko jedno! Widział, że jest mój. Musiał wiedzieć, że nie ma szans. - Ryan opadł na poduszkę. Konieczność sformułowania swoich wspomnień, jakby cofnęła go do tamtych wydarzeń. Zabiłeś człowieka, Jack. Jak by na to patrzeć, zabiłeś. On też działał instynktownie, czyż nie? Ale ty okazałeś się sprawniejszy... Dlaczego więc czujesz się tak podle?

- Doktorze Ryan - spokojnie powiedział Owens. - Wszyscy trzej uczestniczyliśmy w przesłuchaniu sześciu świadków, z których każdy dokładnie widział całe zdarzenie. Mając w pamięci ich zeznania, mogę stwierdzić, że przedstawił nam pan okoliczności owego zdarzenia z godną podziwu bezstronnością. Po zapoznaniu się z dostępnymi faktami uważam, uważamy, że działał pan w warunkach stanu wyższej konieczności. Jest dla nas rzeczą oczywistą, o ile w tego rodzaju sprawach w ogóle istnieją jakieś oczywistości, że zrobił pan dokładnie to, co należało. A jeśli chodzi o drugi strzał, bo to chyba nie daje panu spokoju, był on już bez znaczenia. Pierwsza kula trafiła prosto w serce.

Jack skinął głową.

- Tak, tak mi się zdawało. Strzeliłem drugi raz całkiem bezwiednie, moja ręka zadziałała jak automat. Broń w dół i trach! Żadnej myśli... Swoją drogą, interesujące, jak działa ludzki umysł w takiej sytuacji. Jedna jego część kieruje działaniem a inna obserwuje, zbiera informacje i podejmuje decyzje. Ta część „obserwująca” widziała, że pierwszy pocisk trafił dokładnie w cel, ale druga kazała kontynuować akcję, dopóki facet nie znalazł się na ziemi. Niewykluczone, że próbowałbym strzelić jeszcze raz, ale zabrakło naboju.

- Trzeba przyznać, że w piechocie morskiej nauczyli pana świetnie strzelać - zauważył Taylor.

Ryan pokręcił głową.

- To ojciec mnie nauczył, jeszcze w dzieciństwie. W Korpusie nie przywiązuje się teraz wielkiej wagi do pistoletów, noszone są właściwie tylko na pokaz. Jeśli przeciwnik znajdzie się na odległość strzału pistoletowego, to znaczy, że pora wiać. Tam używałem karabinu. A zresztą, facet był raptem pięć metrów ode mnie. - Owens znowu pochylił się nad swoim notatnikiem. - Samochód blokujący ulicę odjechał kilka sekund później. Nie przyjrzałem mu się zbyt dokładnie. Kierowcą mógł być mężczyzna albo kobieta. Śmignął w głąb alei, potem skręcił i zniknął mi z oczu.

- To była jedna z londyńskich taksówek, zauważył pan? Ryan zamrugnął zdziwiony.

- Faktycznie! Zupełnie to do mnie nie dotarło. Co za gamoń ze mnie! Cholera, jeździ ich po mieście chyba z milion. Nic dziwnego, że posłużyli się jedną z nich.

- Żeby być ścisłym: osiem tysięcy sześćset siedemdziesiąt dziewięć - wtrącił Owens. - Z tego pięć tysięcy dziewięćset dziewiętnaście pomalowanych na czarno.

Na Ryana spłynęło nagle olśnienie.

- Proszę mi powiedzieć, czy to była próba zabójstwa, czy też chodziło o uprowadzenie?

- Nie jesteśmy pewni. Może pana zainteresuje fakt, że Sinn Fein

(dosł. irl. My sami) - irlandzki ruch nacjonalistyczny, zorganizowany w partię polityczną w 1905 roku przez Arthura Griffitha. Odłam tej partii, Sinn Fein - Provisional (Tymczasowa) jest politycznym reprezentantem zdelegalizowanej w 1936 roku IRA], polityczna reprezentacja PIRA, w swoim oświadczeniu zdecydowanie odcina się od tej akcji.

- Wierzycie im? - spytał Ryan. Ciągłe lekko oszołomiony lekami przeciwbólowymi zupełnie nie zauważył, że Taylor zręcznie wykręcił się od odpowiedzi na jego pytanie.

- Tak, skłonni jesteśmy uwierzyć. Nawet Tymczasowi nie są w końcu szaleńcami. Za wyczyn tego rodzaju płaci się zbyt wysoką cenę i w sensie politycznym, i dosłownie. Odczuli to po zabójstwie lorda Mountbattena, choć to nawet nie była sprawka PIRA, tylko INLA (Irish National Liberation Army - Irlandzka Armia Narodowo-Wyzwoleńcza. Zbrojne ramię irlandzkiej



trockistowskiej Partii Republikańsko-Socjalistycznej]. Mimo to stracili mnóstwo pieniędzy, kiedy odsunęła się od nich część amerykańskich sympatyków.

- Sądząc po tym, co piszą w gazetach, obywatele Wielkiej Brytanii...

- Poddani Jej Królewskiej Mości - poprawił Ashley.

- Wszystko jedno, ludzie są tą sprawą mocno poruszeni.

- Istotnie, ma pan rację. Jest rzeczą godną uwagi, że terroryści zawsze potrafią znaleźć sposób wstrząśnięcia opinią publiczną, choćby nie wiem jakie potworności miały miejsce wcześniej - powiedział Owens. Jak przystało na zawodowca, mówił absolutnie rzeczowym, wypranym z emocji głosem, ale Ryan czuł, że dowódca jednostki antyterrorystycznej najchętniej urwałby głowę pozostałemu przy życiu terroryście gołymi rękami. Wyglądały na wystarczająco silne, by temu podołać. - Co zatem wydarzyło się później?

- Upewniłem się, że ten, do którego strzelałem, ten drugi, nie żyje. Potem obejrzałem samochód. Kierowca... no cóż, wiecie co się stało z nim i funkcjonariuszem ochrony. To był któryś z pańskich ludzi, panie Owens?

- Charlie był moim przyjacielem. Trzy lata temu został odkomenderowany do ochrony członków rodziny królewskiej... - Owens mówił tak, jakby jego przyjaciel ciągle żył. Ryan zastanawiał się, czy kiedykolwiek pracowali razem. Wiedział, że wspólna służba rodzi między policjantami szczególnie silne więzi.

- Resztę panowie znacie. Mam nadzieję, że ten gwardzista zebrał należne mu pochwały. Dzięki Bogu, że nie działał bez zastanowienia... Gdyby przedziurawił mnie tym swoim bagnetem powstałaby sytuacja wysoce niezręczna dla wszystkich. Owens chrząknął.

- Niewątpliwie - zgodził się.

- Czy jego karabin był nabity? - spytał Ryan.

- Gdyby był nabity - odparł Ashley - to by strzelał, prawda?

- Zatłoczona ulica to nie jest dobre miejsce do strzelania z karabinu o dużej mocy, nawet jeśli jest się pewnym trafienia - odrzekł Ryan. - A więc był nabity, czy nie?

- Nie możemy dyskutować na temat praktyki służby wartowniczej. To kwestia bezpieczeństwa - oznajmił Owens.

Czyli był nabity, domyślił się Ryan.

- A w ogóle, skąd on się tam, do cholery, znalazł? Pałac jest daleko.

- Z Clarence House. To ten biały budynek, przylegający do St. James Pałace. Terroryści źle wybrali czas, czy może miejsce zamachu. Przy południowo-zachodnim rogu Clarence House jest posterunek straży. Wartownicy zmieniają się co dwie godziny. W chwili zamachu miała właśnie miejsce zmiana warty, a to znaczy, że było tam wówczas czterech żołnierzy, a nie jeden. Policjanci pełniący służbę przed pałacem usłyszeli wybuch i odgłos strzałów z broni automatycznej. Dowodzący nimi sierżant pobiegł do bramy zobaczyć co się dzieje i zawołał jednego z wartowników.

- Tylko on jeden słyszał odgłosy strzelaniny, tak? W jaki więc sposób reszta policjantów zjawiała się tak szybko?

- To zasługa Charliego Winstona - odparł Owens. - Rolls księcia miał elektroniczny alarm... Niech pan raczej o tym nikomu nie opowiada. To postawiło na nogi dowództwo policji. Sierżant Price działał na własną rękę. Nie miał szczęścia, bo wezwany przez niego gwardzista był plotkarzem, ten chłopak uprawiał wyczynowo lekką atletykę, więc bez trudu przeskoczył ogrodzenie stojące im na drodze. Price próbował iść w jego ślady, ale przewrócił się i złamał sobie nos. Te kilka chwil, kiedy starał się dogonić gwardzistę i jednocześnie wysłać przez radiotelefon sygnał

zagrożenia, śnić mu się będzie po nocach.

- Ano, cieszę się, że zdążył na czas. Ten żołnierz wystraszył mnie jak cholera. Mam nadzieję, że sierżant też został odpowiednio nagrodzony.

- Na początek udekorowany został Królewskim Medalem Policyjnym. Jej Królewska Mość przekazała mu osobiste podziękowanie - powiedział Ashley. - Jedna rzecz wydaje nam się dziwna, doktorze Ryan. Opuścił pan wojsko z powodu fizycznej niezdolności do służby, a tymczasem wczoraj działał pan jak człowiek najzupełniej sprawny.

- Po odejściu z Korpusu podjąłem pracę maklera giełdowego. Wyrobiłem sobie całkiem niezłą markę. Pewnego razu przyszedł do mnie ojciec Cathy, rozmawialiśmy o interesach. Wtedy właśnie poznałem swoją przyszłą żonę. Odrzuciłem propozycję przeniesienia się do Nowego Jorku, ale okazało się, że Cathy i ja świetnie się ze sobą zgadzamy. Ani się obejrzałem, jak byliśmy zaręczeni. Nosilem wtedy gorset, bo kręgosłup dość często dawał mi się we znaki. Otóż wkrótce po naszych zaręczynach zdarzyło się, że Cathy zabrała mnie do szpitala Johna Hopkinsa. Chciała, żeby mnie obejrzał jeden z jej nauczycieli, Stanley Rabinowitz, profesor neurochirurgii u Hopkinsa. Przez trzy dni maglował mnie najróżniejszymi badaniami, aż w końcu powiedział, że jest w stanie sprawić, iż mój kręgosłup będzie jak nowy. Okazało się, że lekarze z Bethesda niewłaściwie zinterpretowali wyniki mielografii. Nie mam do nich pretensji, byli młodzi i pełni najlepszych chęci, a w końcu Stan jest jednym z najlepszych w tym fachu. Dotrzymał obietnicy. Zrobił mi operację i dwa miesiące później rzeczywiście byłem jak nowy. Oto cała historia kręgosłupa Jacka Ryana. Niejako na marginesie tej historii muszę dodać, że w trakcie leczenia zakochałem się w pięknej dziewczynie, która studiowała wówczas medycynę, zamierzając zostać chirurgiem.

- Pańska małżonka jest niewątpliwie wszechstronnie uzdolnioną i kompetentną niewiastą - przyznał Owens.

- A wy uznaliście ją za jędzę - zauważył Ryan.

- Nie, w żadnym wypadku, panie Ryan. W sytuacjach kryzysowych nikt nie wypada zbyt dobrze. Mimo wszystko pańska żona z własnej woli zbadła tam na miejscu Ich Wysokości, oddając nam tym samym wielką przysługę. Nie chciała pana opuścić, dopóki nie znalazł się pan pod opieką lekarską, trudno mieć jej to za złe. Przypuszczam, że nasze zabiegi zmierzające do ustalenia państwa tożsamości uznała za nieco przewlekłe. Była zmęczona i oczywiście bała się o pana. Może powinniśmy załatwić to wszystko szybciej...

- Nie musi się pan usprawiedliwiać, panie Owens. Mój ojciec był policjantem, wiem jak to jest. Rozumiem, że mogliście mieć kłopoty z uzyskaniem wiarygodnych informacji na nasz temat.

- Zajęło nam to ponad trzy godziny... Wszystko przez tę różnicę czasu. W pańskiej marynarce znaleźliśmy paszport i prawo jazdy. Szczęśliwie oba te dokumenty zaopatrzone są w zdjęcie. Z attache prawnym waszej ambasady skontaktowaliśmy się tuż przed piątą. W Ameryce było wtedy południe, wie pan, pora lunchu. Attache zadzwonił do placówki FBI w Baltimore, ci zaś połączyli się ze swoim biurem w Annapolis. W takich przypadkach obowiązuje rutynowa procedura identyfikacyjna. Na początek musieli znaleźć w Akademii kilku gości, którzy znali pana osobiście, wiedzieli coś o pańskiej przeszłości i tak dalej. Następnie odszukali biuro podróży, które załatwiało panu rezerwację miejsc w samolocie i w hotelu. Jednocześnie wysłali człowieka do biura rejestracji pojazdów. Spora część pracowników tych instytucji była akurat nieobecna, wyszli na lunch i przez to straciliśmy, ostrożnie licząc, dobrą godzinę. Attache wysłał w tym czasie prośbę o informacje do pańskiej jednostki piechoty morskiej. W sumie, minęły trzy godziny i mieliśmy komplet pańskich danych, włącznie z odciskami palców. Dla porównania zdjęliśmy odciski z należących do pana dokumentów i rejestru hotelowego; oczywiście pasowały do tych zawartych w aktach wojskowych.

- Trzy godziny... Nieźle. - W Anglii pora obiadowa, u nas przerwa na lunch, a mimo to załatwili wszystko w trzy godziny. Cholera.

- Przez ten czas zdążyliśmy kilkakrotnie przesłuchać pańską żonę. Chcieliśmy się upewnić, że opowiedziała wszystko, co zdołała zauważyć...

- A ona za każdym razem mówiła wam dokładnie to samo, zgadza się? - zapytał Ryan.

- Jak najbardziej. - Owens uśmiechnął się. - Muszę przyznać, że to dość niezwykle.

- Nie zna pan Cathy. W pewnych sprawach, a zwłaszcza dotyczących medycyny, działa jak komputer. Dziwne, że nie wręczyła wam kasety ze zdjęciami.

- Ale wspomniała o tym - odparł Owens. - Zdjęcia zamieszczone w gazetach zrobił przy użyciu teleobiektywu jakiś japoński turysta, który znajdował się pół przecznicy od miejsca zamachu. Zawsze, kiedy coś się dzieje, znajdzie się w pobliżu japoński turysta z aparatem. To już zaczyna być nudne, nie sądzi pan? A przy okazji, w Korpusie Piechoty Morskiej mają o panu bardzo wysokie mniemanie. - Owens zajrzał do notatnika. - W Quantico dorównywał pan najlepszym ze swojego rocznika, ocena przydatności do służby najlepsza z możliwych.

- Tak więc nabraliście pewności, że nie jestem czarnym charakterem.

- Byliśmy o tym przekonani od pierwszej chwili - odrzekł Taylor. - Ale w poważnych sprawach kryminalnych nie może być miejsca na żadne niejasności. A ta konkretnie sprawa należy do szczególnie skomplikowanych.

- Jest pewien drobiazg, który nie daje mi spokoju - z namysłem zaczął Jack. Drobiazgowych tych było znacznie więcej, ale jego umysł pracował zbyt wolno, by ogarnąć je wszystkie naraz.

- Co takiego? - zapytał Owens.

- Co oni... znaczy, co członkowie rodziny królewskiej robili, cholera, na ulicy, z jednym tylko ochroniarzem... Zaraz, zaraz... - Ryan pochylił głowę na ramię i po chwili podjął przerwany wątek, stopniowo porządkując rozbiegane myśli. - To była planowana zasadzka. Ofiary i zamachowcy nie wpadli na siebie przypadkiem. Ktoś to musiał przygotować. Trzeba było zaatakować konkretny samochód, w ruchu, w konkretnym miejscu. W tę imprezę było zaangażowanych więcej osób, prawda? - Odpowiedzią na pytanie Jacka było milczenie. Bardzo wymowne milczenie. - Musieli mieć kogoś z radiem, kogoś, kto ich zawiadomił, że Rolls wyjeżdża z pałacu, podał trasę przejazdu i dokładny czas dotarcia do miejsca ataku. Nie załatwiało to wszystkiego, bo trzeba uwzględnić tak zmienny czynnik, jakim jest natężenie ruchu ulicznego, ale...

- I powiada pan, że jest pan po prostu historykiem, tak? - wtrącił Ashley.

- W piechocie morskiej uczą, jak przygotować zasadzkę. Jeśli akcja dotyczy określonego celu to, po pierwsze, gromadzi się wszelkie dostępne informacje na jego temat. Dalej wybiera się teren działania i wreszcie wystawia się czujki, informujące o pojawieniu się obiektu. To podstawowe zasady. Ale dlaczego tam... dlaczego St. James Park, The Mall? - Terrorysta jest zwierzęciem politycznym. Wybór celu i miejsce akcji służy właśnie celom politycznym, dumął Ryan. - Nie otrzymałem odpowiedzi na poprzednie pytanie: morderstwo czy porwanie?

- Nie zdołaliśmy tego ustalić - odparł Owens.

Ryan w milczeniu spoglądał na swoich gości. Czuł, że poruszył drażliwą kwestię.

Unieruchomili samochód granatem przeciwpancernym wystrzelonym z Kałasznikowa. Obaj mieli przy sobie granaty ręczne. Gdyby chcieli po prostu zabić, to tym granatom nie oparłaby się kuloodporna przegroda w samochodzie. Po co więc w ogóle strzelali? Nie, jeśli planowaliby zabójstwo, nie guzdraliby się tak długo. Kręci pan, panie Owens. To była bez wątpienia próba porwania i pan o tym wie.

- Pozostaje jeszcze pytanie, dlaczego w samochodzie był tylko jeden funkcjonariusz ochrony.

Powinniście lepiej dbać o bezpieczeństwo takich ludzi. - Zaraz, jak to powiedział Tony? Nieplanowana przejażdżka? Pierwszym warunkiem zorganizowania skutecznej zasadzki, jest wywiad... To prawie oskarżenie... Nie możesz dalej pchać się w tę sprawę, idioto, pomyślał Ryan. Wątpliwości Jacka rozstrzygnął dowódca C-13.

- Sądzę, że omówiliśmy najważniejsze kwestie. Prawdopodobnie odwiedzimy pana jeszcze raz jutro.

- Co z terrorystami... to znaczy, z tym rannym?

- Nie jest specjalnie chętny do współpracy. Nie chce nic powiedzieć, nawet nie podał nam swojego nazwiska. Ale z nimi tak zawsze. Dopiero kilka godzin temu udało nam się go zidentyfikować.

Nie notowany, jego nazwisko pojawiło się w związku z dwiema drobnymi sprawami, podejrzenie o współudział, nic więcej. Szybko wraca do zdrowia i za jakieś trzy tygodnie zostanie postawiony przed sądem. Sprawy tego rodzaju należą do kompetencji izby karnej sądu najwyższego. Ława przysięgłych złożona z dwunastu porządnych ludzi uzna go oczywiście za winnego, a sąd skáže na spędzenie reszty życia w dobrze strzeżonym więzieniu.

- Już za trzy tygodnie? - zdziwił się Ryan.

- Materiał dowodowy nie budzi żadnych wątpliwości - oznajmił Owens. - Mamy zrobione przez naszego Japończyka trzy fotografie, na których facet stoi z pistoletem obok samochodu. Do tego dziewięciu naocznych świadków. Nie będziemy się cackać z tym gówniarzem.

- I nie obędzie się pewnie bez mojej obecności.

- Oczywiście. Pan jest naszym głównym świadkiem, panie doktorze. Formalność, ale z gatunku tych nie do uniknięcia. W każdym razie nie będzie żadnego powoływania się na niepoczytalność oskarżonego, jak w przypadku gościa, który próbował zabić waszego prezydenta. Ten typ ukończył z wyróżnieniem uniwersytet i pochodzi z dobrej rodziny.

Ryan pokręcił głową.

- Czy to nie okropne? Ale z takich właśnie środowisk wywodzą się ci najgorsi.

- Wie pan coś o terrorystach? - spytał Ashley.

- Tyle co przeczytałem - szybko odparł Ryan. Błąd, Jack! Postaraj się go szybko zatuszować. - Wilson powiedział, że ULA to maoiści.

- Zgadza się - powiedział Taylor.

- Toż to zupełny idiotyzm. Nawet Chińczycy nie są już maoistami, przynajmniej ostatnio nie byli.

Aha... Co z moją żoną i córką?

Ashley roześmiał się.

- Spodziewałem się tego pytania wcześniej, doktorze Ryan. Nie bardzo mogliśmy zostawić je same w hotelu, prawda? Zorganizowano więc przeprowadzkę do możliwie najbezpieczniejszego lokum.

- Nie ma powodu do obaw - wtrącił Owens. - Są całkowicie bezpieczne. Ręczę za to słowem.

- A konkretnie, gdzie teraz są? - chciał wiedzieć Ryan.

- Obawiam się, że to tajemnica. Ze względów bezpieczeństwa - odpowiedział Ashley. Na twarzach trójki inkwizytorów pojawił się wyraz rozbawienia. Owens spojrział na zegarek.

- No cóż - powiedział, wyłączając magnetofon - nie będziemy pana dzisiaj więcej męczyć. W końcu wczoraj przeszedł pan poważną operację. Prawdopodobnie jeszcze się spotkamy, jakieś pomniejsze szczegóły mogą wymagać wyjaśnienia. A teraz, panie doktorze, chciałbym podziękować w imieniu policji, za wszystko, co pan dla nas zrobił.

- Jak długo zostanie przy mnie pan Wilson?

- Dokąd to będzie konieczne. Ci z ULA mogą mieć panu to i owo za złe - odrzekł Owens. - Mielibyśmy się z pyszna, gdyby wyszło na jaw, że chcieli się do pana dobrać i zastali go bez ochrony. Osobiście nie uważam tego za prawdopodobne, ale ostrożność nie zawadzi.

- Jakoś wytrzymam. - Ryan nie zamierzał protestować. Już łatwiejszego celu tamci nie mogliby sobie znaleźć. Byle trzecioklasista mógłby go teraz załatwić patykiem do lodów.

- Jeszcze jedno, panie Ryan. Prasa zaczyna się niecierpliwić. Chcieliby się z panem zobaczyć - powiedział Taylor.

- Jasne, nie mogę się doczekać. - Jeszcze tego mi brakowało, pomyślał Ryan. - Nie moglibyście trzymać ich z dala ode mnie?

- Nie ma problemu - zgodził się Owens. - Zawsze można powiedzieć, że stan pańskiego zdrowia wyklucza na razie wszelkie wizyty. Ale to pana nie minie. Lepiej się z tym pogodzić. Jest pan teraz poniekąd osobą publiczną.

- Cholerny świat! - burknął Ryan. - Wcale nie przepadam za popularnością. - To trzeba było siedzieć za tym drzewem, głąbie! Po coś pchał nos w nie swoje sprawy?

- Zna pan dziennikarzy. W nieskończoność nie może pan im odmawiać - próbował perswadować Taylor.

Jack westchnął głęboko.

- Ma pan rację. Oczywiście. Ale nie dzisiaj. Mogą poczekać do jutra.

- Niech sprawa trochę przycichnie, pomyślał niezbyt rozsądnie.

- Nie każdy może wiecznie pozostawać w cieniu, doktorze Ryan

- stwierdził Ashley. Wstał, pozostali poszli za jego przykładem. Ryan miał już pewność, że Ashley nie jest gliniarzem. Wyczuwał w nim agenta. Wywiad? Kontrwywiad?

Kiedy wyszli, w pokoju znowu pojawił się Wilson. O krok za nim śpieszyła siostra Kittiwake.

- Bardzo pana wymęczyli? - spytała.

- Chyba przeżyję - mruknął Ryan. Na wszelki wypadek pielęgniarka wetknęła mu w usta termometr.

Czterdzieści minut po wyjściu policjantów, Ryan w najlepsze stukał klawiszami swojej elektronicznej zabawki, szkicując pierwszą wersję komentarza do świeżo zgromadzonych informacji. Cathy Ryan stale (i najzupełniej zasadnie) uskarżała się, że kiedy mąż zasiada do czytania, albo, co gorsza, do pisania, to nic, choćby koniec świata, nie jest w stanie odwrócić jego uwagi od komputera. W stwierdzeniu tym kryła się część prawdy. Kiedy więc Wilson zerwał się z krzesła i stanął na baczność, Jack zauważył to kątem oka, ale nie podniósł wzroku, dopóki nie dojechał do końca akapitu. Spojrzał wreszcie przed siebie, by stwierdzić, że jego nowymi gośćmi są Jej Królewska Mość Królowa Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej z małżonkiem, księciem Edynburga. W pierwszej chwili Ryan zaklął w duchu, zły, że nikt go nie uprzedził. Następnie pomyślał, że musi wyglądać bardzo śmiesznie, z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Dzień dobry, doktorze Ryan - uprzejmie odezwała się królowa. - Jak się pan czuje?

- E... całkiem dobrze, dziękuję... yy... Wasza Królewska Mość. Zechce... ee... pani usiąść? - Ryan spróbował przyjąć nieco bardziej godną postawę, ale powstrzymał go nagły ból w ramieniu. Pomogło mu to zebrać myśli i przypomniało, że zbliża się pora przyjęcia leków.

- Nie chcielibyśmy się narzucać - powiedziała królowa. Ryan czuł, że nie ma także zamiaru zbyt szybko wychodzić. Pośpiesznie sformułował odpowiedź:

- Wasza Królewska Mość, wizyta głowy państwa to dla mnie zaszczyt. Jestem ogromnie wdzięczny, że mogę panią gościć. - Wilson pognął po krzesła, a kiedy goście usiedli, wymknął się na korytarz.

Królowa miała na sobie brzoskwinowy kostium, którego wykwintna prostota kazała domyślać się ceny stanowiącej znaczącą pozycję nawet w jej budżecie. Książę był w granatowym garniturze i Ryan dopiero teraz zrozumiał, dlaczego jego żona nalegała, aby sprawił sobie w Anglii kilka ubrań.

- Doktorze Ryan - oficjalnym tonem powiedziała królowa - w imieniu naszym i naszych poddanych chcemy złożyć panu wyrazy najgłębszej wdzięczności za pański wczorajszy czyn. Jesteśmy pana wielkimi dłużnikami.

Ryan z powagą skinął głową. Zastanawiał się, czy wygląda bardzo okropnie.

- Co do mnie, cieszę się, że mogłem być pomocny. Tylko że, prawdę mówiąc, ja niczego wielkiego nie dokonałem. Każdy mógł zrobić to samo. Tak się złożyło, że byłem najbliżej.

- Policja jest innego zdania - zauważył książę. - A po oględzinach miejsca zdarzenia, skłonny jestem się z nimi zgodzić. Obawiam się, że jest pan bohaterem, czy to się panu podoba, czy nie. - Jack przypomniał sobie, że ten człowiek był kiedyś etatowym oficerem marynarki, prawdopodobnie dobrym w swoim fachu. Na takiego zresztą wyglądał.

- Dlaczego pan to zrobił, doktorze Ryan? - zapytała królowa, badawczo przyglądając się jego twarzy.

Jack nie był pewien, czy dwuznaczność tego pytania była zamierzona.

- Przepraszam, ale czy pyta pani, dlaczego ja to zrobiłem, dlaczego zaryzykowałem, czy też dlaczego zrobił to Amerykanin pochodzenia irlandzkiego?

Jeśli chciał uczciwie potraktować to pytanie, musiał najpierw odpowiedzieć na nie sam sobie. Dlaczego to zrobiłeś, Jack? Czy kiedykolwiek będziesz wiedział? Czuł, że dobrze odgadł intencje królowej.

- Wasza Królewska Mość - ciągnął pośpiesznie - nie mogę wypowiadać się na temat problemu irlandzkiego. Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych, a my mamy dość własnych kłopotów, bez zagłębiania się w cudze sprawy. Tam, skąd pochodzę, my, to znaczy Amerykanie pochodzenia irlandzkiego, wypadamy całkiem dobrze. Nie brak nas w żadnym zawodzie: jesteśmy w biznesie i polityce, ale w oczach Anglika, typowy Amerykanin z irlandzkim rodowodem jest wciąż policjantem albo strażakiem. W kawalerii, która zdobyła Zachód, trzecią część stanowili Irlandczycy. Nadal wielu z nas nosi mundur, to prawda, zwłaszcza mundur piechoty morskiej. W mojej dzielnicy mieszkała połowa funkcjonariuszy miejscowego biura FBI. Ludzie ci nosili takie nazwiska jak Tully, Sullivan, O'Connor i Murphy. Mój ojciec pół życia przepracował w policji, a księża i zakonnice, którzy mnie uczyli, prawdopodobnie byli po większej części Irlandczykami. Do czego zmierzam, Wasza Królewska Mość: w Ameryce dlatego tak często wybieramy służbę w organach porządku publicznego, bo stanowią one spoiwo materii społecznej, tymczasem dzisiaj... Dzisiaj świat słyszy tylko o takich Irlandczykach jak ci maniacy, którzy zostawiają bomby w zaparkowanych samochodach, o mordercach, którzy zabijają ludzi dla jakichś celów politycznych. To mi się nie podoba i wiem, że mojemu ojcu też by się nie podobało. Całe życie spędził na wyłapywaniu z ulicy takich zwierząt i wsadzaniu do klatek, bo tam jest ich miejsce. Ciężko pracowaliśmy na swoje dobre imię. Zbyt ciężko, żeby obojętnie przyjmować wytykanie nam pokrewieństwa z terrorystami. - Jack uśmiechnął się. - Myślę, że wiem, co czują Włosi, kiedy zaczyna się mówić o mafii. Zresztą, skłamałbym, twierdząc że w taki właśnie sposób rozumowałem wczoraj, ale pewne rzeczy zawsze były dla mnie oczywiste. Nie mogłem udawać głuchego i ślepego, pozwolić, by na moich oczach popełniono morderstwo i nic nie zrobić. Postanowiłem zaryzykować.

Królowa w zamyśleniu skinęła głową. Przez chwilę przyglądała się Ryanowi z ciepłym, przyjaznym uśmiechem, a potem spojrzała na swojego męża. Ci dwoje rozumieli się bez słów. Dostatecznie długo byli małżeństwem, pomyślał Ryan. Kiedy królowa ponownie zwróciła się ku

niemu, widać było, że podjęła właśnie jakąś decyzję.

- A zatem, jak możemy pana wynagrodzić?

- Wynagrodzić? - Ryan pokręcił głową. - Bardzo dziękuję, ale to nie jest konieczne. Cieszę się, że mogłem pomóc. To wystarczy.

- Nie, doktorze Ryan, to nie wystarczy. Jedną z przyjemniejszych stron bycia królową jest prawo oceniania zasług innych ludzi i odpowiedniego ich nagradzania. Nikt nie może posądzić Korony o niewdzięczność. - W jej oczach błysnęło coś jakby ślad skrywanego rozbawienia. Ryan czuł się całkowicie zawojowany prostotą tej kobiety. Czytał kiedyś, że niektórzy uważali ją za mało inteligentną. Wiedział już, że się mylili. W tym spojrzeniu krył się żywy umysł i równie żywe poczucie humoru. - Postanowiliśmy więc nadać panu tytuł Komandora Orderu Królowej Wiktorii.

- Co... ee... że co, proszę? - Ryan wytrzeszczył oczy, nie bardzo pewien, czy się nie przesłyszał.

- Order Królowej Wiktorii jest stosunkowo nowym odznaczeniem przyznawanym osobom szczególnie zasłużonym dla Korony. Pan, oczywiście, spełnia te wymagania. Po raz pierwszy od wielu lat następca tronu został ocalony od niemal pewnej śmierci. Jako historyka, zainteresuje pana być może fakt, że nasi uczeni nie mogą dojść do porozumienia, kiedy po raz ostatni zdarzył się podobny wypadek. Bez względu na to, odtąd będzie pan znany jako Sir John Ryan.

I znowu Jack uświadomił sobie, że musi komicznie wyglądać z otwartą gębą i wyrazem osłupienia w oczach.

- Wasza Królewska Mość, amerykańskie prawo...

- Wiemy o tym - przerwała mu delikatnie. - Jeszcze dzisiaj premier będzie rozmawiał w tej sprawie z waszym prezydentem. Sądzymy, iż z racji jej wyjątkowego charakteru oraz przez wzgląd na dobro stosunków angielsko-amerykańskich, wszystko zostanie załatwione po naszej myśli.

- Nie jest to sytuacja bez precedensu - wtrącił książę. - Przeciwnie, po drugiej wojnie światowej wielu amerykańskim oficerom zezwolono na przyjęcie podobnych wyrazów uznania. Na przykład admirał Nimitz, został Komandorem Orderu Łaźni, podobnie generałowie Eisenhower, Bradley, Patton i wielu innych.

- W świetle prawa amerykańskiego, będzie to tytuł czysto honorowy. U nas jednak posiada on rzeczywistą wagę.

- W takim razie - wymamrotał Ryan, świadom, że natychmiast musi coś powiedzieć - Wasza Królewska Mość, o ile nie okaże się to niezgodne z prawami mojego kraju, będę głęboko zaszczycony mogąc przyjąć to wyróżnienie. - Królowa uśmiechnęła się promiennie.

- A więc, załatwione. A teraz, jak pan się czuje? Tak naprawdę.

- Bywało gorzej. Nie narzekam. Chciałbym tylko wyjść stąd trochę prędzej.

Książę uśmiechnął się.

- Ta rana przydaje jeszcze heroizmu pańskim czynom. Nie ma to jak odrobina cierpienia... Zwłaszcza, jeśli jest to cudze ramię, co, mości książę? Nagle coś zaświtało mu w głowie.

- Przepraszam, jeśli chodzi o to szlachectwo, czy ten tzw... mojej żonie przysługuje tytuł...

- Lady Ryan? Ależ oczywiście. - Twarz królowej raz zajaśniała odświętnym uśmiechem.

Jack również wyszczerzył się od ucha do ucha.

- Wiecie państwo, kiedy opuszczałem Merrill Lynch, ojciec hyba był wściekły jak... był na mnie bardzo zły i powiedział, że pisaniem książek historycznych niczego nie osiągnę. Może teraz zmieni zdanie. - Był pewien, że Cathy nie będzie miała nic przeciwko temu, by tytułowano ją Lady Ryan. Nie, stanowczo nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Mimo wszystko, nie jest to takie złe, prawda?

- Nie, proszę pana i przepraszam, jeśli zrobiłem wrażenie, że nie doceniam tego zaszczytu.

Obawiam się, że byłem trochę wytrącony z równowagi. - Ryan pokręcił głową. Cała ta piekielna sprawa zupełnie wytrąciła mnie z równowagi. - Czy mogę zadać pewne pytanie?

- Oczywiście.

- Policjanci nie chcieli mi powiedzieć, gdzie trzymają moją rodzinę. Odpowiedź królowej poprzedził wybuch śmiechu monarszej ]

- Policja sądzi, iż istnieje możliwość akcji odwetowej wymierzonej w pańską rodzinę. Dlatego uznano, że konieczne jest znalezienie jakiegoś bezpiecznego schronienia dla pańskiej żony i córki. W tej sytuacji zdecydowaliśmy, że najprościej będzie przenieść je do Pałacu. Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić. Kiedy wychodziliśmy, obie smacznie spały, toteż nakazaliśmy, aby im nie przeszkadzano.

- Do Pałacu?

- Zapewniam pana, że mamy mnóstwo pokoi dla gości - odparła królowa.

- O mój Boże! -jęknął Ryan.

- Czy ma pan jakieś zastrzeżenia? - zapytał księżę.

- Moja córeczka, przecież ona...

- Olivia? - królowa była jakby zdziwiona. - To urocze dziecko. Kiedy zajrzałam do niej w nocy, spała jak anioł.

- Sally - nadając córce imię Olivia, Ryan liczył (niesłusznie, jak się okazało) na pojednanie z rodziną Cathy, to było imię po jej babce kiedy śpi, istotnie jest aniołkiem. Ale gdy się obudzi, przypomina raczej niewielkich rozmiarów trąbę powietrzną. Niszczy wszelkie napotkane na swojej drodze przedmioty. Zwłaszcza wartościowe.

- Co też pan mówi! - obruszyła się królowa. - Taka miła dziewczynka. Policjanci opowiadali, że podbiła serca całego Scotland Yardu. Obawiam się, że pan przesadza, Sir John.

- Jak Wasza Królewska Mość uważa - bąknął Ryan. Przecież nie będzie się spierał z królową.

3

Kwiaty i sprawy rodzinne

Obliczenia Wilsona były błędne. Ucieczka zajęła więcej czasu niż przypuszczano w Scotland Yardzie.

Na odległym o pięćset dziewięćdziesiąt kilometrów od Londynu lotnisku na przedmieściach Cork lądował właśnie Boeing 737 linii Sabena. Mężczyzna, zajmujący miejsce 23 D niczym nie wyróżniał się spośród tłumu pasażerów. Jego rudo-blond włosy były krótko przycięte, miał na sobie najzupełniej typowy dla menedżera średniego szczebla porządny, choć wygnieciony garnitur, nadający mu wygląd człowieka, który uczciwie przepracował cały dzień i niewyspany wraca do domu z męczącej podróży służbowej. Jak przystało na człowieka spędzającego wiele czasu w rozjazdach, za cały bagaż miał jedną podręczną torbę. Zapytany, mógłby przekonująco dyskutować na temat handlu rybami, mówiąc przy tym z akcentem mieszkańca południowo-zachodniej Irlandii. Sposób mówienia zmieniał zresztą jak inni koszuł. Była to cenna umiejętność, od kiedy dzięki telewizji wszędzie rozpoznawano gwarę jego rodzinnego Belfastu. Czytał „London Times”, a głównym tematem rozmowy z pasażerami z sąsiednich miejsc, jak i w całym samolocie, był reportaż zajmujący pierwszą stronę gazety.

- Tak, to okropne - zgodził się z zajmującym fotel 23 E belgijskim przedstawicielem handlowym fabryki obrabiarek, który oczywiście nie mógł wiedzieć, dlaczego rzeczywiście uważał omawiane zdarzenie za okropne.

Tyle miesięcy planowania, skrupulatnego gromadzenia informacji, prób i przymiarek,



dokonywanych pod samym nosem Angoli, przygotowanie trzech tras ucieczki, sieć informatorów z radiotelefonami, wszystko na nic, przez jednego przekłętą przybłędę. Przyjrzał się fotografii na pierwszej stronie gazety.

Kim jesteś, Jankesie? John Patrick Ryan. Historyk... Pieprzony jajogłowy! Były żołnierz piechoty morskiej, zasrany żołnierz, nauczony wtykać nos w nie swoje sprawy! John Patrick Ryan. Jesteś katolikiem, co gnoju? Ano niewiele brakowało, a Johnny zapłaciłby ci za to twoje wścibstwo... Szkoda John'ego, Dobry był z niego człowiek, godny zaufania, kochał swoich chłopców i wierzył w Sprawę.

Samolot znieruchomiał wreszcie na pasie. Stewardesa otworzyła drzwi, pasażerowie wstawali, zdejmowali bagaż z półek. Wziął swoją torbę i przyłączył się do kolejki u wyjścia. Starał się myśleć o swojej sytuacji z filozoficznym spokojem. Przez lata uczestniczenia w „grze” widział akcje, które kończyły się niepowodzeniem z najbardziej idiotycznych powodów. Tylko że ta operacja była wyjątkowo ważna. Tyle przygotowań! Pokręcił głową i wetknął gazetę pod pachę. Po prostu spróbujemy jeszcze raz. Możemy sobie pozwolić na cierpliwość. Jedna porażka nic nie zmieniała w ogólnym stanie rzeczy. Tym razem tamci mieli szczęście. Ale i nam kiedyś się poszczęści. Ci, którzy siedzą w więzieniach, muszą jeszcze poczekać.

Ciekawe, co z Seanem? Błędem było zabieranie go na tę akcję. Od początku uczestniczył w jej planowaniu. Bardzo dużo wiedział o Organizacji. Wychodząc z samolotu, starał się odepchnąć złe myśli. Sean nic nie powie. Każdy, ale nie on. Choćby przez wzgląd na pamięć swojej dziewczyny, od pięciu lat spoczywającej w grobie, a zabitej zbłąkaną kulą angielskiego spadochroniarza.

Na lotnisku nikt na niego, oczywiście, nie czekał. Pozostali uczestnicy operacji byli już w domu, sprzęt wyczyszczony z odcisków palców wylądował w koszach na śmieci. Trochę ryzykował pojawiając się w miejscu publicznym, ale był pewien, że ten Ryan nie widział jego twarzy. Pamiętał tamtą chwilę. Na twarzy Amerykanina widniał jedynie wyraz bólu i zaskoczenia. Nie mógł zauważyć niczego konkretnego. Inaczej w prasie już ukazałyby się jego portrety pamięciowe, oczywiście w kudłatej peruce i lipnych okularach.

Przeszedł przez budynek dworca lotniczego, kierując się w stronę parkingu. Torbę przewiesił przez ramię, grzebał w kieszeni w poszukiwaniu kluczy od samochodu. Ależ było śmiechu, kiedy na lotnisku w Brukseli te klucze włączyły alarm wykrywacza metali! Uśmiechnął się teraz, po raz pierwszy od niemal dwudziestu czterech godzin. Dzień był pogodny, słoneczny, zaczynała się kolejna wspaniała irlandzka jesień. Uruchomił rocznego BMW (podając się za biznesmena musiał dbać o pozory) i po chwili jechał drogą wiodącą do jego stałej kryjówki. W myślach planował już kolejne dwie operacje. Trzeba będzie na to mnóstwo czasu. Czego jak czego, ale czasu miał pod dostatkiem.

Nietrudno było wyczuć, że zbliża się pora podawania leków. Ryan mimowolnie poruszał wystającymi z gipsu palcami lewej dłoni. Nie zmniejszało to bólu, ale nieznaczna zmiana napięcia mięśni i ścięgien sprawiała, że jego centrum zdawało się nieznacznie przemieszczać. Bezskutecznie próbował się skoncentrować, zlokalizować to centrum, odgrodzić się od niego myślą. Przypominał sobie te wszystkie filmy w telewizji, tych detektywów, czy innej profesji bohaterów, którzy dostają kulę w ramię, by wyzdrowieć najpóźniej do następnego odcinka. Tymczasem ludzkie ramię, a w każdym razie jego, było konstrukcją złożoną z bardzo wielu kości, które kule, nawet jedna kula, bez trudu roznosiły w drzazgi. W miarę zbliżania się chwili przyjęcia leku coraz wyraźniej czuł, jak z każdym oddechem ocierają się o siebie ostre krawędzie złamanych kości. Nawet nieznaczny ruch palców prawej dłoni na klawiaturze komputera zdawał się poprzez całe ciało sięgać bolącego ramienia. Na koniec musiał przerwać pracę. Spojrzał na wiszący na ścianie zegar i po raz pierwszy zatęsknił za siostrą Kittiwake z kolejną porcją niosącej ulgę trucizny.

Nie żeby przestał jej się obawiać. Ból uszkodzonego kręgosłupa zmienił pierwszy miesiąc jego pobytu w Bethesda w piekło. Zdawał sobie sprawę, że w porównaniu z tamtym, obecna rana to drobiazg. Ciało jednak nie porównuje różnych odmian bólu, a to ramię bolało go tu i teraz. Pamiętał, że leki przeciwbólowe czyniły dolegliwości kręgosłupa niemal znośnymi. Tylko że tamci lekarze odrobinę z nimi przesadzili. Bardziej niż bólu Ryan bał się teraz uzależnienia od morfiny. Wtedy głód męczył go około tygodnia, zmieniając jego ciało w pustą skorupę, w której miotła się rozpaczliwie samotna i złakniona narkotyku jaźń. Ryan pokręcił głową. Ból ze zdwojoną siłą wgryzł się w jego ramię. Zmusił się, by stawić mu czoło. Nie chciał wracać do tamtego piekła. Nigdy więcej.

Skrzypnęły otwierane drzwi. To nie była siostra Kittiwake, do podania lekarstw zostało jeszcze czternaście minut. Chwilę wcześniej Ryan widział na korytarzu jakiś mundur. Istotnie. Do pokoju wszedł młody oficer w galowym uniformie z wiązaną kwiatów w dłoni. Za nim, z podobnym bagażem, kroczył drugi. Pierwszą wiązaną, dar od Korpusu Piechoty Morskiej zdobyła dwubarwna, szkarłatno-złota wstążka, drugą ofiarowała ambasada amerykańska.

- Jest tego więcej, proszę pana - oznajmił jeden z oficerów.

- Ależ gdzie ja to pomieszczę? Ten pokój jest za mały. Może przynieślibyście mi same wizytówki, a kwiaty rozdali gdzieś tu w szpitalu? Na pewno znajdą się ludzie, którzy je chętnie przyjmą. - A poza tym co za przyjemność mieszkać w dżungli, pomyślał Ryan. W ciągu dziesięciu minut dostarczono mu stos wizytówek, liścików i telegramów. Stwierdził, że czytanie cudzych tekstów, lepiej niż praca nad własnymi notatkami, pomaga zapomnieć o tym przeklętym ramieniu.

Zjawiała się siostra Kittiwake. Przelotnym spojrzeniem prześlizgnęła się po naręczach kwiatów, podała Ryanowi lekarstwo i spieszenie wyszła, nie odzywając się prawie słowem. Pięć minut później dowiedział się dlaczego.

Jego kolejnym gościem był książę Walii. Wilson znowu zerwał się z krzesła, a Ryan ze współczuciem pomyślał o niewątpliwie obolałych od stania nogach młodego policjanta. Lekarstwo zaczynało już działać. Ryan powoli tracił czucie w lewym ramieniu, ale jednocześnie ogarnęła go lekka euforia, jak po kilku solidnych drinkach. I może ów jego stan był częściowo przyczyną tego co się potem stało.

- Czołem! - Jack uśmiechnął się. - Jak samopoczucie, Wasza Wysokość?

- W porządku, dziękuję - odpowiedział książę z wymuszonym uśmiechem. Wyglądał na zmęczonego, jego szczupła twarz wydawała się bardziej pociągła niż zazwyczaj. W zmarszczkach wokół oczu czaił się smutek. Ramiona, okryte szarym, klasycznym w kroju garniturem, obwisły.

- Proszę, proszę. Czemu pan nie siada? - zapraszał Ryan. - Wygląda pan jak ktoś, kto gorzej spał tej nocy niż ja.

- Istotnie. Dziękuję, doktorze Ryan. - Książę ponownie spróbował się uśmiechnąć. Bez powodzenia. - A jak pan się czuje?

- Całkiem przyzwoicie, Wasza Wysokość. A pańska małżonka... Przepraszam, a jak miewa się księżna?

Książę wysławiał się jakby z trudem. Niechętnie podniósł wzrok na swego rozmówcę.

- Oboje żałujemy, że żona nie mogła przyjść tu ze mną. Czuje się jeszcze niedysponowana... w szoku, jak sądzę. To było dla niej bardzo przykre przeżycie.

Mózg kierowcy bryzgnął jej w twarz. Faktycznie, można to nazwać przykrym przeżyciem, pomyślał Jack.

- Ma pan rację. O ile wiem, nikt z państwa fizycznie nie ucierpiał, dzięki Bogu. Dziecko zdrowe?

- Tak. Wszystko dzięki panu, doktorze.

Jack próbował wzruszyć jednym ramieniem. Tym razem już tak nie zabolalo.

- Cieszę się, że mogłem pomóc, proszę pana... wolałbym tylko nie złapać przy tym kulki - siląc się na bez troskę rzucił Ryan, ale ostatnie słowa zamarzył mu na ustach. Powiedział nie to, co trzeba i nie takim jak trzeba tonem. Książę spojrzal na niego ciekawie, ale po chwili jego wzrok przygasł.

- Gdyby nie pan, wszyscy troje zostalibyśmy zabici... więc w imieniu swoim i swojej rodziny... dziękuję panu. Wiem, że to za mało... - ciągnął książę, z trudem starając się wykrzesać z siebie jeszcze choć parę słów - ale to wszystko, na co mnie w tej chwili stać. Zdaję sobie sprawę, że niewiele wczoraj zdziałalem. - Umilkł i wbił wzrok w nogę łózka.

Ach, takie buty, pomyslal Ryan. Książę wstal i skierowal się do wyjścia. Co ja mam teraz zrobić?

- Wasza Wysokość, może by pan usiadł i porozmawiał o tym ze mną przez minutkę, dobrze?

Książę odwrócił się. Przez chwilę zdawalo się, że chce coś powiedzieć, ale nagle wyraz jego twarzy zmienil się i ruszył w stronę drzwi.

- Wasza Wysokość, naprawdę myślę... - Żadnego odzewu. Nie mogę pozwolić mu wyjść w takim stanie. Jeśli nie skutkują dobre maniere...

- Czekaj pan! - huknął Ryan. Książę, zaskoczony, obejrzał się. - Siadaj pan, cholera jasna! - dorzucił Ryan, rozkazującym gestem wskazując krzesło. W każdym razie przyciągnalem jego uwagę, pomyslal. Ciekawe, czy mogą odebrać mi to szlachectwo.

Na twarzy księcia pojawil się lekki rumieniec, nieznacznie ożywiło to jej wyraz. Wahał się przez kilka sekund, a potem ociągając się, ze zrezygnowaną miną usiadł.

- Wasza Wysokość - z mocą zaczął Ryan - myślę, że wiem co pana gryzie. Czuje się pan winny, bo wczoraj nie popisał się pan numerem w stylu Johna Wayne'a i nie poradził sobie z tymi łobuzami, zgadza się? - Książę nie poruszył się, nie odpowiedział nawet najmniejszym gestem, ale wyraz bólu w jego oczach mówił sam za siebie.

- Tak może myśleć tylko idiota! - parsknął Ryan. Siedzący w kącie Tony Wilson zbladł jak upiór. Jack doskonale go rozumiał.

- Powinien pan mieć więcej rozsądku... Wasza Wysokość - gwałtownie ciągnął Ryan. - Kończył pan szkoły wojskowe, prawda? Czyż nie jest pan licencjonowanym pilotem, skoczkiem spadochronowym, czy nie dowodził pan nawet okrętem? - Książę skinął głową. Pora przeskoczyć szczebel wyżej. - W takim razie nic pana nie usprawiedliwia. Nic, cholera, nie usprawiedliwia takiego myślenia! Przecież nie jest pan taki głupi, prawda?

- O co panu w końcu chodzi? - Zaczyna się złościć, pomyslal Ryan. To dobrze. Znaczy, że dociera.

- Proszę tylko pomyśleć. Ma pan odpowiednie przygotowanie, żeby podołać takiemu zadaniu. Zanalizujmy ten przypadek. Zbadajmy sytuację taktyczną, z jaką mieliśmy wczoraj do czynienia. Znalazł się pan w pułapce, w unieruchomionym samochodzie, otoczony przez dwóch czy trzech typków z bronią maszynową. Samochód jest opancerzony, ale pan utknął w środku. Co można zrobić w takiej sytuacji? Otóż ja tu widzę trzy możliwości. Pierwsza. Zamienić się w słup soli, po prostu siedzieć tam i ewentualnie narobić w gacie. Do diabła, tak zachowałyby się większość normalnych ludzi, i nie byłoby w tym nic dziwnego. Pan jednak zachował się inaczej. Druga możliwość, próbować wydostać się z samochodu i coś zrobić, dobrze mówię?

- Tak, tak powinienem postąpić.

- Nieprawda! - Ryan zdecydowanie pokręcił głową. - Przepraszam, Wasza Wysokość, ale to całkiem kiepski pomysł. Facet, którego załatwiłem, tylko na to czekał. Mógł panu wsadzić dziewięćmilimetrową kulę w głowę, zanim postawiłby pan obie nogi na chodniku. Wygląda pan na

sprawnego, prawdopodobnie potrafi pan ruszać się całkiem szybko. Ale jeszcze się taki nie urodził, który zdołałby prześcignąć kulę! Ten pomysł mógł kosztować życie pana i pańskiej rodziny. A teraz trzecia, ostatnia możliwość: przeczekać, modląc się, żeby pomoc przybyła na czas. Pałac jest niedaleko. Wiadomo, że w pobliżu znajdują się policjanci i żołnierze. Czas działa więc na naszą korzyść. Co zrobić, żeby w miarę możliwości chronić rodzinę? Położyć żonę i dziecko na podłodze samochodu, i nakryć je własnym ciałem... samemu w pierwszej kolejności wystawiając się na strzały terrorystów. I to właśnie, nie co innego, pan przyjacielu, zrobił. - Ryan zamilkł, czekając aż jego słowa dotrą do świadomości księcia.

- Do diabła, postąpił pan dokładnie tak, jak należało! - Ryan pochylił się do przodu, ale ostry ból w ramieniu sprawił, że stęknął i na powrót opadł na poduszkę. Aż tak dokładnie nie był znieczulony, żeby wyczyniać takie łamańce. - Jezu, ale to boli! Proszę posłuchać, Wasza Wysokość, siedział pan uwięziony w samochodzie zatrzymanym w otwartym terenie, właściwie pozbawiony jakiegokolwiek wyboru. Mimo to wybrał pan najlepsze możliwe rozwiązanie. Na mój rozum, nie miał pan lepszego wyjścia. Tak więc nie ma żadnego, powtarzam, żadnego powodu, by cokolwiek sobie wyrzucać. A jeśli mi pan nie wierzy, proszę spytać Wilsona. On jest gliniarzem. - Księżę odwrócił głowę w stronę policjanta.

Oficer z jednostki antyterrorystycznej chrząknął i powiedział tonem pełnym szacunku:

- Przepraszam, Wasza Księżęca Mość, ale doktor Ryan ma całkowitą rację. Wczoraj rozmawialiśmy o tym w Scotland Yardzie i doszliśmy do identycznych wniosków.

- Powiedz Tony, ile czasu zabrało wam przedyskutowanie wszystkich aspektów tej sprawy - odezwał się Ryan.

- Jakies dziesięć minut.

- To daje sześćset sekund, Wasza Wysokość. A pan musiał zdecydować w ile? Pięć? Może trzy? To niewiele czasu, aby podjąć decyzję na wagę życia lub śmierci. Powiadam, zachował się pan bez zarzutu. Całe to szkolenie, które pan przeszedł, coś jednak dało. I gdyby oceniał pan zachowanie kogoś innego, nie swoje, powiedziała by pan to samo. Tak jak Tony i jego koledzy.

- Ale prasa...

- Pieprzyć prasę! - warknął Ryan. Zaczynał się zastanawiać, czy nie posuwa się jednak zbyt daleko. - Co może wiedzieć jakiś tam reporterzyna? On nic nie robi, tylko marudzi, opowiada o tym, czego dokonali inni. Potrafi pan pilotować samolot, skacze pan ze spadochronem... Ja boję się latania jak diabeł święconej wody, a o skakaniu z samolotu nie chcę nawet myśleć... I na dokładkę dowodził pan okrętem. Co dzień jeździ pan konno, ryzykując skruceniem karku i wreszcie jest pan ojcem, ma pan dziecko. Czy to nie dość, żeby udowodnić światu, że jest się facetem z jajami? Nie jest pan jakimś głupim szczeniakiem, Wasza Wysokość. Jest pan wyszkolonym żołnierzem, zawodowcem. Niech się pan więc zachowuje jak zawodowiec.

Jack widział, jak umysł tamtego chłonie i analizuje jego słowa. Jego Wysokość siedział już nieco bardziej wyprostowany. Na jego ustach pojawił się uśmiech, niepewny jeszcze, ale świadczący o zrozumieniu przedłożonych przez Jacka argumentów.

- Nie jestem przyzwyczajony, by zwracano się do mnie tak bezpośrednio.

- Więc proszę kazać ściąć mi głowę - Ryan wyszczerzył zęby, uśmiechając się bezczelnie. - Wyglądał pan jak ktoś, komu dobrze robi odrobina prawdy... No, ale najpierw musiałem przyciągnąć pańską uwagę, nieprawdaż? Nie zamierzam się usprawiedliwiać, Wasza Wysokość. Ale niech pan spojrzy w to lustro na ścianie. Założę się, że facet, którego pan w nim zobaczy, wygląda lepiej niż ten, którego widział pan rano przy goleniu.

- Naprawdę wierzy pan w to wszystko, co pan mówił?

- Oczywiście. Brakowało panu tylko spojrzenia na swoją sytuację z zewnątrz. Stał pan wczoraj przed problemem, z którym nie może się równać nic, czego doświadczyłem w Quantico. I dał pan sobie radę. Proszę posłuchać, coś panu opowiem. To był mój pierwszy dzień w Quantico, początek szkolenia. Ustawili nas w szeregu i mówią, że naszym instruktorem musztry będzie sierżant sztabowy Willie King. Był to potężnej postury Murzyn, nazywaliśmy go Synem King Konga. Otóż obejrzał nas sobie dokładnie i powiada: „Dziewczęta, mam dla was jedną dobrą i jedną złą wiadomość. Ta dobra, to że każdy, który udowodni, że jest dość dobry, żeby przejść to szkolenie, do końca życia nie będzie musiał niczego udowadniać”. Odczekał kilka sekund i dokończył: „A ta zła wiadomość, to że najpierw musicie to mnie udowodnić”.

- Był pan najlepszy ze swojego rocznika - powiedział książę. Widocznie i on zapoznał się z aktami Ryana.

- To szkolenie ukończyłem z trzecią lokatą. Później, podczas szkolenia podstawowego wysunąłem się na czoło. Tak, jakoś wytrzymałem, ale to było jedno wielkie kurestwo. Nikt początkowo się nie spodziewał, jak wielkie. Jedyną łatwą czynnością było zasypianie. Zanim dzień się skończył, człowiek był gotów zasnąć na stojąco. Ale trzeba przyznać, że Syn King Konga miał właściwie rację. Jeśli przeszło się przez Quantico, człowiek wiedział, że czegoś dokonał. Potem jeszcze tylko raz musiałem coś udowodnić, ale nie miało to nic wspólnego z Korpusem. - Ryan umilkł na chwilę. - Teraz najważniejsze jest to, że pan i pańscy bliscy jesteście cali i zdrowi, prawda? W porządku, pomogłem, ale i pan zrobił swoje. A jeśli jakiś przemądrzały reporter jest innego zdania, to macie chyba jeszcze w Londynie coś takiego jak Tower. Pamiętam ten zeszlóroczny artykuł w prasie na temat pańskiej żony. Cholera, gdyby ktoś napisał coś takiego o Cathy, przerobiłbym go na sopranistę.

- Na sopranistę? - zdziwił się książę.

- Raz na zawsze i to bez znieczulenia - zaśmiał się Ryan. - Myślę, że wszyscy wysoko postawieni ludzie mają ten sam problem, nie mogą się odkuć, jeśli im jakaś wesz zalezie za skórę. Okropne! Dziennikarzy też powinny obowiązywać zasady dobrego wychowania. Nawet ktoś taki jak pan, ma prawo do odrobiny prywatności, jak każdy z nas.

- A co z pańskim wychowaniem, Sir John? - Tym razem słowom księcia towarzyszył prawdziwy uśmiech.

- Mea culpa, Wasza Wysokość, nie mam nic na swoją obronę.

- Niemniej, gdyby nie pan, nie rozmawialibyśmy tu dzisiaj.

- Nie mogłem beczynnie przyglądać się, jak mordują ludzi. Gdyby pan znalazł się na moim miejscu, jestem pewien, że zrobiłby pan to samo.

- Naprawdę tak pan sądzi?

- Czy Wasza Wysokość raczy żartować? Po kimś tak głupim, żeby wyskakiwać z całkiem dobrego samolotu, można się spodziewać wszystkiego!

Książę wstał z krzesła i podszedł do lustra. Najwyraźniej spodobało mu się to, co w nim ujrzał.

- No dobrze - mruknął w stronę swojego odbicia. Cofnął się i spojrzał na Ryana. Miał jeszcze jedną wątpliwość.

- A gdyby pan znalazł się na moim miejscu?

- Prawdopodobnie narznąłbym w portki - odparł Ryan - Ale pan, Wasza Wysokość, ma nade mną przewagę. O takiej sytuacji myślał pan od lat, prawda? Do diabła, dorastał pan ze świadomością, że coś takiego może się kiedyś zdarzyć. Przeszedł pan także podstawowe szkolenie taktyczne... pewnie i w Królewskiej Piechocie Morskiej?

- Owszem. Ryan skinął głową.

- Właśnie. Tak więc pewne warianty zachowań miał pan już opracowane, prawda? Jasne, zaskoczyli pana, ale wtedy dało o sobie znać wyszkolenie. Postąpił pan prawidłowo. Słowo honoru. Niech pan usiądzie, to Tony zrobi nam po filiżance kawy.

Wilson posłusznie zajął się zalewaniem kawy, chociaż widać było, że czuje się niepewnie w obecności następcy tronu. Książę Walii popijał kawę, a tymczasem Ryan zapalił papierosa z paczki Wilsona. Jego Wysokość spojrział na niego z dezaprobatą.

- Przecież wie pan, że to panu szkodzi. Ryan tylko się zaśmiał.

- Wasza Wysokość, ledwie przybyłem do waszego kraju, a już drugiego dnia o mało nie przejechał mnie jeden z tych piętrowych autobusów, potem chciał mu urwać głowę jakiś cholerny maoista, a na koniec niewiele brakowało, żeby jeden z pańskich gwardzistów przerobił mnie na szaszłyki. - Ryan zamachał w powietrzu papierosem. - To jest, cholera, najbezpieczniejsza rzecz, z jaką mam do czynienia od kiedy tu wylądowałem. Cóż to będą za pamiętne wakacje!

- Ma pan rację - przyznał książę. - A i humor panu dopisuje, doktorze Ryan.

- To chyba działanie tego Valium, czy co oni mi tu dają. A na imię mi Jack. - Wyciągnął rękę, a książę uściśnął mu dłoń.

- Wczoraj miałem okazję poznać pańską żonę i córkę. Pan był wtedy nieprzytomny. Dowiedziałem się, że małżonka jest doskonałym chirurgiem. A pańska córeczka jest po prostu wspaniała.

- Dzięki. A jak pan czuje się w roli tatusia?

- Kiedy człowiek pierwszy raz bierze na ręce swoje dziecko...

- Tak, tak - pokiwał głową Ryan. - To jest w tym wszystkim najważniejsze. - Przerwał, bo nagle zaświtała mu pewna myśl. Bingo! W samochodzie znajdowało się czteromiesięczne niemowlę. Gdyby porwali księcia i księżną, to cóż, żaden rząd nie może ugiąć się przed żądaniem terrorystów. Państwo musi dysponować gotowym planem na nieprzewidziane sytuacje tego rodzaju. Rozebraliby to miasto cegła po cegle, ale nie mogliby negocjować, taki to już los wysoko urodzonych. Ale małe dziecko... Niech to wszyscy diabli! Tak sobie tamci wyobrażali sobie swoją pozycję przetargową! Co to za ludzie, zdolni do...

- Sukinsyny - półgłosem powiedział Ryan. Wilson zdębiał, ale książę chyba domyślał się, o co chodzi.

- Tak?

- Oni nie próbowali pana zabić. Założę się nawet, że nie pan był ich prawdziwym celem... - Ryan wolno pokiwał głową. Szukał w pamięci danych na temat ULA. Nie było tego wiele, a w każdym razie nigdy nie zajmował się tymi sprawami... jakieś mętne raporty agentów terenowych, głównie składające się z domysłów. - Założę się, że wcale nie chcieli pańskiej śmierci. A kiedy zasłonił pan sobą żonę i dziecko, ich plan zaczął się sypać... Może to, a może po prostu... Tak, może po prostu nie przewidzieli tego i to zniszczyło im harmonogram akcji.

- O czym pan mówi? - zdziwił się książę.

- Te cholerne lekarstwa nie dają się człowiekowi skupić - mruknął pod nosem Ryan. - Czy policja powiedziała panu o co chodziło terrorystom?

Jego Wysokość wyprostował się na krześle.

- Nie mogę...

- Nie musi pan - przerwał Jack. - Czy powiedzieli panu, że w ostatecznym rozrachunku, ocaliło was to, co pan zrobił?

- Nie, ale...

- Tony?

- Uprzedzono mnie, że bystry z ciebie facet, Jack. Obawiam się, że nie mogę dodać nic więcej.

Wasza Książęca Mość, niewykluczone, że domysły doktora Ryana są słuszne.

- Jakie domysły? - książę był trochę zbity z tropu. Wyjaśnienia zajęły Ryanowi kilka minut.

- Jak pan doszedł do tych wniosków, Jack?

Umysł Ryana wciąż zmagał się z jego własną hipotezą.

- Wasza Wysokość, jestem historykiem, a ten zawód polega na rozwiązywaniu zagadek.

Wcześniej byłem maklerem i robiłem zasadniczo to samo. Nic trudnego, jeśli wiadomo, jak się do tego zabrać. Szuka się pozornych sprzeczności, a potem próbuje tak ustawić fakty, żeby te sprzeczności nabrały sensu. W sumie to wszystko spekulacje na mój prywatny użytek, ale gotów jestem się założyć, że koledzy Tony'ego idą tym samym tropem. - Wilson nic nie powiedział, chrząknął tylko. Dla Jacka była to wystarczająco jasna odpowiedź.

Książę zapatrzył się w głąb swojej filiżanki. Miał wyraz twarzy człowieka, który uwolnił się od strachu i wstydu, a teraz smakuje zimny gniew na myśl o tym, co mogło stać się jego udziałem.

- No cóż, mieli swoją szansę, czyż nie?

- Tak jest. Myślę, że jeśli zechcą kiedyś spróbować jeszcze raz, będzie im dużo trudniej. Zgadza się, Tony?

- Poważnie wątpię czy kiedykolwiek spróbują to powtórzyć - odparł Wilson. - Ten incydent powinien dostarczyć nam wielu istotnych informacji. ULA przekroczyła pewną umowną granicę. Gdyby im się udało, ich pozycja polityczna mogłaby wzrosnąć, ale nie udało się. To ich zniszczy. Pozbawi ich poparcia „ludu”. Znajdą się tacy, którzy coś o nich wiedzą i zaczną mówić. Nie nam, oczywiście, ale część tego tak czy inaczej dotrze do nas. Zawsze byli wyrzutkami, teraz będą nimi jeszcze bardziej.

Czy czegoś się z tego nauczę, zastanawiał się Ryan. Jeśli tak, to czego? Oto jest pytanie. Jack wiedział, że istnieją na nie tylko dwie, wzajemnie się wykluczające odpowiedzi. Zapamięta to. Zajmie się tym po powrocie do domu. Teraz nie była to już kwestia czysto akademicka. Świadczyła o tym dziura po kuli w jego ramieniu.

Książę podniósł się i spojrzał na Ryana.

- Musi mi pan wybaczyć, Jack. Obawiam się, że czeka mnie dzisiaj dzień pełen zajęć.

- Wracamy na scenę, co?

- Gdybym się zaczął ukrywać, oni by wygrali. Teraz rozumiem to nawet lepiej, niż wtedy, gdy tu wchodziłem. I mam dodatkowy dług wdzięczności wobec pana.

- Prędzej czy później sam by pan do tego doszedł. Ale lepiej prędzej, prawda?

- Musimy się jeszcze spotkać.

- Chętnie, Wasza Wysokość. Chociaż boję się, że utknąłem tu na dłużej.

- W najbliższym czasie wyjeżdżamy za granicę... pojutrze. Ma to być oficjalna wizyta w Nowej Zelandii i na Wyspach Salomona. Zanim wrócimy, może pan już wyjdzie.

- Czy pańska żona jest w stanie odbyć taką podróż, Wasza Wysokość?

- Chyba tak. Lekarz twierdzi, że zmiana otoczenia dobrze jej robi. Przeżyła wczoraj ciężkie chwile, ale - książę uśmiechnął się - myślę, że gorzej to wszystko zniosłem od niej.

Wierzę, pomyślał Ryan. Jest młoda, szybko wróci do siebie i przynajmniej zostanie jej jedno dobre wspomnienie. Mężczyzna, który własnym ciałem osłania żonę i dziecko przed kulami, to coś, czego trzeba każdej kobiecie.

- Tak sobie myślę, że księżna może być pewna pańskiej miłości.

- Ja w każdym razie jestem pewien - poważnie odparł książę.

- Zwykle właśnie dlatego ludzie się żenią, Wasza Wysokość. Nawet takie pospólstwo jak my.

- Bardzo z pana bezpośredni facet, Jack.

- Głęboko nad tym boleję, Wasza Wysokość. - Jack uśmiechnął się szeroko. Książę również.

- Nie, nie sędzę. - Jego Wysokość podał Jackowi dłoń. - Dziękuję, Sir John. Za wszystko.

Ryan przyglądał mu się, jak wyprostowany, energicznym krokiem zmierza do drzwi.

- Wiesz Tony, jaka jest różnica między nim a mną? Ja zawsze mogę powiedzieć, że byłem w piechocie morskiej i to wystarczy. A ten biedak musi coś udowodniać na okrągło, każdemu, kogo spotyka. Myślę, że tak być musi. Jeśli człowiek przez całe życie jest ośrodkiem publicznego zainteresowania. - Jack pokręcił głową. - Za żadne pieniądze nie wziąłbym takiej roboty.

- On się do tego urodził - odparł Wilson. Ryan zastanawiał się chwilę.

- To jest ta różnica między twoim krajem a moim. Wy myślicie, że ludzie do czegoś się rodzą. My wiemy, że muszą do tego dojrzeć. To nie to samo, Tony.

- Bardzo ładnie, ale ty teraz należysz w pewnym sensie do tego kraju, Jack.

- Sędzę, że powinienem pojechać. - David Ashley spojrział na trzymany w dłoni teleks. Kłopot polega na tym, że przyszedł on na jego nazwisko. PIRA wiedziała zatem, kim był i że z ramienia Służby Bezpieczeństwa zajmował się tą sprawą. Skąd oni się tego dowiedzieli?

- Zgadza się - powiedział James Owens. - Jeśli przestraszyli się aż tak, że chcą z nami rozmawiać, może powiedzą nam coś użytecznego. Nie można oczywiście wykluczyć pewnego ryzyka. Lepiej, żeby pan kogoś ze sobą zabrał.

Ashley wahał się. Zawsze istniała możliwość, że zostanie uprowadzony, ale... PIRA była o tyle dziwną organizacją, że jej członkowie mieli pewien kodeks postępowania. Kierowali się swoście rozumianym honorem. Wybrane ofiary zabijali bez najmniejszych skrępowań, ale nigdy nie parali się handlem narkotykami. Wiedzieli, że ich bomby zabijają dzieci, ale żadnego dziecka dotąd nie porwali. Ashley pokręcił głową.

- Nie. Ludzie ze Służby Bezpieczeństwa już się z nimi spotykali i nie było żadnych problemów. Pojadę sam. - Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Tata! - Sally podbiegła do łóżka i przystanęła, zastanawiając się, jak wspiąć się wystarczająco wysoko, by obdarować ojca buziakiem. Chwyciła się poręczy, stawiając stopę na krawędzi ramy. Nie było to trudniejsze, niż wchodzenie po drabinkach w przedszkolu. Podciągnęła się i już półleżąc na brzegu materaca, szukała stopą kolejnego oparcia. W końcu Ryan zlitował się i wciągnął ją na kołdrę.

- Cześć, tato. - Sally pocałowała Jacka w policzek.

- Jak się dzisiaj czujesz?

- Dobrze. Co to jest, tato? - wskazała palcem.

- To się nazywa gips - odpowiedziała Cathy Ryan. - Zdawało mi się, że chcesz iść do łazienki.

- Już idę. - Sally zeskoczyła z łóżka.

- Łazienka jest chyba gdzieś tam - powiedział Jack. - Ale nie jestem pewien.

- Nie dziwię się - Cathy obrzuciła wzrokiem instalację, którą Ryan przytroczony był do łóżka. - No dobrze, chodźmy, Sally.

Dopiero teraz Ryan zauważył, że za jego żoną wszedł do pokoju jakiś mężczyzna. Pod trzydziestkę, mocnej budowy i oczywiście elegancko ubrany. Był przy tym dość przystojny, skonstatował Jack.

- Dzień dobry, doktorze Ryan - powiedział nieznajomy. - Jestem William Greville.

Jack domyślił się, z kim ma do czynienia.

- Z którego pułku?

- Dwudziestego drugiego, proszę pana.



- Special Air Service?

Greville skinął głową. Uśmiechnął się powściągliwie, choć nie bez pewnej dumy.

- Jak komu zależy, to wysyła najlepszego - mruknął Jack. - Sam pan jest?

- Ja i kierowca, sierżant Michaelson, policjant z OKD.

- Dlaczego pan, a nie inny gliniarz?

- O ile wiem, pańska żona zażyczyła sobie zwiedzić okolicę. Mój ojciec jest kimś w rodzaju autorytetu, jeśli chodzi o podlondyńskie zamki i Jej Królewska Mość uznała, że może Lady Ryan przyda się... no, eskorta kogoś znajdującego te wszystkie turystyczne atrakcje. Ojciec do znudzenia ciągał mnie po starych budowlach Anglii.

„Eskorta” to właściwe słowo, pomyślał Ryan. Ludzie z SAS mieli do czynienia z samolotami tylko kiedy z nich wyskakiwali albo wysadzali je w powietrze.

- Zostałem też upoważniony przez dowódcę mojego pułku - mówił dalej Greville - do zaproszenia pana na obiad w naszym kasynie.

Ryan wskazał umocowaną do wyciągu rękę.

- Dzięki, ale to chyba będzie musiało poczekać.

- Rozumiem. Nic nie szkodzi, proszę pana. Bez względu na termin, będziemy zaszczyceni mogąc gościć pana u siebie. Chcieliśmy tylko przekazać zaproszenie przed tymi z marynarki, wie pan, taka wewnętrzna rywalizacja. - Greville uśmiechnął się. - To, co pan zrobił, to była operacja bardziej w naszym stylu, jak by na to patrzeć. Dobrze, zaproszenie przekazane, pan chce się przecież zobaczyć ze swoją rodziną, nie ze mną.

- Proszę się nimi dobrze opiekować... poruczniku?

- Kapitanie - poprawił Greville. - Niech się pan nie martwi. Zrobimy wszystko, co trzeba. -

Ryan spoglądał za wychodzącym oficerem, kiedy z łazienki wyłoniły się Cathy i Sally.

- Co o nim sądzisz? - spytała Cathy.

- Tatusiu, a jego ojciec jest hrabią! - oznajmiła Sally. - Lubię go.

- Słucham?

- Jego ojciec to wicehrabia cośtam-cośtam - wyjaśniła Jackowi żona, zbliżając się do łóżka. -

Wyglądasz trochę lepiej.

- Ty też, mała. - Jack wyciągnął szyję, nadstawiając usta do pocałunku.

- Jack, znowu paliłeś! - Już w czasach narzeczeństwa Cathy zmusiła Jacka do zerwania z paleniem.

- Nie znęcaj się nade mną, miałem dziś ciężki dzień. - Jezu, ten jej okropny wdech, pomyślał Ryan.

- Mięczak! - rzuciła z pogardą,

Ryan uniósł wzrok do sufitu. Dla całego świata jestem bohaterem, ale wystarczy kilka papierosów, żebym dla niej stał się mięczakiem. Doszedł do wniosku, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

- Zlituj się nad biednym inwalidą...

- Skąd je wzięłeś?

- Mam tutaj taką policyjną niańkę, musiał gdzieś wyjść parę minut temu...

Cathy rozglądała się w poszukiwaniu papierosów, licząc na to, że uda jej się to znieprawdzone paskudztwo umieścić w koszu na śmieci, ale Jack przezornie ukrył paczkę pod poduszką. Wreszcie usiadła, a Sally wdrapała jej się na kolana.

- Boli?

- Chwilami pobolewa, ale można wytrzymać. Jak przeszła wam noc?

- Wiesz już, gdzie ją spędziłyśmy?

- Słyszałem.

- Czuję się jak kopciuszek - uśmiechnęła się Caroline Ryan, doktor medycyny.

John Patrick Ryan, doktor nauk humanistycznych, poruszył palcami lewej ręki.

- Podejrzewam, że to ja zostanę złą macochą. Podobno wybierasz się na wycieczkę tam, gdzie mieliśmy jechać razem. I dobrze.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

- Po to między innymi są te wakacje, żebyś odpoczęła od szpitala. Nie ma sensu taszczyć do domu niewykorzystanych filmów, nie uważasz?

- Z tobą byłoby zabawniej.

Jack skinął głową. On też miał straszną ochotę zobaczyć te wszystkie zamki. Wszystko już mieli zaplanowane. Jak wielu Amerykanów, Ryan nie akceptował klasowego rozwarstwienia społeczeństwa angielskiego, ale to nie zmniejszyło jego fascynacji dostojnością tradycji tego kraju. Tradycji, czy czegoś w tym rodzaju, pomyślał. Może jako szlachcic będzie to widział z innej perspektywy?

- Nie przejmuj się. Wszystko ma swoje dobre strony. Dostałaś przewodnika, który powie ci, co tylko zechcesz wiedzieć o każdym napotkanym zamku lorda Jonesa czy Smitha. Przynajmniej będziesz miała więcej czasu.

- Tak - westchnęła. - Policja twierdzi, że będziemy musieli zabawić tutaj dłużej, niż planowaliśmy. Porozmawiam o tym z profesorem Lewindowskim - wzruszyła ramionami. - W szpitalu jakoś się z tym będą musieli pogodzić.

- Jak ci się podoba nowa kwatera? Lepsza niż hotel?

- Będziesz to musiał zobaczyć... Nie, tego trzeba po prostu doświadczyć - zaśmiała się. - Podejrzewam, że gościnność jest tutaj narodowym sportem. Pewnie uczą jej w szkole i co semestr każą zdawać egzaminy. Zgadnij, z kim dzisiaj jemy kolację?

- Nie muszę zgadywać.

- Jack, oni naprawdę są bardzo mili.

- Zauważyłem. Traktują cię jak ważną osobistość.

- Co to jest, to Special Air Service... czy on jest kimś w rodzaju pilota?

- Poniekąd - wymijająco odparł Jack. Wiedział, że Cathy będzie się czuła niepewnie, siedząc obok faceta, który nosi broń pod pachą i przywykł jej używać w sposób równie pozbawiony skrupułów, co wilk swoich kłów. - Nie pytasz jak się czuję.

- Widziałam twoją kartę chorobową. Pokazali mi ją po drodze - wyjaśniła Cathy.

- I?

- Wracasz do zdrowia, Jack. Zauważyłam, że możesz ruszać palcami. O to się właśnie martwiłam.

- Dlaczego?

- Jest takie skupisko nerwów w okolicy barku, to się nazywa splot ramienny. Kula minęła je o dwa centymetry. I dlatego możesz ruszać palcami. Krwawiłeś tak, że obawiałam się przecięcia tętnicy, a ona biegnie tuż obok splotu ramiennego. Uszkodzenie go wyłączyłoby ci rękę na dobre. Ale - uśmiechnęła się - szczęściar z ciebie. Złamanie kości to głupstwo. Poboli i zagoi się.'

Lekarze potrafią być tak cudownie obiektywni, pomyślał Ryan. Nawet jeśli lekarz jest twoją żoną. Zaraz mi powie, że ten ból dobrze mi robi.

- Ból jest w tym przypadku dobrą oznaką - ciągnęła Cathy. - To sygnał, że nerwy są w porządku.

Jack przymknął oczy i pokręcił głową. Poczuł, że Cathy bierze go za rękę.

- Jack, bardzo jestem z ciebie dumna.
- Przyjemnie być żoną bohatera?
- Dla mnie zawsze byłeś bohaterem.
- Czyżby? - Nigdy mu tego nie mówiła. Cóż może być bohaterskiego w zawodzie historyka?

Cathy nie wiedziała o innych jego zajęciach, ale one też nie wymagały specjalnego heroizmu.

- Od kiedy powiedziałeś ojcu, żeby się... no wiesz. A poza tym Kocham cię. Chyba o tym nie zapomniałeś?

- Czuję, że niedługo sobie przypomnę. Cathy zrobiła groźną minę.
- Na razie wybij to sobie z głowy.
- Tak, tak - dla odmiany skruszoną minę zrobił Ryan. - Pacjent musi zbierać siły... i tak dalej.

Czy ta teoria zgadza się z zasadą, że dobre traktowanie przyspiesza powrót do zdrowia?

- No tak, mam za swoje, że pozwoliłam ci czytać pisma medyczne. Cierpliwości, Jack.

Do pokoju zajrzała siostra Kittiwake, ale widząc u Jacka rodzinę, szybko się wycofała.

- Niełatwo być cierpliwym - powiedział Jack, przeciągle spoglądając na zamykające się drzwi.

- Figę, nie nabierzesz mnie - uśmiechnęła się Cathy. - Za dobrze cię znam.

Miała, oczywiście, rację. Jack wiedział o tym. Nie mógł jej nawet postraszyć. No tak... oto co się dzieje, jak człowiek straci głowę dla własnej żony.

Cathy pogładziła go po twarzy.

- Czym się dzisiaj goliłeś? Zardzewiałym gwoździem?

- Mniej więcej... potrzebna mi moja maszynka. I może notatki?

- Przyniosę ci je albo przyślę przez kogoś. - Cathy podniosła głowę, bo do pokoju wszedł

Wilson.

- Tony, to jest Cathy, moja żona, a to moja córka, Sally. Cathy, przedstawiam ci Tony'ego

Wilsona. To on jest tym policjantem zamienionym w niańkę.

- Widzieliśmy się chyba wczoraj wieczorem. - Cathy nigdy nie zapominała twarzy raz spotkanych osób. O ile sobie Jack przypominał, niczego właściwie nie zapominała.

- Możliwe, ale nie mieliśmy okazji rozmawiać. To był gorący wieczór dla nas wszystkich.

Dobrze pani wygląda, Lady Ryan.

- Jak, proszę? Lady Ryan?

- Nie powiedzieli ci? - zachichotał Jack.

- O czym?

Jack udzielił żonie koniecznych wyjaśnień.

- Jak się czujesz, jako żona szlachcica? - zapytał.

- Czy to znaczy, że musisz sobie kupić konia, tato? - z nadzieją w głosie spytała Sally. - Będę mogła sobie na nim pojeździć?

- Jack, czy to jest zgodne z prawem?

- Powiedzieli mi, że ich premier i nasz prezydent będą dzisiaj o tym rozmawiać.

- Dobry Boże - westchnęła Lady Ryan. Po chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Ze mną nie zginiesz, mała - zaśmiał się Jack.

- Tato, co będzie z tym koniem? - Sally nie zamierzała szybko ustąpić.

- Jeszcze nie wiem. Zobaczymy. - Jack ziewnął. Nie sądził, by konie nadawały się do czegokolwiek, poza wyścigami, no może

jeszcze do uciekania od podatków. Chociaż, szablę już mam, pomyślał.

- Myślę, że tato powinien się zdrzemnąć - powiedziała Cathy. - A ja muszę coś sobie kupić na dzisiejszą kolację.

- O, Boże! -jęknął Ryan. - Następna szafa ciuchów.

- Czyja to wina, Sir John? - uśmiechnęła się Cathy.

Spotkali się we „Flanaghans's Steakhouse” na o'Connell Street w Dublinie. Był to dość wysoko notowany lokal, ale jego obroty w ostatnim sezonie turystycznym ucierpiały nieco z powodu bliskości baru McDonalda. Ashley skracał sobie czas oczekiwania popijając whiskey. Po chwili przysiadł się do niego nieznajomy mężczyzna. Dwaj inni zajęli stolik w przeciwnym końcu sali, bacznie obserwując otoczenie. Ashley był sam. Nie po raz pierwszy uczestniczył w takim spotkaniu. Obie strony uważały Dublin za teren neutralny. Oczywiście nie zawsze. Mężczyźni z drugiego końca sali mieli za zadanie wypatrywać agentów Gardy, irlandzkiej policji.

- Witam w Dublinie, panie Ashley - przywitał się przedstawiciel PIRA.

- Dziękuję, panie Murphy - odparł oficer kontrwywiadu. - Na zdjęciu, które mamy w pańskich aktach, wygląda pan dużo gorzej.

- Młody byłem wtedy i głupi. I bardzo próżny. Nie dbałem o takie rzeczy jak golenie - wyjaśnił Murphy. Sięgnął po leżące przed nim menu. - Podają tutaj wyśmienite steki, i zawsze mają świeże warzywa. Latem nie można się opędzić od turystów, przynajmniej od tych, co nie chcą żreć frytek naprzeciwko. Jak zwykle, gdzie się pojawią, ceny idą w górę. Dzięki Bogu, do tej pory zdążyli wrócić do Ameryki, a ich pieniądze przydadzą się temu biednemu krajowi.

- Jakie ma pan dla nas informacje?

- Informacje?

- To pan prosił o to spotkanie, panie Murphy - przypomniał Ashley.

- Celem tego spotkania jest przekonanie was, że nie mamy nic wspólnego z tą wczorajszą idiotyczną partanią.

- Tyle to mogłem przeczytać w gazetach... i przeczytałem.

- Uznałem, że w tym przypadku wskazany jest bezpośredni kontakt, panie Ashley.

- Dlaczego mielibyśmy wam wierzyć? - zapytał Ashley, pociągając łyk whiskey. Zwracali się do siebie spokojnym, zrównoważonym tonem, chociaż nie uległo wątpliwości, co myślą o sobie nawzajem.

- Dlatego, że nie jesteśmy aż takimi wariatami - odparł Murphy. Do stolika zbliżył się kelner i przyjął zamówienia. Ashley wybrał wino, bordeaux obiecującego rocznika. I tak nie płacił za ten posiłek z własnej kieszeni. Samolot, którym przyleciał z lotniska Gatwick w Londynie wylądował raptem czterdzieści minut temu. Propozycja spotkania nadeszła nad ranem, w postaci telefonu do ambasady brytyjskiej w Dublinie. Kelner odszedł i Ashley wrócił do przerwanej rozmowy.

- Jest pan tego pewien? - spytał, patrząc w zimne, niebieskie oczy siedzącego naprzeciw niego mężczyzny.

- Członkowie rodziny królewskiej uznani zostali za nietykalnych. Wszyscy oni stanowią doskonały cel polityczny - Murphy uśmiechnął się - ale od pewnego czasu zdajemy sobie sprawę, że atak na nich przyniosłby skutki odwrotne od zamierzonych.

- Doprawdy? - Tylko Anglik potrafi wymówić to słowo w sposób nadający mu subtelny odcień zniewagi. Na twarzy Murphy'ego pojawił się rumieniec gniewu.

- Panie Ashley, jesteśmy wrogami. Zabić pana nie byłoby mi trudniej, niż zjeść z panem obiad. Ale nawet wrogowie mogą się czasem porozumieć, czyż nie?

- Proszę, słucham.

- Nie braliśmy w tym udziału. Daję panu na to moje słowo.

- Słowo marksisty-leninisty? - Ashley uśmiechnął się złośliwie.

- Widzę, że prowokowanie ludzi jest pańską specjalnością, panie Ashley. - Murphy także

próbował się uśmiechnąć. - Ale musi pan zaczekać. Dzisiaj jestem tutaj z misją pokoju i porozumienia.

Ashley omal nie parsknął śmiechem, ale opanował się, kryjąc twarz za szklanką.

- Panie Murphy, nie uroniłbym nawet jednej łzy, gdyby nasi chłopcy pana dopadli, ale muszę przyznać, że jest pan godnym przeciwnikiem. Łotrem, ale nie pozbawionym klasy,

Ach, to angielskie poczucie fair play, pomyślał Murphy. Dlatego to my w końcu zwyciężymy, panie Ashley.

Nie zwyciężycie. Ashley bez trudu odgadł myśli Irlandczyka.

- Co mam zrobić, żeby pana przekonać? - rzeczowo zapytał Murphy.

- Nazwiska i adresy - spokojnie odparł Ashley.

- Nie. Sam pan wie, że to niemożliwe.

- Jeśli chodzi wam o coś w rodzaju wymiany, tylko w ten sposób możecie to osiągnąć.

Murphy westchnął.

- Na pewno zna pan naszą strukturę organizacyjną. Myśli pan, że mogę wystukać polecenie na jakimś cholernym komputerze i on wydrukuje mi spis naszych ludzi? Sami nie wiemy, kto jest kim. Niektórzy po prostu się wykruszają. Wielu przenosi się na południe i tam znika bez śladu, bardziej obawiając się nas, niż was. I słusznie. O tym facecie, którego wzięliście żywcem, Seanie Millerze, nigdy dotąd nie słyszeliśmy.

- A Kevin O'Donnell?

- Tak, prawdopodobnie on jest ich przywódcą. Przepadł bez wieści cztery lata temu, po tym, jak... zresztą, zna pan tę sprawę równie dobrze jak ja.

Kevin Joseph O'Donnell, przypomniał sobie Ashley. Obecnie trzydzieści cztery lata. Metr osiemdziesiąt wzrostu, siedemdziesiąt pięć kilogramów, kawaler. To wszystko może być już zupełnie nieaktualne. Kierował strukturą bezpieczeństwa wewnętrznego PIRA, odpowiedzialną za czystość szeregów organizacji. Tymczasowi nigdy nie mieli równie bezlitosnego szefa kontrwywiadu. Pozbyli się go, gdy wyszło na jaw, że wykorzystywał swoją władzę do zwalczania ludzi o niewłaściwych, jego zdaniem, poglądach politycznych. Nie wiadomo, ilu uczciwych członków organizacji zabił lub okaleczył, zanim dowódca brygady przejrzał jego grę. Mówiono o dziesięciu, może piętnastu. Dziwne, pomyślał Ashley, że w ogóle udało mu się ująć z życiem. Niemniej co do jednego Murphy się mylił: Ashley nie miał pojęcia co konkretnie stało się przyczyną banicji O Donnella.

- Nie rozumiem, dlaczego uparł się pan osłaniać tego człowieka i jego grupę. - Ashley oczywiście znał przyczynę takiej postawy Murphy'ego, ale jeśli była okazja dopiec facetowi, dlaczego z niej nie skorzystać?

- A jeśli go zakapujemy, co stanie się z organizacją?

- To wasz problem, panie Murphy. Ale rozumiem pański punkt widzenia. Powtarzam jednak: jeśli chce pan, żebyśmy panu uwierzyli...

- Pańskie nastawienie wydaje mi się bardzo typowe, panie Ashley. I znakomicie ułatwia zrozumienie istoty całego tak zwanego problemu irlandzkiego. Gdyby pański kraj spróbował oprzeć stosunki z Irlandią na obopólnej dobrej wierze, bez wątplenia nie rozmawialibyśmy tu dzisiaj. Nie sądzi pan?

Coś w tym co mówił Murphy zmuszało do zastanowienia. Ale Ashley już dziesiątki godzin spędził na rozważaniu historycznego podłoża konfliktu irlandzkiego. Kogo dziś winić za to, co stanowiło wypadkową pewnych decyzji politycznych i zwykłego przypadku? Kto w początkowej fazie kryzysu poprzedzającego I wojnę światową mógł przewidzieć, że uniemożliwi ona rozwiązanie, jakim miało być wprowadzenie ustawy o autonomii i że ówczesna Partia Konserwatywna posłuży się

tą kwestią jako bronią przeciwko liberałom? Wszyscy, którzy podejmowali tamte decyzje dawno umarli i odeszli w zapomnienie. Ich dzieje są już jedynie przedmiotem akademickich sporów nielicznej grupki historyków, najzupełniej świadomych, iż ich badania nie służą żadnym konkretnym celom. Na to od dawna było za późno. Czy istnieje jakieś wyjście z tego krwawego impasu? Ashley pokręcił głową. W końcu to nie jego sprawa. Niech zajmą się tym politycy. Chociaż trudno zapomnieć, że to właśnie oni, krok po kroku, doprowadzili do obecnej sytuacji.

- Jedno mogę panu powiedzieć, panie Ashley - Murphy urwał, bo przy stoliku zjawił się kelner. Obsługa w lokalu była zadziwiająco sprawna. Kelner, z całym należnym tej czynności ceremoniałem, otworzył butelkę, podał Ashleyowi korek do powąchania i nalał mu nieco wina do kieliszka. Anglik był zaskoczony jakością zasobów miejscowej piwniczki.

- Zaczął pan coś mówić - powiedział, kiedy kelner oddalił się.

- Grupa o'Donnella dysponuje bardzo cennymi informacjami. Nie uwierzyłby pan, jak cennymi. I otrzymuje je z waszej strony Morza Irlandzkiego, panie Ashley. Nie wiemy, kto ich dostarcza ani jak. Chłopak, który nam o tym doniósł, nie żyje od czterech lat. - Murphy umilkł, koncentrując się na smakowaniu brokułów. - No proszę, mówiłem, że warzywa będą świeże.

- Od czterech lat?

Murphy podniósł wzrok znad talerza.

- Czyżby nie znał pan tej historii? To niespodzianka, panie Ashley. Nazywał się Mickey Baird. Był bliskim współpracownikiem Kevina. To on właśnie... zresztą, pewnie pan się domyśla. Kiedyś w Londonderry, podczas rozmowy przy piwie, powiedział mi, że Kevin ma nowe, cholernie dobre źródło tajnych informacji. Następnego dnia nie żył. Dzień później Kevin uciekł. Spóźniliśmy się o godzinę. Od tej pory nie mieliśmy o nim żadnych wieści. Jeśli go znajdziemy, panie Ashley, uwolnimy was od kłopotów, a wasi mordercy z SAS mogą to sobie policzyć na swoje konto. To chyba uczciwa propozycja, prawda? Nie możemy jawnie współpracować z wrogiem, ale tak się składa, że ten facet jest i na naszej liście. Więc jeśli uda wam się go namierzyć, a nie będziecie chcieli wlec go do siebie, możemy za was wykonać brudną robotę. O ile, oczywiście, nie będziecie wchodzić naszym chłopcom w drogę. Więc jak, zgoda?

- Przekażę pańską propozycję - odparł Ashley. - Gdyby to ode mnie zależało, skłonny byłbym ją zaakceptować. Myślę, panie Murphy, że w tej sprawie możemy panu zaufać.

- Dziękuję, panie Ashley. Nie było to takie straszne, prawda? Obiad istotnie okazał się wyśmienity.

4

Gracze

Mrugał nerwowo, usiłując chronić oczy przed jaskrawymi rozbłyskami fleszy. Ekipa telewizyjna ustawiała już potężne reflektory, ale fotoreporterzy nie zamierzali czekać. Skąd ten pośpiech? - zastanawiał się Ryan. Nie chciało mu się jednak pytać. Wszyscy bardzo uprzejmie interesowali się jego samopoczuciem. Nikomu jednak nie przyszło do głowy, że w pokoju nie ma prawie czym oddychać. Może gdyby Ryan zaczął się dusić, pomyśleliby o opuszczeniu salki.

Oczywiście, mogło być jeszcze gorzej. Na szczęście profesor Scott dość energicznie zwrócił uwagę reporterom, że jego pacjent potrzebuje spokoju. Czuwała także siostra Kittiwake, groźnie spoglądając na szczególnie natrętnych. Dzięki temu inwazja prasy została powstrzymana i ograniczona do liczby osób nie przekraczającej pojemności pokoju. Obejmowała ona także członków ekipy telewizyjnej. To było wszystko, co Jack mógł wytargować. Kamerzyści i technicy dźwięku zajęli miejsce, które w innym wypadku zajęliby wścibscy reporterzy.

Jack zdążył już przejrzeć poranne gazety. Zarówno „Times”, jak i „Daily Telegraph” informowały, że Ryan był (lub jest) pracownikiem CIA i w związku z tym nie zależy mu bynajmniej na rozgłosie. Wiadomość ta była w gruncie rzeczy dość odległa od prawdy. Przynajmniej pod względem formalnym. Przypomniało mu się co tam, w Langley, mówiono o przeciekach i jakim zainteresowaniem cieszył się jego projekt nazwany „Pułapką Na Kanarka”. Szkoda, że nie posłużono się tą procedurą w moim przypadku, pomyślał Ryan. Uniknąłbym wielu niepotrzebnych komplikacji. Ale prawdę mówiąc, to ja odrzuciłem ich ofertę. Nie odwrotnie.

- Gotowe - oznajmił technik oświetlenia. W chwilę później zabłyśły trzy reflektory, tak silne, że na wpół przymknięte oczy Jacka zasłyły łzami.

- Okropne są te światła - zauważył ze współczuciem jeden z dziennikarzy. Fotoreporterzy spokojnie trzaskali swoimi Nikonami z lampami błyskowymi.

- Nie da się ukryć - mruknął Jack. Do pizamy na piersiach przypięty miał podwójny mikrofon.

- Proszę coś powiedzieć - poprosił technik dźwięku.

- Jak się panu podobał Londyn, doktorze Ryan? Jest pan tu po raz pierwszy, prawda?

- Tak - odpowiedział uśmiechając się Ryan. - I nie chciałem, żeby mówiono o amerykańskich turystach, że nie odwiedzają Anglii ze strachu przed terrorystami. - Palancie, dodał w myśli.

Reporter zaśmiał się zadowolony.

- Rzeczywiście. I udało się panu, co?

Kamerzysta i operator dźwięku również byli gotowi. Ryan wypił łyk herbaty i zerknął w bok, aby upewnić się czy popielniczka jest poza zasięgiem kamery. Jakiś dziennikarz opowiadał koledze dowcip. Obecni byli korespondent telewizji NBC i londyński korespondent „Washington Post”, pozostali reprezentowali prasę brytyjską. Uzgodniono, że wszyscy będą mogli skorzystać z nagrywanego właśnie materiału. Na urządzenie konferencji prasowej w skali odpowiadającej zainteresowaniu po prostu nie było miejsca. Uruchomiono kamerę.

Zaczęły się zwykłe, typowe dla takich sytuacji pytania. Operator kamery przez dłuższy czas trzymał w kadrze rękę Ryana ukrytą pod ciężkim opatrunkiem i zawieszoną na wyciągu. Jack był pewny, że ujęciu temu będzie towarzyszył głos komentatora przekazującego relację o całym wydarzeniu, a zwłaszcza o okolicznościach, w jakich bohater programu odniósł ranę. Nie ma to jak odrobina dramatyzmu. Na użytek kamery Jack poruszył wystającymi z opatrunku palcami.

- Doktorze Ryan, w amerykańskiej i brytyjskiej prasie pojawiły się doniesienia, że jest pan pracownikiem Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- Czytałem o tym dziś rano. I było to dla mnie nie mniejszą niespodzianką, niż dla pana - uśmiechnął się Ryan. - Ktoś popełnił błąd. Nie wyglądam aż tak dobrze, żeby być szpiegiem.

- A więc zaprzecza pan tym informacjom? - spytał reporter „Daily Mirror”.

- Tak jest. To po prostu nieprawda. Wykładałem historię w Akademii Marynarki w Annapolis. Nietrudno to sprawdzić. W ubiegłym tygodniu przeprowadzałem egzaminy. Może pan spytać moich studentów. - Jack pokiwał lewą dłonią do kamery.

- Ale ta informacja pochodzi z poważnych źródeł, od wysoko postawionych osób - zauważył dociekliwym tonem dziennikarz z „Washington Post”.

- Jeśli poczyta pan trochę historii, zobaczy pan, że wiele wysoko postawionych osób znanych jest głównie z popełnionych błędów. Sądzę, że to właśnie się przydarzyło w tym wypadku. A ja uczę, piszę książki i prowadzę wykłady. Tak, rzeczywiście miałem kiedyś odczyt w CIA. Było to powtórzenie wykładu jaki miałem w Akademii na temat wojen morskich. Poza tym uczestniczyłem w pewnym sympozjum, które nie było nawet utajnione. Może stąd pochodzą te pogłoski. Jak już mówiłem, wszystko to można sprawdzić. Moje miejsce pracy to Leahy Hall, w Akademii Marynarki.

Myślę, że ktoś palnął głupstwo. Mogę udostępnić chętnym kopię tekstu tamtego wykładu. - Dobrze powiedziałem, pomyślał Ryan. Ktoś się wygłupił.

- Jak się pan czuje jako osoba ogólnie znana? - zapytał któryś z reporterów telewizji brytyjskiej. Ryan odetchnął. Dzięki za zmianę tematu, pomyślał.

- Sądzę - rzekł - że mógłbym się obyć bez tego rozgłosu. Nie jestem gwiazdorem filmowym.

Wystarczy spojrzeć na moją powierzchowność.

- Jest pan zbyt skromny, doktorze Ryan - zauważyła jakaś dziennikarka.

- Niech pani uważa. Moja żona prawdopodobnie nas ogląda. Rozległ się ogólny śmiech.

- Przypuszczam, że dla niej jestem dość przystojny. I to mi wystarcza. Mimo całego szacunku dla was, panie i panowie, z największą radością usunąłbym się na powrót w cień.

- Sądzi pan, że to możliwe?

- To zależy od tego czy szczęście mi sprzyja i czy wy, kochani, pozwolicie mi na to.

- Jak pana zdaniem powinniśmy postąpić z terrorystą, Seanem Millerem? - spytał gość z „Timesa”.

- O tym zadecydują sędzia i ława przysięgłych. Ja do tego nie jestem potrzebny.

- A czy pana zdaniem nasze prawo powinno przewidywać karę śmierci?

- My, w Stanach, mamy taką karę. Tutaj jest to problem dla waszych przedstawicieli, waszego parlamentu. Obaj żyjemy w ustroju demokratycznym, prawda? Ludzie, których wybieracie, powinni robić to, czego żądają od nich wyborcy. - Tak to wygląda w teorii, a że nie zawsze tak się dzieje w rzeczywistości...

- A więc popiera pan istnienie kary śmierci? - nie ustępował reporter „Timesa”.

- W szczególnych przypadkach, z zachowaniem ścisłej procedury prawnej - tak. Teraz pan spyta jakie przypadki mam na myśli, prawda? To jest punkt sporny. A nawiasem mówiąc, nie jestem ekspertem w dziedzinie prawa karnego. Mój ojciec był policjantem, ale ja jestem zwykłym historykiem.

- A jaki jest pana pogląd, jako Amerykanina irlandzkiego pochodzenia, na nasze Kłopoty? (The Troubles) - popularna nazwa konfliktu irlandzko-brytyjskiego. Wzięła się od terminu, jakim w brytyjskiej nowomowie urzędniczej określano niepokoje społeczne towarzyszące debacie nad autonomią (Home Rule) Irlandii w latach 1886-1912. Tuż przed wybuchem I wojny światowej ustawa wreszcie została uchwalona, ale do jej wprowadzenia w życie nie doszło na skutek zbrojnego buntu ulsterskich unionistów w 1913 roku. Kwestię autonomii Irlandii utracono na mocy przepisów wojennych w 1914 roku] - chciał wiedzieć reporter z „Telegraph”.

- Mamy dość własnych kłopotów w Ameryce, żeby dodatkowo zajmować się waszymi.

- Czyli, pana zdaniem, powinniśmy je rozwiązać?

- A jak pan uważa? Problemy są właśnie po to, żeby je rozwiązywać, czyż nie?

- Z pewnością ma pan jakąś koncepcję. Większość Amerykanów ma.

- A ja uczę historii i zostawiam ten kłopot innym. To tak samo, jak być dziennikarzem - Ryan uśmiechnął się szeroko. - Zabieram się do krytykowania ludzie długo potem, jak już podjęli decyzje. Z tego nie wynika, oczywiście, że wiem co należy robić dzisiaj.

- Ale wiedział pan jak postąpić we wtorek - zauważył korespondent „Timesa”.

Ryan wzruszył ramionami.

- Tak. Chyba wiedziałem - powiedział obraz Ryana na ekranie telewizora.

- Ty przemądrzały sukinsynu - mruknął Kevin Joseph O'Donnell, unosząc do ust szklanekę ciemnego Guinnessa. Jego baza operacyjna mieściła się o wiele dalej od granicy, niż można było przypuszczać. Irlandia jest małym krajem, a odległości to pojęcie względne, zwłaszcza dla tych,



których stać na zaspokojenie wszystkich swoich potrzeb. Jego byli koledzy z PIRA mieli liczne kryjówki wzdłuż całej granicy, bardzo dogodne do krótkotrwałych, szybkich wypadów na drugą stronę i równie szybkich powrotów. o'Donnellowi nie odpowiadało to z kilku względów. Brytyjczycy mieli na przygranicznym terenie zbyt wielu informatorów i ludzi związanych z wywiadem. Prócz tego stacjonujący w okolicy żołnierze SAS nie wahali się przekraczać granicy w celu porwania lub zlikwidowania bojówkarzy o zbyt dużym rozgłosie. Bo tolerowanie, czy nawet tworzenie rozgłosu wokół swojej osoby to bardzo poważny błąd. Granica może być wygodna dla obu stron. Poważniejszym zagrożeniem była dla o'Donnella sama PIRA, która także pilnie obserwowała granicę. Jego twarz, mimo kilku drobnych zabiegów chirurgicznych i zmiany koloru włosów, mogła być jeszcze rozpoznana przez dawnych kolegów. Ale nie tutaj. Zresztą, dla posiadacza samochodu, granica wcale nie była tak bardzo odległa. Nie mogła być w kraju, gdzie największa odległość w linii prostej wynosi niespełna pięćset kilometrów.

Odwrócił się od telewizora i spojrzął przez oprawione w ołów szyby na ciemną powierzchnię morza. Widział przesuwające się wolno światła promu płynącego z Hawru. Lubił ten widok. Nawet przy ograniczonej przez sztorm widoczności trudno było nie odczuć pierwotnej potęgi natury, kiedy szare fale z hukiem waliły w urwiste, skalne brzegi. Teraz, w spokojnym, chłodnym i przejrzystym powietrzu mógł niemal dojrzeć linię horyzontu, widoczną jako granica, poniżej której nie było gwiazd. Wypatrzył kolejne ruchome światełko. Jakiś statek podążał na wschód do nieznanego portu. Sprawiał mu przyjemność fakt, że ten okazały, solidny dom na przylądku należał kiedyś do brytyjskiego lorda. Odczuwał też głęboką satysfakcję na myśl, że udało mu się go kupić za pośrednictwem specjalnie w tym celu założonej, nie istniejącej już, spółki. Uniknęło się w ten sposób kłopotów związanych z wyjaśnianiem pochodzenia pieniędzy i całą prawną stronę transakcji. Bo też miejscowa społeczność była zadziwiająco mało odporna na pozory. Jak każda zresztą społeczność, zwłaszcza kiedy pojawi się ktoś z pieniędzmi i w garniturze od dobrego krawca. Płytcy ludzie. Pozbawieni czujności politycznej. Trzeba wiedzieć kto jest twoim wrogiem. o'Donnell powtarzał to sobie każdego dnia co najmniej dziesięć razy. Nie jest nim liberalne, demokratyczne społeczeństwo. Wrogami są ludzie, z którymi trzeba się kontaktować, zawierać kompromisy, dochodzić do porozumienia, współpracować.

Głupcy, skazani na samozagładę. Ignoranci, zasługujący na likwidację, myślał z pogardą o'Donnell.

Wszyscy oni kiedyś znikną, jak jeden z tych statków przesuwających się bezgłośnie poniżej linii horyzontu. Historia jest nauką ścisłą, procesy historyczne są nieuniknione i nieodwracalne. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Obrócił się ponownie i zatrzymał wzrok na ogniu płonącym na wielkim, kamiennym kominku. Kiedyś wisiały nad nim poroża lub wypchane głowy jeleni, może też ulubiona strzelba na ptactwo, na pewno firmy Purdey. I oczywiście malowidło, może dwa. A na nich, rzecz jasna, konie! Jasne! Musiały być konie. o'Donnell niemal widział je w wyobraźni. Mieszkający na wsi dżentelmen, były właściciel tego domu, rozmyślał, to z pewnością jeden z tych, którzy otrzymali wszystko, co posiadali, bez własnego wysiłku. Żadna ideologia nie przenikała do jego pustej, bezużytecznej głowy. Siadywał w fotelu, takim jak ten tutaj, popijał swoją whisky i gapił się w ogień na kominku, mając przy nogach swojego ulubionego psa. Może jeszcze pogadywał ze swoim sąsiadem o dzisiejszym polowaniu i planował jutrzejsze. Jak sądzisz, Bert? Znów na ptaki, czy na lisa? Od tygodni nie mieliśmy porządnej gonitwy za lisem. Czas już spróbować, nie uważasz? Tak mniej więcej musiało to wyglądać, o'Donnell był tego pewny. Zastanawiał się czy lord, tak jak i jego sąsiad, brał pod uwagę takie drobiazgi jak sezon łowiecki czy okres ochronny. Pewnie kierował się

tylko chwilowym nastrojem, zachcianką. Obecny właściciel tego domu nigdy nie polował na zwierzęta, jaki ma sens zabijanie stworzeń, które nie mogą wyrządzić krzywdy ani tobie, ani Sprawie, a do tego nie reprezentują żadnej ideologii? U Anglików zwyczaj polowań był i jest powszechny, a miejscowe ziemiaństwo przejęło ich styl życia. Ale o'Donnell nie zamierzał walczyć z miejscowym, irlandzkim ziemiaństwem. Nie byli warci nawet jego pogardy, a co dopiero jakiejś akcji przeciwko nim. W każdym razie nie teraz. Czy można nienawidzić drzewa? Po prostu ignoruje sieje do chwili, kiedy należy je ściąć. Znów przeniósł wzrok na telewizor.

Wciąż jeszcze pokazywali Ryana, rozmawiającego uprzejmie z półgłówkami z prasy. Cholerny bohater. Czemu wtykasz nos w nie swoje sprawy? Wścibski durniu! Nie wiesz nawet o co tu chodzi. Nikt z was nie wie.

Amerykanie. Ci durnie Tymczasowi ciągle chcieliby wszystko omawiać przedtem z wami. Wciskają wam swoje łgarstwa twierdząc, że to oni reprezentują Irlandię. Co wy, Jankesi, możecie wiedzieć o czymkolwiek? „Nie możemy sobie pozwolić na utratę sympatii Amerykanów”, powtarzają ciągle Tymczasowi. Cholerne kowboje, z tymi ich pieniędzmi, z tą arogancją, z ich wyraźnym, niezachwianym rozgraniczeniem dobra i zła, z ich dzieciinną wizją irlandzkiego przeznaczenia. Jak dzieci ubrane do pierwszej komunii. Tacy czyści i naiwni. I tak bezużyteczni z ich nędznymi, groszowymi datkami. Bo mimo brytyjskich narzekań na NORAIID (Akcja, w ramach której Amerykanie irlandzkiego pochodzenia udzielają pomocy finansowej między innymi rodzinom uwięzionych Irlandczyków] o'Donnell wiedział, że w ciągu ostatnich trzech lat PIRA nie dostała z Ameryki nawet miliona dolarów. Wszystko, co Amerykanie wiedzą o Irlandii pochodzi z filmów. Reszta to kilka na wpół zapomnianych piosenek śpiewanych w dniu św. Patryka i od czasu do czasu butelka irlandzkiej whiskey. A co oni wiedzą o życiu w Ulsterze, o ucisku imperialistów, o tym jak Irlandia jest coraz bardziej uzależniana od rozkładającego się Imperium Brytyjskiego, które z kolei samo popada w zależność od imperializmu Ameryki? Co oni wiedzą w ogóle, o czymkolwiek? Ale nie wolno nam obrażać Amerykanów.

Przywódca ULA dopił piwo, wstał z fotela przed kominkiem i usiadł przy stole.

Dobro Sprawy nie wymaga przesadnych wyrzeczeń. Wystarczy jasno określony ideologicznie cel, zespół odpowiednich ludzi i grupa przyjaciół. Prawdziwych przyjaciół, mających dostęp do przyzwoitych środków materialnych. I to wszystko. Po co zaśmiecać Sprawę tymi cholernymi Amerykanami? A jeszcze to skrzydło polityczne, ta Sinn Fein i wygłupianie się z udziałem w wyborach do parlamentu! Oni po prostu mają nadzieję, że brytyjski imperializm wreszcie ich przygarnie. Rzeczywiście ważne i wartościowe cele polityczne uznali za nieosiągalne. W rezultacie ludzie ze zdziwieniem zastanawiają się dlaczego Tymczasowi zmierzają donikąd? Ich ideologia zbankrutowała. I jeszcze okazało się, że brygady są zbyt liczne. Kiedy zaczęły się aresztowania, prędzej czy później ktoś musiał się załamać i wsypać swoich towarzyszy.

Wymagany w tego rodzaju działaniach poziom odpowiedzialności narzuca konieczność stworzenia małej grupy elitarnej. Taką elitę o'Donnell już miał. Potrzebny ci jeszcze właściwy plan, mruknął do siebie z ledwo zauważalnym uśmiechem. Tak, on, Kevin o'Donnell miał swój plan i żaden Ryan nie był w stanie go pokrzyżować.

- Ten sukinsyn jest bardzo zadowolony z siebie, nie sądzi pan? o'Donnell odwrócił się, żeby wziąć podaną mu nową butelkę

Guinnessa i napełnił szklanę.

- Sean powinien był uważać co się dzieje za plecami. Ten cholerny bohater byłby teraz trupem - powiedział. - A cała akcja zakończyłaby się sukcesem. Niech to szlag trafi.

- To możemy jeszcze zrobić, szefie. o'Donnell pokręcił głową.

- Nie będziemy tracić energii na rzeczy nieistotne. Tymczasowi robią to od dziesięciu lat i widzisz do czego to ich doprowadziło.

- A jeśli on jest z CIA? Może mamy wśród swoich kogoś, kto dał mu...

- Nie bądź durniem - przerwał mu o'Donnell. - Gdyby dostał jakiś cynk, cała policja Londynu przebrana w cywilne garnitury czekałaby tam na nas. - A ja wiedziałbym o tym wcześniej, pomyślał. Tylko jeden członek Organizacji znał jego źródło informacji, a on znajdował się teraz w Londynie. - Zdecydował traf. Dobry dla nich, zły dla nas. Po prostu los szczęścia. W twoim wypadku mieliśmy szczęście, co Michael? - Jak każdy Irlandczyk o'Donnell zawsze wierzył w los, w szczęście. Wyznawana ideologia jakoś nie miała wpływu na ten przesąd.

Jego młody rozmówca milczał. Myślał w tej chwili o osiemnastu miesiącach spędzonych w więzieniu Long Kesh. Telewizja skończyła nadawanie wiadomości, przechodząc do innego tematu. o'Donnell wyłączył telewizor i zamyślił się. Mieć szczęście. To jest wszystko. Jakiś forsiasty, wścibski Jankes miał ogromne szczęście. Każde przypadkowe zdarzenie, takie jak przebita opona samochodowa, felerna bateryjka do radia, nagła ulewa, wszystko może być źródłem niepowodzenia akcji. Jego przewaga nad przeciwnikami polega na tym, że oni muszą mieć szczęście zawsze, o'Donnellowi wystarczy jeśli będzie miał szczęście jeden raz. Zastanawiał się nad oglądanym przed chwilą programem telewizyjnym i zdecydował, że Ryan nie jest wart wysiłku.

Nie wolno obrażać Amerykanów, przyszło mu ponownie na myśl i tym razem wywołało zdziwienie. Dlaczego? Czyż nie są wrogami, tak jak inni? Patrick, chłopcze, myślisz teraz jak ci idioci z PIRA. Cierpliwość jest dla prawdziwego rewolucjonisty cechą najważniejszą. Należy czekać na właściwy moment i wtedy uderzyć. Zadać decydujący cios.

Czekał na następny meldunek swojego wywiadu.

Księgarnia-antykwarjat mieściła się w Burlington Arcade, stuletnim pasażu ze sklepami, na tyłach najmodniejszej części Piccadilly. Wciśnięta była między sklep jubilerski i jeden z wielu londyńskich zakładów krawieckich. Jak każda przyzwoita księgarnia tego typu, antykwarjat przeniknięty był tym niepowtarzalnym zapachem, który zwabiał bibliofilów równie nieodparcie jak zapach kwietnego nektaru zwabia pszczoły. Jest to kombinacja zapachu pleśni, pyłu z wyschniętego papieru i skórzanych opraw. W tym otoczeniu niemal raził młody właściciel sklepu i zarazem sprzedawca.

Każdy dzień zaczynał od odkurzania półek miotełką z piór i nieodmiennie książki pokrywały się na powrót nową porcją kurzu. Tym samym kurzem przyprószone było na ramionach ubranie właściciela. On sam zdążył już polubić tę specyfikę swojego zawodu. Polubił też, a nawet więcej, pokochał atmosferę sklepu, będącego źródłem nieregularnych, ale całkiem pokaźnych dochodów, uzależnionych nie tyle od napływu turystów, co od pewnej liczby stałych klientów z bogatszej warstwy społeczności Londynu. Prowadząc tego rodzaju interes pan Dennis Cooley musiał oczywiście dużo podróżować, często opuszczając Londyn dość nagle, aby wziąć udział w aukcji zasobów bibliotecznych jakiegoś zmarłego dżentelmena. W takich wypadkach sklep zostawał pod opieką pewnej młodej damy, która mogłaby być nawet całkiem ładna, gdyby trochę o to zadbała. Tego dnia Beatrix była nieobecna.

Pan Cooley miał bardzo stare biurko z lękowego drzewa, harmonizujące z całością wystroju sklepu oraz twarde krzesło obrotowe. Zwracał tym uwagę klientów na fakt, że nic w jego sklepie nie jest nowoczesne. Nawet buchalteria prowadzona była ręcznie, bez użycia elektronicznych kalkulatorów. Podniszczona księga kasowa, zawierająca zapisy od lat trzydziestych, zawierała rejestry tysięcy transakcji. Sklepowym katalogiem książek były dwa niewielkie drewniane pudełka. Jedno zawierało karty katalogowe uszeregowane według tytułów, a drugie według nazwisk autorów.

Wszystkie zapisy prowadzone były wiecznym piórem ze złotą stalówką. Jedynym nowoczesnym akcentem był znak zakazujący palenia tytoniu. Istotnie, zapach dymu tytoniowego mógłby zniszczyć niepowtarzalny aromat antykwariatu. Na oficjalnej papeterii sklepowej oraz na opakowaniach widniały herby czterech członków królewskiej rodziny, z dumnym tytułem Dostawcy Dworu, informującym że Ich Królewskie Wysokości raczyły uznać się za potencjalnych klientów tej firmy. Trzeba dodać, że pasaż odległy jest od Pałacu Buckingham zaledwie o dziesięć minut niespiesznego marszu. Nad sklepowymi drzwiami wisiał srebrny dzwonek liczący sobie sto lat. W tej właśnie chwili rozległ się jego dźwięk.

- Dzień dobry, panie Cooley.

- Dzień dobry panu - odpowiedział Dennis, witając jednego ze swych stałych klientów. Akcent Cooleya był tak neutralny, że klienci skłonni byli uznać go za pochodzącego z trzech różnych regionów kraju. - Mam egzemplarz pierwszego wydania Defoe. Dzwonił pan w tej sprawie na początku tygodnia. Wczoraj nadszedł.

- Czy to ten ze zbioru w Cork, o którym pan wspomniał?

- Nie, proszę pana. Ten, o ile wiem, pochodzi ze zbiorów w posiadłości Sir Johna Claggetta, niedaleko opactwa Swaffham. Znalazłem to w antykwariacie Howsteada w Cambridge.

- Pierwsze wydanie?

- Z całą pewnością, proszę pana.

Księgarz nie okazywał żadnego podniecenia. Obaj posługiwali się kodem zawierającym zdania stałe obok zmiennych. Cooley często wyjeżdżał do Irlandii, zarówno do jej części północnej jak i południowej, i kupował książki ze zbiorów zmarłych zbieraczy. Odwiedzał też tamtejszych antykwariuszy. Kiedy klient wymieniał jakieś hrabstwo w Republice Irlandii, wskazywał w ten sposób odbiorcę informacji. Pytając o kolejny numer wydania książki wskazywał stopień ważności tej informacji. Cooley zdjął książkę z półki i położył ją na biurku. Klient otworzył ją delikatnie i przebiegł palcem po stronie tytułowej.

- W wieku wydań broszurowych albo oprawionych w tekturę...

- Rzeczywiście - przytaknął Cooley. - Skóra jest w doskonałym stanie.

Szacunek i uznanie obu mężczyzn dla sztuki introligatorskiej były prawdziwe. Każda dobra oprawa ma większą wartość, niż sądzi jej wykonawca. Gość potwierdził mruknięciem spostrzeżenie księgarza.

- Muszę to mieć. Ile? - spytał krótko.

Sprzedawca milcząc wyjął z pudełka kartę katalogową i wręczył ją klientowi. Ten spojrział na nią przelotnie.

- Załatwione - rzekł.

Usiadł na jedynym wolnym krześle i otworzył teczkę.

- Mam do pana jeszcze nieco inną sprawę. To jest wczesny egzemplarz „The Vicar of Wakefield”. Znalazłem to w ubiegłym miesiącu w małej księgarni w Kornwalii.

Wręczył książkę Cooleyowi. Księgarzowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby ocenić stan tomiku.

- Skandal - orzekł spokojnie.

- Czy pański pomocnik może to doprowadzić do porządku?

- No, nie wiem - odpowiedział księgarz.

Zastanawiał się. Skóra grzbietu okładki była popękana, część kartek miała „ośle uszy”, brzegi oprawy były tak wystrzępione, że zatraciła pierwotny kształt i rozmiary.

- Obawiam się, że strych, gdzie znaleziono tę książkę miał przeciekający dach - zauważył

obojętnym tonem klient.

- Oo!? - zdziwił się Cooley. Według ustalonego kodu jego zdziwienie było pytaniem: „Czy ta informacja jest aż tak ważna?” - Okropne marnotrawstwo - dorzucił po chwili.

- Czy można to wytłumaczyć czymś innym? - wzruszył ramionami klient.

- Zobaczę, co da się z tym zrobić. Ten mój pomocnik, jak pan wie, nie jest nadzwyczajnym specem.

Ta wypowiedź Cooleya zawierała w sobie ponowienie pytania: „Czy to jest rzeczywiście aż tak ważne?”

- Rozumiem. Cóż, niech to będzie zrobione jak tylko można najlepiej.

„Tak, to jest bardzo ważne”, odczytał Cooley odpowiedź klienta.

- Oczywiście, proszę pana.

Cooley otworzył szufladę biurka i wyjął kasetę na pieniądze.

Ten klient zawsze płacił gotówką. To oczywiste. Wyjął portfel i odliczył pewną ilość pięćdziesięciofuntowych banknotów. Cooley przeliczył pieniądze, a następnie włożył kupioną przez klienta książkę do solidnego tekturowego pudełka i przewiązał sznurkiem. Żadnych plastikowych toreb w tym sklepie! Sprzedawca i kupujący uścisnęli sobie dłonie. Transakcja została zawarta. Klient opuścił sklep i poszedł przez Burlington Arcade w kierunku południowym, następnie skręcił w prawo, w Piccadilly i ruszył w stronę pobliskiego Green Park i ku widocznemu stąd pałacowi Buckingham.

Cooley wyjął ukrytą w owej podniszczonej książce kopertę i włożył ją do szuflady. Dokonał odpowiedniego wpisu transakcji w książce kasowej, po czym zadzwonił do biura podróży i zamówił bilet na jutrzejszy lot do Cork, gdzie miał się spotkać z kolegą, także antykwariuszem, zjeść z nim lunch w restauracji „Old Bridge” i zdążyć na rejs powrotny do domu. Beatrix będzie musiała jutro sama prowadzić sklep. Cooley ani przez moment nie odczuł pokusy zapoznania się z zawartością koperty. To była nie jego sprawa. Im mniej wiedział, tym mniej był zagrożony w razie wpadki. Został przeszkolony przez zawodowców i pierwszą zasadą, jaką wbijano mu do głowy było, żeby wiedzieć tylko tyle, ile jest niezbędne. Wykonywał zadania wywiadowcze i musiał wiedzieć jak to należy robić. Nie musiał natomiast wiedzieć jakiej treści informacje odbiera i przekazuje.

- Witam, panie Ryan! - sympatyczny głos należał niewątpliwie do Amerykanina. Jack bez trudu rozpoznał wymowę charakterystyczną dla mieszkańców okolic Bostonu, znaną mu jeszcze z okresu studiów. Właściciel głosu był dobrze zbudowanym mężczyzną około czterdziestki. Łatwo się było domyślić, że nie jest słabeuszem. Ciemne, prawie czarne włosy już mu się trochę przeredziły. Pod pachą trzymał wiązankę kwiatów i sporą paczkę. Kimkolwiek był, zaciekało Ryana już to, że dyżurujący na korytarzu policjant otworzył przed nim drzwi.

- Uszanowanie - odpowiedział Ryan. - Z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Dan Murray. Jestem attache przy naszej ambasadzie, z ramienia FBI - wyjaśnił przybyły. - Przepraszam, że nie mogłem wpaść wcześniej, ale tyle spraw się zważyło naraz...

Murray pokazał swoją legitymację policjantowi, który towarzyszył Ryanowi. Tony Wilson znów miał wolne. Policjant przeprosił i wyszedł. Murray usiadł na zwolnionym krześle.

- Wygląda pan nieźle, mistrzu.

- Mógł pan zostawić kwiaty na dole. - Ryan wskazał ręką kwiaty rozmieszczone we wszystkich możliwych miejscach pokoju.

- Tak właśnie myślałem. Jak tu z żarciem?

- Jak to w szpitalu.

- To było do przewidzenia.

Murray rozwiązał wstążeczkę i zdjął pokrywę pudełka. Zawierało ono imponujących rozmiarów hamburger z frytkami.

- Czy Whooper będzie w porządku? Do wyboru są tu jeszcze koktajle. Waniliowy i czekoladowy.

Jack zaśmiał się. Tego właśnie potrzebował!

- Jestem tu już od trzech lat - mówił dalej Murray - i żeby przypomnieć sobie skąd pochodzę, muszę od czasu do czasu wpaść do tej czy innej knajpki serwującej coś do jedzenia w naszym stylu. Ciągle baranina, to może wreszcie zbrzydnąć. Chociaż piwo mają tu całkiem niezłe. Przyniósłbym parę butelek, ale sam pan wie...

- Już ma pan we mnie przyjaciela na całe życie, panie Murray, nawet bez tego piwa.

- Mam na imię Dan.

- A ja Jack.

Ryana kusiło, żeby natychmiast zabrać się do hamburgera i pochłonąć go, zanim przyjdzie pielęgniarka i zacznie egzekwować wymogi szpitalnego regulaminu. Oparł się jednak pokusie. Nie. Będę się nim delectował w samotności. Wybrał sobie koktajl waniliowy.

- Słyszałem, że to ty pomogłeś miejscowym ustalić moje dane personalne.

- To był drobiazg. - Murray wbił słomkę w wieczko czekoladowego koktajlu. - A przy okazji, mam dla ciebie pozdrowienia od ambasadora. Chciał tu przyjść, ale mają tam dzisiaj jakieś uroczyste przyjęcie i sprosili już gości. No i moi przyjaciele z holu na dole też przysyłają ukłony.

- A co to za jedni, ci „z holu na dole”? - zdziwił się Ryan.

- Ludzie, dla których nigdy nie pracowałeś - podniósł znacząco brwi agent FBI.

- Aha. - Jack przełknął kilka frytek. - Kto mógł rozgadać tę historię?

- Waszyngton. Jakiś reporter spotkał się na lunchu z czyims sekretarzem. Czy to ważne kto i z kim? Oni tam wszyscy za dużo gadają. Zapamiętał twoje nazwisko, widziane kiedyś pod jakimś raportem i nie mógł się powstrzymać od mielenia ozorem. Langley przesyła przeprosiny. Widziałem ten reportaż w telewizji. Wykręcałeś się wcale niezłe.

- Mówiłem prawdę. To znaczy prawie prawdę. Wszystkie czeki otrzymywałem z Mitre Corporation. Pewnie to kwestia wewnętrznej księgowości. Miałem z nimi kontrakt na doradztwo.

- Ale domyślałem się, że cały czas byłeś w Langley.

- Tak. Taka mała klitka na trzecim piętrze, z biurkiem, terminalem komputerowym i notatnikiem. Byłeś tam kiedy?

- Raz czy dwa razy - uśmiechnął się Murray. - ja zajmuję się również terroryzmem. Ale FBI ma lepszych speców od urządzania wnętrza. Poza tym ma Wydział Informacji i Propagandy. To także ułatwia pracę. Czyżbyś o tym nie wiedział? - Mówiąc to Murray parodiował londyński akcent. - Widziałem - mówił już poważnie - kopię twojego raportu. Dobra robota. Czy to wszystko twoje?

- W większości tak. Nie było to znów takie trudne. Po prostu spojrzałem na problem z innej strony, świeżym okiem.

- Przesłano ten twój raport tu, Brytyjczykom. To znaczy, jakieś dwa miesiące temu dotarł do Secret Intelligence Service. o ile wiem, bardzo im się spodobał.

- Czyli ich policja już wie?

- Nie jestem pewny. Można jednak przyjąć, że wie. Owens jest całkowicie wtajemniczony w te sprawy. - I Ashley też...

- Ten to trochę zadziera nosa. Ale jest bystry. On jest z piątki.

- Co takiego? - Ryan nie wiedział co to za skrót.

- Pracuje w MI-5, kontrwywiadzie. My to nazywamy krótko piątką - wyjaśnił Murray.

- Tak mi się też zdawało. Pozostali dwaj zaczęli pewnie jako patrolowi. To widać,

- Kilku panom wydało się dość dziwne, że facet, który napisał „Agenci i Agencje”, wdepnął w sam środek akcji terrorystycznej. Dlatego zjawił się tu Ashley. - Murray pokręcił głową. - Nie uwierzyłbyś, jakie przedziwne powiązania i zbiegi okoliczności napotykam w swojej pracy. Chociażby to nasze spotkanie.

- Domyślam się, że pochodzisz z Nowej Anglii. Zaczekaj! Nic nie mów, sam zgadnę- Boston College, tak?

- Zawsze chciałem być agentem FBI. A tam przyjmują po Boston College albo Holy Cross, nie słyszałeś? - Murray uśmiechnął się. Ten dowcip funkcjonował w FBI już od dwóch pokoleń i zawierał w sobie ziarenko prawdy.

Ryan oparł się plecami o poduszkę i popijał przez słomkę koktajl. Smakował mu jak nigdy.

- A tak w ogóle, co wiemy o tych typkach z ULA? - spytał. - Tam w Langley nie znalazłem zbyt wiele na ich temat.

- Bo też niewiele wiemy - potwierdził Murray. - Ich szefem jest gość, który nazywa się Kevin o'Donnell. Był przedtem w PIRA. Zaczynał od rzucania kamieniami na ulicach i wywindował się na pierwszą pozycję w ich kontrwywiadzie. Tymczasowi są całkiem dobrzy w tej materii. Muszą być dobrzy, bo Anglicy zawsze starali się przenikać do ich organizacji. Mówią, że trochę przesadził robiąc czystkę w organizacyjnej górze i ledwo zdążył zwiać, nim sprzątnęli jego samego. Po prostu zniknął i nikt go odtąd nie widział. Było kilka niepewnych doniesień jakoby przebywał jakiś czas w Libii lub że jest w Ulsterze ze zmienioną przez operację plastyczną twarzą, że ma dużo pieniędzy (ciekawe skąd?) i szasta nimi na lewo i prawo. Na sto procent wiemy tylko tyle że jest niebezpiecznym sukinsynem. A co do jego organizacji - mówił dalej Murray odstawiając kubek - musi być niezbyt liczna, mniej niż trzydzieści osób. Przypuszczamy, że należy do niej część zbiegłych zeszłego lata z więzienia Long Kesh. Uciekło wtedy jedenastu twardych, zawziętych weteranów PIRA. Dwa dni po ucieczce RUC (Royal Ulster Constabulary, Królewska Policja Ulsteru. Brytyjska formacja policyjna działająca w Północnej Irlandii. Powstała w 1921 roku z dawnej Royal Irish Constabulary, która od 1868 roku zwalczała irlandzkie ruchy niepodległościowe) zgarnęła jednego z nich. Powiedział, że sześciu z tej grupy ruszyło na południe, prawdopodobnie do paczki Kevina. Trochę go to wkurzyło, bo wszyscy mieli wrócić na łono PIRA, ale ktoś ich przekonał, żeby spróbowali czego innego. Krótko mówiąc, to są wredne typy, W sumie mają na swoim koncie piętnaście morderstw. Ten zastrzelony przez ciebie to jedyny spośród nich, który pokazał się od czasu ucieczki.

- Są rzeczywiście tacy dobrzy? - spytał Ryan.

- Ba, PIRA to najlepsi terroryści na świecie, jeśli nie liczyć tych bandziorów z Libanu, ale ci w większości wywodzą się z określonych grup etnicznych lub rodowych. Długo by o nich mówić. Tutaj najlepsi są ci z PIRA. Dobrze zorganizowani, wyszkoleni i w dodatku wierzący w swoją Sprawę. A do jakiego stopnia są oddani Sprawie to trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć.

- Miałeś już z nimi do czynienia?

- Co nieco. Miałem okazję być przy przesłuchaniu, to znaczy siedziałem po drugiej stronie takiego przeźroczyściego lustra. Jeden z nich, na przykład, nie chciał w ogóle mówić, nie podał nawet swojego nazwiska, przez cały tydzień! Siedział jak sfinks. Słuchaj. Łapałem bandytów napadających na banki, kidnaperów, gangsterów, szpiegów, kogo tylko chcesz. Wszyscy oni to zawodowcy. I tacy są ci z PIRA. Około pięciuset prawdziwych członków, mniej niż liczy sobie mafijna rodzina w Nowym Jorku. RUC, lokalni gliniarze, uważają za sukces aresztowanie i skazanie kilku ludzi z PIRA w ciągu roku.

Obowiązuje u nich prawo omerty i to w takim stopniu, że nawet starej daty Sycylijczycy byłiby pod wrażeniem. Ale policja wie przynajmniej z kim ma do czynienia. Co do ULA mamy parę nazwisk, kilka zdjęć i to wszystko. To coś jak islamscy głosiciele dżihad - świętej wojny. Wie się o nich tylko tyle że są, bo widać skutki ich działań.

- No właśnie. Co robią ci z ULA? - spytał Ryan.

- Wygląda na to, że specjalizują się w bardzo ryzykownych, spektakularnych akcjach. Ponad rok trwało gromadzenie dowodów, że oni w ogóle istnieją. Myśleliśmy początkowo, iż jest to grupa wyodrębniona z PIRA, przeznaczona do zadań specjalnych. Są swojego rodzaju anomalią wśród terrorystów. Nie składają żadnych oświadczeń prasowych, nie szukają społecznej akceptacji tego co robią. Z reguły mierzą bardzo wysoko, ale też, jeśli chodzi o konspirację, zacieranie śladów, są skuteczni nad podziw. Wszystko to wymaga środków, ktoś musi ich finansować i to na wielką skalę. Przypisujemy im dziewięć akcji na pewno i dwie z dużym prawdopodobieństwem. Przeprowadzili tylko trzy nieudane akcje, prawdziwy rekord. Nie udało im się zabić sędziego w Londonderry, bo granat z użytego przez nich RPG nie wybuchł, ale mimo to wyeliminował człowieka z ochrony sędziego. W lutym tego roku próbowali rozwalić koszary policji. Ktoś zobaczył ich przygotowania i zadzwonił gdzie trzeba. Ale te cwaniaki musiały mieć linię na podsłuchu, bo zwały zanim nadjechał oddział specjalny. Znalaziono na miejscu mózdzierz kalibru 82 mm i skrzynkę granatów, część burzących, część zapalających, z białym fosforem, jeśli chodzi o ścisłość. A w trzecim wypadku ty im wlałeś w drogę. - Murray zamilkł i zamyślił się. - Te kutasy zaczynają być bezczelne - dodał po chwili. - Z drugiej strony mamy wreszcie jednego.

- Mamy? - spytał zdziwiony Ryan. - Przecież to nie nasza sprawa.

- Mówimy o terrorystach, Jack. To dotyczy wszystkich. Wymieniamy się informacjami z Yardem, w jedną i w drugą stronę, na bieżąco. Tak czy inaczej, z tym typkiem, którego mają za kratkami, będą próbowali rozmawiać. Mają na niego haka. Bo widzisz, ULA to taka paczka swojego rodzaju wyrzutków, schodzących do roli pariasów. On, ten zapuszkowany, jest świadomy swojej sytuacji. Jego byli koledzy z PIRA i UNLA nie będą próbowali go bronić. A wsadzi się go do najlepiej strzeżonego więzienia, prawdopodobnie na wyspie Wight, gdzie siedzi już sporo naprawdę paskudnych bandytów. Nie wszyscy z nich są związani z polityką. A zwykli rabusie i mordercy, to może śmieszne, ale tak jest naprawdę, są na swój sposób bardzo patriotycznie nastawieni. Szpiedzy na przykład, są traktowani przez współwięźniów tak samo jak gwałciciele nieletnich. Ten facet podniósł rękę na rodzinę królewską, na jedyną rzecz poważaną, a nawet kochaną przez tych patriotów. Będzie miał więc bardzo ciężki żywot. Myślisz, że strażnikom zechce się przemęczać, żeby zadbać o jego bezpieczeństwo? Nauczy się tam bardzo wielu zupełnie nowych rzeczy. Nazywają to sztuką przetrwania. Jak już posmakuje więzienia, wezmą go na rozmowy. Wcześniej czy później będzie musiał się zdecydować, jak daleko sięga jego lojalność. Może się po prostu załamać. To się zdarza. O to, między innymi, walczymy. Przestępcy mają inicjatywę, my mamy organizację i wypróbowane metody działania. Jeśli oni popełniają błąd, powstaje szansa dla nas i możemy ją wykorzystać do dalszych działań.

Ryan kiwnął głową.

- Tak, na tym polega praca wywiadu.

- Otóż to. Bez właściwych informacji jesteśmy jak bez ręki. Pozostaje wtedy posuwać się mozolnie w obranym kierunku i czekać z nadzieją na ruch przeciwnika, na nową szansę. Ale dajcie nam jeden solidny fakt, a rozwalimy cały ten pieprzony światek terrorystów. To tak, jak z obaleniem muru z cegły. Najgorszy kawałek roboty, ale i najważniejszy, to poluzować pierwszą cegłę.

- A jak oni zdobywają informacje?



- Już słyszałem, że dobierałeś się do tego tematu - zauważył Murray z uśmiechem. - Bo nie sądzę - Ryan wydawał się trochę podniecony - żeby to był przypadek. Ktoś musiał przekazać wiadomość, uprzedzić. Uderzyli w ruchomy cel poruszający się po nie planowanej trasie.

- Skąd, u licha, wiesz o tym wszystkim? - zdziwił się agent.

- Mniejsza z tym, skąd. Ludzie tak mówią. Kto wiedział, że będą tamtędy przejeżdżać?

- To jest właśnie badane. Ciekawe też po co tamtędy jechali, w jakim celu. Oczywiście, całe to zdarzenie nie mogło być dziełem przypadku. Księżę jest regularnie informowany o aktualnej sytuacji politycznej i o sprawach bezpieczeństwa państwa. Tak samo królowa. Coś się ostatnio ruszyło w kwestii Irlandii. Trwają jakieś negocjacje między Londynem i Dublinem. Księżę jechał właśnie na odprawę, czy konferencję informacyjną. Tylko tyle ci mogę powiedzieć.

- Ejże! Skoro sprawdzałeś mnie, to musisz wiedzieć, że jestem czysty i dopuszczony do tajnych informacji.

Murray uśmiechnął się szeroko.

- Słuszny wniosek, mistrzu. Gdybyś nie był dopuszczony do tajemnic, nie powiedziałbym ci nawet tyle. Swoją drogą, my też nie jesteśmy jeszcze do tego wciągnięci na tak wysokim poziomie. Jak powiedziałem, to mógł być przypadek, ale twoje domysły są w większej części słuszne. Podróż nie została zaplanowana i ktoś musiał podać wiadomość o niej na zewnątrz, aby umożliwić zorganizowanie zasadzki. To jedyny sposób, żeby coś podobnego mogło się wydarzyć. Uważaj to za informację tajną, doktorze Ryan. Nie może ona wyjść poza te drzwi.

Murray był przyjazny i towarzyski, ale miał też bardzo poważny stosunek do swej pracy i swoich obowiązków. Jack kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Nie ma sprawy. Czy nie była to jednocześnie próba porwania? Agent FBI skrzywił się z powątpiewaniem i pokręcił przecząco głową.

- Przez moje ręce przeszło około pół tuzina przypadków kidnapingu i każdy z nich zakończył się wyrokiem skazującym. Straciliśmy tylko jednego zakładnika, tego dzieciaka zabili już pierwszego dnia. Sprawcy zostali skazani na karę śmierci. Byłem obecny przy egzekucji - powiedział zimno Murray. - Kidnapping - mówił po chwili dalej - jest przestępstwem o dużym ryzyku i to na każdym etapie. Przestępcy muszą być w określonym miejscu, żeby odebrać okup. I wtedy bywają najczęściej chwytni. Potrafimy śledzić ludzi w sposób dla wielu niewiarygodny i sprowadzić oddziały specjalne bardzo szybko i dokładnie tam, gdzie trzeba. W tym wypadku, mam na myśli przetarg z porywaczami, kiedy stawka jest niesamowicie wysoka, a pieniądze nie wchodzą w rachubę, zażądałoby oficjalnego zwolnienia pewnej liczby tak zwanych więźniów politycznych. Są poszlaki skłaniające do podejrzeń, że o to właśnie chodziło, ale jest jedna luka w tej hipotezie. Ludzie z ULA nigdy takiego ryzyka nie podejmowali. Bo też ucieczka po takiej akcji jest bez porównania trudniejsza, a oni o to bardzo dbają. Zawsze dokładnie planują i zabezpieczają trasę ucieczki. Powiedziałbym, że prawdopodobnie masz rację, ale to wszystko nie jest wcale tak proste i zrozumiałe jak ci się zdaje. Owens i Taylor nie wiedzą, co

o tym wszystkim sądzić, a twój znajomy z The Mali nie chce gadać. Ot  
1 kłopot.

- Powiedziałeś, że nigdy nie składają publicznych oświadczeń, tak? Czy w takim razie ta ich akcja nie była próbą wypłynięcia na szersze wody? Ich pierwsze publiczne oświadczenie towarzyszyłoby takiej spektakularnej operacji - Ryan zdawał się rozmyślać na głos.

- Słuszna uwaga - przytaknął Murray. - Na pewno po czymś takim pojawiliby się na mapie politycznej. Jak już mówiłem, nasza wiedza o tych ludziach jest bardziej niż skromna. Prawie

wszystko co wiemy pochodzi z drugiej ręki, w dodatku za pośrednictwem PIRA. Dlatego, nawiasem mówiąc, sądziliśmy że ULA to część PIRA. Nie byliśmy zorientowani do czego są zdolni. Każda ich operacja miała jakby podobną konstrukcję, podobny wzór. Nikt jednak dotychczas nie potrafił tego opisać. Chwilami wygląda na to, że wydźwięk polityczny ich akcji nie jest wcale skierowany przeciwko nam. Ale to z kolei nie ma sensu, jeśli w ogóle można doszukiwać się w tym wszystkim jakiegoś sensu. Niełatwe zadanie, taka próba psychoanalizy umysłowości terrorysty.

- Czy jest możliwe, żeby próbowali mnie dostać, albo... Murray pokręcił głową.

- Raczej nieprawdopodobne. Ochrona jest bardzo szczelna. Wiesz komu powierzono stałą opiekę nad twoją żoną i dzieciakiem?

- Pytałem już. SAS.

- Ten młody człowiek jest członkiem drużyny olimpijskiej w konkurencji pistoletu dowolnego. Słyszałem, że ma za sobą doświadczenie bojowe i sukcesy, o których nigdy nie wspominało w prasie. Oprócz tego mają reprezentacyjną eskortę OKD i szybki samochód pościgowy do dyspozycji na każdym kroku. Ochrona twojej osoby też jest imponująca. Jest w niej kilku najwyższej klasy ludzi z tej branży. Możesz być spokojny. A kiedy znajdziesz się już w domu, wszystko to przejdzie do przeszłości. Żadna z tych grup nie próbowała działać w Stanach Zjednoczonych. Jesteśmy dla nich zbyt ważni. NOROID ma dla nich większe znaczenie psychologiczne niż finansowe. Podróż do Bostonu to dla nich jak powrót do macierzy. Piją piwo, które ludzie stawiają im na każdym kroku i utwierdzają wszystkich w przekonaniu, że porządni z nich goście. Z tym byłby koniec, gdyby spróbowali podnieść takie piekło tam, po naszej stronie sadzawki. Nie wyszłoby im na zdrowie, gdyby każdy z nich stał się w Bostonie persona non grata. To jest jedyny naprawdę słaby punkt PIRA i innych organizacji irlandzkich. Szkoda, że nie możemy tego wykorzystać. Udało się zmniejszyć strumień broni przepływający do tych organizacji, ale teraz oni zdobywają ją z zupełnie innego kierunku. Albo produkują sami. Chociażby materiały wybuchowe. Wystarczy worek sztucznego nawozu takiego jak saletra amonowa i już można zrobić całkiem przyzwoitą bombę. A przecież nie aresztujesz farmera za to, że wiezie nawóz. Nie jest to tak szpanerski materiał, jak dobry plastik, ale bez porównania łatwiej go zdobyć. Co do ręcznej broni palnej i cięższych rzeczy, każdy może dziś zdobyć AK i granatniki RPG. Zwyczajnie kupić. Nie tego więc potrzebują od nas. Potrzebne im jest nasze wsparcie moralne. A tego chce im udzielać coraz mniejsza liczba ludzi. Nawet w Kongresie. Pamiętasz jak spierano się tam i walczono w sprawie traktatu o ekstradycji? Zadziwiające! Przecież ci ludzie to mordercy! Po obu stronach - mówił Murray po chwili przerwy. - Po stronie protestantów nie brak takich samych szaleńców. Tymczasowi likwidują jakiegoś protestanta. Wtedy UVF (Ulster Volunteer Force - protestanckie bojówki, wywodzące swój rodowód od Ulster Volunteer Corps założonego przez Edwarda Carsona w roku 1912, gdy Izba Gmin przyjęła wreszcie dyskusowaną od 1886 roku ustawę o autonomii Irlandii] wysyłają samochód do dzielnicy zamieszkałej przez katolików i wysadzają w powietrze pierwszy podpadający im obiekt.

Jedną trzecią zabitych w tej obustronnej krwawej szarpaninie stanowią ofiary przypadku. To samonapędzający się proces i nie widać jak dotąd końca tego łańcucha odwetów. Jedynym rozjemcą staje się policja. Wiem, że wśród RUC również można trafić na wielu potencjalnych przestępców. Ale trzeba przyznać, że to właśnie policja jest bliska uporządkowania tego bałaganu. Prawo musi być prawem dla każdego. Chociaż czasami łatwo o tym zapomnieć. Tak się zdarzyło u nas w Mississipi w latach sześćdziesiątych. Podobnie w Północnej Irlandii. Sir Jack Hermon stara się przekształcić RUC w normalną, zawodową policję. Jest tam sporo zbędnych ludzi jeszcze z minionych lat, ale stopniowo będą odchodzić. Już teraz tworzą regularne patrole. I tak powinno być. Policjanci padają ofiarą zamachów jednej i drugiej strony konfliktu. Ostatnio protestanci zabili policjanta. Wysadzili

jego dom w powietrze. - Murray pokręcił głową jakby zdziwiony własną relacją. - To nie do wiary - mówił dalej. - Byłem tam u nich przed dwoma tygodniami. Ich morale jest bardzo wysokie, zwłaszcza wśród młodych. Nie wiem jak do tego dochodzą. Chociaż chyba jednak wiem. Oni wierzą, że mają do spełnienia ważną misję. Policja i wymiar sprawiedliwości dążą wspólnie do umocnienia prawa i trzeba, żeby ludzie o tym wiedzieli. No i żeby widzieli na własne oczy, że to rzeczywiście jest robione. Oni są jedyną nadzieją dla tego skrwawionego kawałka ziemi. Oni i kilka wybitniejszych osobistości Kościoła. Może pewnego dnia zdrowy rozsądek wreszcie zwycięży, chociaż przypuszczam, że to jeszcze trochę potrwa. Dziękować Bogu za to, że byli tacy jak Tom Jefferson i Jim Madison. Niekiedy zastanawiam się jak daleko my sami jesteśmy od tych sekciarskich awantur. To coś jak wojna mafijna, w której uczestniczą wszyscy dokoła.

Admirał James Creer nacisnął guzik pilota, wyłączając telewizor w momencie kiedy CNN zakończyło nadawanie wiadomości.

- No i jak, panie sędzio?

Jego rozmówca, dyrektor CIA, strząsnął popiół z cygara do popielniczki z grubego szlifowanego szkła.

- Wiemy, James, że on jest bystry. Wygląda też na takiego, który wie jak się zachować wobec dziennikarzy. Ale jest zbyt porywczy - odpowiedział sędzia Artur Moore.

- Dajże spokój, Arturze. Przecież jest młody. A ja właśnie potrzebuję kogoś ze świeżym spojrzeniem, nowymi pomysłami. Powiesz mi teraz, że nie podobało ci się jego sprawozdanie, prawda? To był dopiero start, pierwsza próba. Zresztą, okazało się, że jest bardzo dobre!

Sędzia Moore uśmiechnął się, skryty za obłoczkim dymu z cygara. Za oknem gabinetu wicedyrektora do spraw wywiadu, na siódmym piętrze siedziby CIA, mżył drobny deszcz. Łagodne wzgórza doliny Potomaku zasłaniały widok na rzekę, ale w oddali widać było szczyty pagórków znajdujących się już na drugim brzegu. Bez porównania przyjemniejszy widok, niż parkingi na dole.

- A jego przeszłość? Powiązania środowiskowe?

- Głębszego sondażu jeszcze nie robiliśmy, ale założę się z tobą o butelkę twojego ulubionego bourbona, że wyjdzie zupełnie czysty.

- Nie, James, bez zakładów! - Moore przejrzał już opinię służbową Jacka z piechoty morskiej. Nawiasem mówiąc, to nie Jack ubiegał się o pracę w Agencji, ale Agencja proponowała mu współpracę, a on za pierwszym razem propozycję odrzucił. - Sądziś, że sobie poradzi?

- Naprawdę musisz się spotkać z tym chłopakiem. Ja go rozgryzłem w ciągu dziesięciu minut, kiedy był tutaj w lipcu.

- To ty zorganizowałaś ten przeciek?

- Ja? Przeciek? - Admirał Greer zaśmiał się cicho. - No cóż, pomyślałem sobie, że nieźle byłoby wiedzieć jak sobie poradzi. Nie mrugnął nawet okiem, kiedy postawiono go przed problemem. Chłopak całkiem serio traktuje swoje świadectwo dopuszczenia i na dokładkę - Greer podniósł rękę z teleksem z Londynu - zadaje nieźle pytania. Murray, jeden z ludzi Emila, też przyznał, że zrobił na nim wrażenie. Wiem to od samego Emila. To byłby cholerny wstyd zmarnować taki talent, kazać mu uczyć historii.

- Nawet jeśli uczy w twojej Alma Mater? Greer uśmiechnął się.

- Owszem, to trochę przykre. Ale chciałbym go mieć tutaj, Arturze. Poduczyć go, wyszkolić. On jest z tej samej gliny co my.

- Niestety nie wygląda na to, żeby był tego samego zdania,

- Będzie. - Greer nie miał wątpliwości.

- Okay, James. Jak zamierzasz podejść do niego?

- Nie ma pośpiechu. Po pierwsze muszę mieć gruntownie sprawdzone dane o jego przeszłości i środowisku. A potem kto wie? Może sam do nas przyjdzie?

- Nie widzę takiej szansy - skrzywił się sceptycznie sędzia Moore.

- Przyjdzie do nas po informacje o tej paczce ULA - powiedział spokojnie Greer.

Sędzia zastanowił się. O Jamesie Greerze wiedział, że widzi sprawy i ludzi tak, jakby byli ze szkła, na wylot.

- To by miało sens.

- Założę się, że ma. Trochę to potrwa. Attache mówił, że musi zostać tam do końca rozprawy w sądzie. Ale dwa tygodnie po powrocie będzie siedział tu, w tym gabinecie, prosząc o możliwość zajęcia się tą szajką ULA. A wtedy, jeśli się na to zgodzisz Arturze, podsunę mu ofertę. Chciałbym jeszcze porozmawiać z Emilem Jacobsem z FBI i porównać ich dane o ULA z naszymi.

- Okej, zgoda.

Przeszli do innego tematu.

5

### Zaszczyty i podstępny

Dzień, w którym Ryan opuścił szpital był najszcześniejszym dniem w jego życiu. Nie licząc rzecz jasna dnia, kiedy urodziła się Sally, co miało miejsce cztery lata wcześniej w szpitalu Johna Hopkinsa w Baltimore.

Było już po szóstej wieczorem, kiedy skończył się ubierać, co z tym monstrualnym opatrunkiem nie było wcale proste i usadowił się na wózku inwalidzkim. Na nic się zdały jego protesty. Widocznie w brytyjskich szpitalach, podobnie jak w amerykańskich, przestrzegano niepisanego prawa, że pacjentowi nie wolno opuścić szpitala o własnych siłach. Pewnie dlatego, żeby nie pomyślał, iż został całkowicie wyleczony. Umundurowany policjant wypchnął wózek z salki na korytarz. Ryan nawet nie spojrzał za siebie.

Prawie cały personel piętra ustawił się pod ścianami korytarza. Zjawiała się też część pacjentów, spotykanych przez Ryana w ciągu ostatnich dziesięciu dni, kiedy to ćwiczył się na korytarzu w sztuce chodzenia z ciałem przechylnym o dziesięć stopni dla zrównoważenia ciężaru opatrunku. Rozległy się oklaski, wyciągnęły się ręce chętnych do uściśnięcia jego dłoni, aż Jack zarumienił się z wrażenia. Nie jestem przecież astronautą ze stacji Apollo, pomyślał. Według tego, co się o nich mówi, Brytyjczycy powinni być bardziej powściągliwi.

Siostra Kittiwake wygłosiła małe przemówienie o wzorowym pacjencie Ryanie i o tym Jaka to przyjemność i zaszczyt...", a on znów się zaczerwienił, bo na zakończenie wręczyła mu wiązanek kwiatów, żeby, jak powiedziała, przekazał je swojej przemiłej małżonce. Potem pocałowała go w imieniu wszystkich. On zaś zrewanżował jej się tym samym. A trzeba powiedzieć, że była naprawdę ładną dziewczyną. Kittiwake wyściskała go i popłakała się w końcu. Tony Wilson, stojący obok niej, mrugnął do Jacka ukradkiem, co go wcale nie zaskoczyło. Uściśnął jeszcze z dziesięć wyciągniętych do niego dłoni, po czym policjant wtoczył jego wózek do windy. Ryan odwrócił się do niego.

- Następnym razem, jeśli znajdziecie mnie rannego na ulicy, to pozwólcie mi tam spokojnie skonać.

Policjant zaśmiał się głośno.

- Ależ cholerny niewdzięcznik z pana!

- Fakt - przyznał Ryan.

Winda zjechała na dół, drzwi się otworzyły i Ryan ucieszył się w duchu widząc, że w holu jest tylko kilka osób. Byli tam książę Edynburga i stadko ludzi z ochrony.

- Dobry wieczór, milordzie - Ryan próbował podnieść się z wózka, ale książę ruchem ręki kazał mu usiąść z powrotem.

- Hallo, Jack! Jak się czujesz?

Podali sobie ręce i przez moment Ryan pomyślał z przerażeniem, czy aby książę nie zechce popychać jego wózka osobiście. To już byłoby nie do przyjęcia. Na szczęście policjant nie dał się wyreczyć i ruszył z wózkiem w stronę drzwi. Książę szedł obok.

- Sir, poczuję się co najmniej o pięćdziesiąt procent lepiej, kiedy znajdziemy się po drugiej stronie tych drzwi. - Jack wskazał ręką przed siebie.

- Głodny?

- Po szpitalnym wikcie? Mógłbym zjeść całego konia, na którym Wasza Wysokość grywa w polo.

- Spróbujemy znaleźć coś lepszego - zaśmiał się książę.

W holu Jack naliczył siedmiu ochroniarzy. Na zewnątrz stał Rolls-Royce i co najmniej cztery inne samochody oraz pewna liczba ludzi wcale nie wyglądających na zwykłych przechodniów. Było już zbyt ciemno, żeby zobaczyć kogoś myszkującego po dachach, ale powinni być i tam. Tak, pomyślał Ryan, nauczyli się coś niecoś na temat bezpieczeństwa. A mimo wszystko to wstyd, bo z tego wynika, że terroryści jednak znów wygrali. Jeśli zmuszają społeczeństwo do jakiegokolwiek zmiany w zachowaniu się, nawet niewielkiej, to znaczy że coś tam, ściierwa, wygrali.

Policjant podjechał z wózkiem niemal do samych drzwi Rollsa.

Czy tym razem uda mi się wstać? Podniósł się trochę zbyt energicznie. Ciężar opatrunku zachwiał jego równowagę tak, że omal nie runął na samochód. Gniewnie potrząsnął głową i zdołał jakoś opanować oporne ciało, zanim ktokolwiek zdążył go podtrzymać. Przez chwilę stał tak z lewą ręką odstającą sztywno jakby w geście skrzypka trzymającego smyczek i zastanawiał się jak wsiąść do auta. Okazało się, że najlepiej będzie najpierw wprowadzić rękę z tym usztywniającym rusztowaniem i gipsem, a dopiero potem, obracając się zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara, wcisnąć się do wnętrza resztą ciała. Książę musiał wejść z drugiej strony i okazało się, że jest trochę ciasno. Ryan po raz pierwszy siedział w Rollsie. Był zaskoczony jego niezbyt obszernym wnętrzem.

- Wygodnie?

- Tak, ale muszę uważać, żeby tym piekielnym urządzeniem nie wybić szyby - odpowiedział Ryan.

Odchylił się do tyłu, oparł się wygodnie i uśmiechnął z zamkniętymi oczyma.

- Zdaje się, że naprawdę jesteś zadowolony z opuszczenia szpitala.

- Na to mógłby pan, milordzie, postawić bez ryzyka jeden ze swoich zamków. Już trzeci raz reperowano mnie w szpitalu i chyba wystarczy.

Książę dał kierowcy znak do odjazdu. Konwój ruszył powoli ulicą. Rolls-Royce'a poprzedzały dwa wozy prowadzące, za nim podążały dalsze dwa w charakterze ubezpieczenia.

- Sir, czy mogę spytać co jest przewidziane na dzisiejszy wieczór? - odezwał się Ryan.

- Naprawdę nic wielkiego. Małe przyjęcie na twoją cześć z udziałem kilku bliskich przyjaciół.

Jack zastanawiał się co może oznaczać „kilku bliskich przyjaciół”. Dwudziestu? Pięćdziesięciu? Stu? Będzie więc na obiedzie w... Boże miej mnie w swojej opiece!

- Sir, doprawdy, okazuje nam pan tyle uprzejmości...

- Zostaw te dyrdymały. Pomijając dług, jaki mamy wobec ciebie, a trudno go nazwać niewielkim, jest rzeczą wartą zachodu poznawać nowych ludzi. W niedzielę w nocy skończyłem czytać twoją książkę. Uważam, że jest świetna. Musisz mi przysłać egzemplarz następnej, którą

napiszesz. A królowa i twoja małżonka doskonale się czują w swoim towarzystwie. Masz szczęście, chłopie, mieć taką żonę i taką córkę. Prawdziwy mały chochlik. To skarb Jack, absolutnie cudowna dziewczynka.

Ryan tylko kiwał głową. Nieraz zastanawiał się, czym zasłużył sobie na takie szczęście.

- Cathy mówiła mi, że zwiedziła już prawie wszystkie zamki w królestwie i jest ogromnie wdzięczna Waszej Wysokości za przydzielone jej towarzystwo. Ja, wiedząc o tym, mogłem czuć się o wiele spokojniejszy.

Książę machnął lekceważąco ręką, dając do zrozumienia, że nie ma o czym mówić.

- A jak ci idzie praca nad nową książką? - spytał.

- Nieźle, sir.

Pobyt w szpitalu pozwolił mu na gruntowne przesianie zebranego materiału. Jego komputerowi przybyło dwieście stron notatek zarejestrowanych w pamięci, a Ryan zyskał możliwość nowego spojrzenia na swoją koncepcję książki.

- Z tej małej eskapady wyciągnąłem jedną istotną naukę. Siedzieć przed klawiaturą komputera czy maszyny do pisania to nie to samo, co patrzeć w wylot lufy. W obu tych sytuacjach proces podejmowania decyzji wygląda nieco inaczej. - Ton wypowiedzi Ryana był uzupełnieniem jej treści.

Książę klepnął go w kolano.

- Nie przypominam sobie, żeby ktoś uznał twoją decyzję za błędną.

- Możliwe. Rzecz jednak w tym, że moja decyzja była czysto instynktowna, odruchowa. Gdybym w pełni zdawał sobie sprawę z tego co robię, może przeważałby jakiś inny, fałszywy odruch, również podyktowany instynktem? - Zapatrzony w okno mówił dalej. - Siedzę tutaj ja, rzekomo ekspert w zakresie historii wojen morskich ze specjalnym uwzględnieniem procesu podejmowania decyzji w sytuacjach krytycznych i ciągle nie jestem przekonany o słuszności własnej decyzji. Niech to szlag... - Po chwili, już spokojnie, dokończył. - Sir, nie można zapomnieć, że się kogoś zabiło. Po prostu nie da się.

- Nie powinieneś tyle o tym myśleć, jack.

- Tak, sir. - Ryan odwrócił wzrok od okna. Stwierdził, że książę patrzy na niego niemal tak samo, jak przed laty patrzył na niego ojciec. - Sumienie jest ceną, jaką płaci się za moralność, a moralność to cena płacona za cywilizację. Mój ojciec mawiał, że wielu przestępców nie posiada sumienia i w ogóle niewiele tego, co nazywamy sercem. Sądzę, że to właśnie odróżnia nas od nich.

- Dokładnie tak. Twoja introspekcja jest zachowaniem się z gruntu zdrowym i słusznym. Ale nie wolno ci w tym przesadzić. Odsuń to w przeszłość, Jack. Mam wrażenie że wy, Amerykanie, wolicie patrzeć raczej w przyszłość niż poza siebie. Jeśli nie możesz tak postępować z racji swego zawodu, to postaraj się o to przynajmniej w życiu osobistym.

- Rozumiem, sir. I dziękuję. - Gdyby tak jeszcze mógł sterować swoimi snami! Niemal co noc przeżywał strzelaninę na The Mali, chociaż minęły już prawie trzy tygodnie. To coś zupełnie innego, niż opowiadki w telewizji. Ludzki umysł ma swoje własne mechanizmy i sposoby karania za uśmiercenie innej ludzkiej istoty. Pamięta i wciąż na nowo odtwarza to, co się stało. Ryan miał jednak nadzieję, że któregoś dnia to się skończy.

Samochód skręcił w lewo, kierując się na Most Westminsterki. Jack nie orientował się dokładnie gdzie znajduje się jego szpital. Wiedział tylko, że niedaleko jakiegoś dworca kolejowego i na tyle blisko Westminsteru, że słyhać było jak Big Ben wydzwania godziny. Teraz patrzył na gotyckie fragmenty budowli z jasnego piaskowca.

- Wie pan, oprócz badań, jakie miałem zamiar tu przeprowadzić, chciałem jeszcze zobaczyć kawałek waszego kraju, sir. Ale na to zostało już za mało czasu.

- Jack, czy naprawdę myślisz, że pozwolimy ci wrócić do Ameryki nie doświadczony brytyjskiej gościnności? - Książę był wyraźnie ubawiony. - Oczywiście, jesteśmy dumni ze swoich szpitali, ale turyści nie po to tu przyjeżdżają. Coś niecoś przygotowaliśmy.

- Oo?!

Ryan zastanawiał się przez kilka chwil, próbując uświadomić sobie gdzie się znajdowali. W końcu jednak obraz mapy, którą pilnie studiował jeszcze w Stanach, pojawił się w jego wyobraźni. Tak, ta ulica to Birdcage Walk, a więc są teraz około trzystu metrów od miejsca, gdzie został postrzelony. Oto jezioro, które tak się spodobało Sally. A ten budynek, częściowo przesłonięty głową siedzącego obok kierowcy funkcjonariusza ochrony, to Pałac Buckingham. Jednak wiedzieć dokąd się jedzie to jedno, a zobaczyć wznoszącą się przed oczyma znaną z pocztówek budowlę, to zupełnie co innego. Ryan poczuł, że ogarnia go podniecenie.

Wjechali na teren rezydencji przez bramę północno-wschodnią. Dotychczas Jack widział pałac tylko z dość znacznej odległości. Zewnętrzna ochrona obiektu nie przedstawiała się zbyt imponująco, bo też sama budowla, mająca zarys pustego w środku czworoboku, skrywała prawie wszystko przed wzrokiem przygodnego obserwatora. Tam w środku mogła się z powodzeniem znajdować cała kompania uzbrojonych żołnierzy, albo policjantów w cywilu, wspieranych, o czym Ryan był przekonany, przez różne urządzenia elektroniczne. Po niepokojach, jakie miały miejsce w przeszłości i po tym ostatnim incydencie, wyobrażał sobie, że pałac był równie dobrze zabezpieczony jak Biały Dom, a może nawet lepiej, ze względu na rozleglejszy teren dookoła i obszerniejszy sam budynek.

Zapadał zmrok i niewiele szczegółów otoczenia można już było uchwycić wzrokiem. Rolls wjechał przez sklepioną bramę na dziedziniec i zatrzymał się pod baldachimem osłaniającym bezpośrednio sąsiedztwo drzwi wejściowych. Stojący tam wartownik energicznie sprezentował broń według brytyjskiej musztry „na trzy”. Lokaj w liberii otworzył drzwi samochodu.

Opuszczenie samochodu wymagało odwrócenia procedury wsiadania. Ryan obrócił się w przeciwnym niż poprzednio kierunku i tyłem wycofał się z wozu trzymając przed sobą swoje ogipsowane ramię. Lokaj pośpieszył z pomocą, chociaż Ryan serdecznie jej sobie nie życzył, ale nie wypadało mu się w tej chwili opierać.

- Musisz się trochę oswoić z tym urządzeniem - zauważył książę.

- Ma pan rację, sir - odpowiedział Jack, idąc za księciem w stronę drzwi. Czekał tam już następny służący.

- Powiedz mi, Jack. Kiedy odwiedziliśmy cię po raz pierwszy w szpitalu, wydawałeś się o wiele bardziej onieśmielony obecnością królowej niż moją. Dlaczego?

- No cóż. Pan był, milordzie, oficerem marynarki, prawda?

- Oczywiście - książę obrócił się i popatrzył na Ryana nieco zdziwiony, ale i zaciekawiony.

Ryan uśmiechnął się szeroko.

- Sir, pracuję w Annapolis. Akademia aż się roi od oficerów marynarki, a proszę pamiętać, że ja byłem w piechocie morskiej. Gdyby onieśmielał mnie widok każdego napotkanego oficera marynarki, to koledzy z Korpusu kazaliby mi zjeść moją oficerską szablę.

- Ty zuchwały nicponiu! - zawołał książę i obaj wybuchnęli śmiechem.

Ryan spodziewał się, że pałac zrobi na nim silne wrażenie. Mimo to z trudem zwalczał rodzące się w nim uczucie pokory wobec przytłaczającej wspaniałości oglądanego po raz pierwszy wnętrza. Z tego miejsca rządzono niegdyś połową świata. Z całego zaś świata nadchodziły tu dary i prezenty uzupełniające gromadzone przez wieki zbiory rodziny królewskiej. Wnętrze szerokich korytarzy zdobiły niezliczone arcydzieła malarstwa i rzeźby. Prawie wszędzie ściany pokryte były jedwabnym brokatem barwy kości słoniowej, wyszywanym złotą nicią. Dywany wyściełające marmurowe

posadzki lub parkiety ze szlachetnego, twardego drewna, miały barwę cesarskiego szkarłatu. Tkwiący jeszcze w Ryaniu człowiek interesu próbował oszacować wartość pieniężną tego, co widział. Po około dziesięciu sekundach dosłownie zatkał się jak przeciążony komputer. Same obrazy miały taką wartość, że każda próba sprzedania ich rozchwiałyby światowy rynek dzieł sztuki. Same te złoczone ramy by wystarczyły. Ryan pokręcił głową. Pomyślał, że dobrze byłoby znaleźć czas na obejrzenie każdego z tych arcydzieł malarstwa. Potem przyszła refleksja, że można by tu mieszkać nawet pięć lat, a i tak człowiek nie zdążyłby się tym wszystkim nacieszyć. Omal nie został w tyle, ale zdołał jakoś przewyciężyć swoje osłupienie i dotrzymać kroku księciu. Coraz bardziej tracił pewność siebie. Dla księcia był to dom, może nieco za duży i przez to kłopotliwy, niemniej jego dom, jego codzienność. Arcydzieło Rubensa widoczne na ścianie było częścią scenerii jego życia równie swojską i powszechną, jak fotografie żony i dzieci stojące na biurku w miejscu pracy przeciętnego człowieka. Przytłoczony samym faktem znalezienia się tutaj, atakowany ze wszystkich stron świadectwami bogactwa i potęgi, Ryan zaczynał odczuwać podświadomą chęć ni to ucieczki, ni to skurczenia się aż do całkowitego zniknięcia. Co innego było zaryzykować tam, na ulicy - ostatecznie w piechocie morskiej przygotowują do takich zachowań. Ale to tutaj...

Daj spokój, Jack, perswadował sobie w duchu, to jest rodzina królewska, ale to nie twoi królowie i nie twoje królowe. Ten argument jednak nie działał. Tak czy inaczej, była to rodzina królewska.

Ten niepodważalny fakt drażnił jego świadomość, odbierając zdolność spojrzenia na siebie z dystansu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział książę skręcając w prawo, w otwarte drzwi. - Oto Sala Muzyczna.

Była to salka rozmiarów salonu w niejednym prywatnym domu. Zmieściłaby się nawet w domu Ryana na Peregrine Cliff. Sufit był tu jednak o wiele wyżej, wysklepiony i ozdobiony złoceniami. W sali znajdowało się około trzydziestu osób. Kiedy weszli, ucichły wszelkie rozmowy. Wszyscy zwrócili oczy na Ryana (bo z księciem znali się pewnie doskonale) i na jego groteskowy opatrunek. Miał nieodpartą chęć zawrócić i zmykać gdzie pieprz rośnie. Marzył o solidnym drinku.

- Wybacz, Jack, muszę cię na chwilę opuścić. Za parę minut będę z powrotem.

Stokrotne dzięki, pomyślał Ryan, skłaniając grzecznie głowę. Ale co ja mam teraz robić?

- Dobry wieczór, Sir Johnie - zagadnął go mężczyzna w mundurze wiceadmirała Royal Navy.

Ryan starał się nie okazać ulgi, jaką odczuł w tym momencie. Oczywiście, domyślił się, został przekazany innemu opiekunowi. Dopiero teraz zorientował się, że znaczna część obecnych jest tutaj po raz pierwszy. A więc i oni potrzebują pewnego wsparcia, zanim oswoją się z myślą, że są w pałacu. Powinna istnieć jakaś procedura roztaczania nad nimi opieki. Przyjrzał się twarzy admirała, jednocześnie ściskając mu dłoń na powitanie. Było w niej coś znajomego czy raczej swojskiego.

- Jestem Basil Charleston. A no tak, pomyślał Ryan.

- Dobry wieczór, sir - odpowiedział.

W pierwszym tygodniu pobytu w Langley widział tego człowieka, a od swojego opiekuna dowiedział się, że to B.C. albo po prostu C., szef brytyjskiego Secret Intelligence Service, dawniej znanego jako MI-6. Ciekawe, co on tu robi?

- Musi pan być spragniony - mówiący te słowa podszedł i wręczył Ryanowi kielich szampana. - Witam. Nazywam się Bili Holmes.

- Panowie pracują razem? - spytał Ryan.

- Sędzia Moore powiedział mi, że jest pan niezwykle bystrym młodym człowiekiem - zauważył Charleston.



- Przepraszam, jaki sędzia?

- Dobra robota, doktorze Ryan - zaśmiał się Holmes. - Domyślam się, że grywał pan w futbol, ten amerykański, oczywiście. Był pan w drugim zespole na uczelni, prawda?

- Byłem i w drugiej i w pierwszej reprezentacji, ale tylko w szkole średniej. Do drużyny piłkarskiej na uczelni nie miałem wystarczającego wzrostu - odpowiedział Ryan z trudem maskując niepewność. „Druga Reprezentacja” był to kryptonim jego zadania w CIA. Ryan był uczestnikiem tych prac w charakterze konsultanta.

- I z pewnością nie wie pan nic o osobniku, który napisał książeczkę „Agenci i Agencje”? - uśmiechnął się Charleston.

Ryan zeszywniał wewnątrz.

- Admirale, nie mogę rozmawiać na ten temat bez...

- Egzemplarz numer szesnaście leży w moim biurku. Poczciwy sędzia prosił o przekazanie panu, że może pan rozmawiać na temat „dymiącego procesora tekstowego”.

Ryan odetchnął głęboko. Wyrażenie to musiało pochodzić od Jamesa Greera. Kiedy Jack przedstawiał swój projekt o nazwie „Pułapka Na Kanarka” wicedyrektorowi ds. wywiadu, admirał James Greer zażartował na ten temat, używając tych właśnie słów. Ryan miał więc wolną rękę. Prawdopodobnie. Bo w czasie odprawy w CIA na temat bezpieczeństwa i zachowania tajemnicy takiej sytuacji nie omawiano.

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale mi nikt nigdy nie powiedział, że mogę swobodnie rozmawiać na ten temat.

Charleston porzucił dotychczasowy jowialny ton i zaczął mówić poważnie.

- Niech się pan nie usprawiedliwia, młody człowieku. Sprawy dotyczące tajności należy zawsze traktować poważnie. Pańska praca to kawał świetnej roboty detektywistycznej. Nie wątpię, że powiedziano już panu o jednym z naszych problemów, a mianowicie ogromnej ilości napływających do nas informacji. Jest ich tyle, że mamy trudności z sensownym uporządkowaniem tego wszystkiego. Nie jest łatwo brodząc przez rozległe bagno i grzebiąc w mule znaleźć ten jeden lśniący samorodek. Pańskie opracowanie jest bezbłędne. Znalazłem w nim wzmiankę o czymś, czego nie znam. Sędzia nazwał to „Pułapką Na Kanarka”. Powiedział też, że pan będzie mógł wytłumaczyć to lepiej niż on.

Charleston ruchem dłoni poprosił o następny kieliszek szampana. Lokaj, czy inny jakiś służący pośpieszył z pełną tacą.

- Pan oczywiście wie, kim jestem.

- Tak, panie admirale. Widziałem pana w lipcu w Agencji. Wychodził pan z windy dla kierownictwa na siódmym piętrze w momencie, kiedy ja opuszczałem gabinet wicedyrektora ds. wywiadu. I wtedy ktoś mi powiedział kim pan jest.

- W porządku. Teraz już pan wie, że wszystko, o czym mówimy, zostanie w rodzinie. Co to za lichy ta „Pułapka Na Kanarka”?

- Już wyjaśniam. Z pewnością słyszał pan o kłopotach, jakie ma CIA z przeciekami. Kiedy kończyłem pierwszy szkic swojego sprawozdania wpadłem na pomysł, żeby każdy jego egzemplarz uczynić unikatowym, możliwym do odróżnienia od każdego innego, mimo tej samej treści.

- Ależ to się robi od lat - zauważył Holmes. - Wystarczy przestawić tu i ówdzie parę przecinków. Najprostsza rzecz na świecie. Jeśli dziennikarz jest na tyle niemądry, że odda do druku fotografię dokumentu, natychmiast zidentyfikujemy miejsce przecieku.

- Tak, proszę pana. Tyle że dziennikarze publikujący te przecieki również o tym wiedzą i nie pokazują zdjęć dokumentów uzyskanych ze znanych im źródeł - odparł Ryan. - Przyszedł mi na myśl całkiem inny, nowy sposób. „Agenci i Agencje” składa się z czterech części. Każda część

poprzedzona jest krótkim streszczeniem, napisanym w dość emocjonalnym, dramatyzującym stylu.

- Tak, zauważyłem - wtrącił Charleston. - Czyta się to zupełnie inaczej niż zwyczajne dokumenty CIA. Raczej jak któryś z naszych. U nas raporty i sprawozdania piszą ludzie, nie komputery. Ale proszę, niech pan mówi dalej.

- Każde ze streszczeń ma sześć różnych wersji, a układ streszczeń wszystkich czterech części tekstu jest niepowtarzalny i staje się nieodłączną cechą konkretnego egzemplarza. Możliwość jest tu ponad tysiąc, ale sporządza się tylko dziewięćdziesiąt sześć numerowanych kopii właściwego dokumentu. Uzasadnieniem takiej, a nie innej formy językowej streszczeń jest uczynienie ich bardziej atrakcyjnymi dla dziennikarzy. Sensacyjnie brzmiąca treść ma zachęcać do cytowania ich w środkach przekazu w dosłownym brzmieniu, bez żadnych zmian. Zidentyfikowanie dwóch, trzech cytatów wystarczy nam do ustalenia, którą kopię spośród dziewięćdziesięciu sześciu dziennikarz widział, a więc i na stwierdzenie gdzie nastąpił przeciek. Obecnie opracowano jeszcze bardziej wyrafinowaną wersję tej pułapki. Można przy jej realizacji posłużyć się komputerem.

- Powiedzieli panu, jak to działa? - zapytał Holmes.

- Nie. Nie miałem do czynienia z praktyczną stroną bezpieczeństwa wewnętrznego Agencji. - I chwala Bogu, dodał w myśli.

- Zatem niech pan się dowie, że to zadziałało - Sir Basil zawiesił na chwilę głos. - Sam pomysł jest cholernie prosty... I cholernie błyskotliwy! Że nie wspomnę o rzeczowym aspekcie tego opracowania. Czy powiedzieli panu, że wnioski pańskiego raportu niemal w stu procentach pokrywają się z wynikami badań, które przeprowadziliśmy w zeszłym roku?

- Nie, nic o tym nie słyszałem. Sądziłem, że wszystkie dokumenty, nad którymi pracowałem pochodzą od naszych ludzi.

- A więc doszedł pan do wszystkiego zupełnie sam? Wspaniale!

- Czy popełniłem jakiś błąd? - zapytał Ryan admirała.

- Powinien pan więcej uwagi poświęcić temu gościowi z Afryki Południowej. To, oczywiście, raczej nasza działka i być może nie dysponował pan dostateczną ilością informacji. Od pewnego czasu mamy faceta na oku.

Ryan opróżnił kieliszek i zamyślił się. Wbrew temu co mówił admirał, pan Erik Martens miał w Agencji całkiem pokaźną teczkę... Co przeoczyłem? W tej chwili nie mógł o to zapytać, nie wypadało. Mógł jednak spytać...

- Czy wywiad południowoafrykański...

- Obawiam się, że nie współpracuje już z nami tak ochoczo jak dawniej. Erik Martens ma dla nich sporą wartość. Prawdę mówiąc, trudno im się dziwić. Znajduje sposoby zaspokajania ich potrzeb wojskowych mimo embarga, toteż trudno się spodziewać, aby rząd był skłonny do wywierania nań istotnego nacisku. Trzeba także uwzględnić kwestię izraelskich powiązań Martensa. Wiadomo, że władzom tego kraju zdarza się zejść z prostej drogi, ale my w SIS i CIA mamy z nimi zbyt wiele wspólnych interesów, aby chcieć im rzeczywiście zaszkodzić.

Ryan pokiwał głową. Izraelski przemysł zbrojeniowy zainteresowany był osiągnięciem maksymalnych zysków, co czasami stawało w sprzeczności z życzeniami sojuszników Tel-Awiwu. Znam powiązania Martensa, ale musiałem przeoczyć coś istotnego... Tylko co?

- Proszę nie sądzić, że krytykujemy pański raport - odezwał się Charleston. - Jak na pierwszą próbę, to opracowanie było doskonałe. CIA musi ściągnąć pana z powrotem. Pański raport był jednym z nielicznych dokumentów Agencji, którego lektura nie podziałała na mnie usypiająco. W najgorszym wypadku mógłby pan uczyć waszych analityków posługiwania się piórem. Na pewno proponowali panu współpracę. Zgadłem?

- Istotnie, panie admiralu. Nie byłem jednak zainteresowany tą propozycją. To nie dla mnie.

- Niech pan się jeszcze zastanowi - łagodnie perswadował Sir Basil. - Idea „Drugiej Reprezentacji” bardzo nam się podobała. To trochę jak projekt „Team-B” z lat siedemdziesiątych. Robimy to samo. Zapraszamy do współpracy naukowców z zewnątrz, aby zyskać nowe spojrzenie na zalewające nas morze danych. Sędzia Moore, wasz nowy dyrektor, to dla Agencji prawdziwy zastrzyk świeżej krwi. Świetny facet. Zna się na rzeczy, a jednocześnie dostatecznie długo zajmował się czym innym, żeby zachować jasność widzenia. Pan, doktorze Ryan, jest jednym z jego odkryć. Należy pan do tego interesu, kolego.

- Nie jestem o tym przekonany, sir. Jestem historykiem i...

- Ja też - wtrącił Bili Holmes. - Ale co to ma za znaczenie? W wywiadzie potrzebni są ludzie o określonych predyspozycjach intelektualnych. Pan najwyraźniej je posiada. Ale cóż, my nie możemy pana zwerbować, nieprawdaż? Niemniej zdziwiłbym się, gdyby Arthur i James nie ponowili swojej propozycji. Warto się nad nią zastanowić.

Jasne. Ryan nie odpowiedział. Pokiwał tylko głową w zamyśleniu. Ale ja lubię uczyć historii.

- Ależ to nasz bohater dnia! - kolejny mężczyzna przyłączył się do grona rozmówców Ryana.

- Dobry wieczór, Geoffrey - powiedział Charleston. - Doktorze Ryan, przedstawiam panu Geoffreya Watkina. Geoffrey pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- Jak David Ashley w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych? - Ryan wyciągnął rękę do powitania.

- Prawdę mówiąc, większość czasu spędzam właśnie tutaj - odrzekł Watkins.

- Geoff jest kimś w rodzaju oficera łącznikowego między Foreign Office (Ministerstwo Spraw Zagranicznych Wlk. Brytanii] a Rodziną Królewską. Dbą o przepływ informacji, o sprawy protokołu i ogólnie zawraca wszystkim głowę - z uśmiechem wyjaśniał Holmes. - Jak to już długo, Geoff?

- Ponad cztery lata. Wydawałoby się, że minął dopiero tydzień. Czarna robota, nic z dworskiego splendoru. Głównie zajmuję się dźwiganiem tej teczki i chowaniem się po kątach.

Ryan uśmiechnął się. Był w stanie zrozumieć ten ból.

- Przesadzasz - zaprotestował Charleston. Gdybyś nie był jednym z najtęższych umysłów w Ministerstwie, nie dostałbyś tej funkcji.

Watkins, zażenowany, machnął ręką.

- Istotnie, na brak pracy się nie uskarżam.

- W rzeczy samej - zauważył Holmes. - Od miesiący nie widziałem cię w klubie tenisowym.

- Doktorze Ryan, w imieniu pracowników Pałacu chciałbym wyrazić uznanie dla pańskiego czynu - uroczystym tonem oznajmił Watkins. Był mężczyzną około czterdziestki, niższym nieco od Ryana. Miał ciemne, siwiejące na skroniach, gładko przyczesane włosy i bladą cerę człowieka rzadko wychodzącego na słońce. Wyglądał jak rasowy dyplomata. Jego uśmiech robił wrażenie wyćwiczonego przed lustrem. Był to uśmiech, który mógł wyrażać wszystko. Czy też raczej nic. Niebieskie oczy Watkina wyrażały jednak zainteresowanie osobą Ryana. Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich tygodni Jack widział to taksujące spojrzenie i prawdę mówiąc, zaczynał mieć tego dosyć.

- Geoff uchodzi u nas za eksperta od spraw Irlandii Północnej - odezwał się Holmes.

- W tej sprawie nie ma ekspertów - Watkins pokręcił głową. - Byłem tam w roku 1969, kiedy to wszystko się zaczynało. Nosilem wtedy mundur porucznika pułku... Teraz to bez znaczenia którego, prawda? Doktorze Ryan, jak pańskim zdaniem powinniśmy rozwiązać ten problem?

- Panie Watkins, od trzech tygodni słyszę w kółko to pytanie. A skąd ja mam, do cholery, wiedzieć?

- Widzę Geoff, że nie ustajesz w pogoni za pomysłami - zauważył Holmes.

- Gdzieś musi istnieć ten jeden, właściwy. - Watkins nie spuszczał oczu z Ryana.

- Ja go nie znam - rzekł Jack. - Nawet jeśli znajdzie pan ten pomysł, skąd będzie pan wiedział, że to jest ów właściwy? Co do mnie, to zajmuję się nauczaniem historii, a nie jej tworzeniem.

- Rozumiem. Prosty nauczyciel historii ucina sobie pogawędkę z szefem SIS, tak?

- Chcieliśmy się dowiedzieć, ile jest prawdy w domniemaniach prasowych na temat pracy doktora Ryana w CIA - wtrącił Charleston.

Jack odebrał sygnał admirała. Widocznie Watkins nie był dopuszczony do wszystkich tajemnic. Nie powinien wiedzieć o związkach Ryana z Firmą, niezależnie od tego, do jakich wniosków potrafi dojść sam. Zasady pozostają zasadami. Dlatego właśnie odrzuciłem propozycję Greera. Ciągłe te idiotyczne zasady bezpieczeństwa. Człowiek nie może otwarcie porozmawiać nawet z własną żoną. Bezpieczeństwo, bezpieczeństwo i jeszcze raz bezpieczeństwo... Chrzanianie w bambus! Jasne, pewne rzeczy powinny być utrzymywane w tajemnicy, ale co za pożytek z informacji, do której nikt nie ma dostępu?

- Wie pan co? Cieszę się, że niedługo wracam do Annapolis. Przynajmniej moi uczniowie wierzą, że jestem nauczycielem!

- Dobrze i to - uśmiechnął się Watkins. A szef SIS chce poznać twoje zadanie na temat bitwy pod Trafalgarem, co? Kim ty naprawdę jesteś, Ryan?

Watkins pracował w Foreign Office od roku 1972, od chwili opuszczenia wojska. Nie raz zabawiał się popularną wśród pracowników służby dyplomatycznej grą w zrywanie masek. Ryan wydał mu się postacią wielce dwuznaczną, a to obiecywało emocjonującą rozgrywkę. Watkins uwielbiał gry. Wszelkiego rodzaju.

- Co ostatnio porabiasz, Geoff? - zapytał Holmes.

- Pytasz, co robię po dwunastogodzinnym dniu pracy? Czasem udaje mi się przeczytać jakąś książkę. Właśnie zabrałem się jeszcze raz za „Moll Flanders”.

- Co ty powiesz? - zdziwił się Holmes. - A ja kilka dni temu zacząłem „Robinsona Crusoe”. Nic tak nie pomaga zapomnieć o kłopotach dnia codziennego, jak powrót do klasyków.

- Czytuje pan klasyków, doktorze Ryan? - zapytał Watkins.

- Czytywałem. Kształciłem się u jezuitów. Tam nie pozwalali wykręcić się od tych staroci. - Czy „Moll Flanders” to klasyka? Ani to po łacinie, ani po grecku. Szekspir też to nie jest...

- Starocie! Co za okropne nastawienie! - zaśmiał się Watkins.

- Próbował pan kiedy czytać Wergiliusza w oryginale? - zapytał Ryan.

- Arma virumque cano, Trojae qui primus ab ora...

- Geoff i ja chodziliśmy do Winchester - wyjaśnił Holmes. - Contiaquere omnes, intenteque ora tenebant... - Koledzy ze szkolnej ławy bez wątpienia świetnie się bawili.

- Miałem całkiem niezłe stopnie z łaciny, tyle że nic z tego nie pamiętam - obronnym tonem powiedział Ryan.

- Jeszcze jeden barbarzyńca z kolonii - stwierdził Watkins. Ryan doszedł do wniosku, że nie polubi pana Watkinsa. Dyplomata

najwyraźniej prowokował go, czekając na jakąś znaczącą reakcję. Jackowi znudziła się ta gra. Był kim był i w nosie miał domorosłych psychologów zabawiających się definiowaniem jego osobowości.

- Przykro mi. U nas obowiązuje nieco inny system wartości.

- To zrozumiałe - odparł Watkins z niezmiennym wyrazem twarzy. Nadal się uśmiechał, co zdziwiło Jacka, choć nie umiałby powiedzieć dlaczego.

- Mieszka pan niedaleko Akademii Marynarki, prawda? Czy ostatnio nie wydarzył się tam jakiś incydent? - zapytał Sir Basil. - Czytałem coś na ten temat, ale bez żadnych szczegółów.

- Nie był to akt terroryzmu, to wasza specjalność. Kilku słuchaczy natknęło się w Annapolis na handlarzy narkotyków i wezwało policję. Aresztowani okazali się członkami miejscowego gangu motocyklowego. Tydzień później kilku motocyklistów postanowiło dać kadetom nauczkę. Przekradli się przez cywilną ochronę szkoły i o trzeciej nad ranem wślizgnęli się do Bancroft Hall. Chyba myśleli, że to zwykły akademik i srodze się zawiedli. Dyżurny zauważył intruzów i ogłosił alarm. Zaczęła się gonitwa. Obcy pogubili się w korytarzach Bancroft Hall, zostali osaczeni i ujęci. Sprawą zajęła się FBI, ponieważ incydent miał miejsce na terenie instytucji państwowej. A federalni nie lubią, kiedy ktoś próbuje wywierać nacisk na świadków. Motocykliści posiedzą sobie trochę. Jedyna korzyść z tej historii to to, że wzmocniono oddział piechoty morskiej ochraniający Akademię i dzięki temu dużo łatwiej wejść tam i stamtąd wyjść.

- Łatwiej? - zdziwił się Watkins. - Ale...

Jack uśmiechnął się.

- Mając piechotę morską w odwodzie, zostawiają wszystkie bramy otwarte...

- Rozumiem. Ja... - zaczął Charleston i urwał, bo coś za plecami Ryana przyciągnęło jego uwagę. Watkins oddalił się pośpiesznie. Także Charleston i Holmes cofnęli się. Jack odwrócił się i ujrzał królową, mijającą właśnie drzwi pokoju.

Towarzyszył jej księżę Edynburga. Z tyłu, jak nakazywał protokół, maszerowała Cathy. Pierwsze swoje kroki królowa skierowała do Jacka.

- Wygląda pan dużo lepiej.

Jack spróbował się ukłonić, uznał bowiem, że powinien zachować się dwornie, nie narażając przy tym królowej na kontakt ze swoim gipsem. Najważniejsze, to zachować równowagę. Ciężar gipsu sprawił, że zaczął się pochylać w lewo. Wykonał półobrot i udało mu się wyprostować.

- Dziękuję, Wasza Wysokość! Czuję się znacznie lepiej. Dobry wieczór, sir.

Musiał przyznać, że uścisk dłoni księcia nie pozostawiał wątpliwości co do jego męskiej krzepy.

- Witaj, Jack. Czuć się swobodnie. To nieoficjalne spotkanie bez protokołu. Rozluźnij się.

- Szampan bardzo w tym pomaga.

- Wspaniale - stwierdziła królowa. - Myślę, że pozwolimy teraz panu przywitać się z Caroline.

- Oboje z księciem odeszli do innych gości.

- Nie przesadzaj z tym szampanem, Jack.

W białej koktajlowej sukni Cathy prezentowała się tak olśniewająco, że Ryanowi nie przyszło nawet do głowy zapytać, ile też ta kreacja kosztowała. Na dodatek miał wreszcie okazję zobaczyć żonę uczesaną i w makijażu, a jako lekarz rzadko mogła sobie na to pozwolić. Tak czy inaczej była to jego Cathy. Pocałował ją szybko, nie zważając na otaczających ich gości.

- Jack, ci ludzie...

- Pies ich trącał - mruknął Jack. - Jak się miewa moja ulubiona dziewczyna?

Jej oczy zabłyśły hamowanym podnieceniem, ale odparła z kamiennym spokojem.

- Twoja ulubiona dziewczyna jest w ciąży.

- Jesteś pewna? Kiedy?

- Jestem pewna, kochanie, bo po pierwsze, jestem lekarzem, a po drugie spóźnia mi się już dwa tygodnie. A jeśli chodzi o to kiedy... Jack, pamiętasz może jak w pierwszy dzień po przyjeździe położyliśmy Sally spać? To te hotelowe łóżka, Jack. - Cathy pokręciła głową. - Zawsze tak się to kończy.

W tej sytuacji Ryan nie miał nic do powiedzenia. Objął żonę zdrowym ramieniem i przytulił na tyle dyskretnie, na ile pozwalał mu stan ducha. Dwa tygodnie opóźnienia... Wiedział, że normalnie organizm Cathy funkcjonuje z regularnością jej szwajcarskiego zegarka. Będę ojcem. Do kwadratu!

- Tym razem postaramy się o chłopca - powiedziała Cathy.

- Wiesz, że to nie jest najważniejsze, dziecinko.

- Widzę, że już mu pani powiedziała - królowa niepostrzeżenie zbliżyła się do Ryanów. Jack zauważył, że księżę rozmawia z admirałem Charlestonem. Ciekawe o czym? - Moje gratulacje, Sir Johnie.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. Dziękuję za wszystko. Nigdy nie zdołamy odpłacić się za pani łaskawość.

Twarz królowej rozjaśnił promienny uśmiech.

- To my jesteśmy winni panu wdzięczność. Z tego, co dowiedziałam się od Caroline, wnioskuję, że wyniesiecie przynajmniej jedno dobre wspomnienie z pobytu w naszym kraju.

- Istotnie, Wasza Wysokość, ale nie tylko jedno. - Jack poczuł, że zaczyna gustować w salonowej konwersacji.

- Caroline, czy pani mąż zawsze jest taki szarmancki?

- Prawdę mówiąc, nie. Widocznie przyłapałyśmy go w chwili słabości. A może to cywilizujący wpływ otoczenia.

- To pocieszająca wiadomość, zwłaszcza po tym, co małżonek nawygadywał o waszej małej Olivii. Czy wie pan, że nie chciała pójść do łóżeczka, dopóki nie pocałowała mnie na dobranoc? Cóż to za przemiły, czarujący aniołeczek. A pan nazwał ją plagą!

Jack westchnął. Nietrudno było mu domyślić się w czym rzecz. Po trzech tygodniach pobytu w Pałacu, Sally wykonywała pewnie najwdzięczniejszy dyg w dziejach zachodniej cywilizacji. Służba pałacowa prawdopodobnie walczyła o przywilej opieki nad nią. Prawdziwa córeczka tatusia. Manipulowanie ludźmi zawsze było jej specjalnością. Od lat ćwiczyła to na ojcu.

- Być może nieco przesadziłem, Wasza Wysokość.

- To nie była przesada, lecz oszczerstwo! - W oczach Królowej błysnęło rozbawienie. - Nie zniszczyła nawet najmniejszego drobiazgu, i musi pan wiedzieć, że okazała się najzdolniejszą amazonką, jaką widzieliśmy tu od lat.

- Przepraszam, kim?

- Sally bierze lekcje jeździectwa - wyjaśniła Cathy.

- Znaczący... na koniu?

- A na czym innym miałyby jeździć? - zdziwiła się królowa.

- Sally na koniu? - Ryan spojrzał na żonę. Nie był zachwycony tym pomysłem.

- Świetnie sobie radzi - królowa pośpieszyła Cathy z pomocą. - To całkiem bezpieczne, Sir Johnie. Jazda konna jest bardzo wskazana dla dzieci. Uczy dyscypliny, koordynacji ruchów i odpowiedzialności.

Nie mówiąc już o stwarzaniu wspaniałej okazji do skręcenia karku, pomyślał Jack, ale w tym momencie raz jeszcze przypomniał sobie, że nie uchodzi spierać się z królową. Zwłaszcza pod jej dachem.

- Sam też mógłby pan spróbować jazdy konnej - podsunęła królowa. - Caroline pierwsze próby ma już za sobą.

- To świetny pomysł, Jack - zapaliła się Cathy. - Spodobałoby ci się.

- Zaraz bym pewnie spadł. - Jack zrobił smętną minę.

- Wtedy wsiadłby pan jeszcze raz i próbował dalej, aż do skutku. - królowa mówiła to z pozycji

osoby, która uprawia jazdę konną od ponad pięćdziesięciu lat. - To jak z rowerem.

Tylko że rower jest jednak niższy. A Sally jest za mała nawet na rower. Ryan wpadał w panikę już na widok córki dosiadającej dziecięcej trójkołówki. Na miłość boską, ona jest taka mała, że koń nawet nie wie, iż ktoś na nim siedzi.

Cathy bez trudu odgadła jego myśli.

- Dziecko musi się rozwijać. Nie możesz chronić jej przed wszystkim - powiedziała.

- Tak, kochanie, wiem.

Diabła tam nie mogę. To mój obowiązek.

Niebawem poproszono gości do jadalni. Nieco oszołomiony wspaniałością otoczenia Ryan kroczył między kolumnami Błękitnego Salonu, by przez podwójne lustrzane drzwi wejść do Jadalni Paradnej.

Cóż za kontrast! Łagodny błękit pierwszego pomieszczenia ustąpił miejsca szkarłatowi obitych tkaniną ścian. Sklepiony sufit zdobiły złoto i kość słoniowa. Nad kominkiem ze śnieżnobiałego marmuru wisiał olbrzymi portret. Ryan zastanawiał się przez moment czyj to portret. Oczywiście jakiegoś króla, przypuszczalnie z XVIII lub początku XIX wieku, sądząc po jego białych... rajstopach, czy jak to się nazywało, uzupełnionych podwiązki. Nad drzwiami wejściowymi widniał monogram Królowej Wiktorii, VR. Ileż historycznych wydarzeń, dumał Jack, miało swój początek w tej sali.

- Siądzie pan po mojej prawej ręce, Jack - oznajmiła królowa.

Szybkie spojrzenie na stół upewniło Ryana, że jest on wystarczająco szeroki, by jego lewa ręka nie zagrażała zdrowiu Jej Wysokości. Strach pomyśleć, co by się działo, gdyby...

Podano pierwsze danie. Podczas obiadu najbardziej doskwierała Jackowi niemożność spamiętania co jest co, a był zbyt dumny, aby wypytywać Cathy. Jedzenie jedną ręką zdążył już jako tako opanować, ale dotąd nie robił tego przed tak liczną publicznością. A poza tym miał wrażenie, że wszyscy mu się przyglądają. Zresztą, jako Jankes wzbudzałby ciekawość nawet bez tego gipsu na rękę. Postanowił mieć się na baczności, uważać z winem i trzymać język za zębami. Z niejaką zazdrością obserwował Cathy, która najwyraźniej świetnie się bawiła. Z ponurą miną żuł coś, czego nazwę zdążył zapomnieć i zastanawiał się, co on tu, do diabła, robi. Ciekawe, czy siedziałby przy tym stole, gdyby był zwykłym posterunkowym albo szeregowcem Royal Marines, który przypadkiem znalazł się w miejscu zamachu. Pewnie nie. Ale dlaczego? Nie miał pojęcia. W instytucji szlachectwa było coś, co kłóciło się z jego amerykańskim światopoglądem. Z drugiej strony... Miło jest być szlachcicem, nawet honorowym. Wszystko to za bardzo zawróciło mi w głowie. Pora się wynosić. To nie miejsce dla mnie. Pytanie tylko, czy mimo wszystko nie chciałbym tu być? Pociągnął łyk wina, ale to nie rozproszyło jego wątpliwości.

Spojrzał na swoją żonę, która w odróżnieniu od niego zdawała się doskonale pasować do tego otoczenia. Cóż, wychowała się w podobnej atmosferze, w zamożnym, pełnym ludzi domu w okręgu Westchester. Potem zrezygnowała z takiego życia, on zaś nigdy nie miał do niego pociągu. Byli zadowoleni z tego, co mają, oddani swojej pracy, ale czy jej zachowanie nie oznacza przypadkiem, że przez te wszystkie lata czegoś jej jednak brakowało? Jack zmarszczył brwi.

- Dobrze pan się czuje, Jack? - zapytała królowa.

- Tak jest. Proszę mi wybaczyć. Obawiam się, że trochę potrwa, zanim się do tego wszystkiego przyzwyczaję.

- Jack-łagodnie odrzekła monarchini - za to cię właśnie lubimy, że jesteś tym, kim jesteś. Postaraj się o tym nie zapominać.

Były to chyba najbardziej życzliwe słowa, jakie od dawna wypowiedziano pod jego adresem.

Widocznie szlachectwo to raczej pewien stan umysłu niż instytucja. Ryan pomyślał, że jego teść mógłby się tu sporo nauczyć.

Trzy godziny później Ryanowie znaleźli się w swoim pokoju. Ryan stanął przed posłanym już łóżkiem, rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzyk i westchnął donośnie.

- Nie żartowałaś mówiąc, że zmieniam się w dynię.

- Wiem - odparła jego żona.

Zgasiała nocną lampkę i pokój zalał mrok, rozjaśniony jedynie odległym blaskiem ulicznych latarni sączącym się przez zaciągnięte zasłony. W tym mroku Jack widział tylko błysk oczu Cathy i zarys jej ust. Pamięć jednak podsuwała wspomnienie pozostałych szczegółów jej postaci. Objął ją zdrowym ramieniem, klnąc w duchu to paskudztwo, które unieruchamiało jego lewą rękę. Przytulił żonę, a ona złożyła głowę na jego piersi. Milczeli przez chwilę, szczęśliwi, że nareszcie są razem i sami w ciszy tego ciemnego pokoju.

- Kocham cię, dziecinko.

- Jak się czujesz, Jack? - W jej pytaniu było coś więcej, niż zwykła ciekawość.

- Nieźle. Odpocząłem, ręka już prawie nie boli, wystarcza aspiryna od czasu do czasu. - Tu Jack trochę przesadził, ale istotnie, przywykł do tego bólu.

- A więc tak to zrobili! - Cathy badała lewą stronę jego marynarki. Ustaliła, że rozcięcie na gips zapinane jest na zatrzaski i czym prędzej rozpięła je i zdjęła marynarkę. Potem przyszła kolej na koszulę.

- Mógłbym to zrobić sam.

- Siedź cicho, Jack. Nie mam zamiaru czekać do rana, aż się rozbierzesz.

Jack usłyszał zgrzyt długiego zamka błyskawicznego.

- Pomóc?

W ciemności zabrzmiał jej śmiech.

- Ta suknia może mi się jeszcze przydać. I uważaj, gdzie pakujesz tę łapę.

- Jeszcze nikogo nią nie zgmiotłem.

- I dobrze. Tylko tak dalej. - Uszu Jacka dobiegł szelest jedwabiu. Na rękę poczuł dłoń Cathy. - Teraz cię posadzimy.

Kiedy już usadowił się na brzegu łóżka, dalej poszło łatwo. Cathy usiadła obok niego. Czuł ją u swego boku, chłodną i gładką, wdychał zapach jej perfum. Wyciągnął rękę i dotknął ramienia żony, a potem sunął dłonią w dół, po delikatnej skórze jej brzucha.

Ono tam jest. Rośnie, kiedy my tu siedzimy.

- Urodzisz mi ślicznego dzidziusia - mruknął czule. Zaprawdę Bóg istnieje i zdarzają się cuda.

Poczuł na twarzy dotyk jej palców.

- Masz rację. Od jutra koniec z piciem... ale dzisiaj miałam ochotę poświętować.

- Wiesz co? Naprawdę cię kocham.

- Wiem - odparła. - Połóż się na plecach.

6

## Procesy i problemy

Wstępne przesłuchania trwały prawie dwie godziny. Cały ten czas Ryan przesiedział na marmurowej ławce przed wejściem do sali rozpraw sądu Old Bailey. Próbował pracować na swoim komputerze, ale nie potrafił się skupić i co chwila łapał się na tym, że zamiast patrzeć na klawiaturę, rozgląda się po liczącym sobie około stu sześćdziesięciu lat gmachu.

Ochrona była niesamowicie szczelna. Budynek sądu obstawili dość ostentacyjnie mundurowi



policjanci, każdy z ręką na pistolecie. Inni, w mundurach i po cywilnemu, rozmieszczeni byli na dachach domów po drugiej stronie Newgate Street. Tkwili tam jak drapieżne sokoły, czekające na pojawienie się zająca. Z tą różnicą, pomyślał Ryan, że zające nie mają ani karabinów Kałasznikowa, ani granatników RPG-7. Wchodzący do budynku byli sprawdzani za pomocą wykrywacza metali tak czułego, że sygnalizował nawet obecność folii aluminiowej w opakowaniach papierosów. Prawie wszyscy byli prócz tego obszukiwani ręcznie. Objęło to również Ryana. Drobiazgowość, żeby nie powiedzieć intymność, rewizji nieco go zaskoczyła. W pewnym momencie nie mógł powstrzymać się od zwrócenia uwagi policjantowi, że jak na pierwszą randkę posunął się trochę za daleko. Główny hol został zamknięty dla wszystkich nie związanych bezpośrednio ze sprawą. Mniej ważne procesy zostały przeniesione do pozostałych dziewiętnastu sal Old Bailey. Pierwszeństwo miała sprawa „Korona przeciw Millerowi”.

Ryan po raz pierwszy znalazł się w sądzie. Uświadomił sobie z pewnym rozbawieniem, że nigdy nie był nawet ukarany mandatem za przekroczenie dopuszczalnej prędkości, tak spokojne wiódł dotąd życie. Posadzka z marmuru, prawie wszystko dookoła było z marmuru, sprawiała, że hol miał w sobie coś z dostojeństwa katedry. Ściany zdobiły maksymy w rodzaju cyceronkiego DOBRO LUDU NAJWYŻSZYM PRAWEM. Ryan uznał to zdanie za osobliwie dwuznaczne -przynajmniej potencjalnie - w miejscu, które z pewnością zaprojektowano jako przybytek idei prawa. Zastanawiał się czy członkowie ULA rozumowali podobnie i usprawiedliwiali swoje akcje swoiście rozumianym dobrem ludzi. Ale czyż wszyscy tak nie postępują? Który tyran nie usprawiedliwiał swoich zbrodni właśnie dobrem ludu?

Przed salą rozpraw czekało jeszcze około tuzina innych świadków, ale nie próbował z nimi rozmawiać. Pouczenia, jakich mu udzielono, były bardzo szczegółowe i jednoznaczne: fakt zaistnienia jakichkolwiek rozmów czy dyskusji mógł stać się dla obrony podstawą do wniesienia zarzutu, że świadkowie uzgodnili swoje zeznania. Strona skarżąca poczyniła wszelkie starania, żeby proces stał się podręcznikowym przykładem poprawności procedury sądowej.

Proces odbywał się na zasadzie równości stron: oskarżenia i obrony. Zamach miał miejsce zaledwie przed czterema tygodniami, a rozprawa już była w toku. Nawet jak na brytyjskie zwyczaje szybkość, z jaką przygotowano proces była niezwykła. Ochronę i zabezpieczenie gmachu sądu i sali rozpraw można by nazwać hermetycznymi. Wstęp na galerię dla publiczności (wejście dla gości znajdowało się w innej części budynku) był ściśle kontrolowany. Z drugiej jednak strony proces traktowano jako zwykłą sprawę karną dotyczącą przestępstwa czysto kryminalnego. Nazwa Ulster Liberation Army nigdzie nie była wymieniana. Oskarżyciel ani razu nie użył określenia „terrorysta”. Policja nie doszukiwała się w przestępstwie, przynajmniej oficjalnie, wątku politycznego. Zostały zabite dwie osoby, a więc odbywa się proces o zabójstwo pierwszego stopnia. I kropka. Nawet prasa zdawała się popierać to podejście, opierające się na założeniu, że najbardziej negatywnym, bo pogardliwym, sposobem traktowania oskarżonego jest nazywanie go zwykłym kryminalistą, bez nadawania jego czynom odcienia akcji politycznej. Jack dopatrywał się w tym jeszcze innych motywów, zarówno politycznych jak i związanych z tajnym wywiadem, ale nikt nie wysuwał tego rodzaju sugestii. Z drugiej strony, adwokat oskarżonego miałby o wiele większą szansę obrony, gdyby mógł swego klienta nazwać członkiem grupy terrorystycznej. Ale i w mediach i w sali sądowej mówiło się tylko o procesie w sprawie zabójstwa.

Prawda wyglądała oczywiście inaczej i wszyscy o tym wiedzieli. Jednak Ryan był wystarczająco uświadomiony w materii prawnej, by to zrozumieć. Pamiętał, że prawników rzadko interesuje prawda. Ważniejsze są prawa i zasady. Nie będzie więc żadnych oficjalnych rozważań na temat celu przestępczych działań, nie zostanie włączona do sprawy rodzina królewska. Jej

przedstawiciel złoży tylko oświadczenie, że książę Walii nie jest w stanie zidentyfikować ujętego uczestnika zasadzki i tym samym nie może dostarczyć żadnych wartościowych dowodów.

Nie miało to większego znaczenia. Z materiałów dochodzeniowych wynikało, że śledztwo było nadzwyczaj gruntowne, rzetelne i szczegółowe. Brakowało chyba tylko filmu z przebiegu całego zdarzenia.

Cathy nie została powołana na świadka. Oprócz ekspertów medycyny sądowej, którzy zeznawali poprzedniego dnia, Korona, czyli oskarżenie, miała ośmiu naocznych świadków. Ryan był świadkiem numer dwa. Proces, jak przewidywano, miał potrwać nie dłużej niż cztery dni. Jak powiedział Owens, nikt nie zamierzał cackać się z ujętym zamachowcem.

- Doktor Ryan? Czy zechciałby pan pójść za mną, sir? - Tutaj traktowano Ryana jako wielką szychę.

Woźny sądowy, w koszuli z krótkimi rękawami, ale w krawacie, wprowadził Ryana bocznymi drzwiami do sali rozpraw. Oficer policji otworzył przed nim drzwi i zabrał Ryanowi jego komputer.

- Zaczyna się przedstawienie - mruknął do siebie Jack. Wnętrze sali numer 2 w Old Bailey było przykładem ekstrawagancji

XIX-wiecznej sztuki stolarskiej. Solidna dębowa boazeria pokrywała ściany od podłogi po sufit. Tego rodzaju wystrój tak dużego pomieszczenia spotkałby się w Ameryce z protestami organizacji ekologicznych z racji liczby drzew poświęconych na ten luksus. Po pewnym czasie Ryan ze zdziwieniem stwierdził, że w rzeczywistości powierzchnia tej sali niewiele się różni od powierzchni pokoju jadalnego w jego własnym domu. Podobieństwo zwiększał ustawiony na środku duży stół. Wraz z przylegającym do niego, otoczonym balustradą, miejscem dla świadka, tworzył on prawdziwą drewnianą fortecę. Za stołem, na jednym z pięciu krzeseł o wysokich, prostych oparciach, zasiadł Wysoki Sąd w osobie sędziego Wheelera. Wyglądał niezwykle dostojnie w czerwonej todze, przepasany tegoż koloru szarfą. Na głowie miał perukę z końskiego włosa sięgającą jego wąskich ramion. Zdaniem Ryana nakrycie głowy sędziego miało wszelkie cechy zabytku muzealnego. Ława przysięgłych znajdowała się na lewo od miejsca dla świadków. Osiem kobiet i czterech mężczyzn siedziało w dwóch równych rzędach. Ich twarze zdradzały pełne napięcia oczekiwanie. Nad tym wszystkim wznosiła się galeria dla publiczności. Ryanowi trudno było ze swego miejsca dostrzec znajdujących się tam ludzi.

Nieco na prawo, w odległości kilku metrów, widział Ryan adwokatów obrony. Ci również mieli XVII-wieczne halsztuki, ale głowy osłaniali perukami krótszymi niż sędziowska, a i togi mieli zwyczajne, czarne. Wszystko to nadawało atmosferze sali sądowej pewien odcień liturgiczny. W rezultacie, składając przysięgę, Ryan czuł się trochę nieswojo.

Oskarżyciel, Rzecznik Królowej (Queens Counsellor) - honorowy tytuł nadawany wybitnym przedstawicielom palestry brytyjskiej) William Richards był mężczyzną w wieku Ryana, podobnego wzrostu i budowy.

Zaczął od zwykłych w takich sytuacjach pytań o imię i nazwisko, miejsce zamieszkania, zawód, datę i cel przybycia do Wielkiej Brytanii. Richards, co zrozumiałe u tak wybitnego prawnika, miał wrodzone zdolności aktorskie. W miarę jak pytania zdążały w kierunku wydarzeń na The Mall, Ryan wyczuwał wzrastające, pełne oczekiwania, podniecenie słuchaczy.

- Doktorze Ryan, czy zechciałby pan opisać swoimi słowami co się wydarzyło później?

Przez pełne dziesięć minut Jack relacjonował przebieg wypadków, cały czas na w pół zwrócony w stronę ławy przysięgłych. Starał się unikać patrzenia prosto w ich twarze. Odczuwał wyraźną treść, chociaż ani charakter otoczenia, ani atmosfera sali sądowej nie usprawiedliwiały takiej reakcji. Żeby uchronić się przed tym paralizującym uczuciem utkwiał wzrok w dębowych deskach

boazerii tuż nad głowami przysięgłych i skupił się na wiernym odtwarzaniu chronologii zdarzeń. Momentami czuł się tak, jakby przeżywał to wszystko od nowa, a kiedy skończył, czuł, że serce bije mu szybciej niż normalnie.

- Doktorze Ryan - zwrócił się do niego Richards - czy potrafi pan rozpoznać człowieka, którego zaatakował pan w pierwszej kolejności?

- Tak, sir - Ryan wskazał ręką. - To człowiek siedzący na ławie oskarżonych.

Po raz pierwszy Ryan przyjrzał się dobrze podsądnemu. Nazywał się Sean Miller. Według opinii Jacka nazwisko miał niezbyt irlandzkie. Liczył sobie dwadzieścia sześć lat, był szczupły i dość skromnego wzrostu, ubrany w przyzwoity garnitur. Nie brakowało też w jego ubiorze krawata. Uśmiechał się do kogoś na galerii dla publiczności. Kiedy Ryan wskazywał na niego ręką, oskarżony przeniósł wzrok na świadka i Jack mógł spojrzeć mu w oczy. Przez całe tygodnie nurtowało go pytanie kim jest i jaki jest człowiek, który mógł obmyślić i popełnić taką zbrodnię? W jego osobowości musi istnieć jakaś luka, jakiś brak. A może przeciwnie, żyje w nim coś ponurego, od czego większość cywilizowanych ludzi ma szczęście być wolna? Pociągnęła twarz z widocznymi śladami po młodzieńczym trądziku wyglądała zupełnie normalnie. Miller mógł być, na przykład, praktykantem w Merrill Lynch lub w podobnej firmie. Ojciec Jacka przez całe życie miał do czynienia z przestępcami, ale dla Ryana samo istnienie kryminalistów było zagadką. Chciałby ich zapytać czym się różnią, co powoduje że są tacy, a nie inni? Wiedział jednocześnie, że nawet gdyby udzielili mu odpowiedzi na te pytania, nie rozwiązałyby to problemu. Ryanowi udało się pochwycić wzrok Millera i popatrzeć mu uważnie w oczy. Chciał w nich dostrzec cokolwiek, jakąś iskierkę człowieczeństwa, coś, co świadczyłoby, że jest to jednak istota ludzka, taka jak on sam. Trwało to tylko parę sekund, ale Ryanowi się zdawało, że moment ten wydłuża się i trwa już całe minuty, a on wciąż patrzy w te jasnoszare oczy i widzi zupełną pustkę. Nicość. I wtedy zaczął trochę rozumieć.

- Do akt sprawy wnosi się zapis - zabrzmiał donośny głos sędziego Wheelera - że świadek zidentyfikował oskarżonego Seana Millera.

- Dziękuję, milordzie. - Richards zakończył na tym swoje przesłuchanie świadka.

Ryan skorzystał z przerwy, żeby wytrzeć nos. W czasie ostatniego weekendu przeziębził się i nabawił kataru.

- Czy czuje się pan zupełnie dobrze, doktorze Ryan? - spytał sędzia.

Jack uświadomił sobie, że opiera się o drewnianą barierkę.

- Przepraszam, wysoki są... milordzie. Ten gips jest trochę męczący.

- Woźny, taboret dla świadka - zarządził sędzia.

Zespół obrony siedział w tym samym rzędzie co oskarżenie, w odległości około pięciu metrów od Jacka. Adwokaci mieli do dyspozycji dębowe ławki z miękkimi obiciami pokrytymi zieloną skórą. Wkrótce nadszedł woźny i przyniósł Ryanowi zwykły, drewniany stołek. Tak naprawdę potrzebna mu była raczej jakaś podpórka albo hak do podwieszenia lewego ramienia. Stopniowo zaczynał się już przyzwyczajać do tego ciężaru. Najgorsze było ciągle swędzenie pod opatrunkiem, ale wiedział, że w tym nikt nie mógł mu pomóc.

Niespiesznie, z dostojną elegancją, podniósł się z ławy obrońca, mecenas Charles Atkinson, znany powszechnie jako Czerwony Charlie. Jego specjalnością były najcięższe zbrodnie i najgłośniejsze procesy. Mówiono, że Partia Pracy, z ramienia której zasiadał do niedawna w Parlamencie, miewała z nim sporo kłopotów. Czerwony Charlie miał co najmniej dziesięć kilo nadwagi, a przy tym zaskakująco szczupłą, młodzieńczą twarz. Na czubku jego głowy tkwiła nieco przekrzywiona peruka. Terrorysty musieli słono zapłacić obrońcy o takiej renomie, pomyślał Ryan. Owens powinien mu się przyjrzeć nieco bliżej. Skąd pochodzą pańskie pieniądze, panie Atkinson?

- Jeśli pan pozwoli, milordzie... - zwrócił się do sędziego adwokat. Zbliżył się powoli do Ryana, trzymając w ręce kartkę z notatkami.

- Doktorze Ryan... czy raczej powinienem powiedzieć Sir John? Jack machnął ręką.

- Jak panu wygodniej, sir - odpowiedział obojętnie.

Przestrzegano go przed Atkinsonem. „To bardzo bystry i przebiegły facet”. Ryan poznał był swego czasu paru bystrych facetów, maklerów giełdowych.

- Był pan, o ile wiem, porucznikiem w Korpusie Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych?

- Tak, proszę pana, to prawda.

Atkinson zajrzał do swoich notatek, a potem mruknął znad kartki w stronę ławy przysięgłych.

- Spragniona krwi banda, ta piechota morska.

- Przepraszam, sir? Spragniona krwi? - zdziwił się Ryan. - Nie, proszę pana. Większość żołnierzy piechoty morskiej, których znam, to zdecydowani piwosze.

Po galerii przetoczyła się fala stłumionego śmiechu.

Atkinson ponownie obrócił się w stronę Ryana i uśmiechnął się do niego złowrogim skrzywieniem ust. Ostrzegano Jacka, by w żadnym wypadku nie wdawał się z Atkinsonem w szermierkę słowną. Czerwony Charlie uchodził za niezrównanego taktyka. Do diabła z tym wszystkim, powiedział sobie Ryan i odwzajemnił się Atkinsonowi szerokim uśmiechem. No? Zaczynaj, dupku żołądny!

- Proszę mi wybaczyć, Sir John. To taka przenośnia. Chciałem powiedzieć, że piechota morska znana jest z agresywności. To chyba jest zgodne z prawdą?

- Korpus Piechoty Morskiej to lekko uzbrojone oddziały piechoty, wyspecjalizowane w atakach desantowych z morza. Byliśmy dość dobrze wyszkoleni, ale jeśli panu chodzi o szczegóły, to nie różniliśmy się od żołnierzy innych formacji. Jedyna różnica to ta, że nasza specjalizacja wymaga ćwiczeń w bardzo taidnych warunkach.

Ryan miał nadzieję, że odpowiadając w ten sposób nadwątlili pewność siebie adwokata. Żołnierze piechoty morskiej byli potocznie uważani za arogantów, ale taka opinia wynikała głównie z wiedzy o nich nabytej w kinie. Jeśli jesteś naprawdę dobry, uczono go w Quantico, nie musisz być arogancki. Z reguły wystarczyło powiedzieć ludziom, że jest się żołnierzem piechoty morskiej.

- Piechota morska to jednostki szturmowe?

- Tak, sir. W zasadzie tak.

- A więc dowodził pan oddziałami uderzeniowymi?

- Tak, sir.

- Niech pan nie będzie przesadnie skromny, Sir John. Jakich cech wymaga się od dowódców tego rodzaju oddziałów? Agresywności? Zdecydowania? Odwagi? Z pewnością wymaga się od nich tych cech w większym stopniu niż od zwykłego, przeciętnego piechura?

- Jeśli chodzi o ścisłość, to w „Przewodniku dla oficerów Piechoty Morskiej”, a przynajmniej w tym jego wydaniu, którego egzemplarz posiadam, za najważniejszą cechę oficera tych formacji uważa się integralną osobowość. - Ryan uśmiechnął się. Atkinson wyraźnie nie odrobił swojej pracy domowej w tym punkcie. - Owszem, dowodziłem plutonem, ale jak mi to wyjaśnił mój pierwszy przełożony, moim głównym zadaniem było wykonywanie jego rozkazów i poleganie na swoim szefie plutonu, sierżancie o wielkim doświadczeniu praktycznym. To, w czym uczestniczyłem, to były raczej zajęcia praktyczne w ramach nauki dowodzenia. W biznesie nazywa to się etapem wstępnym. W żadnym zawodzie nie próbuje się już w pierwszym dniu wstrząsnąć światem.

Atkinson zmarszczył odrobinę czoło. Wyszło inaczej niż się spodziewał.

- Tak więc, Sir John, porucznik amerykańskiej piechoty morskiej jest w rzeczywistości kimś w

rodzaju drużynowego w harcerstwie. Chyba nie to miał pan na myśli? - spytał sarkastycznym tonem.

- Nie, sir. Proszę wybaczyć, jeśli moja wypowiedź zabrzmiała w ten sposób. Ale nie jesteśmy też kupą agresywnych barbarzyńców. Moim zadaniem było wykonywanie rozkazów. Miałem być agresywny, jeśli wymagała tego sytuacja i zachować pewien stopień własnego osądu. To obowiązuje każdego oficera. Służyłem tam tylko trzy miesiące i ciągle jeszcze uczyłem się jak być oficerem, kiedy uległem wypadkowi. Żołnierze wykonują rozkazy. Oczywiście, rozkazy wydają oficerowie, ale podporucznik to najniższy stopień oficerski. Więcej się słucha, mając ten stopień, niż rozkazuje. Domyślałem się, że pan nigdy nie był w wojsku - zakończył Ryan docinkiem.

- Czego więc dotyczyło to trzymiesięczne szkolenie? Czego pana nauczono? - spytał Atkinson. Był rozgniewany albo udawał takiego.

Richards popatrzał na Ryana. W jego spojrzeniu Jack uchwycił, a może wyczuł, sygnał ostrzegawczy. Kilka razy ostrzegał i przypominał, że Jack nie powinien próbować szermierki słownej z Czerwonym Charliem.

- Podstawowych umiejętności kierowniczych. Uczono nas jak kierować ludźmi w praktyce - zaczął wyliczać Ryan. - Jak reagować na określoną sytuację taktyczną, jak wykorzystać uzbrojenie plutonu oraz, w mniejszym stopniu, jak wykorzystać siłę ognia kompanii piechoty. Kiedy zażądać wsparcia artylerii i osłony z powietrza...

- Powiedział pan: jak reagować?

- Tak, proszę pana, między innymi.

Ryan pilnował się, żeby mówić spokojnie, tonem przyjaznym. Starał się też odpowiadać rzeczowo, a jednocześnie tak, by nie powiedzieć zbyt wiele.

- Nigdy nie zdarzyło mi się być w sytuacji, którą można by nazwać bojową - ciągnął Ryan - oczywiście, jeśli za taką nie uzna się sprawy, o którą tu chodzi. Ale nasi instruktorzy powtarzali nam, że kiedy zaczną latać kule, nie będzie czasu na zastanawianie się. Trzeba wiedzieć co należy robić i zrobić to szybko. W przeciwnym razie traci się ludzi.

- Wspaniale, Sir John. Był pan więc ćwiczony w reagowaniu na bodźce taktyczne szybko i zdecydowanie, czy tak?

- Tak jest - Ryan czuł, że zbliża się do zastawionej pułapki.

- Podczas tego fatalnego incydentu, kiedy nastąpiła pierwsza eksplozja, pan, według pańskiego zeznania przed tym sądem, patrzył w innym kierunku?

- Nie patrzyłem w kierunku eksplozji, zgadza się.

- Jak szybko odwrócił się pan, żeby zobaczyć co się wydarzyło?

- Proszę pana, jak już tu wcześniej mówiłem, w pierwszej kolejności kazałem mojej żonie i córce położyć się w osłoniętym miejscu. Potem rozejrzałem się dokoła. Ile czasu to zajęło? - Ryan podniósł wzrok i zastanowił się przez chwilę. - Co najmniej sekundę, a może nawet trzy. Proszę wybaczyć, ale, jak też już mówiłem, trudno spamiętać takie szczegóły. Nie nosi się przy sobie stopera.

- Kiedy więc w końcu rozejrzał się pan dokoła, nie od razu zorientował się pan, co się wydarzyło?

- Tak jest - odpowiedział krótko Ryan. Dobra Charlie, dawaj następne pytanie, dodał w myśli.

- Czyli że nie widział pan mojego klienta strzelającego z pistoletu ani rzucającego granat?

Chytrze, pomyślał Ryan, zdziwiony, że adwokat próbuje takiego naiwnego chwytu. Czegoś musi jednak facet próbować.

- Nie, proszę pana - powiedział. - Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy obiegał róg samochodu od strony innego osobnika z karabinem, tego, który został zabity. Chwilę później znalazł się przy

prawym tylnym błotniku Rollsa, odwrócony do mnie plecami, a w prawej ręce trzymał pistolet skierowany przed siebie i w dół, jak gdyby...

- To już jest pańskie przypuszczenie - przerwał Atkinson. - Jak gdyby co? To mogła być jedna z ewentualności. Ale jakich? Jak może pan mówić o tym, co on miał zamiar zrobić? Nie widział go pan wysiadającego z samochodu, bo ten odjechał. Na podstawie tego co pan widział, mógł pan przypuszczać, że jest to jeden z przechodniów biegnących na ratunek, tak jak pan to zrobił, czy nie tak?

Miało to, jak się wydaje, zaskoczyć Jacka.

-"Przypuszczenie, sir? Nie. Powiedziałbym raczej, że to ocena sytuacji. Spiesząc z pomocą, jak pan sugeruje, musiałyby przedtem przebiec jezdnię. Wątpię, żeby ktokolwiek znajdujący się w pobliżu byłby w stanie zareagować tak szybko, pomijając fakt, że stał tam człowiek z karabinem samoczynnym, co każdego zmusiłoby do zastanowienia się nad sensownością podobnej reakcji. Widziałem, że biegł od osobnika z Kałasznikowem, a nie w jego stronę. Jeśli biegł na ratunek, to dlaczego od źródła zagrożenia, a nie odwrotnie? Jeśli miał pistolet, to dlaczego nie strzelał? Nie dopuszczałem wówczas takiej możliwości i tym bardziej wydaje się ona nieprawdopodobna teraz, proszę pana.

- I znów! Teraz dla odmiany wyciąga pan wnioski, Sir John - Atkinson powiedział to tak, jakby zwracał się do opóźnionego w rozwoju dziecka.

- Proszę pana, pan mi zadaje pytania, a ja staram się odpowiadać, uzasadniając swoje odpowiedzi.

- I mamy uwierzyć, że wszystkie te szczegóły przeleciały panu przez myśl w ciągu paru sekund? Mówiąc to Atkinson obrócił się w stronę ławy przysięgłych.

- Tak proszę pana, tak było - powiedział z przekonaniem Ryan. - To tylko mogę powiedzieć. Tak było.

- Nie sądzę, aby już panu powiedziano, że mój klient nigdy nie był aresztowany, ani też oskarżony o jakiegokolwiek przestępstwo.

- Domyślam się więc, że będzie to jego pierwszy wyrok.

- Decyzję o tym pozostawmy Wysokiemu Sądowi - uciał sucho adwokat. - Pan nie widział, żeby oddał choć jeden strzał, prawda?

- Tak, to prawda, sir. Miał jednak ośmiostrzałowy pistolet, a w magazynku były tylko trzy naboje. Kiedy strzeliłem po raz trzeci okazało się, że magazynek jest już pusty.

- To co z tego? Chyba wie pan, że mógł z tego pistoletu strzelać ktoś inny. Pan nie widział jak mój klient strzelał. Czy może widział pan?

- Nie widziałem, sir.

- Pistolet mógł wyrzucić ktoś z samochodu. Mój klient mógł go podnieść i próbować robić to samo co pan. Nie może pan tego wykluczyć, nieprawdaż?

- Nie mogę zeznawać na temat wydarzeń, których świadkiem nie byłem. Ale widziałem ulicę, samochody i przechodniów. Jeśli pański klient robił to, co pan twierdzi, to skąd się tam znalazł?

- Właśnie! Nie wie pan, prawda? - spytał ostro Atkinson.

- Kiedy spostrzegłem pańskiego klienta, sir, zbliżał się od strony unieruchomionego Rollsa. - Jack wskazał na makietę przedstawiającą miejsce napadu, ustawioną na stole obok dowodów rzeczowych. - Żeby zdążyć zejść z chodnika, przebiec jezdnię, wydobyć pistolet i znaleźć się tam, gdzie go zobaczyłem, musiałyby być sprinterem klasy olimpijskiej.

- A więc nie wiemy i nie dowiemy się czy strzelał. Pańska wypowiedź to potwierdza. Natomiast pan zareagował bardzo gwałtownie, prawda? Zareagował pan tak, jak pana nauczono w wojsku, bez

chwili zastanowienia. Podbiegł pan i z bezwzględną brutalnością włączył się do awantury, zaatakował mego klienta, uderzył go, pozbawiając przytomności, a potem usiłował go pan zabić!

- Nie, sir, nie próbowałem zabić pańskiego klienta. Jak już mówiłem...

- Dlaczego więc strzelał pan do nieprzytomnego, bezbronno człowieka? - wyrecytował z naciskiem Atkinson.

- Wysoki Sądzie - odezwał się oskarżyciel Richards wstając z miejsca - już zadawaliśmy to pytanie!

- Świadek może więc odpowiedzieć na nie jeszcze raz - orzekł sędzia Wheeler. - Miał czas na dłuższą refleksję. Nikt nie powie, że ten proces nie był bezwzględnie uczciwy.

- Sir, nie wiedziałem, że był nieprzytomny i nie wiedziałem kiedy stanie na nogi. Strzeliłem więc, aby go obezwładnić. Chciałem tylko, żeby jeszcze przez chwilę nie wstawał.

- Jestem przekonany, że tak samo tłumaczono się po My Lai.

- Tam nie było piechoty morskiej, panie Atkinson - odpowiedział Ryan.

Adwokat uśmiechnął się do Jacka.

- Domyślam się, że pańscy koledzy są lepiej wyćwiczeni w trzymaniu języka za zębami. Pan zapewne również był w tym kierunku szkolony...

- Nie, proszę pana, nie byłem. - Ryan wyjął chusteczkę i po raz drugi wytarł nos. Uważaj Jack, ten facet zaczyna cię wkurzać. Zrobił dwa głębokie oddechy. Pomogło. - Przepraszam - powiedział. - Obawiam się, że przez tutejszą pogodę nabawiłem się kataru. Wracając do tego, co pan przed chwilą powiedział, gdyby w Korpusie Piechoty Morskiej ćwiczyli ludzie w tym kierunku, gazety wydrukowałyby to grubą czcionką na pierwszych stronach już kilka lat temu. Nie, proszę pana, zostawiając chwilowo na stronie kwestię moralności, piechota morska ma o wiele lepsze wyczucie opinii publicznej, panie Atkinson.

- Czyżby? - zdziwił się adwokat. - A co pan powie o Centralnej Agencji Wywiadowczej?

- Słucham?

- Co pan powie o doniesieniach prasowych, że pracuje pan dla CIA?

- Proszę pana. Z pieniędzy państwowych, a były to pieniądze Departamentu Marynarki, opłacano mnie tylko w dwóch przypadkach. - Jack bardzo starannie dobierał słowa. - Najpierw jako żołnierza piechoty morskiej i obecnie jako wykładowcę w Akademii Marynarki Stanów Zjednoczonych. Nigdy nie byłem zatrudniony przez jakiegokolwiek inne agencje państwowe. To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia.

- A więc nie jest pan agentem CIA? Przypominam, że zeznaje pan pod przysięgą.

- Nie, proszę pana. Nie jestem i nigdy nie byłem żadnego rodzaju agentem. Chyba że podciągnie pan pod tę kategorię moją pracę jako maklera giełdowego. Nie pracuję dla CIA.

- No a te doniesienia prasy?

- Obawiam się, że o to musi pan spytać dziennikarzy. Nie wiem skąd pochodzą te informacje. Ja zajmuję się nauczaniem historii. Moje miejsce pracy to Leahy Hall na terenie Akademii Marynarki. To dość daleko od Langley.

- Langley? Proszę, to pan wie gdzie znajduje się siedziba CIA?

- Tak, proszę pana. To żadna tajemnica, że dawałem tam kiedyś wykład. Był to ten sam wykład, który miesiąc wcześniej wygłosiłem w Akademii Sztabowej Marynarki w Newport, w stanie Rhode Island. Dotyczył on procesów podejmowania decyzji taktycznych. Nigdy nie pracowałem dla CIA, ale dałem tam jeden wykład. Może stąd właśnie pochodzą te doniesienia.

- Myślę, że pan kłamie, Sir Johnie.

- Nic na to nie poradzę, że pan tak myśli. Mówię prawdę i to wszystko - odparł Ryan. No, może

niezupełnie, Charlie, dodał w myśli.

- I nigdy nie napisał pan dla władz federalnych urzędowego sprawozdania pod tytułem „Agencji i Agencje”?

Ryan nie dał po sobie poznać śladu zaskoczenia. Skądże ty zdobył tę informację, Charlie? Odpowiadając ostrożnie ważył słowa.

- Sir, ubiegłego lata, pod koniec roku szkolnego zaproponowano mi doradztwo kontraktowe w prywatnej spółce wykonującej zamówienie rządowe. Jest to spółka o nazwie Mitre Corporation. Zostałem więc czasowo zatrudniony przy realizacji ich kontraktów konsultingowych zawartych z rządem Stanów Zjednoczonych. Praca tam była utajniona, ale oczywiście nie miała nic wspólnego z tym procesem.

- Powiedział pan: „oczywiście”. Dlaczego nie pozostawi pan sądowi decyzji w tej sprawie?

- Panie Atkinson - włączył się sędzia Wheeler - czy sugeruje pan - sędzia mówił powoli, znużonym głosem - że praca, w której brał udział świadek ma bezpośredni związek ze sprawą toczącą się przed tym sądem?

- Myślę, Wysoki Sądzie, że moglibyśmy spróbować to ustalić. Według mojego przekonania świadek wprowadza nas w błąd.

- Dobrze. - Sędzia zwrócił się do Ryana. - Doktorze Ryan, czy praca, którą pan wykonywał, miała cokolwiek wspólnego z rozważanym przypadkiem morderstwa na terenie miasta Londynu lub z którąkolwiek z osób występujących w procesie?

- Nie, sir.

- Jest pan zupełnie pewien?

- Tak jest.

- Czy jest pan, albo czy był pan kiedykolwiek zatrudniony w jakiejkolwiek agencji wywiadowczej lub w służbie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych?

- Tylko w Korpusie Piechoty Morskiej.

- Przypominam panu, że przysięgał pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Czy w jakikolwiek sposób oszukiwał pan ten sąd, doktorze Ryan?

- Nie, sir. Absolutnie nie.

- Dziękuję, doktorze Ryan. Uważam, że kwestia została rozstrzygnięta. - Sędzia Wheeler zwrócił się ku prawej stronie. - Następne pytanie, panie Atkinson.

Ryan pomyślał, że adwokat musi być teraz wściekły. Nie dawał jednak poznać po sobie satysfakcji. Zastanawiał się, czy aby sędzia nie został przez kogoś poinstruowany.

- Powiedział pan - zaczął Atkinson - że strzelił do mego klienta tylko w nadziei, że nie będzie mógł przez to wstać?

- Wysoki Sądzie - Richards wstał z miejsca - świadek już...

- Jeśli Wysoki Sąd pozwoli mi zadać następne pytanie, wszystko wyjaśnię - przerwał ugrzecznym tonem Atkinson.

- Proszę dalej - zgodził się sędzia.

- Doktorze Ryan, powiedział pan, że strzelając do mego klienta miał pan nadzieję, że nie będzie on mógł wstać. Czy w Korpusie Piechoty Morskiej USA uczą strzelać z zamiarem obezwładnienia czy tak, żeby zabić?

- Żeby zabić, proszę pana.

- Pańska wypowiedź znaczy więc, że postąpił pan wbrew temu czego pana uczono?

- Tak, proszę pana. To przecież jasne. Nie byłem na polu walki, lecz na ruchliwej ulicy w mieście. Ani na moment nie przyszło mi do głowy zabić pańskiego klienta. - I szkoda, bo może wtedy



nie znalazłbym się tutaj, pomyślał.

- A więc reagował pan zgodnie ze swoim wyszkoleniem, kiedy włączył się pan w awanturę na The Mall, a w chwilę potem postąpił pan wbrew niemu? Czy nie sądzi pan, że byłoby sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, gdybyśmy w to uwierzyli?

W końcu Atkinsonowi udało się wprawić Ryana w zakłopotanie. Jack nie miał najmniejszego pojęcia do czego adwokat zmierza.

- Nie myślałem o tym w ten sposób, proszę pana, ale rzeczywiście tak było, ma pan rację - przyznał.

- Następnie - kontynuował Atkinson - podczołgał się pan do rogu samochodu, zobaczył drugiego człowieka, widzianego już wcześniej i zamiast próbować go obezwładnić strzelił pan bez ostrzeżenia, zabijając go na miejscu. W tym przypadku wrócił pan do zasad wyniesionych ze szkolenia i strzelił, żeby zabić. Nie uważa pan, że to wszystko jest niespójne?

Jack potrząsnął głową.

- Nie, proszę pana. We wszystkich przypadkach użyłem siły koniecznej do... po prostu siły, jakiej według mojej oceny sytuacji musiałem użyć.

- Myślę, że pan się myli, Sir Johnie. Uważam, że cały czas reagował pan jak porywczy, nieopanowany oficer piechoty morskiej. Włączył się pan do akcji bez jasnego rozeznania, zaatakował pan niewinnego człowieka i próbował go zabić, gdy leżał on nieprzytomny na ulicy. Następnie z zimną krwią zastrzelił pan innego człowieka bez najmniejszej próby rozbrojenia go. Nie wiedział pan wtedy, a i teraz pan nie wie, co się w istocie działo, czy tak?

- Nie, proszę pana. Uważam, że było zupełnie inaczej. Co miałem zrobić z tym drugim człowiekiem?

Atkinson dostrzegł okazję i natychmiast ją wykorzystał.

- Przed chwilą powiedział pan sądowi, że zamierzał pan mego klienta tylko obezwładnić, podczas gdy w rzeczywistości próbował pan go zabić. Na jakiej podstawie mamy panu wierzyć, skoro w następnej pańskiej akcji w ogóle nie pojawiła się myśl o takim „pokojowym” rozwiązaniu?

- Proszę pana, kiedy zobaczyłem po raz pierwszy tego McCrory, miał w rękach karabin Kałasznikowa. Z pistoletem przeciw człowiekowi z karabinem maszynowym...

- Ale później zauważył pan, że McCrory nie ma już Kałasznikowa, czyż nie?

- Tak, to prawda. Gdyby go nadal miał... nie wiem, możliwe, że nie wyszedłbym w ogóle spoza samochodu. Może strzelałbym z ukrycia, to znaczy zza samochodu.

- Aa, rozumiem! - wykrzyknął Atkinson. - Wolał pan wybrać rozwiązanie siłowe i zabić człowieka w prawdziwie kowbojskim stylu. Dodge City w centrum Londynu! - Teatralnym gestem podniósł obie ręce w górę.

- Chciałbym usłyszeć jak pana zdaniem powinienem był postąpić - powiedział poirytowany Jack.

- Czy ktoś, kto umie trafić przeciwnika za pierwszym strzałem prosto w serce, nie mógłby strzelić tak, by wytrącić mu broń z ręki, Sir Johnie?

- A więc o to chodzi. - Ryan pokręcił głową i uśmiechnął się, bo uświadomił sobie, że Atkinson popełnił błąd. - Wolałbym, żeby pan się zdecydował.

- Co takiego? - Adwokat był wyraźnie zaskoczony.

- Panie Atkinson, przed minutą powiedział pan, że próbowałem zabić pańskiego klienta. Byłem od niego na odległość wyciągniętej ręki, a jednak go nie zabiłem. Stąd wniosek, że marny ze mnie strzelec. A teraz pan oczekuje ode mnie, żebym z odległości pięciu czy sześciu metrów trafił kogoś w dłoń. Coś tutaj się nie zgadza, proszę pana. Albo jestem dobrym strzelcem, albo marnym, ale nie

jednym i drugim jednocześnie, panie Atkinson. Nawiasem mówiąc, takie sztuczki jak wytrącanie kulą rewolweru z ręki przeciwnika zdarzają się tylko w telewizji. A telewizja to nie to samo co rzeczywistość. W rzeczywistości z pistoletu mierzy się w środek celu. Tak właśnie zrobiłem. Wszedłem spoza samochodu z pistoletem przygotowanym do strzału. Gdyby McCrory nie skierował swojej broni w moją stronę, prawdopodobnie, na pewno tego stwierdzić nie mogę, ale prawdopodobnie nie strzelałbym. Ale on wycelował we mnie i strzelił, jak pan sam chyba widzi, a ja odpowiedziałem strzałem. To prawda, że mógłbym całą akcję rozegrać inaczej. Niestety, nie zrobiłem tego. Miałem niewiele czasu na przygotowanie. Zrobiłem co mogłem. Żałuję, że zginął człowiek, ale to był skutek również jego wyboru. Widział, że mam go na muszce, a mimo to obrócił się i strzelił. Strzelił pierwszy, proszę pana.

- Ale nie powiedział pan ani słowa?

- Nie, nie sędzę, żebym coś mówił - przyznał Jack.

- Czy nie wolałby pan, żeby wypadki potoczyły się inaczej?

- Panie Atkinson, jeśli będzie to dla pana źródłem satysfakcji to powiem, że w ciągu ostatnich czterech tygodni po wielokroć analizowałem tamte wydarzenia. Gdybym wówczas miał więcej czasu, pewnie zachowałbym się inaczej. Ale czy na pewno, tego nie będę wiedział nigdy, bo tego czasu do namysłu po prostu nie miałem. - Jack przerwał i po chwili mówił dalej. - Przypuszczam, że dla wszystkich zainteresowanych najlepiej byłoby, gdyby to żalosne i tragiczne wydarzenie w ogóle nie miało miejsca. Ale to nie ja je spowodowałem, proszę pana. To zrobił on. - Jack po raz drugi pozwolił sobie skierować wzrok na Millera.

Miller siedział na krześle o prostym, wysokim oparciu. Ręce skrzyżował na piersiach, a głowę przechylił lekko w lewo. W kąciu jego ust pojawił się ledwo widoczny uśmiech. Pojawił się, ale nie objął reszty twarzy. I tak widocznie miało być. Ten uśmiech przeznaczony był tylko dla Ryana. Szare oczy Seana Millera nieruchomo wpatrywały się w niego z odległości około dziesięciu kroków. Ryan podjął to wyzwanie i spojrzał w oczy tamtego pilnując się, żeby nie zmienić wyrazu twarzy. Protokolant kończył zapisywanie zeznań Jacka, goście na galerii wymieniali szeptem uwagi, a oni ciągle badali się wzrokiem, sprawdzali nawzajem wytrzymałość przeciwnika. Co się kryje za tymi oczyma? Na pewno nie słabość ani strach. To była gra, w której Miller miał doświadczenie, Ryan był tego pewny. W jego spojrzeniu, w jego zachowaniu czuło się siłę drapieżnego zwierzęcia. Nie było w nim ani cienia łagodności, wymuszonej względami moralnymi, nie było śladu sumienia. Tylko siła i wola. Otoczony policjantami Miller przypominał wilka w klatce i w jego spojrzeniu Ryan dopatrywał się nawet podobieństwa do wzroku wilka spoglądającego zza prętów ogrodzenia. Był drapieżnikiem, który patrzy na rzecz, na przedmiot, zastanawiając się jak go dosięgnąć. Garnitur i krawat to elementy kamuflażu. Tym samym był jego wcześniejszy uśmiech do kolegów czy przyjaciół na galerii. W tej chwili nie myślał o nich. Nie myślał o zbliżającej się decyzji sądu, nie myślał o więzieniu. Jack był o tym całkowicie przekonany. Myślał tylko o kimś, kto nazywa się Ryan, kogo widzi przed sobą niemal w zasięgu rąk. Prawa dłoń Ryana siedzącego na miejscu dla świadków drgnęła bezwiednie, pobudzona widokiem pistoletu leżącego na stole wśród innych dowodów rzeczowych.

Mimo wszystko to nie było zwierzę w klatce. Miller dysponował inteligencją, odebrał solidne wykształcenie. Posiadał zdolność myślenia i planowania jak każdy człowiek. Żadne jednak ludzkie odruchy nie były w stanie powstrzymać go, kiedy już postanowił działać. Prowadzone przez Jacka na zlecenie CIA badania osobowości terrorystów traktowały ich jak abstrakcje, jak roboty, które mogą poruszać się i wykonywać określone czynności, a które należy zneutralizować w ten czy inny sposób. Nie przypuszczał wtedy, że spotka jednego spośród nich. Co więcej, Jack nigdy nie przewidywał, że

jeden z nich będzie patrzył na niego w ten sposób. Czyżby nie wiedział, że Jack wypełniał po prostu swój obywatelski obowiązek?

Ciebie mogą te rzeczy nie obchodzić. Jestem czymś, co znalazło się na twojej drodze. Zraniłem cię, zabiłem twojego towarzysza, doprowadziłem do tego, że wasza akcja zakończyła się porażką. Chcesz się odegrać, co? Bywa, że zraniony drapieżnik poluje na swego prześladowcę. A ten zraniony drapieżnik ma mózg i pamięć. Jack nieświadomie wytarł spoconą dłoń o spodnie. Ten drapieżnik potrafi też rozumować, jego myśl pracuje i teraz.

Ryan bał się w sposób dotychczas mu nie znany. Upłynęło kilka sekund zanim przypomniał sobie, że Miller jest obstawiony przez czterech policjantów, że sąd uzna go winnym, że zostanie skazany na więzienie do końca swego doczesnego żywota i że więzienne życie zmieni tę osobowość, czy może tylko tę żywą istotę, która kryła się za tymi jasnoszarymi oczyma.

A ja jestem żołnierzem piechoty morskiej, przekonywał siebie Jack. Nie boję się ciebie. I poradzę sobie z takim gnojkiem jak ty. Raz już cię załatwiłem. Uśmiechnął się do Millera, odpowiadając na jego uśmiezek. W ten sam sposób, jedynie lekkim skrzywieniem warg. To nie wilk, raczej łasica, powiedział sobie. Paskudne to i niebezpieczne, ale nie na tyle żeby się tym przejmować. Odwrócił się jak od okazu w ogrodzie zoologicznym. Zastanawiał się, czy Miller zrozumiał wymowę tego gestu.

- Nie mam więcej pytań - powiedział Atkinson.

- Świadek jest wolny - oznajmił sędzia Wheeler.

Jack wstał ze stołka i obrócił się, by opuścić miejsce dla świadka. W przelocie jego wzrok musnął twarz Millera. Zdążył zauważyć, że ani spojrzenie, ani uśmiezek tamtego nie zmieniły się.

Z sali rozpraw Ryan wyszedł do holu, w drzwiach mijając następnego świadka. Za drzwiami czekał na niego Dan Murray.

- Całkiem nieźle - stwierdził agent FBI - ale powinieneś być ostrożniejszy z tym adwokatem. Mało brakowało, a byłby cię przyłapał.

- Myślisz, że to może mieć znaczenie? Murray pokręcił głową.

- Nie. Ten proces to formalność, sprawa jest zupełnie oczywista.

- Ile mu dadzą?

- Dożywocie. Tutaj na ogół „dożywocie” oznacza w praktyce to samo co u nas: sześć albo osiem lat. Ale dla tego chłoptasia „dożywocie” oznacza „dożywocie”. O, już jesteś, Jimmy!

Owens nadchodził właśnie korytarzem. Po chwili przyłączył się do nich.

- No i jak się spisał nasz chłopak?

- Oskara nie dostanie, ale przypadł do gustu ławie przysięgłych - powiedział Murray.

- No, to w porządku. W tej roli jeszcze pan nie występował, prawda? Siedzieli w czasie pańskich zeznań cichutko, ledwo oddychając. Uwierzyli we wszystko, co pan powiedział, zwłaszcza w te pańskie skrupuły i ubolewania z powodu tragicznych skutków wydarzeń. Zrobił pan wrażenie uczciwego gościa.

- Zgadza się - mruknął Ryan. - i co z tego wynika?

- Nie każdy jest taki - stwierdził Owens. - A sędziowie przysięgli umięją to zauważyć. To znaczy, na ogół.

Murray przytaknął kiwnięciem głowy.

- Obaj moglibyśmy opowiedzieć niejedną dobrą, no, może nie zawsze dobrą, historyjkę o tym, co potrafią wyczyniać sędziowie przysięgli, ale jeśli się bliżej przypatrzeć, to ten system działa całkiem nieźle. Panie Owens, może byśmy postawili piwo temu dżentelmenowi?

- Świetny pomysł, panie Murray. - Owens ujął Ryana pod ramię i poprowadził w kierunku

schodów.

- Ten cały Miller to jednak nieprzyjemny typ, nie uważasz? - zwrócił się Ryan do Murraya. Chciał usłyszeć opinię fachowca w tej materii.

- Zauważyłeś już? W takim razie witamy we wspaniałym świecie międzynarodowego terroryzmu! Zgadza się, to mały, ale twardy kawałek sukinsyna, zgadłeś. Z początku większość z nich jest taka.

- Za rok - dorzucił Owens - będzie już trochę inny. Jest twardy, to fakt. Ale zauważ, że twardość zawsze idzie w parze z kruchością. Często więc tacy pękają. Czas działa na naszą korzyść, Jack. Jeśli on nie pęknie, to i tak o jednego będzie mniej.

- John Ryan to naprawdę godny zaufania świadek - mówił komentator telewizyjny. - W drugim dniu procesu w sprawie morderstwa na The Mali, odbywającego się w sali rozpraw numer 2 w Old Bailey, doktor Ryan odparł frontalny atak obrońcy, Charlesa Atkinsona i zidentyfikował bez cienia wątpliwości oskarżonego Seana Millera.

Na ekranie telewizora Ryan, po opuszczeniu gmachu sądu, schodził w towarzystwie dwóch mężczyzn lekko opadającą ulicą. Amerykanin gestykulował w trakcie rozmowy i uśmiechnął się, przechodząc koło kamery reportera.

- Nasz stary znajomy, Owens. A kto to ten drugi? - zapytał o'Donnell.

- Daniel E. Murray, przedstawiciel FBI na Grosvenor Square - odpowiedział szef jego wywiadu.

- Oo!? Nigdy nie widziałem jego twarzy. To tak on wygląda! Założę się, że idą na piwo. Bohater i jego sekundanci. Szkoda, że nie mogliśmy tam posłać naszego człowieka z RPG...

Śledzili kiedyś Jamesa Owensa szukając sposobu zlikwidowania go, ale okazało się, że zawsze towarzyszy mu samochód z ochroną i nigdy nie porusza się dwa razy tą samą trasą. Jego dom był zawsze strzeżony. Mogli go zabić, ale odwrót i ucieczka byłyby bardzo ryzykowne, a o'Donnell nie palił się do wysyłania swoich ludzi na samobójcze akcje.

- Jutro lub pojutrze Ryan wraca do domu - powiedział nagle o'Donnell.

- Tak? - szef wywiadu nie wiedział o tym. Skąd Kevin ma te wszystkie tajne informacje?

- Niedobrze, co, Michael? Czyż nie byłoby bardziej elegancko odesłać go do domu w trumnie?

- Z tego co mówiłeś zrozumiałem, że to dla nas obiekt nie wart zachodu i ryzyka - powiedział Mikę McKenney.

- Tak, ale teraz zrobił się z niego ważniak. Krzyżuje szpady z naszym przyjacielem Charliem i krocząc dumnie wychodzi z Balley, by udać się na kufel piwa. Przeklęty kowboj, we wszystkim tak pewny siebie...

Czyż nie byłoby przyjemnie... Kevin o'Donnell pokręcił głową, odpychając tę powabną myśl.

- Musimy opracować plan dalszych działań - podjął po chwili. - Sir John może poczekać. My też.

- Musiałem bez mała grozić pistoletem, żeby to załatwić - mówił przez ramię Murray.

Agent FBI siedział za kierownicą swojego prywatnego samochodu i pędził ulicami Londynu. Na lewym przednim fotelu siedział, w charakterze eskorty, człowiek z OKD. Za nimi, starając się nie zostać z tyłu, podążał wóz patrolowy C-13 z resztą ochrony.

Patrz przed siebie, na tę cholerną drogę, doradzał w myśli Ryan Murrayowi. Jego kontakt z londyńskim ruchem ulicznym był dotychczas minimalny i dopiero teraz przekonał się, że wszelkie ograniczenia prędkości tutejsi kierowcy mieli w głębokiej pogardzie. W dodatku ta jazda niewłaściwą stroną jezdni!

- Tom Hughes, Naczelnik Straży, powiedział mi co zaplanował na dzisiejszy wieczór. Pomyślałem, że musisz mieć kogoś do towarzystwa, kto potrafi poprawnie mówić.

Niechby jeszcze poprawnie prowadził wóz, pomyślał Ryan, bo właśnie wyprzedzali z niewłaściwej strony ciężarówkę z przyczepą. A może to była właściwa strona? On sam mógł tylko stwierdzić, że przemknęli koło ciężarówki w odległości mniejszej niż pół metra. Szerokość angielskich dróg nie była imponująca.

- Wielka szkoda, że tak niewiele mogłeś zobaczyć.

- Trudno, Cathy widziała dużo, a i ja sporo. W telewizji.

- Co oglądałeś? Jack zaśmiał się.

- Całe mnóstwo powtórek z mistrzostw Anglii w krykiecie.

- No i co? Zrozumiałeś chociaż zasady? - spytał Murray odwracając głowę.

- To w tej grze są w ogóle jakieś zasady? - odpowiedział Jack tonem pełnym niedowierzania.

- Oni twierdzą, że są, ale za cholerę nie mogłem się ich dopatrzeć. Ale zaczynamy wyrównywać z nimi rachunek.

- W jaki sposób?

- Nasz futbol staje się tu coraz popularniejszy. Jimmy Owens musiał się długo męczyć nim zrozumiał różnicę między spalonym a nieprzepisowym wejściem do gry.

- Ma pan na myśli wejście bez piłki i falstart, tak? - spytał człowiek z eskorty.

- Widzisz? Zaczynają już kapować!

- Chcesz powiedzieć, że mogłem oglądać w telewizji futbol? Szkoda, że nikt mi o tym nie powiedział!

- Biedny Jack - włączyła się do rozmowy Cathy.

- Jesteśmy na miejscu. - Murray zwolnił, bo zjeżdżał właśnie z nasypu, którym biegła ulica, w prawo i w dół ku rzece. Jack był przekonany, że wjechał pod prąd w ulicę jednokierunkową, ale nie protestował, bo przynajmniej jechali teraz wolniej. Ściemniało się. O tej porze roku słońce zachodzi dość wcześnie.

- Oto przygotowana dla was niespodzianka. - Murray wyskoczył z samochodu i przytrzymał drzwi, aby ułatwić Ryanowi manewr wysiadania. Jack po raz kolejny odegrał pantomimę przedstawiającą kraba, który ma przednią kończynę uzbrojoną w szczypcę, dużo większą od pozostałych.

- Tom! - zawołał Murray w mrok.

Wyłonili się z niego dwaj mężczyźni, obaj w strojach z epoki Tudorów, w kolorach ciemnoniebieskim i czerwonym. Pierwszy, idący przodem mężczyzna około pięćdziesiątki, podszedł prosto do Ryana.

- Sir John, Lady Ryan, witajcie w Tower of London, warowni Jej Królewskiej Mości. Jestem Thomas Hughes, a to Joseph Evans. Widzę, że Danowi udało się przywieźć państwa na czas.

Nastąpiły powitalne uściski dłoni.

- Owszem. Nie musieliśmy nawet przekraczać prędkości jednego macha - zażartował Ryan. - Mogę spytać co to za niespodzianka?

- Ależ wtedy nie byłaby to już niespodzianka - zaprotestował Hughes. - Miałem nadzieję, że osobiście oprowadzę państwa po terenie warowni, ale muszę jeszcze coś załatwić. Na razie Joe będzie do państwa dyspozycji, a ja wkrótce dołączę. - Naczelnik Straży odszedł, a w ślad za nim Dan Murray.

- Czy byli już państwo w Tower? - spytał Evans. Jack pokręcił przecząco głową.

- Ja byłem mając dziewięć lat - powiedziała Cathy. - Prawie nic nie pamiętam.

Evans dał znak, żeby szli za nim.

- Postaramy się tym razem dostarczyć trwalszych wrażeń.

- Wy tu wszyscy jesteście żołnierzami, prawda?

- Rzeczywiście, Sir John. Ścisłej, jesteśmy wszyscy eks-sierżantami lub starszymi sierżantami.

Ja byłem starszym sierżantem w 1. Pułku Powietrznodesantowym, kiedy przeniesiono mnie do rezerwy. Cztery lata czekałem, zanim mnie tutaj przyjęto. Chętnych do tej służby nie brakuje, toteż rywalizacja jest bardzo ostra.

Ryan rzucił okiem na naszywki zdobiące strój Evansa. Przypominał mu on nieco suknię, ale tego nie zamierzał powiedzieć na głos. Barwne baretki na piersiach Evansa bynajmniej nie oznaczały medali przyznanych mu przez dentystę za dzielność w gabinecie zabiegowym. Nie trudno było się domyślić, jakiego rodzaju ludzi przyjmowano do tej pracy. Nie oddawało rzeczywistości stwierdzenie, że Evans „szedł” lub „chodził”. On maszerował z tym nie rzucającym się w oczy, ale wyczuwalnym rodzajem dumy, nabycie której trzeba okupić trzydziestoletnią służbą w wojsku.

- Czy ramię bardzo panu dokucza, sir?

- Na imię mi Jack, a ramię jest OK.

- W sześćdziesiątym ósmym nosiłem podobny gips. Miałem wypadek na ćwiczeniach - Evans mówił to z wyczuwalnym żalem. - Wylądowałem na kamiennym murze ogrodzenia. Przez kilka tygodni bolało jak diabli.

- Ale skakał pan dalej - powiedział Ryan. A w myśli dodał, że pewno ćwiczył pompki na jednej ręce.

- Oczywiście. - Evans zatrzymał się. - Proszę spojrzeć. Ta imponująca budowla to Wieża Środkowa. Kiedyś miała jeszcze przybudówkę, tam, gdzie teraz jest sklep z pamiątkami, nazywaną Lwią Wieżą, ponieważ do 1834 roku mieściła się tam królewska menażeria.

Objaśnienia te Evans wygłaszał po kilka razy dziennie od czterech lat. Nic więc dziwnego, że mówił bez zająknięcia.

- Czy ten rów to była prawdziwa fosa?

- O, tak. W dodatku bardzo nieprzyjemna. Rzecz w tym, że według założeń projektanta miała być codziennie przepłukiwana przez Tamizę. Woda w fosie miała być ciągle świeża i czysta. Niestety, ówczesny inżynier nie dopracował czegoś do końca i w rezultacie woda raz wpuszczona, pozostała w fosie. Co gorsza, mieszkający tu ludzie pozbywali się wszelkich odpadków wyrzucając je do fosy. Tam zostawały one i gniły. Przypuszczam, że miało to również cel taktyczny. Sam odór fosy musiał odstraszać wszystkich, może z wyjątkiem największych ryzykantów. W 1843 roku fosa została osuszona i teraz wykorzystywana jest do celów bardziej pożytecznych: dzieci grają tam w piłkę nożną. Na drugim końcu fosy są huśtawki i inne urządzenia do zabawy. Czy państwo mają dzieci?

- Jedno i jedną dziewiątą - odpowiedziała Cathy.

- Tak? - Evans zaśmiał się. - To wspaniale, niech mnie... Myślę, że ten Jankes zostanie już na zawsze, chociażby w małym stopniu, Brytyjczykiem! Moira i ja mamy dwójkę. Jedno i drugie urodzone za granicą. A to tutaj, to jest Wieża Strażników.

- Do tych budowli musiały prowadzić mosty zwodzone, prawda? - spytał Jack.

- Tak jest. Wieża Lwów i Wieża Środkowa były w istocie wyspami otoczonymi pięcio- lub sześciometrowym pasem cuchnącej wody. Proszę też zwrócić uwagę, że podejścia do bram skracają pod kątem prostym. Cel był jasny: miały utrudniać ewentualnym napastnikom posługiwanie się taranem.

Jack podziwiał szerokość fosy i wysokość murów, a tymczasem znaleźli się na terenie właściwej Tower.

- I nikt nigdy nie zdobył tej warowni? - spytał Jack. Evans potrząsnął głową.

- Nikt nawet specjalnie nie próbował, a i dzisiaj nie byłoby to łatwe.

- Tak - zgodził się Ryan. - A nie mieliście pietra, że ktoś podłożył wam tu bombę?

- Z przykrością muszę powiedzieć, że coś takiego się zdarzyło. Prawie dziesięć lat temu, w Białej Wieży. Od tej pory zastrzyliśmy środki bezpieczeństwa - odrzekł Evans.

Oprócz Strażników Tower warowni strzegli również gwardziści, których Jack widział w okolicy Pałacu Buckingham, w czerwonych kubrakach, futrzanych bermycach, z nowoczesnymi karabinami. Dziwnie kontrastowali z kolegami Evansa ubranymi w historyczne stroje, ale nikt, jak się wydawało, nie zwracał na to uwagi.

- Zapewne wiedzą państwo, że na przestrzeni lat cały ten kompleks wykorzystywano do różnych celów. Było tu królewskie więzienie i jeszcze w czasie drugiej wojny światowej przetrzymywano w Tower Rudolfa Hessa. A czy wiedzą państwo, która królowa Anglii została tu ścięta jako pierwsza?

- Anna Boleyn - odpowiedziała Cathy.

- Bardzo dobrze. To w Ameryce uczą naszej historii?

- Oglądałam w telewizji program z cyklu „Teatr Mistrzów”.

- W takim razie już pani wie, że wszystkie egzekucje przeprowadzano przy użyciu topora. Z wyjątkiem egzekucji Anny Boleyn. Król Henryk VIII sprowadził z Francji specjalnego kata, który użył miecza zamiast topora.

- Nie chciał ranić jej godności? - spytała Cathy z krzywym uśmiechem. - To ładnie z jego strony.

- Tak, facet był bardzo troskliwym mężem, prawda?

- A to jest Brama Zdrajców. Może zainteresuje państwa, jako Amerykanów, fakt, że początkowo nazywała się ona Bramą Wodną, Water Gate (Nazwa kompleksu budynków w Waszyngtonie, od którego wzięła nazwę słynna afera Watergate, zakończona dymisją prezydenta Niksona). - A więc i wam się to przytrafiło? - zaśmiał się Ryan.

- Fakt - zgodził się Evans i mówił dalej. - Więźniów wyprowadzano tędy bezpośrednio do łodzi i odstawiano do Westminster, na proces.

- A później z powrotem tutaj, na... strzyżenie?

- Tak działo się tylko z ważniejszymi osobistościami. Egzekucje w Tower nie były publiczne, raczej można by je nazwać prywatnymi. Odbywały się w Zielonej Wieży. Publiczne egzekucje przeprowadzano gdzie indziej.

Evans poprowadził Jacka i Cathy przez bramę w Krwawej Wieży, opowiadając po drodze jej historię. Ryan zastanawiał się, czy ktoś spisał w całości dzieje tej warowni-więzienia, a jeśli tak, to ile tomów liczy ta kronika.

Wieża Zielona była miejscem stanowczo zbyt miłym jak na teren krwawych egzekucji. Nawet tabliczki nawołujące do szacunku dla trawników zawierały grzeczne „Proszę”. Dwa przeciwległe boki pałacyku zabudowane były domami w stylu tudoriańskim. Miejscem, gdzie wznoszono szafot dla wykonania egzekucji wysoko urodzonych skazańców, była północna strona skwerku. Evans zrelacjonował przebieg takiego aktu sprawiedliwości, dorzucając ciekawy szczegół. Otóż skazany musiał zapłacić katu, oczywiście z góry, za „usługę” w nadziei, że robota będzie wykonana porządnie.

- Ostatnią kobietą ściętą w tym miejscu w dniu 13 lutego 1542 roku - kończył Evans - była Jane, wicehrabina Rochford.

- Cóż ona takiego zrobiła? - spytała Cathy.

- Raczej czego nie zrobiła. Otóż nie powiadomiła króla Henryka VIII, że jego piąta żona, Katarzyna Howard, była... hmm... związana uczuciowo z kimś innym niż jej mąż - wyjaśnił oględnie Evans.

- To był naprawdę historyczny moment - zaśmiał się Jack. - Ostatni w dziejach przypadek

skazania kobiety za to, że trzymała buzię na kłódkę.

Cathy uśmiechnęła się do męża.

- Jack, chcesz żebym ci złamała drugą rękę?

- A co by Sally na to powiedziała? - zaprotestował Ryan.

- Zrozumiałaby - zapewniła go żona.

- Sierzancie, czy to nie zadziwiające jak solidarne są kobiety?

- Nie przeżyłbym trzydziestu jeden lat służby jako zawodowy żołnierz, gdybym lekkomyślnie dawał się wciągać w rodzinne sprzeczki - odpowiedział rozsądnie Evans.

Zwiedzanie trwało jeszcze około dwudziestu minut. Strażnik Evans poprowadził ich obok Białej Wieży, po czym skręcił w lewo, na teren odgradzony liną od części zamku otwartej dla zwiedzającej publiczności. W chwilę później Ryanowie poznali kolejny powód ubiegania się mężczyzn o pracę tutaj.

Strażnicy mieli w Tower swój własny mały pub, przycupnięty skromnie na uboczu, prawie niewidoczny wśród ciężkich XIV-wiecznych kamiennych murów. Ściany lokaliku pokrywały metalowe plakietki z emblematami wszystkich pułków armii brytyjskiej i wielu innych. Te ostatnie trafiały tu jako dary koleżeńskie. Evans przekazał teraz Jacka i Cathy innemu opiekunowi. Zjawił się też Dan Murray ze szklanką w dłoni.

- Jack, Cathy, przedstawiam wam Boba Hallstona.

- Musicie być spragnieni - domyślił się nowy znajomy.

- Dałbym się namówić na piwo - przyznał Jack. - A ty, Cathy?

- Coś bez alkoholu.

- Na pewno? - zdziwił się Hallston.

- Nie jestem wojującą abstynentką. Po prostu nie piję, kiedy jestem w ciąży - wyjaśniła Cathy.

- Moje gratulacje! - Hallston zrobił parę kroków w kierunku baru i wrócił ze szklanką jasnego dla Jacka i drugą z czymś, co wyglądało jak piwo imbirowe, dla Cathy. - Zdrowie pani i pani potomka.

Cathy promieniała. Coś osobliwego jest w kobietach „przy nadziei”, myślał Jack. Jego żona nie była po prostu ładna. Wręcz jaśniała kobiecym urokiem. Zastanawiał się, czy tylko on tak to odbiera.

- O ile wiem, jest pani lekarzem?

- Jestem chirurgiem okulistą.

- A pan uczy historii, Sir John?

- Zgadza się. Domyślam się, że pan również tu pracuje.

- Tak jest. Jest nas tutaj trzydziestu dziewięciu. Stanowimy gwardię honorową królowej. Zaprosiliśmy tu państwa, aby podziękować panu, Sir John, za zrobienie tego, co w zasadzie jest naszym obowiązkiem. Chcieliśmy również, by wzięli państwo udział w małej ceremonii, którą odprawiamy co wieczór.

- Od 1240 roku - wtrącił Murray.

- Słucham? - spytała z podziwem Cathy.

- Tak, nie chodzi tu o przedstawienie wymyślone na poczekaniu dla turystów. Kiedy zamkniemy na noc wszystkie bramy, ten zespół muzealny stanie się najbezpieczniejszym miejscem w Anglii.

- Zgadza się. - Jack jednym łykiem upił pół szklanki piwa. - A jeśli złoczyńcy przedostaną się mimo tych chłopaków na zewnątrz, będą mieli z wami do czynienia.

- Tak - uśmiechnął się Hallston. - Paru z nas może jeszcze pamiętać coś z tego, co kiedyś umieli. Ja sam byłem w SAS, tym pierwszym, prawdziwym. Zabawialiśmy się z Rommlem na Pustyni Zachodniej. Tam właśnie nabawiłem się chronicznego pragnienia.



Oni jednak pozostają zawsze tacy sami, myślał Ryan. Nigdy nie tracą postawy prawdziwych zawodowców. Przybywa im lat, czasem parę kilogramów wagi, przybywa nieco stateczności i łagodności, ale pod tym wszystkim nadal kryje się wewnętrzna twardość i dyscyplina. To ich wyróżnia spośród innych. No i ta spokojna duma, powściągliwa pewność siebie wypływająca ze świadomości tych dokonań, że nie muszą się już przed nikim chwalić, wspominają o nich tylko między sobą. To są cechy, których się nigdy nie traci.

- Czy macie tu kogoś z Królewskiej Piechoty Morskiej?

- Dwóch - powiedział Hallston. - Próbujemy przeszkadzać im w trzymaniu się za ręce.

- Niech będzie! Ale uważajcie, ja jestem z tej samej branży - ostrzegł Jack.

- Cóż. Każdemu może się przydarzyć - współczującym tonem odparł Hallston.

- A więc, co z tą Ceremonią Kluczy? Co to jest?

- No więc, w roku 1240 człowiek, którego zadaniem było zamykanie bram na noc, został napadnięty przez zbójców. Wszedł cało, ale odmówił dalszego wykonywania obowiązków bez wojskowej eskorty. Od tej pory to Naczelnik Straży zamyka trzy główne bramy i składa klucze w Domu Królowej w Zielonej Wieży. To jest osnowa tej małej ceremonii. Sądźmy, że pan i pańska małżonka chcielibyście to obejrzeć. - Hallston pociągnął łyk piwa. - Wczoraj podobno był pan w sądzie. Jak poszło?

- Cieszę się, że mam to już za sobą. Dan twierdzi, że zachowałem się prawidłowo. - Ryan otrząsnął się. - Kiedy pan Evans pokazał nam ten pień na szafocie... Ciekaw jestem, czy to jeszcze działa - mówił Ryan w zamyśleniu. Przed oczyma miał tamtą młodą twarz i nieruchome oczy. Czy siedząc w swojej celi, Miller myśli o mnie? Ryan wypił resztę piwa. Założę się, że myśli.

- Słucham?

- Ten Miller. Szkoda, że nie możecie wziąć go tam na małe postrzyżyny.

Hallston uśmiechnął się zimno.

- Wątpię czy ktokolwiek tutaj nie zgodziłby się z panem. Moglibyśmy nawet znaleźć ochotnika do topora.

- Musiałbyś, Bob, zarządzić losowanie - wtrącił Murray, wręczając Ryanowi następną szklanekę.

- Ciągle jeszcze myślisz o nim, Jack?

- Nigdy nie widziałem kogoś takiego.

- On jest w więzieniu, Jack - przypomniała Cathy.

- Tak, wiem. - To dlaczego wciąż o nim myślisz? Do diabła z nim, do diabła! - Sierzancie, piwo jest pierwsza klasa.

- I to jest właśnie prawdziwa przyczyna ich starań o tę pracę - zaśmiał się Murray.

- Jedna z przyczyn - poprawił Hallston, odstawiając puste naczynie. - Ale czas już na nas.

Jack jednym haustem dokończył swoją szklanekę. Wrócił Evans, teraz już w zwykłym ubraniu i wyprowadził ich z pubu na chłodne, nocne powietrze. Noc była pogodna. Łagodny blask księżyca kładł się na kamiennych murach warowni. Kilka dodatkowych plam światła pochodziło z rozmieszczonych tu i ówdzie reflektorów. Jack był zaskoczony spokojem tego miejsca, położonego, bądź co bądź, w środku miasta. Było tu niemal tak spokojnie, jak w jego domu nad zatoką Chesapeake. Prawie bezwiednie wziął żonę za rękę i tak szli za Evansem w stronę Krwawej Wieży. Stała tam już grupka ludzi skupionych w pobliżu Bramy Zdrajców. Jeden ze strażników poinformował zebranych, że wymagana jest jak najgłębsza cisza i że zakazuje się robienia zdjęć. Przy samej Bramie stał wartownik plus czterech żołnierzy pod bronią. Niebieskawe światło reflektorów pozwalało dostrzec ich oddechy widoczne w postaci obłoczków pary. Gdyby nie to, wydawaliby się kamiennymi posągami.

- Teraz - szepnął Murray.

Jack usłyszał trzask zamykania gdzieś w ciemności ciężkich drzwi. Potem rozległo się podzwanie kluczy w rytmie narzucającym wyobraźni powolny takt kroków ludzkich. Pojawiło się małe światełko. Rosło, aż uzyskało rozmiar i kształt prostokątnej szybki latarni z umieszczoną wewnątrz świecą, niesionej przez Toma Hughesa, Naczelnika Straży. Zbliżał się, jego prosta jak trzcina postać, regularny jak metronom rytm kroków, były świadectwem praktyki i doświadczenia obejmującego większość życia. W chwilę później czterej żołnierze utworzyli wokół Naczelnika czworobok. Odprowadzana światłem reflektora zbrojna grupka zanurzyła się na powrót w ciemności. Powoli cichł odgłos stapań podkutych butów i pobrzękiwanie kluczy. Przy Krwawej Wieży został tylko nieruchomy wartownik.

Odgłosów zamykania bramy Jack już nie słyszał, ale po paru minutach znów rozległ się brzęk kluczy, a wraz z nim z półmroku wyłoniła się czwórka gwardzistów z Naczelnikiem Straży. Nieodparty, romantyczny urok tych scen w osobliwy sposób podziałał na Ryana. Zdrowym ramieniem objął żonę i przytulił do siebie. Spojrzała na niego pytająco. Kocham cię, powiedział bezgłośnie. Jej wzrok mówił mu to samo.

Na prawo od nich rozległ się głos wartownika:

- Stój! Kto idzie?

Okrzyk wielokrotnym echem odbił się od wiekowych murów. Zbliżający się żołnierze gwardii stanęli jak wmurowani. Tom Hughes podał hasło.

- Klucze!

- Czyje klucze? - pytał wartownik.

- Klucze Królowej Anny!

- Przechodźcie, Klucze Królowej Anny! - zawołał wartownik i sprezentował broń.

Żołnierze, z Hughesem między nimi, podjęli marsz, po czym skręcili w lewo, w stronę wzniesienia, na którym rozciągał się teren Zielonej Wieży. Ryan z żoną ruszyli tuż za nimi. Na początku wzniesienia droga przechodziła w szerokie, kamienne stopnie, na których ustawił się oddział żołnierzy z karabinami. Hughes i jego eskorta zatrzymali się. Oddział na stopniach sprezentował broń. Naczelnik Straży zdjął nakrycie głowy.

- Niech Bóg zachowa Królową Annę! - zawołał.

- Amen! - odpowiedzieli chórem żołnierze.

Stojący za nimi trębacz zagrał capstrzyk. Zabrzmiała melodia oznaczająca koniec dnia, a niekiedy koniec życia. Jak fale wywołane kamieniem rzuconym w wodę echa tych dźwięków mieszały się ze sobą, słabły, aż ucichły zupełnie w nieruchomym powietrzu nocy. Ryan pochylił się i pocałował żonę. Przeżyli chwile, których urok nieprędko ich opuści.

Naczelnik wszedł po stopniach, aby zabezpieczyć klucze na noc, składając je w Domu Królowej. Obserwujący ceremonię rozchodzili się powoli.

- Każdej nocy od 1240, bez żadnej przerwy? - spytał Jack.

- Była przerwa w początkowej fazie ostatniej wojny. Niemiecka bomba spadła na Tower w czasie, kiedy ceremonia z kluczami był w toku. Podmuch przewrócił Naczelnika i zgasił świecę w jego latarni. Żeby kontynuować swoje zadanie musiał zapalić nową świecę i stąd właśnie ta jedyna przerwa - wyjaśnił Evans. To, że człowiek został ranny nie miało znaczenia. Są rzeczy ważniejsze. - Wrócimy do pubu? - spytał.

- Nie ma u nas niczego podobnego - powiedziała cicho Cathy.

- Cóż, Ameryka nie jest zbyt stara, prawda?

- Przydałoby nam się coś takiego. Na przykład w Bunker Hill albo w Fort McHenry - rozmyślał

na głos Jack.

Murray kiwnął głową z aprobatą.

- Coś, co przypominałoby dlaczego tam jesteśmy.

- Tradycja to ważna rzecz - zabrał głos Evans. - Dla żołnierza jest często tym, co każe mu iść do przodu, choćby nie wiem ile było powodów, by się cofnąć. Tradycja to coś więcej niż ty sam, więcej niż twoi koledzy... Zresztą, nie dotyczy to tylko żołnierzy, prawda? Podobnie jest, czy też powinno być w każdym zawodzie.

- Istotnie - przytaknęła Cathy. - Każda dobra szkoła medyczna wbija to do głów swoich adeptów. A już na pewno robi to Uniwersytet Hopkinsa.

- To samo jest w piechocie morskiej - dorzucił Jack. - Ale my nie wyrażamy tego tak zrećźnie.

- Mamy więcej praktyki - Evans otworzył drzwi pubu - i lepsze piwo, skłaniające do abstrakcyjnych rozważań.

- Gdybyście jeszcze wiedzieli jak przygotować prawdziwy befsztyk... - zwrócił się Jack do Evansa.

- Aleś im przysolił, mistrzu! - zachichotał Murray.

- Jeszcze jedno piwo dla naszego brata z piechoty morskiej! Któryś ze strażników wręczył Jackowi pełną szklanicę.

- Na pewno ma pan już dość tych panienek z baletu - stwierdził.

- Bert jest jednym z piechociarzy morskich, o których panu mówiliśmy - wyjaśnił Evans.

- Nie zwykłem mówić nic złego o kimś, kto stawia mi drinki - zwrócił się Ryan do Berta.

- Nadzwyczaj rozsądna zasada! Jest pan pewien, że był pan tylko porucznikiem?

- I tylko przez trzy miesiące - przyznał Jack i opowiedział wypadek z helikopterem.

- To się nazywa mieć cholernego pecha. Te przekłete wypadki na ćwiczeniach - powiedział Evans. - Gorsze, niż rzeczywista walka.

- A więc, koledzy, robicie tutaj za przewodników dla turystów?

- Po części tak - zgodził się jeden ze strażników. - To dobry sposób, żeby nie wypaść z interesu, a przy okazji poduczyć od czasu do czasu jakiegoś porucznika. W ubiegłym tygodniu rozmawiałem z facetem z Gwardii Walijskiej. Miał trudności ze zrozumieniem podstawowych pojęć. Podsunąłem mu kilka pomysłów.

- Właśnie tego u was brak - przytaknął Evans. - Szkolenia młodych oficerów na prawdziwych żołnierzy. Kto powiedział, że najlepsi dyplomaci pracują w Whitehall?

- Nigdy nie odniosłem wrażenia, że jestem zupełnie nieprzydatny jako podporucznik - powiedział z uśmiechem Jack.

- Wszystko zależy od punktu widzenia - zauważył jeden ze strażników. - W każdym razie, sądząc po tym, co pan zrobił na The Mali, byłby jeszcze z pana żołnierz.

- Nie jestem pewny, Bert. Porucznik z kompleksem bohatera to ktoś, od kogo lepiej trzymać się z daleka.

- Przypuszczam jednak, że ci spośród nich, którzy przeżyją i trochę się podszkołą, wiedzą już o co chodzi. Proszę mi powiedzieć, poruczniku Ryan, czego się pan nauczył?

- Nie dać się postrzelić. Następnym razem będę strzelał zza osłony.

- Doskonale! - włączył się ponownie do rozmowy Bob Hallston. - i nie zostawiać za plecami żywego nieprzyjaciela - dodał.

Rzeczywiście, żołnierze z SAS nie popełniali takich błędów. Cathy nie była zachwycona takim kierunkiem rozmowy.

- Panowie, nie możecie przecież zabijać ludzi tak na zimno!

- Proszę pani - zaczął poważnie Evans. - Porucznik poszedł na szalone ryzyko. Ryzyko, z którego nieczęsto wychodzi się z życiem. Wątpliwe, by taka sytuacja kiedyś się powtórzyła... Na pewno się nie powtórzy. Ale gdyby jednak, to nie można postępować jednocześnie i jak policjant i jak żołnierz. Albo jedno, albo drugie. Pan, młody człowieku - zwrócił się do Jacka - miał ogromne szczęście. To pańskie ramię powinno panu o tym przypominać. Dobrze być odważnym, poruczniku. Ale lepiej być roztropnym. To lepsze i mniej bolesne dla pańskich bliskich. - Evans zapatrzył się w dno swojej szklanki. - Dobry Boże, ileż razy ja to mówiłem!

- Ile razy my wszyscy mówiliśmy w ten sposób - poprawił go spokojnie Bert. - I niestety, jakże wielu nie chciało tego słuchać. No, wystarczy. Ta miła lady ma już dość gadaniny starych, zmęczonych ludzi. Bob powiedział, że spodziewacie się państwo następnego dziecka. A ja za dwa miesiące po raz pierwszy zostanę dziadkiem.

- Tak - zaśmiał się Evans. - Nie może się doczekać chwili, kiedy pokaże nam zdjęcie wnuka. Tym razem chłopak czy dziewczynka?

Wszyscy się zgodzili, że mniejsza o płeć, ważne, żeby dziecko wszystko miało na miejscu. Ryan skończył już trzecie tego wieczora piwo. Było dość mocne i odczuwał lekki szum w głowie.

- Panowie - zaczął poważnie. - Jeśli któryś z was przyjedzie do Ameryki i odwiedzi przypadkowo okolice Waszyngtonu, ufam, że zostanę o tym zawiadomiony.

- A kiedy pan będzie następnym razem w Londynie, drzwi tego baru zastanie pan otwarte - oświadczył Tom Hughes. Naczelnik Straży przebrał się już w cywilne ubranie, ale przyniósł ze sobą swoje mundurowe nakrycie głowy, rodzaj kapelusza, którego krój i barwy przetrwały niezmienione od trzystu czy czterystu lat. - Może znajdzie pan miejsce w swoim domu na tę pamiątkę, Sir Johnie. Dołączamy do niej nasze podziękowania.

- Umieszczę go na honorowym, bezpiecznym miejscu. - Ryan przyjął kapelusz, ale nie zdobył się na włożenie go. Uznał, że jeszcze na to nie zasłużył.

- A teraz z zalem muszę państwa zawiadomić, że jeśli natychmiast nie opuścicie państwo tego miejsca, utkniecie tu do rana. O północy wszystkie bramy i drzwi są zamykane. Nieodwołalnie.

Jack i Cathy pożegnali się i ruszyli za Hughesem i Murrayem w kierunku wyjścia.

W ciszy maszerowali ku zewnętrznym murom. Nocne powietrze było wilgotne i chłodne. Po drodze Jack zaczął się zastanawiać, czy w taką noc wzgórze Tower nie nawiedzają duchy.

- A co to? - zwrócił się do Hughesa wskazując na górną krawędź zewnętrznego muru. Przesuwał się po niej jakiś niewyraźny, widmowy kształt.

- To wartownik - wyjaśnił Hughes. - Po ceremonii kluczy strażnicy wkładają te nie pasujące do otoczenia stroje.

Przy Krwawej Wieży minęli wartownika, ubranego teraz w połowy mundur z szelkami i ładownicami.

- Broń mają teraz naładowaną, prawda? - spytał Jack.

- Inaczej co byłby z niej za pożytek, czyż nie? To bardzo bezpieczne miejsce - odpowiedział Hughes.

Dobrze wiedzieć, że są takie miejsca, pomyślał Ryan. Ciekawe, czemu akurat to przyszło mi do głowy?

Poczekalnia w hali odlotów portu lotniczego Heathrow mogła uchodzić za całkiem sympatyczne miejsce. Oczywiście nie w oczach kogoś, kto tak jak Jack alergicznie reagował na samą wzmiankę o

lataniu. Z okien poczekalni widział w całej okazałości Concorde'^, którym za chwilę miał odlecieć do domu. Projektanci maszyny nadali jej kształt olbrzymiego, niepokojącej urody drapieżnego ptaka. Stał teraz na swym niezwykle wysokim podwoziu, z pogardliwą obojętnością spoglądając na Ryana znad sztyletowatego dzioba.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby moi szefowie zafundowali mi bilet miesięczny na to cacko - oznajmił Murray.

- Jest taki piękny! - zachwycała się Sally.

Niby co w nim pięknego? Jeszcze jeden cholerny samolot, myślał Ryan. Nikt nie wie, dlaczego toto w ogóle lata. Niejasno przypominał sobie, że istnieje coś takiego jak prawo Bernoulliego i efekt Venturiego, ale wiedział aż nadto dobrze, iż samolot utrzymuje w powietrzu coś, co wynika z tych praw, nie żadna widzialna siła. Przede wszystkim jednak pamiętał, że wtedy, nad Kretą, funkcjonowanie tego prawa czy efektu uległo zakłóceniu i w rezultacie omal nie stracił życia. A dziewiętnaście miesięcy później ta sama fatalna siła zabiła jego rodziców. Ich samolot rozbił się podchodząc do lądowania na lotnisku o'Hare w Chicago. Teoretycznie zdawał sobie sprawę, że jego helikopter spadł na skutek czysto mechanicznej awarii, że samoloty pasażerskie są prostsze w konstrukcji i łatwiejsze do prowadzenia niż śmigłowce CH-53. Wiedział też, że katastrofa, w której zginęli rodzice, była w znacznej mierze następstwem warunków atmosferycznych, a dziś pogoda była wspaniała, ale mimo to o czekającej go podróży myślał z obrzydzeniem. W końcu nie bez powodu ludzie nie mają skrzydeł, nie?

No, ładnie, stary! A może byś tak zamieszkał w jaskini i z dzidą w ręku wyprawiał się na niedźwiedzie? Latanie nie leży w naturze człowieka. Ale czy w jego naturze leży uczenie historii, oglądanie telewizji albo prowadzenie samochodu? Nie bądź idiotą.

Ale ja nie znoszę latania! Tym stwierdzeniem podświadomość Jacka unieważniła wszelkie racjonalne argumenty.

- Jak dotąd Concorde'y latają bezawaryjnie - odezwał się Murray. -A tego tu ptaszka, dodatkowo sprawdzili ludzie Jimmy ego Owensa.

Najwyraźniej poważnie liczone się z możliwością podłożenia bomby na pokładzie latającej piękności, bo rankiem saperzy z C-13 przez bitą godzinę buszowali po zakamarkach maszyny. Teraz zaś otaczali ją policjanci przebrani za pracowników British Airways. Jack nie obawiał się bomb. Nie ma ładunku wybuchowego, którego nie odnalazłyby odpowiednio wyszkolone psy.

- Wiem - odpowiedział, uśmiechając się słabo. - Rzecz w tym, że po prostu boję się latać. Tchórz i tyle.

- Będiesz tchórzem dopiero, jak nie odważysz się wejść na pokład - zauważył Murray. Był nieco zdziwiony niepokojem Ryana, choć musiał przyznać, że ten nieźle ukrywa swoje uczucia. On sam uwielbiał latać. Już w koledżu niewiele brakowało, a dałby się przekonać werbownikowi sił powietrznych do zostania pilotem.

A jak się odważę, będę idiotą, myślał Jack. Natychmiast jednak usłyszał głos dochodzący z innych rejonów mózgu: „Ależ z ciebie mięczak! I to ma być piechota morska?”.

- O której wylecimy w powietrze, tato? - zapytała Sally.

- O pierwszej - odrzekła Cathy. - Nie zwracaj głowy tatusiowi. Wylecimy w powietrze, uśmiechnął się Jack, też wyrażenie dobraneu

A, do diabła! Nie ma się czego bać! Pokręcił głową i sięgnął po szklankę whiskey przyniesioną z baru w poczekalni. Dla zabicia czasu jął liczyć obecnych w hali funkcjonariuszy ochrony. Zauważył czterech. Wszyscy bardzo starali się nie rzucać w oczy. Owens nie zamierzał ryzykować nawet w ostatnich dniach pobytu Ryana w Anglii. Reszta była w rękach British Airways. Jacka nie obciążono

nawet dodatkowymi kosztami. Zastanawiał się teraz, czy uznać to za dobry, czy zły znak.

Bezosobowy kobiecy głos zapowiedział odlot samolotu do Waszyngtonu i Miami. Jack dopił drinka i podniósł się z krzesła.

- Dzięki za wszystko, Dan.

- Idziemy, tato? - niecierpliwiła się Sally. Cathy wzięła córkę za rękę.

- Chwileczkę! - Murray pochylił się w stronę Sally. - Nie dostanę buziaka na pożegnanie?

- Dostanie pan. - Sally ochoczo spełniła prośbę agenta. - ...dzenia, panie Mray.

- Opiekuj się naszym bohaterem - zwrócił się Murray do Cathy.

- Włos mu z głowy nie spadnie.

- Tobie to dobrze! - Murray ścisnął mocno dłoń Ryana. - Od jutra znów będziesz się mógł cieszyć prawdziwym futbolem. To jedyne, czego mi tu naprawdę brakuje.

- Mogę ci przysłać kasety.

- To nie to samo. A ty z powrotem do uczenia historii?

- Na tym polega moja praca.

- To się jeszcze okaże - zagadkowo stwierdził Murray. - Jak ci się chodzi z tym cholerstwem?

- Fatalnie - zaśmiał się Ryan. - Takie ciężkie, że chyba chirurg zostawił tam w środku jakieś narzędzie. No, idziemy. - Stali u wejścia na trap.

- Połamania nóg - zaśmiał się Murray. Odwrócił się i już go nie było.

- Witamy na pokładzie, Sir John. - Stewardessa British Airways uśmiechnęła się do Ryana. - Ma pan miejsce ID. Czy latał już pan Concordeem

- Nie - wymamrotał Jack. Idąca przed nim Cathy odwróciła się i wyszczerzyła zęby w złośliwym uśmiechu. Mroczne wnętrze tunelu wyglądało jak wejście do grobowej krypty.

- A więc czeka pana niezapomniane przeżycie - zapewniła Jacka stewardessa.

Wielkie dzięki! Ryan omal się nie zakrztusił z oburzenia. Uświadomił sobie jednak, że i tak nie zdoła udusić babska jedną ręką. Ostatecznie tylko się zaśmiał. Co innego mógł zrobić?

Schylił głowę i zanurkował w niskie drzwi. Po chwili znalazł się w ciasnym korytarzyku. Spojrzał przed siebie, na kabinę pilotów i stwierdził, że też jest niepokojąco mała. Żeby usiąść na lewym fotelu pilota trzeba było złożyć się w pół, jak przy wkładaniu butów. Kolejna stewardessa zajęta była wieszaniem okryć. Jack musiał czekać aż go zauważy i usunie się z drogi. Dopiero wtedy mógł podążyć za swoją przewodniczką.

- To tutaj.

Jack zajął miejsce w pierwszym rzędzie foteli i przy prawym oknie. Cathy i Sally usadowiły się po przeciwnej stronie przejścia. Jego lewe ramię wystawało daleko ponad siedzenie 1C tak, że nikt nie mógł już z niego skorzystać. A więc British Airways nie tylko pokryły różnicę między ceną biletu na Lockheed'a L-1011 a Concorde'a, ale jeszcze zafundowały dodatkowe miejsce.

Usiadłszy, Jack natychmiast przystąpił do zapinania pasa bezpieczeństwa, co przy użyciu jednej ręki okazało się jednak dość trudne. Nie obyło się bez pomocy stewardessy.

- Teraz wygodnie?

- Tak - skłamał Jack. I tak mam niezłego cykora, dodał w duchu.

- Doskonale. Tutaj ma pan nasz informator pokładowy - wskazała oprawną w szary plastik broszurę. - Podać panu czasopisma?

- Nie, dziękuję. Mam w kieszeni książkę.

- Świetnie. Zajrzę do pana po starcie, ale jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę zadzwonić.

Jack zaciągnął mocniej pas bezpieczeństwa i spojrzął przed siebie, w nadal otwarte drzwi

samolotu. Mógłby jeszcze dać nogę, ale wiedział, że tego oczywiście nie zrobi. Odchylił się na oparcie fotela. Fotele Concorde's, obite szarą tkaniną, były dość wąskie, lecz wygodne. Siedząc w pierwszym rzędzie miał dość miejsca na nogi. Wewnętrzne ściany samolotu były prawie białe, a okna niewiele większe od dwóch kartek szkolnego zeszytu. Lepsze jednak takie okno, niż żadne. Jack obejrzał się. Miejsca w kabinie były zajęte mniej więcej w trzech czwartych. Pasażerowie robili wrażenie doświadczonych podróżników i ludzi majątnych. Biznesmeni, osądził Jack. Wielu z nich pochłoniętych było lekturą „Financial Times”. I żaden nie wyglądał na przestraszonego. Świadczyły o tym ich obojętne twarze. Jack nie uwierzyłby, gdyby mu powiedziano, że na jego twarzy widnieje identyczny wyraz obojętnej pewności siebie.

- Proszę państwa, mówi kapitan Nigel Higgins. Witamy na pokładzie Concorde'a British Airways. Odbędziemy rejs numer 189 do Waszyngtonu i Miami na Florydzie. Za około pięć minut rozpoczniemy kołowanie na start. Pogoda w miejscu naszego pierwszego lądowania, na waszyngtońskim lotnisku Dullesa jest doskonała, bezchmurne, temperatura około trzynastu stopni Celsjusza. Lot będzie trwał trzy godziny i dwadzieścia pięć minut. Chciałbym zwrócić uwagę państwa, że znak NIE PALIĆ jest już podświetlony. Proszę o zapięcie pasów. Dziękuję. - Głośnik szczyknął i zapanowała cisza.

Podczas przemowy kapitana zamknięto drzwi. Sprytny sposób odwrócenia uwagi na czas likwidacji jedynej drogi ucieczki, pomyślał z sarkazmem Ryan. Oparł się wygodnie i przymknął oczy, poddając się losowi. Dodatkową korzyścią z siedzenia w pierwszym rzędzie było to, że nikt oprócz Cathy nie mógł go widzieć. A żona przynajmniej udawała, że rozumie jego lęki. Obsługa kabiny przystąpiła do prezentowania sposobu użycia kamizelek ratunkowych, znajdujących się pod fotelami. Jack przyglądał się temu bez zainteresowania. Doskonała opinia i bezawaryjność Concorde'a oznaczały przecież i to, że tak naprawdę nikt nie wie, jak wyglądałaby ewakuacja pasażerów. A zajmując miejsce blisko nosa maszyny, daleko od jej deltoidalnych skrzydeł, Ryan miał pewność, że w razie uderzenia o wodę znajdzie się w tej części kadłuba, która odłamie się i pójdzie na dno jak kamień. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie. I tak nikt by nie przeżył samego upadku.

Powietrze przeszył jękliwy odgłos pracy turbin, na co żołądek Jacka zareagował bolesnym skurczem. Znow zamknął oczy. Nie masz dokąd uciec, brachu. Nakazał sobie oddychać miarowo i rozluźnić naprężone mięśnie. Okazało się to nadspodziewanie łatwe. Zresztą na stres wywołany lotem nigdy nie reagował napięciem. Robił się po prostu sflaczały.

Niewidoczny z okna ciągnik jał przemieszczać samolot do tyłu. Patrząc przez iluminator, Jack widział sunący wolno do przodu krajobraz lotniska Heathrow. Musiał przyznać, że jest na co popatrzeć. Maszyny co najmniej tuzina linii lotniczych stały przy terminalach dworca niczym statki przy nabrzeżu. A właśnie, pomyślał Jack, szkoda, że już nie możemy popłynąć do domu statkiem. Zapomniał, że kiedyś był jedynym żołnierzem piechoty morskiej na pokładzie USS „Guam” cierpiącym na chorobę morską. Concorde zatrzymał się na kilka sekund, a następnie ruszył już o własnych siłach. Ryan nie miał pojęcia, dlaczego podwozie samolotu jest tak wysokie, ale stwierdził, że dzięki temu kołowanie przypomina nieco unoszenie się w powietrzu. Znow włączył się głośnik. Kapitan mówił coś o starcie na dopalaczach, ale Ryan nie słuchał, zajęty obserwowaniem mijanego przez nich Boeinga 747 linii Pan Am. Concorde był zdecydowanie ładniejszy, orzekł w duchu. Przypomniał sobie modele myśliwców, które składał jako chłopiec.

Na końcu pasa startowego samolot zawrócił i znieruchomiał, kołysząc się lekko na przednim kole. Teraz nasza kolej.

- Pozycja startowa - oznajmił przez głośniki kapitan. Z tyłu kabiny dobiegł odgłos zapinanych pasów obsługi kabiny. Jack poprawił się na swoim ID jak człowiek oczekujący egzekucji na krześle

elektrycznym. Wzrok wlepił w okno.

Jęk turbin nasilił się wyraźnie i samolot powoli ruszył przed siebie. Huk silników wznosił się stopniowo do coraz wyższych tonów. Ryan poczuł, jak niewidzialna siła włacza go w oparcie fotela. O cholera! Przyśpieszenie Concorde'a było chyba dwukrotnie większe niż to, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Nie dysponował żadną skalą porównawczą, ale czuł, z jaką siłą wciskany jest w fotel. Rosnąca bezwładność obciążonej gipsem ręki sprawiła, że z trudem utrzymywał pozycję twarzą do kierunku lotu. Stewardessa miała rację. To było niezapomniane przeżycie. Trawa rosnąca na skraju pasa startowego coraz szybciej uciekała do tyłu. Po chwili nos maszyny uniósł się ostro w górę. Jeszcze jeden podskok i koła samolotu oderwały się od ziemi. Jack nasłuchiwał odgłosów chowania podwozia i zamykania luków, ale musiały utonąć w ryku silników. Znajdowali się już na wysokości dobrych trzystu metrów i wciąż wznosili się, pod niewyobrażalnie ostrym kątem. Zerknąwszy na żonę, Jack zauważył, że Cathy chce mu coś powiedzieć samymi ruchami warg. Sally siedziała z nosem przyklejonym do iluminatora.

Kąt wznoszenia zmniejszył się nieco. Obsługa kabiny pasażerskiej przystąpiła do pracy i Jack zaopatrzył się w kieliszek szampana. Nie był w nastroju do świętowania, ale musujące wino zawsze szybciej na niego działały. Cathy proponowała mu kiedyś Valium, jako środek na złagodzenie sensacji psychofizycznych związanych z lataniem, ale Jack konsekwentnie odmawiał przyjmowania tego rodzaju leków. Łyczek czegoś mocniejszego to zupełnie inna sprawa. Wyjrzał przez okno. Nadal się wznosili. Jak dotąd odbywało się to bez większych wstrząsów. Lot Concorde przypominał pod tym względem jazdę dobrym samochodem po autostradzie. Rzut oka w dół pozwolił Jackowi stwierdzić, że nadal znajdują się nad stałym lądem.

Wyjął z kieszeni książkę i zagłębił się w lekturze. To był najlepszy sposób ucieczki od nieprzyjemnych myśli. Oparłszy się prawym ramieniem o kąt utworzony przez ścianę i bok fotela, mógł odciążyć sobie lewą rękę, opierając ją na podłokietniku sąsiedniego miejsca. Książka, którą wybrał na czas lotu okazała się wystarczająco dobra, by wzbudzić jego zainteresowanie. Była to jedna z prac Alistaira Horna dotycząca konfliktów francusko-niemieckich. Wkrótce Jack przekonał się jednak, że zniechęcony gips utrudnia mu nawet czytanie. Niełatwo było trzymać książkę i odwracać kartki jedną ręką. Za każdym razem musiał odkładać książkę na kolana.

Krótki wzrost ciągu i zaraz potem następny, stanowiły informację, że kolejno włączają się dopalacze, wspomagające silniki Olympus, napędzające Concorde'a. Po przekroczeniu prędkości jednego macha samolot ponownie jął się wznosić. Jack spojrzął przez okno. Lecieli już nad wodą. Zerknął na zegarek. Niecałe trzy godziny do lądowania na lotnisku Dullesa. Wytrzymasz te trzy godzinki, co, stary?

A zresztą, czy masz jakiś wybór?

Jego uwagę zwrócił błysk światła nad drzwiami prowadzącymi do kabiny pilotów. Jak mógł go dotąd nie zauważyć! Był to cyfrowy wskaźnik prędkości. Aktualnie widniała na nim liczba 1.752. Ostatnia cyfra zmieniała się szybko. Rosła.

Jasny gwint! Lecę z prędkością ponad półtora tysiąca kilometrów na godzinę. Co by na to powiedział Robby? Ciekawe co u niego... Ryan jak zahipnotyzowany wpatrywał się w prędkościomierz. Liczba na nim przekroczyła niebawem 2.200. Jej wzrost spowolniał i ostatecznie ustaliła się na 2.295. Obliczył szybko. Blisko sześćset pięćdziesiąt metrów na sekundę. Toż to niemal prędkość pocisku karabinowego. Cholera! Znowu popatrzył za okno. Ale skąd ciągle tyle hałasu? Jeśli lecimy z prędkością naddźwiękową, dlaczego ten hałas nie zostaje za nami? Spyta Robby'ego. On będzie wiedział.

Białe, puchate obłoki, znajdujące się dobre półtora kilometra poniżej samolotu, całkiem



wyraźnie sunęły do tyłu. Oświetlone słońcem, wyglądały jak znieruchomiałe, połyskliwe fale. Lecąc samolotem, Jack zawsze czuł się rozdarty pomiędzy strachem a zafascynowaniem urodą podniebnego świata. Wrócił do czytania i do czasów, gdy parowa lokomotywa była szczytowym osiągnięciem myśli technicznej. Samolot to przerażający wynalazek, ale przynajmniej skutecznie przenosi człowieka z miejsca na miejsce.

Nieco później podano obiad. Szampan zaostrzył apetyt Ryana, choć zwykle podczas lotu nie miał ochoty najedzenie. Tym razem, ku jego zaskoczeniu, było inaczej. Menu okazało się lekturą irytującą i niezrozumiałą, a to z powodu angielskiego zwyczaju posługiwania się francuskimi nazwami potraw, jakby mogło to wpłynąć na ich smak. Jack stwierdził, że kuchnia Concorde'a wcale nie potrzebowała takiego lingwistycznego wsparcia. Po łososiu podano zaskakująco dobry, zważywszy że lecieli brytyjskim samolotem, befszytk, całkiem przyzwoitą sałatę, a na deser truskawki ze śmietaną i talerzyk serów. Zamiast szampana pojawiło się dobre sherry i ani się Jack obejrzał, już upłynęło czterdzieści minut lotu. Zostało mniej niż dwie godziny.

- Proszę państwa, mówi kapitan. Lecimy na wysokości 16.000 metrów, z prędkością 2.380 kilometrów na godzinę. W miarę zużywania paliwa samolot będzie się jeszcze wznosił, aż do maksymalnej wysokości 18.000 metrów. Temperatura na zewnątrz wynosi minus 60 stopni Celsjusza, za to temperatura powłoki maszyny plus 100 stopni Celsjusza, co spowodowane jest tarcie powietrza. Ubocznym efektem nagrzania się kadłuba jest wydłużanie się samolotu, który w połowie lotu staje się dłuższy o blisko 25 centymetrów...

Zmęczenie metalu! Ta zatrważająca myśl pojawiła się w umyśle Ryana natychmiast po słowach kapitana. Musiał o tym mówić? Dotknął okna. Było ciepłe. Na aluminiowej powłoce kadłuba można by smażyć jajka. Ciekawe, jaki to ma wpływ na konstrukcję nośną płatowca. Wracaj lepiej do XIX wieku, kolego! Zerknął jeszcze na drugą stronę przejścia między fotelami. Sally spała, a Cathy zajęta była lekturą jakiegoś magazynu.

Kiedy po raz kolejny Jack spojrzął na zegarek, do końca podróży mieli jeszcze niespełna godzinę. Kapitan ogłosił, że mijają Halifax w Nowej Szkocji, ale Jack dostrzegł przez okno tylko ciemną linię na odległym horyzoncie. Tak czy inaczej, dotarliśmy do Ameryki Północnej. Było się z czego cieszyć, choć od długiego siedzenia zaczynały Jacka boleć plecy. Najchętniej wstałby i zrobił choć kilka kroków, ale tego akurat starał się unikać w samolocie. Steward dolał mu sherry do kieliszka. Jack zauważył, że kąt padania promieni słonecznych nie zmienił się od startu w Londynie. Tak, jakby w stosunku do słońca stali w miejscu, a tylko powierzchnia globu obracała się pod nimi. Pilot poinformował, że na lotnisku Dullesa znajdują się około południa. Jack znowu zerknął na zegarek, jeszcze czterdzieści minut. Rozprostował nogi i wrócił do czytania.

Spokój w kabinie został niebawem zakłócony przez stewardessy, rozdające pasażerom deklaracje celne i formularze Urzędu Imigracyjnego. Jack odłożył książkę i ukradkiem obserwował żonę, gdy wpisywała do deklaracji wszystkie zakupione przez siebie sukienki. Sally wciąż spała zwinięta w kłębek i z niemal anielskim spokojem na twarzy. Minutę później przelecieli linię brzegową i znaleźli się nad New Jersey. Stopniowo skręcali na południe. Samolot obniżył lot. Jack przegapił moment przejścia do prędkości poddźwiękowej, ale zauważył, że chmury są teraz dużo bliżej, niż podczas przelotu nad oceanem. No, kapitanie Higgins, jeszcze tylko posadź pan tego ptaka na ziemi w jednym kawałku.

Jack znalazł przeznaczoną dla siebie srebrzystą przywieszkę bagażową. Prawdę mówiąc, zabrał ich cały plik, jako dowód, że był pasażerem Concorde'a. Weteranem, pomyślał. Weteranem rejsu numer 189 British Airways.

Widzisz, dupku? Gdybyś leciał Boeingiem 747, wciąż jeszcze bujałbyś się nad oceanem.

Lecieli już na tyle nisko, że widać było nitki autostrad. Większość katastrof lotniczych zdarza się w trakcie podchodzenia do lądowania, ale Ryan nie myślał o tym. Byli blisko domu. Koniec podróży był tuż, tuż. Świadczył o tym widok Potomaku za oknem. Samolot wyrównywał lot, a następnie z dziobem zadartym wysoko do góry jął opadać ku ziemi. Jackowi mignął widok żywo płotu okalającego lotnisko, a zaraz potem koła podwozia ciężko grzmotnęły o beton pasa startowego. Byli na ziemi, bezpieczni. Cokolwiek teraz się zdarzy, będzie to wypadek drogowy, nie lotniczy, pomyślał Jack. W samochodzie czuł się bezpieczny. Choćby dlatego, że sam był w stanie nim kierować. Uświadomił sobie, że dziś Cathy będzie musiała usiąść za kierownicą.

Równocześnie z zatrzymaniem się samolotu, zapalił się napis zezwalający na rozpięcie pasów i otwarto drzwi kabiny. Nareszcie. Ryan wstał i przeciągnął się. Nie ma to jak na ziemi. Cathy czesała córkę, posadziwszy ją sobie na kolanach. Mała, jeszcze zasnana, przecierała oczy.

- W porządku, Jack?

- Czy już jesteśmy na miejscu? - spytała Sally.

Ojciec pośpieszył z zapewnieniem, że chwała Bogu, tak. Następnie ruszył ku wyjściu. Stewardessa, która w Londynie przywitała go na pokładzie, chciała wiedzieć, czy podobała mu się podróż. Zgodnie z prawdą Jack odrzekł, że owszem. W duchu dodał, że podobało mu się przede wszystkim to, że już się skończyła. Po chwili cała rodzina znalazła się w autokarze.

- Odtąd będziemy latać przez Atlantyk tylko Concordem - spokojnie oznajmił Ryan.

- Tak? - zdziwiła się Cathy. - Spodobało ci się?

- A jak myślisz? - zaśmiał się Jack. - Wystarczy, że byliśmy w powietrzu blisko dwa razy krócej.

Jak zwykle po locie doświadczał czegoś w rodzaju euforii. Oto dokonał czegoś niezwykłego, nadnaturalnego i ta świadomość była dlań źródłem cichej satysfakcji. Faktem jest, że wszyscy pasażerowie opuszczają samolot bardziej sprężystym, pewnym siebie krokiem. Autokar ruszył w stronę budynków dworca. Z daleka Concorde wyglądał naprawdę ładnie.

- Ile wydałaś na ubrania? - zapytał Jack, gdy autokar zatrzymał się przed wejściem do hali przylotów. Żona bez słowa wręczyła mu deklarację celną. - Aż tyle?

- A czemu nie? - uśmiechnęła się Cathy. - Mogę za to zapłacić z własnych pieniędzy, czyż nie?

- Jasne, dziecinko.

- Nie zapomnij, że są tam też trzy garnitury dla ciebie.

- Co? Jak mogłaś...

- Kiedy krawiec zdjął z ciebie miarę na frak, skorzystałam z okazji i zamówiłam te garnitury. Obie ręce masz tej samej długości, prawda? Będą pasować, jak tylko zdejmiesz z siebie ten przeklęty pancerz.

Jedną z zalet podróżowania Concordem wynika z niewielkiej, w porównaniu z szerokokadłubowymi samolotami, liczby zabieranych pasażerów. W rezultacie odbiór bagażu trwa znacznie krócej. Podczas, gdy Jack odbierał walizki, Cathy sprowadziła wózek bagażowy. Sally uparła się go pchać. Pozostało im jeszcze tylko dopełnienie formalności celnych. Musieli zapłacić ponad trzysta dolarów cła za sprawunki Cathy. Niecałe półgodziny po opuszczeniu samolotu, wyszli z dworca. Jack pomagał Sally pchać wózek z bagażem.

- Jack! - Ku Ryanom śpieszył wysoki, wyższy od Jacka i szerszy w ramionach, mężczyzna. Poruszał się z pewnym trudem, co było

o tyle zrozumiałe, że jego lewa noga, łącznie z kolanem, była protezą, pamiątką po spotkaniu z pijanym kierowcą. Proteza, wykonana z aluminiowych rur, nie była zamaskowana żadną sztuczną stopą czy czymś w tym rodzaju. Oliver Wendell Tyler uważał, że w ten sposób łatwiej mu się chodzi.

Ręce przy tym miał zupełnie zdrowe.

i raczej duże. Ujął dłoń Ryana i ścisnął.

- Cześć brachu! Witaj w domu!

- Jak leci, stary piracie? - Jack uwolnił dłoń z uścisku byłego obrońcy zespołu Annapolis i policzył w myśli palce. Tyler, znany jako Skip Tyler, był jego bliskim przyjacielem, a przy tym człowiekiem, który nigdy nie umiał prawidłowo ocenić własnej siły.

- W porządku. Cześć, Cathy. - Tyler ucałował żonę Ryana. - A jak się miewa panna Sally?

- Świetnie. - Dziewczynka wyciągnęła ręce, pozwalając podnieść się z ziemi. Na chwilę tylko, bo natychmiast zaczęła się wiercić, pragnąc jak najszybciej wrócić do swojego wózka z walizkami.

- Co ty tu robisz? - zapytał Jack. A' Pewnie Cathy dzwoniła do nich...

- Nie musisz troszczyć się o samochód - oznajmił Tyler. - Odebraliśmy go z jean i odstawiliśmy do domu. Postanowiliśmy zabrać was naszym Chevroletem. Rozumiesz, więcej miejsca.

- Wzięłeś dzień wolnego, co?

- Coś w tym rodzaju. Do licha, Jack! Billings mógł przez kilka tygodni prowadzić zajęcia z twoimi studentami, to ja miałbym nie wziąć jednego wolnego popołudnia? - Tyler ruchem dłoni odprawił bagażowego.

- Jak Jean? - spytała Cathy.

- Jeszcze sześć tygodni.

- U nas potrwa to trochę dłużej - rzekła Cathy.

- Naprawdę? - Twarz Skipa rozjaśnił promienny uśmiech. - To wspaniale!

Opuścili budynek portu lotniczego, wychodząc w chłodny, pogodny, jesienny dzień. Jean podjeżdżała już wielkim, rodzinnym kombi Tylerów. Ciemnowłosa, szczupła i wysoka, Jean Tyler była w ciąży. Badania ultrasonograficzne, przeprowadzone tuż przed wyjazdem Ryanów do Anglii, potwierdziły, że Tylerom przybędą bliźnięta, ich trzecie i czwarte dziecko. Smukła z natury Jean wyglądała groteskowo z olbrzymim brzuchem. Kiedy tylko wysiadła z samochodu, Cathy podeszła do niej, by szepnąć coś na ucho. Jack bez trudu domyślił się co, bo przyjaciółki uśmiechały się serdecznie. Skip otworzył bagażnik Chevroleta i ładował doń walizki, jakby nie ważyły więcej niż kartka papieru.

- Miałeś nosa, Jack. To trzeba ci przyznać - zauważył, kiedy wsiadali do wozu. - Przyjechałeś prawie na początek ferii świątecznych.

- Wcale tego nie planowałem - zaprotestował Ryan.

- Jak ręka?

- Coraz lepiej.

- Wierzę - zaśmiał się Tyler. Samochód ruszył powoli. - Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że udało im się upakować cię do Concorde. Jak ci się leciało?

- Przede wszystkim dużo szybciej niż zwykle.

- Tak słyszałem.

- Co w szkole?

- Wszystko po staremu. Słyszałeś o meczu? - Tyler obejrzał się.

- Prawdę mówiąc, nie. - Jak mogłem o tym zapomnieć?

- Fantastyczna historia. Na trzy minuty przed końcem armia prowadziła pięcioma punktami. A potem łup! Podanie Thompsona, robimy przyłożenie i wygrywamy dwadzieścia jeden do dziewiętnastu. To się nazywa zakończyć sezon, co?

Tyler był absolwentem Annapolis, doskonałym futbolistą, uważanym za drugiego ofensywnego obrońcę w lidze uniwersyteckiej. Po studiach służył na okrętach podwodnych. Trzy lata temu, niemal

w przeddzień objęcia dowództwa własnej jednostki, uległ wypadkowi, tracąc pół nogi. O dziwo, nie załamał się. Zrobił doktorat w Massachusetts Institute of Technology i został wykładowcą w Akademii, a przy okazji selekcjonerem i jednym z trenerów uczelnianej drużyny. Jack zastanawiał się, czy Jean nie była mimo wszystko zadowolona z takiego obrotu spraw. Musiała bardzo przeżywać długie okresy rozłąki z mężem w czasach jego służby w marynarce. Teraz miała go w domu, co było o tyle zrozumiałe, że Jean niemal bez przerwy była w ciąży i ani na chwilę się nie rozstawali. Dosłownie. Nawet na zakupy szli trzymając się za ręce. Nie przejmowali się tym, że ktoś mógł uznać ich zachowanie za komiczne.

- Co z choinką, Jack? Wymyśliłeś już coś?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem - przyznał Ryan.

- Znalazłem miejsce, gdzie można dostać świeże drzewka, prosto spod siekiery. Jutro się tam wybieram. Pojedziesz ze mną?

- Jasne. Mamy jeszcze tylko trochę zakupów do zrobienia.

- Chłopie, zakupy macie już z głowy. Cathy dzwoniła w zeszłym tygodniu. Jean i ja kupiliśmy...

No, powiedzmy, wszystko co najważniejsze. Nie wiedziałaś?

- Nie. - Ryan spojrzał na żonę i stwierdził, że ta uśmiecha się kpiąco. - Dzięki, Skip.

- Drobiazg. - Tyler machnął ręką. Wjechali na obwodnicę waszyngtońską. - Jedziemy z Jean do jej rodziców. To ostatnia okazja przed przyjściem na świat bliźniaków. Aha, profesor Billings powiada, że czeka na ciebie trochę zaległej roboty.

Trochę roboty? Raczej dwa miesiące harówki!

- Kiedy będziesz mógł wrócić do pracy?

- Z ustaleniem jakichś terminów trzeba poczekać do zdjęcia gipsu - odpowiedziała za męża Cathy. - Jutro zabieram Jacka do Baltimore. Zbada go profesor Hawley.

- Tak. Przy tego rodzaju ranach lepiej się nie śpieszyć - przyznał Skip. Jeśli chodzi o rany, mógł uchodzić za kogoś w rodzaju eksperta. - Robby przesyła pozdrowienia. Nie mógł przyjechać. Ćwiczy na symulatorze w Pax River. Chce znów latać. Rob i Sissy mają się dobrze. Widzieliśmy się z nimi przedwczoraj. A nawiasem mówiąc, miałeś szczęście z pogodą. Przez ostatni tydzień bez przerwy lało.

Jestem w domu, myślał Jack, słuchając paplaniny Tylera. Czekał go powrót do codzienności, do tego wszystkiego, co zwie się prozą życia i co często przeklina, do chwili, gdy ktoś zechce cię jej pozbawić. Przyjemnie było znów znaleźć się w świecie, gdzie pogoda jest poważnym problemem, a każdy dzień składa się z tych samych, znanych aż do znudzenia chwil: pobudka, śniadanie, praca, obiad i znów do łóżka.

Od czasu do czasu jakiś mecz, jakiś film w telewizji. Komiksy w codziennej gazecie. Pomaganie żonie przy praniu. Chwila relaksu z książką i kieliszkiem wina, kiedy już ułoży się Sally do snu. Jack obiecywał sobie w duchu, że nigdy już nie będzie narzekał na nudę swojej egzystencji. Po miesiącu życia pełnego emocji i wydarzeń, cieszył się, że wraca do domu, tanto wszystko zostawiając za sobą.

- Dobry wieczór, panie Cooley. - Kevin O'Donnell podniósł wzrok znad karty Dań.

- Witam, panie Jameson. Co za spotkanie - odparł księgarz z dobrze udanym zaskoczeniem.

- Przysiadzie się pan?

- Chętnie. Dziękuję.

- Co sprowadza pana do miasta?

- Interesy. Zatrzymam się na noc u przyjaciół w Cobh. - Była to prawda, ale jednocześnie Cooley przekazywał o'Donnellowi, występującemu tu jako Jameson, informację, że ma dla niego

wiadomości.

- Chce pan rzucić okiem na menu? - O'Donnell podał jadłospis księgarzowi. Cooley przejrzał go pobieżnie i złożony zwrócił o'Donnellowi. Nikt nie mógł zauważyć, że w jadłospisie tkwiła teraz niewielka koperta. Jameson" nieznacznie upuścił ją na kolana. Przez następną godzinę przy stoliku o'Donnella toczyła się niezobowiązująca pogawędka na nic nie znaczące tematy. W sąsiednim boksie siedzieli czterej agenci Gardy, a zresztą pan Cooley zajmował się wyłącznie przekazywaniem informacji. Nie interesował się innymi aspektami działalności ULA. O'Donnell uważał go za mięczaka, choć nigdy głośno nie wypowiedział swojej opinii. Cooley nie nadawał się do roboty operacyjnej. Lepiej pasowała doń rola szpiega. Nawiasem mówiąc, wcale nie palił się do akcji w terenie, choć oczywiście przeszedł podstawowe przeszkolenie i to z nienajgorszymi wynikami. Jego postawa ideologiczna była bez zarzutu, ale O'Donnell zawsze wyczuwał u niego jakąś słabość charakteru, połączoną z cwaniactwem. Nie miało to jednak znaczenia. Najważniejsze, że Cooley nie był notowany w policyjnych kartotekach. Nigdy nawet nie rzucił kamieniem, nie mówiąc już o koktajlu Mołotowa, w brytyjskie samochody pancerne. Denis był typem obserwatora. Pozwalał kipieć swojej nienawiści, nie próbując się rozładować w akcji. Spokojny, nie rzucający się w oczy, doskonale natomiast nadawał się do pracy wywiadowczej. Niezdolny do rozlewu krwi, Cooley w równym stopniu nie był zdolny do płaczu. Mały, bezbarwny człowieczek, który choć nie maczał dotąd palców w mokrej robocie, swoją działalnością szpiegowską przyczynił się do śmierci dziesięciu, może nawet dwunastu osób. Czy ten człowiek w ogóle ma jakieś uczucia? Prawdopodobnie nie. Takie było zdanie dowódcy. Doskonale. Miał swojego małego Himmlerka, czy może raczej Dzierżyńskiego. Tak. Zawziętością i inteligencją Cooley przypominał Żelaznego Feliksa. Tylko ta puciołowata twarz czyniła go podobnym do szefa SS. Ale człowiek nie wybiera sobie twarzy, prawda? Cooley miał przyszłość w organizacji. Nadejdzie czas, kiedy będą potrzebowali prawdziwego Dzierżyńskiego.

Zakończyli rozmowę przy poobiedniej kawie. Cooley sięgnął po rachunek. Uparł się, że zapłaci, bo zrobił dziś doskonały interes. o'Donnell schował kopertę do kieszeni i opuścił restaurację. Oparł się pokusie natychmiastowego przeczytania raportu. Nie należał do ludzi cierpliwych. Potrafił się jednak zmusić do rozwagi. Niecierpliwość Irlandczyków częściej była przyczyną ich niepowodzeń, niż działania armii brytyjskiej. Tę naukę o'Donnell wyniósł z okresu swojej działalności w PIRA. Prowadził swego BMW nie przekraczając dozwolonej prędkości. Niebawem wyjechał z miasta i wiejską szosą zmierzał w stronę domu na wybrzeżu. Jechał okrężną trasą i często spoglądał we wsteczne lusterko, choć wiedział, że jest całkowicie bezpieczny. Ale wiedział też, że swoje bezpieczeństwo zawdzięcza stałej czujności. Jego drogi, zagraniczny samochód, zarejestrowany był na biuro należącej do niego korporacji w Dundalk. A nie było to fikcyjne przedsiębiorstwo, lecz najprawdziwsza spółdzielnia rybacka, dysponująca dziesięcioma trawlerami, poławiającymi na zimnych wodach wokół Wysp Brytyjskich. Firmą zarządzał dyrektor, doskonały fachowiec, przy tym człowiek w żaden sposób nie związany z podziemiem. Jego umiejętności gwarantowały o'Donnellowi poziom życia odpowiadający jego pozycji społecznej posiadacza ziemskiego na głębokim południu. Nieuczestniczenie właściciela w pracach własnej firmy było starą irlandzką tradycją. Podobnie jak dziedziczenie domu po Angliku, jak w przypadku o'Donnella.

Niecałą godzinę zajęło Kevinowi dotarcie do prywatnej drogi dojazdowej, oznaczonej dwoma kamiennymi słupami. Pięć minut później był w domu. Zaparkował na podjeździe. Wozownia, przylegająca do dworu została wynajęta miejscowemu przedsiębiorcy z przeznaczeniem na biura. Kevin skierował swe kroki prosto do gabinetu. Czekał tam już na niego McKenney, zaczytany w ostatnim wydaniu poezji Yeatsa. Jeszcze jeden mól książkowy, pomyślał o'Donnell. Tyle że ten nie

podzielał awersji Cooleya do widoku krwi. Powściągliwość McKenneya była maską, pod którą kryła się wybuchowa, agresywna natura. W gruncie rzeczy Michael był bardzo podobny do Kevina sprzed dziesięciu, dwunastu lat. Jak każdy młodzik, potrzebował wędzidła, dyscypliny. Stąd jego przydział na stanowisko szefa wywiadu, gdzie mógł nauczyć się rozwagi i planowania, zrozumieć, że działanie winno być poprzedzone gromadzeniem informacji. Tymczasowi nigdy nie doceniali tego czynnika. Prowadzili rozpoznanie taktyczne, zaniedbując wywiad strategiczny. To właśnie, zdaniem o'Donnella, było przyczyną słabości ich strategii. Między innymi dlatego opuścił PIRA, choć zamierzał powrócić do stada. Tym razem stado przyjdzie do niego. Będzie miał własną armię. Jego planów nie znali nawet najbliżsi współpracownicy, w każdym razie nie w całości.

o'Donnell usiadł przy biurku i z kieszeni marynarki wyjął kopertę. McKenney dyskretnie podszedł do baru w kącie pokoju i przygotował dowódcy szklankę whisky. Z lodem, bo takich upodobań nabył Kevin przebywając przed kilkoma laty w krajach podzwrotnikowych. o'Donnell bez słowa wyciągnął rękę po szklankę i jął popijać drobnymi łykami.

Raport liczył sześć stron. o'Donnell uważnie czytał gęsto napisany tekst.

McKenney wrócił do swojego Yeatsa. Młodzieniec podziwiał opanowanie dowódcy. Przy swojej reputacji nieustraszonego i bezlitosnego bojownika, szef ULA nieraz wydawał mu się zimny jak gład. Gromadził i przetwarzał dane niczym komputer. Bardzo niebezpieczny komputer. Przeczytanie sześciu stron zajęło mu bite dwadzieścia minut.

- Tak. Nasz przyjaciel Ryan wrócił do Ameryki. I bardzo dobrze. Jego żona postarała się, by z lotniska odebrał ich jeden z przyjaciół. Przypuszczam, że od poniedziałku doktor Ryan wznowi zajęcia z dzielnymi słuchaczami i słuchaczkami Akademii Marynarki: - o'Donnell uśmiechnął się z własnego dowcipu. -Jego Wysokość wraz z ukochaną małżonką wrócą do domu z dwudniowym opóźnieniem. Ich samolot miał jakąś awarię instalacji elektrycznej, a części zapasowe trzeba sprowadzić aż z Anglii. Taka w każdym razie informacja zostanie podana do wiadomości publicznej. W rzeczywistości tak bardzo spodobało im się w Nowej Zelandii, że postanowili nieco dłużej cieszyć się swoim towarzystwem. W drodze powrotnej towarzyszyć im będzie wzmocniona ochrona. Podjęto szczególne środki bezpieczeństwa. Nie ma wątpliwości, że przez co najmniej kilka najbliższych miesięcy ich ochrona będzie nie do przeniknięcia.

McKenney prychnął pogardliwie,

- Nie ma ochrony nie do przeniknięcia. Sami tego dowiedliśmy.

- Michael, my nie chcemy ich zabić. To potrafi zrobić byle dureń. Naszym celem jest wzięcie ich żywcem.

- Ale...

Co za człowiek! Czy tacy kiedykolwiek czegoś się nauczą?

- Nie ma żadnego „ale”, Michael. Gdybym chciał ich zabić, już dawno gryźliby ziemię, a ten sukinsyn Ryan razem z nimi. Zabić nie byłoby trudno, ale w ten sposób nie osiągnęlibyśmy swojego celu.

- Tak jest - McKenney posłusznie skinął głową. -A co z Seanem?

- Przez najbliższe dwa tygodnie będą go trzymali w więzieniu Brixton. Nasi przyjaciele z C-13 chcą mieć Seana pod ręką.

- Czy to znaczy, że Sean coś...

- Wykluczone - przerwał o'Donnell. - Niemniej uważam, że organizacja jest silniejsza z nim, niż bez niego. Zgodzisz się ze mną?

- Ale skąd będziemy wiedzieli?

- Naszym towarzyszem interesuje się wiele wysoko postawionych osób - odparł o'Donnell.

McKenney ze zrozumieniem pokiwał głową, choć właściwie nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie. Zręcznie ukrył irytację faktem, że dowódca ukrywał źródło swoich informacji wywiadowczych przed własnym szefem wywiadu. Zdawał sobie sprawę z wagi tych informacji, ale to, skąd one pochodziły, było najpilniej strzeżoną tajemnicą ULA. Wzruszył ramionami. Miał swoich informatorów i z dnia na dzień coraz lepiej umiał wykorzystywać dostarczane przez nich wiadomości. Drażniło go to niekończące się wyczekiwanie, drobiazgowo przygotowania do każdej akcji, ale musiał przyznać, początkowo niechętnie, ale stopniowo z coraz większym przekonaniem, że przeprowadzenie kilku najbardziej błyskotliwych operacji możliwe było właśnie dzięki doskonałemu ich przygotowaniu. Jedna z tych, które zakończyły się niepowodzeniem, zaprowadziła go do więzienia Maze. To wtedy zrozumiał, że rewolucję muszą robić ludzie kompetentni, fachowcy, a nie nawiedzeni amatorzy. Znienawidził nieudolnych przywódców PIRA chyba bardziej niż brytyjską armię. Rewolucjonista często bardziej musi wystrzegać się przyjaciół niż wrogów.

- Co nowego u naszych kolegów? - zapytał o'Donnell.

- Mam kilka informacji - rażno zaczął McKenney. „Nasi koledzy” było to Skrzydło Tymczasowych Irlandzkiej Armii Republikańskiej. - Jedna z komórek brygady z Belfastu szykuje na pojutrze zamach na pewien pub. Podobno odwiedzają go ostatnio faceci z UW... Niezbyt rozsądne z ich strony, prawda?

- Myślę, że możemy nie interweniować - odparł o'Donnell. PIRA, oczywiście, podłoży bombę. Będą ofiary, wśród nich pewnie kilku członków Ulster Volunteer Force, organizacji, którą o'Donnell uważał za zbieraninę reakcyjnych opryszków na usługach burżuazji. Zwykła banda, bo pozbawiona wszelkiej ideologii. Tak więc to bardzo dobrze, że zginie kilku ludzi z UW, ale na tym sprawa się nie skończy. Bo w odwecie bojówkarze UW zastrzelą w dzielnicy katolickiej kilku ludzi. Wydział śledczy RUC rozpocznie śledztwo, ale jak zwykle nie będzie żadnych świadków, za to będzie się utrzymywał stan rewolucyjnej destabilizacji w osiedlach katolików. Nienawiść ma wielką wartość użytkową. W większym nawet stopniu niż strach, stanowi pożywkę dla Sprawy.

- Co poza tym?

- Dwyer, ta specjalistka od materiałów wybuchowych, zginęła nam z oczu - podjął Mc Kenney.

- Poprzednim razem znalazła się w Anglii, tak? Szykują nową kampanię?

- Nasz człowiek tego nie wiedział. Pracuje nad tą sprawą, ale kazałem mu zachować ostrożność.

- Bardzo dobrze - o'Donnell zastanowił się nad ostatnią wiadomością. Dwyer była jednym z najlepszych „pirotechników” IRA, geniuszem, jeśli chodzi o konstruowanie zapalników czasowych. Oddział C-13 Scotland Yardu szukał jej jak mało kogo z irlandzkiego podziemia. Schwywanie Dwyer byłoby dla kierownictwa PIRA ciężkim ciosem. - Niech nasz człowiek istotnie ma się na baczności, ale byłoby dobrze, gdybyśmy wiedzieli, gdzie znajduje się Dwyer.

McKenney w lot pojął intencje przełożonego. Szkoda tej małej, ale cóż, koleżanka Dwyer obracała się w nieodpowiednim towarzystwie.

- Co z dowódcą brygady z Belfastu?

- Nie. - o'Donnell pokręcił głową.

- Znów nam się wymknie. Potrzebowaliśmy miesiąca, żeby...

- Nie, Michael. Pamiętaj o synchronizacji. To ważna rzecz. Każda operacja stanowi integralną całość, nie przypadkowy ciąg wydarzeń. - Dowódca Brygady PIRA z Belfastu (też mi brygada, raptem dwustu ludzi!) był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Ulsterze. Poszukiwanym nie tylko przez Brytyjczyków. W obecnej jednak sytuacji szef ULA zmuszony był zostawić go właśnie im. Szkoda. Chętnie bym ci osobiście zapłacił, Johnny Doyle. Za wypędzenie mnie z armii, za wyznaczenie nagrody za moją głowę. Muszę być jednak cierpliwy. Także w tej sprawie. Ostatecznie, chcę dużo

więcej, niż głowy Johnny'ego Doylea. - Pamiętaj, że nasi chłopcy muszą także pilnować własnego tyłka. Synchronizacja jest tak ważna dlatego, że nasz plan dotyczy jednorazowej akcji, bez możliwości powtórek. Dlatego musimy być cierpliwi. Musimy czekać na ten najlepszy, jedyny moment.

Co za moment? Jaki plan? McKenney bardzo chciałby to wiedzieć! Nie dalej jak kilka tygodni temu o'Donnell ogłosił, że ów „moment” jest tuż, tuż. A potem odwołał wszystko jednym telefonem z Londynu. Sean Miller wiedział. Może jeszcze ktoś, jedna, dwie osoby, ale McKenney nie miał nawet pojęcia które. Bezpieczeństwo, ochrona informacji, zawsze były obsesją dowódcy. Jako pracownik wywiadu, McKenney doceniał wagę tych spraw, ale jego młoda krew burzyła się na myśl, że szykuje się coś ważnego, a on nie wie nawet co.

- Niełatwo z tym się pogodzić, co, Mike?

- Tak jest, szefie. Niełatwo - z uśmiechem przyznał McKenney.

- Po prostu staraj się nie zapomnieć, dokąd zaprowadziła nas niecierpliwość - rzekł dowódca.

8

## Informacja

- Przypuszczam, że to zamyka sprawę, Jimmy. Biuro przesyła podziękowania za wytropienie tego faceta.

- Nie ma za co. Naprawdę nie potrzebujemy tu takich turystów - odparł Owens. Rozmowa dotyczyła pewnego mieszkańca Florydy, który zdefraudował trzy miliony dolarów należące do banku w Orlando i popełnił ten błąd, że w drodze do jednego z europejskich krajów, znanego z dość liberalnego prawa bankowego, zatrzymał się w Wielkiej Brytanii. - Myślę jednak, że następnym razem, zanim go aresztujemy, pozwolimy mu zrobić trochę zakupów na Bond Street. Niech to będzie nasze honorarium... zapłata za aresztowanie delikwenta.

- Nie ma sprawy. - Przedstawiciel FBI zamknął ostatnią teczkę z aktami. W Londynie była szósta po południu. Don Murray osunął się na oparcie fotela. Za oknami gabinetu majaczyły w przedwieczornym półmroku budynki wznoszące się po przeciwnej stronie ulicy. Ich dachy dyskretnie patrolowali uzbrojeni ludzie. Podobnie rzecz się miała z wszystkimi domami na Grosvenor Square. Ambasada amerykańska była nie tyle strzeżona, co wręcz ufortyfikowana. Od sześciu lat jej pracownicy żyli w ciągłym strachu przed atakiem terrorystycznym. Przed wejściem do budynku, na wyłączonej z ruchu North Audley Street, dzień i noc stali umundurowani policjanci. Chodnik zdobiły tu betonowe kwietniki, stanowiące zaporę niemal nie do przebycia nawet dla czołgu. Pochyłe, betonowe płyty chroniły budynek przed skutkami wybuchów samochodów-pułapek. Wewnątrz, przy ściennym sejfie mieszczącym rewolwer Smith & Wesson .357Magnum trzymał wartę kapral piechoty morskiej. Cholerny świat, myślał Murray. Cholerny świat. Wspaniały świat międzynarodowego terroryzmu. Murray nie znosił tego budynku, który wyglądał jak bunkier Linii Maginota. Nie cierpiał zastanawiać się, czy w domu po drugiej stronie ulicy nie czai się jakiś Irlandczyk, Palestyńczyk, Libijczyk lub inny szaleniec z RPG-7. Nie był to strach o własne życie. Murray nieraz zaglądał śmierci w oczy. Po prostu nienawidził bezprawia, które uważał za obrazę dla swojej profesji, nienawidził ludzi, którzy zabijają bliźnich w imię politycznych przekonań. I podobno wcale nie są szaleńcami. Tak przynajmniej twierdzą spece od psychologii. To romantycy, nawiedzeni ludzie, gotowi popełnić każdą zbrodnię, aby zbliżyć się do swego ideału.

- Jimmy, pamiętasz te dobre czasy, kiedy polowaliśmy na zwykłych rabusiów bankowych, których jedynym ideałem była forsa?

- Ja nigdy się tym nie zajmowałem. Dokąd nie przenieśli mnie do wydziału zabójstw, miałem do



czynienia głównie z pospolitymi kradzieżami. Fakt, że w erze terroryzmu człowiek zaczyna z rozrzewnieniem wspominać zwykłych bandytów. Ci, o ile pamiętam, bywali czasem ludźmi zgoła cywilizowanymi. - Owens dolał sobie sherry do kieliszka. Największym problemem policji londyńskiej była rosnąca liczba przypadków przestępczego użycia broni palnej. To narzędzie zdobyło sobie popularność za sprawą telewizji, zwłaszcza wieczornych dzienników, które w najdrobniejszych szczegółach informowały o aktach terroryzmu na terenie Zjednoczonego Królestwa. A chociaż ulice i parki Londynu były bezpieczniejsze niż podobne miejsca w Ameryce, to jednak nie tak bezpieczne jak jeszcze kilka lat temu. Londyn się zmieniał i to w sposób, który nie przypadł Owensowi do gustu.

Zadzwonił telefon. Sekretarka Murraya niedawno wyszła, więc agent sam sięgnął po słuchawkę.

- Tu Murray. Cześć Bob. Tak, jest tutaj. Bob Highland do ciebie, Jimmy - powiedział, wręczając słuchawkę Owensowi.

- Owens przy telefonie. - Policjant pociągnął łyk wina, a potem pośpiesznie odstawił kieliszek i gestem poprosił o kartkę i pióro. - Gdzie? Czy już... dobrze, doskonale. Już jadę.

- Co się stało?

- Właśnie namierzyliśmy jakąś Dwyer. Prowadzi fabrykę bomb w mieszkaniu na Tooley Street.

- To za rzeką, dokładnie naprzeciw Tower, zgadza się?

- Tak. Muszę iść. - Owens zerwał się i sięgnął po płaszcz.

- Mógłbym się z tobą zabrać?

- Dan, tylko pamiętaj...

- Żeby nie wchodzić nikomu w drogę. - Murray był już na nogach. Odruchowo dotknął miejsca na biodrze, gdzie powinien wisieć jego służbowy rewolwer. Zapomniał, że znajduje się w obcym kraju. Owens nigdy nie nosił broni, co Amerykanin uważał za dziwny, jak na policjanta, zwyczaj. Razem opuścili gabinet Murraya i windą zjechali do podziemnego garażu ambasady. Policjanci z obstawy Owensa siedzieli już w swoim samochodzie. Wóz komendanta C-13, z Murrayem na tylnym siedzeniu, ruszył tuż za nimi. Wyjechali na ulicę i Owens włączył radio.

- Wezwałeś posiłki? - zapytał Murray.

- Tak. Za kilka minut będzie tam Bob z całą ekipą. Mamy Dwyer! Rysopis pasuje jak ulał. - Owens był podniecony jak dziecko w bożonarodzeniowy ranek. Bezskutecznie starał się to ukryć.

- Skąd macie cynk?

- Anonim. Zadzwonił mężczyzna, który widział przez okno przewody i jakąś substancję w małych kostkach.

- To dobre! Podglądacz naprowadza policję. Pewnie przestraszony, że żona dowie się o jego hobby. Ano, darowanemu koniowi... - Murray uśmiechnął się. Zdarzało mu się wykorzystywać informacje z bardziej podejrzanych źródeł.

Na ulicach panował tłok wieczornego szczytu i nawet z włączoną syreną jechali okropnie wolno. Pokonanie ośmiu kilometrów dzielących ich od Tooley Street zajęło im dwadzieścia minut. Owens wisiał na radiu i tłukł pięścią w podłokietnik, słuchając meldunków swoich ludzi wkraczających do podejrzanego domu. Przemknęli wreszcie przez Tower Bridge i skręcili w prawo. Kierowca zatrzymał samochód na chodniku, za stojącymi tam już dwoma radiowozami.

Znajdowali się w robotniczej dzielnicy Bermondsey. Dwyer mieszkała w dwupiętrowym, odrapanym budynku z brunatnej cegły. Po przeciwnej stronie ulicy mieścił się pub. Na zawieszonej w oknie tablicy widniało wypisane koślawymi literami menu zakładu. Przyjazd policji wywabił z pubu grupę klientów z kuflami w dłoniach. Owens pobiegł w stronę wejścia do budynku, przed którym

czekał detektyw po cywilnemu.

- Wszystko w porządku, sir. Zatrzymaliśmy podejrzaną. Najwyższe piętro w głębi.

Komendant potruchtał w górę schodów, Murray za nim. Na podeście ostatniego piętra natknęli się na kolejnego detektywa. Twarz Owensa rozjaśnił okrutny, pełen satysfakcji uśmiech.

- Już po wszystkim - zameldował Highland. - Oto podejrzana. Maureen Dwyer, zupełnie naga, leżała na podłodze twarzą do

dołu, z rozpostartymi rękoma i nogami. Wokół niej rozlewała się kałuża wody. Mokra ślady prowadziły do łazienki.

- Brała właśnie kąpiel - wyjaśnił Highland. - Pistolet zostawiła w kuchni na stole, tak że nie było z nią żadnych problemów.

- Wezwaliście jakąś policjantkę?

- Tak jest. Dziwne, że jeszcze jej nie ma.

- Cholerny ruch na ulicach - bąknął Owens. - Są jakieś ślady innych osób?

- Nie, absolutnie nic - odparł Highland. - Tylko to.

Na podłodze leżała wyciągnięta dolna szuflada jedynego biurka w mieszkaniu. Mieściła kilka kostek czegoś, co wyglądało na plastik, kilka detonatorów i elektronicznych zegarów. Jeden z detektywów sporządzał już listę znalezionych przedmiotów. Drugi pracowicie pstrykał lampą błyskową, robiąc zdjęcia wszystkich kątów pomieszczenia. Znalezione w mieszkaniu dowody miały zostać zapakowane w czyste polietylenowe torby, opatrzone etykietkami i przechowane w komendzie policji do czasu procesu terrorystki w Old Bailey. Twarze obecnych wyrażały głębokie zadowolenie, oczywiście z wyjątkiem przyciśniętej do podłogi twarzy Maureen Dwyer. Dwaj uzbrojeni policjanci stali nad dziewczyną, bez śladu współczucia przyglądając się nagiej, ociekającej wodą postaci.

Murray stał przy wejściu, starając się, jak obiecał, nie wchodzić nikomu w drogę i nie spuszczać oczu z ludzi Owensa. Do ich zachowania w czasie akcji nie można się było przyczepić. Podejrzana została unieszkodliwiona, teren zabezpieczony, a obecnie gromadzono dowody. Podręcznikowa akcja. Zwrócił uwagę, że podejrzaną unieruchomiono. Policjantka dokona rewizji osobistej, aby się upewnić, czy terrorystka nie ukryła w ciele czegoś niebezpiecznego. Skromność panny Dwyer zostanie wystawiona na szwank, ale Murray nie miał nic przeciwko temu. Maureen Dwyer była znanym pirotechnikiem i miała za sobą przynajmniej trzy lata w tym fachu. Dziewięć miesięcy temu widziano, jak opuszczała pewien lokal w Belfaście, gdzie w kilka minut później bomba zabiła czworo i okaleczyła troje ludzi. Nie, panna Dwyer nie powinna oczekiwać współczucia. Po kilku minutach detektyw narzucił na nią zdjęte z łóżka prześcieradło, przykrywając ją od kolan do ramion. Podejrzana nie poruszyła się. Oddychała gwałtownie, ale nie wydała żadnego dźwięku.

- A to co takiego? - powiedział jeden z policjantów wyciągając spod łóżka walizkę. Sprawdził, czy nie jest uzbrojona w minę-pułapkę, otworzył i wydobyl teatralny komplet do charakteryzacji i cztery peruki.

- O rany, sama mogłabym nosić którąś z nich. - Policjantka precyzyjnie przycisnęła się obok Murraya i podeszła do Owensa. - Szefie, przyjechałam najszybciej, jak mogłam.

- No to do roboty - uśmiechnął się Owens. Był zbyt zadowolony, by denerwować się byle błażostką. - Przeszukaj ją, skarbie. Wiesz jak to się robi.

Policjantka nałożyła gumową rękawicę. Murray odwrócił głowę. Ta część procedury aresztowania zawsze przyprawiała go o mdłości. W kilka sekund później usłyszał plaśnięcie zdejmowanej rękawicy. Policjantka podała Dwyer jakąś odzież. Murray obserwował, jak kobieta ubiera się bez śladu zażenowania, zupełnie jakby była tu sama. Nie, pomyślał, gdyby była sama, okazałaby więcej emocji. Już ubranej policjantka zatrzasnęła na przegubach kajdanki. Następnie

poinformował aresztowaną o jej prawach, używając formuły dość podobnej do stosowanej przez policję amerykańską. Kobieta nie odpowiedziała. Beznamiętnie patrzyła na policjantów, na jej twarzy nie było nawet gniewu. Wyprowadzono ją, ciągle milczącą.

To przykra strona roboty, pomyślał Murray. Nawet z mokrymi włosami, bez makijażu, była całkiem ładna. Zgrabna, choć nie zaszkodziłoby, gdyby zrzuciła cztery czy pięć kilogramów. Ale w dobrze uszytym ubraniu nie miałyby to większego znaczenia. Można by ją minąć na ulicy czy poderwać w barze i nikt by nie podejrzewał, że w torebce nosi kilogram plastiku. Chwała Bogu, że u nas nie ma czegoś takiego. Zastanawiał się, jak Biuro poradziłoby sobie z takim zagrożeniem. Nawet przy jego środkach, naukowych i sądowych ekspertach wspierających agentów terenowych, nie byłoby łatwo zlikwidować ten rodzaj przestępczości. Dla każdej policji gra sprowadza się tutaj do oczekiwania, aż bandyci popełnią błąd. Trzeba umieć grać od przerwy do przerwy, tak jak piłkarze muszą się liczyć ze zmianą stron w połowie meczu. Problem w tym, że przestępcom z każdym dniem wszystko wychodziło lepiej, bo uczyli się na własnych błędach. Jak w każdym współzawodnictwie, obie strony nabierały z czasem doświadczenia. Ale to do zbrodniarzy należała inicjatywa. Gliniarze zawsze stali na bramce.

- No i co, Dan? Masz jakieś uwagi? Czy przystajemy do poziomu FBI? - spytał z zadowoleniem Owens.

- Nie gadaj bzdur, Jimmy! - wyszczerzył zęby Murray. Akcja dobiegła końca. Detektywi porządkowali dowody rzeczowe. Nie było wątpliwości, że oskarżenie przeciw Dwyer zostanie solidnie udokumentowane. - Trzeba przyznać, że gładko wam poszło. Wasze szczęście, że nie macie naszych przepisów dotyczących nielegalnego przeszukania i rekwizycji. - Nie wspominając o naszych sędziach, dorzucił w myśli.

- Skończyłem - oznajmił fotograf.

- Doskonale - odpowiedział kierujący akcją sierżant Bob Highland.

- Jak dotarłeś tutaj tak szybko, Bob? - chciał wiedzieć Murray. - Przyjechałeś metrem, czy co?

- Cholera, że też o tym nie pomyślałem! - roześmiał się Highland. - Może trafiliśmy na dobry moment w ruchu ulicznym. Dotarliśmy tu w ciągu jedenastu minut. Przyjechaliście wkrótce po nas. Wyważyliśmy drzwi i w pięć sekund mieliśmy Dwyer na podłodze. Żadnych problemów. Co to znaczy odpowiednia informacja...

- Mogę już wejść do środka? - zapytał Murray.

- Oczywiście. - Owens gestem ręki zaprosił go do mieszkania. Murray podszedł do szuflady zawierającej materiały wybuchowe. Funkcjonariusz FBI był ekspertem od urządzeń wybuchowych. Razem z Owensem pochylił się nad kolekcją.

- Wygląda na czeskie - wymamrotał Murray.

- Bo i jest - odezwał się inny detektyw. - Z zakładów Škody, sądząc po opakowaniach. A te obok są amerykańskie. California Pyronetics, detonator elektroniczny model trzydzieści jeden. - Jeden z nich, opakowany w plastikową torebkę, rzucił Murrayowi.

- Cholera! Znow to samo! Cały transport tych cacek zrabowano półtora roku temu. Zmierzały na pola naftowe Wenezueli, a zniknęły zaraz za Caracas - wyjaśnił Murray. Bacznie przyjrzał się małemu czarnemu urządzeniu. - Nafciarze je uwielbiają. Bezpieczne, trwałe i proste w obsłudze. Są równie dobre jak te używane w wojsku. Prawdziwe dzieła sztuki.

- Gdzie jeszcze wypłynęły? - zapytał Owens.

- Mamy pewność do trzech lub czterech przypadków. Problem w tym, że są tak małe, iż nie zawsze można zidentyfikować ich pozostałości. Bank w Puerto Rico, budynek policji w Peru. To były sprawy polityczne. Jedna, a może dwie inne są związane z narkotykami. Do tej pory używano ich

po drugiej stronie Atlantyku. O ile mi wiadomo, tutaj pojawiły się po raz pierwszy. Te detonatory mają numery seryjne. Pewnie będziesz chciał sprawdzić, czy pochodzą z tej przesyłki? Wieczorem mogę wysłać teleks i w ciągu godziny będziesz miał odpowiedź.

- Dzięki, Dan.

Murray naliczył pięć kilogramowych paczek materiałów wybuchowych. Czeski plastik, znany pod nazwą Semtex, cieszył się znakomitą opinią. Był równie skuteczny jak wyroby, które na wojskowe potrzeby Amerykanów produkował DuPont. Jeden odpowiednio umieszczony ładunek potrafił rozwalić budynek. Posługując się zegarami Pyronetics, panna Dwyer mogła podłożyć pięć różnych bomb i ustawić dowolny czas detonacji, choćby za miesiąc. W chwili wybuchu byłaby już na drugim końcu świata.

- Ocaliliście dziś kilka istnień ludzkich, panowie. Dobra robota. - Murray podniósł wzrok znad szuflady. W mieszkaniu znajdowało się jedno okno, wychodzące na tył budynku. Rolety były opuszczone, brudne zasłony zaciągnięte. Murray zastanawiał się, ile kosztowało wynajęcie tego mieszkania. Na pewno nie za wiele. Ogrzewanie było włączone i w pokoju zrobiło się duszno. - Czy ktoś ma coś przeciwko temu, żeby wpuścić tu trochę powietrza?

- Świetny pomysł, Dan - odpowiedział Owens.

- Pan pozwoli, że ja to zrobię, sir. - Detektyw w rękawiczkach podciągnął roletę i otworzył okno. Pomieszczenie miało być jeszcze badane na obecność odcisków palców, ale uchYLENIE okna nie mogło niczemu zaszkodzić. Świeży powiew wtargnął do pokoju.

- Tak już lepiej. - Funkcjonariusz FBI głęboko zaczerpnął powietrza, prawie nie zauważając odoru spalin wydobywających się z silników londyńskich taksówek.

Coś tu się nie zgadzało. Murray czuł, że coś jest nie tak. Ale co? Wyrzwał przez okno. Z lewej strony był chyba jakiś magazyn. Czteropiętrowa gładka ściana. Z prawej widniała odległa sylwetka londyńskiej Tower. I to wszystko. Odwrócił głowę i zobaczył, że Owens również wygląda przez okno. Komendant C-13 pytająco spojrział na Murraya.

- Co powiedział ten twój podglądacz? - zapytał Murray.

- Właśnie. - Owens pokiwał głową. - Sierżancie Highland?

- Tak, szefie?

- Ten anonimowy telefon. Co dokładnie powiedział ten człowiek? Jak brzmiał jego głos? - Owens wciąż wyglądał przez okno.

- Akcent miał... wydaje mi się, że ze środkowej Anglii. Mężczyzna. Powiedział, że zajrzał przez okno i spostrzegł materiały wybuchowe i jakieś druty. Oczywiście nagraliśmy wszystko na taśmę.

Murray sięgnął za okno i palcem przejechał po zewnętrznej stronie szyby. Była brudna.

- Ten kto dzwonił, z pewnością nie był facetem od mycia okien... - Murray wychylił się za parapet. Nie znalazł schodów ewakuacyjnych.

- Może ktoś z dachu magazynu... Nie - odpowiedział sobie natychmiast Owens. - Nie pod tym kątem, chyba że ona rozrzuciłaby materiały po podłodze. To zastanawiające...

- Włamanie? Może ktoś tu się dostał, zajrzał do szuflady i postanowił zadzwonić, jak na porządnego obywatela przystało? - spytał Murray. - Chociaż nie brzmi to zbyt prawdopodobnie.

- Mniejsza o to - Owens wzruszył ramionami. - A może to chłopak, którego rzuciła... Myślę, że na razie cieszymy się z tego, co mamy, Dan. Jest tu pięć bomb, które nigdy nikogo nie zabijają. Zabierajmy się stąd i wyślijmy ten teleks do Waszyngtonu. Sierżancie Highland, panowie, to była dobra robota! Gratulacje dla wszystkich. Idziemy.

Owens i Murray w milczeniu opuścili budynek. Na zewnątrz czekał mały tłumek, powstrzymywany przez około dziesięciu mundurowych. Ekipa telewizyjna była już na miejscu, toteż

żaden z detektywów nie spojrział na drugą stronę ulicy. W okolicy były trzy małe puby. W drzwiach jednego z nich stał niepozorny mężczyzna, trzymając w ręku kufel ciemnego piwa. Bez śladu emocji, nawet ciekawości, patrzył na ulicę. Jego pamięć notowała twarz. Nazywał się Dennis Cooley.

Murray i Owens pojechali do siedziby Scotland Yardu, skąd agent FBI nadał teleks do Waszyngtonu. Nie dyskutowali o anomalii, która nieoczekiwanie ujawniła się w tej sprawie. Murray zostawił Owensa sam na sam z jego pracą. C-13 kolejny raz zapobiegła podłożeniu bomby, i to w najlepszy możliwy sposób, bez żadnych strat. Znaczyło to, że Owensa i jego ludzi czekała bezsenna noc, wypełniona papierkową robotą. Musieli przygotować raporty dla biurokratów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz relację dla londyńskich gazet. Ale tym razem robili to prawie z przyjemnością.

Pierwszy dzień w pracy przeszedł Ryanowi lżej niż oczekiwał. Przedłużająca się nieobecność Jacka zmusiła Wydział Historii do rozdzielenia jego zajęć. Zresztą zbliżały się ferie zimowe i prawie wszyscy przymierzali się do wyjazdów na święta. Codzienna szkolna dyscyplina nieco się rozluźniła i nawet najmłodszy kadeci mogli trochę odetchnąć od dręczycieli ze starszych roczników, świętujących zwycięstwo w meczu z armią. Dla Ryana oznaczało to spokojny dzień na przejrzenie zaległej korespondencji, której pokaźny stos zastał na swoim biurku. Do Akademii dotarł o 7.30 i do za kwadrans piąta uporał się z większością papierkowej roboty. Miał poczucie, że solidnie przepracował ten dzień. Kończył opracowywać testy na egzamin semestralny, kiedy wyczuł dym taniego cygara i usłyszał znajomy głos.

- Dobrze bawiłeś się na wakacjach, chłopcze? - Komandor porucznik Robert Jackson stał oparty o framugę drzwi.

- Było kilka interesujących momentów, Robby. Słońce powyżej czy poniżej noku rei?

- Dokładnie na noku! - Jackson położył białą czapkę pilota na szafce i bezceremonialnie rozsiadł się w skórzanym fotelu naprzeciw biurka przyjaciela.

Ryan zamknął teczkę z pytaniami egzaminacyjnymi i schował ją do szuflady. W wyposażeniu gabinetu znajdowała się niewielka lodówka, wstawiona tam z inicjatywy użytkownika. Jack wyjął z niej dwulitrową butelkę 7-Up i drugą, pustą, po piwie imbirowym Canada Dry. Następnie z szafki w biurku wydobyl butelkę irlandzkiej whiskey i przystąpił do mieszania jej z lemoniadą w takiej proporcji, by uzyskać kolor zbliżony do barwy Canada Dry. Przepisy Akademii zabraniały trzymania alkoholu w biurze, co Ryan uważał za głęboko sprzeczne z marynarską tradycją, ale na picie piwa imbirowego patrzono zwykle przez palce. A poza tym wszyscy wiedzieli, że o krok znajduje się wydziałowy Klub Oficerski. Jack podał gościowi plastikowy kubeczek z gotowym drinkiem i sprzątnął z biurka wszystko poza pustą butelką po Canada Dry.

- Za twój powrót, amigo! - wzniosł toast Robby.

- Nie ma to jak w domu. - Przyjaciele tręcili się kubkami.

- Chwała Bogu, że ci się udało, Jack. Martwiliśmy się o ciebie. Jak ręka?

- Coraz lepiej. Żałuj, że nie widziałeś w jaki pancerz ubrano mnie w Anglii. Zdjęli mi go w piątek u Hopkinsa. Jednego się dzisiaj dowiedziałem i nie zapomnę o tym do końca życia: prowadzenie jedną ręką przez Annapolis wozu bez automatycznej skrzyni biegów jest paskudnym przeżyciem.

- Wyobrażam sobie - zachichotał Robby. - Niech mnie diabli, jeśli ty nie jesteś stuknięty, chłopie.

Ryan zgodnie pokiwał głową. Jacksona poznał w marcu, na wydziałowej herbatce. Robby nosił na mundurze złote skrzydła lotnika marynarki. Miał przydział do pobliskiego Lotniczego Centrum Doświadczalnego Marynarki w Patuxent River, gdzie pracował na stanowisku instruktora w szkole

oblatywaczy, aż pewnego słonecznego poranka wadliwy przekaźnik uruchomił katapultę w jego treningowym Buckeye. Nieprzygotowany na taką sytuację, doznał poważnego złamania nogi. Rana była na tyle groźna, że na sześć miesięcy pozbawiła go możliwości latania. Oddelegowany tymczasowo do Annapolis, został wykładowcą na wydziale mechaniki. Przydział ten uważał za niewiele lepszy od zesłania na galery.

Jackson był czwartym synem murzyńskiego kaznodziei z południowej Alabamy. Podczas pierwszego spotkania z Ryanem nosił jeszcze gips. Zapytał Jacka, czy nie chciałby spróbować swoich sił w kendo. Była to dyscyplina sportu zupełnie nie znana Ryanowi. Wiedział tylko, że chodzi o rodzaj japońskiej szermierki na bambusowe kije, mające imitować miecze samurajskie. Walkę na kije poznał w trakcie szkolenia podstawowego w piechocie morskiej i sądził, iż to będzie coś podobnego. Przyjął zaproszenie przekonany, że dłuższy zasięg ramion zapewni mu przewagę nad Jacksonem, zwłaszcza przy ograniczonej zdolności poruszania się lotnika. Nie przyszło mu do głowy, że Jackson odbędzie najpierw trening z którymś ze swoich kumpli-oficerów. A tak właśnie zrobił. W rezultacie Jack na własnej skórze przekonał się, że Robby jest szybki jak błyskawica i zawzięty niczym grzechotnik. Nim zbladły siniaki na skórze Ryana, on i Jackson zostali serdecznymi przyjaciółmi. Ryan nauczył Robby'ego cenić smak dobrej irlandzkiej whiskey. Popołudniowe spotkania w zaciszu gabinetu Jacka połączone z degustacją „piwa imbirowego” stały się wkrótce ich stałym zwyczajem.

- Jakie wieści z kampusu? - zapytał Jack.

- Ano, młodzież pobiera nauki. Po staremu - beztriosko rzucił Robby.

- Zaczęło ci się to podobać, co?

- Niezupełnie. Za to noga wróciła do normy. Weekendy spędzam w Pax River, próbując udowodnić, że nadal umiem latać. Czy wiesz, ile tu narobiłeś zamieszania?

- Dając się postrzelić?

- A tak. Byłem właśnie u szefa, kiedy się zaczęło. Zadzwoił facet z FBI i pyta, czy wiemy coś o pewnym szurniętym nauczycielu, który zabawia się w Londynie w policjantów i złodziei. Powiedziałem, że owszem, jest u nas taki, ale oni chcieli, żeby potwierdził to ktoś z Wydziału Historii. Głównie zresztą chodziło im o nazwisko właściciela agencji podróży, która organizowała ci wycieczkę do Londynu. Wszystko to działo się w porze lunchu, na Wydziale nie było ani żywej duszy. Udało mi się wreszcie dopaść profesora Billingsa w Klubie Oficerskim. Szef też miał urwanie głowy z tym telefonem. Niewiele brakowało, a zepsułyś mu ostatnią w sezonie partyjkę golfa. I to z samym gubernatorem.

- Mnie ta historia też zepsuła dzień.

- Czy to rzeczywiście wyglądało tak, jak w doniesieniach prasowych?

- Mniej więcej. Angielskie gazety opisały to całkiem dokładnie. Jackson pokiwał głową i strzepnął popiół z cygara do popielniczki na biurku.

- Masz szczęście, że nie wróciłeś do domu w dębowej jesionce - powiedział.

- Daj spokój, Robby. Nie mogę już tego słuchać. Pierwszego faceta, który nazwie mnie bohaterem, rozsmaruję na ścianie i...

- Bohaterem? Ni cholery! Gdybyście wy, białasy, wszyscy byli tacy głupi, to moi przodkowie musieliby importować twoich, a nie odwrotnie. - Pilot wymownie pokręcił głową. - Czy nikt ci nie powiedział, że w takiej awanturze można stracić życie?

- Gdybyś był na moim miejscu, zrobiłbyś to samo.

- Nigdy w życiu! Boże Wszechmogący, czy jest coś głupszego niż zakuta pała z piechoty morskiej? Z gołymi rękami rzucać się na uzbrojonych facetów! Zakrwawić sobie ubranko, zakurzyć

buciki... Mowy nie ma! Kiedy ja zechcę kogoś zabić, zrobię to w sposób cywilizowany, z działka albo rakieta. -Jackson uśmiechnął się krwiożerczo. -A przede wszystkim tak, żeby samemu się nie narażać.

- Bo oczywiście latanie myśliwcami, które katapultują cię bez ostrzeżenia, jest całkowicie bezpieczne - zadrwił Ryan.

- No dobrze, stuknąłem się w nogę, ale kiedy siedzę za sterami swojego Tomcata i zasuwam z prędkością ponad dziewięciuset kilometrów na godzinę, każdy kto chce mnie ustrzelić, musi się solidnie napracować.

Ryan pokręcił głową. Nie tak dawno był na odczycie poświęconym tematyce bezpieczeństwa i higieny pracy, gdzie dowiedział się, że najbardziej niebezpieczne zawody to pilot z lotniskowca i oblatywacz.

- Jak zniosły tę historię Cathy i Sally? - już poważniejszym tonem zapytał Robby. - Chcieliśmy wpaść do was w niedzielę, ale okazało się, że musimy jechać do Filadelfii.

- Nie było im łatwo, ale teraz już wszystko w porządku.

- Nie powinieneś zapominać, że masz rodzinę, Jack. Ratowanie ludzi zostaw zawodowcom.

Zabawną cechą Robby'ego była jego ostrożność. Pozorna beztroska, z jaką odnosił się do niebezpieczeństw swojego zawodu nie zmieniała faktu, że nigdy nie ryzykował bez potrzeby. Ryan znał pilotów ze skłonnością do hazardu. Wielu z nich już nie żyło. Nie było żołnierza ze złotymi skrzydłami na mundurze, który nie straciłby jakichś przyjaciół. Ryan zastanawiał się czasem, jaki wywarło to wpływ na Jacksona. Jednego był pewien: Robby nie zwykł grać w ciemno. Jeżeli już musiał ryzykować, jak każdy doświadczony gracz, nie zdawał się na los szczęścia. Solidnie zastanawiał się nad każdym ruchem.

- Ta sprawa jest już zamknięta, Rob. Zresztą, to był przypadek. Raz się zdarzyło, powtórki nie będzie.

- Mam nadzieję. Bo z kim będę popijał piwo imbirowe? A teraz powiedz, jak ci się tam podobało?

- Niewiele zdążyłem zobaczyć, ale Cathy bawiła się wyśmienicie. Podejrzewam, że nie przepuściła żadnemu zamkowi w Anglii. No i zdobyła nowych przyjaciół.

- To musiało być ciekawe przeżycie - uśmiechnął się Robby, gasząc cygareto w popielniczkę. Były to tanie, źle zwinięte śmierdziuchy i Jack uważał, że Jackson pali je tylko po to, by podbudować swój image myśliwca. -Właściwie nietrudno zrozumieć, dlaczego cię polubili.

- Przede wszystkim polubili Sally. Zaczęli ją uczyć jazdy konnej - kwaśno zauważył Ryan.

- Coś takiego! Powiedz, jacy oni są?

- Spodobali by ci się. Jackson uśmiechnął się.

- Tak. Bardzo możliwe. Książę latał na Phantomach, więc musi być z niego porządny facet. Zdaje się, że i jego ojciec potrafi odróżnić nos od ogona. Podobno wracałeś Concordem. Jak było?

- O właśnie, miałem cię zapytać. Jak to jest z tym hałasem? To znaczy... Jeśli lecisz z prędkością ponaddzwiękową, dlaczego ten cały hałas nie zostaje z tyłu?

Jackson z politowaniem pokiwał głową.

- Z czego zrobiony jest samolot?

- Pewnie z aluminium.

- Jak myślisz, dźwięk rozchodzi się szybciej w metalu czy w powietrzu?

- No tak. Dźwięk wędruje wzdłuż kadłuba samolotu.

- Jasne. Odgłos pracy silników, pomp paliwowych i tak dalej.

- Rozumiem. - Ryan zrobił taką minę, jakby uważał temat za wyczerpany.

- Nie podobał ci się Concorde, co? - Robby'ego bawiła zawsze niechęć Jacka do latania.

- Dlaczegoście się tak na mnie uwzięli? Po prostu nie lubię latać.

- Bo to jest komiczne, Jack. Jesteś ostatnią osobą na świecie, która boi się latać.

- Chwileczkę, Rob. Przecież poleciałem. Wszedłem na pokład, zapiąłem pasy i poleciałem.

- Wiem. Przepraszam - ustąpił Jackson. - To dlatego, że jesteś taki drażliwy na tym punkcie. Aż się prosi, żeby wbić ci szpileczkę. Ale... od czego ma się przyjaciół, nie? Spisałeś się na medal, Jack. Jesteśmy z ciebie dumni. Ale na miłość boską, bądź ostrożniejszy, dobrze? Cmentarze są pełne martwych bohaterów.

- Wiem, wiem.

- Czy to prawda, co słyszałem o Cathy? - Jackson zmienił temat.

- Tak. Zrobiła badania w tym samym dniu, kiedy mnie zdjęto gips.

- Tylko tak dalej, tatuśku! Uważam, że to wymaga jeszcze jednego. Tylko może słabszego tym razem. - Robby wyciągnął rękę z kubkiem, a Ryan dolał mu odrobinę whiskey. - Wygląda na to, że kończy nam się butelka.

- Chyba moja kolej kupić następną.

- Już nie pamiętam - przyznał Robby. - Ale skoro tak twierdzisz...

- A więc wracasz do latania.

- W poniedziałek mają mnie znów wpuścić na Tomcata. A latem będę już robił to, za co mi płacą.

- Dostałeś już jakieś rozkazy?

- Aha. Rozmawiasz z przyszłym XO VF-41. - Robby zasalutował wzniesionym kubkiem. Czyli z zastępcą dowódcy 41. Dywizjonu Myśliwskiego Marynarki, przetłumaczył sobie w myśli Ryan.

- Wspaniale, Rob!

- Tak, nie jest źle. Zważywszy, że ostatnie siedem miesięcy przesiedziałem za biurkiem...

- Od razu na lotniskowiec?

- Nie. Przez jakiś czas będziemy stacjonować na wybrzeżu, w Oceana, w Wirginii. Dywizjon pływa obecnie na „Nimitzu”. Kiedy okręt wraca do bazy na przegląd, myśliwce przenosi się na ląd. Piloci przechodzą szkolenie uzupełniające. Potem przerzucą nas prawdopodobnie na „Kennedy'ego”. Teraz przeprowadzają weryfikację przydziałów. Mówię ci, Jack, nie mogę się już doczekać. Znów siadę za sterami myśliwca!

- Będzie nam ciebie brakowało. Ciebie i Sissy.

- Ale! Przed końcem semestru nigdzie się nie ruszymy. A poza tym... Virginia Beach nie jest tak daleko. Zawsze możesz do mnie wpaść. Nie musisz lecieć. Wystarczy wsiąść w samochód.

- Zgadza się. Zresztą ty też pewnie wpadniesz zobaczyć moją nową pociechę.

- Jasne. - Jackson dopił swojego drinka.

- Czy ty i Sissy wybieracie się gdzieś na święta?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie bardzo zresztą mogę. Przez całe ferie będę latał w Pax.

- Wpadnijcie do nas na obiad. Będziemy tylko we trójkę.

- Rodzina Cathy nie...

- Nie. - Uciał Ryan. Zaczął sprzątać papiery z biurka. Robby pokręcił głową.

- Niektórzy tego nie rozumieją.

- Ano, wiesz jak to jest. Nie zamierzam więcej modlić się w Świątyni Wszechmocnego Dolara.

- Ale to, na czym ci zależało, dostałeś.

- Poniekąd masz rację - uśmiechnął się Jack.



- To mi o czymś przypomniało. Pewna niewielka firma spod Bostonu zrobi w najbliższym czasie kolosalny interes.

- Tak? - Jack nadstawił uszu.

- Nazywa się bodajże, Holoware, Ltd. Zaproponowali nowe oprogramowanie do komputerów pokładowych na myśliwcach. Naprawdę pierwszorzędne, skraca o jedną trzecią czas przetwarzania danych, problemy związane z wyznaczaniem kursu rozwiązuje w niemal magiczny sposób. Po próbach na symulatorze w Pax, Marynarka aż pali się do zakupu. Niebawem sprawa zostanie sfinalizowana.

- Kto o tym wie? Jackson roześmiał się.

- Nawet ta spółka jeszcze nie wie. Kapitan Stevens z Pax dostał cynk od chłopaków z Top Gun (Nazwa słynnej jednostki zajmującej się szkoleniem operacyjnym pilotów lotnictwa marynarki USA]. Bill May, z którym kiedyś latałem, natknął się na to oprogramowanie z miesiąc temu i tak mu się spodobało, że niemal zmusił gości z Pentagonu do skrócenia normalnej procedury zakupu i wyrażenia zgody na zawarcie kontraktu. Chwilowo sprawa utknęła w dowództwie marynarki, ale podobno admirał Rendall jest za. A to w końcu nie w kij dmuchał, zastępca dowódcy operacji morskich do spraw lotnictwa. Jeszcze miesiąc i ta mała spółka dostanie bombowy prezent pod choinkę. Spóźniony, bo spóźniony, ale na coś takiego warto poczekać. Zresztą, mniejsza z tym... Dziś rano zajrzałem do gazety i stwierdziłem, że ta spółka jest notowana na giełdzie. Może warto by się nią zainteresować.

- A ty sam niczego nie zamierzasz przedsięwziąć? Pilot pokręcił głową.

- Nie gram na giełdzie. Ale ty nadal bawisz się w te klocki, prawda?

- Trochę. Czy te informacje są utajnione, albo coś w tym rodzaju?

- Nic o tym nie wiem. Tajne jest samo to oprogramowanie, przy czym jego autorzy znaleźli doskonałą metodę utajnienia. Po prostu nikt tego nie może zrozumieć. Może Skip Tyler by się w tym połapał, ale ja na pewno nie. Piloci nie myślą w systemie cyfrowym. My jesteśmy jeszcze analogowi.

- Jackson roześmiał się. - Muszę iść. Sissy ma dziś występ.

- Dobranoc, Rob.

- Pamiętaj, Jack, nisko i powoli. - Robby wyszedł zamykając za sobą drzwi. Jack opadł na oparcie fotela i zamyślił się, uśmiechając się do siebie. Na koniec wstał i spakował do teczek przeznaczone do zabrania papiery.

- Tak - mruknął pod nosem. - Warto spróbować. Choćby po to, żeby mu pokazać, jakie to proste.

Włożył płaszcz i opuścił budynek. Alejką obok pomnika Preblea dotarł do Decatur Road, gdzie zostawił samochód. Jeździł pięcioletnim Volkswagenem Rabbitem. Był to wóz bardzo praktyczny na wąskich uliczkach Annapolis i Jackowi wcale nie zależało na bardziej okazałej maszynie w rodzaju Porsche, którym Cathy dojeżdżała do pracy w Baltimore. Tysiąc razy jej tłumaczył, że to głupota mieć trzy samochody. Trzy, bo był jeszcze kombi na rodzinne wyprawy. Głupota. Propozycję żony, by w takim razie sprzedał Rabbita i jeździł combi, uznał oczywiście za nie do przyjęcia.

Mały, benzynowy silnik Volkswagena zaskoczył po pierwszym ruchu kluczykiem. Pracował jednak zdecydowanie za głośno. Trzeba obejrzyć tłumik. Jack ruszył, kierując się jak zwykle ku Maryland Avenue, przez bramę numer 3 w murze z surowej cegły, otaczającym Akademię. Stojący przy bramie wartownik z piechoty morskiej zsalutował. Ryan był nieco zdziwiony, bo zdarzyło mu się to po raz pierwszy. Do tej pory salut przysługiwał tylko wykładowcom w czynnej służbie wojskowej.

Prowadzenie samochodu jedną ręką nie należało do przyjemności. Zmieniając biegi Ryan musiał przytrzymać kierownicę lewą dłonią, przezwyciężając przy tym opór krępującego ruchu temblaku.

Popołudniowy tłok na jezdni też nie ułatwiał mu zadania, zmuszając do częstego zwalniania i przystawiania. Oczywiście wymagało to dodatkowej pracy drążkiem zmiany biegów. Stojąc na światłach przed skrzyżowaniem z Central Avenue, Jack zastanawiał się, dlaczego nie kupił sobie Rabbita z automatyczną skrzynią biegów. Odpowiedź na to pytanie nie była trudna. Powodem była oszczędność paliwa. Ale czy to warto? Te głupie dwa litry na sto kilometrów więcej. Jack uśmiechnął się do siebie i skręcił w lewo, w kierunku zatoki Chesapeake, a następnie w Falcons Nest Road.

Była to spokojna, ślepa droga, kończąca się niedaleko domu Ryanów. Po prawej stronie znajdowały się podmiejskie farmy, zimą ciche i opuszczone. Puste pola zdobiły jedynie rzędy zeschniętych kikutów łodyg kukurydzy. Jack skręcił w lewo, w dróżkę prowadzącą do domu. Ryanowie zamieszkiwali trzydziestoakrową posiadłość na Peregrine Cliff. Od domu najbliższego sąsiada, inżyniera Arta Palmera, dzielił ją dobry kilometr. Zachodni brzeg zatoki Chesapeake tworzył na wysokości domu Ryanów piętnasto-metrowe urwisko z kruchego piaskowca. Bardziej na południe brzeg był jeszcze wyższy. Okolica słynęła jako raj dla paleontologów. U podnóża klifu niemal bez przerwy grzebały w ziemi grupy poszukiwaczy skamielin z miejscowego uniwersytetu lub muzeum historii naturalnej.

Lokalizacja domu miała niestety jeden poważny minus. Skalisty brzeg był podatny na erozję. Córka Jacka otrzymała kategoryczny zakaz zbliżania się do odległego o zaledwie czterdzieści metrów od domu skraju przepaści. Złamanie owego zakazu dwukrotnie okupiła laniem. Specjaliści ze stanowego Urzędu Ochrony Środowiska doradzili Jackowi i jego sąsiadom, by dla wzmocnienia krawędzi klifu posadzili kudzu, japońską odmianę dzikiej winorośli, której czepne pędy miały właściwość wiązania podłoża. Roślina rozpleniła się jednak ponad miarę i obecnie atakowała drzewa, rosnące nieopodal urwiska. Jack prowadził z nią prawdziwą wojnę, ale o tej porze roku nie był to najważniejszy problem.

Działkę Ryanów mniej więcej w połowie porastał las. Część przyległa do drogi - niegdyś pola uprawne - była płaska i naga. Bliżej domu zaczynały się drzewa, głównie dęby, obecnie bezlistne, wyciągające ciemne, sękate konary, sięgające w wieczorne niebo. Wjeżdżając na podjazd, Jack zauważył Porsche Cathy. Żona była już w domu. W garażu wystarczało miejsca tylko na dwa samochody, musiał więc zaparkować na podwórku.

- Tata! - Otworzyły się drzwi. Wybiegła z nich Sally w kapciach, bez płaszcza i rzuciła się witać ojca.

- Uciekaj do domu. Jest strasznie zimno.

- Wcale nie. - Sally zabrała Jackowi teczkę i trzymając ją oburącz poniosła w stronę wejścia. Sapiąc głośno, pokonała trzy schodki przed drzwiami.

Ryan zdjął płaszcz i powiesił go w szafie. Jak wszystko, nie było to łatwe przy użyciu jednej ręki. Zaczął już nawet troszkę oszukiwać i na przykład przy prowadzeniu samochodu, pomagać sobie lewą ręką. Ból całkowicie już ją opuścił, chociaż Jack nie miał wątpliwości, że powróci, jeśli zrobi coś głupiego.

Zastał żonę w kuchni. Ze zmarszczonym czołem zaglądała do spizarni.

- Cześć, skarbie.

- Cześć, Jack. Spóźniłeś się.

- Ty też. - Ryan pocałował żonę. Zmarszczyła nos, czując whiskey w jego oddechu.

- Co u Robby'ego?

- Wszystko w porządku i... wypiliśmy tylko dwa baaardzo słabiutkie drinki.

- Uhm. - Cathy wróciła do lustrowania spizarni. - Co chcesz na obiad?

- Niech to będzie niespodzianka - zaproponował Jack.
- Dziękuję za pomoc. Sam sobie powinieneś zrobić tę niespodziankę.
- Ale, jak niewątpliwie pamiętasz, to nie moja kolej.
- Powinnam była kupić coś gotowego - zrzędziła Cathy.
- Co w pracy?

- Miałam dziś tylko jeden zabieg. Pomagałam Berniemu przy przeszczepie rogówki, potem musiałam zrobić obchód leżących pacjentów. Nudy. Jutro powinno być lepiej. Bernie przesyła pozdrowienia. Co byś powiedział na fasolę z kiełbaskami?

Jack roześmiał się. Od powrotu z Anglii żywili się głównie bardzo tradycyjnie amerykańskimi potrawami. Dziś też już było za późno, żeby myśleć o czymś ciekawszym.

- W porządku. Przebiorę się i postukam parę minut na komputerze.
- Uważaj na rękę.

W kółko to samo. Uważaj na rękę. Nie ma to, jak ożenić się z lekarką! Jack westchnął i przez salon, obszerny, wysoki pokój o suficie podpartym jedną olbrzymią belką i z trzyczęściowymi szklanymi drzwiami prowadzącymi na obszerny taras z widokiem na zatokę, pomaszzerował do sypialni na półpiętrze. Przebrał się w domowe ubranie, przy okazji próbując drogą eksperymentów znaleźć optymalny sposób wykorzystania niesprawnej ręki.

Uporawszy się z rękawami, nogawkami i guzikami zszedł do położonego dwa poziomy niżej gabinetu-biblioteki. Było to obszerne pomieszczenie z oknem od strony zatoki. Jack zgromadził tu całkiem pokaźny księgozbiór. Dużo czytał, a poza tym zbierał książki, na które nie miał chwilowo czasu, obiecując sobie przeczytać je w przyszłości. Pod oknem, na dużym biurku stał komputer Apple z kompletem urządzeń peryferyjnych. Ryan uruchomił zasilanie i zaczął wystukiwać instrukcje. Następnie włączył modem i połączył się z CompuServe. O tej porze dnia nie było kłopotów z uzyskaniem połączenia. Wybrał z menu Micro Quote II i po chwili miał na ekranie monitora zestawienie notowań giełdowych Holoware, Ltd. za ostatnie trzy lata.

Krzywa cen akcji spółki nie przedstawiała się zbyt ciekawie. Z sześciu dolarów przed dwoma laty spadła do około dwóch. Widocznie firma dobrze się zapowiadała, ale z czasem udziałowcy stracili do niej zaufanie. Jack zapisał sobie te dane i przeszedł do innego programu, Disclosure II, aby rzucić okiem na notowania spółki w Komisji Papierów Wartościowych i ostatni raport roczny. Spółka miała czystą kartotekę i przyniosła zyski, choć niewielkie. Z firmami zajmującymi się wytwarzaniem produktów opartych na najnowocześniejszej technologii było zwykle tak, że ich akcjonariusze oczekiwali natychmiastowych wysokich zysków. W innym wypadku przenosili swoje aktywa gdzie indziej. Spółka Holoware zaryzykowała przyjęcie kursu na wąską specjalizację i teraz czekała na swoją wielką chwilę. Ryan obliczył w pamięci szacunkową wartość kontraktu z marynarką i porównał go z globalnym zyskiem osiąganym obecnie przez firmę.

- W porządku! - mruknął, wyszedł z systemu i wyłączył komputer. Następnie zadzwonił do swojego maklera. Ryan korzystał z usług firmy dyskontowo-maklerskiej, której pracownicy pełnili dyżur przez całą dobę. Jack załatwiał swoje interesy zawsze z tym samym człowiekiem.

- Cześć, Mort. Tu Jack. Co słyhać? Jak rodzina?

- Dobry wieczór, panie Ryan. Dziękuję. U nas wszystko w porządku. Czym możemy panu służyć?

- Pod Bostonem, przy autostradzie 128 ma swoją siedzibę spółka Holoware. Jedna z tych nowych firm komputerowych. Jest w AMEX-ie.

- Chwileczkę. - Ryan usłyszał klekot klawiszy komputera. No tak, wszyscy już używali komputerów. - Mam. Wchodzą na cztery i siedem ósmych, przy niewielkiej aktywności. Chociaż

ostatnio coś jakby się u nich ruszyło.

- Konkretnie? - Oto nowy interesujący trop, pomyślał Ryan.

- Już wiem. Powoli wykupują swoje akcje. Dyskretnie, ale systematycznie.

Bingo! Ryan uśmiechnął się do siebie. Dzięki Robby. To był cynk co się zowie! Zastanawiał się, czy wolno mu działać w oparciu o poufną informację zdobytą w nieformalny sposób. Uznał jednak, że o ile jego cynk trudno było nazwać oficjalną wiadomością, to decyzję kupna podejmuje przecież opierając się na ogólnodostępnych danych i własnym doświadczeniu giełdowym. Wszystko jest więc zgodne z prawem. Mógł robić co zechce.

- Jak sądzisz, ile ich akcji możesz dla mnie zdobyć?

- To nie są jakieś nadzwyczajne akcje...

- Czy często się myłę, Mort?

- Ile chce pan kupić?

- Przynajmniej dwadzieścia tysięcy. A jeśli można, to i więcej. Wszystkie, jakie uda ci się znaleźć.

Ryan mógł liczyć na zgarnięcie maksimum pięćdziesięciu tysięcy akcji, ale zdecydował brać ile się da. Jeśli straci - trudno. W końcu to tylko pieniądze. Dawno jednak nie miał tak wyraźnego przeczucia, że jest na właściwej drodze. Jeśli spółka zawrze kontrakt z marynarką, jej akcje podskoczą dziesięciokrotnie. Oni też musieli dostać jakiś cynk, bo inaczej nie skupowaliby przecież własnych obligacji. Musieli liczyć na gwałtowny wzrost kapitału firmy. Holoware stawiała na przyszłość i to stawiała dużo.

- Czy pan coś wie, Jack? - po chwili milczenia zapytał makler.

- Mam przeczucie.

- Dobrze... dwadzieścia tysięcy i więcej... Jutro do pana zadzwonię. Czy sądzi pan, że powinienem...

- Gram w ciemno, ale myślę, że mam niezłe karty.

- Dzięki. Jeszcze coś?

- Nie. Muszę iść na obiad. Dobranoc, Mort.

- Do zobaczenia. - Połączenie zostało przerwane. Rozmówca Jacka po chwili namysłu zdecydował, że też kupi tysiąc

akcji. Ryan czasem chybiał, ale kiedy trafiał, to w samą dziesiątkę.

- Boże Narodzenie - powtórzył cicho o'Donnell. - Doskonale.

- Przewożą Seana w Święta? - zdziwił się McKenney.

- O czwartej rano furgonetka z więźniem ma opuścić Londyn. To cholernie dobra wiadomość. Bałem się, że przetrzącą go helikopterem. Nic nie wiadomo na temat trasy... Ha! Ale chcą się przeprowadzić promem z Lymington o ósmej trzydzieści rano. Niezłe wybrali moment. To trzeba im przyznać. O tej porze na ulicach jest jeszcze pusto. Ludziska siedzą w domach i oglądają prezenty gwiazdkowe. Albo szykują się do kościoła. Ci w furgonetce mogą mieć nawet cały prom dla siebie... Kto spodziewałby się transportu w Boże Narodzenie?

- A więc decydujemy się na odbicie Seana?

- Michael, jaki pożytek z ludzi siedzących w więzieniu? Jutro rano polecimy do Anglii. Myślę, że przejedziemy się do Lymington i obejrzymy sobie ten prom.

Świąteczny dzień

- Jezus, jaka to będzie frajda znów mieć dwie ręce - westchnął Ryan.

- Jeszcze dwa tygodnie, może trzy - przypomniała mu Cathy. - I nie wyjmuj ręki z tego cholernego temblaka!

- Dobrze, kochanie.

Dochodziła druga nad ranem, a na nich czekało jeszcze mnóstwo pracy. Ale przynajmniej było wesoło. Stało się już rodzinną tradycją Ryanów, zaledwie trzyletnią, niemniej właśnie tradycją, że w noc Bożego Narodzenia, kiedy Sally spała już w swoim łóżeczku, jej rodzice zakradali się do schowka w suterenie, gdzie za zamkniętymi na kłódkę drzwiami ukryte były gwiazdkowe prezenty. Przenosili je do salonu i tam składali, nie żałując sobie przy tym szampana. Składanie zabawek po kilku butelkach okazało się nadzwyczaj interesującym i niepowtarzalnym przeżyciem. W ten sposób Ryanowie dostrajali się do świątecznej atmosfery.

Jak dotąd wszystko przebiegało zgodnie z planem. O siódmej Jack zabrał córkę na mszę do kościoła St. Mary's, a o dziesiątej mała poszła do łóżka i zasnęła, tuląc w ramionach pluszowego misia. Około północy spała na tyle twardo, że rodzice postanowili przystąpić do dzieła. Przerzut zabawek, jak wyraziła się Cathy, odbywał się z zachowaniem wszelkich środków ostrożności i celem uniknięcia zbędnych hałasów, na bosaka. Oczywiście pod drzwiami schowka okazało się, że Jack zapomniał klucza i musiał wrócić po niego do sypialni. Po chwili jednak drzwi zostały otwarte, a pięć minut później, po wykonaniu przez każde z nich czterech kursów, na podłodze obok choinki piętrzył się stos kolorowych paczek i pudełek. Jack przyniósł jeszcze swoją skrzynkę z narzędziami.

- Wiesz, jak brzmi najbardziej obsceniczne wyrażenie w języku angielskim? - zapytał Ryan żonę dwie godziny później,

- „Do samodzielnego montażu” - zachichotała. - Kochanie, mówiłeś mi już to w zeszłym roku.

- Mały gwiazdkowy. - Jack wyciągnął rękę. Cathy, ruchem wyćwiczonej instrumentariuszki, włożyła mu w dłoń śrubokręt. Siedzieli na dywanie koło choinki, obłożeni zabawkami. Niektóre były już zmontowane, inne w pudełkach. Jack składał właśnie domek dla lalek i wyglądało na to, że zaczyna brakować mu cierpliwości. Montowanie zabawek w stanie nieważkości nie było wcale trudne. Zrobienie tego jedną ręką, też nie przedstawiałoby problemu nie do pokonania. Ale jeśli miało się sprawną tylko jedną rękę i do tego miało się nieźle w czubie, sytuacja robiła się niewesoła. Zwłaszcza że instrukcja montażu ośmiozaworowego silnika byłaby chyba prostsza, niż ta dołączona do tego cholernego domku.

- Czemu nie pozwolisz mi tego zrobić?

- To robota dla mężczyzny - oznajmił Jack i odłożywszy śrubokręt pociągnął łyk szampana.

- Szowinistyczna świnią! Sam męczyłbyś się z tym do Wielkiej Nocy!

- A w ogóle, po co lalkom domy - zrzędził Jack. - Przecież i tak każda lalka jest w domu, czyż nie?

- Ciężki jest los szowinistycznej świni. Wy, chłopcy, po prostu jesteście ograniczeni. - Cathy ze współczuciem pokiwała głową. - Rzecz w tym, że nigdy nie wyrastacie z prostych, jednoczęściowych zabawek, w rodzaju kija baseballowego.

Jack odwrócił się powoli i spojrzał na żonę.

- Stanowczo odradzam ci picie następnego kieliszka wina.

- Jeden to moja tygodniowa norma. I jeden wypijałam. Że duży, to inna sprawa.

- A ja mam się upić resztą?

- To ty kupiłeś tę butelkę. Pewnie większych nie mieli, co?

Jack zignorował zaczepkę i wrócił do składania domku dla Barbie. Pamiętał czasy, kiedy te lalki po raz pierwszy pojawiły się na rynku. Ani mu wtedy przez myśl nie przeszło, że pewnego dnia będzie się nimi bawić jego córka. Rok temu, mimo iż obie ręce miał zdrowe, omal nie przebił sobie dłoni śrubokrętem, jeśli nie poproszę Cathy o pomoc, nim skończę, Święty Mikołaj będzie się szykował do przyszłorocznej podróży. Odetchnął i zdecydowany schować męską dumę do kieszeni,

odezwał się:

- Pomocy.

Cathy spojrzała na zegarek.

- Zajął ci to czterdzieści minut więcej, niż się spodziewałam.

- Widocznie mam opóźnione reakcje.

- Biedaczek, sam musi wypić taką dużą butlę szampana. - Cathy pocałowała męża w czoło. -

Dawaj ten śrubokręt.

Wzięła narzędzie i zerknęła na instrukcję.

- Nic dziwnego, że nie mogłeś sobie poradzić! Posługiwałeś się krótkim śrubokrętem, a tu potrzebny jest długi.

- Zdarza mi się zapomnieć, że poślubiłem wysokowyzkwalifikowanego mechanika.

- Nie wyczuwam w tej uwadze ducha wigilii - uśmiechnęła się Cathy, dokręcając kolejną śrubkę.

- Bardzo ładnego, mądrego, niezastąpionego i kochanego mechanika. - Jack pogłaskał żonę po karku.

- Tak już lepiej. Odrobinę.

- Czyż nie jestem najsprawniejszym z jednoręcznych?

Cathy spojrzała na Jacka z uśmiechem, jaki widzieć można tylko na twarzy żony zakochanej w swoim mężu.

- Podaj mi następną śrubkę, to ci przebaczę.

- Nie sądzisz, że najpierw powinnaś złożyć ten domek?

- Śrubka, do cholery! - Otrzymałszy śrubkę, Cathy powiedziała: - Zawsze ci tylko jedno w głowie. Ale i tak ci przebaczam.

- Dzięki. Gdyby to nie podziałało, mam jeszcze coś w rezerwie.

- O! Czyżby Święty Mikołaj wybierał się także do mnie?

- Jeszcze nie wiem. Postaram się dowiedzieć.

- Na szczęście tu niczego nie sknociłeś - zauważyła Cathy, kończąc przykręcać dach domku Barbie. - Gotowe, prawda?

- Tak. To była ostatnia śrubka. Dzięki za pomoc.

- Czy opowiadałam ci... nie, nie opowiadałam. Pewnego dnia któraś z dam dworu, prawdziwa hrabina, zupełnie jak z „Przeminęło z Wiatrem”, zapytała mnie, czy robiłam kiedyś zastrzyki.

- Mojej żonie nie zadaje się takich pytań. - Jack uśmiechnął się i mruknął - A ty jej odpowiedziałas...

- Owszem, ale tylko w gałkę oczną. - Na twarzy Cathy pojawił się słodki, perfidny uśmiech.

- O rany! Mam nadzieję, że nie rozmawialiście przy lunchu.

- No coś ty Jack! Wiesz, że taka nie jestem. Ona była całkiem sympatyczna i nieźle grała na fortepianie.

- Lepiej od ciebie?

- Nie - odparła Cathy z uśmiechem. Jack wyciągnął rękę i uszczypnął ją w nos.

- Tak. Caroline Ryan, doktor medycyny, kobieta wyzwolona, specjalistka chirurgii oka, słynna pianistka, żona i matka, nikomu nie pozwoli wciskać sobie kitu.

- Z wyjątkiem męża.

- Czy ostatnio udało mi się wygrać z tobą jakąś słowną utarczkę? Chyba nie.

- Jack, my ze sobą nie współzawodniczymy. My się kochamy. - Wyrzekłszy te słowa Cathy nadstawiła twarz do pocałunku.

- W tej materii nie zamierzam się z tobą spierać. - Jack pocałował żonę w usta. - Jak sądzisz, czy wielu ludzi z takim stażem małżeńskim jak nasz, jeszcze się kocha?

- Tylko ci, co mieli najwięcej szczęścia, stary pierniku. „Z takim stażem małżeńskim!” Też coś!

Jack raz jeszcze pocałował żonę i wstał. Ostrożnie stąpając między porzucanymi zabawkami, podszedł do choinki i wrócił z małą paczuszką owiniętą w zieloną bibułę. Usiadł obok Cathy i rzucił jej paczuszkę na kolana.

- Wesołych Świąt.

Rozpakowała ją spieszenie, z miną dziecka zagląającego pod choinkę, ale delikatnie, żeby nie podrzeć bibułki. Wewnątrz znalazła pudełko z białej tektury, a w nim drugie, oklejone safianem. Otworzyła je powoli.

Zawierało złoty naszyjnik szerokości około centymetra, zaprojektowany tak, by po zapięciu ciasno obejmował szyję. Jego waga i jakość wykonania mogły sporo powiedzieć o cenie. Cathy Ryan odetchnęła głęboko. Jej mąż zrobił to samo. Znajomość kobiecych gustów nie była jego najmocniejszą stroną. Wybierając naszyjnik korzystał z pomocy Sissy Jackson i pewnej bardzo ciepłej sprzedawczynie ze sklepu jubilerskiego. Spodobał się?

- Myślę, że nie będę w nim pływać.

- Ale nie musisz zdejmować go do sprzątnia. - Jack wyjął naszyjnik z pudełka i zapiął go na szyi żony. Udało mu się zatrasnąć zameczek za pierwszym razem.

- Widzę, że pomyślałeś o wszystkim. - Cathy przesunęła dłonią po szyi i zajrzała mężowi w oczy. - Ćwiczyłeś zapinanie, bo chciałeś założyć mi go własnoręcznie, prawda?

- Przez tydzień, w biurze - potwierdził Jack. - A ile się potem namordowałem z pakowaniem.

- Jest wspaniały. Och, Jack! - Objęła go, a on pocałował ją w szyję.

- Dziękuję, malutka. Za to, że jesteś moją żoną. I matką moich dzieci. I że mogę cię kochać.

Cathy zamrugnęła, a w jej oczach błysnęły łzy wzruszenia. Patrząc na to, Jack czuł się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

- Ot, akurat wpadł mi w oko - zełgał, siląc się na beztróskę. W rzeczywistości szukał tego naszyjnika przez dziewięć godzin, w siedmiu sklepach trzech różnych centrów handlowych. - Zobaczyłem go, a on mi powiedział: „zostałem zrobiony dla niej”.

- Jack, ale ja nie mam dla ciebie nic tak...

- Nie pleć. Co rano, kiedy budzę się i widzę cię śpiącą u mego boku, czuję się, jakbym dostał najcenniejszy prezent na świecie.

- Jesteś sentymentalnym pacanem, o jakich dziś czyta się tylko w książkach. Ale mnie to nie przeszkadza.

- Naprawdę ci się podoba? - zapytał ostrożnie.

- Ty głuptaku! Jest cudowny. - Cathy poparła te słowa kolejnym pocałunkiem.

Rodzice Jacka nie żyli od wielu lat. Jego siostra mieszkała w Seattle, pozostali krewni głównie w Chicago. Wszystko, co ukochał, było w tym domu nad urwiskiem, żona, córka i to nienarodzone maleństwo. Udało mu się sprawić, że jego żona omal nie popłakała się z radości. Czekwały ich radosne, spokojne święta. Teraz już był pewien, że miniony rok może uznać za swój sukces.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Ryanowie zaczęli składać domek dla lalek, z więzienia Brixton wyjechały w pięciominutowych odstępach cztery identyczne niebieskie furgonetki. Przez trzydzieści minut wszystkie miały krążyć po bocznych uliczkach przedmieścia Londynu. W każdej siedziało dwóch policjantów, którzy przez okienka w tyle wozów obserwowali jeźdźnię, wypatrując śledzących je pojazdów.

Dzień na tego rodzaju akcję wybrano nadzwyczaj szczęśliwie. Był typowy, angielski poranek i

furgonetki sunęły we mgle i zimnym deszczu. Od strony Kanału wiał silny wiatr, osiągając w porywach prędkość sztormu, a co najważniejsze, było ciemno. Do wschodu słońca pozostało jeszcze kilka godzin. W szarości poranka niebieskie pudła furgonetek były prawie niewidoczne.

Podjęto tak surowe środki ostrożności, że sierżant Bob Highland z C-13 nawet nie wiedział, iż jego wóz jako trzeci z kolei opuści więzienie. Nie wiedział też, że o metr od niego usiądzie Sean Miller, ani że ich celem będzie port w miasteczku Lymington. Na wyspę Wight można było się dostać promem z trzech portów, z każdego odmiennego rodzaju statkiem: zwykłym promem, poduszkowcem i wodolotem. Mogliby też polecieć śmigłowcem Royal Navy z Gosport, ale Highlandowi wystarczył rzut oka na zaciągnięte chmurami niebo, by wykluczyć tę możliwość. To nie byłby dobry pomysł, myślał. Poza tym, podjęto wszelkie środki ostrożności. O tym, że Miller zostanie przewieziony tego akurat ranka, wiedziało nie więcej niż trzydzieści osób. Sam Miller dowiedział się o przeprowadzce na trzy godziny przed wyjazdem i nadal nie miał pojęcia, jakie więzienie będzie jego domem. Zorientuje się dopiero na wyspie.

Brytyjski system penitencjarny od dłuższego czasu znajdował się w stanie pogłębiającego się kryzysu. Okazało się, że ze starszych więzień w rodzaju Dartmoor, leżącego w słabo zaludnionej części Kornwalii, skazani uciekają z zadziwiającą łatwością. Tak więc nowe zakłady o podwyższonym standardzie bezpieczeństwa, Albany i Parkhurst, zlokalizowano na wyspie Wight. Dawało to sporo korzyści. Wyspa, niejako z definicji, jest odcięta od świata, a przez to łatwiejsza do pilnowania. Zwłaszcza wyspa taka jak Wight, na której wylądować można tylko w czterech punktach wybrzeża. Co więcej, mieszkańcy wyspy stanowili zamkniętą społeczność, gdzie wszyscy znali wszystkich i każdy obcy bardzo rzucał się w oczy. Nowe więzienia zapewniały skazanym nieco lepsze warunki niż na stałym lądzie. Uciec z nich było jednak bardzo trudno, choć oczywiście nie ma więzienia, z którego ucieczka jest niemożliwa. Każdy centymetr muru obserwowały tam kamery telewizyjne, budynki naszpikowane były elektronicznymi urządzeniami alarmowymi, a strażnicy wyposażeni w broń maszynową.

Highland przeciągnął się i ziewnął. Jeśli dobrze pójdzie, po południu będzie z powrotem w domu i zdąży się nacieszyć świętami z rodziną.

- Nie widzę nic podejrzanego - odezwał się towarzyszący Highlandowi policjant, który z nosem przyklejonym do okienka w tylnych drzwiach furgonetki, obserwował ulicę za nimi. - Prawie pusto. Nikt za nami nie jedzie.

- I bardzo dobrze - mruknął sierżant. Odwrócił się i spojrzał na Millera.

Więzień siedział w głębi wozu, po lewej stronie. Ręce i nogi skute miał kajdankami, dodatkowo połączonymi krótkim łańcuchem. Przy niewielkiej pomocy mógł się poruszać w tempie raczkującego niemowlęcia, ale bez szans na dogonienie zdrowego dwulatka. Siedział bez ruchu, z zamkniętymi oczami, kołyszając się, kiedy pojazd skręcał lub podskakiwał na nierównościach jezdni. Wyglądał na pogrążonego we śnie, ale sierżant wiedział, że to nieprawda. Miller znów zamknął się w sobie, pogrążył się w swego rodzaju transie.

O czym pan myśli, panie Miller? Przez chwilę Highland bliski był zadania tego pytania. Zresztą miał szansę zadać mu je wcześniej. Przez kilka ostatnich tygodni niemal codziennie on i kilku innych detektywów zasiadali przy zniszczonym stole w więziennej rozmównicy naprzeciw tego młodego człowieka i próbowali wciągnąć go w rozmowę na jakikolwiek temat. Był twardy, to Highland musiał przyznać. Z jego ust padło tylko jedno zbędne słowo. Dokładnie dziewięć dni temu. Pewien strażnik więzienny wykorzystał wówczas rzekomą awarię kanalizacji w celi Millera jako pretekst, by przenieść go tymczasowo do innej, zamieszkałej przez dwóch ZPK-ów. Zwykli Porządni Kryminaliści, jak nazywali ich strażnicy, traktowani byli przez służbę więzienną z dużo większą



pobłażliwością, niż polityczni, którymi zajmował się C-13. Z dwójki w nowej celi Millera jeden siedział za serię wyjątkowo bezczelnych napadów rabunkowych, drugi za zabójstwo właściciela sklepu w Kensington. Obaj wiedzieli kim jest Miller, nienawidzili go i uważali, że powinien odpokutować za swoje zbrodnie, choć sami nie odczuwali wyrzutów sumienia. Kiedy zjawił się Highland, by zabrać Millera na kolejne bezowocne przesłuchanie, znalazł Irlandczyka leżącego na podłodze, ze spuszczoneymi spodniami i gwałconego przez jednego ze współwięźniów w tak brutalny sposób, że przez chwilę policjant współczuł terrorystę.

Na rozkaz Highlanda Zwykli Porządni Kryminaliści przerwali zabawę, a kiedy otworzono drzwi celi, sierżant osobiście pomógł wstać Millerowi i odprowadził go do ambulatorium. I tam właśnie Irlandczyk przemówił doń jak do człowieka. Z jego rozbitych, spuchniętych warg padło słowo: „Dziękuję.”

„Policjant ratuje terrorystę.” Ładnie by to wyglądało w nagłówkach gazet, myślał Highland. Strażnik, oczywiście, nie przyznał się do winy. No bo, widzi pan sierżancie, zepsuła się kanalizacja, a potem wezwali mnie gdzie indziej i nie słyszałem, co dzieje się w tym końcu oddziału. Nic a nic. Miller miał zmasakrowaną twarz i bez wątpienia przez kilka następnych dni nie musiał się zbytnio nateżać siedząc na sedesie. Highland szybko zapomniał o swoim dla niego współczuciu, ale złość na klawisza nie mijała. Był oburzony. Cierpiała głównie jego duma profesjonalisty. To, czego dopuścił się strażnik, było draństwem, wiodącym najkrótszą drogą z powrotem do koła, tortur i rozpalonych kleszczy. Prawo miało za zadanie nie tylko obronę społeczeństwa przed przestępstwami, lecz także, a może przede wszystkim, przed nim samym. Tę prawdę rozumieli jednak nawet nie wszyscy policjanci, a Highland pojął ją dopiero po wielu latach służby w oddziałach antyterrorystycznych. Niełatwo było się z nią pogodzić, kiedy widziało się skutki działalności terrorystów.

Twarz Millera nadal nosiła ślady tamtego pobicia, był jednak młody i szybko wracał do zdrowia. Tylko przez chwilę był ofiarą, skrzywdzonym człowiekiem. Teraz znów stał się zwierzęciem. Highland musiał się zmuszać, by widzieć w nim ludzką istotę, swego bliźniego. Jako profesjonalista, umiał się jednak na to zdobyć. Nawet wobec takich jak on. Policjant odwrócił się do okna w tyle wozu.

Podróż była wyjątkowo nudna, bez radia, bez możliwości rozmowy. Tylko obserwacja, o której z góry wiedzieli, że do niczego nie prowadzi. Sierżant żałował, że zamiast herbaty nie nalał do termosu kawy. Minęli -kolejno Woking, Aldershot i Farnham. Ich droga wiodła przez rolnicze rejony południowej Anglii. Przy szosie co chwila pojawiały się okazałe siedziby hodowców koni i znacznie skromniejsze domki ich pracowników. Gdyby nie ta pogoda, myślał Highland, mogłaby to być całkiem miła przejażdżka. Tym razem doliny zalegała gęsta mgła, deszcz bębnił o blaszany dach furgonetki, a jej kierowca zmuszony był do maksymalnej ostrożności, prowadząc wóz po wąskiej, krętej szosie, typowej dla wiejskich obszarów Anglii. Na szczęście ruch był niewielki. Highland widział od czasu do czasu światło nad drzwiami mijanego domu i to było w zasadzie wszystko, co przyciągało jego uwagę w zalanym deszczem krajobrazie.

Po godzinie furgonetka wjechała na autostradę M-27, omijającą Southampton, a następnie skręciła w lokalną szosę wiodącą do Lymington. Mijali budzące się do życia wioski. Przed piekarniami pojawiły się samochody dostawcze, ludzie śpieszyli na poranne nabożeństwo. Prawdziwy ruch miał się jednak zacząć po wschodzie słońca, czyli dopiero za dwie godziny. Pogoda jeszcze się pogorszyła. Już tylko kilka kilometrów dzieliło ich od wybrzeża. Prędkość wiatru wzrosła do ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Rozpraszał mgłę, ale jednocześnie chłostał lodowatym deszczem, kołysał furgonetką.

- Paskudna pogoda, jak na morską wycieczkę - odezwał się towarzysz Highlanda.

- To raptem pół godzinki na pokładzie - odparł sierżant. Nie zamierzał dodawać, że perspektywa tej pół godzinki przyprawiła go o skurcze żołądka. Bob Highland, jakkolwiek członek narodu żeglarzy, nienawidził morskich podróży.

- W taki dzień? Raczej godzina. - Policjant zaczął nucić „Rozkołysane morze”, a Highland już żałował, że przed wyjściem z domu zjadł duże śniadanie.

A co tam, pomyślał. Odstawimy Millera i do domu. Czekają mnie dwa dni wolnego. I, cholera, zasłużyłem sobie na nie.

Pół godziny później dotarli do Lymington.

Highland był tu już kiedyś i nieźle pamiętał miasteczko oraz przystań promową. Patrząc przez okno niewiele by zobaczył. Tu, na wybrzeżu, wiatr osiągał prędkość siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Centrum burzy znajdowało się na południowy wschód od miasta. Jediną pociechą był fakt, że trasa na wyspę Wight wiodła w znacznej części osłoniętymi wodami. Dla Highlanda była to jednak słaba pociecha.

Prom „Ceniąc” czekał na przystani, gotów do drogi. Przed godziną kapitan został zawiadomiony, że zabierze specjalnego pasażera. Wyjaśniało to obecność na pokładzie czwórki uzbrojonych policjantów. Rozlokowani w różnych punktach statku, starali się nie zwracać na siebie uwagi. Podobnie zresztą jak spora grupa pasażerów promu dźwigających podejrzenie wyglądające bagaże.

Dokładnie o 8.30 prom opuścił Lymington, biorąc kurs na Yarmouth. Highland z kolegą zostali w furgonetce. Kierowca z uzbrojonym konwojentem, który dotąd podróżował w szoferce, zajęli stanowiska obok wozu.

Jeszcze godzina, pomyślał Highland. Potem kilka minut na dowiezienie Millera do więzienia i spokojny powrót do Londynu. Mógłbym się tutaj nawet wyciągnąć i zdrzemnąć odrobinę. Na czwartą żona sierżanta szykowała świąteczny obiad. Lepiej jednak nie myśleć o jedzeniu.

„Ceniąc” płynął w poprzek cieśniny Solent, dzielącej wyspę Wight od stałego lądu. Jeśli tak wyglądają osłonięte wody przybrzeżne, myślał Highland, co dzieje się na pełnym morzu? „Ceniąc” nie był dużą jednostką i jako prom nie odznaczał się dzielnością statku oceanicznego. Na stosunkowo spokojnych wodach cieśniny przechyły boczne promu sięgały piętnastu stopni.

- Cholerny świat - mruknął do siebie Highland. Spojrzał na Millera. Zachowanie terrorysty nie uległo najmniejszej zmianie. Nieruchomy jak posąg, z głową opartą o ścianę furgonetki, z zamkniętymi oczami i dłońmi złożonymi na kolanach, przypominał pogrążonego w kontemplacji buddyjskiego mnicha. Sierżant postanowił pójść za jego przykładem. Nie było sensu się gapić przez tylne okno. Bo i po co. Highland zaparł się nogami o lewą ściankę wozu i przymknął oczy. Czytał gdzieś, że zamknięcie oczu jest skutecznym środkiem na dolegliwości choroby lokomocyjnej. Nie musiał martwić się o Millera. Jak zwykle w takich sytuacjach, policjant z eskorty nie miał broni, a klucze od kajdanek spoczywały w kieszeni kierowcy. Z zamkniętymi oczami czuł się trochę lepiej. Jego zmysłu równowagi nie drażnił widok chybocącej się podłogi i ścian furgonetki. Żołądek nie przestał informować go

o swoim niezadowoleniu z aktualnej sytuacji, ale czynił to niezbyt natarczywie. Highland miał nadzieję, że kiedy wypłyną na środek cieśniny, nie będzie gorzej.

Chwilę później powietrze rozdarł odgłos wystrzałów z broni maszynowej. Sierżant wyprostował się gwałtownie. Słyszał krzyki kobiet i dzieci, krótkie, ochryplym męskim głosem wydawane komendy. Gdzieś w pobliżu zaczął trąbić klakson samochodu. Ponownie rozległy się strzały. Highland rozpoznał krótkie szczeknięcia policyjnego pistoletu, zagłuszone natychmiast głośniejszym staccato pistoletu maszynowego. Wymiana ognia trwała nie dłużej niż minutę. Syrena okrętowa „Cenlacu” wybuchła nagle serią krótkich, rozdierających sygnałów. Po kilku sekundach

umilkła, słychać było tylko klakson samochodu. Krzyki pasażerów przycichły. Jeszcze kilka serii z pistoletu maszynowego, a potem cisza. Dla Highlanda bardziej przerażająca, niż wcześniejszy hałas. Spojrzał w okno, lecz za nim były tylko samochody, a dalej ciemna otchłań morza. Wiedział jednak, czego się spodziewać. Jego dłoń odruchowo powędrowała pod kurtkę do kabury. Pustej.

Skąd się dowiedzieli? Skąd te sukinsyny wiedziały, że tu będziemy? Usłyszał krzyki, rozkazy rzucające nie znoszącym sprzeciwu tonem i jego dłonie same zacisnęły się w pięści. Obejrzał się na Millera. Terrorysta miał otwarte oczy i przyglądał mu się obojętnym wzrokiem.

Sierżant wolałby na tej twarzy zobaczyć okrutny uśmiech, niż tę bezlitosną pustkę.

Drzwiami furgonetki wstrząsnęło uderzenie czyjejś dłoni.

- Otwierać te pieprzone drzwi, albo je wysadzimy!

- Co robimy? - wykrztusił towarzysz Highlanda.

- Otwieramy.

- Ale...

- Ale co? Chcesz zaczekać aż przystawię lufę pistoletu do głowy jakiegoś dziecka? Wygrali. - Highland przekręcił klamkę. Drzwi, szarpnięte z zewnątrz, otwały się gwałtownie.

Stało za nimi trzech mężczyzn w narciarskich goglach na twarzach. W dłoniach trzymali pistolety maszynowe.

- Rzućcie broń - powiedział najwyższy z nich. Highland nie zdziwił się specjalnie, słysząc irlandzki akcent.

- Obaj jesteśmy nieuzbrojeni - odparł i podniósł ręce.

- Wysiadać. Po kolei. I twarzą na pokład. - Mówiący te słowa nie silił się nawet na groźny ton.

Highland wyszedł z furgonetki i ukląkł. Kopniak w plecy powalił go na twarz. Drugi policjant wylądował obok niego.

- Cześć, Sean - rozległo się nad ich głowami. - Już myślałeś, żeśmy o tobie zapomnieli, co?

Miller nadal milczał. Sierżant był zdumiony jego powściągliwością. Słyszał brzęk łańcuchów, kiedy tamten gramolił się z wozu. Widział buty stojącego przy drzwiczkach mężczyzny, który prawdopodobnie pomagał więźniowi.

Kierowca pewnie nie żyje, pomyślał. Napastnicy mieli jego klucze. Rozpięte kajdanki uderzyły o pokład. Miller rozcierał przeguby rąk, a na jego twarzy nareszcie odbiło się coś na kształt uczucia. Z uśmiechem rozejrzał się po pokładzie, a następnie opuścił wzrok na sierżanta.

Ten uznał, że nie ma sensu przyglądać się uwolnionemu terrorystyce. Z miejsca, gdzie leżał, widział co najmniej trzy trupy. Któryś z ubranych na czarno bandytów podniósł z kierownicy głowę zabitego kierowcy i klakson umilkł. Kilka metrów od furgonetki leżał jakiś mężczyzna, trzymając się za okrwawiony brzuch. Jęczał, a kobieta, prawdopodobnie jego żona, próbowała go uspokoić. Reszta pasażerów z rękami na karkach leżała w małych grupkach na pokładzie, pilnowana przez uzbrojonych terrorystów. Napastnicy byli spokojni, z ich ust nie padło ani jedno zbędne słowo. Fachowcy, pomyślał Highland. Gorzej było z pasażerami. Dzieci płakały, a ich opiekunowie musieli wykrzesać z siebie dość odwagi, by choć spróbować je ochronić. Samotni byli w lepszej sytuacji, ale i tak kilku z nich skamlało z przerażenia.

- Nazywasz się Robert Highland - spokojnie stwierdził wysoki terrorysta. - Sierżant Highland ze słynnego C-13. Zgadza się?

- Tak - odparł policjant. Wiedział, że za chwilę umrze. To straszne, umierać w Boże Narodzenie, ale nie miał już nic do stracenia. Nie będzie więc błagał o litość. - A wy, kim jesteście?

- Przyjaciółmi Seana, naturalnie. Myślałeś, że zostawimy go na pastwę takich jak ty? - Mimo plebejskiego akcentu, wysoki mówił jak człowiek wykształcony. - Masz coś do powiedzenia?

Highland chciałby coś powiedzieć, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Jego przekleństwa tylko by ich rozbawiły. Nagle zdał sobie sprawę, że zaczyna lepiej rozumieć Millera. Wstrząs wywołany tym odkryciem dotarł nawet do jego przytłumionej strachem świadomości. Już wiedział, dlaczego Miller nie chciał mówić. Co za bzdury chodzą człowiekowi po głowie w takiej chwili? Wszystko to było niemal śmieszne, ale przede wszystkim obrzydliwe.

- Róbcie swoje i idźcie do diabła.

Highland widział tylko oczy wysokiego terrorysty. Jeśli mógłby zaznać jakiejś satysfakcji obserwując wyraz jego twarzy, to został jej pozbawiony. Rozzłościło go to. Pewny śmierci, wściekał się o takie głupstwo. Czyż to nie absurdalne? Wysoki wyjął z kabury u pasa pistolet i podał go Millerowi.

- Ten jest twój, Sean.

Miller ujął broń lewą ręką i po raz ostatni spojrział na policjanta. Takim wzrokiem ten mały skurwiel mógłby patrzeć na królika, pomyślał sierżant.

- Powinienem być cię zostawić w tamtej celi - powiedział głosem całkowicie wypranym z emocji.

Miller, z pistoletem u biodra, zastanawiał się przez chwilę, szukając właściwej riposty. Przypomniał mu się cytat ze Stalina. Uniósł broń.

- Wdzięczność, panie Highland, jest przypadłością psów. I strzelił dwukrotnie, z odległości trzech metrów.

- Zbierajmy się - powiedział o'Donnell. Na pokład samochodowy wbiegł kolejny mężczyzna w czarnym kombinezonie. Zbliżył się do dowódcy.

- Już jest. Podpływa od rufy.

- Spokojnie, chłopcy.

- Kim wy, do cholery, jesteście? - odezwał się nagle leżący u ich stóp policjant.

W odpowiedzi o'Donnell przeciągnął po nim krótką serią z pistoletu maszynowego, naprawiając tym samym przeoczenie podwładnych. Znów rozległ się chóralny krzyk trwogi zgromadzonych na pokładzie pasażerów, lecz szybko utonął w zawroźdzeniu wichury. o'Donnell wyjął spod swetra gwizdek i dał sygnał do zbiórki. Napastnicy zgrupowali się wokół dowódcy. Było ich siedmiu, a z Seanem ośmiu. Działali jak zawodowcy, z satysfakcją zauważył o'Donnell. Stali zwartą grupą zwróceniu na zewnątrz i z bronią w pogotowiu, na wypadek gdyby któremuś z wystraszonych cywilów przyszło do głowy uczynić coś nierozważnego. Kapitan promu został na pomoście, kilkanaście metrów z tyłu, najpewniej rozmyślając o czekającej go przeprawie: prowadzeniu w sztormie jednostki pozbawionej napędu. Terrorysty uszkodzili oba silniki statku. o'Donnell rozważał celowość zabicia wszystkich obecnych na pokładzie i zatopienia promu, ale uznał, że byłoby to posunięcie bezproduktywne. Lepiej niech ci, co przeżyją, rozniosą wieść o jego zwycięstwie.

- Gotowe! - rozległ się okrzyk od rufy.

Jeden po drugim terrorysty przechodzili na tył statku. Fale osiągały już wysokość ponad dwóch metrów. Na otwartym morzu, za przylądkiem Scone, było pewnie jeszcze gorzej. o'Donnell musiał jednak zaryzykować i godził się na to dużo łatwiej, niż kapitan „Ceniąca”.

- Ruszać! - rozkazał.

Pierwszy mężczyzna skoczył do dziesięciometrowego pontonu typu Zodiac. Operując dwoma przyczepnymi silnikami, sternik łodzi był w stanie utrzymać ją w stałej odległości od burty promu. Członkowie oddziału ćwiczyli skoki do łodzi na płytkiej wodzie, więc choć dziś fale były bez porównania wyższe, operacja opuszczania statku przebiegła gładko i trwała nie więcej niż minutę. Jako ostatni zeszli o'Donnell i Miller. W chwili, gdy ich stopy dotknęły gumowego pokładu, oba

silniki ryknęły pełną mocą i Zodiak wynurzył się zza osłony promu, by wziąć kurs na południowy zachód, ku kanałowi La Manche. o'Donnell obejrzał się. Z pokładu statku obserwowała ich grupka może sześciu osób. Dowódca ULA pomachał im na pożegnanie.

- Cieszę się, że znów jesteś z nami, Sean - zawołał do towarzysza.

- Nic im nie powiedziałem - odparł Miller.

- Wiem. - o'Donnell podał Seanowi butelkę whiskey. Ten podniósł ją do ust i pociągnął niewielki łyk. Już zapomniał, jak to smakuje. Zwłaszcza w taki dzień jak ten.

Pchany parą stukonnych silników Zodiak sunął po grzbietach fal niczym poduszkowiec. Sternik zajmował stanowisko na „śródkręciu”. Stał na ugiętych nogach, kołysząc się w rytm ruchów łodzi i wprawną ręką prowadził ją przez deszcz i wiatr w kierunku miejsca spotkania. Flota trawlerów o'Donnella dostarczyła organizacji doświadczonych żeglarzy. Nie po raz pierwszy korzystano też z ich usług. Jeden z członków grupy szturmowej rozdał kamizelki ratunkowe. Gdyby jakimś nieprawdopodobnym trafem ktoś ich teraz zobaczył, myślałby pewnie, że ma do czynienia z trenującym w świąteczny poranek oddziałem Special Boat Service, komandosów-płetwonurków Królewskiej Marynarki. o'Donnell zawsze drobiazgowo planował swoje akcje, uwzględniając nawet tak drugorzędne szczegóły. Broń zapakowano do plastikowych worków, aby uchronić ją przed korodującym wpływem morskiej wody.

- Pieprzone pedały! - warknął Miller. Dobrze było znów móc mówić.

- O co chodzi? - zapytał o'Donnell, przekrzykując ryk silników. Miller w kilku słowach opisał mu zajście z więzienia. Był pewien, że wszystko to było zainspirowane przez Highlanda z myślą o zmiękczeniu go, obudzeniu wdzięczności wobec policjanta. Dlatego właśnie obie kule posłał w brzuch sierżanta. Nie chciał, żeby umarł zbyt szybko. O tym jednak Miller nie powiedział swemu szefowi. Takie zachowanie było nieprofesjonalne. A tego Kevin nie tolerował.

- Gdzie jest ten skurwiel Ryan? - spytał Sean.

- W Ameryce. - o'Donnell spojrział na zegarek i odjął w myślach sześć godzin. - Prawdopodobnie śpi spokojnie w swoim łóżku.

- Cofnął nas o rok - warknął Miller. - O cały cholerny rok.

- Spodziewałem się, że to właśnie powiesz, Sean. Zostawmy tę sprawę na później.

Miller skinął głową i ponownie napił się whiskey z butelki.

- Dokąd teraz?

- Gdzieś, gdzie jest cieplej.

„Ceniąc” dryfował z wiatrem. Natychmiast po opuszczeniu statku przez terrorystów, kapitan wysłał załogę pod pokład na poszukiwanie bomb. Niczego nie znaleziono, ale to oczywiście nie znaczyło, że ich tam nie ma. Nietrudno ukryć coś na statku. Główny mechanik ze swoim pomocnikiem próbowali zreperować jeden z diesli promu, a tymczasem trójka marynarzy pokładowych zajęła się przygotowywaniem dryfkotwy, która wyrzucona z rufy ustawiła statek pod wiatr. Wiatr znosił ich w kierunku lądu. Dzięki temu dryfowali po względnie spokojnych wodach, ale w taką pogodę zetknięcie się z przybrzeżnymi skałami oznaczało śmierć dla wszystkich na pokładzie. Kapitan zastanawiał się nad spuszczeniem łodzi ratunkowej, ale i to nie gwarantowało ludziom bezpieczeństwa. Gorączkowo szukał sposobu ratowania statku.

Stał w pustej sterówce, spoglądając na zniszczoną radiostację. Mając sprawne radio mógłby wezwać pomoc, holownik, jakiś statek handlowy, jakąkolwiek jednostkę, która podałaby im hol i bezpiecznie odprowadziła do portu. Wszystkie trzy nadajniki były jednak doszczętnie zniszczone. Wystrzelono w nie cały magazynek z peemu.

- Dlaczego te bydlaki zostawiły nas przy życiu? - dręczony bezsilnym gniewem pytał sam siebie

kapitan. W drzwiach sterówki pojawił się mechanik.

- Nic z tego. Nie mogę go naprawić. Po prostu nie mam odpowiednich narzędzi. Te sukinsyny dobrze wiedziały, co zepsuć.

- Tak, wiedzieli, co robią - zgodził się kapitan.

- Powinniśmy już być w Yarmouth. Może...

- Przypiszą spóźnienie pogodzie. Nim ruszą palcem, wylądujemy na skałach. - Kapitan otworzył szafkę i wyjął z niej raketnicę oraz pudełko naboji. - Strzelać w dwuminutowych odstępach. Idę teraz do pasażerów. Jeśli nic się nie zdarzy w ciągu najbliższych czterdziestu minut, spuszczaamy łodzie.

- Ranni nie przeżyją transportu...

- Jeśli zostaniemy na statku, to nikt nie przeżyje - uciał kapitan. Odwrócił się i zszedł pod pokład.

Okazało się, że jeden z pasażerów jest weterynarzem. Teraz musiał się zająć piątką rannych ludzi. Pomagał mu jeden z członków załogi. Na pokładzie samochodowym było mokro, wiał wiatr, zacinając lodowatym deszczem. Przechyliły promy dochodziły do dwudziestu stopni. Któryś z marynarzy próbował zasłonić brezentową płachtą wybite okno. Kapitan przyglądał się przez chwilę jego wysiłkom i widząc, że prawdopodobnie sobie poradzi, podszedł do rannych.

- Co z nimi?

Weterynarz podniósł głowę i udręczonym wzrokiem spojrział na kapitana. Jeden z jego pacjentów właśnie umierał, pozostali czterej...

- Niedługo będziemy musieli przenieść ich do łodzi ratunkowych.

- To ich zabije. Ja...

- Radio - przez zaciśnięte zęby stęknął któryś z rannych.

- Proszę leżeć spokojnie - odrzekł lekarz.

- Radio... - upierał się tamten. Przyciskał dłońmi bandaż do brzucha i z całych sił starał się hamować krzyk bólu.

- Zniszczyli je, sukinsyny - powiedział kapitan. - Przykro mi, ale nie mamy radia.

- Furgonetka... radio w furgonetce, cholera!

- Co?

- Policyjna furgonetka... - szepnął Highland. - Transport więźnia... radio...

- Rany boskie! - Kapitan odszukał wzrokiem policyjny samochód. Nadajnik mógł nie funkcjonować we wnętrzu statku. Pobiegł do sterówki wydać odpowiednie rozkazy mechanikowi.

Dalej poszło już łatwo. Mechanik wymontował z furgonetki radiotelefon VHF i podłączył go do jednej z anten promy. Pięć minut później kapitan mógł skontaktować się z najbliższym posterunkiem policji.

- Kto mówi? - zaskrzeczało w słuchawce.

- Tu „Ceniąc”. Słuchajcie, do cholery, nasza radiostacja jest nieczynna, dryfujemy bez silników, trzy mile na południe od Lisie Court. Potrzebujemy natychmiastowej pomocy!

- Dobrze. Proszę czekać. - Sierżant dyżurny posterunku w Lymington nie po raz pierwszy miał do czynienia z taką sytuacją. Sięgnął po słuchawkę, w spisie telefonów alarmowych odnalazł właściwy numer. Dwie minuty później ponownie łączył się z promem.

- Płynie już w waszą stronę holownik. Potwierdźcie pozycję trzy mile na południe od Lisle Court.

- Zgadza się, ale dryfujemy na północny wschód. Radar mamy sprawny. Możemy poprowadzić holownik. Tylko, na miłość boską, niech się pośpieszą! Mamy rannych na pokładzie.

- Co? - nagle niespokojnym głosem zawołał sierżant. - Powtórzcie... Powtórzcie ostatnie zdanie.

Kapitan w kilku słowach opisał sytuację na statku. Policjant niezwłocznie skontaktował się ze swoim przełożonym, a następnie zawiadomił miejscowego komendanta. Ten zaalarmował Londyn. Piętnaście minut później, z bazy Royal Navy w Gosport wystartował ratunkowy Sea King. Wylądował w Portsmouth, aby zabrać lekarza marynarki i sanitariusza z zespołu ratownictwa, a następnie ruszył naprzeciw burzy. Znalezienie promu zajęło pilotowi dwadzieścia minut walki z porywistym wiatrem i przeszukiwania radarem powierzchni morza. Była to jednak ta łatwiejsza część operacji.

Ustawwszy śmigłowiec nad promem, pilot musiał utrzymywać prędkość ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, aby zrównoważyć siłę wiatru. A ten zmieniał co kilka sekund zarówno siłę jak i kierunek, przy czym różnice te dochodziły do kilku stopni w kierunku i nawet dwudziestu kilometrów na godzinę. W rezultacie helikopter wykonywał nad statkiem ruchy przypominające wahadło. W przedziale transportowym mechanik na początek obwiązał liną ratunkową lekarza. Ustawił go w otwartych drzwiach i przez interkom dał sygnał do zejścia. Szczęściem cel był stosunkowo duży. Marynarze czekający na górnym pokładzie promu odebrali lekarza. Nigdy tego nie robili, ale załogę śmigłowca stanowili doświadczeni ratownicy. Do wysokości trzech metrów wiszący na linie mężczyzna opadał bardzo szybko. Ostatnie metry pokonał wolniej, by na koniec łagodnie wylądować na rozhuśtanym pokładzie. Jako następny opuszczał się sanitariusz, klnąc po drodze swój los i złośliwość żywiołów. On też wylądował szczęśliwie. Chwilę później śmigłowiec wystrzelił w niebo, oddalając się na bezpieczną odległość od statku.

- Porucznik Dilk, jestem chirurgiem - przedstawił się lekarz.

- Witam, doktorze. Obawiam się, że moje doświadczenie w leczeniu koni nie na wiele się przydało - odparł pośpiesznie weterynarz. - Mam tu jednego rannego w kłatkę piersiową, z zapadnięciem płuca, trzech z postrzałami brzucha. Jeden z rannych zmarł... Robiłem co mogłem, ale... Przekłęci mordercy!

Dźwięk syreny obwieścił przybycie holownika. Porucznik Dilk nawet nie podniósł głowy, by zobaczyć, jak marynarze z promu pod nadzorem kapitana odbierają rzutkę i wciągają na dziób linę holowniczą. Pracując ramię w ramię lekarze zaaplikowali rannym morfinę i przystąpili do stabilizowania ich stanu.

Helikopter odleciał na południowy zachód, wezwany do uczestnictwa w drugim tego dnia zadaniu, tym razem zupełnie odmiennej natury. Z bazy w Gosport startował właśnie drugi śmigłowiec, z uzbrojonymi żołnierzami na pokładzie. Ten pierwszy tymczasem przeszukiwał obszar na zachód od cieśniny Solent, wypatrując dziesięciometrowego pontonu typu Zodiak. Rozkazy z ministerstwa spraw wewnętrznych nadeszły z rekordową szybkością i były to rozkazy, do wykonania których ludzie w mundurach, stanowiący załogę śmigłowców zostali wyszkoleni i wyposażeni: „Zlokalizować i zniszczyć”.

- Nie możemy liczyć na radar - zauważył drugi pilot.

Dowódca skinieniem głowy potwierdził obserwację swego zastępcy. W pogodny dzień mieliby spore szansę znalezienia łodzi przy użyciu radaru. Dziś jednak odbicia powstające na wzburzonej powierzchni wody i rozpylona w powietrzu woda czyniły go bezużytecznym.

- Nie mogli odpłynąć zbyt daleko, a widoczność z góry nie jest najgorsza. Przeszukamy kwadrat po kwadracie i znajdziemy sukinsynów.

- Skąd zaczynamy?

- Polecimy od przylądka Needles w kierunku zatoki Christ-church. Później, w razie potrzeby, przesuniemy się dalej na zachód. Namierzemy drani, zanim dotrą do lądu i naprowadzimy na nich piechociarzy. Słyszałeś rozkazy.

- Jak najbardziej. - Drugi pilot zajął się opracowywaniem wzoru poszukiwań, korzystając z urządzeń nawigacji taktycznej. Półtorej godziny później stało się jasne, że szukają nie tam, gdzie trzeba. Zaskoczeni i źli piloci obu helikopterów skierowali maszyny w stronę Gosport. W baraku mieszczącym salę odpraw, na pilota pierwszego Sea Kinga czekali dwaj wysocy oficerowie policji.

- A więc?

- Przeszukaliśmy cały obszar między Needles a zatoką Poole... Niczego nie mogliśmy przeoczyć.

- Pilot zaznaczył swój kurs na mapie. - Przy takiej pogodzie Zodiak może wyciągnąć ze dwadzieścia węzłów, nie więcej i tylko z bardzo doświadczoną załogą. Nie mieli prawie czasu umknąć. - Pilot wypił łyk gorącej herbaty i patrząc wciąż na mapę, pokręcił głową. - W żaden sposób nie mogliśmy ich przegapić! Przy dwóch maszynach w powietrzu?

- A jeśli popłynęli na pełne morze, na południe?

- Ale dokąd? Nawet jeśli mieli dość paliwa, by przepłynąć na drugą stronę kanału, tylko wariat próbowałby czegoś takiego. Na otwartym morzu fale dochodzą do sześciu metrów, a wiatr nadal przybiera na sile. To byłoby samobójstwo.

- Cóż, wariatami to oni nie są, tego możemy być pewni. Czy nie jest możliwe, że jakoś wam się wymknęli i zdążyli wylądować?

- Nie mieli szans. Nie. - W głosie lotnika dźwięczała absolutna pewność siebie.

- W takim razie gdzie się, do diabła, podzieli?

- Przykro mi, sir, ale nie mam pojęcia. Może utonęli?

- Wierzy pan w to?

- Nie.

Owens odwrócił się i spojrzał w okno. Pilot miał rację, sztorm przybierał na sile. Zadzwoił telefon.

- Do pana. - Podoficer wręczył Owensowi słuchawkę.

- Tu Owens. Tak? - Podczas rozmowy wyraz twarzy komendanta oscylował między smutkiem a wściekłością. - Dziękuję. Proszę nas informować. - Owens odłożył słuchawkę. - To ze szpitala. Zmarł kolejny ranny. Sierżant Highland przechodzi właśnie operację. Jedna z kul utkwiła mu w kręgosłupie. W sumie mamy już dziewięciu zabitych. Panowie, czy możecie nam coś doradzić? Cokolwiek. W tej sytuacji gotów jestem skorzystać z pomocy choćby cygańskiej wróżki.

- Może za Needles skręcili na południe, potem na wschód i wylądowali na wyspie Wight?

Owens pokręcił głową.

- Mamy tam ludzi. Nikogo nie widzieli.

- W takim razie może spotkali się z jakimś statkiem? Na kanale jest zwykle spory ruch.

- Jak to sprawdzić?

- Nie widzę takiego sposobu. W cieśninie Dover jest radar kontroli ruchu statków, ale tu nie. Nie możemy przecież wejść na pokład każdej jednostki, prawda?

- A więc dobrze. Dziękuję, panowie, za wasz trud, zwłaszcza za szybkie przerzucenie lekarza. To była ładna akcja i ocaliła życie kilku ludziom. - Owens opuścił salę odpraw. Piloci pełni byli podziwu dla jego opanowania. Przed barakiem policjant uniósł wzrok ku ołowianemu niebu i klął bezgłośnie dziwkę-fortunę i swojego pecha. W sumie był zbyt zmęczony, by dać upust trawiącej go furii. Należał do ludzi, którym skrywanie uczuć przychodziło z łatwością. Zawsze powtarzał swoim podwładnym, że w policyjnej robocie nie ma miejsca na emocje. Oczywiście nie było to prawdą i jak wielu rasowych gliniarzy, Owens po prostu nauczył się osłaniać swój gniew maską obojętności. Za taką postawę płaciło się własnym zdrowiem. Lekarstwo na nadkwasotę, które Owens zawsze nosił w kieszeni płaszczka nie znalazło się tam przypadkowo. Jego żona nauczyła się znosić jego



depresje, okresy ponurego milczenia, następujące po chwilach szczególnego napięcia. Sięgnął do kieszeni, w której powinny być papierosy, ale okazała się pusta.

- Jak ci się udało rzucić palenie, Jimmy? - mruknął do siebie. Stał przez chwilę na pustym parkingu, jakby czekając aż zimny deszcz ostudzi jego wściekłość. Zyskał jednak tylko tyle że zaczął się trząść z zimna, a nie mógł sobie teraz pozwolić na przeziębienie. Musiał zrelacjonować przebieg wydarzeń szefowi, potem ministrowi spraw wewnętrznych. Ktoś, dzięki Bogu już nie on, będzie też musiał zawiadomić dwór.

Dopiero teraz zaczynał dostrzegać ogrom swojej klęski. Przegrał. Przegrał z nimi dwukrotnie. Nie udało mu się zapobiec zamachowi na The Mali. Tylko Ryanowi i niebывалemu szczęściu zawdzięczał, że tamten dzień nie skończył się katastrofą. Teraz, kiedy wszystko zdawało się zmierzać w dobrym kierunku, znowu poniósł porażkę. Coś takiego zdarzyło mu się po raz pierwszy. Niemniej to on ponosił odpowiedzialność za wszystko, co się stało. Osobiście opracował plan transportu. Określił środki bezpieczeństwa. Wybrał dzień. Trasę. Wybrał ludzi. I wszyscy, z wyjątkiem Boba Highlanda już nie żyli.

Jak oni się dowiedzieli? Znali czas, miejsce. Skąd? Przynajmniej wiadomo, czego szukać. Owens dokładnie wiedział, kto miał dostęp do informacji o transporcie. Gdzieś musiał być przeciek. Przypomniał sobie raport Ashleya, który tamten złożył po powrocie z Dublina. „Nie uwierzylibyście, jak cennymi dysponują informacjami”. Tak ten bandyta z PIRA wyraził się o szpiegach O'Donnella. Murphy mylił się. Teraz wszyscy w to uwierzą.

- Wracamy do Londynu - rzucił Owens kierowcy.

- To był prawdziwie świąteczny dzień, Jack - stwierdził rozparty na kanapie Robby.

- Tak. Miło było - zgodził się Ryan. Chociaż dom wygląda jak po bombardowaniu, dodał w myśli.

Na podłodze Sally bawiła się nowymi zabawkami. Jack z przyjemnością zauważył, że najbardziej podoba jej się domek dla lalek. Mała była już senna, jako że tego ranka zrobiła rodzicom pobudkę o siódmej. Jack i Cathy też ledwie trzymali się na nogach, spali wszystkiego pięć godzin. Mając na uwadze stan Cathy, sprzątanina po obiedzie podjęli się panowie. Obecnie naczynia myły się w zmywarce, a oni zasiedli w salonie z kieliszkami brandy. Na drugiej kanapie ich żony zabawiały się rozmową.

- Nie latasz jutro? Jackson pokręcił głową.

- Samolot leży w hangarze brzuchem do góry i z wymontowanymi wnętrznościami. Będą go składać co najmniej tydzień. A poza tym, co to za święta bez dobrej brandy? Jutro poćwiczę na symulatorze, a przed tym regulamin nie zabrania mi picia alkoholu. Zresztą, zaczynam nie wcześniej jak o trzeciej. Do tej pory będę trzeźwy jak niemowlę. - Mimo tych deklaracji Robby wypił do obiadu tylko jeden kieliszek wina, a teraz ograniczył się do jednej lampki Hennessy.

- Jezu! Muszę się chwilę położyć. - Jack wstał z kanapy i pociągnął przyjaciela w stronę schodów.

- Do której siedzieliście w nocy?

- Zdaje się, że położyliśmy się trochę po drugiej.

Robby obejrzał się, sprawdzając czy Sally znajduje się poza zasięgiem głosu i powiedział:

- Ciężki jest żywot Świętego Mikołaja, co? Jeśli udało ci się poskładać te wszystkie zabawki, może powinienem dać ci się pobawić moim samolotem.

- Zaczekaj, aż będę miał zdrowe obie ręce. - Jack wysunął lewą rękę z temblaka i zaczął ją gimnastykować. Zeszli na poziom biblioteki.

- Co mówi Cathy na takie ćwiczenia?

- A co może powiedzieć lekarz? Do licha, jeśli za szybko zdrowiejesz, szpital traci forszę! - Jack poruszył nadgarstkiem. - Nie masz pojęcia, jak to usztywnia stawy.

- Ale już jest lepiej?

- Tak. Myślę, że mógłbym normalnie posługiwać się tą ręką. Dobrze przynajmniej, że zdjęli mi gips. - Jack spojrział na zegarek. - Obejrzymy wiadomości?

- Jasne.

Ryan włączył mały telewizor, stojący na biurku. Na Falcons Nest Road położono ostatnio kable telewizyjne i Jack mógł nareszcie oglądać wiadomości CNN. Uważał, że to dobry pomysł, najświeższe informacje z kraju i ze świata dostępne na każde życzenie. Osunął się na obrotowe krzesło przed biurkiem. Robby usiadł w fotelu pod ścianą. Do pełnej godziny zostało jeszcze kilka minut. Jack ściszył głos.

- Jak posuwa się praca nad książką?

- Skończyłem zbieranie materiałów. Zostały mi do napisania cztery rozdziały. Dwa będą musiał przerobić. I gotowe.

- Co chcesz zmienić?

- Udało mi się zweryfikować niektóre dane. Okazało się, że miałeś rację, mówiąc, że Japończycy na swoich lotniskowcach zaniedbali sprawę obserwacji.

- Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało - odparł Robby. - Byli naprawdę dobrzy, choć nie dość dobrzy, żeby... No cóż, w końcu dołożyliśmy im pod Midway, nie?

- A dziś?

- Myślisz o Rosjanach? Coś ty, Jack? Jeśli ktoś chciałby zatańczyć ze mną i moim Tomcatem, to proszę bardzo. Ale niech najpierw spisze testament. Nie płacą mi za przegrywanie, koleś. - Jackson wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

- Twoja pewność siebie jest budująca.

- Są lepsi piloci ode mnie - przyznał Robby. - Konkretnie trzech. Ale zobaczysz co będzie za rok, kiedy wrócę do wprawy.

- O tak! - zaśmiał się Jack. Śmiech zamarł mu na ustach, bo na ekranie telewizora pojawiła się znajoma twarz. - A ten skąd tu się wziął? - Jack podgłośnił telewizor.

- ... zginęło, w tym pięciu funkcjonariuszy policji. Prowadzone są intensywne poszukiwania terrorystów, którzy uwolnili swojego towarzysza, przewożonego do więzienia na wyspie Wight. Sean Miller został skazany trzy tygodnie temu. Zatrzymano go w trakcie nieudanego zamachu na księcia i księżną walii w pobliżu Pałacu Buckingham. Zginęli wtedy dwaj policjanci i jeden z zamachowców, a akcja terrorystów zakończyła się niepowodzeniem dzięki interwencji amerykańskiego turysty, Jacka Ryana, z Annapolis w stanie Maryland.

Obraz na ekranie zmienił się. Pokazywano burzę na kanale La Manche i helikoptery Royal Navy, przeszukujące powierzchnię morza. Następnie odtworzono fragment archiwalnego zapisu sceny opuszczania Old Bailey przez Millera. Tuż przed wejściem do policyjnej furgonetki Miller odwrócił się w stronę kamery i oto w trzy tygodnie po tamtych wydarzeniach, znów patrzył w oczy Johna Patricka Ryana.

- O mój Boże... - wymamrotał Jack.

10

Plany i zagrożenia

- To nie twoja wina, Jimmy - powiedział Murray. - A jeśli chodzi o Boba... będzie żył. To już jest coś.

- Jasne - z sardonycznym grymasem odparł Owens. - Ma nawet pięćdziesiąt procent szans na to, że będzie chodził. A co z innymi, Dan? Zginęło pięciu dobrych policjantów i do tego czterech cywilów.

- Może terrorystów też szlag trafił - zauważył Murray.

- Nie wierzysz w to bardziej niż ja!

Zdarzyło się coś wręcz nieprawdopodobnego. Trałowiec Royal Navy, prowadzący rutynową kontrolę kanału La Manche, odkrył echosondą jakiś nowy obiekt i natychmiast opuścił kamerę do zdjęć podwodnych celem wstępnej identyfikacji. Zapis wideo ujawnił obecność na dnie morskim szczątków dziesięciometrowego pontonu typu Zodiak z dwoma stukonnymi silnikami przyczepnymi. Łódź zatonała w następstwie wybuchu w pobliżu zbiornika paliwa. Nie znaleziono jednak ani zwłok pasażerów ani ich broni. Dowódca okrętu szybko zorientował się, jaką wagę może mieć jego odkrycie

i zawiadomił przełożonych. W tej chwili drużyna nurków szykowała się do operacji podniesienia wraku.

- Wszystko możliwe, Jimmy. Wystarczyło, że któryś się zagapił, przypadkowy wystrzał i bum! Potonęli dranie...

- A ciała?

- Poszły na karmę dla ryb. - Murray uśmiechnął się złośliwie. - Miły obraz, co?

- Jesteś niepoprawnym optymistą, Dan. Jaką część swojej pensji postawiłeś na tę hipotezę? - Owens nie był w nastroju do żartów. Murray nie mógł nie zauważyć, że dowódca C-13 traktuje sprawę Millera jak osobistą porażkę.

- Niezbyt dużą - przyznał. - Jak rozumiem, uważasz, że zabrał ich jakiś statek.

- To jedyne sensowne wytłumaczenie. W grę wchodzi dziewięć statków handlowych, które znajdowały się odpowiednio blisko wyspy Wight. Mam listę tych jednostek.

Przedstawiciel FBI także posiadał tę listę. Została już przesłana do Waszyngtonu, gdzie pracowały nad nią FBI i CIA.

- Tylko dlaczego nie zabrali łodzi?

- Dziwne, prawda? Może w pobliżu był któryś z naszych śmigłowców? Albo przyjęcie łodzi okazało się niemożliwe ze względu na pogodę? A może po prostu nie chcieli zawracać sobie głowy drobiazgami. Pieniądzy im nie brakuje, to musisz przyznać.

- Kiedy marynarka podniesie wrak?

- Jeśli pogoda pozwoli, pojutrze - odparł Owens. Znalezienie pontonu było jedynym jasnym punktem w tej sprawie. Mieli przynajmniej dowód rzeczowy. Wszystko co zostało wykonane ludzką ręką, nosi jakiś znak firmowy, numer seryjny... Gdzieś tam przechowywane są dowody sprzedaży. Wiele zakończonych sukcesem dochodzeń zaczynało się od równie skąpych informacji. Nieraz wystarczył jeden paragon sklepowy, by schwytać i skazać niebezpiecznego przestępcę. Na taśmie wideo silniki pontonu wyglądały na amerykańskie, prawdopodobnie firmy Mercury. Agenci Biura ruszą tym tropem, jak tylko ustali się numery. Murray wiedział, że silniki Mercury były niezwykle popularne na całym świecie. Sprawa będzie trudna, ale przynajmniej jest od czego zacząć. Połączone siły Scotland Yardu i FBI zdolne były sprostać najtrudniejszemu zadaniu.

- Ustaliliście coś w sprawie przecieku? - zapytał Murray.

- Facet powinien się modlić, żebyśmy go nie znaleźli - mruknął Owens. Na razie jednak informatorowi ULA nic nie groziło. O transporcie więźnia wiedziało w sumie trzydzieści jeden osób. Pięć z nich już nie żyło, w tym kierowca, który dowiedział się o wszystkim dopiero w ostatniej chwili. Zostawało dwudziestu sześciu podejrzanych: kilku członków C-13, dwóch wysokich

funkcjonariuszy policji z Londynu, dziesięciu urzędników ministerstwa spraw wewnętrznych i po parę osób z kontrwywiadu, Wydziału Specjalnego i tak dalej. Wszyscy ci ludzie mieli dopuszczenie do najbardziej tajnych informacji. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie, myślał Owens. Niejako z definicji, przeciek musi wyjść od jakiegoś sukinsyna dopuszczonego do tajnych akt.

Tym razem jednak chodziło o zdradę. A nawet zbrodnię gorszą niż zdrada. Owens nigdy nie przypuszczał, że coś takiego w ogóle może się zdarzyć. Rzecz w tym, że zdrajca musiał być bezpośrednio zaangażowany w zamach na członków rodziny królewskiej. Przekazanie wrogowi informacji dotyczących bezpieczeństwa narodowego, uważał Owens za zbrodnię, o której trudno było myśleć w kategoriach czysto zawodowych. Ale świadome uczestnictwo w planowaniu zamachu na księcia Walii... To się po prostu nie mieściło w głowie. Zdrajca nie mógł być tylko człowiekiem nieodpowiedzialnym czy słabym. Musiał działać z premedytacją, w głębokiej konspiracji i dysponować odpowiednim przygotowaniem. Musiał wreszcie być człowiekiem obdarzonym dużym zaufaniem. Były czasy, kiedy takich ludzi skazywano na śmierć w męczarniach. Owens nie był szczególnie dumny z tego akurat rozdziału historii swego kraju, ale teraz zaczynał rozumieć, dlaczego tak się działo, dlaczego w tak okrutny sposób karano zdradę stanu. Rodzina królewska tak wiele znaczyła dla obywateli Zjednoczonego Królestwa. I oto ktoś bliski dworu, osoba obdarzona najwyższym zaufaniem dworu, wydaje następcę tronu bandzie terrorystów. Owens zdecydowany był odnaleźć tego człowieka. Chciał widzieć go martwym. Patrzeć jak umiera. Za taką zbrodnię, jedyną karą mogła być śmierć.

Z trudem otrząsnął się z tych ponurych rozmyślań. Nie złapiemy bydlaka ograniczając się do życzenia mu śmierci. Jedyne, co może nas doprowadzić do niego, to żmudna, drobiazgowa robota policyjna. Owens znał się na takiej robocie. I wiedział, że ani on, ani jego ludzie nie spoczną, póki nie wykonają zadania. Bo w to, że je wykonają, nie wątpił ani przez chwilę.

- Masz teraz dwie sprawy, Jimmy - powiedział Murray, jakby czytając w myślach przyjaciela. I nic dziwnego. Obaj byli policjantami, a praca policjanta wszędzie wygląda podobnie.

- Istotnie. - Owens niemal się uśmiechnął. - Powinni być ostrożniejsi, dranie. Bardziej dbać o ochronę swojego informatora. Teraz możemy porównać listę osób, które wiedziały o wyjeździe jego Wysokości tamtego dnia, z listą dopuszczonych do informacji o przerzucie Millera do Lymington.

- Dodaj do tego telefonistki, sekretarki i współpracowników tych osób, a także dziewczyny albo chłopców, którzy mogli się czegoś dowiedzieć w trakcie łóżkowej konwersacji...

- Wielkie dzięki, Dan. Wiesz jak człowiekowi dodać otuchy w trudnej chwili. - Owens podszedł do szafki w kącie gabinetu Murraya i sięgnął po butelkę szkockiej. Amerykanin dostał ją na gwiazdkę, ale wciąż była nie napoczęta.

- Mimo wszystko, uważam, że masz rację. Powinni lepiej chronić swojego informatora. Jestem pewien, że go dostaniesz, Jimmy. Na to mogę postawić swoją pensję.

Owens otworzył butelkę i napełnił szklanki. Ostatnio z przyjemnością stwierdził, że Murray nauczył się w końcu pić whisky jak człowiek. Jeszcze rok temu miał paskudny zwyczaj wrzucania do wszystkiego lodu. Co za ohyda, rozcieńczać porządną szkocką whisky! Zmarszczył brwi, bo właśnie zaświtała mu nowa myśl.

- Czy nie powinniśmy się zastanowić, co właściwie wiemy o Seanie Millerze?  
Murray rozłożył ręce.

- Może jest ważniejszy, niż sądziłeś, o to ci chodzi? Równie dobrze mogli się obawiać, że wyciśniesz z niego jakieś informacje. Albo po prostu bardzo zależy im na opinii. A może idzie im o coś zupełnie innego?

Owens pokiwał głową. Niezależnie od tego, że Scotland Yard ściśle współpracował z FBI,

ceniał sobie opinie amerykańskiego kolegi. Obaj byli doświadczonymi policjantami, ale Murray na pewne sprawy patrzył nieco inaczej. Dwa lata temu Owens ze zdziwieniem stwierdził, że w pewnych sytuacjach jest to nadzwyczaj pożyteczne. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Murray w podobny sposób korzystał z jego umiejętności.

- Kim więc jest ten Miller? - zastanawiał się na głos Owens.

- Kto wie? Może dowodzi ich akcjami w terenie?

- Na to jest zdecydowanie za młody.

- Jimmy, facet, który zrzucił bombę atomową na Hiroszimę, został pułkownikiem lotnictwa w wieku dwudziestu dziewięciu lat. Do diabła, przypomnij sobie, w jakim wieku jest o'Donnell!

- Bob Highland był tego samego zdania - mruknął Owens, ze zmarszczonym czołem wpatrując się w dno szklanki.

- Bob to bystry chłopak. Mój Boże, mam nadzieję, że będzie mógł wrócić na ulicę.

- Jeśli nie, zatrudnimy go w biurze. Jest bardzo dobrym śledczym... Zbyt dobrym, żebyśmy z niego zrezygnowali. No nic, Dan, muszę iść. Wiesz, Sylwester... Za co wypijemy?

- To chyba oczywiste. Za powodzenie w śledztwie. Złapiesz tego informatora, Jimmy, a on powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć. - Murray uniósł szklankę. - Za zamknięcie tej sprawy.

- Tak jest. - Wypili do dna.

- Radzę ci, Jimmy, odłóż wszystko do jutra. Wyśpisz się i rano zaczniesz z nowymi siłami.

Owens uśmiechnął się.

- Spróbuję. - Zdjął z wieszaka płaszcz i ruszył do wyjścia. - Jeszcze jedno. Myślałem o tym jadąc tu z Gosport... Czy nie sądzisz, że ci faceci z ULA działają wbrew wszelkim regułom uznawanym przez tego typu organizacje?

- Chyba tak - odparł Murray, zamykając szafkę na akta.

- Jest jednak jedna reguła, której nie złamali.

- Tak? Jaka mianowicie?

- Nigdy nie działali w Ameryce.

- Żadne z irlandzkich ugrupowań podziemnych nie działało i nie działa w Ameryce. - Murray lekceważąco machnął ręką.

- Bo żadne z nich nie miało po temu sensownych powodów.

- Więc?

- Ci z ULA mogą uważać, że teraz mają taki powód... A łamanie reguł przychodzi im bez trudu. Nie myślę o niczym konkretnym, to tylko przeczucie. - Owens wzruszył ramionami. - No, dobrze. Dobranoc i szczęśliwego Nowego Roku, panie Murray.

Ceremonialnie uścisnęli sobie dłonie.

- I nawzajem, panie Owens. Pozdrowienia dla Emily.

Murray odprowadził gościa do wyjścia, zamknął za nim drzwi i wrócił do swojego gabinetu, by sprawdzić, czy pochował wszystkie dokumenty. Nadciągał wreszcie zmierzch. Dan zerknął na zegarek. Była za kwadrans szosta. Usiadł na krześle i zamyślił się.

- Skąd ci to przyszło do głowy, Jimmy? - zapytał w mroczną pustkę pokoju.

Irlandzkie grupy terrorystyczne nigdy nie prowadziły działalności na terytorium Stanów Zjednoczonych. Owszem, w zamieszkałych przez Irlandczyków dzielnicach Nowego Jorku czy Bostonu prowadziły zbiórkę pieniędzy, ich aktywiści wygłaszali w barach płomienne mowy, przekonując słuchaczy do swojej wizji wolnej, zjednoczonej Irlandii. Nie wspominając przy tym, że marksistowsko-leninowska Irlandia miała być czymś w rodzaju drugiej Kuby. Dawniej dochodził do tego przemyt broni. Obecnie jednak PIRA i INLA większość sprzętu nabywały na wolnym rynku.

Istniały przypuszczenia, że część ich członków szkoli się w radzieckich bazach wojskowych, nie dysponowano jednak wystarczająco mocnymi dowodami tego procederu, by informacje o nim przekazać do wiadomości publicznej. Na podstawie zdjęć satelitarnych nie da się określić narodowości człowieka. Podobnie było z obozami szkoleniowymi w Libii, Syrii i Libanie. Trenowali tam jacyś biali... ale kto? Na to pytanie wywiad nie umiał odpowiedzieć. Europejscy terroryści bardzo różnili się od ich bliskowschodnich towarzyszy. Ujęci Arabowie śpiewali zwykle niczym kanarki, ale członkowie PIRA, INLA, a także Frakcji Armii Czerwonej czy Action Directe byli mniej skłonni wyjawiać swoje tajemnice. Działy tu różnice kulturowe, ale być może także świadomość tego, że przesłuchujący nie będą, bo im nie wolno, stosować metod, które w krajach islamu były czymś normalnym. Urodzeni i wychowani w krajach o ustroju demokratycznym, europejscy terroryści doskonale znali słabe punkty systemu, który chcieli obalić. Oczywiście nie mieli racji. Murray wiedział, że to, co tamci uważali za słabość, było właśnie siłą demokracji. Ale w praktyce dochodzeniowej konieczność przestrzegania prawa stanowiła pewne utrudnienie.

Najistotniejszy w tym wszystkim był jednak fakt, że ani PIRA, ani INLA nigdy nie dopuściły się przestępstwa z użyciem przemocy na terenie USA. Nigdy. Ani razu.

Z drugiej strony Jimmy ma jednak rację. ULA nie zawaha się przed złamaniem reguł. Dla wszystkich innych rodzina królewska była nietykalna, dla ULA nie. PIRA i INLA zwykle uprzedzały o swoich atakach bombowych, wszystkie grupy terrorystyczne dbały o reklamę swoich poczynań. A ULA nie. Murray pokręcił głową. Nie dysponował żadnym dowodem, że tamci chcą złamać kolejną zasadę. Po prostu akcja w Ameryce to było coś, czego nigdy nie zrobili... Jak dotąd. Takie stwierdzenie to jednak za mało, by rozpocząć śledztwo.

- O co im w ogóle chodzi? - zagadnął na głos. Nikt tego nie wiedział. Nawet ich nazwa była w pewien sposób nietypowa. Armia Wyzwolenia Ulsteru. Słowo „Ulster” niezmiennie pojawiała się w nazwach reakcyjnych grup protestanckich unionistów. Nacjonałści, głównie katolicy, uważali się za Irlandczyków, a nie za obywateli Ulsteru. Nie zawsze w tym, co robili było dużo sensu, ale ich pobudki miały charakter racjonalny. Tymczasem wszystko, co dotyczyło ULA było jakiegoś dziwaczne, nietypowe. Ich metody działania, nazwa... Nikt inny nie odważyłby się na coś takiego.

Nikt inny nie odważyłby się zrobić tego, co oni. To właśnie gryzło Jimmy'ego. Dlaczego postępowali w taki sposób? Nic ich do tego nie zmuszało. W swoich działaniach terroryści byli w reguły racjonalni. Przynajmniej według własnych standardów. Niezależnie od tego, jak szalona mogła się wydać ich argumentacja komuś z zewnątrz, w tym, co robili, była pewna logika. PIRA i INLA działały w zgodzie z ową logiką. Miały jasno określony cel, którym było uniemożliwienie Brytyjczykom sprawowanie władzy w Irlandii Północnej. Gdyby im się powiodło, Anglicy musieliby w końcu ustąpić i wycofać się z Ulsteru. Sposobem osiągnięcia tego celu było stałe podtrzymywanie zarzewia konfliktu, tak jednak, by nie dopuścić do wybuchu. Chodziło o przeczekanie drugiej strony i była to taktyka nie pozbawiona logicznego uzasadnienia.

Ale ULA nigdy nie określiła swoich celów. Dlaczego? Czyżby chciała utrzymać je w tajemnicy? Tylko do diabła, jaki sens może mieć istnienie tajnej organizacji terrorystycznej? Jak ona może być tajna, skoro działa? A jednak... O istnieniu ULA świat dowiedział się właściwie za pośrednictwem PIRA i INLA. o'Donnell nie ogłosił publicznie faktu powstania swojej organizacji. Niemniej ULA powstała, a jej twórca musiał mieć w tym jakiś cel. Działając bez jasno określonych zadań, nie osiąga się takiej skuteczności.

- Cholera jasna! - Murray czuł, że odpowiedź na jego pytanie jest tuż, tuż, niemal na granicy świadomości... Co z tego, skoro nie potrafił do niej dotrzeć? Chwilę później opuścił biuro przedstawicielstwa FBI. Na korytarzu natknął się na żołnierzy piechoty morskiej, sprawdzających,

czy wszystkie pomieszczenia zostały zamknięte. Skinął im głową i poszedł do windy, wciąż zaprzątnięty swoimi myślami. Żałował, że tak szybko rozstał się z Owensem. Może razem rozgryźliby ten problem. Nie, nie żadne „może”. Na pewno by sobie z nim poradzili. Odpowiedź znajdowała się na wyciągnięcie ręki.

Założę się, że Miller wiedział.

- Okropne miejsce - zauważył Sean Miller.

Zachód słońca nad pustynią nie ustępował urodą wieczorowi na morzu. W czystym, pozbawionym zanieczyszczeń powietrzu, łańcuch wydm na horyzoncie rysował się ostrą, wyraźną linią. Różnice temperatur dnia i nocy były tu niesamowite: od trzydziestu trzech stopni w południe (co miejscowi uważali za miły chłodek!) do zera po zmroku. Rozgrzany za dnia piasek wypromieniowywał swe ciepło w mrok nocy.

Miller czuł się zmęczony po całym dniu ćwiczeń. Szkolenie doskonalące, tak to się nazywało. Od blisko dwóch miesięcy nie dotykał broni. Reakcje miał zwolnione, strzelał niecelnie, ogólna kondycja fizyczna też pozostawiała wiele do życzenia. Ze zdziwieniem stwierdził, że na więziennym wikcie przytył o kilka kilogramów. Miał tydzień na zrzućcie nadwagi. Pustynia była do tego wymarzone miejsce. Jak większość ludzi urodzonych na północy, Miller źle znosił upały. Nie mógł jeść, natomiast dręczyło go bezustanne pragnienie. Pił więc tylko, pozwalając organizmowi żywić się zapasami zbędnego tłuszczu. Nie wątpił, że w tych warunkach szybko odzyska formę, ale to wcale nie pomagało polubić tego miejsca.

Było ich tu pięciu. Pozostali przez Rzym i Brukselę odlecieli do domu. W ich „podróżnych” paszportach przybyło kilka nowych stempli.

- To nie Irlandia - zgodził się o'Donnell. W ustach czuł smak pustynnego kurzu, cuchnął przepoconą odzieżą. Wszystko tu sprawiało wrażenie obcości. Powoli zapominali, jak pachnie mgła nad torfowiskiem, dym z kominka, jak smakuje whiskey.

To ostatnie zwłaszcza było ogromnie irytujące. Miejscowi przechodzili kolejny napad religijnego zapału i zdecydowali, że nawet członkom międzynarodowej wspólnoty rewolucjonistów nie wolno łamać bożego prawa. Bodaj ich wszyscy islamscy diabli.

Obóz prezentował się nadzwyczaj nędznie. Sześć baraków, w tym jeden przeznaczony na garaż. Nieużywane lądowisko dla helikopterów, droga na wprost zasypiana piaskiem po ostatniej burzy, studnia, strzelnica na zboczu wydmy... I to wszystko. Dawniej przebywało tu naraz do pięćdziesięciu ludzi. Obecnie był to tylko obóz ULA, a inne grupy nie miały do niego dostępu. Wielką wagę przykładano do spraw bezpieczeństwa. Na tablicy w baraku numer 1 wypisany był rozkład lotów amerykańskiego satelity zwiadowczego. Miejscowym dostarczyli go inni jasnoskórzy przyjaciele. Wszyscy wiedzieli, kiedy należy schronić się w barakach. Obozowe pojazdy stale przebywały pod dachem.

Na horyzoncie pojawiły się światła samochodu zmierzającego w stronę obozu. o'Donnell przyglądał im się bez słowa. Horyzont był bardzo daleko. Kierowca nie śpieszył się, światła posuwały się prawie bez wstrząsów. W tym klimacie wszyscy robili się leniwi. Co masz zrobić dziś, zrób jutro, a będzie i tak co Bóg zechce. Insz'Allah tubylców znaczyło mniej więcej to samo, co mariana latynosów, nie ma pośpiechu.

Samochód okazał się Toyota Land Cruiser. Toyoty, wyposażone w napęd na cztery koła wypierały ostatnio Land Rovery. Kierowca bez zatrzymywania się skręcił do garażu. o'Donnell spojrzął na zegarek. Do najbliższego przelotu satelity zostało trzydzieści minut. Wstał i poszedł w kierunku baraku numer 3. Miller za nim, z daleka machając ręką nowoprzybyłemu. Żołnierz z ochrony obozu zamknął drzwi garażu, zupełnie nie zwracając na nich uwagi.

- Miło znów cię widzieć, Sean. - Mówiący te słowa trzymał w ręku niewielką, skórzaną teczkę.

- Dzięki, Shamus.

o'Donnell przytrzymał otwarte drzwi. Wylewne powitania nie były w jego stylu.

- Dzięki, Kevin.

- Przyjechałeś akurat na kolację - oznajmił szef ULA.

- Cóż, nie zawsze człowiek ma szczęście. - Shamus Pdraig Connolly rozejrzał się po wnętrzu baraku. - Nie ma tu pluskiew?

- W tym baraku nie - zapewnił go o'Donnell.

- To i dobrze. - Connolly otworzył teczkę i wyjął z niej dwie butelki. - Pomyślałem, że nie odmówicie kropelki wody źródlanej.

- Że też ci tego te sukinsyny nie zabrały! - zdziwił się Miller.

- Słyszałem o nowych przepisach. I oczywiście powiedziałem im, że wiozę broń.

Odpowiedź Connoll'ego wzbudziła ogólną wesołość. Miller przygotował szklanki i lód. W tym klimacie nie dało się pić whisky bez lodu.

- Kiedy powinieneś zjawić się w obozie? - o'Donnell miał na myśli odległy o sześćdziesiąt kilometrów obóz PIRA.

- Kiedy? Cóż, właśnie zepsuł mi się samochód i muszę przenocować u naszych mundurowych przyjaciół. Niestety, skonfiskują mi whisky.

- A niech cię! - zaśmiał się Miller. Mężczyźni unieśli szklanki.

- Jak było w pudle, Sean? - zapytał Connolly. Pierwsza kolejka została wypita bez zbędnych ceregieli.

- Mogło być gorzej. Tydzień przed końcem gliniarze napuścili na mnie dwóch bydlaków... Ci dali mi trochę do wiwatu. Pieprzone pedały. Ale poza tym było zabawnie. Człowiek siedział i słuchał, a oni gadali i gadali, jak gromada starych bab.

- Chyba nie przypuszczali, że Sean będzie sypał, co? - Z przyganą w głosie wtrącił o'Donnell. Oczywiście udawał. Nie wiedzieli, co robi Miller. Martwili się o niego, zwłaszcza że w Parkhurst mógł wpaść w ręce chłopaków z PIRA i INLA

- Spisałeś się na medal! - Connolly powtórnie napełnił szklanki.

- Co nowego w Belfaście? - zapytał dowódca.

- Johnny Doyle smuci się po stracie Maureen. Ludzie robią się niespokojni. Nie ma jeszcze paniki, ale zaczynają się szeptki. Może cię zainteresuje, Sean, że twoja londyńska akcja wzbudziła entuzjazm. Wszędzie pije się twoje zdrowie. - Większość mieszkańców Irlandii Północnej, tak protestantów, jak katolików, była oburzona akcją, o której wspomniał Connolly. On jednak znał tylko opinie członków społeczności działaczy rewolucyjnego podziemia.

- Nie pije się za zdrowie kogoś, kto poniósł klęskę - kwaśno zauważył Miller. Przeklęty Ryan!

- Ależ to była piękna operacja! Ludzie wiedzą, że po prostu nie miałeś szczęścia. A wszyscy jesteśmy rycerzami fortuny.

o'Donnell zmarszczył czoło. Nie lubił takiego języka, choć Connolly nieraz mu przypominał, że sam Mao pisywał wiersze.

- Myślą o odbiciu Maureen? Connolly roześmiał się.

- Po tym, coście zrobili z Seanem? Nie ma mowy. A w ogóle, jak ci się udało to zorganizować, Kevin?

- Mam swoje sposoby - mruknął o'Donnell. Nie zaczynał dyskutować na ten temat. Jego informator otrzymał rozkaz przyczać się na co najmniej dwa miesiące. Księgarnia Dennisa była dla niego zamknięta. Kevinowi niełatwo przyszło zdecydować się na użycie informacji ze swojego



tajnego źródła do przygotowania akcji uwolnienia Millera. Tak to już jest w wywiadzie, że wykorzystanie naprawdę cennych informacji stwarza zagrożenie dla informatora. Te najcenniejsze często w ogóle nie mogą być użyte. Z drugiej jednak strony, co za pożytek z wywiadu, jeśli nie można wykorzystać dostarczanych przezeń materiałów.

- Nie da się ukryć, że zwróciłeś na siebie uwagę. Dlatego właśnie tu jestem. Nasi chłopcy chcą poznać szczegóły twojej operacji.

- Coś takiego! - zaśmiał się o'Donnell. - A co pan Doyle ma do powiedzenia na mój temat?

Connolly podniósł palec w geście nauczyciela grożącego niesfornemu uczniowi.

- Jesteś skrytym kontrrewolucjonistą, który dąży do rozbicia ruchu. Akcja na The Mali miała poważne reperkusje po obu stronach Atlantyku. Mamy zamiar, o pardon, mają zamiar w przyszłym miesiącu wysłać kilku gości do Bostonu, żeby załagodzić sytuację. Będą tłumaczyć Jankesom, że PIRA nie miała z tą sprawą nic wspólnego.

- Jak zwykle chodzi o pieniądze. Nie potrzebujemy ich śmierdzącej forsy! - warknął Miller. - A swoje wsparcie moralne mogą sobie wsadzić w...

- Nie wolno obrażać uczuć Amerykanów - oświadczył Connolly. o'Donnell uniósł szklanekę jak do toastu.

- Do diabła z Amerykanami.

Wypiwszy drugą whiskey, Miller doznał czegoś na kształt olśnienia.

- Kevin, przez pewien czas nie będziemy zbyt aktywni na terenie Zjednoczonego Królestwa...

- Ani w Sześciu Hrabstwach - odparł o'Donnell zamyślonym tonem. - Myślę, że trzeba przywarować. Skoncentrujemy się na szkoleniu i zaczekamy na następną okazję.

- Shamus, jak skuteczne mogą być zabiegi ludzi Doylea w Bostonie?

Connolly wzruszył ramionami.

- Dasz Amerykanom gorzałki, a uwierzą we wszystko, co mówisz i będą ci rzucać dolary do kapelusza.

Miller uśmiechnął się nieznacznie. Dolał sobie whisky do szklanki, nie zwracając uwagi na pograżonych w rozmowie o'Donnella i Connolly'ego. W jego umyśle zaczął kształtować się pewien plan.

Przez lata służby w Biurze, Murray zdążył awansować z młodszego agenta, zajmującego się tropieniem rabusiów bankowych, na wykładowcę technik śledczych w Akademii FBI w Quantico. W swoich wykładach zawsze podkreślał znaczenie, jakie dla pracy oficera śledczego ma intuicja. Ściganie przestępców nadal było raczej sztuką niż nauką. Biuro dysponowało olbrzymim zapleczem technicznym i naukowym, jego funkcjonariusze działali według drobiazgowo opracowanych wytycznych, ale żadne wytyczne nie zastąpią ludzkiego umysłu, czerpiącego natchnienie z doświadczenia. Doświadczony agent potrafił kojarzyć dane, wczuwać się w psychikę przestępcy, przewidywać jego posunięcia. A wszystko to mógł osiągnąć tylko bazując na intuicji. Tak więc doświadczenie i intuicja, nierozzerwalnie ze sobą związane decydowały o powodzeniu w służbie.

Tym razem jest trochę gorzej, dumął Murray, jadąc z ambasady do domu. Gorzej, bo brak konkretów, które dyscyplinowałyby funkcjonowanie intuicji.

„Zaufaj swoim instynktom”, cytował z pamięci fragmenty wykładu dla studentów Akademii.

„Nie zastąpią dowodów i zasad procedury, ale pomogą ci pogodzić jedno z drugim..”

- Jezu, Dan, ale się z ciebie robi jezuita! - zachichotał pod nosem. Jeśli to takie śmieszne, to czym się przejmujesz?

- Cholera. - Zacisnął ręce na kierownicy czując, że dobry humor znów go opuszcza. W zasadzie mógł odłożyć tę sprawę do jutrzejszego spotkania z Owensem. Miał jednak dręczące przeczucie, że

powinien się śpieszyć.

Dlaczego wydaje mi się to takie pilne? Czy istnieje jakiś sensowny powód, żeby się tak podniecać? Nie.

Pierwsza sprawa, jaką Murray, wówczas początkujący agent specjalny wydziału do zwalczania przestępczości zorganizowanej, doprowadził do pomyślnego końca, zaczęła się podobnym bólem głowy, rodzajem intelektualnego rozdrażnienia. Teraz zaczynał być wręcz wściekły na siebie.

Zbierzmy fakty. ULA działa w sposób zdecydowanie niekonwencjonalny. Żadna irlandzka organizacja terrorystyczna nie prowadziła swoich operacji na terenie Stanów. To wszystko. Więcej faktów nie ma. Czy to możliwe, że zechcą uderzyć w Ameryce? Ano, na pewno są wściekli na Ryana, ale gdyby chcieli dobrać mu się do skóry, o wiele łatwiej byłoby to zrobić tutaj, niż za oceanem. A co, jeśli Miller istotnie jest dowódcą ich grupy uderzeniowej? Nie, odpowiedział sobie natychmiast. Terrorysty nie mają osobistego stosunku do takich spraw. To byłoby nieprofesjonalne, a te sukinsyny są profesjonalistami. Musieliby mieć lepszy powód, by podjąć ryzyko akcji w Ameryce.

Nie znasz tego powodu, Danny, ale to nie znaczy, że go nie ma. A może tych powodów jest kilka? Murray zaczynał się powoli obawiać, że zawierzywszy nadmiernie intuicji, niebezpiecznie zbliża się do paranoi.

Ale kilka powodów, to byłoby już jakieś wytłumaczenie. Mogą się nawzajem uzupełniać, czy nawet uzasadniać... Ale co oni, do diabła, chcą zrobić? Wszystkie podręczniki technik śledczych mówią o pierwszorzędnej wadze ustalenia motywu. Tymczasem Murray nie dysponował żadnymi danymi odnośnie motywów działalności ULA.

Zwariuję, a tego nie rozgryzę.

Zjechał w lewo z Kensington Road, w kierunku osiedla dla przedstawicieli korpusu dyplomatycznego. Na parkingu jak zwykle nie było miejsca. Nawet kiedy pracował w sekcji kontrwywiadu policji miejskiej Nowego Jorku, nie miał takich kłopotów z parkowaniem. Znalazł wreszcie lukę między dwoma pojazdami, szerszą może o pół metra od jego samochodu. Wciśnięcie się w nią zajęło mu pięć minut.

W mieszkaniu powiesił płaszcz na haku obok drzwi wejściowych i pomaszerował prosto do bawialni. Uwadze żony nie uszedł ponury wyraz jego twarzy. Słyszając, jak podnosi słuchawkę i wybiera jakiś numer, zastanawiała się, co się stało.

Połączenie się z odpowiednim biurem po drugiej stronie Atlantyku zajęło Murrayowi kilka sekund.

- Bili? Tu Dan Murray... Dziękuję, w porządku. Chcę, żebyś coś zrobił. Znasz Jacka Ryana? Tak, to ten. Powiedz mu... cholera, jakby to ująć... Powiedz mu, żeby miał się na baczności... Wiem, Bili. Nie mogę ci teraz powiedzieć, ale coś mi tu nie gra... Nie mogę... tak, coś w tym rodzaju. Wiem, że nigdy tego nie robili, ale jestem niespokojny... Nie, nic konkretnego, ale Jimmy Owens poruszył ten temat i pomyślałem, że coś w tym może być. A, masz już ten raport? Dobrze, więc wiesz o co mi chodzi. - Murray urwał i przez chwilę bez słowa wpatrywał się w sufit. - Nazwij to przecuciem albo instynktem, wszystko jedno, ale coś mnie tu niepokoi. Chcę, żeby ktoś się tym zajął... Bardzo dobrze. Co w domu? Ach, tak! Wspaniale! No, myślę, że czeka was szczęśliwy rok. Dobrze. Uważaj na siebie. Cześć. - Murray odłożył słuchawkę. - Tak. Teraz już lepiej - mruknął do siebie.

- Przyjęcie zaczyna się o dziewiątej - odezwała się pani Murray. Przywykła już do tego, że mąż i w domu nie przestawał pracować. On zaś liczył na nią, gdy chodziło o przypominanie mu o jego obowiązkach towarzyskich.

- W takim razie muszę się chyba już zacząć przebierać. - Murray wstał i pocałował żonę. Rzeczywiście poczuł się lepiej. Coś przynajmniej zrobił... Pewnie koledzy w Biurze zastanawiają się

teraz co się z nim dzieje, ale to akurat mu nie przeszkadzało. - Zareczyła się najstarsza córka Billa. Wychodzi za agenta z biura terenowego FBI w Waszyngtonie.

- Znamy go?

- Nie. To jakiś młodzik.

- Za chwilę musimy wychodzić.

- Dobrze, dobrze. - Murray poszedł do sypialni i zaczął się przebierać. Czekają go oficjalne przyjęcie w ambasadzie.

11

Ostrzeżenia

- Jak więc państwo widzą, decyzje Nelsona w tej sprawie miały daleko idące konsekwencje. Z czasem zaowocowały odejściem od obowiązujących dotąd w taktyce Royal Navy sztywnych rygorów. - Ryan zamknął notatnik. - Nic tak ludzi nie przekonuje, jak spektakularne zwycięstwo. Czy są jakieś pytania?

Pierwszy po powrocie do pracy wykład Jacka z historii marynarki dobiegał końca. Słuchacze, czterdziestu kadetów trzeciego roku (w tym sześć dziewcząt) milczeli. Pytań nie było, co Ryan przyjął z pewnym zdziwieniem. Uważał się za dobrego nauczyciela, lecz nie aż tak dobrego. Po chwili jeden ze słuchaczy wstał z miejsca. Nazywał się George Winton, pochodził z Pittsburga i występował w szkolnej drużynie futbolowej.

- Doktorze Ryan - oznajmił oficjalnym tonem - poproszono mnie o zabranie głosu w imieniu grupy.

- Och! - Jack cofnął się o pół kroku i z udawanym przestraszonym rozejrzył się po sali.

Winton podszedł do katedry, po drodze wyjmując zza pleców niewielkie pudełko. Do jego wieczka przypięta była napisana na maszynie kartka. Winton wyprężył się na baczność.

- Baczność! Za czyny wykraczające poza obowiązki turysty (nawet biorąc pod uwagę, że jest nim bezmózgi żołnierz piechoty morskiej), grupa odznacza niniejszym doktora Johna Ryana Orderem Purpurowej Dziesiątki, w nadziei, że następnym razem będzie unikał kul, by nie stać się częścią historii zamiast jej nauczycielem.

Winton otworzył pudełko i wyjął z niego medal wiszący na fioletowej wstążce, na której złotymi literami wypisane były słowa: CELUJ WE MNIE. Sam medal miał kształt środkowego kręgu tarczy strzeleckiej. Winton przypiął go do ramienia Jacka tak, że krążek brązu znalazł się niemal dokładnie w miejscu, gdzie Ryan został postrzelony. Słuchacze zaczęli bić brawo, a Jack z poważną miną uściśnął dłoń starosty grupy.

Pogładził palcami odznaczenie i przesunął wzrokiem po sali.

- Czy to moja żona was napuściła?

Studenci wyszli z ławek i zaczęli gromadzić się wokół katedry.

- Dziękuję wam w imieniu służby - stwierdził przyszły dowódca okrętu podwodnego.

- Ku chwale ojczyzny - odpowiedział niedoszły oficer piechoty morskiej.

Posypały się okrzyki na cześć Jacka.

Ten podniósł ręce do góry, próbując uciszyć gwar. Nadal oszczędzał lewe ramię. Trochę jeszcze bolało, ale chirurdzy ze szpitala Hopkinsa zapewniali go, że sztywność stawów z czasem ustąpi. Ubytek sprawności uszkodzonej kończyny szacowali na pięć procent.

- Dziękuję państwu za to zaszczytne wyróżnienie, ale i tak musicie w przyszłym tygodniu zdać egzamin! - oświadczył Ryan.

Odpowiedział mu chóralny wybuch śmiechu. Po chwili studenci zaczęli opuszczać salę,

śpiesząc na następny wykład. Jack na dzisiaj skończył zajęcia. Pozbierał ze stołu książki i notatki, wyszedł z audytorium i pomaszerował w stronę Leahy Hall.

Styczeńowy dzień był mroźny. Na trawnikach leżała cienka warstwa śniegu. Jack musiał uważać na oblodzonym chodniku. Rozległy centralny plac Akademii Marynarki ograniczał z południa budynek kaplicy, ze wschodu kamienny masyw Bancroft Hall, a z pozostałych stron gmachy mieszczące sale wykładowe. Biel placu przecinały czerwone linie wykładanych cegłą alejek. Dzieciaki, Jack zawsze nazywał w myśli swoich studentów akademii dzieciakami, kroczyły po nich z marsowymi minami i nieco przesadną powagą. Ci młodzi ludzie swobodnie zachowywali się tylko w swoim towarzystwie, tam, gdzie nie mógł ich widzieć nikt obcy. Na szczycie wzgórza, przy bramie numer 3 trzymał wartę kapral piechoty morskiej pospołu z cywilnym strażnikiem. Powszedni dzień Akademii, pomyślał Jack. Dobrze mu się pracowało. W porównaniu ze studentami uczelni cywilnych, podchorążowie byli wdzięcznymi słuchaczami, zawsze spragnionymi wiedzy, a jeśli zdobyło się ich zaufanie, zdolnymi do najdziwszych psikusów. Niewtajemniczonym trudno byłoby w to uwierzyć, tak bardzo studenci Akademii dbali o poprawność swoich manier w miejscach publicznych.

Jack wkroczył do nagrzanego wnętrza Leahy Hall i skierował się w stronę gabinetu. Uśmiechał się do siebie, co chwilę spoglądając na dyndający u ramienia komiczny medal. Robby czekał na niego w fotelu naprzeciw biurka.

- A to co za cholerstwo? - zapytał od razu. Jack opowiedział mu historię swego odznaczenia. Robby śmiał się.

- To dobrze, że dzieciakom dopisuje humor, nawet podczas sesji egzaminacyjnej. Mów, co nowego u ciebie? - Jack pytająco spojrzał na przyjaciela.

- Ano, znów powożę Tomcatem - oznajmił Robby. - Przez weekend wylatałem cztery godziny. Człowieku! Mówię ci, ta maszynka mnie kocha! Przemawia do mnie ludzkim językiem. Polataliśmy nad morzem, wskoczyliśmy na jeden-cztery macha, potem tankowanie w powietrzu i siad na makiecie lądowiska lotniskowca... Dobrze nam było ze sobą. jeszcze dwa miesiące i będę robił to, do czego mnie Bozia stworzyła.

- Aż dwa miesiące?

- Pilotowanie tej zabawki nie jest takie łatwe, inaczej nie potrzebowaliby do tego ludzi mojego kalibru - bez zmrużenia powiek oświadczył Robby.

- Że też zawsze potrafisz zdobyć się na tyle skromności. Robby nie zdążył się odgryźć, bo oto rozległo się pukanie do

drzwi i po chwili stanął w nich rosły mężczyzna.

- Doktor Ryan?

- Zgadza się. Proszę wejść.

- Jestem Bill Shaw. FBI. - Przybysz zbliżył się do biurka i pokazał Jackowi legitymację. Był mniej więcej wzrostu Robby'ego, szczupły, około czterdziestki, o głęboko osadzonych oczach i spojrzeniu człowieka, którego dzień pracy liczy szesnaście godzin. W eleganckim garniturze prezentował się niezwykle solidnie. - Dan Murray prosił mnie, żebym się z panem spotkał.

Ryan podniósł się i uścisnął dłoń agenta.

- To jest komandor porucznik Jackson.

- Czołem. - Robby także podał rękę Shawowi.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

- Nie, nie... Na dzisiaj skończyliśmy zajęcia. Proszę wziąć sobie krzesło. Czym mogę panu służyć?

Shaw spojrzał na Jacksona i bez słowa przyciągnął sobie krzesło.

- No, to porozmawiajcie sobie, a ja skoczę do Klubu...

- Wolnego, Rob. Jesteśmy wśród przyjaciół, panie Shaw. Napije się pan czegoś?

- Nie, dziękuję. - Agent westchnął i poprawił się na krześle. - Pracuję w zespole do spraw zwalczania terroryzmu w centrali FBI. Dan prosił mnie... Pewnie pan słyszał, że ULA odbiła swojego człowieka, tego Millera, z transportu policyjnego.

- Tak. Mówili o tym w telewizji. Nie wie pan co się stało z Millerem? - Teraz i Ryan spowaźniał.

Shaw pokręcił głową.

- Po prostu zniknął. On i cała reszta.

- To była fachowo przeprowadzona operacja - wtrącił Robby. - Uciekli na pełne morze, prawda? Czy nie zabrał ich jakiś statek? - Shaw zmierzył pilota ostrym spojrzeniem. - Widzi pan ten mundur, panie Shaw? Służę na lotniskowcach. Znam morze.

- Nie wykluczamy takiej możliwości.

- Czyje statki były w pobliżu? - Dla Robby'ego sprawa Millera nie stanowiła problemu z zakresu ścigania przestępczości. Myślał kryteriami oficera marynarki.

- Właśnie to sprawdzamy.

Jackson i Ryan wymienili spojrzenia. Robby wyłowił z kieszeni cygaro i zapalił je.

- W zeszłym tygodniu dzwonił Dan. Był trochę, podkreślam, trochę, niespokojny. Sądzi, że ULA mogłaby... No cóż, sam pan wie, że nie mają powodu kochać pana, doktorze Ryan.

- Dan mówił, że żadne z irlandzkich ugrupowań terrorystycznych nie działa w Ameryce - ostrożnie zauważył Ryan.

- Istotnie. - Shaw skinął głową. - Nigdy dotąd nie działało. Przypuszczam, że Dan wyjaśnił panu dlaczego. PIRA prowadzi u nas zbiórkę pieniędzy i to, niestety, z pewnym powodzeniem. Czasem kupują broń. Mamy powody przypuszczać, że ostatnio udało im się nawet wejść w posiadanie rakiet ziemia-powietrze...

- O cholera! - Jackson z uwagą spojrzał na agenta.

- Mieliśmy kilka kradzieży wyrzutni rakiet Redeye. To ręczne wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych, wycofane właśnie z uzbrojenia i zastępowane Stingerami. Okradzione kilka magazynów Gwardii Narodowej. Zresztą, to nic nowego. Policja ulsterska przechwyciła niedawno karabiny maszynowe M-60, które dostały się do Irlandii tą samą drogą. Zostały skradzione lub sprzedane przez jakiegoś sierżanta służb uzbrojenia, który zapomniał dla kogo pracuje. W ubiegłym roku zamknęliśmy kilku takich spryciarzy, a armia wprowadziła nowy system inwentaryzacji sprzętu, ułatwiający jego identyfikację. Jak dotąd udało nam się natrafić na ślad jednej z tych rakiet. Kilka miesięcy temu PIRA próbowała zestrzelić brytyjski śmigłowiec wojskowy. Sprawa nie dostała się do gazet głównie dlatego, że strzelec chybił. Tak czy inaczej, gdyby PIRA przeniosła do Ameryki działalność typu terrorystycznego, prawdopodobnie straciłaby źródło pieniędzy i broni. Jej działacze dobrze o tym wiedzą. Ci z ULA niewątpliwie też.

- No dobrze - zauważył Jack. - Nigdy tu nie działali. Mimo to Murray prosił, żeby pan mnie ostrzegł. Dlaczego?

- Nie podał żadnych powodów. Gdyby to ostrzeżenie pochodziło od kogoś innego, nie byłoby mnie tutaj. Ale Dan jest bardzo doświadczonym agentem i prosi jedynie, by miał się pan na baczności. Niech pan to nazwie ostrożnością, albo przezornością. Jak sprawdzenie opon przed długą podróżą.

- Po co więc zawracacie mi głowę? - poirytowanym tonem rzucił Jack.

- Otóż... straciliśmy ULA z oczu. Całą grupę. Trudno, oczywiście, wyciągać na tej podstawie

jakieś wnioski. Przypuszczam, że na tym polega ich taktyka. Przeprowadzili bardzo śmiałą akcję i - Shaw pstryknął palcami - zapadli się pod ziemię.

- Wywiad... - mruknął Jack do siebie.

- Co proszę?

- To już drugi raz. Zorganizowanie tego zamachu w Londynie było możliwe tylko w oparciu o bardzo dobre rozpoznanie. Mieli pecha, bo ja im wlałem w paradę. Tym razem poszcęściło im się. Informacja o przetruciu Millera była utajniona, ale te łobuzy mają wtyczkę w angielskich służbach bezpieczeństwa. Zgadłem?

- Prawdę mówiąc, nie znam szczegółów tej sprawy, ale przypuszczam, że ma pan rację - przyznał Shaw.

- Jak to wszystko wygląda z naszego punktu widzenia? Czego możemy się po nich spodziewać? - Jack sięgnął po leżący na biurku ołówek i zaczął obracać go w palcach.

- Ci ludzie są zawodowcami. To źle dla Anglików i RUC, ale dla nas to pomyślna okoliczność.

- A to dlaczego? - zapytał Robby.

- Ich awersja do doktora Ryana ma charakter poniekąd osobisty. Akcja odwetowa, wymierzona w niego, byłaby posunięciem sprzecznym z duchem profesjonalizmu.

- Inaczej mówiąc, kiedy twierdzi pan, że Jack nie ma się czym przejmować, stawia pan na ich profesjonalizm.

- Między innymi, komandorze. Między innymi. Bo poza tym opieram się na długoletnim doświadczeniu Biura w postępowaniu z tego typu ludźmi.

- Aha. - Robby zgasił cygaro. - W matematyce to się nazywa rozumowaniem indukcyjnym. My, technicy, mówimy o tym „WD”.

- Wu-de? - Shaw wzruszył ramionami.

- „Wnioskowanie Dyletanta”. - Jackson wpatrywał się w agenta surowym wzrokiem. - Większość materiałów wywiadu zasługuje na to określenie. Wyciągacie ogólne wnioski, nie analizując danych. Pan wybaczy, panie Shaw, ale my, w wojsku, nie zawsze jesteśmy zachwyceni tym, co dostajemy od wywiadu.

- Od razu wiedziałem, że przychodzenie tutaj nie ma sensu - mruknął Shaw. - Proszę posłuchać. W rozmowie ze mną Dan podkreślił, iż nie dysponuje nawet śladem dowodu na to, że szykuje się coś niezwykłego. Kilka ostatnich dni poświęciłem na badanie naszych danych dotyczących tej bandy i także nie znalazłem tam tego dowodu. Dan zawierzył po prostu swojemu instynktowi. Instynktowi policjanta.

Robby z aprobatą pokiwał głową. Pilot też musi ufać swojemu instynktowi.

- A zatem - Jack odchylił się na oparcie fotela - co, pańskim zdaniem, powinienem zrobić?

- Najlepszą obroną przed terrorystami jest unikanie stałego rozkładu zajęć. Specjaliści od ochrony uczą tego, na przykład, osobistości ze świata biznesu. Trzeba co dzień zmieniać odrobinę trasę dojazdu do pracy. Nie wychodzić z domu czy z biura zawsze o tej samej porze. Prowadząc samochód nie zapominać o wstecznym lusterku. Jeśli kilkakrotnie zobaczy pan ten sam pojazd, proszę zanotować jego numer i zadzwonić do mnie. Sprawdzenie go przez komputer to żaden problem. Prawdopodobnie nie ma się czego obawiać, proszę jedynie zachować odrobinę czujności. Jak dobrze pójdzie, za kilka dni czy tygodni damy panu znać, że może pan zapomnieć o całej tej sprawie. Proszę mi wierzyć, jestem prawie pewien, że niepokoję pana bez potrzeby, ale wie pan jak to jest: lepiej przesadzić z ostrożnością, niż potem żałować.

- A jeśli otrzymacie jakąś informację swoimi kanałami? - zapytał Jack.

- Pięć minut później zadzwonię do pana. Kierownictwu Biura bardzo nie podoba się myśl, że

moglibyśmy tu mieć czynnych terrorystów. Ciężko pracujemy, żeby do tego nie dopuścić i jak dotąd jesteśmy skuteczni.

- A w jakiej mierze zawdzięczacie to zwykłemu szczęściu? -mruknął Robby.

- Nie w tak dużej, jak się panu zdaje - odciął się Shaw. - To chyba wszystko. Przykro mi, doktorze Ryan, że musiałem zawracać panu głowę czymś, co prawdopodobnie jest tylko domysłem. Oto moja wizytówka. W razie czego proszę dzwonić bez wahania.

- Dziękuję, panie Shaw. - Jack przyjął wizytówkę i odprowadził wzrokiem wychodzącego agenta. Przez chwilę milczał zamyślony, następnie zajrzał do notesu z telefonami i wykręcił numer 011-44-1-499-9000. Po kilku sekundach miał połączenie z rozmówcą po drugiej stronie oceanu.

- Ambasada Stanów Zjednoczonych. - Telefonistka zareagowała już po pierwszym sygnale.

- Z attache prawnym, proszę.

- Proszę poczekać. - Minęło piętnaście sekund i w słuchawce ponownie zabrzmiał głos dziewczyny. - Telefon nie odpowiada. Pan Murray powinien być w domu... Nie, przepraszam, wyjechał i nie będzie go do końca tygodnia. Czy mam mu coś przekazać?

Jack zawahał się, zmarszczył brwi.

- Nie, dziękuję. Zadzwonię w przyszłym tygodniu.

Robby przyglądał się, jak Jack odkłada słuchawkę i w zamyśleniu bębni palcami w telefon. A tymczasem przed oczami Ryana znów stanęła twarz Millera. On jest pięć tysięcy kilometrów stąd, Jack.

- Może i jest - mruknął do siebie.

- Że co?

- Nie opowiadałem ci chyba o tym facecie, którego złapałem.

- Tym, którego odbili? Tym z telewizji?

- Czy kiedyś widziałeś, Rob... Jak by to powiedzieć? Czy widziałeś kogoś, kto wzbudził w tobie instynktowny strach?

- Chyba wiem o co ci chodzi - wymijająco odparł Robby. Nie bardzo umiał odpowiedzieć na to pytanie. Był pilotem i nieraz musiał walczyć ze strachem, ale przecież po to jest szkolenie, by nauczyć się panować nad swoimi reakcjami. W końcu nie ma na świecie człowieka, który nigdy się nie bał.

- Kiedy podczas procesu spojrzałem mu w oczy, zrozumiałem, że...

- Jest terrorystą i zabija ludzi. Nic dziwnego, że to cię ruszyło. - Jackson wstał i podszedł do okna. - Jezu, i oni nazywają ich profesjonalistami! To ja jestem profesjonalistą. Przestrzegam kodeksu postępowania, szkolę się, trenuję, stosuję się do norm i zasad.

- W tym co robią, są naprawdę dobrzy - powiedział cicho Ryan. -Dlatego są tacy niebezpieczni. A jeśli chodzi o ULA... Działają w sposób całkowicie nieprzewidywalny. Dowiedziałem się tego od Murraya.

- Chodź, odwiedzimy kogoś.

- Kogo?

- Po prostu chodź. -Jackson potrafił swemu głosowi nadać ton komendy, gdy zachodziła potrzeba. Ruch, jakim nasadził na głowę swoją białą czapkę jeszcze to podkreślił.

Zeszli na dół i ruszyli na wschód, obok kaplicy i masywnego, wyglądającego jak więzienie budynku Bancroft Hall. Był to jedyny budynek na terenie Akademii, który się Ryanowi nie podobał. Postawiono go, jak przypuszczał, po to by każdy słuchacz mógł zaznać rozkoszy wojskowego życia w gromadzie. Ryan nie chciałby tak mieszkać, będąc studentem. Robby w milczeniu parł naprzód, od niechcenia odmachując mijanym słuchaczom, prężącym się w salucie, a Jack starał się dotrzymać mu

kroku. Niemal słyszał jak myśli kłębią się pod czaszką lotnika. W ciągu pięciu minut dotarli do nowo wybudowanego Lejeune Annex, naprzeciwko domku Halseya.

Wielki, przeszklony i wykładany marmurem budynek kontrastował wyraźnie z kamienną szarością Bancroft Hall. Jako obiekt rządowy, Akademia Marynarki Stanów Zjednoczonych była pewnie wyjątkiem od powszechnie przyjętego dobrego smaku w architekturze. Weszli do westybulu, mijając grupę słuchaczy w strojach sportowych. Robby poprowadził Jacka schodami w dół, do sutereny. Ryan nigdy przedtem tu nie był. Weszli w słabo oświetlony, ślepy korytarz. Zdawało mu się, że słyszy przytłumiony odgłos strzałów z małokalibrowego pistoletu. Wrażenie to znalazło potwierdzenie,

gdy Jackson otworzył ciężkie stalowe drzwi, za którymi znajdowała się nowa strzelnica pistoletowa Akademii. Ujrzeni samotnego strzelca stojącego na środkowej osi, z pistoletem sportowym kalibru 0,22 cala tkwiącym nieruchomo w wyciągniętej prawej ręce.

Starszy sierżant sztabowy Noah Breckenridge był wzorem podoficera piechoty morskiej. Metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, dziewięćdziesiąt kilo wagi. Nosił koszulę mundurową khaki z krótkim rękawem. Ryan widział go kilkakrotnie, ale nie znał osobiście, choć jego reputacja była mu dobrze znana. W ciągu swojej dwudziestoosmioletniej służby w piechocie morskiej Breckenridge był wszędzie i robił wszystko, co można było robić w Korpusie Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Pięć rzędów baretek na piersi otwierał Krzyż Marynarki, na który zasłużył jako snajper oddziału rozpoznawczego 1. Zespołu Piechoty Morskiej w Wietnamie. Poniżej baretek kołysały się odznaki strzeleckie, „pukawki”, z których najniższa była klasy mistrzowskiej\*.

Breckenridge słynął jako znakomity strzelec. Co roku uczestniczył w mistrzostwach kraju w Camp Perry w stanie Ohio, dwukrotnie w ciągu ostatnich pięciu lat zdobywając mistrzostwo i Puchar Prezydenta za strzelanie z pistoletu Colt kalibru 0,45 cala. Jego buty lśniły tak, że trudno było się domyślić, że wykonano je z czarnej skóry. Mosiężne okucia i odznaki błyszcząły jak stal nierdzewna, a włosy miał obcięte tak krótko, że gołym okiem nie sposób było zauważyć ani śladu siwizny. Służbę zaczynał jako zwykły żołnierz, potem był w ochronie ambasad i na morzu. Uczył strzelania w szkole snajperów, był instruktorem wyszkolenia w Parris Island i w szkole oficerskiej Korpusu w Quantico.

Gdy oddział piechoty morskiej strzegący Akademii został wzmocniony, Breckenridge pełnił w Camp Lejeune obowiązki starszego podoficera dywizji i mówiono, że gdyby wyjechał z Annapolis, mógłby zakończyć swą trzydziestoletnią służbę jako starszy podoficer Korpusu, w Waszyngtonie, z biurem po sąsiedzku obok samego Komendanta

\* Korpus Piechoty Morskiej zachęca żołnierzy do doskonalenia umiejętności strzeleckich systemem premii finansowych, których wysokość zależy od wyników na strzelnicy. Zewnętrzną oznaką poziomu umiejętności żołnierzy są specjalne odznaki strzeleckie, w formie medalu o kształcie broni, którą włada żołnierz, z nazwą klasy osiągniętej. Zwykle nadawane są trzy klasy tej odznaki, „Marksman” („Strzelec”), „Sharpshooter” („Strzelec wyborowy1) i „Expert” („Ekspert”). Dla strzelców, którzy zakwalifikowali się do reprezentacji Korpusu istnieją jeszcze dwa stopnie: „Master” („Mistrz”) i „Champion”, który to najwyższy stopień można osiągnąć wygrywając mistrzostwa kraju w strzelaniu z danej broni].

Korpusu Piechoty Morskiej. Jego obecność w Akademii nie była przypadkowa. Breckenridge spacerujący alejkami na terenie Akademii był wymownym, acz niewypowiedzianym wyzwaniem dla słuchaczy, którzy jeszcze nie dokonali ostatecznego wyboru - „Nawet nie śmieć myśleć o byciu oficerem, jeżeli nie byłbyś w stanie dowodzić ludźmi takimi jak ja”. To wielu dawało do myślenia. Oddział piechoty morskiej, wzmacniający cywilną straż Akademii, formalnie dowodzony był przez oficera w stopniu kapitana. W rzeczywistości, jak to zwykle w Korpusie bywa, kapitan miał dość



zdrowego rozsądku, by pozwolić Breckenridgeowi kierować wszystkim. Bowiem to nie oficerowie, lecz sierżanci sprawiali, że wszystko trzymało się kupy.

Ryan i Jackson obserwowali, jak sierżant wyjmując z pudełka nowy pistolet i ładuje do niego magazynek. Strzelił dwa razy, po czym popatrzył na tarczę przez lunetę. Kręcąc z niezadowoleniem głową wydobyl z kieszeni koszuli śrubokrętek i przestawił celownik. Jeszcze dwa strzały, kolejna poprawka. Następne dwa strzały potwierdziły, że teraz pistolet jest doskonale przestrelany i może wrócić do pudełka.

- Jak leci, Gunny\*? - zapytał Robby.

- Dzień dobry, komandorze - odpowiedział Breckenridge. Jego akcent z nad Mississipi dźwięczał nad gołą, betonową posadzką. - Jak się pan miewa?

- Nie narzekam. Przywiodłem kogoś, kogo chciałbym ci przedstawić. Oto Jack Ryan.

Uścisnęli sobie dłonie. W odróżnieniu od Skipa Tylora Breckenridge zdawał sobie sprawę ze swej krzepy i potrafił nad nią zapanować.

- Witam. To pan jest tym facetem, o którym pisano w gazetach? - Breckenridge zapytał go o to jak rekruta.

- Zgadza się.

- Miło mi pana poznać, sir. Znam faceta, który dawał panu szkołę w Quantico.

Ryan zaśmiał się.

- i jak się powodzi Synowi King Konga?

- Willie jest już na emeryturze. Prowadzi sklep z artykułami sportowymi w Roanoke. Pamięta pana. Mówił, że jak na studencika był pan całkiem rozgarnięty, i że pewnie sporo musiał pan zapamiętać z tego, czego pana uczył. - Breckenridge spojrział na Jacka z wyrazem życzliwej satysfakcji, jak gdyby jego zachowanie w Londynie było kolejnym dowodem na to, że wszystko co Korpus robi i mówi, czemu poświęcił swe życie, ma rzeczywiście znaczenie. Cokolwiek by się zdarzyło i tak nie odwiódłoby go od tego przeświadczenia,

ale takie wypadki jak ten pogłębiały jego wiarę w Korpus. - Jeżeli gazety nic nie pokręciły, to zachował się pan dokładnie tak, jak należało, panie poruczniku.

- Chyba jednak nie całkiem, sierżancie...

- Gunny - przerwał mu Breckenridge. - Wszyscy nazywają mnie Gunny.

- Kiedy było po wszystkim - kontynuował Ryan - trząśłem się jak galareta.

To ubawiło Breckenridge'a.

- Do diabła, sir, wszyscy tak robimy. Liczy się to, że robota jest zrobiona. To co się potem czuje, nie obchodzi nikogo. Czym mogę panom służyć? Chcecie może trochę poćwiczyć strzelanie z broni krótkiej?

Jackson streścił mu to, co powiedział agent FBI. Twarz sierżanta pociemniała, szczęka mu zadrgała. Po chwili potrząsnął głową.

- Przejmujecie się tym, co? Nie mówię, że mam to panu za złe, panie poruczniku. Terrorysty! - zachnął się. - A któż to jest terrorysta? Śmieć z karabinem maszynowym. Dobrze uzbrojony śmieć, co prawda. Nie trzeba dużo umieć, żeby komuś strzelić w plecy albo wysypać parę serii w tłum na lotnisku. No dobra. Będzie pan się jakoś chciał zabezpieczyć, tak? I pewnie coś w domu?

- Sam nie wiem... Ale myślę, że mógłby mi pan coś polecić - Ryan nie zdążył tego jeszcze przemyśleć, ale wyglądało na to, że Robby już się tym zajął.

- Jak panu szło z bronią w Quantico?

- Zaliczyłem kurs czterdziestki i M-16. Bez fajerwerków, ale zaliczyłem.

- Czy teraz strzela pan czasami, sir? - Breckenridge zapytał z wyrzutem. Zwykle „zaliczenie” nie

rokowało zbyt wielu nadziei na poważne osiągnięcia strzeleckie.

- Zwykle wyrabiam swój przydział kaczek i gęsi. Ale w tym roku straciłem sezon.

- Inna zwierzyna?

- We wrześniu miałem dwa dobre polowania na gołębie. W ogóle całkiem nieźle sobie radzę z ptakami, Gunny. Mam samopowtarzalną dwunastkę, Remingtona 1100.

Breckenridge kiwnął głową.

- Na początek nieźle. To by załatwiało problem broni w domu. Na krótki dystans nic nie może się równać ze śrutówką, no może z wyjątkiem miotacza ognia - uśmiechnął się sierżant. - Ma pan do niej lufę bez czoków? Nie? To proszę sobie kupić. Ma jakieś pół metra długości, cylindryczny przewód i karabinowe przyrządy celownicze. Proszę wyjąć zaślepkę z magazynka, to będzie pan miał do dyspozycji pełną pojemność, pięć nabojów. Większość ludzi będzie pana namawiać na loftki zero-zero, ale ja raczej bym polecał czwórkę. Łuska mieści ich więcej i mają większy zasięg. Jeszcze na jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt metrów trafiają skutecznie, a dalej to pan i tak nie będzie potrzebował. Ważne jest to, że w cokolwiek pan trafi loftkami, jest załatwione i kropka. - Przerwał na chwilę. - Właściwie to mógłbym panu załatwić trochę nabojów strzałkowych.

- A co to takiego?

- To takie naboje eksperymentalne dla żandarmerii czy ochrony ambasad, którymi bawią się teraz w Quantico. Zamiast śrucin zawierają jakieś sześćdziesiąt strzałek kalibru około milimetra. Trzeba zobaczyć co to cholerstwo jest w stanie zrobić, żeby w to uwierzyć. Paskudztwo, niech mi pan wierzy. Dobra, to by załatwiało sprawę obrony domu. Czy będzie pan chciał nosić jakąś broń ze sobą?

Ryan myślał już o tym. W stanie Maryland oznaczało to, że musiałby wystąpić o pozwolenie. Ze stanową policją nie byłoby chyba problemu... A może by tak przez pewną agencję federalną? Przez chwilę rozważał tę możliwość.

- Może - odezwał się wreszcie.

- Okej. Zróbmy mały eksperyment - Breckenridge poszedł do swojego kantorka. Wrócił po minucie z kartonowym pudełkiem.

- Panie poruczniku, to jest pistolet sportowy firmy High Standard, kalibru 0,22 cala, oparty na konstrukcji czterdziestkapiątki. - Sierżant wręczył mu broń. Ryan wyjął magazynek i odciągnął zamek, sprawdzając, czy pistolet nie jest nabity. Breckenridge obserwował go i aprobująco skinął głową. Zasady bezpiecznego obchodzenia się z bronią ojciec wbił Jackowi do głowy ponad dwadzieścia lat temu. Ryan zważył broń w ręce i złożył się do strzału, by przyzwyczać się do obrazu muszki i szczerbiny. Każda broń jest inna. To był pistolet sportowy, przyjemnie wyważony i z dobrymi przyrządami celowniczymi.

- Wygląda, że jest w porządku - powiedział. - Trochę lżejszy od Colta.

- To go dociaży - Breckenridge podał mu załadowany magazynek. - Ma pan tu pięć nabojów. Proszę wprowadzić magazynek do chwytu, ale nie przeładowywać przed moją komendą.

Sierżant zdążył już przywyknąć do komenderowania oficerami, umiał to jednak robić taktownie.

- Proszę przejść na czwartą oś. Proszę się odprężyć. Jest ładny dzień w parku, okej?

- Tak, właśnie tak się to zaczęło - zauważył z przekąsem Ryan. Gunny podszedł do tablicy rozdzielczej i wygasił większość świateł w pomieszczeniu.

- W porządku panie poruczniku, proszę z łaski swojej trzymać broń lufą do podłogi. Teraz proszę przeładować i odprężyć się.

Jack lewą ręką odciągnął zamek, po czym pozwolił mu wrócić pod wpływem sprężyny

powrotnej. Nie odwracał się. Powiedział sobie, że ma się wyluzować i podporządkować regułom tej gry. Za sobą usłyszał szcęk zamykanej zapalniczki. Pewnie Robby przypalał jedno z tych swoich okropnych cygar.

- Widziałem w gazecie zdjęcie pańskiej córeczki, panie poruczniku. Cóż za piękna mała istotka.

- Dzięki, Gunny. A ja niedawno widziałem jedną z pańskich córek. Zgrabna i nie taka już mała.

Słyszałem, że zaręczyła się z jednym ze słuchaczy?

- Tak, sir. To moja mała - powiedział Breckenridge, bardziej teraz ojciec niż podoficer piechoty morskiej. - To ostatnia z moich trzech. Wyjdzie za mąż za...

Ryan niemal wyskoczył ze skóry, gdy seria petard wybuchła mu tuż pod nogami. Zaczął się odwracać, gdy Breckenridge ryknął do niego.

- Tam jest twój cel!

Zabłyśło światło, wydobywając z mroku tarczę sylwetkową oddaloną o piętnaście metrów. Jakaś mała część umysłu Ryana wiedziała, że to jest tylko próba, ale reszta zdawała się nic sobie z tego nie robić. Pistolet uniósł się do góry i zdawało mu się, że sam wycelował się w tarczę. Wszystkie pięć strzałów rozbrzmiało w ciągu mniej niż trzech sekund. Brzmiało jeszcze echo ostatniego strzału, gdy drżącą ręką odłożył pistolet na stół.

- Jezu, sierżancie!-jęknął Ryan.

Zapaliła się reszta świateł. Sala śmierdziała spalonym prochem, a resztki petard zaścięły podłogę. Robby, zauważył Jack, stał w bezpiecznej odległości, w wejściu do kantorka sierżanta, a sam Breckenridge stał za jego plecami, gotów złapać go za rękę z bronią, gdyby zaczął robić coś głupiego.

- Jedną z moich fuch jest posada instruktora w policji miejskiej w Annapolis. Wie pan, naprawdę ciężko jest wymyślić w jaki sposób zasymulować napięcie prawdziwej walki. Na razie wymyśliłem coś takiego. Dobra, teraz obejrzymy tarczę. - Breckenridge nacisnął przycisk, uruchamiający silnik elektryczny ściągający tarczę na czwartej osi.

- Cholera! - mruknął Ryan patrząc na tarczę.

- Nie jest tak źle - ocenił Breckenridge. - Cztery przestrzeliny na tarczy. Dwa pudła. Dwa trafienia, za to oba w klatkę piersiową. Pański wróg leży na ziemi, panie poruczniku i jest poważnie ranny.

- Dwa trafienia na pięć strzałów... To pewnie te ostatnie dwa. Trochę się już ogarnąłem i nie śpieszyłem się.

- Zauważyłem to - kiwnął głową Breckenridge. - Pierwszy pocisk poszedł za wysoko i za bardzo w lewo, mijając tarczę. Dwa następne poszły tu i tu. Dwa ostatnie strzały były już dobre. To wcale nie taki zły wynik, panie poruczniku.

- Ale w Londynie poszło mi lepiej. - Ryan nie był przekonany. Dwie dziury po obu stronach głowy celu zdawały sobie drwić z niego, a raz w ogóle nawet nie trafił w tarczę.

- W Londynie, panie poruczniku, o ile w telewizji dobrze było widać, miał pan sekundę, czy dwie, żeby się zastanowić, co pan chce robić - powiedział Gunny.

- Tak właśnie było - przyznał Ryan.

- Widzi pan, to jest właśnie sedno sprawy. Ta sekunda czy dwie namysłu decyduje nieraz o wszystkim, bo ma pan czas na rozważenie sytuacji. Wielu gliniarzy ginie właśnie dlatego, że im tej chwili na zastanowienie zabrakło, a bandyci ją mieli i zrobili z niej właściwy użytek. Ta sekunda pozwala zorientować się w sytuacji, wybrać cel i zastanowić się co robić. To, co zaaranżowałem, zmusiło pana do zrobienia tych trzech rzeczy na raz. Pierwszy pocisk poleciał panu Bogu w okno. Drugi i trzeci były prawie dobre, a ostatnie dwa były na tyle dobre, by wyeliminować przeciwnika.

Nie jest źle, synu, taki wynik osiągają zwykle dobrze wyszkoleni policjanci. Tyle że pan musi być lepszy.

- Co mam przez to rozumieć?

- Zadaniem policjanta jest utrzymanie spokoju. Pańskim zadaniem jest tylko przeżyć, a to trochę łatwiejsze. To jest ta dobra wiadomość. Złą wiadomością jest natomiast to, że ci dranie nie dadzą panu znowu dwóch sekund na myślenie, chyba że ich pan do tego zmusi albo będzie pan miał cholerne szczęście.

Breckenridge zaprosił ich gestem do kantorka. Sierżant klapnął na swój tandetny obrotowy fotel. Podobnie jak Jackson palił cygara. Jego cygaro było chyba trochę lepsze niż Robby'ego, ale i tak jego smród szybko wypełnił pokój.

- Będzie pan musiał zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, chcę widzieć codziennie przez miesiąc, jak wystrzeliwuje pan tutaj paczkę naboju, panie poruczniku. Strzelanie jest jak golf. Jeżeli chce się być w tym dobrym, trzeba to robić codziennie. Musi pan nad tym popracować i musi pan mieć dobrego nauczyciela. - Gunny uśmiechnął się. - Z tym na szczęście nie ma problemu, ja się panem zajmę. Po drugie, jeżeli ci dranie znowu tu węszyć, musi pan grać na czas.

- Ci z FBI powiedzieli mi, że bym jeździł jak faceci z ambasad - wtrącił Jackson.

- Tak, na początek to dobre. Zupełnie jak w Wietnamie, trzeba się wystrzegać utartych schematów. A co będzie, jeżeli zaatakują pana w domu?

- Ten dom jest na niezłym odludziu, Gunny - odpowiedział za Jacka Robby.

- Ma pan alarm? - Breckenridge zapytał Ryana.

- Nie, ale nie powinno być problemu z założeniem - odparł Jack.

- To dobry pomysł. Nie znam rozkładu pańskiego domu, ale jeżeli będzie pan w stanie zyskać na tym parę sekund i będzie pan miał pod ręką śrutówkę, to ma pan szansę sprawić, by gorzko żalowali swego przybycia. W każdym razie może ich pan trzymać na dystans do czasu przyjazdu policji. Jak już mówiłem, pańskim zadaniem jest tylko przeżyć. A co z rodziną?

- Moja żona jest lekarzem i jest w ciąży. Moja córka, no cóż, sam pan widział w telewizji.

- Czy pańska żona umie strzelać?

- Myślę, że w życiu nie trzymała broni w ręku.

- W ramach współpracy z policją prowadzę także kursy strzelania dla kobiet.

Ryan zastanawiał się, jak Cathy by na to zareagowała. Odłożył jednak te rozważania na bok.

- Jak pan myśli, jaką broń powinienem sobie kupić?

- Jutro dam panu kilka do wypróbowania. To musi być coś, czym się panu będzie wygodnie posługiwać. Tylko proszę zaraz po wyjściu stąd nie kupować rewolweru .44 Magnum, dobrze? Ja osobiście wolę pistolety samopowtarzalne. Ich mechanizm pochłania dużą część odrzutu, więc łatwiej się do nich przyzwyczaić. Powinien pan wybrać coś, z czego strzelanie będzie frajdą, a nie kawał metalu, wrywający nadgarstki. Ja najbardziej lubię Colta 45, ale bawię się w strzelanie z niego już dwadzieścia parę lat. - Breckenridge złapał Ryana za prawą rękę i dość brutalnie wykręcił mu dłoń. - Myślę, że powinien pan zacząć od 9 mm Browninga HP. Wygląda na to, że ma pan dłonie odpowiedniej wielkości, by go utrzymać. Wie pan, on ma trzynastonabojowy magazynek, więc żeby pewnie ująć chwyt trzeba mieć dość dużą dłoń. Poza tym ma sprawdzony bezpiecznik. Jak się ma dzieci w domu, to trzeba myśleć o bezpieczeństwie.

- Z tym nie ma problemu - powiedział Ryan. - Mamy dużą szafę, będę trzymał broń na niej, dwa metry nad podłogą. Czy tu można bezpiecznie trenować z bronią normalnego kalibru?

Breckenridge roześmiał się.

- Nasz kulochwyty był swego czasu częścią opancerzenia ciężkiego krążownika. Wprawdzie

głównie używamy tu dwudziestekdwójek, ale moi wartownicy ćwiczą tu cały czas z czterdziestkami-piątkami. Wygląda na to, że dobrze pan sobie radzi ze śrutówką. Jeżeli opanuje pan równie dobrze pistolet, będzie pan to mógł zrobić z każdą bronią. Może mi pan zaufać, sir, ja w ten sposób zarabiam na życie.

- Kiedy mam przychodzić?

- Może koło czwartej?

- Okej. - Ryan skinął głową.

- A co do pańskiej żony, może by ją pan tu przyprowadził w którąś sobotę? Posadzilibyśmy ją tu gdzieś i zrobiłbym jej wykład o broni. Wiele kobiet po prostu boi się huk. No i całe to pieprzenie w telewizji. Jeżeli nie uda się nic więcej, to może chociaż zaznajomimy ją ze śrutówką. Mówił pan, że jest lekarzem, więc powinna być całkiem bystra. Cholera, może jej się to nawet spodoba? Zdziwiłby się pan, ile dziewczyn które uczyłem, wzięło się za to na poważnie.

Ryan przecząco pokręcił głową. Cathy nigdy nawet nie dotknęła jego strzelby, nie pozwalała wchodzić Sally do pokoju, gdy ją czyścił. Jack nie zastanawiał się nad tym dotąd, nie miał nic przeciwko temu, żeby mu Sally nie przeszkadzała. Małe dzieci i broń to niezbyt szczęśliwe połączenie. W domu trzymał zwykle Remingtona rozłożonego, a naboje były zamknięte oddzielnie w piwnicy. Jak zareaguje teraz Cathy na to, że będzie trzymał w domu załadowaną broń? A co dopiero będzie, jak zacznie nosić ze sobą nabitą broń? Jak na to zareaguje? A jeżeli ci dranie będą się chcieli dobrać do nich?

- Wiem o czym pan myśli, poruczniku - powiedział Breckenridge - ale przecież pan komandor mówił, że FBI uważa tę groźbę za mało prawdopodobną, tak?

- No, tak...

- Czyli to, co robimy, to tylko wykupienie polisy ubezpieczeniowej, tak?

- To też mówili - odpowiedział Ryan.

- Proszę pana, mamy więc raport wywiadu. Dobra. Od czasu jak się tu kręciły te gnoje na motorach, dostajemy cynk od gliniarzy i FBI, czy jeszcze z innych źródeł, ostatnio nawet ze Straży Przybrzeżnej. Faceci od nich też przychodzą tu postrzelać, bo muszą zajmować się handlarzami narkotyków. Zawsze mogę nadstawić ucha gdzie trzeba - zapewnił go Breckenridge.

Informacje, wszystko zależało od informacji. Musisz wiedzieć co się zdarzy, jeżeli chcesz temu zaradzić. Jack odwrócił się, żeby spojrzeć na Jacksona, jednocześnie podejmując decyzję, której starał się uniknąć od powrotu z Londynu. Miał jeszcze ten numer telefonu u siebie w biurze.

- A jeżeli dadzą znać, że te gnoje na motorach wróciły, to co? -zapytał z uśmiechem Ryan.

- Będą tego żałować, sir - poważnym tonem odpowiedział sierżant. - To jest obiekt Marynarki Stanów Zjednoczonych, chroniony przez Korpus Piechoty Morskiej.

I tak trzymać, pomyślał Ryan.

- Dziękuję panu, Gunny. Będę się starał nie przeszkadzać. Breckenridge odprowadził ich do drzwi.

- A więc do jutra, do szesnastej, panie poruczniku. A pan, komandorze Jackson?

- Wolę się trzymać działek i rakiet, Gunny. Tak będzie bezpieczniej. Do widzenia.

- Do widzenia panom.

Robby odprowadził Ryana do jego biura. Dziś musieli sobie odpuścić codziennego drinka. Jackson miał jeszcze zrobić zakupy po drodze do domu. Po jego wyjściu Ryan na kilka chwil wlepił wzrok w telefon. Przez kilka dni udało mu się powstrzymać od wykręcenia tego numeru, mimo że łaknął informacji na temat ULA. Teraz to już nie była pusta ciekawość. Ryan otworzył notes na literze G. Z Waszyngtonem mógł się połączyć bezpośrednio, ale z wahaniem naciskał kolejne klawisze.

- Słucham, Cummings - głos odezwał się już po pierwszym sygnale. Jack wziął głęboki oddech.
- Witaj, Nancy, mówi doktor Ryan. Jest szef?
- Zaraz sprawdzę. Może pan chwilkę poczekać?
- Tak.

Ryan zauważył, że ich telefon nie wygrywał melodijek przy przełączaniu. Słysząc było jedynie zniekształcony przez odległość elektroniczny świergot linii. Czyja aby na pewno dobrze robię? Sam przed sobą przyznał, że nie wie.

- Jack? - odezwał się znajomy głos.
- Dzień dobry, panie admirale.
- Jak tam rodzinka?
- Dziękuję, dobrze.
- Dobrze znieśli całe to zamieszanie?
- Tak, sir.
- Z tego co wiem, twoja żona spodziewa się drugiego dziecka. Gratulacje.

Ryan zwalczył w sobie chęć zadania mu pytania skąd on to do cholery wie. Zastępca dyrektora Agencji do spraw wywiadu powinien wiedzieć wszystko, a dowiedzieć się mógł na milion sposobów.

- Dziękuję panu.
- Dobra, co mogę dla ciebie zrobić?
- Admirale, ja... - Jack zawahał się na chwilę. - Chciałbym się czegoś dowiedzieć o tej bandzie, o ULA.

- Tak też myślałem. Mam właśnie na biurku raport wydziału antyterrorystycznego FBI o nich, a ostatnio zasięgaliśmy o nich języka w SIS. Chciałbym, żebyś tu wrócił, Jack, tym razem na dłużej. Czy rozważałeś tę ofertę po naszym ostatnim spotkaniu? - niewinnym tonem zapytał Greer.

- Tak, sir, rozważałem, ale... No cóż, do końca roku akademickiego jestem tu uwięzany - Jack grał na zwłokę. Nie chciał tego zagadnienia rozważać. Jeżeli będą naciskali, po prostu odmówi, a to przekreśli szansę na dostanie się do Langley.

- Rozumiem. Nie śpiesz się. Kiedy chciałbyś się tu pokazać?

- Czy mogę przyjechać jutro rano? Pierwsze zajęcia będę miał dopiero o drugiej - odpowiedział Jack. Dlaczego mi to tak ułatwiacie?

- Nie ma sprawy. Bądź przed główną bramą o ósmej. Będą już tam na ciebie czekali. Do widzenia.

- Do zobaczenia, sir - Jack odłożył słuchawkę. To było łatwe. Zbyt łatwe, pomyślał. Co on knuje? Ryan odegnał od siebie tę myśl. Chciał zajrzeć do materiałów CIA na temat ULA. Mogli mieć coś, co przeoczyło FBI. A w każdym razie dowie się więcej, niż wie teraz.

Droga do domu nie była jednak spokojna. Jack spoglądał w lusterko, gdyż przypominał sobie, że wyjechał z Akademii tą samą trasą, co zawsze. Co gorsza, widział znajome samochody. Tak to już jest, jak się przez dłuższy czas dojeżdża tą samą trasą o tej samej porze. Poznawał już ze dwadzieścia wozów. W tym czerwonym Camaro Z-28 jedzie czyjaś sekretarka. Zapewne sekretarka. Za dobrze ubrana jak na kogoś innego. A tam ten młody prawnik w BMW. Ryan mianował go prawnikiem z powodu tego samochodu. Zaczął się zastanawiać jak to się stało, że tak łatwo etykietował znajomych z szosy.

- Co zrobię, jeżeli pojawi się ktoś nowy? - zastanawiał się na głos. - Czy będzie można poznać, który z nich to terrorysta? - Słabe szansę, wiedział o tym. Miller mimo całej swej diaboliczności, w marynarce i krawacie będzie wyglądał zupełnie normalnie, jak jeszcze jeden z wielu państwowych

urzędników, dojeżdżających do pracy w Waszyngtonie drogą numer 2 do Annapolis.

- Paranoja, to wszystko paranoja - mruknął do siebie. Jeszcze chwila i będzie sprawdzał przed wsiadaniem, czy na tylnym siedzeniu nie kryje się typ z garrotą lub pistoletem, jak w telewizji. Zastanawiał się, czy to wszystko nie jest koszmarną stratą czasu. A co jeżeli Dan Murray miał po prostu zły dzień albo był zbyt ostrożny? Biuro pewnie uczyło ich ostrożności w takich sprawach, tego był pewien. Czy nie przestraszy tym niepotrzebnie Cathy? A jeżeli to tylko bezpodstawne obawy?

A jeżeli nie?

- Właśnie dlatego pojedę jutro do Langley - odpowiedział sobie Ryan.

Sally poszła spać o w pół do dziewiątej, ubrana we flanelową piżamkę z rajstopami, właściwie rodzaj śpiochów, które utrzymywały ciepło w nocy. Jack uważał, że jest już chyba za duża na taki strój, ale Cathy upierała się przy nim, bo Sally rozkopywała się w nocy.

- Jak ci dzisiaj poszło w pracy? - zapytała go żona.

- Słuchacze dali mi medal - odpowiedział i opowiedział jej pokrótce całe zdarzenie. Potem wyjął z teczki Order Purpurowej Tarczy. Cathy była szczerze ubawiona. Uśmiech zgasł jej na twarzy, gdy następnie Jack zrelacjonował wizytę pana Shawa z FBI. Streścił jej otrzymane informacje, starając się nie opuścić nic ważnego.

- To znaczy, że nie uważa tego za prawdziwy problem? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Ale nie możemy tego zlekceważyć.

Cathy odwróciła się na chwilę. Nie wiedziała co ma zrobić z tą informacją. Nic dziwnego, pomyślał Jack, ja też nie wiem.

- No więc, co zrobimy? - zapytała w końcu.

- Po pierwsze zadzwonię do firmy instalującej alarmy i każę podłączyć dom do sieci. Po drugie, złożyłem już śrutówkę, leży załadowana.

- Nie, Jack, nie w tym domu, nie tu gdzie kręci się Sally - natychmiast odpowiedziała Cathy.

- Leży na górnej półce w mojej szafie. Jest załadowana, ale nie nabita. Nie da rady do niej sięgnąć, nawet ze stołka. Ta broń pozostanie tam, naładowana, Cathy. Mam też zamiar potrenować strzelanie z niej, a może i z pistoletu też. I - zawahał się na chwilę - chciałbym, żebyś i ty zaczęła strzelać.

- Nie! Jestem lekarzem, Jack. Ja nie używam broni.

- Przecież ona nie gryzie - cierpliwie wyjaśniał Jack. - Chcę tylko, żebyś spotkała się z moim znajomym, który uczy kobiety strzelać. Po prostu spotkaj się z nim i pogadaj.

- Nie - Cathy była nieugięta. Jack wziął głęboki oddech. Pewnie będzie musiał ją jeszcze z godzinę przekonywać. Zwykle właśnie po godzinie jej zdrowy rozsądek brał górę nad uprzedzeniami. Tyle że on nie miał na to aż godziny do stracenia.

- Zadzwonisz rano do firmy zakładającej alarmy? - zapytała.

- Rano muszę pojechać gdzie indziej.

- Dokąd? Przecież nie masz zajęć przed południem. Ryan wciągnął powietrze.

- Jadę do Langley.

- A co tam jest takiego w tym Langley?

- CIA - odpowiedział krótko Ryan.

- Co?

- Pamiętasz zeszłe lato? Dostałem wtedy pieniądze za doradztwo w spółce Mitre.

- No tak.

- Ale całą robotę wykonywałem w siedzibie CIA.

- Zaraz, przecież w Anglii mówiłeś, że nigdy...

- Czeki były z Mitrę, dla nich pracowałem, ale pisałem w CIA.

- Skłamałeś? - Cathy była zdumiona. - Skłamałeś w sądzie?

- Nie. Powiedziałem tylko, że nigdy nie byłem pracownikiem CIA, bo nim nie byłem.

- Nigdy mi tego nie mówiłeś.

- Nie musiałaś tego wiedzieć - odpowiedział Jack. Dopiero by było, pomyślał.

- Jestem, do cholery, twoją żoną! Coś ty tam robił?

- Byłem członkiem zespołu ekspertów. Co parę lat ściągają tam ludzi z zewnątrz, żeby rzucili świeżym okiem na ich dane. To coś w rodzaju kontroli jakości pracy stałych pracowników. Nie byłem szpiegiem, ani nikim takim. Całą pracę wykonywałem siedząc przy małym biurku w jakiejś klitce na trzecim piętrze. Napisałem dla nich raport i tyle. - Reszty i tak nie było sensu wyjaśniać.

- O czym był ten raport?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Jack! - Teraz była naprawdę wściekła.

- Słuchaj, kochanie, podpisałem na koniec oświadczenie, że nigdy nie będę rozmawiał o tym z nikim, kto nie zostanie dopuszczony do tajnych dokumentów. Dałem słowo, Cathy. - Paradoksalnie, to ją trochę uspokoiło. Wiedziała, że jej mąż miał chyzia na punkcie dotrzymywania słowa. To była jedna z jego cech, za które go kochała. Gniewało ją trochę, że użył tego argumentu do obrony, ale wiedziała, że tego muru nie przebije. Spróbowała inaczej.

- Skoro zrobiłeś swoje, po co chcą cię z powrotem?

- To ja chcę rzucić okiem na ich informacje. Chyba domyślasz się, o które mi chodzi?

- A, więc to wszystko przez tych ludzi z ULA?

- No, powiedzmy, że nie przejmuję się w tej chwili akurat Chińczykami.

- Ty się naprawdę nimi martwisz, prawda? - Teraz i ona zaczęła się przejmować.

- Tak, myślę, że tak.

- Ale dlaczego? Przecież sam mówiłeś, że FBI sądzi, że oni nie...

- Nie wiem... A zresztą, cholera, tak, wiem. Chodzi mi o tego skurwiela Millera, tego z procesu. On mnie chce sprzątnąć. - Ryan spuścił wzrok na podłogę. Po raz pierwszy wypowiedział głośno swoje obawy.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Widziałem to w jego twarzy, Cathy. Widziałem i zacząłem się bać. Nie tylko o siebie.

- Przecież ani Sally, ani ja...

- A myślisz, że on się tym przejmuje? - zachnął się Jack. - Te sukinsyny zabijają ludzi, których nawet nie znają. Robią to dla rozrywki. Chcieliby zmienić świat według własnego widzimisię i gównie ich obchodzi, kto podejdzie pod rękę po drodze. Po prostu nie dbają o to.

- Więc po co jedziesz do CIA? Czy oni mogą cię... nas, ochronić?

- Chcę się lepiej zorientować, o co tym ludziom chodzi.

- Ale FBI to wie, czyż nie?

- Chcę sam to zobaczyć. Nieźle mi poszło wtedy z tym raportem - wyjaśnił Jack. - Nawet prosili, żebym został u nich na stałe. Odmówiłem.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś - zrzędziła Cathy.

- Ale teraz już wiesz - uciał Jack. Potem przez parę minut powtarzał zalecenia Shawa, że powinna uważać po drodze z i do pracy. Cathy powoli zaczęła się uśmiechać. Jeździła sześcicylindrową bombą na kółkach, Porschem 911. Swoją drogą, Jack zawsze się dziwił, jak jej się udało nigdy do tej pory nie dostać mandatu za przekroczenie prędkości. Może dlatego, że wyglądała tak niewinnie, a może machała policjantom przed nosem identyfikatorem ze szpitala i



opowiadała, że śpieszy się na ważną operację. Tak czy inaczej, jeździła samochodem, który wyciągał ponad dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i był zwinny jak królik. Zresztą jeździła Porschem od dnia swoich szesnastych urodzin i Jack musiał niechętnie przyznać, że umiała na szosie za miastem wycisnąć z tego małego zielonego samochodu tyle, że kurczowo wpijał się w fotel. To chyba nawet skuteczniejsza ochrona, pomyślał, niż gdyby chodziła z pistoletem.

- A więc, czy teraz już będziesz pamiętać, żeby to robić?

- Naprawdę muszę?

- Przykro mi, że nas w to wszystko wpakowałem. Nigdy nie myślałem, że coś takiego może się przydarzyć. Może powinienem zostać na miejscu...

Cathy objęła go ramieniem.

- Teraz tego nie zmienisz. Może oni się mylą. Tak jak powiedziałaś, może im tylko odbija.

- Może i tak.

12

Witaj w domu

Ryan wyjechał z domu dobrze przed siódmą. Pojechał drogą numer 50 na zachód, do Waszyngtonu. Szosa była jak zwykle zapchana tłumem dojeżdżających do pracy urzędników, którzy zmienili oblicze stolicy z malowniczego skupiska pałacyków w miasto nomadów. Zjechał na autostradę 1-495, obwodnicę oplatającą miasto. Jechał na północ, przebijając się przez coraz gęstsze korki, zapowiadane przez helikopter miejscowej stacji radiowej. Miło było przynajmniej wiedzieć, dlaczego wszyscy jadą dwadzieścia kilometrów na godzinę drogą konstruowaną z myślą o podróżowaniu setką.

Zastanawiał się, czy Cathy robi to co powinna. Niedobrze, że do Baltimore miała niewiele dróg do wyboru. Przedszkole Sally było przy Ritchie Highway, co wykluczało dojazd inną drogą. Z drugiej strony, ta droga zawsze była zatłoczona i nie tak łatwo ją było na niej przechwycić. W samym Baltimore miała do wyboru wiele dróg dojazdowych do szpitala Hopkinsa i obiecywała często je zmieniać. Ryan spoglądał na korek i klął z cicha. Mimo tego co powiedział Cathy, nie bał się za bardzo o rodzinę. To on wszedł w drogę terrorystom i jeżeli mieli do niego osobistą urazę, to tylko on powinien być celem ich ataku. Być może. W końcu przejechał most nad Potomakiem i skręcił w Washington Parkway. Kwadrans potem zjechał w aleję dojazdową, prowadzącą do centrali CIA.

Zatrzymał swego Rabbita przed wartownią. Umundurowany strażnik wyszedł i zapytał go o nazwisko, choć już przedtem sprawdził numer rejestracyjny samochodu na komputerowym wydruku przypiętym do podkładki. Ryan podał prawo jazdy strażnikowi, który uważnie porównał zdjęcie Jacka z jego twarzą, zanim wydał mu przepustkę.

- Do parkingu dla gości w lewo, potem drugą alejką w prawo...

- Dziękuję, już tu byłem.

- W porządku, sir. - Strażnik machnął ręką, żeby przejeżdżał.

Drzewa były nagie, bez liści. Siedzibę CIA zbudowano za pierwszą linią wzgórz nad doliną Potomaku, w środku gęstego niegdyś lasu. Część drzew zachowano, by skrywały budynki przed wzrokiem ludzi. Jack skręcił w pierwszą alejkę w lewo i pojechał drogą wijącą się pod górę. Na parkingu dla gości też był strażnik, tym razem kobieta, która wskazała mu wolne miejsce i ponownie sprawdziła dokumenty Ryana, zanim zaprowadziła go do osłoniętego wiatą głównego wejścia. Na prawo stał „Babel”, sala kinowa w kształcie igloo, połączona tunelem z głównym budynkiem. Wygłaszał tam kiedyś odczyt na temat strategii morskiej.

Budynek CIA był siedmiokondygnacyjną budowlą z fasadą z białego kamienia, czy raczej z jego

betonowej imitacji, nigdy się jej bliżej nie przyglądał. Gdy tylko weszli, atmosfera centrali szpiegowskiej uderzyła go jak pałką po głowie. W holu snuło się ośmiu ochroniarzy po cywilnemu, w rozpiętych marynarkach, sugerujących, że mają pod nimi broń. Tak naprawdę mieli tam tylko radiotelefony, ale Jack był pewien, że w razie czego ludzie z bronią też byli pod ręką. Na ścianach zainstalowano kamery, przekazujące obraz do dyżurki ochrony. Ryan nawet nie wiedział, gdzie ona się znajduje. Tak naprawdę jedynymi częściami budynku, które poznał były korytarze prowadzące do jego dawnej dziupli na trzecim piętrze, do toalety i do kantyny. Kilka razy był na ostatnim piętrze, ale za każdym razem pod eskortą, gdyż kategoria jego przepustki nie pozwalała mu krążyć swobodnie po budynku.

- Doktorze Ryan - powiedział zbliżający się mężczyzna. Wyglądał jakoś znajomo, ale Jack nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. - Jestem Marty Cantor, pracuję na górze.

Ryan przypomniał go sobie, gdy się witali. Cantor był asystentem admirała Greera, absolwentem Yale. Podał Jackowi identyfikator.

- Nie idziemy przez poczekalnię dla interesantów?

- Wszystko jest już załatwione. Proszę za mną.

Cantor poprowadził go do pierwszego punktu kontrolnego. Zdjął z szyi łańcuszek, na którym wisiała jego przepustka i wsunął ją do szczeliny czytnika. Szlaban pomalowany w białopomarańczowe pasy, zupełnie jak na parkingu, uniósł się i opadł, gdy z kolei Ryan wsunął swój identyfikator. Komputer w podziemiach porównał kod przepustki z zapisanym w pamięci i zdecydował, że jej posiadacza można wpuścić. Szlaban uniósł się ponownie w górę. Jack poczuł się nieswojo. Zupełnie jak za pierwszym razem, pomyślał, jak w więzieniu. A system zabezpieczeń w więzieniu, to nic w porównaniu z Langley. Było w tym miejscu coś nieodparcie paranoicznego.

Jack powiesił przepustkę na łańcuszku na szyi. Rzucił na nią okiem. Była na niej zeszłoroczna kolorowa fotografia i numer, ale nie było nazwiska. Na żadnej przepustce w CIA nie było nazwisk. Cantor szybko przeprowadził go w prawo, potem w lewo, do wind. Ryan zauważył kiosk z Coca Colą i batonami. Prowadzili je niewidomi, jeszcze jedna ponura ciekawostka CIA. Pewnie niewidomi stwarzali mniejsze zagrożenie dla bezpieczeństwa Agencji, pomyślał.

Ciekawe jak oni się dostają rano do pracy. Wewnątrz budynek był zaskakująco obskurny. Płytki na podłodze nigdy nie lśniły czystością, ściany pomalowane były na jakiś bury żółto-beżowy kolor, nawet obrazy na ścianach były kiczowate. Wielu ludzi zadziwiał brak przywiązania Agencji do zewnętrznego blichtru. Zeszłego lata Ryan stwierdził, że wielu z jej pracowników czerpie jakąś perwersyjną dumę z obskurności swego miejsca pracy.

Wszyscy spotykani ludzie przemykali korytarzami w anonimowym pośpiechu. Chodzili tak szybko, że na większości rogów umieszczono wypukłe lustra, pozwalające uniknąć kolizji. A może sprawdzać, czy za rogiem ktoś się nie czai lub nie podsłuchuje.

Po coś ty tu przylazł? Jack starał się wygonić tę natrętą myśl z głowy, gdy wchodzili do windy. Cantor nacisnął najwyższy guzik. Chwilę później drzwi rozsunęły się, ukazując jeszcze jeden bury korytarz. Ryan jak przez mgłę przypominał sobie teraz drogę. Cantor skręcił w lewo, potem w prawo, a Ryan spoglądał na ludzi przemykających korytarzami z prędkością, która zrobiłaby wrażenie na trenerze olimpijskiej drużyny chodźarzy. Uśmiechnął się na tę myśl, ale uśmiech zgasł, gdy uświadomił sobie, że tu się nikt nie uśmiecha. Centralna Agencja Wywiadowcza to bardzo poważne miejsce.

Gabinety kierownictwa CIA położone były przy oddzielnym korytarzu, jedynym wyłożonym dywanem, który biegł równoległe do głównego ciągu komunikacyjnego i prowadził do biur z oknami wychodzącymi na wschód. Jak zwykle byli tam ludzie, którzy po prostu stali i rozglądali się.

Obejrżeli przepustkę i Ryana, nie okazując przy tym żadnej reakcji, co dla Jacka było dobrą wiadomością. Cantor podszedł do właściwych drzwi i bez pukania otworzył je.

Admirał Greer, ubrany po cywilnemu, jak zwykle rozpierał się w swoim fotelu obrotowym z wysokim oparciem, jak zwykle czytając jakieś dokumenty z teczki i popijając równie nieodłączną kawę. Ryan jeszcze nigdy nie zastał go w innej sytuacji. Greer miał ponad sześćdziesiąt lat, był wysokim, postawnym mężczyzną o wyglądzie patrycjusza, którego głos potrafił być na życzenie równie uprzejmy, co ostry. Mówił akcentem z Maine, a Ryan wiedział, że mimo pozorów był synem farmera, który ciężko zapracował na to, by dostać się do Akademii Marynarki, a potem spędził czterdzieści lat w mundurze, zrazu jako oficer broni podwodnej, a potem jako specjalista od wywiadu. Greer był jednym z najinteligentniejszych ludzi, jakich Ryan spotkał w życiu. I jednym z najbardziej przebiegłych. Jack był przekonany, że ten siwowłosy dżentelmen potrafi czytać w myślach. Na pewno należało to do zakresu obowiązków Zastępcy Dyrektora Agencji ds. Wywiadu. Wszystkie dane zbierane przez szpiegów, satelity i w Bóg jeden wie jaki jeszcze sposób, przechodziły przez jego biurko. Jeżeli on czegoś nie wiedział, to znaczy że informacja nie była tego warta. Spojrzał na chwilę znad akt.

- Witam panie Ryan. - Admirał wstał i wyszedł zza biurka. -Widzę, że dotarł pan punktualnie.

- Tak, sir. Dobrze zapamiętałem udrękę dojeżdżania tu zeszłego lata.

Marty podał wszystkim kawę, zanim zdążyli o to poprosić. Usiedli na fotelach wokół niskiego stolika. Jack pamiętał, że Greer zawsze miał dobrą kawę.

- Jak tam ramię, synu?

- Już prawie normalnie, sir. Tyle że teraz mogę przepowiadać deszcze. Mówią, że to może przejść, ale na razie to tak jak reumatyzm.

- A jak rodzina?

Facet nie odpuści nigdy okazji do zarzucenia wędki, pomyślał Jack. Zupełnie jak ja.

- Trochę zdenerwowani, sir. Wczoraj wieczorem opowiedziałem o wszystkim Cathy. Ani ja, ani ona nie jesteśmy zadowoleni z tej wiadomości - powiedział. I pomyślał, że czas już na przejście do interesów.

- Tak więc, czym możemy panu służyć? - głos Greera zmienił się z grzecznościowego tonu starszego dżentelmena na rzeczowy ton zawodowego oficera wywiadu.

- Sir, wiem, że proszę o wiele, ale chciałbym zajrzeć do tego, co Agencja wie na temat tych typów z ULA.

- Dużo tego nie mamy - zastrzegł się Cantor. - Ci chłopcy zacierają ślady bardzo profesjonalnie. Ktoś pompuje w nich mnóstwo szmalu. Nic pewnego na ten temat nie wiemy, ale tak musi być.

- Skąd pochodzą te informacje?

Cantor spojrzał na Greera, a gdy ten skinął głową, odpowiedział.

- Panie doktorze, zanim do tego dojdziemy, musimy porozmawiać o pańskiej kategorii dostępu do tajemnic.

- No dobra, co mam podpisać? - odezwał się zrezygnowanym tonem Ryan.

- Tym się zajmiemy, gdy będzie pan wychodził. Pokażemy panu niemal wszystko, co mamy. Ale musi pan wiedzieć, że jest to materiał oznaczony gryfem TSP.

- Nie dziwię się - westchnął Ryan. „Tajne Specjalnego Przeznaczenia” to była kategoria wyższa od „Ściśle Tajne”. Do tych informacji dopuszczane były pojedyncze, ściśle określone osoby. Osobom takim przydzielano specjalne kryptonimy, które mogły być znane tylko tym osobom. Ryan tylko dwukrotnie dotąd widział takie dokumenty. A teraz rozłożą to wszystko przede mną, ot tak, myślał ze zdumieniem patrząc na Cantora. Greer musi mnie bardzo chcieć w CIA, jeżeli idzie na coś takiego.

- A więc, jak już pytałem, skąd pochodzą te wiadomości?

- Część od Anglików, a dokładniej od PIRA przez Anglików. Trochę nowszych danych od Włochów...

- Włochów? - Ryan zdumiał się na chwilę, ale szybko pojął o co chodzi. - Racja, oni mają kupę swoich ludzi w takich krajach z wydmami, tak?

- A jeden z nich zidentyfikował pańskiego przyjaciela, Seana Millera, gdy ten schodził z pokładu statku, który trzeba trafić, był akurat w kanale La Manche w pierwszy dzień świąt - dodał Greer.

- Ale teraz nie wiemy, gdzie oni są?

- On i nieznana liczba osób towarzyszących udali się na południe. - Cantor uśmiechnął się. - Co biorąc pod uwagę, że kraj, o którym mowa leży cały na południe od Morza Śródziemnego, daje nam niewiele.

- FBI ma tyle samo co my, Anglicy też - powiedział Greer. - Niewiele tego, ale siedzi nad tym zespół ludzi i próbuje wycisnąć więcej.

- Dziękuję, że pozwoli mi pan to przejrzeć, panie admirale.

- Nie robimy tego z dobroci serca, panie Ryan - podkreślił admirał. - Mamy nadzieję, że potrafi pan w tym znaleźć jeszcze coś użytecznego. Ale nie chcemy nic za darmo. Jeżeli tylko pan zechce, jeszcze dziś zostanie pan pracownikiem Agencji. I możemy panu załatwić federalne pozwolenie na broń.

- A skąd pan wie, że...

- Taki już mam zawód, synu, że muszę wiedzieć to i owo - uśmiechnął się starszy pan. Ryan nie widział w swojej sytuacji nic zabawnego, ale musiał uznać swoją porażkę.

- Kiedy mogę zacząć?

- A jak wygląda pański rozkład zajęć?

- To się da pogodzić - ostrożnie powiedział Ryan. - Mógłbym tu przychodzić rano we wtorki, pracować jeden dzień w tygodniu i dwie połówki, rano. Większość wykładów mam po południu. Zbliży się przerwa semestralna, wtedy będę miał cały tydzień do wykorzystania.

- Bardzo dobrze. Szczegóły proszę omówić z Martym. Zajmijcie się papierkami. Miło znów cię widzieć, Jack.

- Dziękuję, sir. - Uścisnęli sobie dłonie raz jeszcze.

Greer poczekał, aż drzwi się zamkną, zanim powrócił do biurka. Poczekał jeszcze kilka chwil, by Cantor i Ryan zdążyli się oddalić, potem przeszedł do biura na rogu, które zajmował dyrektor Agencji.

- No i co? - zapytał sędziego Arthur Moore.

- No i mamy go - odparł Greer.

- Jak tam procedura werbunkowa?

- Czysty. Trochę ostro grał swego czasu na giełdzie, ale w końcu do diabła potrzebujemy tu spryciarza, nie?

- Nic nielegalnego? - zapytał sędzia Moore. Agencja nie chciała nikogo, komu wisiłoby nad głową dochodzenie Komisji Papierów Wartościowych. Greer pokręcił głową.

- Nie, po prostu był bardzo cwany.

- To dobrze. Ale na razie, zanim go do końca nie prześwietlą, nie pokazujcie mu nic więcej poza tymi rzeczami o terrorystach.

- Dobrze, Arthurze.

- A w ogóle to zadaniem zastępców dyrektora nie jest rekrutacja kandydatów do pracy - wytknął

mu dyrektor.

- Ostro powiedziane. Czyżby ta jedna marna butelczyna burbona aż tak boleśnie nadszarpnęła twoje konto w banku?

Sędzia roześmiał się. Nazajutrz po ucieczce Millera z angielskiego więzienia Greer założył się z nim o butelkę burbona, że Ryan się odezwie. Moore nie lubił przegrywać, to mu zostało z czasów gdy był sędzią sądu okręgowego, zanim został sędzią Sądu Najwyższego, ale dobrze wiedzieć, że jego zastępca dawał sprawdzające się prognozy.

- Kazałem Cantorowi załatwić mu pozwolenie na broń - dodał Greer.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

- Tak myślę, sir.

- Czyli to już postanowione? - zapytał spokojnie Miller. O'Donnell spojrzał na niego, wiedząc dlaczego doszło do powstania tego planu. To był dobry plan, przyznawał to, z dużymi szansami na powodzenie. W swoim zuchwalstwie miał elementy błyskotliwe. Ale Sean pozwalał osobistym emocjom wpływać na swój osąd, a to niedobrze, nieprofesjonalnie.

Wyjrzał przez okno. Krajobraz Francji niknął w mroku, dziesięć tysięcy metrów poniżej samolotu pasażerskiego, którym lecieli. Ci wszyscy ludzie spali tam w swoich domach, tacy bezpieczni i pewni siebie. Lecieli nocnym rejsiem, samolot był niemal pusty. Stewardessa drzemała w fotelu kilka rzędów za nimi, a wokół nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchiwać. Jęk silników odrzutowych zagłuszyłyby wszelkie urządzenia podsłuchowe, a zresztą bardzo starannie się maskowali. Najpierw polecili do Bukaresztu, stamtąd do Pragi, potem do Paryża, a teraz lecieli do domu, do Irlandii, mając w paszportach tylko francuskie stemple wjazdowe. o'Donnell był człowiekiem bardzo ostrożnym, do tego stopnia, że miał przy sobie fikcyjne notatki z rozmów handlowych, które jakoby prowadził we Francji. o'Donnell był pewien, że przejdą przez kontrolę celną bez przeszkód. Było późno, urzędnicy kończyli po przylocie ich samolotu zmianę i śpieszyli się do domu.

Sean miał nowy paszport, oczywiście z kompletem właściwych stempli. Miał teraz dzięki szkłom kontaktowym brązowe oczy, nosił inną fryzurę, zmienił kolor włosów, a równo przycięta broda zmieniła kształt jego twarzy. Sean nienawidził tej brody, skóra go pod nią swędziała jak diabli. o'Donnell uśmiechnął się w półmroku kabiny. No cóż, będzie musiał do tego przywyknąć.

Miller nic nie mówił. Siedział wygodnie oparty i udawał, że czyta pismo, które znalazł w kieszeni fotela. Ta udawana cierpliwość była na rękę jego szefowi. Terrorysta przeszedł właśnie szkolenie uzupełniające zrzucając nadwagę, ponownie nabierając biegłości w posługiwaniu się bronią, odbywając konferencje z oficerami wywiadu zaprzyjaźnionych krajów, dobrze znosząc ich krytyczne uwagi dotyczące londyńskiego fiaska. Ci mądrze nie brali pod uwagę czynnika przypadku i wytykali mu, że dla zapewnienia powodzenia operacji na miejscu powinien być jeszcze jeden samochód z ludźmi. Przez cały ten czas Sean zachowywał spokój i grzecznie słuchał. A teraz cierpliwie czekał na zatwierdzenie planu operacji. Może jednak czegoś go to angielskie więzienie nauczyło.

Ryan podpisał formularz, kwitując odbiór dokumentów z wózka. Siedział znowu w tej samej dziupli co zeszłego lata, pomieszczeniu wielkości szafy, bez okna, na trzecim piętrze głównego budynku CIA. Jego biurko było chyba najmniejszym rozmiarem z produkowanych dla urzędów państwowych w więzieniach federalnych, a obrotowe krzeselko było mocno tandetne. Szczyt szyku a la CIA.

Goniec zwałił dokumenty na biurko Ryana i wyszedł z pokoju. Jack zabrał się do roboty. Zdjął pokrywkę ze styropianowego kubka kawy, który kupił w kiosku za rogiem korytarza, wpuścił do

niego cały pojemniczek śmietanki i dwie torebki cukru. Zamieszał ołówkiem, jak mu się to często zdarzało. Jego żona nie znosiła tego nawyku.

Stos akt miał jakieś trzydzieści centymetrów wysokości. Dokumenty były zapakowane w duże koperty, z których każda oznaczona była kodem literowo-cyfrowym. Teczki, które wyjął z pierwszej koperty miały brzegi oklejone czerwoną taśmą dla podkreślenia wagi informacji, które zawierały. Oznaczenia te zaprojektowano tak, by rzucały się w oczy, by nikt ich nie przeoczył. Tak oznaczone teczki należało bowiem wychodząc chować do sejfu, nie wolno ich było pozostawiać na widoku, gdzie mógłby się do nich dostać ktoś niepowołany. Dokumenty wewnątrz były spięte i ponumerowane. Pierwsza teczka nosiła naklejkę z wydrukowanym hasłem WIERNOŚĆ. Ryan wiedząc, że hasła były wybierane przypadkowo przez komputer, zastanawiał się ile takich haseł już wykorzystano i na ile ich jeszcze starczy, skoro zasób słownictwa w pamięci komputera został poważnie uszczuplony na setki tysięcy takich teczek, krążących po budynku. Przez chwilę zwlekał z zajrzeniem do niej, tak jakby dopiero ten fakt skazywał go nieodwołalnie na pracę w CIA, jakby jeszcze nie wszedł na tę ścieżkę...

- Dosyć tego - powiedział sam do siebie i otworzył teczkę. To był pierwszy raport CIA na temat ULA, sprzed niespełna roku.

ARMIA WYZWOLENIA ULSTERU. GENEZA ANOMALII, głosił tytuł. Anomalia. Tego słowa użył Murray, przypomniał sobie Ryan. Pierwszy akapit raportu oświadczał z rozbijającą szczerością, że informacje zawarte na następnych stronach są bardziej spekulacją niż faktem, opierającą się na danych uzyskanych od skazanych członków PIRA, a dokładniej na ich zaprzeczeniach. „To nie była nasza operacja” mówili ci, których złapano przy jakiejś innej okazji.

- Raczej niezbyt wiarygodne źródło - mruknął Ryan.

Dwaj autorzy odwalili jednak kawał solidnej roboty, porównując i zestawiając ich napomknięcia. Nieprawdopodobna historia, usłyszana z czterech różnych źródeł, po zestawieniu relacji nabierała sensu. Tym bardziej, że IRA była, technicznie rzecz ujmując, grupą zawodowców. Jack wiedział z poprzednich prac, że Skrzydło Tymczasowych Irlandzkiej Armii Republikańskiej było znakomicie zorganizowane według klasycznej zasady komórkowej. Działo na tych samych zasadach, co wszystkie organizacje wywiadowcze. Poza garstką szefów, szczegóły operacji były podzielone i znane tylko tym, którzy musieli je znać, aby spełnić swe zadanie. „Wiedzieć tylko tyle, ile jest niezbędne” to motto każdego wywiadu.

„Tak więc, jeżeli szczegóły operacji są znane ogółowi aresztowanych członków, to tylko w przypadku, gdy nie była to operacja PIRA. Gdyby było inaczej, nie znalazłby ich i nie dyskutowali o nich, nawet we własnym gronie” - konkludował raport. Trochę to pokrętne, pomyślał Ryan, ale mimo to całkiem przekonujące. Ta teoria miała ręce i nogi, zwłaszcza że w ten sam sposób identyfikowano operacje głównego konkurenta PIRA, Irlandzkiej Armii Narodowo-Wyzwoleńczej, INLA, ugrupowania które zamordowało lorda Louisa Mountbattena. Rywalizacja między PIRA i INLA często się zaostrzała, chociaż ta ostatnia, przez swój brak spójności wewnętrznej i ogólną amatorszczyznę organizacji, nie miała większych szans na dorównanie PIRA efektywnością.

Zaledwie niespełna rok temu ULA wyszła z cienia, przyjmując jakiś kształt. Przez pierwszy rok jej działania Brytyjczycy sądzili, że są oni jakąś Grupą Akcji Specjalnych PIRA, specgrupą Tymczasowych. Teoria ta wzięła w łeb, gdy ujęty członek PIRA żarliwie zaprzeczył powiązaniom swej organizacji z akcją, która jak utrzymywał, była zabójstwem dokonany przez ULA. Autorzy raportu zajęli się analizą operacji przypisywanych ULA, podkreślając wspólne elementy operacji. To miało sens, przyznał Ryan. Na przykład, w ich operacjach brało udział zwykle więcej ludzi, niż w akcjach Tymczasowych.

- Ciekawe... - Ryan wyszedł z pokoju, kierując się do kiosku, gdzie kupił paczkę papierosów. Po niespełna minucie był już z powrotem, zmagając się z szyfrowym zamkiem drzwi.

- Więcej ludzi podczas akcji w terenie... - Jack zapalił „lekkiego” papierosa z przyniesionej paczki. - To przecież naruszenie podstawowych zasad bezpieczeństwa - myślał na głos. Im więcej ludzi, tym więcej szans na spieprzenie czegoś. Co by to oznaczało? Ryan porównał trzy operacje, doszukując się podobieństw.

Po dziesięciu minutach było to już dla niego jasne. ULA była organizacją o bardziej wojskowych od PIRA założeniach. Zamiast małych, niezależnych grupek charakterystycznych dla partyzantki miejskiej, ULA tworzyła raczej strukturę wojskową. PIRA polegała w dużej mierze na działaniach samotnych zabójców, „kowbojów”, z rzadka tworząc oddziały szturmowe. W wielu przypadkach znanych Ryanowi samotny „wykonawca”, jak ich w CIA nazywano zeszłego lata, używając własnej, specjalnej broni, czekał nieraz wiele dni w kryjówce, by zlikwidować określonego człowieka. ULA działała inaczej. Po pierwsze, zwykle nie uprawiali terroru indywidualnego. Wydawało się raczej, że polegali na dokładnym rozpoznaniu i ścisłym współdziałaniu „zwiadowców” z „oddziałem szturmowym”. Znowu wszystko tylko „wydaje się”, przeczytał Ryan, gdyż przypuszczenia te oparto na szczątkowych informacjach. Po dokonaniu ataku zwykle znikali, nie pozostawiając zbyt wielu śladów. „Planowanie i zaopatrzenie”, notował, „Klasyczna organizacja wojskowa”. To by wskazywało, że ULA ufała swoim członkom i była pewna swego bezpieczeństwa. Niezbitych pewników było w tym raporcie mało, naliczył sześć, ale analiza była intrygująca. ULA wykazywała wysoki stopień profesjonalizmu w sferze planowania i realizacji operacji, wyższy niż PIRA, choć i ci byli w tym dobrzy. Zamiast opierać się na kilku naprawdę dobrych cynglach, wyglądało na to, że wszyscy członkowie małej organizacji posługiwali się bronią równie sprawnie. Ta jednolitość była interesująca. „Czyżby szkolenie wojskowe? jak dobre? Gdzie prowadzone? Przez kogo?”. Spojrzał na następny raport. Datowany był kilka miesięcy po GENEZIE i wykazywał zwiększone zainteresowanie Agencji, zapoczątkowane siedem miesięcy temu. Zaraz po tym, jak się stąd wyniosłem, pomyślał. Zbieg okoliczności?

Ten raport koncentrował się na osobie Kevina O'Donnella, którego Brytyjczycy podejrzewali o dowodzenie ULA. Pierwszym, co wyjął Ryan z teczki, była fotografia dostarczona przez Brytyjczyków. Facet był dość wysoki, ale poza tym zupełnie przeciętny. Fotografia datowana była kilka lat wcześniej. Jack przeczytał zaraz, że podobno przeszedł potem operację plastyczną. Ryan mimo to dokładnie przyjrzał się fotografii. Została zrobiona na pogrzebie członka PIRA zabitego przez bojówkę protestantów ulsterskich. Twarz była poważna, oprawa oczu świadczyła o twardości charakteru. Zastanowił się, ile się można dowiedzieć z jednej fotografii z pogrzebu kolegi i odłożył ją na bok, by zająć się biografią tego człowieka.

Pochodzenie robotnicze. Ojciec był kierowcą ciężarówki, matka zmarła, gdy miał dziewięć lat. Oczywiście, katolicka szkoła. Kopia świadectwa z koledżu świadczyła, że był dość bystry. O'Donnell ukończył uniwersytet, wydział nauk politycznych, z wyróżnieniem. Zapisywał się na każde dostępne zajęcia z marksizmu, działał w jakichś organizacjach praw obywatelskich na przełomie lat 60. i 70. To ściągnęło na niego zainteresowanie RUC i wywiadu brytyjskiego. Potem, po dyplomie, zniknął z horyzontu na jakiś czas, pojawiając się ponownie po tragicznej Krwawej Niedzieli\*, kiedy to brytyjscy spadochroniarze otworzyli na oślep ogień do tłumu demonstrantów, zabijając czternaście, jak się potem okazało, bezbronnych osób.

- Znowu zbieg okoliczności? - wyszeptał Ryan. Spadochroniarze twierdzili potem, że to z tłumu otwarto do nich

ogień, a oni się tylko bronili. Oficjalny raport brytyjski podtrzymywał tę tezę. Pewnie, a co by

innego mieli napisać? Ryan wzruszył ramionami. Zresztą, cholera wie, może i tak było. Największym błędem Angoli było w ogóle wysłanie wojska do Ulsteru. Tam była potrzebna dobra policja, żeby przywróciła prawo i porządek, a nie armia okupacyjna. Tyle że w sytuacji, gdy Royal Ulster Constabulary wymknęła się spod kontroli, gdy pod jej szyldem zaczęły działać oprychy z B-Squads, nie było innej rady. Wysłano żołnierzy, którzy nie mieli przygotowania do zadań, które im powierzono, a przez to byli podatni na prowokacje z obu stron.

Coś drgnęło w Ryanie. Najpierw nauki polityczne z przedawkowanym marksizmem, potem zniknięcie na rok i powrót zaraz po Krwawej Niedzieli. A zaraz potem zidentyfikowany przez informatora jako szef kontrwywiadu PIRA. Takiej roboty nie dostaje się na podstawie konkursu świadectw. Na to trzeba zasłużyć. Terroryzm, jak każde rzemiosło miał swoich terminatorów, czeladników i mistrzów. W jakiś sposób ten cały Kevin Joseph o'Donnell zdobył swoje ostrogi.

- Jak tyś to zrobił? Czy byłeś jednym z tych, którzy organizowali prowokacje? A jeżeli tak, to kto cię tego nauczył? Czy ten brakujący rok ma z tym coś wspólnego? Czy ktoś cię uczył taktyki partyzantki miejskiej? Gdzie? Może na Krymie? Coś tu za dużo tych zbiegów okoliczności - szeptał do siebie Jack.

O szkoleniu przez Rosjan elit INLA i PIRA mówiono tak dużo i tak często, że już prawie nikt w to nie wierzył. Poza tym, to nie musiało być robione z aż taką pompą. Mogli sami to wymyślić, albo nauczyć się z książek. O taktyce partyzantki miejskiej napisano mnóstwo książek, Jack sam część z nich znał.

Kolejny akapit odnosił się do powtórnego zniknięcia o'Donnella. Przynajmniej raz brytyjskie źródła były konkretne. o'Donnell był bardzo efektywny jako szef kontrwywiadu. Prawie połowa ludzi, których likwidował, była rzeczywiście w mniejszym lub większym stopniu wtyczkami. W tym fachu to doskonały rezultat. Na końcu teczki znalazł dwie strony z informacjami, które David Ashley zebrał parę miesięcy temu w Dublinie.

- Trochę go poniosło... - o'Donnell wykorzystał swoją pozycję do likwidowania Tymczasowych, którzy mieli odmienne poglądy polityczne od niego. Sprawa się wydała i zniknął ponownie. Dalej znowu zaczynały się domysły i spekulacje, ale zgadzały się z tym, co mówił w Londynie Dan Murray. o'Donnell faktycznie gdzieś wyjechał.

Na pewno zdołał przekonać kogoś do zapewnienia jego nowej organizacji finansowania, treningu i zaopatrzenia. Jego nowej organizacji, pomyślał Ryan. Skąd to wszystko szło? Między zniknięciem o'Donnella, a pierwszą akcją przypisywaną ULA minęły dwa lata. Całe dwa lata. Dane wywiadu brytyjskiego mówiły o operacji plastycznej. Gdzie? Kto za nią zapłacił? To nie mogło być w jakiejś zabitej dechami dziurze Trzeciego Świata, pomyślał Ryan. Zastanawiał się, czy Cathy nie mogłaby się poprosić kolegów z Hopkinsa o dostępność dobrych chirurgów plastycznych. W ciągu dwóch lat zmienił sobie twarz, znalazł kogoś do płacenia rachunków, zebrał ludzi, zorganizował zaplecze operacji i przeprowadził pierwszą udaną operację. Nieźle, pomyślał Ryan z podziwem podszytym zazdrością. Tyle tego w ciągu zaledwie dwóch lat. Ten skubaniec jest dobry.

Jeszcze rok nie minął, gdy jego organizacja dała się już poznać", notował Ryan, gdy usłyszał, że ktoś poruszył klamkę. Odwrócił się i ujrzał Marty'ego Cantora.

- Myślałem, że rzuciłeś palenie - wskazał palcem tłącego się papierosa w popielniczkę.  
- Moja żona też. Przeglądałeś to wszystko? - zapytał Jack, rozgniatając papierosa.  
- Tak - Cantor skinął głową. - Szef kazał mi to przejrzeć w czasie weekendu. Co o tym myślisz?  
- Zdaje się, że ten cały o'Donnell to bardzo niebezpieczny sukinsyn. Ta jego grupka jest zorganizowana i wyszkolona jak prawdziwa armia. Jest na tyle mała, że on zna każdego z nich na wylot. Jego wykształcenie mówi mi, że skrupulatnie dobiera sobie ludzi. Ma do nich niezwykle



wysoki stopień zaufania. To polityk, ale umie myśleć i planować jak żołnierz. Wiadomo kto go szkolił?

- Nie wiadomo - odparł Cantor. - Coś mi się zdaje, że trochę go przeceniasz.

Wiem - zgodził się Ryan. - Ale szukam... Bo ja wiem, atmosfery... Próbuję wejść w jego tok myślenia. Dobrze byłoby wiedzieć, kto go tak hojnie finansuje. - Ryan urwał na chwilę i wtedy co innego wpadło mu do głowy. - Czy on może mieć ludzi w PIRA?

- O co ci chodzi?

- Zobacz, facet ratuje się ucieczką, gdy dowiaduje się, że szefowie PIRA chcą go rozwalić. Dwa lata później wraca na scenę z własną organizacją. Skąd wziął ludzi?

- Pewnie część to jego dawni kumple z PIRA - odpowiedział Cantor.

- Jasne - kiwnął głową Jack. - Ludzie, o których wiedział, że może na nich polegać. Ale zajmował się kontrwywiadem, nieprawdą?

- Co masz na myśli? - Cantor nie nadażał za tokiem jego rozumowania.

- Kto najbardziej zagraża o'Donnellowi?

- Każdy go chce...

- Ale kto chce go zabić? - uściślił pytanie Ryan. - Angole nie mają kary śmierci, a PIRA ma.

- No i co z tego?

- No więc gdybyś był o'Donnellem i rekrutowałbyś stamtąd ludzi, wiedząc, że ich szefowie chcą oprawić twój łeb w ramki na ścianie, to zostawiłbyś sobie w PIRA kogoś, żeby cię ostrzegał?

- To ma sens - z namysłem przyznał Cantor.

- A teraz, kto jest największym politycznym wrogiem ULA?

- Nie wiemy.

- Oj, nie pieprz, Marty! - wybuchnął Ryan. - Większość informacji z tych dokumentów pochodzi od Tymczasowych, tak? No więc skąd do cholery ci ludzie mieliby wiedzieć, o co chodzi ULA? Skąd oni to wszystko wiedzą?

- Jack, trochę przegiąłeś - ostrzegł Cantor. - Ja też widziałem te dane. To są głównie zaprzeczenia. Ci informatorzy zaledwie wydusili z siebie, że to nie były ich operacje. Wniosek, że w takim razie to robota ULA wcale nie jest taki oczywisty. W odróżnieniu od ciebie ja wcale nie uważam, żeby ten materiał był aż tak jasny.

- Nie, ci dwaj, którzy robili ten raport mieli rację przypisując te operacje ULA. Oni mają swój własny, rozpoznawalny styl, Marty! Możemy ich zidentyfikować.

- To bardzo pokrętnie rozumowanie - wytknął Cantor. - o'Donnell jest od Tymczasowych, więc musiał stamtąd rekrutować, więc ma tam wtyki i tak dalej. Podstawy tego rozumowania są logiczne, ale postaraj się pamiętać, że opierają się one na chwiejnych podstawach. A jeżeli ULA okaże się specgrupą Tymczasowych? Czy nie leży w ich interesie mieć coś takiego? - Cantor był znakomity w roli adwokata diabła. To był jeden z powodów, dla których został asystentem Greera.

- No dobra, masz trochę racji - przyznał Ryan. - Ale to co mówię ma sens, jeżeli ULA naprawdę istnieje.

- Zgodzę się, że to logiczne. Ale nie ma na to żadnych dowodów.

- Czyli jest to pierwsza logiczna rzecz, jakiej się na temat tych typów doszukaliśmy. Co nam to mówi?

- Daj mi znać, jak jeszcze coś znajdziesz - Cantor uśmiechnął się.

- Mogę komuś o tym powiedzieć?

- Na przykład komu? Pytam tylko z ciekawości, bo odpowiedź i tak brzmi: nie.

- Łącznikowi FBI w Londynie, Murrayowi - powiedział Ryan. - On przecież chyba ma

dopuszczenie do tego wszystkiego, nie?

- Tak, jest dopuszczony i pracuje nawet z naszymi ludźmi. Dobra, z nim możesz o tym pogadać.

W ten sposób wszystko zostanie w rodzinie.

- Dzięki.

Pięć minut później Cantor siedział naprzeciw Greera.

- On naprawdę wie, kiedy zadać właściwe pytanie.

- Więc na co tam wpadł? - zapytał admirał.

- Na to samo, o co pytał Emil Jacobs i jego ludzie, o co chodzi o'Donnellowi, czy on ma wtyki w PIRA, a jeżeli tak, to po co i tak dalej.

- I mówi, że...?

- To samo, co wynikało z oceny FBI, że o'Donnell był szkolony do zadań kontrwywiadowczych. Tymczasowi chcą rozciągnąć jego skórę na drzwiach od stodoły, a najlepszym sposobem, żeby została tam, gdzie jej miejsce jest mieć ludzi wewnątrz, którzy by go ostrzegali, gdyby miało zrobić się gorąco.

Admirał pokiwał głową, potem popatrzył przez chwilę w bok. Jego instynkt mówił mu, że to tylko część odpowiedzi. Coś w tym jeszcze musiało być. - Coś jeszcze? - zapytał po chwili.

- Sprawa szkolenia. Jeszcze wszystkiego nie wydobył na ten temat. Myślę, że trzeba mu dać trochę czasu. Ale miał pan rację, sir. On jest naprawdę bystry.

Murray podniósł słuchawkę i wcisnął prawy klawisz bez specjalnego zainteresowania.

- Tak?

- Dan, tu Jack Ryan - odpowiedział głos w słuchawce.

- Jak leci, profesorku?

- Nieźle, Chciałbym o czymś z tobą pomówić.

- No to wal.

- Myślę, że ULA ma wtyki w PIRA.

- Co!?! - Murraya aż podrzuciło na krześle. - Słuchaj, mistrzu, nie mogę... - Popatrzył na telefon.

Linia, na której rozmawiali była... -Ty, co ty do cholery robisz na bezpiecznej linii?

- Powiedzmy, że wróciłem do pracy na państwowej posadzie -niezbyt wylewnie wyjaśnił Ryan.

- Nikt mi nie powiedział.

- No więc, co o tym myślisz?

- Myślę, że to możliwe. Jimmy wpadł na to trzy miesiące temu. Biuro zgadza się, że to ma sens. Nie ma żadnego niezbitego dowodu, ale wszyscy uznają to za logiczne. Uważam, że to sprytne posunięcie ze strony naszego przyjaciela Kevina, jeżeli tylko stać go na to. Pamiętaj też, że PIRA ma bardzo dobry kontrwywiad.

- Mówiłeś, że większość tego, co wiemy o ULA pochodzi od Tymczasowych. Skąd oni to wiedzą? - szybko zapytał Ryan.

- Co? Czeka, zgubiłem się trochę.

- Skąd PIRA czerpie informacje o tym, co robi ULA?

- A, to. No dobra, tego nie wiemy. - To niepokoiło także Murraya i Owensa, ale gliny żyją z anonimów.

- Dlaczego to robią?

- Chodzi ci o mówienie Tymczasowym co zamierzają? Pojęcia nie mamy. Jeżeli masz jakieś propozycje, to będziemy wdzięczni.

- A co z rekrutacją nowych członków? - zapytał Ryan.

- Sam nad tym pomyśl chwilę - natychmiast odparł Murray. Ryan najwyraźniej w świecie

odkrywał, że ziemia jest płaska.

- Och, wtedy sam ryzykowałby infiltrację przez Tymczasowych - odezwał się po chwili milczenia Ryan.

- Bardzo dobrze, mistrzu. Jeżeli o'Donnell miałby wtyki u nich, żeby się samemu zabezpieczyć, to po co miałby ściągać do siebie członków grupy, która marzy o tym, żeby mu się dobrać do tyłka? Jeżeli chciałby popełnić samobójstwo, to jest kilka mniej skomplikowanych sposobów, Jack. - Murray nie mógł już dłużej tłumić śmiechu. Zwłaszcza, gdy usłyszał w słuchawce, jak z Ryana uchodzi powietrze.

- Okej, myślę że z tym to by było na tyle. Dzięki.

- Przepraszam, że ci nasikałem do mleka, ale sami doszliśmy do tego dwa miesiące temu.

- Przecież musiał na początku brać ludzi z IRA - ponieważ protestował Ryan. Skłął się w duchu za to, że myślał tak powoli, ale przypomniał sobie, że Murray od lat specjalizował się w tym zagadnieniu.

- Tak, zgadzam się z tym, ale utrzymuje liczebność na bardzo niskim poziomie - odpowiedział Murray. - Im większa organizacja, tym większe zagrożenie, że PIRA zinfiltrowuje i zniszczy ją i jego. Oni naprawdę chcą położyć jego głowę na tacy, Jack.

Jeszcze chwila i wygadałby, że Ashley ostatnio gawędził z Tymczasowymi. Ci z CIA jeszcze o tym nie wiedzieli.

- Jak tam rodzina? - zmienił temat.

- W porządku.

- Bill Shaw mówił, że rozmawiał z tobą w zeszłym tygodniu - powiedział Murray.

- Tak, właśnie dlatego tu jestem. Przez was oglądam się wciąż przez ramię, Dan. Czy coś nowego zaszło w tej sprawie?

Teraz to z Murraya uszło powietrze.

- Im więcej o tym myślę, tym bardziej wychodzi na to, że niepotrzebnie narobiłem alarmu. Właściwie nie było żadnych dowodów, Jack. To był po prostu instynkt, wiesz, jak u starej baby. Przepraszam. Myślę, że zbyt się przejąłem czymś, co powiedział Jimmy. Mam nadzieję, że nie wzięłeś sobie tego za bardzo do serca.

- Nie martw się tym - pocieszył go Jack. - Dobra, muszę się stąd wynosić. Do zobaczenia.

- Cześć, Jack - Murray odłożył słuchawkę i wrócił do swoich papierów.

Ryan zrobił to samo. Musiał wyjechać przed dwunastą, żeby zdążyć na swój pierwszy wykład tego dnia. Goniec wrócił z wózkiem i zabrał akta wraz z notatkami Jacka, które oczywiście były także tajne. Parę minut później wyszedł z budynku, ciągle przesiewając przez umysł dane, które czytał.

Jack nie wiedział, że w nowej przybudówce siedziby CIA działało Narodowe Biuro Zwiadu. Było to wspólne przedsięwzięcie CIA i sił powietrznych, które opracowywało informacje z satelitów szpiegowskich oraz, w coraz mniejszym stopniu, z samolotów rozpoznawczych.

Nowa generacja satelitów używała kamer skanujących typu telewizyjnego zamiast tradycyjnych aparatów fotograficznych. Konsekwencją tej zmiany było to, że mogły one niemal bez przerwy wykonywać i nadawać zdjęcia obszaru ZSRR i jego satelitów. Pozwoliło to zebrać NBZ dużo lepsze informacje o trendach zmian i wydarzeniach na świecie, co z kolei przydało pracy setkom nowych analityków, dla których trzeba było zbudować nowy budynek, bo w starym się już nie mieścili.

Jeden z młodszych analityków miał się zajmować obozami, w których, jak podejrzewano, szkoleni byli terroryści. Dochodzenie w tej sprawie nie dało jeszcze na tyle rewelacyjnych wyników, by usprawiedliwić przyznanie większych funduszy, więc jedynie przekazywano zdjęcia do Zespołu Specjalnego ds. Walki z Terroryzmem, który robił z nich zwykły w kręgach rządowych użytek.

Członkowie Zespołu pocmokali czas jakiś nad wyrazistością zdjęć, wysłuchali wykładu na temat nowych technik zobrazowania, pozwalających otrzymywać obrazy o wysokiej rozdzielczości w złych warunkach atmosferycznych. Dowiedzieli się, że mimo tych wszystkich zabawek i tak opowieści o odczytywaniu tablic rejestracyjnych pojazdu można między bajki włożyć, a potem szybko zapomnieli o tym, że te zdjęcia mogą być czymś więcej niż zdjęciami jakichś skupisk baraków na pustyni, gdzie być może szkółą się terroryści. Interpretacja zdjęć rozpoznania powietrznego zawsze była wąską dziedziną, dostępną jedynie specjalistom. Praca nad ich odczytywaniem jest po prostu zbyt skomplikowana dla laików.

I jak to często bywa w takich przypadkach, coś zaczęło iskrzyć. „Młodszy analityk” to tylko dziś używana nazwa funkcji kogoś, kogo lata temu tytułowano „technikiem interpretacji”. Wyciąga on i zbiera dane, ale tak naprawdę nie ani ma czasu, ani kwalifikacji do tego, żeby je analizować. Analizą miał się zająć ktoś inny, po zakończeniu prac młodszych analityków. To były głównie obrazy w podczerwieni. Obozy, których zdjęcia co dzień oglądał, a było tych zdjęć ponad dwieście dziennie, były w większości położone na pustyni, i to było ich zaletą, bo chociaż jak każdemu wiadomo, w dzień słońce zmienia je w gorące piekło, w nocy, z czego niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, robi się tam bardzo zimno, a temperatura nieraz spada nawet poniżej zera. Tak więc technik próbował się czegoś dowiedzieć o zasiedleniu obozów, licząc budynki, w których na noc włączano ogrzewanie. Na zdjęciach w podczerwieni to widać bardzo wyraźnie, gdyż stanowią one jasne plamy na tle ciemnego, zimnego gruntu.

Komputer przechowywał cyfrowe zapisy obrazu z satelitów. Technik wyszukiwał dla porównania obrazy z poprzednich dni według numerów kodowych, zapisywał liczbę ogrzewanych budynków i przynosił informacje do drugiego pliku. Obóz 11-5-18, zlokalizowany na 28° 32' 47" szerokości północnej i 19° 07' 52" długości wschodniej, składał się z sześciu budynków, w tym jednego garażu. Stały w nim co najmniej dwa pojazdy. Chociaż budynek był nieogrzewany, przez dach z karbowanej blachy przebijało się ciepło dwóch silników spalinowych. Z pozostałych pięciu budynków tylko w jednym włączone było ogrzewanie. W poprzednim tygodniu, sprawdził, ogrzewane były trzy. Ten ogrzewany budynek był, jak wynikało z załączonego arkusza danych, barakiem załogi, mieszczącym strażników i mechaników, łącznie jak przypuszczano, pięć osób. Budynek miał zapewne własną kuchnię, gdyż jedna część była zawsze cieplejsza niż reszta. W budynku obok mieściła się stołówka. Podobnie jak sypialnie, była teraz pusta. Technik dokonał należytej adnotacji, którą komputer wyraził na wykresie liniowym, którego linia wznosiła się lub opadała wraz z frekwencją w obozie. Technik nie miał czasu sprawdzać prawidłowości rządzących zmianami wykresu, ale sądził, że ktoś to robi. Mylił się.

- Pamięta pan, panie poruczniku? - spytał dla porządku Breckenridge. - Głęboki wdech, połowę wypuścić i równo ściągać.

Browning miał znakomite przyrządy celownicze. Ryan zgrał je na tle tarczy i zrobił to, co mówił Gunny. Dobrze mu poszło. Błysk i huk wystrzału niemal go zaskoczyły, tak jak powinno być. Pistolet wyrzucił łuskę i przeładował się, podczas gdy Jack ponownie nakierowywał go po odrzucie na cel. Powtórzył to jeszcze cztery razy. Po ostatnim strzale zamek zatrzymał się w tylnym położeniu i Ryan opuścił pistolet. Potem zsunął z uszu słuchawki. Uszy miał spocone.

- Dwie dziewiątki, trzy dziesiątki, z tego dwie centralne - obwieścił Breckenridge, oglądając tarczę przez lunetę. - Gorzej niż ostatnim razem.

- Ręka mi się zmęczyła - wyjaśnił Jack. Pistolet ważył prawie kilogram. Nie czuje się tego, dopóki nie trzeba go trzymać nieruchomo w wyciągniętej ręce przez godzinę.

- Musi pan sobie kupić hantle, wie pan, takie jak do gimnastyki. To panu wzmocni mięśnie

przedramienia i nadgarstka.

Breckenridge załadował pięć nabojów do magazynka, podszedł na linię ognia i wycelował z pistoletu Ryana do drugiej tarczy. Pięć strzałów padło w czasie grubo poniżej trzech sekund. Ryan spojrział przez lunetę. Pięć przestrzelin rozrzucone było wokół centralnego punktu tarczy jak płatki kwiatu.

- Cholera, już prawie zapomniałem, jaka to frajda dobry Browning. - Zwolnił magazynek, sprawdził, czy broń nie jest nabita i podał pistolet Ryanowi. - Muszka i szczerbina są dobrze wyregulowane.

- Tak, zdążyłem zauważyć - zrezygnowanym tonem powiedział Jack.

- Niech pan nie bierze tego aż tak bardzo do siebie, panie poruczniku - pocieszał go Breckenridge. - Pan jeszcze nosił pieluchy, kiedy ja już to robiłem. - Załadował świeży magazynek i po kolejnych pięciu strzałach z tarczy zniknął środek.

- Właściwie dlaczego strzelamy wciąż do okrągłych tarcz? - zapytał Jack.

- Chciałbym, żeby się pan przyzwyczaił do tego, że ma pan trafiać dokładnie tam, gdzie pan chce - wyjaśnił Gunny. - Bawić się będziemy potem. Na razie musimy powtórzyć podstawowe umiejętności. Coś nie najlepiej pan dziś wygląda, panie poruczniku.

- Tak, gadałem dzisiaj z tym facetem z FBI, od którego się ta cała heca zaczęła. Teraz mówi, że może trochę przesadził. Zdaje się, że ja też...

- Nigdy nie był pan na froncie, panie poruczniku - przerwał mu Breckenridge. - A ja byłem. I jedno panu powiem: pierwszy odruch jest zwykle słuszny. Proszę o tym pamiętać.

Ryan skinął głową, ale dalej w to nie wierzył. Wiele dziś osiągnął. Z akt, które przejrzał, dowiedział się wiele o ULA, ale nie było tam ani śladu sugestii, że ludzie o'Donnella kiedykolwiek mieli cokolwiek wspólnego z USA. Tymczasowi mieli wiele kontaktów w Stanach, ale nikt nie sugerował, że ULA miała jakiegokolwiek. Nawet jeśli by mieli zamiar coś tu zorganizować, to potrzebowali kontaktów, źródeł zaopatrzenia, kryjówek. Możliwe, że o'Donnell będzie próbował wykorzystać kogoś, kto wcześniej pracował dla PIRA, ale to mało prawdopodobne. Ten człowiek jest niebezpieczny tylko na swoim podwórku, a Ameryka nim nie była. To jasno wynikało z nagromadzonych informacji. Oczywiście, wiedział, że jeden dzień pracy nad tymi teczkami to za mało, by wyciągać daleko idące wnioski. Będzie węszył dalej. Zapowiadało się na to, że tym trybem jego dochodzenie potrwa jakieś dwa, może trzy tygodnie. Jeżeli nic z niego nie wyniknie, to przynajmniej będzie się mógł rozeznac w stosunkach o'Donnella z Tymczasowymi. Miał wrażenie, że szykuje się coś dziwnego, wrażenie wyraźnie podzielane przez Murraya. Chciał przeanalizować całość dostępnych informacji, by wyciągnąć jakieś sensowne wnioski. W końcu coś był winien Agencji za jej życzliwość.

Sztorm był wspaniałym widowiskiem. O'Donnell i Miller stali urzeczeni przy oknie z przyciemnionego szkła, napawając się widokiem bałwanów wzbijanych atlantyckim wichrem, pędzących przez morze i bijących w podstawę klifu, na którym stał dom. Grzmoty i łoskot rozbijających się fal dawał basowe tło, na którym wiatr wył i gwizdał w konarach drzew, a krople deszczu odmierzały rytm bijąc o dach.

- Nie jest to dobry dzień na żeglowanie - zauważył O'Donnell pociągając łyk whiskey.

- Kiedyż to nasi przyjaciele wyruszają do Ameryki?

- Za trzy tygodnie. Nie zostało zbyt wiele czasu. Nadal chcesz to zrobić? - szef ULA zdawał sobie sprawę, że była to ostatnia chwila na odwołanie tego, co zamierzał Sean.

- To jest szansa, której nie możemy stracić, Kevinie - spokojnie odpowiedział Miller.

- Czy tylko to tobą powoduje? - zapytał o'Donnell. Postanowił, że lepiej postawić sprawę

otwarcie.

- Weź pod uwagę zbieżność wydarzeń. Tymczasowi właśnie tam pojedą, żeby ogłosić, że są niewinni jak baranki, a my wtedy...

- Tak, wiem, to wspaniała szansa. Dobrze, kiedy chcesz tam jechać?

- W środę rano. Musimy szybko wziąć się do roboty. Nawet przy naszych stosunkach to nie będzie łatwe w tak krótkim czasie.

13

Goście

Dwóch ludzi pochylało się nad powiększonym wycinkiem planu miasta, otoczonym kilkoma fotografiami dużego formatu.

- To będzie trudne - powiedział Alex, - W tej części operacji nie będę ci mógł pomóc.

- W czym problem? - Sean już go dostrzegał, ale zadając pytanie chciał wysondować umiejętności nowego współpracownika. Nigdy wcześniej nie pracował z Murzynem, a chociaż z Alexem i jego grupą miał kontakt od roku, pod względem operacyjnym byli dla niego nadal niewiadomą.

- Zawsze wyjeżdża przez bramę numer 3, o tu. Ta ulica jest jak widać ślepa. Musi więc skręcić od razu na zachód, albo tu wykrecić, żeby pojechać na północ. Robił już i tak i tak. Ta ulica jest na tyle szeroka, że dałoby się robotę odwalić z samochodu, ale ta jest za wąska i w dodatku jednokierunkowa. Czyli jedyne pewne miejsce jest tu, na rogu. Światła są tu i tu - wskazał na planie.

- Obie ulice są wąskie i w dodatku ciągle na nich parkują samochody, po obu stronach. Ten budynek to czynszówka, te to domy jednorodzinne i to drogie. O dziwo, prawie w ogóle nie ma tam ruchu pieszego. Jeden człowiek jeszcze nie będzie się rzucał w oczy. Dwóch, albo więcej, już tak - pokręcił głową. - No i to jest biała dzielnica. Czarnego zauważą tam od razu. Nie, twój człowiek będzie to musiał zrobić w pojedynkę, koleś, i to na piechotę. Chyba z tej bramy będzie najlepiej, ale będzie musiał dobrze kapować, albo wasz cel się wymknie.

- Jak się stamtąd wydostanie?

- Mogę mu zaparkować samochód za tym, albo za tym rogiem. Czas nie gra roli. Możemy czekać nawet cały dzień na właściwą chwilę. Mamy kilka dróg ucieczki do wyboru. To też nie jest problem. W godzinach szczytu ulice są zatłoczone. To jest nam nawet na rękę. Gliniarzom trudniej będzie przyjechać, a my możemy użyć samochodu, który będzie wyglądał normalnie, jak miejscowy. Wszystkich przecież nie mogą zatrzymać. Ucieczka to małe piwo. Problem jest z tym twoim facetem. On musi być dokładnie w tym miejscu.

- A dlaczego by go nie spróbować złapać po drodze?

- To zbyt trudne - pokręcił głową Alex. - Drogi będą zbyt zatłoczone, żeby być pewnym, że go dorwiemy, a zgubić go będzie bardzo łatwo. Widziałeś te korki, Sean, a on nigdy nie jeździ tą samą trasą, jeśli chcesz usłyszeć moje zdanie, to daj sobie z tym spokój, załatw to na dwa razy.

- Nie - Miller był nieugięty. - Zrobimy to tak, jak ja chcę.

- Dobra, człowieku, ale mówię ci, że ten twój facet jest zbyt wystawiony.

Miller zastanowił się nad czymś przez chwilę. W końcu uśmiechnął się. - Wybrałem do tej roboty odpowiedniego człowieka. A co z resztą planu?

Alex zmienił mapę.

- To kaszka z mlekiem. Obiekt może wybrać różne trasy, ale w tym miejscu musi być dokładnie za kwadrans piąta. Sprawdzaliśmy sześć razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni, nigdy spóźnienie nie przekroczyło pięciu minut. Odwalimy robotę po drodze, gdzieś tu, koło mostu. Każdy by sobie

poradził. Możemy nawet zrobić próbę.

- Kiedy?

- Dziś po południu pasuje? - uśmiechnął się ASex.

- Pasuje. Droga odwrotu?

- Pokażę ci. Moglibyśmy nawet zrobić dziś prawdziwą próbę generalną całości.

- Wspaniale - Miller był zadowolony. Droga, która go tu przywiodła była dość skomplikowana.

Nie trudna, ale skomplikowana, bo składało się na nią sześć przelotów. Całość była nawet czasami zabawna. Sean Miller podróżował obecnie z brytyjskim paszportem i urzędnik imigracyjny z Miami wziął jego ulsterski akcent za szkocki. Do tej pory nawet się nie zastanawiał nad tym, że dla amerykańskiego ucha nie ma między nimi żadnej różnicy. Jeżeli taki jest poziom umiejętności amerykańskich policjantów, pomyślał Miller, to wszystko pójdzie jak z płatka.

Dzisiaj zrobią próbę generalną. Jeżeli dobrze wypadnie, zbierze zespół i zrobią to w ciągu czterech dni. Broń już była na miejscu.

- Wnioski? - zapytał Cantor.

Ryan podniósł sześćdziesięciostronicowy wydruk.

- Oto moja analiza, ale chyba nie na wiele się to zda - przyznał Jack. - Niewiele nowego wymyśliłem. Te raporty, które do tej pory mieliście, były bardzo dobre, biorąc pod uwagę brak niezbitych dowodów. Ta cała ULA to naprawdę gromada świrów. Nie wiemy, do czego mają prowadzić ich operacje, ale z takimi umiejętnościami... Do cholery, oni są za dobrzy, żeby to robić bez powodu!

- Racja - potwierdził Cantor. Siedzieli w jego biurze po przeciwnej stronie korytarza od admirała Greera. Admirał wyjechał z miasta. - Znalazłeś w ogóle coś?

- Naniósłem ich operacje na mapę i porównałem czas, ale nie znalazłem żadnych schematów. Jedyne co się powtarza, to typ operacji i sposób organizacji, ale to nic nie znaczy. Lubią wyróżniające się cele, ale w końcu, do diabła, którzy terroryści ich nie lubią? Polowanie na grubą zwierzynę to przecież cały sens terroryzmu. Używają zwykle broni produkcji krajów bloku wschodniego, ale tak robi większość grup. Podejrzewamy, że mają bardzo hojne źródło finansowania. To logiczne, biorąc pod uwagę naturę ich działalności, ale znowu, nie ma niezbitych podstaw do takiego rozumowania. Ten o'Donnell ma prawdziwy talent do znikania z pola widzenia. Całe trzy lata jego życia są dla nas czarną dziurą, ten rok zanim wypłynął po Krwawej Niedzieli i potem te dwa, kiedy Tymczasowi chcieli go stuknąć. Obie te dziury są zupełnie czarne. Rozmawiałem z żoną o tej jego operacji plastycznej...

- Co takiego!?! - Cantor był bardzo niezadowolony z tego, co usłyszał.

- Ona nie wie, po co mi to było potrzebne. Daj spokój, Marty. Moja żona jest przecież chirurgiem. Jedna z jej koleżanek z roku zajmuje się plastyką rekonstrukcyjną, więc poprosiłem Cathy, żeby ją podpytała, gdzie można sobie zafundować nową buźkę. Zdziwiło mnie, że takich miejsc na świecie jest bardzo mało. Mam tu ze sobą ich listę. Dwa za Żelazną Kurtyną. Okazuje się, że pionierskie osiągnięcia w tej dziedzinie miała jeszcze przed wojną klinika w Moskwie. Ludzie ze szpitala Hopkinsa byli w tym instytucie imienia... No nie wiem w tej chwili, nazwisko tego faceta wypadło mi z pamięci. W każdym razie dowiedzieli się o tym miejscu kilku dziwnych rzeczy.

- Na przykład?

- Na przykład, że są tam dwa piętra, na które nikt nie ma wstępu. Anette DiSalvi, ta koleżanka Cathy, była tam dwa lata temu. Na dwa ostatnie piętra można wjechać tylko specjalną windą, a na schodach są zamknięte bramki. Dziwne, jak na zwykły szpital. Pomyślałem sobie, że ta ciekawostka mogłaby kogoś zainteresować. Może przyda się komuś do innej sprawy?

Cantor kiwnął głową. Wiedział co nieco o tej klinice, ale te zamknięte piętra były dla niego nowością. Zdziwiał, w jak niewinny czasem sposób można pozyskać nowe informacje. Zastanowił się, jak to się w ogóle stało, że ktoś wpuścił w takie miejsce zespół lekarzy ze szpitala Hopkinsa. Zanotował w pamięci, żeby to sprawdzić.

- Cathy mówi, że z tym robieniem nowej twarzy to nie tak łatwo, jak się czasem uważa. Większość zabiegów to naprawianie uszkodzeń po wypadkach samochodowych i takie tam. Ta robota polega na przywracaniu tego, co było. Wykonuje się także masę kosmetyki, ale na dobrą sprawę taki sam rezultat można osiągnąć przez zmianę fryzury czy zapuszczenie brody. Podbródek i kości policzkowe można zmienić bez większych problemów, ale jeżeli się z tym przesadzi, pozostają blizny. Ten instytut w Moskwie według Annette jest dobry, niemal tak dobry, jak Hopkins, czy nawet Uniwersytet Kalifornii. U nas większość dobrych chirurgów pracuje w Kalifornii - wyjaśnił Jack. - W każdym razie, nie chodzi nam o korekty nosa czy liftingi. Daleko idąca zmiana twarzy wymaga wielokrotnych zabiegów i trwa kilka miesięcy. Jeśli o'Donnell zniknął na dwa lata, to wiele z tego czasu spędził w szpitalu.

- Aha. - Cantor zrozumiał do czego zmierza Ryan. - Czyli działa bardzo szybko?

- Właśnie tym się zainteresowałem - uśmiechnął się Jack. - Nie było go dwa lata, z tego minimum pół roku spędził w jakimś szpitalu. A więc w ciągu półtora roku zdążył zebrać ludzi, stworzyć podstawy do działania, zacząć zbieranie informacji operacyjnych i przeprowadzić pierwszą akcję.

- Nieźle - z namysłem powiedział Cantor.

- Tak. W takim razie musiał ściągnąć ludzi od Tymczasowych. Ci pewnie przynieśli na dobry początek trochę sprzętu. Założę się, że ich pierwsze akcje opierały się na tym, co przygotowali Tymczasowi, ale z różnych powodów odłożyli na półkę. To dlatego Angole myśleli na początku, że tak naprawdę są tylko odłamem PIRA, Marty.

- A mówiłeś, że nie wygrzebałeś nic interesującego - powiedział Cantor. - To mi wygląda na całkiem bystrą analizę.

- Może. Ja tylko zestawilem wasze stare informacje trochę inaczej. Tu nie ma nic nowego, a pytania jakie sobie postawiłem na początku, pozostały nadal bez odpowiedzi. Dalej nie mamy pojęcia co oni szykują. - Ryan przerzucał strony maszynopisu. W jego głosie brzmiała frustracja. Nie był przyzwyczajony do ponoszenia porażek. - Nadal nie wiemy, skąd te dranie się wzięły. Coś kombinują, ale niech mnie cholera, jeśli wiemy co.

- Mają jakieś kontakty w Ameryce?

- Nie, a w każdym razie nic o czym byśmy wiedzieli. To mi sprawia ulgę. Nie ma żadnych poszlak potwierdzających ich współdziałanie z jakimikolwiek organizacjami amerykańskimi. Jest za to dużo powodów, żeby żadnych nie mieli. o'Donnell jest zbyt cwany, żeby próbował odgrzewać dawne kontakty PIRA.

- No, ale rekrutacja...

- Mówię o kontaktach tutaj - uciął Jack. - Jako szef kontrwywiadu znał wszystkich w Belfaście i Londonderry. Ale amerykańscy współpracownicy kontaktują się z Tymczasowymi tylko przez ich partię polityczną, Sinn Fein. A pamiętasz, że bardzo się starał ich przeorientować i mu nie wyszło.

- Dobra, rozumiem o co chodzi. A powiązania z innymi grupami?

- Nic na to nie wskazuje - pokręcił głową Ryan. - Może z innymi grupami w Europie, czy nawet islamistami nie byłbym taki pewien, ale nie tutaj. o'Donnell jest cwany. Przyjazd tutaj oznaczałby zbyt wiele komplikacji. Rozumiem, że mogą mnie nie lubić. Ale z tych danych wynika, że FBI miało rację, to są zawodowcy. Ja nie jestem ważnym celem politycznym, a im, dzięki Bogu, chodzi tylko o



politykę.

- Wiesz, że delegacja PIRA, przepraszam, Sinn Fein, przyjeżdża pojutrze do kraju?

- Po co?

- Ta afera w Londynie kosztowała ich drogo w Bostonie i Nowym Jorku. Ze sto razy wypierali się swego udziału, a teraz przyjeżdżają żeby to osobiście powiedzieć miejscowym irlandzkim społecznościom.

- Bzdura! - zagotował się Ryan. - A czemu po prostu nie odmówimy tym palantom wiz?

- To nie takie łatwe. Ci którzy przyjeżdżają, nie są na czarnej liście FBI, już tu poprzednio bywali. Formalnie rzecz biorąc, są czysti. Żyjemy w wolnym, demokratycznym kraju, Jack. Pamiętasz co na ten temat pisał Oliver Wendell Holmes, że konstytucja pisana była dla ludzi radykalnie różniących się w poglądach, czy coś w tym rodzaju. Krótko mówiąc, panuje u nas wolność słowa.

Ryan nie mógł powstrzymać uśmiechu, Na zewnątrz Firmę przedstawiano jako zbiorowisko faszystów, zagrażających amerykańskiej demokracji, gromadę ludzi skorumpowanych, nieudolnych i schematycznych, krzyżówkę mafii i braci Marx. W rzeczywistości Ryan przekonał się, że byli umiarkowani w poglądach politycznych i to bardziej od niego. Jeżeli to kiedyś wyjdzie na wierzch, będzie jeszcze gorzej, bo wszyscy uznają to za wyjątkowo perfidny podstęp. Zresztą nawet on się dziwił.

- Mam nadzieję, że ktoś go będzie miał na oku - stwierdził Ryan.

- FBI wyśle do każdego pubu kupę ludzi, żeby obciążali Johna Jamesona i śpiewali „Ludzi za drutami”. A przy okazji trzymali rękę na pulsie. Biuro jest w tym niezłe. Prawie że udało im się zdusić przemysł broni. Wieści o tym szeroko się rozeszły, już ze szczęściu ludzi poszło siedzieć za szmugiel broni i materiałów wybuchowych.

- Pięknie, tylko że teraz używają Kałasznikowów i Armalite z Singapuru.

- Ale to już nie nasza sprawa - powiedział Cantor.

- Dobra, to jest wszystko, z czym przyszedłem, Marty. To wszystko, co ci mogę na ten temat powiedzieć, chyba żeby przyszło coś nowego. - Jack podał Marty'emu maszynopis.

- Przeczytam i odeślę. To co, wracasz do belfrowania?

- Tak. - Ryan wstał i zdjął swój płaszcz z oparcia krzesła. Zawahał się przez chwilę. - A co będzie, jeżeli coś nowego pokaże się gdzie indziej?

- To jest jedyne miejsce, do którego możemy cię wpuścić, Jack...

- Wiem. Pytam tylko, jak przy tak ścisłym podziale dopuszczenia można łączyć informacje z różnych wydziałów?

- Tym się zajmują zespoły koordynujące i komputery - odpowiedział Cantor. Co nie znaczy, że to zawsze działa, dodał w myśli.

- To jak będzie coś nowego...

- Daliśmy znać i tu i w FBI - powiedział Cantor. - Jeżeli coś się zdarzy, będziesz o tym wiedział jeszcze tego samego dnia.

- Może być. - Ryan upewnił się, że jego przepustka wisi na widocznym miejscu, zanim wyszedł na korytarz. - Dziękuję i proszę ode mnie podziękować admirałowi. Nie musieliście tego robić. Ale nie czułbym się tak dobrze, gdyby ktoś mi powiedział to, co sam zobaczyłem. Jestem waszym dłużnikiem.

- Skontaktujemy się jeszcze - obiecał Cantor.

Ryan kiwnął głową i wyszedł. Dadzą mu znać, to dobrze. Jeżeli znowu złożą mu propozycję, odmówi raz jeszcze, choć bardzo niechętnie. I tak dał z siebie dużo odgrywając przed Cantorem

skromniam. Tak naprawdę nieźle się musiał napocić nad tym raportem, zestawiając wszystkie dane, które mieli na temat ULA. To wyrównywało rachunki. Wcale nie uważał się za czyjegokolwiek dłużnika.

Pani doktor Caroline Ryan, de domo Muller, członkini Amerykańskiej Akademii Chirurgicznej, prowadziła bardzo uporządkowane i usystematyzowane życie. Takie właśnie lubiła. Na sali operacyjnej zawsze pracowała z tym samym zespołem lekarzy, pielęgniarek i techników. Oni już wiedzieli, w jaki sposób lubi pracować, jak lubi mieć rozłożone narzędzia i tak dalej. Większość chirurgów ma swoje dziwactwa, ale chirurdzy oczni to grupa nawet wśród nich pod tym względem wyjątkowa. Jej zespół znosił to, gdyż była w swojej grupie wiekowej jednym z najlepszych fachowców i dawała się lubić. Rzadko kiedy ponosiły ją nerwy, jej stosunki z pielęgniarkami układały się poprawnie, co kobietom-chirurgom nie zawsze się udaje. Jej problemem była teraz głównie ciąża, która wzmagала wrażliwość na niektóre substancje, używane na sali operacyjnej. Rosnący brzuch zmusił ją do zmiany postawy zajmowanej przy stole.

Wprawdzie chirurdzy oczni siedzą przy operacji, a nie stoją, ale to niewiele pomagało. Cathy musiała teraz sięgać dalej niż zwykle i stale z tego żartowała.

Nawyki przenosiły się z jej życia zawodowego na prywatne. Swojego Porsche prowadziła z mechaniczną precyzją, zmieniając biegi zawsze przy tej samej prędkości obrotowej, a zakręty brała równie precyzyjnie jak kierowcy Formuły 1. Robienie czegoś w identyczny za każdym razem sposób nie było dla Cathy wyrazem wpadania w rutynę, lecz dążenia do perfekcji. Na fortepianie również grała w ten sposób. Sissy Jackson, zawodowa pianistka i nauczycielka gry, powiedziała kiedyś, że jej gra jest zbyt doskonała, że brak w niej duszy. Cathy uznała to za komplement. Chirurdzy nie sygnują swych dzieł, robią swoje dobrze za każdym razem.

Z tych powodów była teraz nie w sosie. Jej niezadowolenie wynikało z tego, że teraz nie mogła jeździć codziennie tą samą trasą do pracy. To była komplikacja, z której uczyniła wyzwanie, starając się, by w niczym nie zmieniło to jej rozkładu zajęć. Jazda do i z pracy nigdy nie zajmowała jej więcej niż 49 minut, ani mniej niż 47 minut, chyba że jechała w weekend, gdy obowiązywały inne przepisy ruchu. Zawsze odbierała Sally dokładnie za piętnaście piąta. Teraz wybieranie innych dróg dojazdu w samym Baltimore groziło zmianami w tym względzie, ale jazda takim samochodem jak Porsche 911 pozwalała wiele z tych trudności rozwiązywać.

Dziś jechała szosą stanową numer 3, potem boczną drogą, która wyjeżdżała na Ritchie Highway dziesięć kilometrów przed przedszkolem w Giant Steps. Trafiła dokładnie na światło, skręciła na drugim biegu, zaraz potem wrzuciła trójkę i czwórkę. Mocarny ryk sześciocyndrowego silnika przenikał przez izolację dźwiękową kabiny jako łagodny pomruk. Cathy kochała swojego Porsche. Nigdy zresztą nie miała innego samochodu, zanim nie wyszła za męża. Kombi niestety bardziej nadawało się na rodzinne przejażdżki i zakupy. Zastanawiała się, jak to będzie po drugim dziecku. Tak, to będzie problem, przyznała z westchnieniem. Wszystko będzie zależeć od tego, gdzie będzie mieszkać opiekunka. A może wreszcie uda się przekonać Jacka do wzięcia niani? Jej mąż miał w tym względzie zdecydowanie zbyt plebejskie poglądy. Opierał się nawet przyjęciu pomocy domowej na pół etatu. Jego skrupowanie widać było wyraźnie. Jack, zwykle bałaganiarz, rozrzucający ubrania, zamiast odwieszać je do szafy, teraz w wieczory poprzedzające dni pracy gosposi krążył po domu, sprzątajac, żeby ktoś nie pomyślał, że Ryanowie to flejtuchy. Jack bywał taki zabawny. Tak, postanowiła, weźmiemy sobie nianię. W końcu Jack jest teraz szlachcicem. Cathy uśmiechnęła się znad kierownicy. Skierowanie go na odpowiednią ścieżkę nie będzie aż tak trudne. Jackiem tak łatwo było manipulować. Zmieniła pas i przemknęła jak strzała obok ciężarówki ciągnącej na trzecim biegu. Nadwyżka mocy Porsche bardzo ułatwiała wyprzedzanie.

Dwie minuty później zjechała w prawo, na parking Giant Steps. Sportowy samochód podskakiwał na nierównej drodze, gdy podjeżdżała do swojego stałego miejsca postojowego. Wysiadając zamknęła oczywiście drzwi na klucz. Jej Porsche miał już sześć lat, ale był pieczołowicie utrzymany. Sprawiała go sobie w prezencie za to, że przebrnęła swój pierwszy rok praktyki u Hopkinsa. Na błyszczącym zielonym lakierze w odcieniu British Racing Green nie było ani draśnięcia, a chromowy blask zderzaka płamila jedynie naklejona tam przepustka parkingowa ze szpitala.

- Mamusiu! - Sally powitała ją u drzwi.

Cathy schyliła się, by ją podnieść. Coraz trudniej przychodziło jej się schylić, a jeszcze trudniej wstać z Sally uwieszoną u szyi. Miała nadzieję, że córka nie będzie się czuła zagrożona pojawieniem nowego dziecka. Wiedząc, że niektóre dzieci tak to przyjmują, zawnoczu wyjaśniła córeczce, co się stanie i Sally zdawała się cieszyć perspektywą pojawienia się braciszka lub siostrzyczki.

- Jak tam dzisiaj poszło mojej dużej dziewczynce? - zapytała Cathy. Sally lubiła być nazywana Dużą Dziewczynką, a jej matka miała nadzieję, że zminimalizuje w ten sposób nieuniknione konflikty z nowym rodzeństwem.

Sally zwolniła uścisk, zeskoczyła na ziemię i wyciągnęła malunek wykonany na szerokiej wstędze papieru do drukarki komputerowej. Był to obraz raczej abstrakcyjny, utrzymany w purpurze i oranżach. Matka i córka razem wróciły do szatni po płaszczyk i pudełko na drugie śniadanie. Cathy upewniła się, że płaszczyk Sally jest zapięty, a kaptur założony na głowę. Na dworze było tylko parę stopni ciepła, a ona nie chciała, żeby córka znów się przeziębiła. W ciągu pięciu minut od zaparkowania samochodu były już przy nim z powrotem.

Nawet nie zauważając rutyny codziennych czynności, Cathy otworzyła drzwi, wpuściła Sally do środka, sprawdziła czy jej pas jest napięty, zanim go zapięła, zamknęła drzwi i obeszała wóz, by wsiąść z lewej strony.

Przelotnie rzuciła okiem na okolicę. Na przeciwko, po drugiej stronie drogi mieściło się małe centrum handlowe z supermarketem „7-Eleven”, pralnią, sklepami RTV i narzędziowym. Przed „7-Eleven” zaparkowana była granatowa furgonetka. Widziała ją już tam dwa razy w tym tygodniu. Cathy szybko odrzuciła podejrzenie. „7-Eleven” był wygodnie usytuowany i wielu ludzi wpadało tu regularnie po zakupy w drodze do domu.

- Witaj, Lady Ryan - powiedział Sean Miller siedzący w furgonetce. Tylne okna budy, które jak Miller zauważył z uśmiechem, przypominały policyjną sukę, miały okna przezroczyste tylko w jedną stronę, co zabezpieczało obserwatorów przed niepożądanym wzrokiem. Alex był w sklepie, kupując skrzynkę coli, co mu się tu w ciągu ostatnich dwóch tygodni często zdarzało. Miller sprawdził czas. Dziś przyjechała o 16.46 i wyjechała o 16.52. Siedzący obok człowiek Alexa zrobił zdjęcia. Miller uniósł lornetkę. Zielony Porsche i tak rzucał się w oczy, a ten miał na dokładkę specjalne tablice rejestracyjne, R-CSRGN4 (Skrót od „Cathy Ryan, Surgeon”, „Cathy Ryan, chirurg”]. Alex wyjaśnił mu, że w stanie Maryland można sobie kupić tablice z wybranym przez siebie znakiem. Sean zastanawiał się, czy w przyszłym roku znajdą innego chirurga o inicjałach CR, żeby przejął tę tablicę.

Alex wrócił i uruchomił silnik. Furgonetka opuściła parking zaraz po wyjeździe zielonego Porsche. Alex wyprowadził ją Ritchie Highway na północ, potem wykonał szybki nawrót i ruszył za Porschem. Miller przeszedł do przodu i usiadł obok kierowcy.

- Tą drogą pojedzie na południe, do pięćdziesiątki, nią przez most na Severn, potem z 50 na dwójkę. Chcemy ją kropnąć zanim tam dojedzie. Zjedziemy tym samym zjazdem co dzisiaj i zmienimy samochód tam, gdzie ci pokażę. Szkoda, bo już zdążyłem polubić tę brykę.

- Za to, co ci zapłacimy, będziesz sobie mógł kupić następną.

- Też tak myślę - uśmiech przeciął czarną twarz. - Ta następna będzie miała wygodniejsze wnętrze.

Skręcili w prawo, zjeżdżając na drogę numer 50. Była to wielopasmowa autostrada z oddzielnymi jezdniami dla obu kierunków, dość zatłoczona. Alex wyjaśnił, że to było normalne natężenie ruchu.

- To się musi udać - zapewnił Millera.

- Wspaniale. Dobra robota, Alex - pochwalił go Sean. Chociaż trochę za bardzo pyskujesz, dodał w myśli.

Cathy zawsze prowadziła ostrożniej, gdy jechała z Sally. Dziewczynka wyciągała szyję, usiłując wyrzeć nad maską, jej lewa dłoń jak zwykle majstrowała przy zamku od pasów bezpieczeństwa. Jej matka wreszcie zaczynała się odprężyć. Mniej więcej tyle czasu potrzebowała, by odreagować ciężki dzień pracy. Łatwe w Instytucie Okulistycznym Wilmera zdarzały się niezwykle rzadko. Właściwie to nawet nie chodziło o stres. Dziś miała dwie operacje, na jutro szykowały się dwie następne. Kochała swoją pracę. Dzięki jej umiejętnościom i wiedzy wielu ludziom dało się uratować wzrok. Niewielu postronnych mogło zrozumieć tę satysfakcję, nawet Jack. Ceną za osiągniętą pozycję było to, że miała niewiele łatwych dni w pracy. Precyzja ruchów wymagana od chirurga jej specjalności nie pozwalała jej nawet pić kawy. Nawet minimalne drżenie ręki wywołane kofeiną mogło mieć opłakane rezultaty, jej profesja wymagała też stopnia koncentracji, z którym niewiele innych zawodów mogło się równać. Są oczywiście w medycynie trudniejsze specjalizacje, ale niewiele. To właśnie dlatego jeździła Porschem. To było tak, jakby przy pokonywaniu oporu powietrza lub braniu zakrętu na drugim biegu przy prędkości siedemdziesięciu kilometrów samochód zabierał od niej nadmiar rozpierającej ją energii i oddawał ją otoczeniu.

Zawsze dojeżdżała do domu w znakomitym nastroju. Dziś będzie jeszcze lepiej, bo dziś jest kolej Jacka na robienie obiadu. Gdyby samochód myślał, czułby zmniejszony nacisk na pedał gazu i hamulca po zjeździe na drogę numer 2. W ten sposób Cathy poklepywała wiernego wierzchowca, który wziął prawidłowo wszystkie przeszkody.

- W porządku? - zapytał Alex, jadąc na zachód drogą numer 50 w kierunku Waszyngtonu. Ktoś z tyłu podał Millerowi podkładkę z przypiętym rozkładem czasów. Wszystkim z wyjątkiem ostatniego zapisu towarzyszyły potwierdzające je zdjęcia. Sean spojrział na cyfry. Obiekt poruszał się według cudownie regularnego rozkładu.

- Pięknie - powiedział po chwili.

- Nie można określić z góry dokładnego punktu ataku, bo korki potrafią wszystko zmienić, ale myślę, że powinniśmy spróbować po wschodniej stronie mostu.

- Zgadza się.

Cathy Ryan weszła do domu kwadrans później. Rozpięła płaszcz Sally i patrzyła jak dziewczynka zмага się z rękawami. Tej umiejętności właśnie zaczynała nabywać. Cathy odebrała od niej okrycie i powiesiła je, a potem zdjęła swój płaszcz. Matka i córka podążyły następnie do kuchni, skąd dochodził dźwięk telewizora nastawionego na program informacyjny „MacNeil-Lehrer Report” oraz szcęk naczyń nieomylnie wskazujący na to, że jej mąż zмага się z obiadem.

- Tatusiu, zobacz co namalowałam! - Sally odezwała się pierwsza.

- O, wspaniały! - Jack wziął z jej rąk obrazek i przyjrzał mu się z uwagą. - Myślę, że tu go powiesimy.

Wieszali je wszystkie. Rolę galerii sztuki pełniły drzwi rodzinnej lodówki, gdzie były one przytwierdzane magnesami. Sally nigdy dotąd nie zauważyła, że miejsce ekspozycji codziennie było to samo. Nie wiedziała też, że każde jej dzieło, zachowane dla przyszłych pokoleń, lądowało w

wielkim pudle stojącym w szafie w przedpokoju.

- Cześć, maleńka - Jack pocałował żonę. - Jak ci dzisiaj poszło?

- Dwie operacje rogówki. Przy drugiej asystował Bernie, to był ciężki przypadek. Na jutro mam w planie witrektomię żrenicy. Aha, Bernie kazał cię pozdrowić.

- Co z jego dzieciakiem? - zapytał Jack.

- To był tylko wyrostek. Za tydzień będzie szalała jak zwykle - odpowiedziała Cathy, lustrując pobożowisko w kuchni. Często się zastanawiała, czy przygotowywanie obiadu przez Jacka warte było tego bałaganu, który powodował. Wyglądało na to, że szykuje pieczeń, ale nie była pewna. Nie chodziło nawet o to, żeby Jack był złym kucharzem, niektóre rzeczy wychodziły mu całkiem dobrze, ale był takim strasznym bałaganiarzem. Nigdy nie potrafił utrzymać naczyń w porządku. Cathy zawsze rozkładała noże, widelce i wszystko inne jak narzędzia do operacji. Jack rozrzucał je dookoła i potem tracił połowę czasu na ich poszukiwanie.

Sally wyszła z kuchni poszukać telewizora, który nie byłby nastawiony na dziennik.

- Mam dobre wieści - powiedział Jack.

- O?

- Skończyłem dziś z CIA.

- Więc skąd ten uśmiech?

- Nie znalazłem nic, co by mnie skłoniło do niepokoju. - Jack wyjaśniał jej to przez kilka minut, starając się omijać fakty otoczone tajemnicą. - Nigdy nie działali u nas. Nic nam nie wiadomo o tym, żeby tu mieli jakiegokolwiek kontakty. Tak naprawdę nie jesteśmy dla nich dobrym celem.

- A to dlaczego?

- Nie jesteśmy politykami. Ich interesują żołnierze, policjanci, sędziowie, burmistrzowie, ktoś taki...

- A od czasu do czasu jakiś księżę - dorzuciła Cathy.

- Tak, ale księżętami to my chyba też nie jesteśmy, co?

- Więc dlaczego mi to mówisz?

- To są straszni ludzie. Ten cały Miller... Zresztą już o nim mówiliśmy. Czułbym się znacznie lepiej, gdyby go na powrót zapuszkowali. Ale ci ludzie są zawodowcami. Nie będą organizowali akcji pięć tysięcy kilometrów od domu tylko po to, by się zemścić.

- Czy jesteś tego całkowicie pewien? - Cathy ujęła jego rękę.

- Jak cholera. Wywiad to niby nie matematyka, ale można sobie wyrobić pojęcie jak myśli ten drugi, co mu chodzi po głowie. Terrorysty zabijają, żeby zarabiać polityczne punkty. My nie mamy znaczenia politycznego.

Cathy uśmiechnęła się czule do męża.

- Czyli już się mogę odprężyć?

- Tak myślę. Ale lepiej patrz dalej w lusterko po drodze.

- I nie będziesz już wychodzić z nabitą bronią? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Ale ja lubię strzelać, kochanie. Zapomniałem już, jaką frajdę można mieć z dobrego pistoletu. Mam zamiar nadal strzelać w Akademii, ale nie, nie będę go już więcej nosił ze sobą.

- A strzelba?

- Nikomu nic złego się nie stało...

- Ale mi się to nie podoba, Jack. Przynajmniej ją rozładuj, dobrze? - wyszła do sypialni, by się przebrać.

- W porządku - odpowiedział. To i tak nie miało znaczenia. Pudełko nabożów będzie leżało obok strzelby na najwyższej półce w szafie. Sally jej tam nie dosięgnie, nawet Cathy musiałaby

stawać na palcach. Tam będzie bezpieczna. Jack przeanalizował wszystkie działania, które podjął w czasie ostatnich trzech tygodni i uznał, że naprawdę warto były zachodu. Alarm w domu na odludziu to nienajgłupszy pomysł. Polubił swojego nowego Browninga. Zaczynał mieć niezłe wyniki. Jeżeli potrenuje z rok, może zacznie dorównywać Breckenridge'owi.

Sprawdził piecyk, jeszcze 10 minut. Włączył telewizor, który zgasił, rozmawiając z Cathy. W dzienniku mówili o...

- Niech to szlag!

- W studiu telewizji WGBH w Bostonie gości pan Pdraig - czy dobrze to wymawiam? - pan Pdraig o'Neil, rzecznik prasowy Sinn Fein i poseł do brytyjskiego parlamentu. Panie o'Neil, w jakim celu pan przyjechał do Ameryki?

- Ja i wielu moich współtowarzyszy odwiedzaliśmy Amerykę po wielekroć, by informować tutejszą opinię publiczną o prześladowaniach, jakich doświadcza od rządu brytyjskiego ludność irlandzka,

o systematycznym pozbawianiu jej szans rozwoju ekonomicznego

i podstawowych praw obywatelskich, o brutalności brytyjskiej armii okupacyjnej wobec ludności irlandzkiej... - o'Neil mówił gładko, przekonywującym tonem. Już tyle razy wygłaszał ten wstęp.

- Pan o'Neil - wtrącił ktoś z ambasady brytyjskiej w Waszyngtonie - jest politycznym reprezentantem Skrzydła Tymczasowych tak zwanej Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Jest to organizacja terrorystyczna, zdelegalizowana zarówno w Irlandii Północnej, jak w Republice Irlandii. Jego celem w Ameryce, jak zwykle, jest zbieranie pieniędzy, za które organizacja ta mogłaby kupić broń i materiały wybuchowe. To źródło finansowania IRA zostało poważnie nadszarpnięte w wyniku tchórzliwego napadu na rodzinę królewską w zeszłym roku w Londynie. Celem obecnej misji pana o'Neila jest przekonanie Amerykanów irlandzkiego pochodzenia, jakoby IRA nie brała udziału w tamtej akcji.

- Panie o'Neil - powiedział prowadzący dyskusję redaktor McNeil - co pan na to?

- Pan Benett, jak to ma w zwyczaju, zmienia temat, uchylając się od odpowiedzi na postawione tu ważne zarzuty. Czy katolicy z Północnej Irlandii są pozbawieni szans gospodarczych i politycznych? Tak, są. Czy procesy karne toczące się w Irlandii Północnej były sterowane przez rząd brytyjski z powodów politycznych? Tak, były. Czy jesteśmy dziś bliżej politycznego rozwiązania tego konfliktu, który w obecnej swej formie ciągnie się od 1969 roku? Nie, co muszę stwierdzić z żalem. Jeżeli ja jestem terrorystą, to jak to się dzieje, że jakoś jestem wpuszczany do tego kraju? W rzeczywistości jestem parlamentarzystą, posłem do Izby Gmin wybranym przez ludzi z mojego okręgu wyborczego.

- Ale nie zasiada pan w ławach parlamentarnych? - zapytał McNeil.

- Czyż miałbym firmować działania rządu, który morduje moich wyborców?

- Jezu - westchnął Ryan. - Co za bzdury! Wyłączył telewizor.

- Cóż za rozsądny człowiek - powiedział Miller. Dom Alexa stał niedaleko obwodnicy Waszyngtonu. - No dalej, Paddy, powiedz swoim przyjaciołom jaki z ciebie rozsądny człowiek. A potem idź wieczorem do pubu i powiedz im, że nigdy nie skrzywdziłeś nikogo, kto nie ciemniłoby ludu irlandzkiego. - Sean obejrzał cały wywiad, a potem zadzwonił przez centralę międzynarodową do budki telefonicznej nieopodal dublińskiego pubu.

Następnego ranka, w Irlandii pięć godzin później, czterech ludzi wsiadło do samolotu do Paryża. Schludnie ubrani, wyglądali jak młodzi biznesmeni podróżujący z bagażem podręcznym do filii swych firm. Na lotnisku Charlesa de Gaulle'a przesiadli się na rejs do Caracas. Stamtąd

samolotem Eastern Airlines polecieci do Atlanty i dalej tą samą linią do Waszyngtonu, do Narodowego Portu Lotniczego, położonego nad Potomakiem, opodal pomnika Thomasa Jeffersona. Cała czwórka była znużona podróżą i miała dość foteli lotniczych, gdy już wylądowali. Wzięli taksówkę z lotniska do hotelu, gdzie odespali różnicę czasów. Młodzi biznesmeni wymeldowali się nazajutrz rano, a przed hotelem czekał na nich samochód.

14

Powtórne spotkanie

- Poniedziałki powinny być prawnie zabronione - wymamrotał Ryan. Dzień zaczął się dla niego w najgorszy z możliwych sposobów, od zerwania sznurowadła, które teraz zwisało smętnie z jego lewej dłoni.

- Gdzie są zapasowe? - pytał znów sam siebie, gdyż Cathy wyszła już z Sally dziesięć minut temu. - Cholera!

Zaczął gorączkowo przeszukiwać szuflady swej garderoby. Nic. Kuchnia? Zszedł na dół i przeszedł do kuchni, zaglądając do szuflady kuchennego stołu, w której było wszystko, co nie znajdowało się gdzie indziej. Znalazł wreszcie, ale tylko jedno, białe, od butów do biegania, zagrzebane pod notesami, magnesami i nożyczkami. Robiło mu się coraz goręcej. Po jeszcze kilku minutach przekopywania zakamarków znalazł wreszcie parę, która od biedy mogła się nadać. Wziął tylko jedno, drugie zostawił, w końcu zerwało się tylko jedno.

Potem musiał sobie wybrać krawat. Zawsze miał z tym problem, ale tym razem przynajmniej nie było przy nim Cathy, żeby mu wytknąć nietrafny wybór. Miał dziś na sobie szary garnitur, więc wybrał granatowy krawat w czerwone prążki. Nadal nosił zwykłe, białe bawełniane koszule zapinane na guziki. Czym skorupka za młodu... Marynarka leżała idealnie. To był jeden z tych garniturów, które Cathy zamówiła mu w Londynie. Musiał nie bez oporów przyznać, że jego żona miała w tym względzie znacznie lepszy gust od niego. Ten londyński krawiec też był niezły. Uśmiechnął się do swego odbicia w lustrze.

- Ty przystojniaczku!

Zszedł schodami na dół. Na stole w przedpokoju czekała jego teczka, pełna zestawów pytań na dzisiejsze kolokwium. Ryan wziął płaszcz z szafy, sprawdził czy ma w prawej kieszeni klucze, wziął teczkę i wyszedł.

- Szlag! - Otworzył dopiero co zamknięte drzwi i włączył system alarmowy, zanim je ponownie zamknął.

Starszy sierżant sztabowy Breckenridge kończył przegląd dwuszeregu żołnierzy piechoty morskiej. Jego długo ćwiczonemu w tej sztuce oku nie umykało żadne niedopatrzenie. Jeden z szeregowych miał paprochy na granatowym mundurze galowym. Buty innego wymagały wypolerowania, jeszcze dwóch innych pilnie potrzebowało fryzjera, bo ich sześciomilimetrowej długości włosy już niemal całkowicie zasłoniły skórę czaszek. Ogólnie był jednak zadowolony. Każdy z nich przeszedłby śpiewająco przegląd w każdej innej jednostce. Jednak tu nie była zwykła jednostka i obowiązywały zaostrome normy. Breckenridge'owi ryki na podwładnych nie sprawiały przyjemności, wyrósł już z tego. Jego opeery miały teraz raczej charakter ojcowskich połajanek. Mimo to, nadal był dla tych chłopaków pierwszym po Bogu. Zakończył przegląd i wydał pododdziałowi wartownicemu rozkaz do rozejścia się na posterunki. Część odmaszerowała ku pobliskim bramom, inni odjechali półciągarówkami w bardziej oddalone miejsca, tak by wszędzie zmiana warty nastąpiła dokładnie o pełnej godzinie. Każdy z wartowników nosił granatowy mundur galowy i biały pas z pustą kaburą. Ich pistolety przypisane były do posterunków i przekazywane przy

zdawaniu warty. Jako że zadania warty były pokojowej natury, pistolety były rozładowane, ale piechota morska nie byłaby piechotą morską, gdyby pod ręką nie było zapasu magazynków załadowanych nabojami kalibru 0,45 cala.

- Jezu, czy ja naprawdę za tym tęskniłem? - Ryan musiał wyteńczyć resztki energii, by skupić się na rozstrzygnięciu tej kwestii. Ale nie mógł się dłużej wymigiwać. W Londynie rana uniemożliwiła mu treningi. W domu przez pierwszych parę tygodni też. Potem spędzał ranki w CIA. To była ostatnia wymówka. Ale teraz i to się skończyło.

- Rickover Hall - obiecał sobie. - Dobiegnę tylko do Rickover Hall i już koniec.

Musiał się zatrzymać i to niedługo. Zimne powietrze znad rzeki łapczywie połykane w biegu, kłuło jak bagnet. Nos i gardło miał suche i szorstkie jak papier ścierny. Serce zdawało się rozrywać klatkę piersiową. Jack nie biegał od miesięcy i teraz płacił za swe lenistwo.

Budynek Rickover Hall zdawał się odległy o tysiące kilometrów, choć wiedział, że to zaledwie kilkaset metrów. Jeszcze w październiku trzy okrążenia terenu Akademii przypłacał najwyżej potem. Teraz ledwie przebiegł pół okrążenia, marzył o szybkiej śmierci, by położyła kres jego cierpieniom. Nogi miał z wysiłku miękkie, jak z gumy. Jego krok był nierówny. Ryan chwiał się, co nieomylnie wskazywało na biegacza, który przekroczył swoją normę.

- Jeszcze sto metrów, jeszcze tylko piętnaście sekund - sapał. Całe to leżenie do góry brzuchem, wycieranie stołka i papieroski w Langley dawały mu teraz do wiwatu. Zaprawa w Quantico to nic w porównaniu z tym. Ale byłem wtedy o wiele młodszy, pocieszał się w myśli. Spojrzał w lewo i zauważył, że zrównał się z linią wschodniej ściany budynku. Odchylił się do tyłu i zwolnił do zwykłego kroku, oparł ręce na biodrach, a jego pierś gwałtownie falowała, gdy łapał z wysiłkiem powietrze.

- Wszystko w porządku, panie doktorze? - zapytał słuchacz, który zatrzymał się obok, biegnąc w miejscu, żeby mu się przyjrzeć. Ryan próbował go zniecierliwić za tę jego młodość i nadmiar energii, ale nawet na to brakowało mu sił.

- Tak, wszystko... w porządku... tylko brakuje treningu - Jack zdołał tę wypowiedź zmieścić w trzech wydechach.

- Nie powinien pan narzucać sobie od razu takiego tempa - wytknął mu dwudziestolatek i popędził dalej, pozostawiając swego nauczyciela w tyle. Jack zaczął się sam z siebie śmiać, ale zakrztusił się i dał sobie spokój. Następna przebiegła koło niego słuchaczka. Jej pełen współczucia uśmiech dobił go do reszty.

- Tylko nie siadaj. Rób co chcesz, ale nie siadaj.

Odwrócił się i odszedł od barierki nad brzegiem. Spacer na drżących nogach był nie lada wysiłkiem. Zdjął z szyi ręcznik i otarł spoconą twarz, zanim zrobi mu się za zimno. Przeciągnął się, trzymając ręcznik w dłoniach jak ekspander. Teraz wreszcie złapał oddech. Tlen wrócił z krwią do kończyn i ból ustał. Wiedział, że wkrótce ustąpi także to paskudne wrażenie, że ma nogi z gumy. Jeszcze dziesięć minut i wszystko będzie w porządku. Jutro spróbuje dotrzeć dalej, do biblioteki Nimitza, obiecał sobie. A jak potrenuje do maja, to żaden słuchacz nie będzie go w stanie wyprzedzić. No, w każdym razie żadna słuchaczka. Był od nich starszy o dziesięć lat i to się mogło już tylko pogorszyć. Tak, tak, następny przystanek, staruszkę, to czterdziestka.

Cathy Ryan ubrana była w zielony strój operacyjny. Guma spodni wciągnięta była wysoko, ponad wypukłość jej brzucha, co spowodowało, że zrobiły się one zbyt kuse, jak dzwony noszone przez nastolatki w jej czasach. Zielony czepek nakrywał jej fryzurę, na której ułożenie każdego ranka poświęcała tyle czasu. Zanim skończy pracę i będzie go mogła zdjąć, jej włosy przypominać będą węzowe spłoty Meduzy.



- Do roboty - powiedziała cicho do siebie. Odepchnęła łokciem uchylne drzwi bloku operacyjnego, trzymając świeżo umyte ręce w górze, jak na filmach. Bernice, szefowa zespołu operacyjnego, czekała już ze sterylnymi rękawiczkami gumowymi, które wciągnęła jej na dłonie, rozwijając ich wloty wysoko na przedramiona.

Z powodu tych rękawic nie mogła kiedyś nosić pierścionka zaręczynowego, teraz płaska obrączka w niczym nie przeszkadzała.

- Dziękuję.

- Jak dziecko? - zapytała Bernice, matka trojga własnych.

- Właśnie uczy się biegać - uśmiechnęła się znad maski Cathy. - A może podnosi ciężary?

- Ładny naszyjnik.

- To prezent gwiazdkowy od Jacka.

Doktor Terri Mitchell, anestezjolog, podłączyła pacjentkę do swojej aparatury i zabrała się do usypiania, obserwowana przez resztę zespołu. Cathy rzuciła wzrokiem na narzędzia, upewniając się, że Lisa-Marie jak zawsze miała wszystko w porządku. Jako najlepsza instrumentariuszka w szpitalu, była bardzo wybredna w wyborze lekarzy z którymi pracowała.

- Wszystko gotowe, doktorze? - zapytała swego asystenta. - Dobra, proszę państwa, zobaczymy, czy uda się uratować wzrok tej pani. - Spojrzała na zegar. - Operacja zaczęła się o godzinie ósmej minut czterdzieści jeden.

Miller powoli składał pistolet maszynowy. Miał mnóstwo czasu. Dokładnie wyczyścił i naoliwił broń po przestrzeliwaniu, które urządzili wczoraj wieczorem w kopalni trzydzieści kilometrów na północ od Waszyngtonu. Ten będzie jego osobistą bronią. Zdążył go polubić. Wyważenie było idealne, kolba po rozłożeniu sprawiała dobre i solidne wrażenie. Przyrządy celownicze były łatwe w użyciu. Mimo że pistolet strzelał z otwartego zamka, całkiem stabilnie zachowywał się przy strzelaniu seriami. I do tego miał, jak na tak śmiertcionośną broń, niewielką, zwartą konstrukcję. Odciągnął zamek, objął chwyt, wciskając samoczynny bezpiecznik chwytowy i ściągnął spust, by wyrobić sobie wyczucie punktu, w którym zaczep zamkowy zwalniał zamek. Oceniał, że siła nacisku na spust wynosiła około pięciu kilogramów. W sam raz jak na peem, pomyślał, ani za lekki, ani za ciężki. Miller zostawił zamek w przednim położeniu i włożył w gniazdo w chwycie magazynek załadowany trzydziestoma nabojami kalibru 9 milimetrów. Potem złożył kolbę i wypróbował hak do zawieszania broni pod połą płaszcza, umożliwiający jej ukryte noszenie. Pewnie nie przyda się do niczego, ale Miller był człowiekiem, który brał pod uwagę każdą możliwość. Życie kazało mu drogo zapłacić za tę lekcję.

- Ned?

- Tak, Sean? - Eamon Clark, zwany Nedom, od przyjazdu do Ameryki nie rozstawał się z mapami i zdjęciami. Był jednym z najbardziej doświadczonych zabójców w Irlandii, uczestnikiem ucieczki z więzienia w Long Kesh, zorganizowanej przez ULA. Clark, przystojny młody człowiek spędził cały poprzedni dzień zwiedzając teren Akademii w Annapolis, fotografując posąg Tecumseha, dziwnym trafem akurat na tle bramy numer 3. Ryan będzie musiał wyjechać prosto, pod górę, dając mu niespełna piętnaście sekund na wykonanie zadania. To będzie wymagało czujności, ale Ned był człowiekiem cierpliwym. Poza tym znał rozkład zajęć celu. Jego ostatni wykład kończył się o trzeciej, więc przy bramie będzie jakieś pół godziny później. Alex właśnie parkował na ulicy Króla Jerzego samochód, którym miał uciekać. Clark miał zastrzeżenia do planu, ale zatrzymał je dla siebie. Sean Miller zaplanował ucieczkę z więzienia, która zwróciła mu wolność. To miała być jego pierwsza akcja dla ULA. Clark zdecydował, że winien jest Millerowi lojalność. Poza tym bardzo nisko oceniał poziom bezpieczeństwa Akademii. Ned Clark zdawał sobie sprawę, że nie jest może

najbardziej błyskotliwym fachowcem, ale potrzebny był człowiek umiejący działać samodzielnie, a w tym był dobry. Dowiódł tego siedem razy, zanim wpadł, zdradzony.

Przed domem stały trzy samochody: furgonetka i dwa kombi. Furgonetka miała służyć do wykonania drugiego członu operacji, a kombi miały przewieźć uczestników na lotnisko po jej zakończeniu.

Miller usiadł w fotelu i jeszcze raz prześledził w myśli cały plan. Jak zawsze zamknął oczy i zaczął sobie wyobrażać poszczególne stadia w zmieniających się uwarunkowaniach zewnętrznych. Co zrobić, jeżeli szosa będzie bardzo zatłoczona? A jeżeli ruch będzie mały? A jeżeli...

Jeden z ludzi Alexa wszedł do pokoju i rzucił mu zdjęcie z Pola-roida.

- Zgodnie z rozkładem? - zapytał Sean.

- Pewnie, człowieku.

Zdjęcie przedstawiało Cathy Ryan prowadzącą swoją córkę do przedszkola w... Jak się ta dziura nazywała? A, tak. Giant Steps. Sean uśmiechnął się.

- Dobre sobie, Giant Steps, Kroki Olbrzyma - mruknął. - Dzisiaj, pani doktor, to będzie naprawdę olbrzymi krok...

Miller odchylił się do tyłu z zamkniętymi oczami, ponownie tonąc w myślach.

- Ale nie byli przecież zagrożeni - zaprotestował słuchacz.

- Racja. Tyle że tacy mądrzy to my jesteśmy dopiero teraz. A jak to widział Spruance? Wiedział jakimi siłami dysponują Japończycy. A gdyby popłynęli na wschód, a rozkazu odwołującego nie wydano? - Jack wskazał na szkic mapy, który wyrysował na tablicy. - Spotkaliby się o, tu, około godziny 03.00. I jak pan myśli, kto by wtedy wygrał, co?

- Ale w ten sposób stracił przecież możliwość zadania rano ciosu z powietrza - upierał się kandydat na stratega.

- Czym? Proszę zwrócić uwagę na procenty strat w grupach powietrznych. Jak pan myśli, jakie straty mógłby im zadać po stracie niemal wszystkich samolotów torpedowych? - zapytał Jack.

- Ale...

- Pamięta pan taką piosenkę Kenny Rogersa, w której śpiewał, że trzeba wiedzieć, kiedy odejść, a kiedy uciekać? Świerzbujące ręce są przeszkodą dla myśliwego, ale dla admirała dowodzącego flotą mogą być przyczyną klęski. Spruance przeanalizował dostępne informacje, ocenił swoje możliwości i zdecydował, że ma dosyć. Poza tym myślał pewnie... O czym? - zapytał reszty klasy.

- O obronie Midway? - zaryzykował inny.

- Bardzo dobrze. A jeżeli jednak spróbowaliby wysadzić desant? Raz już taki scenariusz rozważano na ćwiczeniach sztabowych w Newport i wtedy inwazja się powiodła. To była tylko teoria, biorąca górę nad praktyką, ale Spruance nie mógł nie wziąć tej możliwości pod uwagę. Jego głównym zadaniem było wykrwawienie japońskiej floty, która miała przewagę. Ale miał też za zadanie uniemożliwienie inwazji na Midway. Kompromis na jaki się zdecydował, to majstersztyk analizy operacyjnej. - Ryan przerwał na chwilę. Zaraz, jak on to powiedział... „Teoria biorąca górę nad praktyką”? Czy to nie on czasem ostatnio doszedł do wniosku, że ULA nie ma możliwości, żeby... Nie, to zupełnie inna sytuacja. Wygnał tę myśl z głowy i powrócił do rozważań nad wnioskami płynącymi z bitwy o Midway.

- Znakomicie - powiedziała Cathy, opuszczając maseczkę chirurgiczną. Wstała ze stołka i wyciągnęła ramiona nad głową. - Dobrze poszło, proszę państwa.

Pacjentkę wyciągnięto na wózku do sali pooperacyjnej, a Lisa-Marie policzyła narzędzia. Cathy odwiązała i zdjęła maskę, drapiąc się po nosie. Potem opuściła ręce na brzuch, gdzie maluch kopał jak szalony.

- Piłkarz rośnie, co? - zapytała Bernice.

- Czuję jakby to była cała drużyna. Sally nie była tak aktywna. Myślę, że to będzie chłopiec - orzekła Cathy, dobrze wiedząc, że to nie ma żadnego związku. Dobrze, że dziecko było tak ruchliwe. To zawsze dobry znak. Uśmiechnęła się, po części do siebie, myśląc o magii i cudzie macierzyństwa. Gdzieś tam w niej krył się nowy człowiek, czekający i to niecierpliwie, wnosząc z zachowania, na urodziny. - Wyjdę pogadać z rodziną.

Wyszła z sali operacyjnej nie przebijając się. Lekarze wyglądali poważniej w zielonych strojach operacyjnych. Rodzina Jeffersów, ojciec i jedna z córek, czekali jak zwykle na kanapie, jak zwykle usiłując czytać czasopisma wyłożone na stoliku. Na widok lekarza zerwali się na równe nogi. Zaprezentowała im jeden ze swych najpromienniejszych uśmiechów na szczęśliwe okazje, będących zawsze najszybszym sposobem na przekazanie dobrych wiadomości.

- Wszystko w porządku? - zapytał mąż pacjentki z wyczuwalnym napięciem w głosie.

- Wszystko poszło gładko - odpowiedziała Cathy. - Bez problemów. Wyzdrowieje.

- A kiedy będzie mogła...

- Za tydzień. Takie przypadki wymagają cierpliwości. Odwiedzić będziecie ją mogli państwo za półtorej godziny, jak się obudzi. Pójdźcie państwo coś zjeść w tym czasie. Nie ma sensu wpuszczać do zdrowego pacjenta wyczerpanej rodziny. A ja...

- Doktor Ryan - odezwał się głośnik. - Doktor Caroline Ryan pilnie proszona do telefonu.

- Chwileczkę. - Cathy podeszła do dyżurki pielęgniarek i podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu. - Słucham, doktor Ryan.

- Cathy, tu Gene z Izby Przyjęć. Mamy tu dzieciaka z poważnym urazem oka. Chłopiec, czarny, w wieku lat 10, wjechał rowerem w wystawę sklepową - odezwał się w słuchawce napięty głos. - Jego lewe oko jest paskudnie pokancerowane.

- Wyślij go na szóstkę. - Cathy odwiesiła słuchawkę i wróciła do Jeffersów. - Przepraszam, muszę iść na salę, mamy ciężki przypadek z pogotowia. Z pańską żoną wszystko w porządku. Zobaczymy się jutro. - Odeszła jak mogła najprędzej w kierunku drzwi sali operacyjnej.

- Uwaga, z Izby jedzie wypadek z pogotowia. Ciężkie uszkodzenie oka u dziesięciolatka.

Lisa-Marie już robiła swoje. Cathy podeszła do telefonu wiszącego na ścianie i wystukała numer pokoju lekarskiego.

- Mówi Ryan z szóstki u Wilmera. Jest tam gdzie Bernie?

- Zaraz go poproszę - odparł głos w słuchawce. I po chwili -Doktor Katz, słucham.

- Bernie, mam poważne uszkodzenie oka na szóstce. Gene Wood z Izby mówi, że to ciężki przypadek.

- Lecę!

Cathy odwiesiła słuchawkę i odwróciła się.

- Terri?

- Wszystko gotowe - odpowiedziała anestezjolog.

- Jeszcze dwie minuty - odezwała się Lisa-Marie.

Cathy przeszła do umywalni, by ponownie umyć ręce. Bernie Katz przybył zaraz po tym, gdy zaczęła. Jego wygląd nie budził zaufania pacjentów. Był ledwie o dwa centymetry wyższy od Cathy, nosił przydługie włosy i bismarkowskie wąsy, ale był jednym z najlepszych chirurgów u Hopkinsa.

- Lepiej, żebyś ty to prowadził - powiedziała. - Ja nie szyłam większych uszkodzeń gałki ocznej już od dłuższego czasu.

- Nie ma sprawy. Jak tam malutki?

- Dobrze. - W ciszę sali operacyjnej wdarły się wysokie, rozzierające krzyki dziecka.

Lekarze przeszli na salę. Beznamiętnie przyglądali się, jak dwaj sanitariusze przenoszą chłopca na stół operacyjny i przywiązują pasami.

Gdzieś ty się włóczył, zamiast być w szkole, pomyślała. Lewa strona twarzy przedstawiała straszny widok. Tym się później zajmą plastycy. Najpierw trzeba ci zrobić porządek z tym okiem, biedaku. Chłopczyk usiłował być dzielny, ale ból był zbyt silny. Terri podała pierwszą porcję narkozy, sanitariusze przytrzymali mu rękę. Cathy i Bernie pochylili się nad jego twarzą chwilę później.

- Niedobrze - mruknął Katz. Spojrzał na pielęgniarkę. - O pierwszej miałem mieć operację. Proszę ją przełożyć na później. To nam zajmie kupę czasu.

- Gotowe - zameldowała instrumentariuszka.

- Dajmy mu jeszcze dwie minuty - poradziła anestezjolog. U tak małych dzieci nie wolno śpieszyć się z narkozą.

- Rękawice - powiedziała Cathy. Bernice podała je chwilę później.

- Jak to się stało?

- Jechał na rowerze po Monument Street - odparł sanitariusz. - Najechał na coś i przewrócił się na witrynę sklepu z artykułami gospodarstwa domowego.

- A dlaczego nie był w szkole? - zapytała, oglądając oko. Widziała robotę na godziny, z bardzo niepewnym rezultatem.

- Szkoły mają dziś wolne, pani doktor - odpowiedział sanitariusz.

- A, prawda - Spojrzała na Berniego. Grymas na jej twarzy widać było mimo maski.

- No, nie wiem, Cathy - teraz Katz obejrzał oko przez okulary powiększające. - To była jakaś tandetna szyba, pełno odłamków. Naliczyłem pięć przebić. Jezu, patrz, ten tkwi aż w rogówce. Biermy się do roboty.

Chevrolet wjechał do jednego z piętrowych garaży szpitala Hopkinsa. Z górnego piętra kierowca miał doskonały widok na drzwi prowadzące ze szpitala na parking dla lekarzy. Garaż był oczywiście strzeżony, ale mnóstwo samochodów wjeżdżało i wyjeżdżało z niego, a widok kogoś oczekującego w samochodzie, aż pasażer wróci z odwiedzin nie należał do rzadkości. Oparł się wygodnie i zapalił papierosa, słuchając muzyki z włączonego radia samochodowego.

Ryan nałożył sobie porcję rostbefu na tackę i wybrał do picia mrożoną herbatę. Klub Wykładowców i Oficerów miał niezwykły sposób obliczania należności za posiłki. Wszystko kosztowało tyle samo, tace kładło się na wagę i kasjer wyliczał cenę. Jack zapłacił dwa dolary i dziesięć centów. Cena była w porządku, na pewno nie wygórowana, ale sposób jej obliczania zawsze wydawał mu się dziwny. Dołączył do Robby'ego Jacksona w łoży w rogu.

- Te poniedziałki! - rzucił.

- Jaja sobie robisz? Dziś mogę się rozluźnić. Całą sobotę i niedzielę latałem.

- Myślałem, że to lubisz.

- Pewnie, że tak - zapewnił go Robby. - Ale przez te dwa dni już przed siódmą byłem w powietrzu. A dzisiaj mogłem się wylegiwać aż do szóstej, masz pojęcie? Ta godzina snu była mi naprawdę potrzebna. Co tam u rodzinki?

- W porządku. Cathy ma dziś dużą operację, musiała tam być wcześniej. To jest właśnie wada małżeństwa z chirurgiem, że oni zawsze wcześniej wstają. Sally się czasem buntuje.

- Tak, wcześniej spać, wcześniej wstać, można skonać - zgodził się Robby. - Jak drugi dzieciak?

- Super - uśmiechnął się Jack. - Mały ruchliwy skubaniec. Nigdy nie mogę wyjść z podziwu, że one to znoszą, jak ono się tam kręci, wierci, kopie i co tam jeszcze, naprawdę.

- Mogę się przysiąść? - do ich stolika dosiadł się Skip Tyler.

- Jak tam bliźniaki? - od razu zapytał Jack.

Odpowiedzią był głęboki jęk i widok worów pod oczyma Tylera.

- Sztuka polega na tym, żeby ich obu uśpić na raz. Jak jednego już się uda, to ten drugi rozdziera się jak alarm pożarowy. Nie wiem, jak Jean się to udaje. Pewnie dlatego - uśmiechnął się - że ona może z nimi po cichu chodzić, bo ja to tylko krok-brzdęk, krok-brzdęk.

Wszyscy trzej mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Skip Tyler nie uzalał się nad sobą z powodu straty nogi.

- A jak to znosi Jean? - zapytał Robby.

- Bez większych problemów, śpi razem z nimi, a ja zasuwam z całą robotą w domu.

- I dobrze ci tak, dzieciarobie - powiedział Jack. - Nie możesz sobie odpuścić?

- Czy mogę coś poradzić na to, że mam duży temperament?

- Pewnie nie, ale mógłbyś lepiej wybierać porę - zgasił go Robby.

- Jeśli chodzi o wybór pory - stwierdził Tyler dydaktycznym tonem - to jest on doskonały.

- No, tak, można to i tak ująć - zgodził się Jack.

- Słyszałem, że biegałeś dziś rano - odparował Tyler, zmieniając temat.

- Też mi się obilo o uszy - zachichotał Robby.

- No nie, chłopaki, ja jeszcze żyję...

- Jeden z moich słuchaczy powiedział, że jutro będą za tobą jechali karetką - ciągnął Skip. - Powinieneś też wiedzieć, że większość z nich przechodziła szkolenie w zakresie udzielania pierwszej pomocy.

- Nie lubię poniedziałków - stwierdził Jack.

Alex i Miller przejechali jeszcze raz drogą numer 50. Pilnowali się, żeby nie przekroczyć dozwolonej prędkości. Tego akurat dnia na szosie było pełno radiowozów policji stanowej z radarami. Alex zapewniał Millera, że to się skończy po 16.30. W godzinach szczytu samochodów jest za dużo, żeby kogokolwiek ścigać. Z tyłu furgonetki siedziało jeszcze dwóch uzbrojonych ludzi.

- O, myślę, że gdzieś tu - wskazał Sean.

- Tak, to chyba najlepsze miejsce - zgodził się Alex.

- A teraz droga ewakuacji - powiedział Sean, włączając stoper.

- Dobra. - Alex zmienił pas i dalej jechał na zachód. - Weź pod uwagę, że po południu będziemy jechali wolniej.

Miller skinął głową, czując jak zwykle niepokój przed akcją. Spoglądając z przedniego siedzenia furgonetki na natężenie ruchu na niektórych zjazdach, starał się przewidzieć możliwe warianty sytuacji. Szosa była znacznie lepsza od tych, które widywał w Irlandii. Ludzie tu jeździli po niewłaściwej stronie drogi, ale w porównaniu z krajami europejskimi, zwłaszcza Francją i Włochami, charakteryzowali się znacznie lepszymi manierami. Otrząsnął się z tych rozważań i skupił na otaczającej sytuacji.

Po zakończeniu operacji w ciągu dziesięciu minut dotrą do samochodu ewakuacyjnego. Czas jest obliczony tak, by spotkali się z Nedeem Clarkiem. Miller zakończył przegląd przygotowań, zadowolony z planu, który mimo iż powstał w pośpiechu, prezentował się efektownie.

- Wcześniej pan dzisiaj - rzekł Breckenridge.

- Tak, bo dwóch słuchaczy ma do mnie przyjść po południu, żeby omówić pracę semestralną. Czy to panu w czymś przeszkadza? - Jack wyjął z teczki Browninga.

Sierżant podał mu pudełko nabojów.

- Nie, poniedziałki i tak są na zmarnowanie.

Ryan podszedł do trzeciej osi i odciągnął zamek. Sprawdził, czy lufa jest drożna. Wiedział, że

broń jest w dobrym stanie, ale zasady bezpieczeństwa wprowadzone przez Breckenridge'a na strzelnicy były niewzruszone i obowiązywały wszystkich jednakowo, nawet gdyby to komendant Akademii przyszedł postrzelać.

- W porządku, Gunny.

- Może dzisiaj poprobujemy ognia szybkiego? - Sierżant przypiął do ramy odpowiednią do tego tarczę i włączył wyciąg, który odsunął ją o 50 metrów od linii ognia. Ryan włożył pięć nabojów do magazynka.

- Proszę założyć ochraniacze, panie poruczniku - Breckenridge rzucił mu słuchawki tłumiące huk. Ryan założył je, potem włożył magazynek do pistoletu i wcisnął zatrzask zamkowy. Zamek pod wpływem napiętej sprężyny powrotnej wrócił w przednie położenie, po drodze wybierając nabój z magazynka i dosyłając go do komory naboju. Broń była gotowa do strzału. Ryan skierował lufę w kierunku kulochwyty i czekał. Chwilę później rozbłysło światło, wydobywając z mroku cel. Jack podrzucił broń, umieścił muszkę tuż pod środkiem tarczy i ściągnął spust. Reguły ognia szybkiego dawały mu sekundę na oddanie każdego strzału. To było więcej niż potrzebował. Pierwszy strzał był spóźniony, jak u większości strzelców. Pistolet wyrzucił łuskę i Ryan ściągnął go w dół, celując do następnego strzału. Po piątym strzale zamek pozostał w tylnym położeniu. Jack zdjął słuchawki.

- Coraz lepiej, panie poruczniku - pochwalił go Breckenridge, obserwując cel przez lunetę. - Wszystkie w czarnym polu, jedna dziewiątka, cztery dziesiątki, z tego jedna centralna. Jeszcze raz.

Ryan ponownie załadował broń. Celne strzelanie z pistoletu sprawiało mu radość. To była czysto fizyczna umiejętność, osiągnięcie dające człowiekowi tyle samo satysfakcji co celne trafianie golfową piłeczką do dołka. Był to rezultat perfekcyjnego panowania nad maszyną, wyrzucającą dziewięćmilimetrowe pociski dokładnie w to miejsce, w które jest wycelowana, wymagającego z kolei równie doskonałej koordynacji ręki z okiem. Strzelanie z karabinu, czy śrutówki jest prostsze. Opanowanie pistoletu jest dużo trudniejsze niż broni długiej, a trafianie dają tę podświadomą radość, której nie da się opisać komuś, kto nigdy jej nie zaznał.

Za drugim razem były już same dziesiątki. Teraz spróbował dwuręcznej postawy Weavera i z trzeciej piątki cztery przestrzeliny ułożyły się w kręgu wyznaczającym centrum dziesiątki.

- Nieźle jak na cywila - skomentował sierżant. - Kawy?

- Dzięki, Gunny - Ryan wziął kubek z jego ręki.

- Chciałbym, żeby się pan bardziej koncentrował na drugim strzale. Ciągłe ląduje panu po prawej, psując wynik. Trochę go pan zrywa. - Ryan wiedział, że różnica o której mówił Gunny nie przekracza pięciu centymetrów na 50 metrów. Breckenridge był jednak nieugiętym perfekcjonistą. Uderzyło go podobieństwo tej cechy charakteru starego wiarusa i swojej żony. Oboje uważali, że albo coś jest zrobione bez zarzutu, albo kompletnie schrzanił, bez żadnych stanów pośrednich. - Szkoda, że odniósł pan tę kontuzję, doktorze. Byłby z pana doskonały oficer, no oczywiście pod warunkiem, że miałby pan pod ręką dobrego podoficera, któryby pilnował interesu. Ale wszyscy oficerowie kogoś takiego potrzebują.

- Wiesz co, Gunny? Spotkałem w Londynie paru gości, z którymi byście sobie przypadli do gustu - odpowiedział Ryan, wkładając kolejny magazynek do pistoletu.

- Ten Ryan to jest łośbski gość, nie? - Owen oddał Murrayowi czytany dokument.

- Tak, niby nic nowego nie wymyślił - zgodził się Dan - ale przynajmniej poukładał to tak, że teraz ma sens. A tu masz ten drugi dokument, o który prosiłeś.

- A, to o naszych przyjaciółkach w Bostonie. Cóż tam porabia nasz drogi Paddy O'Neil? - z głosu Owena przebijało rozdrażnienie. Pdraig o'Neil był obrazą brytyjskiego systemu parlamentarnego, tubą propagandową Tymczasowych IRA w Izbie Gmin. Mimo dziesięciu lat usilnych starań ani C-13

Owens ani Royal Ulster Constabulary nie udało się udowodnić mu powiązań z żadną nielegalną działalnością.

- A co ma porabiać? Żłopie mnóstwo piwska, gęba mu się nie zamyka, ale do kapelusza wpada jak zwykle niewiele. - Murray pociągnął łyk porto. - Mamy agentów wszędzie dookoła niego. On sobie, oczywiście, zdaje z tego sprawę. Jeżeli choćby splunie na chodnik, to zapakujemy go w najbliższy samolot do domu. O tym też wie, więc bardzo się pilnuje. Do tej pory nie popełnił żadnego wykroczenia. Nawet jego kierowca. Wybrali mu kompletnego abstynenta. Przykro mi to stwierdzić, Jimmy, ale ten drań jest czysty jak łąza i zarabia punkty.

- O tak, Paddy to czarujący człowiek. - Owen przewrócił stronę i podniósł oczy znad dokumentu na swego rozmówcę. - Daj mi jeszcze raz to, co poprzednio pisał Ryan.

- A co, twoi kumple z Piątki podprowadzili ci egzemplarz? Masz, ale tylko na miejscu, niech ci jutro twój oddadzą...

Owen wertował podany dokument, coraz bardziej wzburzony, szukając podsumowania.

- O, tu jest! Jezu Chryste!

- Co jest? - Murray zdziwiony spojrzał na kolegę.

- Motyw, cholerny motyw, Dan! Jest właśnie tu!

- O czym ty mówisz Jim? Czytałem to ze dwa razy i nic...

- „Fakt, że członkowie ULA niemal w całości rekrutują się ze skrajnych elementów PIRA musi mieć znaczenie wykraczające poza to, które w świetle obecnie znanych okoliczności mu się przypisuje. Wydaje się, że ponieważ kadry ULA pochodzą z rekrutacji w IRA, muszą w niej działać inni sympatycy ULA, dostarczający jej informacji. Wydaje się również, że informacje te mogą mieć prócz oczywistej wartości kontrwywiadowczej także naturę operacyjną”. Operacyjną! - podkreślił ostatnie przeczytane słowo Owens. - Zawsze zakładaliśmy, że o'Donnell! chciał tylko chronić swoją skórę... A jeżeli on gra o większą stawkę?

- Czekaj, Jim, dalej nie nadążam za tobą... - Murray odstawił szklaneczkę i zastanowił się przez chwilę. - A, chodzi ci o Maureen Dwyer. Ten telefon dalej nie daje ci spokoju?

Owens myślał o czym innym, ale uwaga Murraya rozbłysła mu przed oczyma jak żarówka. Detektyw przez chwilę tylko patrzył na swego amerykańskiego kolegę, podczas gdy przez głowę przelatywało mu mnóstwo myśli.

- Ale dlaczego? - zapytał Murray. - Dalej nie rozumiem, co oni by na tym zyskiwali?

- Mogli w ten sposób kompromitować dowództwo i rozbijać ich operacje.

- Dobrze, ale co by to dało ULA? o'Donnell jest zbyt profesjonalnym graczem, żeby im mieszać szyki tylko dla hecy. To by raczej pasowało do INLA, tej zgrai skertyniałych kowbojów. ULA to zawodowcy, są za dobrzy na takie gówniarstwo.

- Tak, zburzyliśmy jeden mur tylko po to, by uderzyć głową w następny. Chyba trzeba będzie o to zapytać pannę Dwyer, co?

- No cóż, pomysł wart jest rozważenia. Więc ULA spenetrowała PIRA i od czasu do czasu podrzuca nam informacje, mające na celu zdyskredytowanie Tymczasowych. - Murray potrząsnął głową. Jezu, pomyślał, czy ja to naprawdę powiedziałem? Że jedna organizacja terrorystyczna chce zdyskredytować inną? - Czy macie jakieś dowody na poparcie tej tezy?

- Mogę wymienić trzy sprawy tylko z tego roku, w których anonimowy telefon pozwolił ująć Tymczasowych z czołowych miejsc listy poszukiwanych. W żadnym z tych wypadków nie zdołaliśmy zidentyfikować źródła informacji.

- Ale jeżeli PIRA podejrzewa, że... Nie, wróć. Oni przecież i tak chcą głowy o'Donnella, choćby po to, żeby wziąć odwet za ludzi, których załatwił. Dobra, chęć zaszkodzenia dowództwu

PIRA może być dla niego celem samym w sobie, ale tylko jeżeli o'Donnell chce rekrutować tam nowych członków. A tę tezę już odrzuciliśmy.

Owens zaklął pod nosem. Często powiadał, że dochodzenie jest jak układanka, w której brakuje klocków i obrazka. Ale powtarzać to ciągle podwładnym, a samemu ją układać, to jednak dwie różne sprawy. Żeby chociaż Sean Miller nie uciekł. Może do tej pory coś by z niego wycisnęli. Instynkt mówił mu, że brakuje już tylko jednego klocka, by cała układanka z kupki śmieci przeobraziła się w czytelny kształt. Bez tego klocka, mówił mu zdrowy rozsądek, wszystko, co wydawało mu się, że wie, okaże się jedynie niczym nie umotywowaną spekulacją. Jedna myśl kołatała mu się uparcie po głowie.

- Danny, gdybyś ty chciał politycznie skompromitować kierownictwo Tymczasowych, to gdzie i co byś zaatakował?

- Słucham, Ryan.

- Mówi Bernice Wilson ze szpitala Johna Hopkinsa. Pańska żona prosiła mnie, żebym przekazała, że prowadzi ważną operację i może się spóźnić o pół godziny.

- Dobrze, dziękuję - Jack odłożył słuchawkę. - Te cholerne poniedziałki! - powiedział bardziej do siebie niż do swoich gości i wrócił do omawiania prac semestralnych ze słuchaczami. Zegar na jego biurku wskazywał szesnastą. Dobra, no to nie trzeba się będzie śpieszyć.

Przy bramie numer 3 zmieniła się warta. Cywilny strażnik Bob Riggs był emerytowanym zbrojmistrzem marynarki. Miał już po pięćdziesiątkę, a jego brzuch urósł od piwa do tego stopnia, że z trudem widział swoje buty. Zimno bardzo mu dokuczało, więc większość czasu spędzał w wartowni przy bramie. Nie dostrzegł dwudziestoparoletniego mężczyzny nadchodzącego z przeciwnej strony i wchodzącego do bramy domu obok. Nie zauważył go też plutonowy Tom Cummings z oddziału wartowniczego piechoty morskiej, przeglądający po zmianie warty jakieś papiery. Akademia, położona zaledwie kilka kroków od skupiska dobrze zaopatrzonych barów, przez które przewijało się mnóstwo wolnych kobiet do poderwania, była dobrym przydziałem dla młodego podoficera, ale służba wartownicza, gdy się już z nią zapoznało, była nudna, a Cummings był jeszcze na tyle młody, by tęsknić za odmianą. To był typowy poniedziałek, poprzednia zmiana zdołała jedynie wlepić trzy mandaty za złe parkowanie. Cummings już zaczynał ziewać.

Pięćdziesiąt metrów dalej starsza pani podeszła do bramy prowadzącej do wejścia do budynku mieszkalnego. Widok młodego mężczyzny, którego zauważyła szukając kluczy, zaskoczył ją tak, że upuściła torbę z zakupami.

- Czy mogę pani pomóc? - grzecznie zapytał mężczyzna. Jego akcent brzmiał dziwnie, jakoś obco, ale głos był raczej uprzejmy, pomyślała. Potrzyzymał jej torbę, gdy otwierała bramę.

- Obawiam się, że jestem trochę za wcześnie. Widzi pani, miałem się tu spotkać z dziewczyną - wyjaśnił z czarującym uśmiechem. - Przepraszam, jeżeli panią przestraszyłem, wszedłem tu tylko, żeby się trochę schronić przed wiatrem.

- A może poczeka pan w środku? Tam cieplej - zaproponowała.

- To bardzo miłe z pani strony, ale nie. Mógłbym jej nie zauważyć, a to miała być niespodzianka. Życzę miłego dnia. - To mówiąc lekko rozluźnił uchwyt na rękojeści noża w kieszeni płaszcza.

Plutonowy Cummings skończył przeglądać papiery i wyszedł z wartowni, jak szumnie nazywano kiosk przy bramie numer 3. Po raz pierwszy zauważył człowieka w bramie kamienicy. Podoficer pomyślał, że wygląda jakby na kogoś czekał i schronił się tam przed zimnym, północnym wiatrem. To by nawet miało sens, pomyślał. Spojrzał na zegarek, było piętnaście po czwartej.

- I to by było na tyle - powiedział Bernie Katz.



- Udało nam się - zgodziła się Cathy Ryan. Wszyscy w sali operacyjnej się uśmiechali. Zajęło im to pięć godzin, ale oko chłopca zostało pocerowane. Może trzeba będzie ponownie operować za jakiś czas, na pewno będzie musiał nosić całe życie okulary, ale lepsze to niż życie bez jednego oka.

- Jak na kogoś, kto tego nie robił od czterech miesięcy, to poszło ci całkiem nieźle, Cathy. Dzieciak będzie miał dwoje oczu. Powiesz to rodzinie? Ja muszę do kibelka.

Matka chłopca czekała dokładnie tam, gdzie poprzednio Jeffersowie, z tym samym niepokojem na twarzy. Obok niej siedział ktoś z aparatem fotograficznym.

- Uratowaliśmy oko - powiedziała bez wstępów Cathy. Gdy usiadła obok matki fotograf, który przedstawił się jako fotoreporter „Baltimore Sun” zaczął trzaskać migawką swego Nikona.

Doktor Ryan przez kilka minut objaśniała kobiecie przebieg operacji, starając się ją uspokoić. Nie było to proste, ale Cathy miała w tej mierze mnóstwo doświadczenia. W końcu pojawił się ktoś z opieki społecznej i Cathy mogła się udać do szatni.

Zdjęła strój operacyjny i wrzuciła go do kosza na brudną bieliznę. Bernie Katz siedział na leżance, masując sobie kark.

- Też by mi się przydało - zauważyła Cathy. Przeciągnęła się, przez chwilę zapominając, że ma na sobie tylko bieliznę od Gucciego. Katz odwrócił się, by nacieszyć oko widokiem.

- Puchniesz, Cathy. Jak tam plecy?

- Szytywne. Tak jak przy Sally. Nie gap się doktorku, żona w domu czeka.

- A cóż ja poradzę, że ciężarne kobiety są takie sexy?

- Cieszę się, że takie sprawiam wrażenie, ale akurat w tej chwili nie mam na te rzeczy ochoty - opadła na krzesło koło szafki. - Nie myślałam, że nam to wyjdzie.

- Mieliśmy fart - przyznał Bernie. - Na szczęście dobry Pan czuwa nad głupcami, pijakami i dziećmi. Przynajmniej czasami.

Cathy otworzyła szafkę. W lustrze, które tam wisiało stwierdziła, że jej włosy naprawdę wyglądają jak u Meduzy. Zrobiła do siebie minę. - Przydałby mi się znowu urlop.

- Dopiero co wróciłaś.

- Racja - parsknęła śmiechem doktor Ryan. Wciągnęła spodnie i sięgnęła po bluzkę.

- A kiedy ten płód zdecyduje się zostać noworodkiem, będziesz miała znowu urlop.

Włożyła zakiet.

- Bernie, gdybyś pracował na porodówce, twoje pacjentki by cię zatłukły za takie żarciki.

- Ależ by to była strata dla medycyny - głośno pomyślał Katz. Cathy zaśmiała się.

- Świetnie się spisałeś, Bern. Ucałuj ode mnie Annie.

- Dobra, a ty nie przejmuj się tym wszystkim aż tak, bo naśle na ciebie Madge North.

- I tak będę się z nią widzieć w piątek, Bernie. Mówi, że wszystko jest w porządku.

Cathy wypadła z drzwi, po drodze machając ręką do pielęgniarek w podzięce za znakomitą pracę na sali operacyjnej. Kluczyki do samochodu miała już w ręce, gdy wchodziła do windy.

Zielony Porsche czekał na nią. Cathy otworzyła drzwi, rzuciła torbę za fotel i usiadła za kierownicą. Sześciocylindrowy silnik zapalił od pierwszego razu. Wskazówka obrotomierza uniosła się, wskazując pracę na luzie. Przez minutę pozwoliła się silnikowi rozgrzewać, w tym czasie zapięła pas i zwolniła ręczny hamulec. Gardłowe dudnienie silnika objało się echem od betonowych ścian garażu. Kiedy wskazówka temperatury zaczęła się ruszać, wrzuciła wsteczny bieg. Chwilę później zmieniła biegi i na jedyne ruszyła ku Broadwayowi. Sprawdziła godzinę na zegarze w desce przyrządów i skrzywiła się. Było późno, a ona jeszcze miała po drodze wpaść do sklepu. No, ale w końcu jeździła 911 i mogła spróbować zmieścić się w czasie.

- Cel wyruszył - głos rzucił w mikrofon trzy piętra wyżej. Wiadomość przekazano telefonicznie

do meliny Alexa, a stamtąd znowu przez radio.

- No nareszcie - wymamrotał Miller kilka minut później. Dlaczego się do licha spóźniała?

Ostatnia godzina rozwścieczyła go. Najpierw trzydzieści minut czekania do jej zwykłego czasu przejazdu, potem znowu trzydzieści. Uspokajała go pewność, że musi zabrać po drodze bachora z przedszkola.

- To lekarka. Zdarza się, człowieku - powiedział Alex. - Jedźmy. Półciężarówka wyjechała pierwsza, za nią furgonetka. Ford stanie pod „7-Eleven” naprzeciw przedszkola za pół godziny.

- Pewnie czeka na jakąś panienkę - powiedział Riggs po powrocie do wartowni.

- Jeszcze tam sterczy? - zdziwił się Cummings. Trzy tygodnie wcześniej Breckenridge uprzedził ich o możliwości ataku terrorystycznego na doktora Ryana. Cummings wiedział, że wykładowca historii zawsze wyjeżdżał tą bramą. Dzisiaj się spóźniał. Plutonowy widział światło palące się jeszcze w jego gabinecie. Służba mogła sobie być nudna, ale Cummings serio traktował zagrożenie ze strony terrorystów. Trzy miesiące służby w Bejrucie wystarczyły, by dowiedział się o tym nawet więcej niż trzeba. Wszedł z budki i zajął stanowisko po drugiej stronie ulicy. Obserwował wyjeżdżające samochody. Większość z nich prowadzili cywile, ale część oficerowie marynarki, którym salutował regulaminowo. Wiatr robił się coraz zimniejszy. Pod bluzą miał sweter, który grzał mu jako tako tors, ale białe galowe rękawiczki były niemal bezużyteczne. Bardzo widowiskowo rozgrzewał więc dłonie, klaszcząc w nie przy każdym nawrocie. Nie spoglądał na bramę budynku, nie dawał po sobie poznać, że wie, że tam ktoś jest. Robiło się coraz ciemniej i niełatwo było tego kogoś zauważyć, ale on tam na pewno wciąż był.

- Szybko jej poszło - powiedział mężczyzna w półciężarówce. Spojrzał na zegarek. Pobiła swój rekord o całe pięć minut. Cholera, pomyślał, jazda takim Porsche to musi być dopiero frajda.

Sprawdził numery. Zgadza się, CR-SRGN. Tak, to ona. Ujął krótkofalówkę.

- Cześć mam, jestem w domu.

- Nareszcie - odpowiedział męski głos. Furgonetka parkowała kilometr na zachód od Ritchie Highway, na Joyce Lane.

Dwie minuty później zobaczył kobietę wychodzącą z przedszkola. Śpieszyła się.

- Jedzie.

- Okej - usłyszał odpowiedź.

- Pośpiesz się, Sally, już późno. Zapnij pas. - Cathy Ryan nienawidziła się spóźniać. Zapaliła ponownie silnik. Już ponad miesiąc minął od jej ostatniego spóźnienia, ale jeżeli dociśnie gazu, to i tak zdąży przed Jackiem.

Tłok na drodze sięgał zenitu, ale Porsche był mały, szybki i zwrotny. Już w minutę po zamknięciu drzwi pędziła sto dziesięć kilometrów na godzinę, przeciskając się przez zatłoczoną autostradę jak kierowca Formuły 1.

Mimo wszystkich przygotowań, Alex o mało jej nie przeoczył. Wielka ciężarówka wspinała się na wzgórze prawym pasem, gdy charakterystyczny kształt Porsche mignął zza niej. Alex wdusił gaz i wystrzelił z parkingu na jezdnię, zmuszając kierowcę nadjeżdżającej półciężarówki do naciśnięcia jednocześnie hamulca i klaksonu. Alex nawet się za nim nie obejrzał. Miller wstał ze swego siedzenia obok kierowcy i przeszedł do okna w odsuwanych drzwiach.

- Cholera, ale się dzisiaj kobitce śpieszy!

- Dogonimy ją? - zaniepokoił się Miller.

- Popatrz tylko - wyszczerzył zęby Alex.

- Widziałeś tego Porsche? - starszy posterunkowy Sam Waverly prowadził J-30, wóz radarowy

policji stanowej, wracający z patrolu na drodze numer 50. On i jego partner, Joe Fontana na J-19, zjeżdżali po długiej szycie do koszar policji stanowej na Rowe Boulevard w Annapolis, gdy zauważyli mały, zielony samochód sportowy wjeżdżający z Ritchie Highway. Obaj funkcjonariusze jechali z prędkością około stu kilometrów na godzinę, dostępną tu tylko policjantom. Ich wozy były nieoznakowane. To pozwalało im i ich radarom uniknąć rozpoznania do chwili, gdy było już za późno. Zwykle pracowali parami, wielokrotnie przemierzając wybrany odcinek szosy. Jeden z nich łapał radarem kierowców przekraczających dozwoloną prędkość, a drugi, wysunięty o pół kilometra zapalał koguta na dachu i wlepił mandaty.

- Patrz, jeszcze jeden wariat! - powiedział Fontana. W ślad za Porschem z pobocza wyprysnęła furgonetka, wymuszając pierwszeństwo na kierowcy Pontiaca. - Zgarniamy obu?

Obaj funkcjonariusze byli młodzi i choć, wbrew pogłoskom, policja stanowa nie ustalała planu mandatów do wykonania, każdy wiedział, że od ich dużej ilości zależy tempo kariery. Zarazem powodowało to, że drogi były bezpieczniejsze, co było w końcu zadaniem policji. Żadnemu z nich wlepianie mandatów nie sprawiało szczególnej satysfakcji, ale jeszcze mniej lubili asystować przy uprzątaniu dróg po wypadkach.

- Dobra, ja biorę Porsche.

- Będziesz miał zabawę - zauważył Fontana, który zdążył w przelocie zauważyć twarz kierowcy.

Ich robota była trudniejsza, niż może to sobie wyobrazić laik. Najpierw trzeba było zmierzyć prędkość, by stwierdzić o ile przekraczała dozwoloną. Od wysokości przekroczenia zależała suma mandatu. Potem trzeba było podjechać blisko do uciekającego samochodu, żeby włączyć koguta i syrenę, dając kierowcy do zrozumienia, że zabawa skończona. Oba samochody wyprzedzały w tej chwili policjantów o jakieś 200 metrów.

Cathy jeszcze raz rzuciła okiem na zegar. Udało jej się nadrobić 10 minut. Potem spojrzała w lusterko, czy nie widać w pobliżu radiowozu. Nie chciała tracić czasu na płacenie mandatu. Żaden z samochodów za nią nie wyglądał na dyskotekę, zwykle samochody osobowe i ciężarowe, jakaś furgonetka, nic podejrzanego. Teraz przed mostem na Severn musiała zwolnić, gdyż ruch się zagęścił. Rozważała czy nie zjechać na lewy pas, ale zrezygnowała z tego. Potem mogą być trudności z powrotem na prawo przed zjazdem na dwójkę. Obok niej Sally wyciągała szyję, by popatrzeć w przód i jak zwykle majstrowała przy klamrze pasów bezpieczeństwa. Cathy, skoncentrowana na ruchu, nic już jej nie mówiła. Zwolniła.

Miller zwolnił zatrask i odsunął drzwi o parę centymetrów. Ktoś z tyłu przytrzymał go za kolana, gdy przykleknął i popchnął do przodu bezpiecznik swojego Uzi.

No i nie będzie można babie władować mandatu, kwaśno pomyślał posterunkowy Waverly. Zwolniła, zanim zdążył zmierzyć jej prędkość. Był teraz sto metrów za nią. Może chociaż Fontana dostanie tego drugiego kretyna z furgonetki i podliczy go za wymuszenie pierwszeństwa. Zawsze to chociaż połowa sukcesu. Waverly spojrzał w lusterko. Furgonetka z J-19 na ogonie właśnie się równała z jego wozem. Zauważył, że z granatową furgonetką było coś nie tak, jakby drzwi miała niedomknięte...

- Teraz! - krzyknął Alex.

Cathy Ryan zauważyła, że jakaś furgonetka zrównuje się z nią na lewym pasie. Spojrzała w lewo i zobaczyła, że za odsuwającymi się drzwiami z boku ktoś klęczy i trzyma coś w rękach. Fala zimna spłynęła na nią, gdy zorientowała się co to takiego. Wdepnęła pedał hamulca na ułamek sekundy, zanim ujrzała biały błysk.

- Co jest?! - Waverly zobaczył długi na pół metra strumień ognia wyrastający nagle z boku furgonetki. Szyba Porsche rozprysnęła się, samochód zjechał na bok, wyprostował swój bieg i

uderzył z prędkością osiemdziesięciu kilometrów w betonowy filar mostu. Samochody na obu pasach zaczęły hamować, z wyjątkiem furgonetki, która dodała gazu.

- Larry, strzelano, strzelano z furgonetki! Porsche trafiony! - Waverly włączył koguta i wcisnął hamulec. Radiowozem zarzuciło w prawo i niemal wjechał bokiem we wrak Porsche. - Larry, łap furgonetkę! Łap furgonetkę!

- Idę za nim - odpowiedział Fontana. Nagle dotarło do niego, że taki płomień wylotowy mogła dać tylko broń maszynowa. - O, kurwa! - powiedział do siebie.

Waverly zajął się Porschem. Z komory silnika znajdującego się z tyłu unosiła się para z rozbitej chłodnicy.

- J-30 do Annapolis, zgłaszam użycie broni, prawdopodobnie maszynowej i w następstwie poważny wypadek na drodze numer 50 w kierunku zachodnim, przy moście na Severn. Są ofiary. J-19 ściga drugi samochód. Przejdźcie na nasłuch.

- Nasłuch - potwierdził dyżurny w Annapolis. Co się tam do cholery...

Waverly złapał gaśnicę i podbiegł do wraku. Szkło i kawałki metalu porzucane były jak okiem sięgnąć. Silnik, chwała Bogu, nie zapalił się. Potem zajrzał do kabiny.

- O Jezus! - Podbiegł z powrotem do radiowozu.

- J-30 do Annapolis. Zawiadam straż pożarną. Wezwij śmigłowiec sanitarny. Ciężki wypadek drogowy, dwie ofiary, dorosła biała kobieta i biała dziewczynka, powtarzam, ciężki wypadek drogowy na drodze 50 w kierunku zachodnim, tuż przed mostem na Severn. Wzywam helikopter do ewakuacji rannych.

- J-19 do Annapolis - włączył się z kolei Fontana. - Ścigam granatową furgonetkę z inwalidzkimi numerami Henry 772. Jestem na drodze numer 50 w kierunku zachodnim, na zachód od mostu na Severn. To z tej furgonetki strzelano przed mostem. Wzywam posiłki - mówił spokojnym tonem. Odłożył mikrofon radiostacji. Na razie postanowił nie włączać świateł. -A jeżeli... Kurwa mać.

- Trafiłeś ją? - zapytał Alex.

Miller ciężko oddychał. Nie był pewien czy trafił. Porsche raptownie zwolnił właśnie w momencie, gdy naciskał spust, ale widział przecież wyraźnie, jak samochód roztrzaskiwał się o most, jak aż wyleciał w górę od impetu uderzenia. Nikt z tego zderzenia nie mógł wyjść cało, tego był pewien.

- Dobra, to spadajmy stąd. - Alexnie pozwalał emocjom przeszkadzać sobie w pracy. Jego udział w tym przedsięwzięciu oznaczał pieniądze i broń dla jego organizacji. Szkoda mu było kobiety i dziecka, ale to nie jego wina, że znalazły sobie takich wrogów.

Dyżurny z Annapolis rozmawiał już przez radio z pilotem śmigłowca policji stanowej. Trooper-1, śmigłowiec Bell Jet Ranger II właśnie startował ze stacji paliwowej w międzynarodowym porcie lotniczym im. Waszyngtona w Baltimore.

- Przyjąłem - odpowiedział pilot, kierując się na południe i przesuwając dźwignię skoku wirnika do oporu. Sanitariusz siedzący w lewym fotelu przechylił się do przodu, przełączając zakres transpondera z 1200 na 5101. To powiadomiło kontrolę obszaru, że śmigłowiec wypełnia zadanie ratunkowe.

- Trooper-1 do J-30, lecimy do ciebie, spodziewany czas przylotu za cztery minuty.

Waverly nie potwierdził odbioru. Wraz z dwoma cywilami usiłował otworzyć łyżką do opon pogięte drzwi. Kierowca i pasażerka były nieprzytomne, całe wnętrze samochodu spryskane było krwią. Pewnie była piękna, myślał Waverly patrząc na kobietę za kierownicą. Teraz jej głowa pokryta była połyskującą skorupą krzepnącej krwi. Dziewczynka leżała jak zepsuta lalka, w połowie

na podłodze, w połowie na fotelu. Jego żołądek zamienił w lodową kulę tuż poniżej dudniącego serca. Znowu zabity dzieciak, pomyślał. Boże, tylko nie to!

- Trooper-2 do Annapolis - z głośnika na konsolcie dyżurnego odezwał się jeszcze jeden głos.

- Tu Annapolis, Trooper-2, gdzie jesteś?

- Lecę znad Mayo Beach w kierunku północnym. Odebrałem twoje wezwanie. Mam na pokładzie gubernatora stanu i prokuratora generalnego. Czy możemy jakoś pomóc, odbiór?

Dyżurny podjął szybką decyzję. Trooper-1 będzie na miejscu za trzy minuty, jak dobrze pójdzie.

J-19 potrzebował wsparcia i to natychmiast. To był łut szczęścia. Na miejsce zdarzenia skierował już sześć radiowozów, dalsze trzy jechały z okręgu Anne Arundel, z Edgewater.

- Trooper-2, tu Annapolis, skontaktuj się z J-19.

- Trooper-2 do J-19, podaj pozycję - zaskrzeczało radio w wozie Fontany.

- Jadę na zachód drogą numer 50, właśnie minąłem Rowe Boulevard. Ścigam granatową furgonetkę na inwalidzkich numerach. J-30 i ja widzieliśmy, że prowadzono z niej ogień z broni maszynowej. Potrzebuję pomocy.

Łatwo ich było znaleźć. Sierżant pilotujący Troopera-2 dostrzegł z daleka drugi śmigłowiec krążący nad miejscem wypadku w poszukiwaniu dogodnego lądowiska. Na zachód od mostu droga była zupełnie pusta. Furgonetka i ścigający ją radiowóz właśnie dołączały do innych pojazdów, które przejechały przez most przed wypadkiem.

- Co się tam dzieje? - zapytał z tyłu gubernator. Sanitariusz z drugiego fotela wyjaśnił mu pokrótce sytuację, podczas gdy pilot szukał...

- Jest! - krzyknął. Dobra frajerze, mam cię, pomyślał pilot.

- J-19 tu Trooper-2, widzę ciebie i uciekający pojazd. - Pilot zniżył się na sto dwadzieścia metrów. - Trooper-2 do Annapolis, mam ich. Czarna albo granatowa furgonetka, jadąca na zachód drogą 50, za nią ścigający ją nieoznakowany radiowóz.

Alex zastanawiał się, co to za samochód. Niby bez oznaczeń, poobijany, ale ten matowy lakier... Aha!

- Mamy glinę na ogonie! - krzyknął. Miller wyrzwał przez okno. Nieoznakowane radiowozy to w jego kraju normalka.

- Pozbądź się go - rzucił Alex.

Fontana trzymał się 50 metrów za furgonetką. Uważał, że to odpowiedni dystans, żeby uniknąć kłopotów. Policjant słuchał nieprzerwanego gwaru krzyżujących się w eterze zgłoszeń radiowozów podążających na miejsce wypadku. To przez to radio zauważył otwierające się drzwi furgonetki o sekundę za późno. Zbladł i wcisnął hamulec.

Tym razem Miller nie spudłował. Gdy tylko drzwi się otworzyły, wycelował Uzi i wypuścił w kierunku radiowozu dziesięciopistoletową serię. Widział, że trafiła, gdy kierowca próbował hamować. Wóz zjechał na bok i dachował. Był zbyt przejęty, by się uśmiechnąć, choć wewnątrz cały aż promieniał błogością. Drzwi furgonetki zamknęły się, a Alex zmienił pas.

Fontana poczuł pocisk trafiający go w klatkę piersiową zanim jeszcze zauważył, że szyba rozpryskuje się w pył wokół niego. Jego prawe ramię opadło raptownie, powodując że samochód skręcił w prawo zbyt gwałtownie. Zablokowane hamulcem tylne koła straciły przyczepność na poboczu i samochodem zarzuciło. Pękła opona, a radiowóz przedachował. Fontana zafascynowany patrzył na świat obracający się powoli do góry nogami jak w kalejdoskopie, aż dach wgniótł się do środka. Jak

większość policjantów nigdy nie zapinał pasów, więc spadł z fotela, zginając kark. Załamujący się dach złamał go jak zapałkę, co w tej chwili i tak było bez znaczenia, gdyż pocisk trafił go w

serce. Jadący za nim samochód uderzył całym rozpadem we wrak, wieńcząc dzieło zniszczenia zapoczątkowane przez Millera.

- Kurwa mać! - zaklął pilot Troopera-2. - Trooper-2 do Annapolis, J-19 rozbity, poważny wypadek z ofiarami w ludziach na pięćdziesiątce na zachód od zjazdu na drogę numer 2. Gdzie do cholery są inne wozy?

- Trooper-2, jak oceniasz sytuację J-19?

- Nie żyje, człowieku, teraz mówię o tej kurewskiej furgonetce! Gdzie są te pierdolone posiłki?!

- Trooper-2, w rejon zdarzeń kieruje się jedenaście wozów. Na drodze numer 50 przy South Heaven szykowana jest blokada. Trzy wozy jadą pięćdziesiątką na zachód, są około kilometr za tobą. Jeszcze dwa jadą na wschód do zjazdu na General's Highway.

- Zrozumiałem, podążam za furgonetką.

- Gazu, Alex! - krzyknął Miller.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - odpowiedział Murzyn, zjeżdżając na prawy pas, do wyjazdu. Około kilometra przed sobą zobaczył czerwone i niebieskie światła na dachu dwóch radiowozów nadjeżdżających z zachodu w jego kierunku, ale w pobliżu nie było żadnego przejazdu między pasmami szosy.

- Macie pecha, blacharze - mruknął pod nosem. Nie cieszył się zbytnio z tego, co zrobili z Porschem, ale zabity policjant nastrojał go pogodnie.

- Annapolis, tu Trooper-2 - wywołał dyspozytora pilot śmigłowca. - Furgonetka skręca na północ z drogi numer 50... - Teraz dopiero zrozumiał, dokąd się kierują. - O w mordę!

Wydał szybkie rozkazy do kierowców radiowozów poniżej. Zwolnili, a potem próbowali zawrócić, przejeżdżając na przełaj przez pas zieleni, odgradzający pasma. Drugie pasmo było puste, gdyż zablokowała je kraksa J-19, ale sam pas zieleni był nierówny i grząski. Jeden z wozów zarył się w błocie i trawie, drugiemu udało się wydostać na jezdnię i zaraz ruszył całym gazem w kierunku zjazdu.

Alex trafił na zielone światło, przeciął West Street i ruszył dalej na północ. Kątem oka zauważył radiowóz policji stanowej zablokowany w korku w godzinie szczytu na West Street, mimo włączonego koguta i syreny.

- Za późno, palancie!

Pojechał prosto jeszcze dwieście metrów i skręcił w lewo.

Pilot Troopera-2 zaczął kląć, nie zważając na obecność dostojników na pokładzie. Patrzył bezsilnie, jak furgonetka wjeżdża na ogromny parking centrum handlowego Annapolis Mali. Pojazd wjeżdżał już na wewnętrzny krąg parkingu, gdy z West Street wyskoczyły wreszcie trzy radiowozy.

- To skurwysyn! - odepchnął dźwignię zespoloną i zanurkował nad parking.

Alex wjechał do sektora dla niepełnosprawnych i zaparkował furgonetkę. Pasażerowie byli już na to przygotowani i gdy tylko się zatrzymał, otworzyli drzwi i wysiedli. Przeszli powoli, normalnym krokiem do wejścia do hali. Kierowca zdziwił się słysząc dopiero teraz terkot i świst łopat wirnika śmigłowca, który zawisł nad nimi na wysokości trzydziestu metrów. Alex upewnił się, że ma na głowie kapelusz i gdy wchodzili do centrum, pomachał jego pasażerom ręką z wyprostowanym środkowym palcem.

Pilot popatrzył na sanitariusza, którego ręka zacisnęła się ze wściekłości na kolbie służbowego rewolweru, noszonego w kaburze pod pachą. On sobie na to nie mógł pozwolić, gdyż obie ręce miał zajęte dźwigniami sterowymi helikoptera.

- Zgubiliśmy ich - powiedział przez interkom zdumiewająco spokojnym głosem sanitariusz.

- Jak to zgubiliśmy? - pieknił się prokurator generalny.

Poniżej radiowozy okręgowej i stanowej policji zajeżdżały kolejno z piskiem opon na parking wzbijając obłoki kurzu. Wewnątrz kłębił się tłum trzech tysięcy klientów, a policjanci nawet nie mieli rysopisów podejrzanych. Funkcjonariusze stali więc tylko z głupimi minami koło radiowozów z bronią w rękach i nie wiedzieli, co mają dalej robić.

Wewnątrz hali Alex i jego towarzysze udali się do oszklonego atrium, gdzie dwaj ludzie z organizacji Alexa czekali na nich z torbami na zakupy. Każdy z pasażerów furgonetki dostał nowe ubranie. Podzielili się na pary i weszli między stoiska, kierując się do wyjścia w zachodnim końcu hali. Nie śpieszyli się, nie było po co.

- On nam pokazał wała! - zagotował się gubernator. - Zróbcie coś!

- Co? - zapytał pilot. - Co mamy zrobić? Kogo zatrzymać? Zgubiliśmy ich, teraz mogą być już choćby i w Kalifornii.

Do gubernatora docierało to powoli, ale i tak szybciej niż do prokuratora generalnego, który wciąż się pieklił. To, co zaczęło się jako rutynowy wiec przedwyborczy w Salisbury na wschodnim wybrzeżu stanu Maryland, przerodziło się w ekscytujący pościg z bardzo niemiłym finałem. Widział śmierć policjanta stanowego, zabitego na jego oczach, ale ani on, ani jego ludzie nic na to nie mogli poradzić. Gubernator zaczął w końcu kłąć. Jego wyborców zaszokowałby dobór słownictwa.

Trooper-1 wylądował na moście nad Severn, ale jego wirnik nadal utrzymywany był na wysokich obrotach, by uchronić końcówki łopat od zetknięcia z betonowymi barierami. Sanitariusz, posterunkowy Waverly i kierowca, który okazał się członkiem ochotniczej straży pożarnej, ładowali ofiary wypadku na sztywne nosze transportowe Stokesa i przenosili je do helikoptera. Inny kierowca, który im wcześniej pomagał, stał przy radiowozie nad kałużą własnych wymiocin. Wóz strażacki zajeżdżał właśnie na miejsce wypadku, a dwaj policjanci szykowali się do przywrócenia ruchu, gdy tylko śmigłowiec wystartuje. Korek miał już ponad sześć kilometrów długości. Pracując nad przywróceniem ruchu, słyszeli przez radio, co się stało z J-19 i jego kierowcą. Wymienili między sobą spojrzenia, bez słów. Na nie czas jeszcze przyjdzie.

Jako pierwszy policjant przybyły na miejsce wypadku, Waverly wziął torebkę kierowcy, by znaleźć jakieś dokumenty pozwalające zidentyfikować ofiary. Musiał wypełnić masę papierków i zawiadomić mnóstwo ludzi. W torebce znalazł jakiś dziecięcy obrazek. Obejrzał się, nosze z dziewczynką ładowane były właśnie na górne szyny w przedziale pasażerskim. Sanitariusz wsiadł potem do środka, a niespełna pół minuty później Waverly poczuł na twarzy uderzenia drobin piasku i kamyków poderwanych z ziemi przez podmuch wirnika startującego śmigłowca. Odprowadzał go wzrokiem, gdy wzbijał się w powietrze i szeptał modlitwy za małą dziewczynkę, która namalowała niebieską krowę.

- Do roboty - szepnął. W torebce był mały czerwony kalendarzyk z adresami. Sprawdził nazwisko na prawie jazdy, a potem zajrzał pod R. Było tam imię Jack, bez nazwiska, a przy numerze dopisek „praca”. To pewnie jej mąż. Ktoś będzie go musiał powiadomić. Całe szczęście, że nie ja, pomyślał.

- Kontrola obszaru Baltimore, tu Trooper-1 w drodze powrotnej z ofiarami wypadku, zbliżam się do Baltimore.

- Trooper-1, roger, masz zezwolenie na bezpośrednie podejście, wejdź na kurs 347, utrzymuj obecny pułap - odpowiedział kontroler ruchu powietrznego z lotniska w Baltimore. Na ekranie jego radaru obok echa śmigłowca widniał symbol 5101, wysyłany przez identyfikator. Lotnicze pogotowie ratunkowe miało zawsze bezwzględne pierwszeństwo.

- Izba Przyjęć szpitala Hopkinsa, tu Trooper-1, nadlatuję z białą kobietą i dziewczynką, ofiarami wypadku.

- Trooper-1, tu Hopkins, lećcie do Uniwersyteckiego, u nas komplet.
- Roger, Hopkins. Uniwersytecki, czy odebraliście mój sygnał?
- Trooper-1, tu Uniwersytecki, odebraliśmy i czekamy na was, odbiór.
- Roger Uniwersytecki, spodziewany czas przylotu za pięć minut. Bez odbioru.
- Gunny, tu Cummings z bramy trzeciej - rzucił w słuchawkę plutonowy.
- O co chodzi, plutonowy? - zapytał Breckenridge.
- Tu jest jakiś facet, sterczy w bramie na rogu ulicy już od czterdziestu pięciu minut. Trochę mnie to niepokoi. Jest poza terenem Akademii, ale coś mi tu śmierdzi.
- Dzwoniłeś po gliny?
- A po co? - odpowiedział rozsądnym pytaniem Cummings. -Z tego co widać, przez ten cały czas facet nawet nie splunął na ulicę.

- Dobra, zaraz tam będę. - Breckenridge wstał bez dalszych zbędnych słów. Zresztą i tak się nudził. Założył czapkę i wyszedł z budynku, kierując się na północ przez kampus. Droga zajęła mu pięć minut, w czasie których oddał honory sześciu mijanym oficerom i odebrał je od mnóstwa mijanych słuchaczy. Nie lubił zimna. Nigdy tak nie zmarzł w dzieciństwie, spędzonym na farmie w Mississippi. Widać już jednak było, że wiosna nadchodzi. Przeszedł przez ulicę, starając się nie podbiegać i nie patrzeć na bramę zbyt uporczywie.

Cummingsa zastał w budce, stojącego w drzwiach. To był dobry podoficer. Reprezentował nowe oblicze Korpusu. Breckenridge był facetem w typie Johna Wayne'a, potężnym, barczystym. Cummings był czarnym dzieciakiem, biegaczem o posturze Franka Shortera. Ten chłopak mógłby biec cały dzień, a do tego Breckenridge nie byłby zdolny. Ale przede wszystkim, Cummings był tak jak on zawodowcem na dożywotnim kontrakcie. Znał Korpus od podszewki. Breckenridge wziął go za młodu pod swoje skrzydła, wpajając mu kilka ważnych nauk. Gunny wiedział, że wkrótce odejdzie w przeszłość Korpusu. Jeżeli jego przyszłością mieli być tacy jak Cummings, to stary wiarus mógł w nią patrzeć z ufnością.

- Cześć, Gunny - powitał go Cummings.

- Co z tym facetem?

- Stoi tam od czwartej z minutami. Nie mieszka w pobliżu -Cummings przerwał na chwilę. Jakby nie było, był tylko młodszym podoficerem, który rozmawia z człowiekiem, którego szanowali nawet generałowie. - To wydało mi się jakieś dziwne.

- Dobrze, dajmy mu jeszcze parę minut - odpowiedział Breckenridge.

- O Boże, jak ja nie znoszę testów zaliczeniowych!

- No to odpuść dzieciakom - zachichotał Robby.

- A ty im odpuszczasz?

- Ja uczę trudnego, technicznego przedmiotu. Muszę robić zaliczenia.

- Ech, wy inżynierowie! Żebyście chociaż umieli czytać i pisać tak dobrze jak mnożyć...

- Co cię ugryzło Jack?

- A, wiesz... - Zadzwoił telefon. Jack podniósł słuchawkę. -Doktor Ryan, słucham. Tak. Kto?! -

Twarz mu się zmieniła, zbladła, głos stał się poważny.

- Tak. Tak, dobrze... - Robby zauważył, że jego przyjaciel zapadł się w fotelu i zeszywniał. -

Ale czy jesteście tego pewni? Gdzie je przewieziono? Tak, tak, dziękuję... Ja zaraz... Dziękuję. -Jack trwał ze wzrokiem wlepionym w telefon przez parę sekund zanim odłożył słuchawkę.

- Co się stało, Jack? - zapytał Robby.

- To była policja - odpowiedział po chwili wahania. - Był wypadek...

- Gdzie one teraz są? - przerwał Robby.



- Odwieźli... Odwieźli je śmigłowcem do Baltimore. - Jack zachwiał się. - Muszę do nich jechać... Natychmiast muszę... - Spojrzał na przyjaciela. -Jezu, Robby...

Jackson natychmiast poderwał się z miejsca.

- Chodź, zawiozę cię.

- Nie, ja sam...

- Daj spokój, Jack, lepiej żebym ja poprowadził - narzucił swój płaszcz na ramiona i rzucił nad biurkiem Jackowi jego, wiszący na oparciu krzesła. - Jazda, chłopie!

- Przewieźli je śmigłowcem...

- Ale gdzie? Dokąd, Jack?

- Do szpitala Uniwersyteckiego...

- Weź się w garść, Jack. - Robby wziął go za ramiona. - Uspokój się. Lotnik sprowadził przyjaciela schodami na dół i wyprowadził na

zewnątrz. Jego czerwona Corvette zaparkowana była sto metrów od budynku.

- Jeszcze tam jest - zameldował cywilny strażnik po powrocie.

- Dobra - powiedział Breckenridge wstając. Spojrzał na pas z pistoletem wiszący w rogu budki wartowniczej, ale zrezygnował z zabierania go. - Zrobimy tak...

Cały ten pomysł nie podobał się Nedowi Clarkowi od początku. Sean za bardzo się napalił. Ale nie powiedział tego nikomu. To Sean wymyślił plan ucieczki z więzienia, który zwrócił mu wolność. A Nedowi można było zarzucić wiele, ale nie brak lojalności. Tylko że tu był za bardzo na widoku i to też mu się nie podobało. Na odprawie poinformowano go, że warta wokół Akademii jest bardzo słaba, zresztą sam widział, że strażnicy i wartownicy z piechoty morskiej są nieuzbrojeni. Poza tym nie mieli żadnej władzy poza terenem Akademii.

Tylko że to trwało za długo. Cel spóźnił się już pół godziny. Clark nie palił, nie robił nic innego, co mogłoby się rzucić w oczy i wiedział, że zauważyć go będzie bardzo trudno. Brama kamienicy była ciemna, o to zatroszczył się za pomocą wiatrówki jeden z ludzi Alexa.

- Powinienem odmówić - mruknął pod nosem. Ale nie chciał tego. Nie chciał zawieść Seana. Zobaczył dwóch mężczyzn wychodzących z Akademii. Trepy, pomyślał, pieprzeni marines w tych swoich odświętnych kubraczkach. Wyglądali w nich jak piękne, niewinne i bezbronne lale.

- A wtedy kapitan mówi - głośno odezwał się ten większy -wyrzucić mi tego żółtka z mojego wiatraka!

Drugi, drobniejszy, zaniósł się rechetem.

- To mi się podoba!

- Wpadniesz na piwo? - zagadnął duży. Przeszli przez ulicę, kierując się ku kamienicy.

- Jak stawiasz, Gunny, to nie mam nic przeciwko.

- Teraz moja kolej, nie? Odkuję sobie w przyszłym tygodniu, jak dostaniesz wypłatę. - Ten duży sięgnął do kieszeni po klucze i zauważywszy Clarka, zwrócił się do niego: - W czymś panu pomóc? - Jego ręka wysunęła się z kieszeni, ale bez kluczy.

Clark zareagował błyskawicznie, ale nie dość szybko. Jego prawa ręka poruszyła się w kieszeni płaszcza, ale prawica Breckenridge'a była szybsza i unieruchomiła ją jak w imadle.

- Zapytałem, czy mogę w czymś pomóc - grzecznie przypomniał sierżant. - Co pan tam ma?

Clark próbował się wyrwać, ale olbrzym przyparł go do ściany.

- Ostrożnie, Tom - rzucił ostrzeżenie drobniejszemu. Ręka Cummingsa powoli sięgnęła pod połę płaszcza i wymacała podłużny, kanciasty kształt.

- Pistolet - powiedział ostro.

- Lepiej, żeby przypadkiem nie wypalił - ostrzegł Ginny Clarka, mocniej dociskając lewym

przedramieniem jego gardło. - Pozwól go sobie zabrać, synku, nie rób głupstw.

Clark sam się dziwił swojej głupocie. Pozwolił im podejść tak blisko. Udało mu się lekko przekrzywić głowę, by spojrzeć na ulicę, ale kierowca czekał na niego za rogiem. Zanim zdążył o czymkolwiek pomyśleć, ten drobniejszy, Murzyn, rozbroił go i zaczął rewidować. Następnym znaleziskiem był nóż.

- Powiedz coś - poprosił Breckenridge. Clark nic nie odpowiedział, więc przedramię nacisnęło na gardło nieco mocniej. - Prosiłem, żeby był pan łaskaw coś powiedzieć.

- Zabierz ode mnie te pieprzone łapska! Kurwa, kim ci się do cholery zdaje że jesteś, co?

- Skąd się tu wzięłaś chłopcze? - Breckenridge'owi nie zależało na odpowiedzi na to pytanie. Sierżant wyciągnął rękę Clarka z kieszeni i wykręcił mu ją za plecy. - Dobra, a teraz pójdziemy na spacer, synku, przez tę bramę, tam posiedzisz sobie i będziesz grzecznym chłopcem, aż przyjedzie policja i cię zabierze. A jak będziesz robił kłopoty, to wyrwę ci to ramię i wepchnę ci je prosto w dupsko. Idziemy, chłopcze.

Kierowca, który czekał na Clarka, stał na rogu. Spojrzał tylko raz na dwóch mężczyzn w mundurach prowadzących cywila i poszedł do samochodu. Dwie minuty później był już daleko stamtąd.

Cummings przykuł aresztowanego do krzesła. Breckenridge stwierdził, że nie miał on przy sobie żadnego dowodu tożsamości, oczywiście jeżeli nie liczyć pistoletu. Najpierw zadzwonił do kapitana Petersa, potem do policji miejskiej Annapolis. Nikt jeszcze nie wiedział, że to wcale nie koniec.

15

Uraz i szok

Gdyby Jack miał kiedykolwiek wątpliwości, czy Robby Jackson naprawdę jest pilotem myśliwca, to jazda do szpitala szybko by je rozviała. Robby prowadził swą ulubioną zabawkę, dwuletniego karmazynowego Chevroleta Corvette, z głębokim przeświadczeniem

o własnej nieśmiertelności. Lotnik przemknął przez zachodnią bramę Akademii, skręcił w lewo i dotarł do Rowe Boulevard. Korek na drodze numer 50 zauważyli od razu, ale przejechali na pasmo wiodące na wschód. Chwilę później przejechali przez most na Severn. Jack był zbyt zagłębiony w myślach, by dostrzec cokolwiek, ale Robby zauważył na pasie obok poskręcany wrak Porsche. Widok zmroził go tak, że aż odwrócił głowę. Odrzucił jednak nasuwającą się myśl i skoncentrował na prowadzeniu, wyciskając z Corvetty ponad sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Gliniarze mieli za dużo roboty z sąsiednim pasem, żeby znaleźć czas na łapanie ich i wlepianie mandatu. Wkrótce dotarł do zjazdu na Ritchie Highway i skręcił na północ, w kierunku Baltimore. Ruch w godzinach szczytu był znaczny, ale większość samochodów wyjeżdżała z miasta. Kolumna na ich paśmie była porozrywana

i można było wykorzystywać luki. Pilot zwalniał i przyspieszał biegami, niemal nie dotykając hamulca.

Jack siedział obok niego z niewidzącym wzrokiem wlepionym przed siebie. To otępienie ustało na chwilę, gdy Robby wjechał między dwa ciągniki siodłowe z naczepami i gwałtownie przyspieszył, przelatując pomiędzy nimi jak pocisk, mimo iż między trzema pojazdami było tylko kilkanaście centymetrów luzu. Zgodny chór dwóch pobrzmiwających oburzeniem syren ciężarówek szybko zgasł w oddali za pędzącą Corvetta i Jack powrócił do poprzedniego stanu ducha.

Breckenridge pozwolił kapitanowi Mike'owi Petersowi zająć się wyjaśnianiem sytuacji. To był niezły oficer, myślał sierżant, mający na tyle zdrowego rozsądku, by pozwolić podoficerom prowadzić cały cyrk. Zdążył się pojawić na wartowni wystarczająco wcześniej przed policją z

Annapolis, by Breckenridge i Cummings wprowadzili go w przebieg zdarzeń.

- No więc o co chodzi, panowie? - zapytał policjant z interweniującego patrolu. Kapitan Peters skinął głową Breckenridge'owi, żeby odpowiedział.

- Obecny tu plutonowy Cummings zaobserwował tego człowieka, kryjącego się w tamtej bramie. Nie wyglądał na mieszkańca tej okolicy, więc dyskretnie go obserwował. W końcu ja i Cummings podeszliśmy do niego i zapytaliśmy, czy może potrzebuje pomocy. Wtedy on próbował dobyć z kieszeni to - Gunny podniósł ze stołu pistolet na ołówku włożonym w kabłajc spustu, uważając, by nie zetrzeć odcisków palców- i nóż. Noszenie ukrytej broni bez specjalnego zezwolenia jest w naszym stanie przestępstwem, więc wraz z plutonowym Cummingsiem dokonaliśmy zatrzymania na gorącym uczynku i wezwaliśmy was. Ten osobnik nie ma przy sobie żadnych dokumentów i odmawia udzielania jakichkolwiek wyjaśnień.

- Co to za broń? - zapytał policjant.

- To flV Vigilante kalibru 9 mm - wyjaśnił Breckenridge. - To obecnie używana handlowa marka Browninga High Power. Jego magazynek mieści 13 nabojów. Broń była załadowana i nabita, to znaczy z nabojem w lufie, a kurek spuszczone. Ten nóż to tandeta. Typowy nóż ulicznika.

Policjant uśmiechnął się. Poznał Breckenridge'a, który prowadził dla funkcjonariuszy szkolenie strzeleckie.

- Proszę powiedzieć jak pan się nazywa - zwrócił się następnie do Eamona Clarka. Ten spojrzał tylko tępo na niego. - Proszę pana, przysługuje panu szereg konstytucyjnych praw, które zaraz panu wymienię, ale prawo nie pozwala panu na odmowę zeznań co do pańskiej tożsamości. Musi mi pan to powiedzieć.

Posterunkowy odczytał mu jego prawa i czekał na odpowiedź jeszcze przez minutę. Zaczynał się irytować. Obrócił się ku pozostałym trzem mężczyznom.

- Czy panowie zaświadcza, że przedstawiłem temu osobnikowi prawa, które mu przysługują jako zatrzymanemu?

- Tak, oczywiście - odpowiedział kapitan Peters.

- Jeżeli mogę panu coś zasugerować - odezwał się Breckenridge - to dobrze by go było sprawdzić przez FBI.

- Dlaczego?

- Mówił z dziwnym akcentem - wyjaśnił sierżant. - On chyba nie jest stąd.

- No pięknie, dwóch pieprzonych jednego dnia...

- Co pan ma na myśli? - zapytał Breckenridge.

- Jakiś czas temu ktoś strzelał z broni maszynowej do samochodu na pięćdziesiątce, to wyglądało na jakieś porachunki mafii narkotykowych, albo coś takiego. Sprawcy uciekli. - Posterunkowy pochylił się, by zajrzeć zatrzymanemu w oczy. - Lepiej niech pan zacznie mówić, sir. Blacharze w mieście są dziś w paskudnym nastroju. Mówię ci to, człowieku, żebyś wiedział, że nie mamy dziś ochoty użerać się z byle gównem. Rozumiesz?

Clark nie rozumiał. W Irlandii noszenie ukrytej broni byłoby poważnym przestępstwem, W Ameryce już nie, wielu ludzi miało tu broń. Gdyby powiedział, że czekał na kogoś, a broń miał ze sobą z obawy przed ulicznymi przestępcami, pewnie wyszedłby stąd zanim dokończyliby identyfikacji. Zamiast tego, jego uporczywe milczenie wzbudziło tylko irytację policjanta i sprawiło, że go na pewno nie wypuszczą, zanim nie ustalą jego tożsamości.

Kapitan Peters i Breckenridge wymienili znaczące spojrzenia.

- Panie posterunkowy - powiedział kapitan - uważam, że identyfikacja tego osobnika przez FBI jest bardzo pożądana. Otrzymaliśmy, hmm, otrzymaliśmy kilka tygodni temu coś w rodzaju

nieformalnego ostrzeżenia o możliwości ataku terrorystycznego. To oczywiście zależy od was, gdyż został on aresztowany poza terenem Akademii, ale...

- Rozumiem, panie kapitanie - wpadł mu w słowo policjant. Zastanowił się przez chwilę i doszedł do wniosku, że może coś w tym jest. - Jeżeli byliby panowie uprzejmi pofatygować się ze mną na komisariat, to moglibyśmy się od razu dowiedzieć, czy federalni coś na niego mają.

Ryan przebiegł przez Centrum Urazowo-Szokowe i przedstawił się przy kontuarze recepcji. Recepcjonistka skierowała go do poczekalni, z naciskiem wyjaśniając, że zostanie powiadomiony, gdy tylko wydarzy się coś tego wymagającego. Nagłe spowolnienie tempa zdarzeń bardzo zdezorientowało Jacka. Stał w wejściu do poczekalni przez kilka długich minut, a w jego umyśle zapanowała nagle kompletna pustka. Gdy Robby przyszedł z parkingu, zastał swego przyjaciela siedzącego na popękanej winylowej sofie, bezmyślnie przewracającego strony jakiejś broszury, której karton niezliczone palce wertujących ją rodziców, żon, mężów, dzieci i przyjaciół pacjentów przewijających się przez izbę przyjęć, przerobiły niemal na makulaturę.

Broszura biurokratyczną prozą zachwalała Instytut Nagłej Pomocy Medycznej stanu Maryland jako najstarszą i najlepszą tego typu placówkę, której celem istnienia było niesienie pomocy ofiarom nagłych wypadków. Ryan wiedział, że to wszystko prawda, chociaż szpital Hopkinsa miał nowocześniejszą pediatrię i wypożyczał im swoich chirurgów ocznych. Cathy spędziła tu część swego stażu, dwa miesiące ciężkiej harówki, którą z ulgą zostawiła za sobą. Jack zastanawiał się, czy czasem nie operuje jej teraz były kolega. Czy ją rozpozna? Czy to cokolwiek zmieni?

Instytut, zwany przez wszystkich poza dyrekcją Centrum Szokowo-Urazowym, powstał jako owoc determinacji w realizowaniu marzeń błyskotliwego, agresywnego i arogancko wywyższającego się kardiochirurga, któremu udało się przebić przez labirynt imperium biurokracji i zbudować ten oddział szpitalny XXI wieku.

Centrum było wielkim, legendarnym wręcz triumfem medycyny. Jego wyposażenie było ostatnim krzykiem techniki ratowania życia, a jego lekarze zdążyli już nawet opracować kilka własnych metod leczenia pacjentów w stanie krytycznym, obalających niektóre dogmaty konwencjonalnej medycyny, co nie przyczyniło jego założycielowi zbyt wiele sympatii ze strony kolegów. Zresztą w każdej innej dziedzinie byłoby tak samo. Sam założyciel Centrum był z powodu swych brutalnie szczerych opinii postacią dość kontrowersyjną. Jednak jego największą zbrodnią, której oczywiście nikt nie śmiał mu w oczy zarzucić było to, że niemal we wszystkim, przy czym się upierał miał rację. Tak więc, choć ten prorok nowoczesnej medycyny nie cieszył się szacunkiem profesorów, młodzi lekarze szybciej dawali się nawracać i w rezultacie Centrum przyciągało najbłyskotliwszych i najbardziej utalentowanych młodych chirurgów świata, z których tylko najlepsi mieli szansę zagrześć tu miejsca na dłużej. Ale czy będą wystarczająco dobrzy, żeby uratować Cathy?

Stracił poczucie czasu czekając, spoglądając na zegarek i bojąc się znaczenia tego upływającego czasu. Sam, całkowicie samotny w swym zamkniętym świecie myślał o tym, że Bóg dał mu żonę, którą kochał i dziecko, na którym zależało mu bardziej niż na własnym życiu, że jego podstawowym obowiązkiem jako ich męża i ojca było to, żeby je chronić przed wrogim światem, że zawiódł, że teraz przez to, że zawiódł, ich życie jest w rękach innych ludzi. Cała jego wiedza, wszystkie umiejętności, były teraz bezużyteczne. To było gorsze, niż gdyby nic nie umiał. Coś w jego umyśle przypominało mu w kółko te myśli, powodując, że zapadał się coraz głębiej w katatoniczne otępienie. Całymi godzinami wpatrywał się w podłogę, potem w ścianę, niezdolny nawet do modlitwy, podczas gdy jego umysł szukał ukojenia w pustce.

Jackson siedział obok przyjaciela. Milczał, zagłębiając się we własnych myślach. Jako lotnik marynarki widział nieraz bliskich mu ludzi, ginących z powodu trywialnych błędów, drobnych

mechanicznych usterek czy wręcz, jak się zdawało, w ogóle bez powodu. Niecały rok temu jemu samemu śmierć położyła zimną rękę na ramieniu. Ale tu, to nie było ryzyko podejmowane z własnej woli przez dorosłego człowieka, świadomego zagrożeń, które niesie wybór tak niebezpiecznego zawodu. Tu zagrożone było życie młodej kobiety i dziewczynki. Nie mógł się teraz zdobyć na zbycie tej sytuacji głupimi żartami o kostusze, którą uda się na pewno zrobić w konia. Nie wiedział co powiedzieć, czym pocieszyć przyjaciela, poza tym, że siedział obok. Chociaż Jack nie dawał temu wyrazu, Robby był pewien, że jest świadom tego, że czuwa przy nim w potrzebie.

Po dwóch godzinach Jackson po cichu wyszedł z poczekalni, by zadzwonić do żony i dyskretnie zasięgnąć informacji w recepcji. Recepcjonistka szukała czegoś, mamrocząc nazwiska, aż wreszcie zidentyfikowała je jako „Kobietę, blondynkę, lat około 30, rany głowy” i „Kobietę, blondynkę, lat około 4, zgnieciona klatka piersiowa”. Pilot miał ochotę udusić ją za jej bezdusność, ale powstrzymał się i odszedł bez słowa. Wrócił do Ryana i razem patrzyli na ścianę, niewzruszoną upływem czasu. Na zewnątrz zaczęło padać. Zimny deszcz znakomicie współgrał z ich uczuciami.

Agent specjalny Shaw wysiadał właśnie ze swego Chevroleta na podwórku domu, gdy zadzwonił telefon. Jego nastoletnia córka odebrała i bez słowa wyciągnęła ku niemu rękę ze słuchawką. Zdażyła już do tego przywyknąć.

- Shaw, słucham.

- Panie Shaw, mówi Nick Capitano z oddziału Biura w Annapolis. Policja aresztowała tu dziś człowieka z pistoletem i nożem, za to bez dokumentów. Teraz nie odzywa się ani słowem, ale wcześniej, gdy rozmawiał z dwoma żołnierzami piechoty morskiej, mówił z obcym akcentem.

- Jaki to był akcent?

- Przypuszczalnie irlandzki, sir - odpowiedział Capitano. - Zatrzymano go tuż za bramą numer 3 Akademii Marynarki. Obecny tu żołnierz mówi, że pracuje u nich wykładowca nazwiskiem Ryan i że otrzymał on ostrzeżenie z Biura do Walki z Terroryzmem.

- Czy zidentyfikowano już zatrzymanego? - Jasna cholera, zaklął Shaw w duchu.

- Nie, sir. Lokalna policja jedynie zdaktyloskopowała go, kopie odcisków i zdjęcia przefaksowano do centrali Biura. Zatrzymany odmawia podania jakichkolwiek danych. Po prostu w ogóle się nie odzywa.

- Okej. - Shaw milczał przez chwilę. Pomyślał, że chyba znowu nici z kolacji w domu. - Za pół godziny będę z powrotem w swoim biurze. Proszę mi tam przysłać kopie odcisków i zdjęcia. Pan niech trzyma rękę na pulsie. I niech ktoś znajdzie tego Ryana i zostanie z nim.

- Tak jest.

Shaw wyłączył się, a po chwili wykręcił numer do swojego biura w Budynku Hoovera.

- Dave, tu Bill. Zadzwoń do Londynu i powiedz Danowi Murrayowi, że chcę żeby był w swoim biurze za pół godziny. Coś tu się szykuje.

- Do widzenia, tato - powiedziała córka. Shaw nawet jeszcze nie zdążył zdjąć płaszcza.

Dwadzieścia siedem minut później siedział już za swoim biurkiem. Najpierw zadzwonił do Annapolis.

- Macie coś nowego?

- Nie, sir. Wydział Zabezpieczeń na razie nie znalazł Ryana. Jego samochód stoi na parkingu Akademii, moi ludzie go szukają. Poprosiłem policję z okręgu Anne Arundel, żeby wysłali radiowóz do niego do domu, na wypadek, gdyby pojechał tam okazją, z powodu awarii samochodu, albo czegoś takiego. Poza tym panuje tu niezły bałagan. W tym samym czasie, gdy zatrzymano tego niemowę zdarzyło się tu coś dziwnego. Tuż za miastem ktoś ostrzelał samochód z broni maszynowej.

- Co się tam do cholery dzieje?

- Zajmuje się tym policja stanowa. Nas nie wzywali - wyjaśnił Capitano.

- Dawajcie tu tego małowównego! - rzucił w słuchawkę Shaw. Sekretarka weszła do gabinetu i podała mu teczkę. Wewnątrz znajdowały się przesłane faksem zdjęcia en face i z profilu zatrzymanego w Annapolis,

- Chwileczkę! - zatrzymał w drzwiach sekretarkę. - Proszę to natychmiast wysłać faksem do Londynu.

- Tak jest, sir.

Shaw wykręcił numer centrali ambasady w Londynie.

- Właśnie położyłem się spać - głos odezwał się w słuchawce już po pierwszym dzwonku.

- A ja właśnie pożegnałem się z kolacją w domu. Taki to już pieski świat, stary. Właśnie wysłałem ci faksem zdjęcia. - Shaw wyjaśnił Murrayowi pokrótce co się wydarzyło.

- O Boże! - Murray głośno przełknął łyk kawy. - Gdzie jest Ryan?

- Nie wiemy. Jego samochód stoi na parkingu w Annapolis, znaczy w Akademii. Chłopcy z Zabezpieczeń go szukają. Będzie dobrze, Dan. Jeżeli się nie mylę, zatrzymany w Annapolis czekał właśnie na niego.

Zdjęcie Eamona Clarka dotarło już do ambasady. Wydział łączności Biura używał sieci satelitarnej zbudowanej dla potrzeb wywiadu. Personel łączności ambasady należał do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i pełnił całonocne dyżury. Faksowi towarzyszyło pismo przewodnie z klauzulą najwyższej pilności, więc do biura attache prawnego wysłano go natychmiast przez gońca. Drzwi były jednak zamknięte. Murray musiał odłożyć słuchawkę, żeby je otworzyć.

- Już jestem - powiedział do słuchawki i rozłożył teczkę przyniesioną przez gońca. Zdjęcie nieco ucierpiało przy dwukrotnym przetwarzaniu na impulsy i przesyłaniu, ale twarz była nadal rozpoznawalna. - Znam tego ptaszka. Nazwiska w tej chwili nie pamiętam, ale to na pewno bandzior.

- Jak długo potrwa identyfikacja?

- Tyle co telefon do Jimmy'ego Owensa. jesteś w biurze?

- Tak - odpowiedział Shaw.

- Zadzwoń do ciebie później. - Murray pochylił się nad klawiszami telefonu. Domowego numeru Owensa nie było w pamięci, więc musiał go teraz wystukać.

- Tak?

- Cześć Jimmy, tu Dan. - Głos Murraya zdawał się mówić: „Ale mam dla ciebie bombę, stary!”.

Owens zrazu nie wyczytał tej zapowiedzi w głosie przyjaciela.

- Wiesz, która jest godzina?

- Nasi ludzie zgarnęli kogoś, kto mógłby cię zainteresować.

- Kogo?

- Na razie mam tylko zdjęcie, nazwisko ty mi powiesz. Aresztowano go w Annapolis, pod bramą Akademii Marynarki...

- Ryan?

- Być może. - Murray sam się tego obawiał.

- Spotkajmy się u mnie w Scotland Yardzie - powiedział Owens.

- Jadę - Murray wyruszył natychmiast.

Owensowi było łatwiej. Pod jego domem stale dyżurowali dwaj uzbrojeni policjanci w samochodzie. Wystarczyło, że wyszedł przed dom i machnął ręką, a Land-Rover natychmiast podjechał. Wyprzedził Murraya o całe pięć minut. Kiedy agent FBI dotarł na miejsce, Owens zdążył wypić filiżankę herbaty. Nalał dwie następne.

- Czy ta twarz nie wydaje ci się znajoma? - Amerykanin rzucił teczkę ze zdjęciami na biurko.

Zmęczone oczy Owensa rozszerzyły się ze zdumienia.

- Ned Clark - wydusił. - Mówisz, że jest w Ameryce?

- Też tak myślałem, że skądś tego przyjemniaczka znamy. Zgarnęli go dzisiaj w Annapolis.

- To jeden z tych, którzy prysnęli z Long Kesh, bardzo niegrzeczny chłopiec, z kilkoma morderstwami na koncie. Bardzo panu dziękujemy, panie Murray.

- Podziękujcie piechocie morskiej. - Murray wziął filiżankę z herbatą. Tęsknił za kofeiną. - Mogę stąd zadzwonić? - Chwilę później połączył się z centralą FBI. Głośnik telefonu był włączony, żeby i Owens mógł słyszeć rozmowę.

- Bili, zatrzymany to niejaki Ned Clark, skazany za morderstwa, zbiegły z więzienia w zeszłym roku. Kiedyś był specjalistą od mokrej roboty, pracował dla Tymczasowych.

- Mam złe wieści, Dan - odpowiedział Shaw. - Wygląda na to, że miał miejsce zamach na członków rodziny Ryana. Policja stanowa prowadzi dochodzenie w sprawie ataku z użyciem broni maszynowej na samochód należący do doktor medycyny Caroline Ryan. Sprawcy uciekli furgonetką, mordując po drodze policjanta.

- Gdzie jest Jack Ryan?

- Nadal nie wiemy. Widziano go opuszczającego teren Akademii samochodem przyjaciela. Policja szuka ich obu.

- A co z rodziną?

- Przewieziono je drogą powietrzną do Centrum Szokowo-Urazowego Szpitala Uniwersyteckiego w Baltimore. Miejscową policję poproszono o ochronę dla nich, zresztą tam zawsze są dyżury. Jak tylko zlokalizujemy Ryana, damy ochronę i jemu. A jeśli chodzi o tego Clarka, to jutro załatwię na niego federalny nakaz aresztowania. Spodziewam się, że pan Owens chce go z powrotem?

- O tak, bardzo. - Owens odchylił się na oparciu fotela. Teraz jego kolej na telefon. Tak to już bywa w pracy policyjnej, że dobre wieści idą w parze ze złymi.

- Pan Ryan? - To był lekarz. Chyba lekarz. Nosił różowy fartuch jednorazowego użytku i dziwne różowe kalosze, kryjące wewnątrz chyba obuwie sportowe. Przód fartucha był pokrwawiony. Ma chyba nie więcej niż ze trzydziestkę, ocenił Ryan. Jego twarz była ciemna i zmęczona. Na przypiętym do fartucha identyfikatorze widniało nazwisko DR BARRY SHAPIRO i stanowisko ZASTĘPCA ORDYNATORA ODDZIAŁU URAZOWEGO. Ryan próbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Lekarz przykazał mu gestem, by pozostał na miejscu. Wolno podszedł i usiadł w fotelu naprzeciw sofy.

Jack zastanawiał się jakie wieści przynosi. Jego umysł łaknął informacji o stanie zdrowia rodziny i jednocześnie wzdragał się przed nią.

- Nazywam się Barry Shapiro, zajmuję się pana córką - mówił szybko, z dziwnym akcentem, który Ryan zauważył, ale którego nie analizował, jako że nie miało to teraz większego znaczenia. - Z pańską żoną nie jest źle. Ma złamane i pokaleczone lewe ramię oraz paskudnie rozcięte czoło. Sanitariusz z helikoptera, widząc ranę głowy, a one zawsze bardzo krwawią, przywiózł ją do nas na wszelki wypadek. Wykonaliśmy komplet badań głowy, wszystkie wyniki były w porządku. Ma lekkie wstrząśnienie mózgu, ale to nic groźnego. Nic jej nie będzie.

- Ona jest w ciąży.

- Tak, zauważyliśmy - uśmiechnął się Shapiro. - Z tym nie będzie żadnych problemów. Ciąży to nie zagrazi w żaden sposób.

- Ona jest chirurgiem. Czy będzie mogła wrócić do zawodu?

- O, nie wiedziałem. Prawdę mówiąc, nie przejmujemy się tu za bardzo profesją pacjentów -

wyjaśnił Shapiro. - Nie, z tym też nie powinno być kłopotów. Uraz jest poważny, ale niegroźny. Wygoi się zupełnie.

Ryan kiwnął głową, bojąc się zadać następne pytanie. Doktor też zamilkł na chwilę. Pewnie teraz kolej na złe wiadomości.

- Natomiast stan pańskiej córki jest bardzo ciężki.

Ryan omal nie udusił się powietrzem. Żelazna pięść ściskająca mu żołądek rozluźniła mu się o milimetr. Żyje! Sally żyje!

- Wygląda na to, że miała rozpięty pas bezpieczeństwa. W momencie zderzenia została wyrzucona w przód z wielką siłą. - Jack potwierdził skinieniem głowy. Sally lubiła się bawić zatrzaskiem od pasów. Myśleli z Cathy, że to takie zabawne, przypomniał sobie z goryczą.

- Złamaniu uległy piszczele i kości strzałkowe obu podudzi, a także lewa kość udowa. Złamane są wszystkie żebra z lewej strony i sześć z prawej strony, to typowy przypadek zmiążdżenia klatki piersiowej. W tej chwili nie może sama oddychać, ale jest już podłączona do respiratora, więc niczym jej to na razie nie grozi. Mała trafiła do nas z poważnymi obrażeniami wewnętrznymi i krwotokiem, uszkodzeniami wątroby, śledziony i jelita grubego. Akcja serca ustała zaraz po przywiezieniu, prawdopodobnie, a raczej na pewno, z powodu dużego upływu krwi. Natychmiast przystąpiliśmy do reanimacji i transfuzji - kontynuował Shapiro. - To już też mamy za sobą. Wraz z doktorem Kinterem operowaliśmy ją przez niemal pięć godzin. Musieliśmy usunąć śledzionę, ale bez niej można żyć. - Na razie doktor nie straszył ojca tym, że funkcje śledziony są ważne dla odporności organizmu. - Poza tym jest dość rozległe pęknięcie wątroby i uszkodzenie arterii doprowadzającej do niej krew. Uszkodzenia zmusiły nas do usunięcia ćwierci wątroby, co nie powinno jednak grozić poważniejszymi powikłaniami. Myślę, że udało nam się załatać tętnicę i mam nadzieję, że jej uszkodzenie się nie odnowi. Wątroba jest bardzo ważnym organem, panie Ryan. Ma dużo do czynienia z tworzeniem krwi i odpowiada za równowagę biochemiczną organizmu. Bez niej żyć się nie da. Jeżeli uda się podtrzymać funkcjonowanie wątroby, są duże szanse na wyzdrowienie. Uszkodzenie jelita było łatwe do załatania, chociaż musieliśmy usunąć około trzydziestu centymetrów. Nogi są na razie tylko unieruchomione. Później się nimi zajmiemy. Żebra, tak, to boli, ale życiu nie zagraża. Obrażenia czaszki są dość lekkie. Myślę, że główna siła uderzenia poszła na klatkę piersiową. Miała wstrząs mózgu, ale nie ma oznak krwawienia wewnętrznego. - Shapiro potarł ręką mocno zarośniętą twarz. - Teraz wszystko zależy od wątroby. Jeśli będzie dalej funkcjonować, prawdopodobnie pańska córka całkowicie wyzdrowieje. Bardzo uważnie śledzimy skład chemiczny jej krwi, ale dopiero za jakieś osiem, dziewięć godzin będziemy coś wiedzieć na pewno.

- Nie wcześniej? - twarz Ryana wykrzywiła się w maskę cierpienia. Żelazna pięść znowu się zacisnęła. A więc nadal może umrzeć...

- Panie Ryan - powiedział powoli Shapiro. - Wiem, co pan teraz czuje. Ale gdyby nie ten śmigłowiec, którym przywieziono dziewczynkę, ogłaszałbym teraz panu, że ona niestety zmarła. Pięć minut później, może nawet mniej, nie zdołalibyśmy osiągnąć takich postępów w jej leczeniu jak teraz. Tyle dzieliło ją od śmierci. Ale teraz żyje i przyrzekam, że zrobię wszystko, co w naszej mocy, by tak pozostało. To „wszystko” to naprawdę wszystko, co da się zrobić. Mój zespół lekarzy i pielęgniarek nie ma sobie równego na świecie i kropka. Jesteśmy najlepsi. Jeżeli jest jakiś sposób, to my go znajdziemy. - Nie dodał jednak, że jeżeli go nie ma, to nie znajdą.

- Czy mogę ją teraz zobaczyć?

- Nie. - Doktor pokręcił głową. - Obie znajdują się teraz na oddziale intensywnej opieki medycznej. Staramy się tam zachować sterylną czystość, jak w sali operacyjnej. Pacjentów w stanie krytycznym może zabić nawet najdrobniejsza infekcja. Bardzo mi przykro, ale to mogłoby być dla



nich zbyt niebezpieczne. Znajdują się pod nieustannym nadzorem moich ludzi. Pielęgniarki, specjalnie szkolone do opieki nad chorymi w stanach krytycznych, czuwają przy nich nieustannie, a zespół lekarzy dyżuruje tuż obok.

- Dobrze - to słowo ledwie wydobyło się z ust Ryana. Odchylił głowę, opierając ją o ścianę i zamknął oczy. Jeszcze osiem godzin? Ale nie ma wyboru. Trzeba czekać. Trzeba robić to, co powiedzą. -Dobrze.

Shapiro wyszedł, a za nim podążył Jackson. Dogonił go koło windy.

- Doktorze, czy Jack naprawdę nie może zobaczyć swojej córeczki? Ona...

- Nie ma mowy. - Shapiro ciężko oparł się o ścianę i głęboko westchnął. - Proszę pana, teraz ta dziewczynka... Właściwie jak ona ma na imię?

- Sally.

- Aha, no więc ona teraz leży na łóżku, całkiem naga, z przewodami wystającymi z rąk i nóg. Jej głowa jest do połowy ogolona. Jest podłączona do kilku aparatów, oddycha za nią respirator Engstroma. Nogi są w gipsie, w ogóle widać tylko jeden wielki siniec od pasa po czubek głowy. - Shapiro spojrzał na wyraz twarzy pilota, ale sam był zbyt zmęczony, by cokolwiek okazać. - Proszę pana, ona wciąż może umrzeć. Myślę, że do tego nie dojdzie, ale zawsze jest taka możliwość. Jeżeli doszło do uszkodzenia wątroby, to dopóki nie będzie wyników badania składu krwi nic nie można kategorycznie stwierdzić, po prostu nie można. A jeżeli ona umrze, czy chciałby pan, żeby pański przyjaciel widział ją w takim stanie? Czy chciałby pan, żeby ją taką zapamiętał? Na resztę życia?

- Myślę, że nie - cicho odparł Jackson, zdziwiony jak bardzo chciał, żeby mała przeżyła. Jego żona nie mogła mieć dzieci i kochali Sally niemal jak ich własną córeczkę. - Jakie jest prawdopodobieństwo, że przeżyje?

- Ja nie jestem bukmacherem, rachunek prawdopodobieństwa to nie moja specjalność. W takiej sprawie na nic się to nie zda. Przykro mi tak mówić, ale sprawy mają się tak, że albo przeżyje albo nie. Proszę pana, ja nie opowiadałem bajek panu Ryanowi. Ona naprawdę nie mogła trafić w lepsze miejsce. - Shapiro spojrzał na pierś Jacksona. Dziobnął palcem złote skrzydła odznaki pilota. -Pan jest pilotem?

- Tak. Myśliwskim.

- Phantomy

- Nie, F-14. Tomcaty.

- Ja też latam - uśmiechnął się Shapiro. - Byłem kiedyś lekarzem dywizjonu w siłach powietrznych. W zeszłym roku kupiłem sobie szybowiec. Tam w górze jest spokojnie i miło. Jak tylko mam szansę wyrwać się z tego domu wariatów, uciekam do góry. Żadnych telefonów. Nikt się nie czepia. Tylko ja i chmury - chirurg zdawał się mówić bardziej do siebie niż do Robby'ego. Jackson położył mu rękę na ramieniu.

- Doktorze, wie pan co, jeżeli ta dziewczynka wyzdrowieje, to załatwię panu lot na czym tylko pan zapragnie. Latał pan kiedy T-38?

- A co to takiego? - Shapiro był za bardzo zmęczony, by pamiętać.

- To taki mały, zwrotny, naddźwiękowy samolot szkolny. Dwa fotele, podwójne stery, a lata się nim jak we śnie. Mogę pana przebrać za jednego z naszych i polecimy, nie ma sprawy. Przekraczał pan kiedy barierę dźwięku?

- Nie. A będziemy robić akrobacje? - Shapiro uśmiechnął się jak mały chłopiec.

- Pewnie, doktorze. - Jackson także uśmiechnął się, wiedząc, że jego manewry potrafią zmusić nawet jaskółkę do zwrócenia obiadu.

- Będę pana trzymał za słowo. Wszystkich pacjentów traktujemy tak samo, ale i tak będę pana

trzymał za słowo. Niech pan ma na oku swego przyjaciela. Wygląda na całkiem rozbitego. To normalne. Takie rzeczy mogą być trudniejsze dla rodziny, niż dla samego pacjenta. Jeżeli zauważy pan coś niepokojącego, proszę dać znać recepcjonistce. Mamy tu na etacie psychiatrę, który specjalizuje się w pracy z, jak to nazywa, pozostałymi ofiarami wypadku. - Specjalista mający pomagać rodzinom, to było kolejne osiągnięcie Centrum.

- A co z ramieniem Cathy? Ona jest chirurgiem-okulistą, wie pan, ma mnóstwo precyzyjnej roboty. Naprawdę sądzi pan, że nie będzie z tym kłopotów?

- To drobiazg - pokręcił głową Shapiro. - Czyste złamanie kości ramieniowej. To musiał być pocisk pełnopłaszczowy. Wszedł czysto, wyszedł czysto, miała dużo szczęścia.

Dłoń Robby'ego spoczywająca na ramieniu lekarza zacisnęła się jak szpony.

- Pocisk!?

- Nie wspominałem o tym wcześniej? Boże, to znaczy, że muszę być jeszcze bardziej zmęczony, niż myślałem. Tak, to była rana postrzałowa, ale bardzo czysta. Cholera, chciałbym, żeby wszystkie były takie. Pocisk kalibru dziewięć milimetrów, albo trzydziestkaósemka, coś koło tego. Dobra, my tu gadu gadu, a ja już muszę wracać do pracy. - Lekarz wszedł do windy.

- Kurwa! - powiedział cicho Jackson do ściany. Odwrócił się słysząc, że recepcjonistka wprowadziła do poczekalni człowieka, a jak się wkrótce okazało, dwóch ludzi, mówiących z angielskim akcentem. Robby wszedł za nimi. Wyższy z nich podszedł do Ryana.

- Sir John?

Ryan podniósł na niego wzrok. Sir John, zdziwił się Robby. Anglik wyprężył się i kontynuował.

- Nazywam się Geoffrey Bennett, jestem charge d'affaires w ambasadzie brytyjskiej w Waszyngtonie. - Podał Ryanowi wyjętą z kieszeni kopertę. - Jej Królewska Mość prosiła, bym wręczył to panu osobiście i poczekał na odpowiedź.

Jack zamrugał oczami, po czym rozerwał kopertę i wyjął z niej żółty blankiet. Telegram był krótki, uprzejmy i konkretny. Która tam teraz jest godzina? Druga? Trzecia nad ranem? Coś koło tego. To znaczy, że obudzono ją specjalnie po to, by donieść o wypadku, a ją ta wiadomość poruszyła na tyle, że wysłała osobisty telegram. I czeka tam na odpowiedź. No i co z tym teraz robić?

Ryan przymknął oczy i powiedział sobie, że czas wrócić do świata żywych. Był zbyt wyczerpany, by uronić łzy wzruszenia, więc tylko przełknął głośno ślinę kilka razy, potarł twarz dłonią i wstał.

- Proszę przekazać Jej Królewskiej Mości, że jestem bardzo wdzięczny za jej troskę. Moja żona ma pełne szanse na wyzdrowienie, ale moja córeczka jest w stanie krytycznym i dopiero za osiem do dziewięciu godzin będzie można w jej sprawie orzec kategorycznie. Proszę przekazać Jej Królewskiej Mości, że jestem głęboko wzruszony jej troską i że wszyscy cenimy bardzo wysoko jej życzliwość.

- Dziękuję, Sir Johnie. - Bennett skończył notować. - Wyślę pańską odpowiedź niezwłocznie. Jeżeli nie będzie pan miał nic przeciwko, chciałbym by towarzyszył panu jeden z pracowników ambasady.

Jack skinął głową zdziwiony, a Bennett wyszedł.

Robby śledził to wszystko z podniesionymi brwiami i tuzinem niezadanych pytań cisnących się na usta. Co to za gość? Przedstawił się jako Edward Wayson, usiadł na fotelu w rogu, naprzeciw drzwi. Obejrzał się na Jacksona. Ich wzrok spotkał się i obaj mężczyźni taksowali się nawzajem przez chwilę. Wayson miał chłodne, beznamietne spojrzenie, w kącikach ust błąkały się ślady nikłego uśmiechu. Robby zlustrował go dokładniej i dostrzegł lekkie wybrzuszenie marynarki pod lewą pachą. Wayson udawał, że czyta jakąś powieść w miękkiej oprawie, ale trzymał ją w lewej ręce, a

jego wzrok omiatał drzwi co kilka sekund, podczas gdy prawa ręka spoczywała luźno na udzie. Jego wzrok napotkał pytające spojrzenie Robby'ego i Wayson lekko skinął głową. Jackson doszedł więc do wniosku, że to pewnie tajniak, a co najmniej ochroniarz z ambasady. To takie buty, pomyślał. Nagle zrozumiał o co chodzi i poczuł się, jakby go owiał wiatr. Ręce pilota zadrżały, gdy pomyślał o tych typach, którzy z rozmysłem próbowali zamordować kobietę i dziecko.

Pięć minut później przybyli wreszcie trzej mocno spóźnieni funkcjonariusze policji stanowej. Przez dziesięć minut rozmawiali z Ryanem. Jackson przypatrywał się z zainteresowaniem i przyglądał się błyskawicom gniewu miotanym przez oczy jego przyjaciela, gdy ten wreszcie dowiedział się wszystkiego. Wayson nie patrzył na to, ale słuchał uważnie.

- Miałeś rację, Jimmy - powiedział Murray. Stał przy oknie, spoglądając na poranny ruch na rogu Broadwayu i Victoria Street.

- Paddy O'Neil jedzie do Bostonu wmawiać, jakimi wspaniałymi chłopcami są ci z Sinn Fein - snuł rozważania Owens - a tu nasz przyjaciel o'Donnell decyduje się popsuć im szyki. Nie mogliśmy tego przewidzieć, Dan. Możliwość podejrzenia, to nie dowód, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Nie było podstaw do sformułowania bardziej kategorycznego ostrzeżenia niż to, które przekazałeś. A ty ich przecież ostrzegałeś, Dan.

- To taka śliczna dziewczynka. Objęła mnie i pocałowała, zanim polecili do domu. - Murray spojrzął znowu na zegarek i odjął pięć godzin. - Wiesz, Jimmy czasem mi się zdarza, że... Jakieś piętnaście lat temu zgarnąłem takiego jednego... taką... osobę, która leciała na dzieci, na małych chłopców. Przesłuchiwałem go. Śpiewał jak kanarek, nie mógł już chyba być bardziej zadowolony z siebie. Przyznał się do sześciu zabójstw, opowiadał o wszystkich szczegółach z szerokim uśmiechem. To było zaraz po tym, jak Sąd Najwyższy orzekł, że kara śmierci jest niezgodna z konstytucją i ten skurwiel już wiedział, że dożyje starości. Wiesz, parę razy byłem wtedy bliski tego, żeby go... - przerwał na chwilę, a potem dokończył. - Czasem jesteśmy po prostu zbyt cywilizowani.

- Alternatywą jest zejście do ich poziomu, Dan.

- Wiem, że to prawda, Jimmy, ale w tej chwili nie zgadzam się z tobą.

Barry Shapiro spojrzął na zegarek. Była piąta rano. No, nic dziwnego, że czuję się tak zmęczony, pomyślał. Dwadzieścia godzin dyżuru. Robię się chyba za stary na to wszystko. Ale był zastępcą ordynatora, mieli do niego zaufanie, którego nie mógł zawieść. Tak się to zaczynało, człowiek siedział w pracy za długo, brał na siebie zbyt dużą odpowiedzialność, przejmował się za bardzo pacjentami, którzy racjonalnie rzecz biorąc, byli tylko mniej lub bardziej posiniaczonymi lub połamanymi kawałkami mięsa. Niektórzy z nich umierali. Zawsze część umierała, choćby nie wiem jak wielkie były jego umiejętności, jak rozwinięta technika, którą rozporządzał i jak bardzo wyęźał się zespół. A kiedy się człowiek tym wszystkim za bardzo przejmował i za bardzo przemęczał, to nie mógł zasnąć. Obrażenia, albo jeszcze gorzej, twarze tych ludzi ciągle majaczyły przed oczyma, zbyt świeże w pamięci, zbyt natarczywe, by je odgonić. A przecież lekarze potrzebują snu nawet bardziej niż inni ludzie. Przewlekła bezsenność była ostatnim i najbardziej niebezpiecznym ostrzeżeniem. Mówiła, że trzeba rzucić to wszystko na jakiś czas, albo ryzykuje się załamaniem nerwowym, co tak często, zbyt często, zdarzało się młodym i ambitnym lekarzom Centrum.

To była najbardziej ponura ironia losu, że ich pacjenci, którzy przybywali z połamanymi ciałami wracali do domu połatanymi i w jednym kawałku, a lekarze i pielęgniarki, którzy przychodzili do pracy pełni energii, wracali do domu wyczerpani i rozbici. Żeby było śmieszniej, sukcesy rodziły oczekiwanie na jeszcze większe sukcesy, na jeszcze większe natężenie pracy. Porażka zaś przynosiła lekarzowi niemal tyle samo szkody, co pacjentowi. Shapiro nabrał już na tyle cynizmu, by widzieć w tym coś zabawnego.

Lekarz przeczytał jeszcze raz wydruk, który analizator krwi wypluł chwilę wcześniej i oddał go pielęgniarce, która wpięła go do karty dziewczynki, a potem usiadł obok, gładząc jej wystające spod maski tlenowej brudne włosy.

- Jej ojciec siedzi na dole. Znajdź kogoś na zastępstwo, zejdź do niego i poinformuj go o wyniku. Ja idę na górę zapalić. - Shapiro wyszedł z OIOM-u, sięgnął do kieszeni swego płaszcza wiszącego na wieszaku w pokoju lekarskim i wyłowił z niej paczkę papierosów. Przeszedł korytarzem do schodów pożarowych i powoli wspiał się trzy piętra wyżej, na dach budynku. Boże, pomyślał, Boże drogi, jaki ja jestem zmęczony. Płaskość pokrytego papą dachu naruszały tylko z rzadka rozrzucone anteny krótkofalówek szpitalnego centrum łączności i kondensatory klimatyzacji. Shapiro zapalił papierosa stojąc w wyjściu z klatki schodowej, klnąc się za niemożność zerwania z tym dokuczliwym nałogiem. Może to dlatego, że nigdy nie widział, w odróżnieniu od większości swych kolegów, szkodliwych następstw palenia. Jego pacjenci byli zwykle zbyt młodzi, by cierpieć na przewlekłe choroby. Ich dolegliwości to skutki rozwoju cywilizacyjnego, wypadków samochodowych, motocyklowych, postrzałów, wypadków przy pracy.

Shapiro podszedł do krawędzi dachu, postawił stopę na barierce i wydmuchnął dym. Odpląnął, znikając rozwiany poranną bryzą, ponad światłami ostrzegawczymi na dachu. Lekarz rozprostował zmęczone ramiona i kark. Nocny deszcz splukał zanieczyszczenia wiszące zwykle w porannym powietrzu, więc mógł podziwiać gwiazdy wyraźnie odcinające się od czerni nieba podkreślonej pierwszymi rozbłyskami świtu.

Na dziwny akcent doktora złożyło się całe jego życie. Wczesne dzieciństwo spędził w Williamsburgu, żydowskiej dzielnicy Nowego Jorku. Rabin Shapiro, jego ojciec, przeniósł się wraz z całą rodziną do Południowej Karoliny. Barry chodził tam do dobrej prywatnej szkoły, ale mimo to mówił mieszanką dialektów nowojorskiego i południowego, na co jeszcze nałożyła się później gwara prerii, w której zasmakował podczas studiów medycznych na Uniwersytecie Baylora w Teksasie. Jego ojciec był wybitnym znawcą literatury, często wykladał na Uniwersytecie Południowej Karoliny. Specjalizował się w amerykańskiej literaturze XIX wieku, a jego ulubionym pisarzem był Edgar Allan Poe. Barry Shapiro nie znosił Poe'go, którego zawsze nazywał piewcą śmierci i perwersji. Ze zdumieniem dowiedział się, że Poe zmarł właśnie tu, w Baltimore, gdy pijany w sztok zasnął w rynsztoku, a jego dom, coś w rodzaju świątyni dla miejscowej inteligencji, znajdował się zaledwie o kilka przecznic od Szpitala Uniwersyteckiego.

Wszystko w Poem wydawało mu się ciemne i pokręcone, zapowiadające gwałtowną i nieodwracalną śmierć. Śmierć, która stała się osobistym wrogiem doktora Shapiro. Zaczął traktować poetę jako ucieleśnienie tego wroga, z którym raz wygrywał, raz przegrywał.

Już kiedyś rozmawiał o tym z psychiatrą szpitalnym, którego zadaniem było też pomagać kolegom i koleżankom. Teraz, samotny o świcie spoglądał na północ, na dom Poe'go.

- Ty skurwysynu! - wyszeptał. Do siebie. Do Poe'go. Do nikogo. - Ty skurwysynu! Tym razem nic z tego. Nie dostaniesz tego dziecka! Ona pojedzie do domu!

Pstryknął niedopałkiem i śledził lot pomarańczowego koziółkującego ognika, spadającego na połyskującą pustą ulicę. Odwrócił się ku schodom. Czas spać.

Jak większość zawodowych oficerów, komandor podporucznik Robby Jackson nie darzył prasy zbyt ciepłymi względami. Jack wiele razy usiłował mu to nastawienie wyperswadować, tłumacząc, że dla zachowania amerykańskiej demokracji prasa jest równie ważna jak marynarka. A teraz lotnik

patrzył, jak reporterzy oblegali jego przyjaciela, zasypując go setkami pytań od zupełnie niewinnych do natarczywie osobistych. Dlaczego niby wszyscy mają wiedzieć, co Jack myśli o stanie swojej córeczki? Czy oni nie wiedzą, co może czuć każdy normalny człowiek wiedząc, że jego dziecko balansuje na granicy życia

i śmierci? Czy trzeba im to wyjaśnić? Skąd Jack miał wiedzieć kto strzelał, skoro nawet policja nie wiedziała?

- A jak pan się nazywa? - spytała w końcu jedna z dziennikarek Robby'ego. Podał jej stopień i nazwisko, ale numer służbowy zachował dla siebie (Regulaminy sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych zezwalają pojmanym do niewoli żołnierzom wyjawić jedynie nazwisko, stopień wojskowy i numer służbowy]. - Co pan tu robi? - upierała się.

- Jesteśmy przyjaciółmi. Przywiozłem go tutaj. - Kretynko, dodał w myśli.

- A co pan o tym wszystkim sądzi?

- Co ja o tym sądzę? A jeżeli tu leżałaby córeczka pani przyjaciółki, co by pani, do cholery, sądziła? - odpalił.

- Czy wie pan kto to zrobił?

- Ja nie jestem gliną. Zarabiam na życie lataniem. Niech się pan ich spyta.

- Ale oni nie mówią.

- No cóż, to jeden-zero dla naszych - uśmiechnął się lekko Robby. - Proszę pani, dlaczego się pani nie odczepi od tego człowieka? Gdyby pani przez to przechodziła, czy chciałaby pani odpowiadać zgrai obcych ludzi na takie pytania? Tam jego dziecko walczy ze śmiercią, wiecie? A to jest mój przyjaciel i nie podoba mi się to, co z nim robicie.

- Panie komandorze, wiemy że jego żona i córka zostały zaatakowane przez terrorystów...

- Kto to powiedział? - zapytał Robby.

- A któż inny to mógł być? Myśli pan, że jesteśmy aż tak głupi? Robby zdusił chęć udzielania twierdzącej odpowiedzi.

- To jest sensacja, bo jeżeli pogłoski się potwierdzą, będzie to pierwszy atak zagranicznego ugrupowania terrorystycznego na terenie Ameryki. To ważna wiadomość. Ludzie mają prawo wiedzieć o tym co i dlaczego się zdarzyło - przekonywała reporterka.

Cholera, niechętnie przyznał w duchu Jackson, ona ma rację. Nie podobało mu się to, ale ona miała rację.

- Czy to, że mam dziecko w tym samym wieku, chłopca, w czymś panu pomoże? - Robby czuł, że właściwie ta reporterka jest raczej sympatyczna. Jackson szukał w niej czegoś, czego mógłby się cześcić.

- Proszę mi odpowiedzieć szczerze, gdyby miała pani okazję zrobić wywiad z tymi, którzy to zrobili, poszłaby pani na to?

- Taki mam zawód. Musimy wiedzieć skąd się wzięli.

- Tam skąd oni się wzięli, zabijają ludzi dla zabawy. To część ich gry. - Robby przypomniał sobie raporty wywiadu, które czytał na Bliskim Wschodzie. - Parę lat temu... ale ode mnie pani tego nie słyszała, okej?

- Nic nie słyszałam - przyrzekła.

- Służyłem na lotniskowcu w rejonie Bejrutu. Mieliśmy raporty wywiadu, a także zdjęcia ludzi z Europy, którzy przyjeżdżali tam, żeby sobie pozabijać. To były głównie szczeniaki, z ich ubioru wynikało, że z dobrych rodzin. Nie zalewam, ja naprawdę widziałem te pieprzone zdjęcia. Dołączali tam do jakichś szajbusów, dostawali broń i zaczęli walić do wszystkiego, co się rusza, na oślep, tak dla hecy. Strzelali z wysokich budynków, biurowców, hoteli, po ulicach. A z karabinu można

trafić na tysiąc metrów. Coś się ruszyło, tatata! Walili seriami. A potem wracali do domów. Zabijali ludzi, ot tak, dla zabawy. Może wyrosli z nich teraz prawdziwi terroryści, nie wiem. To była naprawdę wkurwiająca rzecz, tego się tak łatwo nie zapomina i właśnie o takich ludziach, proszę pani, tutaj mówimy. Gównu mnie obchodzi ich punkt widzenia, proszę pani. Kiedy byłem mały, mieliśmy w Alabamie problemy z ludźmi tego samego rodzaju, tymi dupkami z Ku-Klux-Klanu. Jedyne co było dobre z Klanem, to to, że jego członkowie byli idiotami. Ci terroryści, z którymi tu mamy do czynienia są dużo bardziej efektywni. Może to ich usprawiedliwia w pani oczach, ale w moich nie.

- Tego o Bejrucie nie pisali w gazetach - powiedziała reporterka.

- Wiem na pewno, że jeden z dziennikarzy był tego świadkiem. Może myślał, że nikt w to nie uwierzy. Sam nie wiem, czy gdyby nie te zdjęcia, uwierzyłbym w coś takiego. Ale ja widziałem. Ma pani na to moje słowo.

- Co to były za zdjęcia?

- Tego to już nie mogę powiedzieć, ale były na tyle wyraźne, że można było rozpoznać ich promieniejące twarzyczki. - Były to zdjęcia zrobione przez amerykańskie i izraelskie samoloty rozpoznawcze.

- Więc co pan z tym począł?

- Gdyby się dało zebrać tych wszystkich gnojków w jedno miejsce, to pewnie razem z piechotą morską coś byśmy na to poradzili

- odpowiedział Robby, wypowiadając marzenie zawodowych żołnierzy całego świata. - A potem nawet byśmy mogli zaprosić pismaków. A to co za jedni?

Jeszcze dwóch ludzi wepchało się do zatłoczonej poczekalni. Jack był zbyt zmęczony, żeby wszystko kojarzyć od razu. Dla niego najważniejsze było to, że Sally uniknęła największego zagrożenia, wielki ciężar spadł mu z ramion. Czekał teraz na spotkanie z żoną, którą wkrótce mieli przenieść na zwykłą salę. Parę metrów dalej Wayson, brytyjski tajniak, patrzył na kłębiących się dziennikarzy z nieukrywaną pogardą, odmawiając im nawet przedstawienia się. Policjanci stanowili nie byli w stanie odgonić reporterów, ale personel szpitalny na szczęście nie wpuszczał ekip telewizyjnych za drzwi. Ciągłe pytano o to, kto mógł to zrobić. Jack odpowiadał, że nie wie, chociaż zdawało mu się, że wiedział. To byli pewnie ci, którymi postanowił się nie przejmować. Mogło być gorzej, pocieszał się w duchu. Przynajmniej Sally dożyje końca tego tygodnia. Jego błędna ocena nie zabiła jego córki. To go pocieszało.

- Pan Ryan? - zapytał jeden z nowych gości.

- Tak - Jack był zbyt wyczerpany, by podnieść na niego wzrok. Nie spał teraz tylko z powodu adrenaliny, której tyle krążyło w jego krwi. Jego nerwy były zbyt poszarpane, by mógł zasnąć, chociaż bardzo tego potrzebował.

- Agent specjalny Ed Donoho, z biura terenowego FBI w Bostonie - przedstawił się nowy. - Jest tu ze mną ktoś, kto chce panu coś powiedzieć.

Nikt nigdy nie mógł powiedzieć o Paddym o'Neilu, że jest tępy, myślał Donoho. Gdy tylko w dzienniku o jedenastej wieczorem wyemitowano reportaż, rzecznik Sinn Fein poprosił swego „opiekuna” z FBI, żeby polecili do Baltimore. Donoho nie miał prawa mu tego odmówić, więc musiał się zająć łapaniem miejsc dla nich obu w najbliższym samolocie do Baltimore.

- Panie Ryan - odezwał się o'Neil głosem ociekającym słodyczą

- słyszałem, że stan zdrowia pańskiego dziecka uległ poprawie. Mam nadzieję, że sprawiły to także moje modlitwy i że...

Dopiero teraz, po dziesięciu sekundach Jack poznał tę twarz, którą widział kilka dni wcześniej

w telewizji. Szczeka mu lekko opadła, oczy się rozszerzyły. Z jakiegoś powodu nie rozumiał słów tego człowieka. Do jego uszu trafiały jakieś dźwięki, ale jego mózg nie przetwarzał ich, jakby mówiono w jakimś obcym języku. Widział tylko gardło tego faceta, oddalone o półtora metra. Tylko sto pięćdziesiąt centymetrów, mówił mu jego mózg.

- Oho - powiedział po drugiej stronie pokoju Robby, śledząc jak twarz jego przyjaciela zmienia kolor na buraczkowy. W dwie sekundy później zszarzała i zbladła tak, że trudno było odróżnić brzeg kołnierzyka jego białej bawełnianej koszuli. Stopy Jacka poruszyły się, przesuając się do tyłu, gdy wyprężył się na krawędzi sofy.

Robby odepchnął agenta FBI i rzucił się naprzód, gdy Ryan wstał i jego ręce wyciągnęły się ku szyi o'Neila. Ramię Jacksona spoczęło w poprzek klatki piersiowej Ryana, pilot objął swego przyjaciela, próbując go odciągnąć od Irlandczyka, którą to scenę uwiecznili trzej reporterzy. Jack nie powiedział ani słowa, ale Jackson wiedział, co zamierzał zrobić. Robby miał teraz przewagę, odepchnął Jacka i posadził go z powrotem na sofie, a potem szybko się odwrócił.

- Zabierzcie stąd tego dupka, zanim ja go zabiję! - Jackson był wprawdzie dziesięć centymetrów niższy od Irlandczyka, ale jego gniew był równie silny, co Ryana. - Zabierzcie stąd tego skurwysyńskiego terrorystę!

- Posterunkowy! - Agent Donoho wskazał palcem jednego z policjantów, który złapał o'Neila i wyciągnął go natychmiast z sali. Dziennikarze popędzili za wrywającym się i głośno protestującym o'Neilem.

- Odbiło wam!? - wrzasnął Jackson na agenta FBI.

- Proszę się uspokoić, panie komandorze. Jestem po waszej stronie, okej? Proszę ochłonąć.

Jackson usiadł obok Ryana, który dyszał jak koń na mecie wyścigu, wbijając wzrok w podłogę. Donoho usiadł z jego drugiej strony.

- Panie Ryan, nie mogłem go powstrzymać od przyjścia tutaj. Przykro mi, ale tego nie mogliśmy zrobić. On chciał panu powiedzieć... Cholera, całą drogę tutaj nawijał o tym, że jego organizacja nie ma z tym nic wspólnego, że to będzie dla nich katastrofa. Myślę, że on chciał tylko wyrazić swoje współczucie. - Donoho nienawidził się za to, że mówił takie rzeczy, chociaż była to prawda. Nienawidził się jeszcze bardziej za to, że przez ostatni tydzień spędzony z Paddym o'Neilem zaczął go lubić. Rzecznik Sinn Fein był osobą czarującą, człowiekiem który miał dar przedstawiania swoich poglądów w bardzo przekonujący sposób. Agent pytał sam siebie, dlaczego akurat jego musieli wybrać do tej roboty? Nie mogli sobie znaleźć jakiegoś Włocha? Znał odpowiedź na to pytanie, ale to, że był w tym sens, nie znaczyło, że mu się to podobało. - Postaram się, żeby już pana nie niepokoił.

- Niech pan to zrobi - wycedził Robby.

Widok o'Neila odgrywającego swoje tricki przed dziennikarzami wcale go nie zdziwił.

- Pan Ryan był wytracony z równowagi, jak każdy człowiek kochający swoją rodzinę byłby w podobnych okolicznościach... - tokował o'Neil.

Ich pierwszy kontakt tydzień temu napawał go odrazą, potem powoli zaczął podziwiać jego umiejętności i urok osobisty. Teraz jego słowa napełniły go nienawiścią. I wtedy zaświtała mu w głowie idea. Wątpił, czy Biuro na to pójdzie, lecz zdecydował, że gra jest warta świeczki. Ale najpierw wziął na bok policjanta i kazał mu dopilnować, by ten człowiek nie niepokoił więcej Ryana. Potem znalazł fotoreportera i pokrótce przedstawił mu swój pomysł. Razem znaleźli lekarza.

- Nie, nie ma mowy - odpowiedział od razu zagadnięty doktor.

- Doktorze - wtrącił się fotograf - moja żona jest teraz w ciąży, to będzie nasze pierwsze dziecko. Jeżeli to może w czymkolwiek pomóc temu człowiekowi, popieram to z całego serca. To

zdjęcie nie pójdzie do gazet, ma pan na to moje słowo.

- Myślę, że to pomoże - mówił agent FBI. - Naprawdę.

Dziesięć minut później Donoho i reporter zdejmowali już jednorazowe sterylne fartuchy. Agent wziął kasetę z filmem od fotografa i wetknął ją do kieszeni. Zanim odwiózł o'Neila na lotnisko, zadzwonił do centrali w Waszyngtonie. Dwaj agenci pojechali do domu Ryana na Peregrine Cliff. Nie mieli żadnych kłopotów z systemem alarmowym.

Jack był już na nogach ponad dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli byłby w tej chwili zdolny do myślenia, dziwiłby się pewnie, że nadal jest trzeźwy i może funkcjonować, chociaż to ostatnie nie było tak oczywiste dla postronnego obserwatora. Był teraz sam. Robby gdzieś wyszedł, nawet mówił gdzie, ale Ryan już tego nie pamiętał.

Tak czy inaczej był sam. Cathy przeniesiono na oddział dwadzieścia minut wcześniej. Jack szedł burym, wyłożonym glazurą korytarzem, jak człowiek podążający na szafot. Skręcił za róg i od razu poznał, w którym pokoju leżała. Przed drzwiami stało dwóch policjantów. Przypatrywali mu się, gdy nadchodził, a Jack starał się znaleźć w ich oczach ślad tego, że wiedzą, że to wszystko jego wina, że przez niego jego żona i córka omal nie zginęły, bo to on ocenił, że nie ma się czym niepokoić. Jack jeszcze nigdy nie doświadczył w swym życiu takiej klęski, a jej gorycz sprawiła, że myślał iż cały świat czuje do niego tę samą pogardę, jaką czuł on sam do siebie. Taki byłeś, kurwa, cwany, taki pewny!

Z tego wszystkiego wydawało mu się, że to nie on podchodzi do drzwi, ale to one się do niego zbliżały, rosnąc w oczach coraz bardziej. Za tymi drzwiami była kobieta, którą kochał. Kobieta, która omal nie zginęła z powodu jego pewności siebie. Co ona mu powie? A czy on zdobędzie się na odwagę, by tego wysłuchać? Zatrzymał się na chwilę pod drzwiami. Policjanci starali się nie patrzeć na niego. Pewnie mu współczuli, choć na pewno wiedzieli, że na to nie zasługuje. Klamka była zimna, chłód metalu w dłoni zdawał się go oskarżać, gdy wchodził do pokoju. Cathy leżała w izolatce. Jej ramię niknęło w gipsie, wielki fioletowy siniak pokrywał prawą część twarzy, pół czoła zniknęło pod bandażem. Jej otwarte oczy pozbawione były życia, wpatrywały się w wyłączony telewizor. Jack zbliżał się do niej jakby we śnie. Pielęgniarka postawiła mu krzesło przy jej łóżku. Usiadł na nim i wziął żonę za rękę, usiłując wymyśleć co też powie kobiecie którą zawiódł. Jej twarz zwróciła się w końcu ku niemu. Jej oczy pociemniały i wypełniły się łzami.

- Wybacz mi, Jack - wyszeptwała.

- Co ci mam wybaczyć?

- Widziałam, że znowu bawi się zamkiem od pasów, ale nic nie zrobiłam, bo tak się śpieszyłam, a wtedy nadjechała ta furgonetka i już nie było czasu. Gdybym sprawdziła jej ten pas, to Sally nic by się nie stało... Ale ja się tak śpieszyłam - umilkła i wlepiła wzrok gdzieś daleko. - Tak mi przykro, Jack.

Boże, ona się o to obwinia, pomyślał zaskoczony. I co ja jej teraz powiem?

- Ona wyzdrowieje, kochanie - powiedział w końcu Ryan, zdziwiony tym co usłyszał. Podniósł dłoń Cathy do ust i pocałował ją. - Ty też. Teraz liczy się tylko to.

- Ale... - Jej wzrok nadal unikał jego spojrzenia.

- Żadnych „ale”.

Jej twarz zwróciła się ku niemu. Cathy próbowała się uśmiechnąć, ale łzy leciały jej z oczu.

- Rozmawiałem z doktorem Ellingstonem z Hopkinsa. Przyjechał tu i obejrzał Sally. Powiedział, że wyliże się z tego. Mówił też, że Shapiro uratował jej życie.

- Wiem.

- Jeszcze jej nawet nie widziałam... pamiętam tylko most... i obudziłam się tutaj dwie godziny



temu i... och, Jack! - Jej dłoń zacisnęła się na dłoni Ryana jak imadło. Pochylił się, by ją pocałować, ale zanim zdążyli zetknąć się ustami, oboje wybuchnęli płaczem.

- W porządku. Cathy, już dobrze - uspakajał ją Jack i zaczął wierzyć w to, że naprawdę tak było, a w każdym razie, że tak znowu będzie. Jego świat się nie skończył.

Ale dla nich to będzie koniec świata, powiedziało coś w jego duszy. Była to myśl beznamiętna, z oddali, brzmiąca w części jego umysłu wolnej od rozważań nad teraźniejszością. Widok jego żony, oplakującej krzywdę zawinioną przez kogoś innego, wywołał u niego chłodną żądzę odwetu, którą zaspokoić mogła tylko ich śmierć.

Czas żalu dobiegał końca, utopionego w jego własnych łzach. Jeszcze nie odzyskał spokoju ducha, ale jego umysł już myślał o czasie, gdy to nastąpi, gdy odzyska władzę nad uczuciami, a przynajmniej nad większością. Wiedział, że jednego nie będzie w stanie całkowicie opanować, że to ono go opanuje. Nie poczuje się z powrotem w pełni człowiekiem i mężczyzną, póki nie zaspokoi swego gniewu.

Nie można płakać bez końca. Każda łza unosi ze sobą część uczucia, które ją wywołało. Cathy pozierała się pierwsza. Otarła ręką łzy Jacka. Uśmiechnęła się. Jack nie miał się kiedy ogolić, drapał jak papier ścierny.

- Która godzina?

- Wpół do jedenastej. - Nawet nie musiał zerkać na zegarek.

- Potrzebujesz snu, Jack - powiedziała mu. - Przynajmniej ty musisz być zdrowy.

- Chyba tak - potarł oczy.

- Cześć, Cathy - powiedział Robby, wchodząc do pokoju. - Przyszedłem go stąd zabrać.

- To dobrze, Robby.

- Wynajęliśmy pokój w „Holiday Inn”, tu obok, na Lombard Street...

- Wynajęliśmy? Robby, chyba nie...

- Daj spokój, Jack - uciał Jackson. - Jak się czujesz, Cathy?

- Tak mnie głowa boli, że nawet sobie nie wyobrażasz.

- Dobrze, że jesteś w dobrym humorze - powiedział Robby z ulgą w głosie. - Sissy wpadnie do ciebie po obiedzie. Czy potrzebujesz czegoś?

- Na razie nie, Robby, dziękuję.

- Trzymaj się, doktoru. - Robby wziął Jacka pod ramię i postawił go na nogi. - Oddam ci go po południu.

Dwadzieścia minut później Jackson wprowadzał Jacka do pokoju hotelowego. Wyciągnął z kieszeni pudełko pastylek.

- Doktor powiedział, żebyś wziął sobie jedną.

- Nie używam żadnych pigułek nasennych.

- Ale jedną z tych weźmiesz, mój drogi. Taką ładną, zółciutką. To nie prośba, Jack, to rozkaz. Musisz się przespać. No, jazda!

Robby wetknął mu pastylkę do ręki i upewnił się, że została połknięta. Po dziesięciu minutach Jack spał jak zabity. Jackson upewnił się, że drzwi są zamknięte, po czym położył się na sąsiednim tapczanie. Śniło mu się, że zamachowcy lecą samolotem. Odpalił w ich kierunku cztery rakiety, a potem gdy ich ciała wypadły przez dziurę, odprowadził je ogniem z działka, aż wpadły do morza.

„Klub Patriotów” był pubem usytuowanym naprzeciwko Broadway Station w jednej z południowobostońskich enklaw irlandzkich. Jego nazwa nie była spadkiem po rewolucjonistach z końca XVIII wieku, ale raczej świadectwem uczuć właściciela.

John Donoho służył w 1. Dywizji Piechoty Morskiej w Korei, uczestniczył w ciężkich walkach

w czasie odwrotu spod Czhosan i znad Czsongczhonu\*.

Mimo dwóch ran nie opuścił swej drużyny i wraz z nią odbył długi, zimowy marsz do portu Hyngnam. Pamiątką tego marszu był nieco chwiejny krok w rezultacie amputacji czterech odmrożonych palców prawej stopy. Był z tego bardziej dumny, niż z odznaczeń powieszonych w gablocie na ścianie za barem, poniżej flagi Korpusu Piechoty Morskiej. Każdy gość w mundurze piechoty morskiej mógł tu liczyć na darmową kolejkę i jedną czy dwie opowieści ze Starego Korpusu, do którego kapral w stanie spoczynku John Donoho wstąpił w dojrzałym wieku lat osiemnastu. Z zawodu był Irlandczykiem. Co roku latał liniami Aer Lingus z portu lotniczego w Bostonie na stare śmiecie, by odkurzyć swe korzenie i akcent, a przy okazji poprobować kilku gatunków whiskey, których jakoś nikt do Stanów nie sprowadzał w odpowiedniej ilości. Starał się na bieżąco śledzić wydarzenia na północy wyspy, w „sześciu prowincjach” jak je nazywał, by podtrzymywać duchowe związki z buntownikami, odważnie walczącymi o wyzwolenie swych rodaków z brytyjskiego jarzma. W jego pubie zebrano wiele dolarów na pomoc bojownikom Północy, wiele też szklanek i kufla wychylono za ich zdrowie i pomyślność Sprawy.

- Witaj, Johnny! - zawołał od drzwi o'Neil.

- Dobry wieczór, Paddy! - Donoho właśnie nalewał kufel piwa, gdy zauważył, że o'Neilowi towarzyszy jego bratanek. Eddie był jedynym synem jego świętej pamięci brata, dobrym chłopakiem po Notre-Dame, gdzie grał w ataku drużyny futbolowej, zanim nie wstąpił do FBI. To może nie było to, co piechota morska, ale wuj John wiedział dobrze, że Ed wychodził na tym dużo lepiej. Coś mu się obilo o uszy, że Eddie kapuje za o'Neilem i smutno mu się zrobiło, gdy stwierdził, że tak było w istocie. Zresztą, może to i dobrze, przekonywał się, będzie kto go miał obronić przed zbirami nasyłanymi przez Anglików. John i Paddy wypili razem piwo, a potem gość przeszedł do salki na zapleczu, do oczekującej tam na niego grupki. Bratanek właściciela siedział na końcu kontuaru nad kawą i miał oko na sytuację. Po dziesięciu minutach o'Neil wrócił, by wygłosić przemówienie. Donoho podszedł przywitać się z bratankiem.

- Witaj, wujku Johnie - pozdrowił go Eddie.

- Czy już daliście na zapowiedzi? - zapytał John z irlandzkim akcentem, który przybierał na sile wraz z obecnością o'Neila.

- Może we wrześnie damy.

- Co by powiedział twój ojciec, gdyby wiedział, że żyjesz z tą dziewczyną już od roku? A co by powiedzieli ojczulkowie z Notre-Dame?

- Pewnie to samo, co gdyby się dowiedzieli, że organizujesz zbiórki pieniężne dla terrorystów, wujku - odparował młody człowiek. Eddie miał już dość ciągłego wtykania nosa w jego życie.

- Nie chcę czegoś takiego słuchać w moim lokalu! - To Eddie już też słyszał.

- Ale tym właśnie zajmuje się o'Neil, wujku Johnie.

- Oni są bojownikami o wolność. Wiem, że od czasu do czasu naginają nasze prawo, ale to czy łamią brytyjskie jest mi całkowicie obojętne, i tobie też powinno być obojętne - z naciskiem powiedział John Donoho.

- Ogląda wuj telewizję? - Eddie nie potrzebował odpowiedzi. Szerokoekranowy telewizor w przeciwległym rogu sali służył jedynie do oglądania transmisji meczy futbolowych i baseballowych. Nazwa bowiem odzwierciedlała także to, że czasem popijali tu zawodnicy klubu futbolowego New England Patriots. Zainteresowania wuja Johna telewizją sprowadzało się do meczy Patriotów, Red Soxów, Celtów i Bruins. Polityka praktycznie go nie interesowała. Co sześć lat głosował na Teda Kennedy'ego i uważał się za niewzruszonego stronnika obronności kraju.

- Chciałbym wujowi pokazać kilka zdjęć. Położył pierwsze na barze.

- Ta mała dziewczynka nazywa się Sally Ryan i mieszka w Annapolis. Wuj podniósł zdjęcie, przyjrzał mu się i uśmiechnął.

- Pamiętam, jak moja Kathleen tak wyglądała.

- Jej ojciec jest wykładowcą w Akademii Marynarki w Annapolis, był porucznikiem piechoty morskiej. Skończył Boston College, jego ojciec był policjantem.

- Wzorcowy życiorys Irlandczyka. To twój przyjaciel?

- Niezupełnie - powiedział Eddie. - Spotkaliśmy go z Paddym dzisiaj nad ranem. Wtedy jego córeczka wyglądała tak - położył na blacie drugie zdjęcie.

- Jezusie, Maryjo, Józefie święty - wyszeptał wuj. Ciężko było zauważyć na tym zdjęciu dziewczynkę, niknącą w gąszczu aparatury medycznej. Z gipsu od pasa w dół wystawały tylko stopy. Dwu-centymetrowej średnicy plastikowa rurka niknęła w jej ustach. Całe ciało wystające spod gipsu okryte było sińcem, który fotograf uwiecznił z wielką biegłością.

- Miała szczęście, wujku. Tam była także jej matka. - Położył na blacie jeszcze dwa zdjęcia.

- Co się im stało? Miały wypadek? Po co mi to pokazujesz? -pytał wstrząśnięty John Donoho. Nie wiedział w ogóle o co chodzi.

- Ona jest lekarzem. Była w ciąży, czego nie widać na tym zdjęciu - kontynuował Eddie. - Do ich samochodu strzelano z broni maszynowej wczoraj, tuż za Annapolis, w stanie Maryland. Sprawcy zabili w czasie ucieczki stanowego policjanta. - Na blat powędrowało następne zdjęcie.

- Co? Kto to zrobił?

- A oto ojciec, Jack Ryan - to było to samo zdjęcie, które widniało w gazetach londyńskich, to z promocji w Quantico. Eddie wiedział, że jego wuj patrzy z dumą na każdego w granatowym mundurze Korpusu.

- Gdzieś już chyba widziałem tego faceta...

- Tak. To on powstrzymał zamach terrorystyczny kilka miesięcy temu w Londynie. Wygląda na to, że terroryści poczuli się na tyle obrażeni, że postanowili go wykończyć razem z rodziną. Biuro prowadzi w tej sprawie śledztwo.

- Kto to zrobił?

Ostatnie zdjęcie wylądowało na kontuarze. Widać na nim było ręce Ryana o mniej niż pół metra od gardła Paddy'ego O'Neila i Murzyna, który go odpychał.

- Co to za czarnuch?

- Cholera, wuju, to przecież człowiek i do tego pilot marynarki.

- O... - Wuj John umilkł na chwilę, zmieszany. Nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić do widoku Murzynów, chociaż kiedy jeden z nich wpadł tu raz w mundurze piechoty morskiej, też dostał kolejkę za darmo. Jeśli ktoś służył pod tym sztandarem, to musiał być w porządku, jak zawsze mawiał wuj John. W końcu niektórzy jego kumple z piechoty morskiej...

Pamiętał jak samoloty szturmowe marynarki osłaniały ich odwrót, utrzymując Chińczyków na dystans bombami i napalmem przez cały czas, aż do morza. No, to może ten też był w porządku. Popatrzył jeszcze przez chwilę na resztę zdjęć.

- Więc mówisz, że Paddy miał z tym coś wspólnego?

- Od lat ci powtarzam, dla kogo jest przykrywką ten skurwiel. Jeżeli mi nie wierzysz, spytaj pana Ryana. Już sama obecność tutaj o'Neila za każdym razem ubliża naszemu krajowi. A teraz jego przyjaciele omal wczoraj nie zabili całej rodziny Ryanów. Jednego z nich złapano. Nazywa się Eamon Clark, wiemy, że pracował dla Tymczasowych IRA, wiemy to, wuju Johnie, on był skazany za morderstwa. Złapali go z nabitym pistoletem w kieszeni. Dalej uważasz, że to fajni chłopcy? Oni teraz polują już i na Amerykanów! Jeżeli mi nie wierzysz, to popatrz na te zdjęcia! - Ed Donoho

rozłożył je na drewnianej płycie kontuaru. - Ta dziewczynka, jej matka i jeszcze nienarodzone dziecko o mało nie zginęły wczoraj, ten policjant miał mniej szczęścia. Zostawił wdowę i osierocił dziecko. A ten twój przyjaciel, który zbiera na zapleczu twojej knajpy pieniądze na broń, jest w to zamieszany.

- Ale dlaczego...?

- Już ci mówiłem, wujku, tata tej dziewczynki przeszkodził w Londynie w dokonaniu morderstwa. Myślę, że ci, którym wszedł w drogę chcieli wyrównać rachunki z nim i całą jego rodziną - cedził agent.

- Ale przecież ta dziewczynka...

- Jasna cholera! - zaklął znowu Eddie. - Przecież właśnie dlatego nazywa się ich terrorystami!

Do Johna zaczęło to wreszcie docierać. Eddie widział, że jego słowa odnoszą skutek.

- Czy jesteś pewien, że Paddy maczał w tym palce?

- O, nie, wujku. On nigdy nie podniósł broni na nikogo, a w każdym razie, nic nam o tym nie wiadomo. On jest tylko ich tubą propagandową, przyjeżdża tu i zbiera pieniądze na robienie takich rzeczy w domu. On sam nigdy nie powalał sobie rąk krwią ofiar. Na to jest za sprytny. Ale wie, na co idą pieniądze, tego jesteśmy pewni. A teraz zaczynają się bawić w swoje gry u nas. - Agent Donoho wiedział, że zbiórka pieniędzy ma drugoplanowe znaczenie w stosunku do psychologicznych aspektów przyjazdów za ocean, ale to nie był czas na dłuższy wykład. Patrzył jak jego wuj wlepia wzrok w zdjęcia małej dziewczynki. Na jego twarzy malowało się zmieszanie, zawsze towarzyszące nowej myśli.

- Czy jesteś tego pewien? Czy jesteś tego absolutnie pewien?

- Wujku Johnie, tą sprawą zajmuje się teraz trzydziestu agentów Biura, nie licząc miejscowej policji. Tak, jesteśmy absolutnie pewni. Także tego, że ich dorwiemy. Dyrektor nie pozostawił cienia wątpliwości: mamy złapać tych skurwysynów, nie zważając na cenę -zakończył Edward Michael Donoho junior z zimną determinacją.

John patrząc teraz na bratanek pierwszy raz widział w nim mężczyznę. Przyjęcie Eddiego do FBI było w rodzinie powodem do dumy, ale teraz John dowiedział się dlaczego go przyjęto. Ed był człowiekiem, który traktował swoją pracę ze śmiertelną powagą. To nawet bardziej niż zdjęcia przekonało starego Donoho. Uwierzył w to, co usłyszał.

Właściciel „Klubu Patriotów” wstał i podszedł do furki w barze, nakrytej podnoszoną częścią kontuaru. Wyszedł zza baru podnosząc ją i skierował się na zaplecze. Za nim podążał jego bratanek.

- ....ale nasi chłopcy odpłacają im! - o'Neil przemawiał do zgromadzonych w salce około piętnastu mężczyzn. - Codziennie walczą z... Przyłączysz się do nas, Johnny?

- Won - powiedział spokojnie Donoho.

- Co takiego? Nie rozumiem... - o'Neil był szczerze zdziwiony.

- Pewnie sobie myślałeś, że niezły ze mnie dureń. Może miałeś i rację. Ale teraz wynoś się. - Jego głos w jednej chwili stał się mocniejszy i pozbawiony pracowicie naśladowanego irlandzkiego akcentu. -Wynoś się z mojej knajpy i żebym cię tu więcej nie widział.

- Ależ, Johnny, o czym ty mówisz?

Donoho złapał go za kołnierz i podniósł z krzesła. o'Neil protestował przez całą drogę do drzwi, za które go w końcu wyrzucono. Eddie pomachał ręką wujowi, udając się w ślad za swoim podopiecznym.

- Co się stało? - spytał jeden z gości. Inny, reporter z „Boston Globe” zaczął notować relację właściciela baru.

Aż do tej chwili żaden policjant nie wskazał na żadną konkretną organizację terrorystyczną,

zresztą w gruncie rzeczy agent Donoho też żadnej nie oskarżył. W tej sprawie instrukcje z Waszyngtonu były ściśle i wykonano je bez zarzutu. Ale teraz, w relacji wuja Johna, przefiltrowanej przez reportera, zdarzenia ułożyły się w jasny ciąg, który nikogo nie zaskoczył.

W ciągu kilku godzin agencja Associated Press rozgłosiła, że zamach na Jacka Ryana i jego rodzinę był dziełem Skrzydła Tymczasowych Irlandzkiej Armii Republikańskiej.

Plan Seana Millera został w pełni zrealizowany dzięki pomocy agencji rządu amerykańskiego.

Grupa Millera była już z powrotem w domu. Jak wielu wcześniej ludzi z jego branży, Sean docenił zalety szybkich międzynarodowych połączeń lotniczych. Tym razem poleciał z Waszyngtonu do Meksyku, stamtąd na Antyle Holenderskie, potem samolotem KLM na Schiphol i z Holandii do Irlandii. Wystarczyło mieć odpowiednie dokumenty i trochę pieniędzy. Teraz po tych paszportach już popiół się rozwiął, a pieniądze były wypłacone w gotówce, nie do wyśledzenia. Usiadł przy biurku naprzeciw o'Donnella, ze szklanką wody w rękę, by nadrobić odwodnienie towarzyszące dalekim przelotom.

- Co z Eamonem? - Jedną z zasad operacji ULA było, by nie dzwonić z zagranicy do tego domu.

- Jeden z ludzi Alexa mówi, że go aresztowano - wzruszył ramionami Sean. - Uważałem, że warto pójść na to ryzyko. Wybrałem do tego Neda, bo wie o nas bardzo mało. - Wiedział, że o'Donnell zgodzi się z nim w tym względzie. Clark był jednym z nowych, nabytkiem raczej przypadkowym niż zamierzonym. Siedział w celi z jednym z ludzi, których Miller potrzebował. o'Donnell myślał, że będzie z niego jakiś pożytek, bo nie miał żadnego zabójcy doświadczonego w pracy w pojedynkę. Ale Clark okazał się durniem. Powodowały nim emocje, a nie ideologia. To był typowy oprych z PIRA, pod tym względem właściwie niewiele się różnił od protestanckich bojówkarzy z UVF. Kevin uważał, że pożytek z niego jest taki, jak z tresowanego psa. Znał zaledwie kilka twarzy i nazwisk ludzi z organizacji. A najgorsze było to, że zawiódł. Jediną jego pozytywną cechą była psia lojalność. Sam by wtedy nie uciekł z więzienia w Long Kesh, a pewnie i teraz by mu się nie udało. Brakowało mu wyobraźni.

- Bardzo dobrze - powiedział Kevin o'Donnell po chwili namysłu. Clarka zapamiętają jako męczennika Sprawy. Więcej zyskali na tej porażce, niż dałoby im powodzenie akcji. - A co z resztą?

- Znakomicie. Widziałem jak zginęły żona i dziecko, a potem ludzie Alexa wyciągnęli nas z tego na czysto. - Miller uśmiechnął się i wlał do szklaneczki whiskey, by ukoronować litr wody z lodem, który wypił.

- One żyją, Sean - powiedział o'Donnell.

- Co takiego? - Miller odleciał niecałe trzy godziny po strzelaninie na szosie i nie zdążył wysłuchać ani skrawka żadnego dziennika.

Wysłuchał wyjaśnień swego szefa w pełnym niedowierzania milczeniu.

- Ale to bez znaczenia - zakończył o'Donnell. To także wyjaśnił. „Irish Times” z Dublina podał wiadomość, którą za „Boston Globe” roztrąbiła na cały świat AP. - Mimo wszystko, to był znakomity plan, Sean. Cel został osiągnięty, chociaż wszystko poszło źle.

Sean nie pozwolił sobie zareagować na to. To już druga z rzędu operacja, która mu nie wyszła. Aż do porażki w Londynie nigdy nie spartolił żadnej akcji. Tamto mogło być sprawą pecha, przypadkiem, nic więcej. Ale dwa razy z rzędu, to już nie jest sprawa przypadku. Wiedział, że trzeciej porażki Kevin mu nie daruje. Młody oficer operacyjny wziął głęboki oddech i spróbował być obiektywny. Pozwolił sobie uznać Ryana za wroga osobistego, a nie politycznego. To był jego pierwszy błąd. Strata Neda, choć tego mu Kevin nie wytknął, była także poważnym błędem. Miller raz jeszcze prześledził w myśli cały plan, każdy aspekt operacji. Atak tylko na żonę i dziecko byłby czystym bandytyzmem, sam nigdy by czegoś takiego nie poparł. Z drugiej strony atak tylko na Ryana

nie miałyby tak dużego oddźwięku politycznego, który był celem całej akcji. Zabicie reszty rodziny było konieczne. Tak więc wybór celów był słuszny, ale...

- Powiniennem być chyba dłużej nad tym pomyśleć - powiedział w końcu. - Chyba trochę przedobrzyłem. Może powinniśmy poczekać.

- Tak - zgodził się jego szef, zadowolony z tego, że podwładny sam widzi swoje braki.

- Możesz liczyć na każdą pomoc, jakiej moglibyśmy udzielić, Dan - zapewnił go Owens.

- Tak, ta sprawa zatacza coraz szersze kręgi. - Murray trzymał w ręku depeszę od samego dyrektora Biura, Emila Jacobsa. - No cóż, to była tylko kwestia czasu. Musiało do tego dojść prędzej czy później. - W myśli dodał, że jeżeli szybko tych skurwysynów nie zapuszczają, to wkrótce się to powtórzy. ULA po prostu dowiodła, że także w Stanach terroryści mogą działać. Szok, jaki to wydarzenie wzbudziło, zaskoczył Murraya. Jako zawodowiec w swojej dziedzinie widział, że stało się to tak późno tylko dzięki sporej dozie szczęścia.

Nieudolne rodzime grupy terrorystyczne odpaliły kilka bomb, zamordowały kilku ludzi, ale Biuro zdołało je zlikwidować, zanim okrzepły. Żadna z nich nie otrzymywała pomocy z zagranicy. Ale to też się zmieniło. Pilot helikoptera zidentyfikował jednego ze sprawców jako Murzyna, a tych w Irlandii było raczej niewielu.

To była zupełnie nowa gra i mimo całego doświadczenia FBI, Murray obawiał się, że Biuro może mieć z nią trudności. W jednym dyrektor Jacobs miał rację, ta sprawa miała najwyższy priorytet. Bili Shaw będzie ją prowadził osobiście, a Murray wiedział, że był to jeden z lepszych mózgów w tym interesie. Zespół trzydziestu agentów, przydzielonych do tej sprawy, zapewne podwoi się w ciągu kilku dni, potem dalej będzie rósł jak na drożdżach. Jedynym sposobem zapobiegania na przyszłość takim zdarzeniom, było udowodnienie terrorystom, że Ameryka nie jest dla nich bezpiecznym terenem działania. Murray wiedział w głębi duszy, że to niemożliwe. Żadne państwo nie było dla nich zbyt niebezpieczne, a już na pewno nie państwo demokratyczne.

Ale z drugiej strony Biuro rozporządzało olbrzymimi możliwościami i nie będzie się tym zajmowało samotnie.

17

Oskarżenia i decyzje

Ryan obudził się i zobaczył Robby'ego podtykającego mu pod nos kubek kawy. Jackowi udało się spać bez snów, a niezakłócony spokój snu podziałał na niego cudownie.

- Sissy była u Cathy w szpitalu. Mówi, że biorąc wszystko pod uwagę, wyglądała nieźle. Wszystko gotowe na twoje odwiedziny u Sally. Będzie spała, ale będziesz mógł na nią popatrzeć.

- Gdzie ona jest?

- Sissy? Wskoczyła po zakupy.

- Muszę się ogolić.

- Ja też. Przyniesie nam co trzeba. Ale najpierw chciałbym coś zjeść.

- Jestem ci bardzo wdzięczny za wszystko, co... - zaczął Jack.

- Daj spokój, Jack. Po to dobry Pan nas tu umieścił, jak powiada mój tatuś. Bierz się za jedzenie! - zakomenderował Robby.

Jack dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak długo nic nie miał w ustach. Kiedy jego żołądek przypominał sobie o tym, poczuł wilczy apetyt. W ciągu pięciu minut rozprawił się z dwoma jajkami na bekonie, parówką, czterema tostami i dwiema filiżankami kawy.

- Szkoda, że nie mają tu śruty - zauważył Robby.

Rozległo się pukanie do drzwi. Sissy weszła do środka z torbą na zakupy w jednej i teczką

Jacka w drugiej ręce.

- Odśwież się trochę, Jack - powiedziała. - Cathy wygląda zdrowiej od ciebie.

- Nic dziwnego - odpowiedział Jack. Sam się zdziwił, że zabrzmiało to tak radośnie. To pewnie

Sissy wprowadziła go w tak dobry nastrój.

- Robby?

- Tak?

- Co to jest ta cholerna śruta?

- Nawet nie pytaj - odpowiedziała Cecilia Jackson.

- Wierzę ci na słowo. - Jack wyszedł do łazienki i odkręcił prysznic. Zanim wyszedł, Robby już się ogolił, zostawiając na umywalce krem do golenia i maszynkę. Jack oskrobał swoją brodę i obtarł zacięcia papierem toaletowym. Znalazł tam też nową szczoteczkę do zębów. Kiedy wychodził z łazienki, czuł się wreszcie i wyglądał jak człowiek.

- Dziękuję wam za wszystko - powiedział.

- Wieczorem odwiozę cię do domu - zapowiedział Robby. - Rano muszę poprowadzić zajęcia.

Ale ty masz wolne, załatwiłem ci to na wydziale.

- Dzięki.

Sissy pojechała do domu, a Jack i Robby wyruszyli do szpitala. Trwały godziny odwiedzin, mogli więc udać się do pokoju Cathy od razu.

- O, jest nasz bohater! - Joe Muller był ojcem Cathy. Był niskim i śniadym mężczyzną; Cathy odziedziczyła figurę i włosy po zmarłej jakiś czas temu matce. Pierwszy wiceprezes korporacji Merrill Lynch, absolwent ekskluzywnego uniwersytetu, pierwsze kroki na rynku papierów wartościowych stawiał w podobnych okolicznościach co Ryan, ale jego jedynym związkim z wojskiem były dwa lata służby zasadniczej, które już dawno zostawił za sobą. Wiązał niegdyś wielkie plany z Jackiem i nigdy mu nie przebaczył odejścia z branży. Muller był człowiekiem porywczym, w pełni świadomym swego znaczenia w kręgach finansowych. Od ponad trzech lat nie zamienił życzliwego słowa z Jackiem. Nie wyglądało na to, by zaszła w nim wielka zmiana.

- Tato - odezwała się Cathy - daj spokój.

- Cześć Joe. - Ryan wyciągnął rękę na powitanie. Przez chwilę zawisła samotnie w powietrzu. Robby dyskretnie się ulotnił, a Jack pochylił się, by pocałować żonę. - Wyglądasz już dużo lepiej, kochanie.

- Co masz nam do powiedzenia? - zaatakował Muller.

- Wczoraj aresztowano faceta, który miał i mnie zabić. Przejęło go FBI - ostrożnie odpowiedział Jack. Sam się zdziwił z jakim spokojem o tym mówił. Wydawało mu się, że w porównaniu do zamachu na jego żonę i córkę jest to sprawa bez znaczenia, trywialna.

- Wiesz, że to wszystko twoja wina? - Widać było, że Muller ćwiczył tę kwestię od wielu godzin.

- Tak, wiem - zgodził się Jack. Zastanawiał się, na ile jeszcze będzie musiał ustąpić.

- Tato... - zaczęła Cathy.

- Ty się nie wtrącaj! - Muller zwrócił się do córki, trochę za ostro, jak na gust Jacka.

- Jeżeli masz coś do mnie, to wal, ale nie drzyj się na nią - ostrzegł.

- No proszę, teraz jej bronisz? A gdzieś był wczoraj, do cholery?

- Byłem w biurze, tak jak ty.

- Po coś wpychał nos w nie swoje sprawy? Musiałeś odgrywać bohatera, co? Przez ciebie o mało nie zabili twojej rodziny! - Muller rozpałał się coraz bardziej.

- Panie Muller - Jack mówił sobie to wszystko już wcześniej. Ale tego, co był w stanie

ścierpieć od siebie, tego od teścia przyjmować pokornie nie zamierzał. - Dopóki na giełdę nie wejdą akcje producenta maszyny czasu, obaj niewiele na to poradzimy, czyż nie? Teraz powinniśmy pomagać władzom ująć ludzi, którzy to zrobili.

- Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałeś, do cholery!

- Tato, dość tego! - włączyła się do rozmowy Cathy.

- Zamknij się, teraz my rozmawiamy!

- Odezwij się do niej tak jeszcze raz, to pożałujesz. - Jack musiał sobie ulżyć. Wczoraj nie zdołał ochronić swojej rodziny, ale dzisiaj był w stanie.

- Uspokój się Jack - odezwała się Cathy, nie zdając sobie sprawy z tego, że jeszcze zaognia konflikt. Jack zastosował się jednak po chwili do jej prośby, w odróżnieniu od Mullera.

- Taki mocny teraz jesteś, co?

Powiedz jeszcze słowo, Joe, to się przekonasz, pomyślał Jack. Spojrzał na żonę i wziął głęboki oddech.

- Posłuchaj, jeżeli przyszedłeś na mnie nawrzeszczyć, to proszę bardzo, ale wyjdźmy stąd. Załatwimy to na osobności, okej? Tu leży twoja córka i potrzebuje nas obu. - Obrócił się do Cathy. - Gdybyś mnie wołała, będę za drzwiami.

Ryan wyszedł z pokoju. Przy drzwiach nadal stali dwaj śmiertelnie poważni policjanci, jeszcze jeden siedział w dyżurce pielęgniarek w końcu korytarza. Jack przypomniał sobie o zabitym policjancie i o tym, że Cathy była jedynym świadkiem w tej sprawie. Przynajmniej jest bezpieczna, pomyślał. Robby pomachał do niego ręką z korytarza.

- Uspokój się, chłopie - powiedział.

- On ma prawdziwy talent do wkurwiania mnie - powiedział Jack po kolejnym głębokim oddechu.

- Wiem, że to kretyn, ale o mało nie stracił dziecka. Spróbuj pamiętać o tym. Skucie mu mordy niewiele pomoże.

- A może właśnie by pomogło? - Jack zapytał żartem, zastanawiając się nad tą ewentualnością. - Coś ty się taki filozof zrobił, co?

- Jestem synem kaznodziei, Jack, pamiętaj o tym. Nawet pojęcia nie masz, jakich tekstów się nasłuchałem, gdy ludzie przychodzili pogadać ze starym. A on nawet nie tyle jest wściekły na ciebie, co to zdarzenie śmiertelnie go przeraziło.

- Mnie też - odpowiedział Ryan, patrząc w głąb korytarza.

- Ale ty miałeś więcej czasu, żeby się nad tym zastanowić.

- Racja. - Jack uspokoił się na chwilę. - Ale dalej nie lubię tego skurwysyna.

- On ci dał Cathy, chłopie. To jest coś.

- Czyś ty się czasem nie minął z powołaniem, co? Nie myślałeś żeby zostać kaznodzieją?

- Jestem tylko głosem rozsądku pośród zamętu. Kiedy jesteś rozjuszony, tracisz rozsądek. To dlatego szkolimy ludzi na zawodowców. Kiedy masz robotę do wykonania, emocje ci w tym nie pomagają. Chyba jesteście już kwita?

- Tak, gdyby mu się udało, mieszkałbym teraz w okręgu Westchester i robił codziennie to samo... Cholera! - Jack potrząsnął głową. - Ten dupek dalej mnie wkurza!

Właśnie wtedy Muller wyszedł z pokoju. Przez chwilę się porozglądał, zauważył Jacka i skierował kroki ku niemu.

- Nie odchodź - poprosił Jack przyjaciela.

- O mało nie zabiłeś mojego dziecka! - Nastrój teścia nie poprawił się zbyt wiele.

Jack nie odpowiedział. Setki razy sobie to mówił, ale dopiero teraz zaczynało do niego



docierać, że i on otarł się o śmierć.

- Nie ma pan racji, panie Muller - odezwał się Robby.

- A pan coś za jeden!?

- Przyjaciel - odparł Robby. Był mniej więcej równy wzrostem Mullerowi, ale o dwadzieścia lat młodszy od niego. Spojrzenie, jakim obdarzył bankiera, nie pozostawiało co do tego wątpliwości. Głos rozsądku nie lubił, żeby na niego wrzeszczeć. Joe Muller miał talent do irytowania ludzi. Na Wall Street to jeszcze uchodziło, co pozwoliło mu uważać, że wszędzie może się w ten sposób zachowywać. Był człowiekiem, który jeszcze nie sprawdził gdzie kończy się jego władza.

- Co się stało to się nie odstanie - odezwał się Jack. - Ale możemy się postarać, by nigdy więcej do tego nie doszło.

- Gdybyś zrobił tak jak ja chciałem, to nigdy by do tego nie doszło!

- Gdybym zrobił to, co chciałeś, to dziś pracowałbym co dzień dla ciebie, przepisując liczby z kolumny A do B i udawał, że to ważne, tak jak te wszystkie sępy z Wall Street, nienawidził tej roboty i zamieniał się powoli w nędznego sukinsyna w zaczarowanym świecie finansjery. Dowiodłem, że jestem w te klocki tak dobry jak i ty, ale miałem tego dość i teraz robię coś, co lubię. Przynajmniej próbuję zrobić z tego świata lepsze miejsce do życia zamiast próbować go wykupić przy pomocy szwindli. To nie moja wina, że nie możesz tego zrozumieć. Cathy i ja robimy to, co chcemy robić.

- To co ty lubisz! - zachnął się Muller, odrzucając z góry pomysł, że zarabianie pieniędzy może dla kogoś nie być ulubioną czynnością. - Ulepszasz świat, co?

- Tak, bo teraz pomogę złapać tych drani, którzy to zrobili.

- A co z tym może mieć wspólnego jakiś zakichany nauczyciel historii?

Ryan wydobył z zapasów na czarną godzinę najbardziej czarujący uśmiech, na jaki go było stać i obdarzył nim teścia.

- Tego ci nie mogę powiedzieć, Joe.

Makler odszedł, klnąc pod nosem. To by było na tyle, jeżeli chodzi o pojednanie, pomyślał Jack. Chciał, żeby było inaczej. Wojna pomiędzy nimi źle wpływała na Cathy.

- Wracasz do Agencji, Jack? - zapytał Robby.

- Tak.

Ryan spędził z żoną dwadzieścia minut, w ciągu których dowiedział się od niej wszystkiego, co powiedziała policji i upewnił się, że naprawdę czuła się lepiej. Kiedy wychodził, zapadała właśnie w drzemkę. Potem przeszedł przez ulicę, do Centrum Urazowo-Szokowego.

Przebieranie się w fartuch przypomniało mu, że poprzedni raz robił to w noc, gdy urodziła się Sally. Pielęgniarka zaprowadziła go na OIOM, gdzie zobaczył swoją córeczkę po raz pierwszy od trzydziestu sześciu godzin. Zaledwie półtorej doby, ale dla Ryana to było jak wieczność. To było bardzo przykre przeżycie. Gdyby go nie zapewnili, że najgorsze już minęło, załamałby się na jej widok. Mała, posiniaczona dziewczynka była nieprzytomna za sprawą ran i leków, które je leczyły. Patrzył i słuchał jak oddycha za nią respirator. Karmili ją kroplówką. Lekarz wyjaśnił mi, że wygląda to dużo gorzej niż w rzeczywistości jest. Wątroba Sally działała dobrze, biorąc pod uwagę rozmiar uszkodzeń. Za dwa, trzy dni będzie się można zająć nastawianiem połamanych nóg.

- Czy będzie niepełnosprawna? - zapytał cicho Jack.

- Nie, to jej raczej nie grozi. Te dziecięce kości, wie pan, mamy takie powiedzenie, że jeżeli kawałki są w tym samym pokoju, to się zrosną. To wygląda dużo gorzej niż jest naprawdę. W takich przypadkach wszystko sprowadza się do tego, żeby przeżyć pierwszą godzinę, no, tutaj to było ze dwadzieścia godzin. Jeżeli ranne dziecko przeżyje pierwszy kryzys, uda się przywrócić funkcje organizmu, to potem już szybko zdrowieje. Zabierze ją pan do domu za jakiś miesiąc. A za dwa

będzie biegać dookoła, jak gdyby nigdy nic. Brzmi to może niewiarygodnie, ale to prawda. Nikt tak nie zdrowieje, jak dzieciaki. Teraz jest bardzo chora, ale wszystko będzie w porządku. Byłem tu, kiedy ją przywieźli.

- Jak się pan nazywa?

- Rich Kinter. Operowaliśmy ją razem z Barrym Shapiro. Niewiele brakowało, Bóg świadkiem, że niewiele. Ale udało się. Zabierze ją pan do domu.

- Dziękuję panom. Nie wiem, jak się panom odwdzięczyć... -Jack plątał się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć ludziom, którzy ratowali życie jego córeczki.

Kinter potrząsnął głową.

- Proszę ją po prostu przyprowadzić kiedyś i będziemy kwita. Co parę miesięcy organizujemy spotkanie byłych pacjentów. Panie Ryan, nic nam nie sprawia takiej przyjemności jak widok naszych małych pacjentów wracających do nas na własnych nogach. Po to tu jesteśmy, człowieku, by dopilnować tego, żeby mogli do nas wrócić na kawałek ciasta i szklankę soku. Po prostu niech przyjdzie usiąść nam na kolanach, gdy już wyzdrowieje.

- Umowa stoi. - Ryan zastanawiał się, ilu ludzi przeżyło dzięki ludziom pracującym w tym pokoju. Ten chirurg mógłby na pewno zarobić krocie na prywatnej praktyce. Jack go jednak rozumiał, rozumiał dlaczego mimo to tkwił tutaj i wiedział, że jego teść by tego nie zrozumiał. Posiedział chwilę przy Sally, słuchając jak maszyna oddycha za nią przez plastikową rurkę. Przyglądająca mu się pielęgniarka uśmiechnęła się do niego pod maską. Na odchodnym pocałował Sally w jej posiniaczone czoło. Jack czuł się już lepiej, pod każdym niemal względem. Jedno tylko wciąż nie dawało mu spokoju: ludzie, którzy jej to zrobili.

- Miała inwalidzkie numery - zeznawała kasjerka z „7-Eleven” -ale ten facet, który ją prowadził nie wyglądał na kalekę.

- A pamięta pani jak wyglądał? - przesłuchanie świadka prowadzili agent specjalny Nick Capitano i sierżant z policji stanu Maryland.

- Tak, był tak czarny jak ja. Wysoki facet. Nosił okulary przeciwsłoneczne, lustrzanki. Miał też brodę. Zawsze był z nim w tej furgonetce przynajmniej jeszcze jeden gość, ale nie miałam mu się okazji przyjrzeć. Mogę tylko powiedzieć, że też był czarny.

- Jak był ubrany?

- Zdaje się, że nosił dzinsy i brązową skórę. Wie pan, taką jak robotnicy budowlani.

- Obuwie?

- Nie zwróciłam uwagi - po chwili namysłu odpowiedziała kasjerka.

- A może jakaś biżuteria, koszulka z nadrukiem, cokolwiek charakterystycznego?

- Nie, nic co bym zapamiętała.

- Co on tu robił?

- Zawsze kupował skrzynkę Coca-Coli. Raz czy dwa kupił też baloniki, ale colę brał zawsze.

- A jak mówił? Zauważyła pani coś niezwykłego? Kasjerka pokręciła głową.

- Nie, normalny facet i tyle.

- Czy myśli pani, że byłaby go w stanie rozpoznać, gdyby znowu się tu pojawił? - zapytał Capitano.

- Może, chociaż wie pan, tu przychodzi masa ludzi, część stałych klientów, mnóstwo obcych.

- Czy byłaby pani uprzejma rzucić okiem na parę zdjęć? - kontynuował agent.

- Proszę to załatwić z moim szefem. Chodzi mi o to, że ja nie chcę stracić tej pracy, ale jeżeli mówicie, że ten łobuz chciał zamordować dziewczynkę, to pewnie że pomogę.

- Załatwimy to z pani szefem - zapewnił ją sierżant. - Nie straci pani dniówki.

- Rękawiczki - powiedziała, podnosząc na nich wzrok. - Teraz mi się przypomniało. Nosił robocze rękawice. Chyba skórzane.

Obaj zapisali to w notesach.

- Dziękujemy pani. Zadzwoimy do pani dziś wieczorem. A jutro rano przyjedzie po panią samochód, żeby mogła pani przejrzeć trochę zdjęć - powiedział Capitano.

- Przyjadą? Po mnie?

- Pewne jak w banku. - W tym dochodzeniu nikt nie narzekał na braki kadrowe. Agent który ją wyszukał dzisiaj, jutro odwiezie ją do Waszyngtonu. Obaj mężczyźni wyszli. Sierżant poprowadził nieoznakowany radiowóz.

Capitano przeglądał zapiski. Nieźle, jak na pierwsze przesłuchanie. On, sierżant i jeszcze piętnastu ludzi przesłuchiwało dziś przez cały dzień ludzi z barów i sklepów wzdłuż Ritchie Highway. Czterem osobom wydawało się, że widziały furgonetkę, ale to była pierwsza, której udało się zobaczyć kogoś z jej pasażerów na tyle blisko, że mogła go opisać. Nie było to dużo, ale zawsze jakiś punkt zaczepienia. Zidentyfikowali już strzelca. Cathy Ryan rozpoznała twarz Seana Millera. To znaczy, zdawało jej się, że rozpoznała, poprawił się agent. Jeżeli był to Miller, to teraz nosił ciemnobrązową, niemal czarną, równo przyciętą brodę. Rysownik zajmie się uaktualnieniem portretu pamięciowego.

Dwudziestu innych agentów i detektywów spędziło dzień w trzech portach lotniczych w okolicy, pokazując zdjęcia kasjerom i bileterom. Guzik z tego wyszło, ale wtedy nie mieli jeszcze nowego rysopisu Millera. Jutro znowu spróbują. Komputer sprawdzał listy pasażerów lotów do Irlandii i lotów krajowych na lotniska międzynarodowe. Capitano cieszył się, że ta robota mu nie przypadła. Zajmie to tygodnie, a z każdą godziną szansę na rozpoznanie Millera przez pracowników lotniska malały.

Już wczoraj komputer FBI zidentyfikował furgonetkę. Skradziono ją miesiąc wcześniej w Nowym Jorku, potem fachowo, co się rzucało w oczy, przemalowano i zaopatrzone w nowe tablice. I to kilka zestawów, bo tablice pozostawione na furgonetce zostały skradzione zaledwie dwa dni przed zamachem z wozu domu opieki w Hagerstown w stanie Maryland, ponad dwieście kilometrów stąd. Wszystko w tym zamachu mówiło, że była to od początku do końca profesjonalna robota. Zmiana samochodu w centrum handlowym była efektowną pouentą znakomicie zaplanowanej i wykonanej operacji. Capitano i sierżant powstrzymywali swoje zachwyty, ale musieli obiektywnie uznać klasę ludzi, których ścigali. To nie były pospolite oprychy. To byli zawodowcy w całej perwersyjnej krasie tego słowa.

- Myślisz, że sami ukradli tę furgonetkę? - zapytał Capitano. Detektyw policji stanowej odchrząknął.

- Jest taka banda w Pensylwanii, która kradnie furgonetki na całym północnym wschodzie, przemalowuje, przerabia wnętrza i sprzedaje. Szukacie ich, pamiętasz?

- Coś słyszałem o tym dochodzeniu, ale to nie moja działka. Osobiście myślę, że sami to zrobili. Po co mieliby ryzykować kontaktując się z kimś?

- No, tak - niechętnie przyznał sierżant. Furgonetkę zbadali eksperci stanowi i federalni. Nie znaleziono ani jednego odcisku palca. Wóz był dokładnie wyczyszczony, włącznie z uchwytem korbek do opuszczania szyb. Technicy nie znaleźli nic, co mogłoby naprowadzić na jakiś ślad. W Waszyngtonie analizowano teraz odrobiny kurzu i włókna tkanin zebrane odkurzaczem wewnątrz furgonetki, ale to dawało dobre rezultaty tylko w telewizji. Jeżeli ci ludzie byli na tyle cwani, żeby aż tak wyczyścić furgonetkę, to na pewno wpadli na to, żeby spalić ubrania noszone w czasie zamachu. Tak czy inaczej, sprawdzić trzeba było wszystko, bo nawet najbardziej przezornym ludziom zdarzają

się błędy.

- Miałeś jakieś informacje z balistyki? - zapytał policjant, skręcając w Rowe Boulevard.

- Wyniki powinny na nas czekać. - Znaleziono prawie dwadzieścia łusek po nabojach kalibru 9 mm, dwa dające się zidentyfikować pociski z Porsche i jeszcze jeden, który przeszedł przez pierś posterunkowego Fontany i utkwiał w oparciu fotela jego rozbitego samochodu. Zawieziono je bezpośrednio do laboratorium FBI w Waszyngtonie. Eksperci potwierdzają, że użyto pistoletu maszynowego, co i tak już wiedzieli, ale może uda się dokonać identyfikacji grupowej, a więc typu broni. Łuski były belgijskie, produkcji Fabrique Nationale. Nawet jeżeli znalazby numer serii, to FN robiła ich miliony rocznie, wysyłano je i przepakowywano tyle razy po całym świecie, że była to bardzo wątpliwa poszlaka.

Często zresztą całe partie po prostu znikają po drodze, głównie za sprawą bezmyślnej, czy jak kto woli przemyślnej, księgowości.

- Ile murzyńskich grup utrzymuje według waszych informacji kontakty z ULA?

- Nic nam o tym nie wiadomo - odpowiedział Capltano. - Trzeba się dopiero tym zająć.

- Cudownie.

Ryan zastał pod domem dwa radiowozy, jeden nieoznakowany, drugi policji stanowej, w pełnej krasie oznaczeń. FBI przesłuchiwało Jacka bardzo krótko. Niewiele czasu zajęło ustalenie, że właściwie niczego mu na temat zamachu na jego rodzinę i na niego nie wiadomo.

- Czy wiecie gdzie oni teraz są?

- Sprawdzamy lotniska - odpowiedział agent. - Ale jeżeli ci goście są tak dobrzy, na jakich wyglądają, to dawno już ich tu nie ma.

- Fakt, sprytu nie można im odmówić - Ryan zauważył kwaśno.

- A co z tym aresztowanym?

- Bardzo dobrze mu idzie naśladowanie małża. A teraz ma jeszcze oczywiście papugę, który każe mu trzymać głowę na kłódkę. Co do tego można na nich polegać.

- Skąd ma adwokata?

- Przydzielony został przez sąd z urzędu. Takie są przepisy. Jeżeli podejrzanego się aresztuje, ma prawo do adwokata. Ale to chyba bez znaczenia. Do niego pewnie też się nie odzywa. Na razie jest oskarżony o nielegalne posiadanie broni i złamanie federalnego prawa imigracyjnego. Jak tylko skończymy papierkową robotę, wyślemy go do Anglii. Za jakieś dwa tygodnie, chyba że sędzia będzie miał coś przeciw. - Agent zamknął notes. - Zresztą diabli wiedzą, może zacznie śpiewać? Ale tego nie można przewidzieć. Angole mówią, że nie jest zbyt bystry. To taki irlandzki zakapior, dobrze włada bronią, ale po rozum miał pod górkę.

- Jeżeli to debil, to jak...

- To jak to możliwe, że jest tak dobry? A ileż trzeba intelektu do tego, żeby kogoś zabić? Clark to osobowość socjopatyczna. On bardzo niewiele czuje. Niektórzy ludzie tacy są. Nie odnoszą się do bliźnich jak do ludzi. Widzą w nich tylko cele, a skoro to tylko cele, nie obchodzi ich co się z nimi dzieje. Kiedyś poznałem cyngla, który sprzątnął czterech ludzi, to znaczy o czterech wiedzieliśmy na pewno, nawet nie mrugnawszy okiem, ale płakał jak dziecko, gdy powiedziałem mu, że jego kot zdechł. Tacy ludzie nawet nie rozumieją, dlaczego trafiają do pudła. Oni naprawdę tego nie rozumieją

- zakończył. - To są straszni ludzie.

- Nie - odparł Ryan. - Naprawdę straszni są ci myślący, ci którzy wierzą w to. co robią.

- Jeszcze takich nie spotkałem - przyznał agent.

- A ja tak. - Jack odprowadził go do drzwi i śledził jego odjazd. Dom bez biegającej wokół

Sally, bez włączonego telewizora, bez

Cathy plotkującej o jej przyjaciółkach z Hopkinsa, był teraz pustym, cichym miejscem. Przez kilka minut Jack kręcił się po nim bez celu, jakby oczekiwał, że kogoś zaraz spotka. Nie chciał usiąść, gdyż w ten sposób przyznałby się do całkowitej samotności. Poszedł do kuchni i zaczął mieszać drinka, ale zanim skończył, wylał zawartość szklaneczki do zlewu. Nie chciał się zalać. Lepiej zachować trzeźwość umysłu. W końcu podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Tak? - odezwał się głos w słuchawce.

- Admirale, tu Jack Ryan.

- Słyszałem, że twoja córka się wylize - powiedział admirał James Greer. - Cieszę się, że cię słyszę, synu.

- Dziękuję, sir. Czy Agencja bierze udział w dochodzeniu?

- Jack, to nie jest bezpieczna linia - odpowiedział admirał.

- Chcę się w to włączyć.

- Przyjdź jutro rano.

Ryan odłożył słuchawkę i poszukał teczek. Otworzył ją i wyjął Browninga. Położył go na stole kuchennym, a potem położył obok śrutówkę i przybory do czyszczenia. Następną godzinę spędził czyszcząc i oliwiąc najpierw pistolet, a potem strzelbę. Kiedy skończył, załadował jedno i drugie.

Wyjechał do Langley nazajutrz o piątej rano. Udało mu się przespać cztery godziny, zanim wstał i uczynił zadość porannemu rytuałowi śniadania i kawy. Wcześniejszy wyjazd zaoszczędził mu przebijania się przez korki, chociaż George Washington Parkway nigdy nie była wolna od samochodów urzędników państwowych śpieszących do stale działających agencji urzędowych. Po dotarciu do budynku centrali CIA zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się tu nie zostać admirała Greera. Przynajmniej na tym jednym mógł na tym świecie polegać, pomyślał. Ochroniarz zaprowadził go na siódme piętro.

- Dzień dobry, sir - powiedział Jack, wchodząc do gabinetu.

- Wyglądasz lepiej, niż się spodziewałem - zauważył admirał.

- To w dużej mierze tylko iluzja, ale i tak chowając się w kącie pod miotłą nie rozwiązałem swoich problemów. Czy może mi pan powiedzieć, co się szykuje?

- Twoi irlandzcy przyjaciele ściągnęli na siebie duże zainteresowania. Sam prezydent chce, żeby coś z tym zrobić. Nigdy dotąd międzynarodowi terroryści nie urządzali sobie u nas safari, a w każdym razie, nigdy dotąd nie pisały o tym gazety - tajemniczo dodał Greer. - To teraz sprawa o największym priorytecie. Dostaliśmy na nią kupę środków.

- Chcę wejść do gry - powiedział Ryan, nie owijając w bawełnę.

- Jeżeli uważasz, że możesz wziąć udział w operacji...

- Tu mógłbym się bardziej przydać, panie admirale.

- Miło to słyszeć, synu. - Greer uśmiechnął się. - Wiedziałem, że jesteś bystry. No więc, co byś chciał dla nas zrobić?

- Obaj wiemy, że ci dranie są tylko częścią organizacji. Informacje do których miałem dostęp były bardzo ograniczone. Pewnie będziecie chcieli zebrać dane o wszystkich grupach terrorystycznych i poszukać powiązań z ULA. Może w tym mógłbym pomóc.

- A co z twoją belferką?

- Mogę to robić w wolnym czasie. W tej chwili nic mnie nie trzyma w domu, sir.

- To nie jest dobra praktyka, żeby dopuszczać do dochodzenia ludzi osobiście zainteresowanych sprawą - wytknął Greer.

- Tu nie FBI, sir. Ja ich nie będę szukał w terenie. Właśnie mi pan to powiedział. Wiem, że

chciał mnie pan ściągnąć do CIA na stałe, panie admirałe. Jeżeli naprawdę mnie pan chce, to proszę mi dać na początek coś, na czym zależy nam obu. - Jack przerwał, szukając kolejnego argumentu. - Jeżeli się do tego nadaję, to bierzmy się do roboty.

- Niektórym się to nie spodoba.

- To co mi się ostatnio przydarzyło, także mi się nie podoba, sir, ale muszę z tym żyć. Gdybym nie mógł im się jakoś odpłacić, to mógłbym równie dobrze zostać w domu. To jest jedyne miejsce, gdzie mogę robić coś dla obrony mojej rodziny, sir.

Greer odwrócił się, by uzupełnić filiżankę kawy z ekspresu, który stał za jego biurkiem. Jack spodobał mu się niemal od pierwszego wejrzenia. Ten młody człowiek przywykł chodzić własnymi ścieżkami, ale nie był arogancki. To działało na jego korzyść, Ryan wiedział czego chciał, ale nie napierał. Nie powodowała nim ambicja, znowu punkt dla niego. I wreszcie, miał wielki samorodny talent, który można było ukształtować, wyćwiczyć i pokierować. Greer zawsze szukał ludzi utalentowanych. Admirał obrócił się w fotel.

- Dobra, jesteś w zespole. Koordynacją informacji zajmuje się Marty. Będziesz pracował bezpośrednio z nim. Mam nadzieję, że nie gadasz przez sen, synu, bo dowiesz się rzeczy, o których nawet śnić ci nie było dotąd wolno.

- W tej chwili śnię tylko o jednym, sir.

To był bardzo pracowity miesiąc dla Dennisa Cooleya. Śmierć pewnego lorda ze Wschodniej Anglii zmusiła jego spadkobierców do spieniężenia wielkiej kolekcji książek zmarłego na pokrycie kosztów pogrzebu, a Cooley zużył niemal cały dostępny mu kapitał na zakup aż dwudziestu jeden eksponatów. Ale było warto, było między nimi unikatowe pierwsze wydanie dzieł zebranych Marlowe'a. Co więcej, świętej pamięci lord dbał bardzo o zabezpieczenie swoich skarbów. Książki przeszły kilkakrotne zamrożenie, które zabiło owady bezczeszczące te bezcenne zabytki przeszłości. Marlowe był w znakomitym stanie, jeśli nie liczyć zalanej wodą okładki, która odstraszyła kilku mniej dociekliwych konkurentów. Cooley pochylił się nad biurkiem, czytając „Żyda z Malty”, kiedy zabrzmiał dzwonek,

- Czy to ta, o której słyszałem? - zapytał od razu klient.

- Owszem. - Cooley uśmiechem pokrył zdziwienie. Ten akurat klient nie zaglądał do niego już od dłuższego czasu i bynajmniej nie cieszył się, że znów go widzi. - Wydana w 1633 roku, czterdzieści lat po śmierci Marlowe'a. Niektóre części tekstów są oczywiście podejrzane, ale to jeden z bardzo nielicznych egzemplarzy pierwszego wydania.

- Czy to na pewno oryginał?

- Oczywiście - odparł Cooley, nieco dotknięty pytaniem.

-i poza moją niefachową opinią, potwierdza to ekspertyza Sir Edmunda Greya z British Museum.

- Nie sposób z nią dyskutować - zgodził się klient.

- Niestety, jeszcze jej nie wyceniłem. - Myślał gorączkowo, co też mogło go tu sprowadzić.

- Cena nie gra roli. Domyślałam się, że chciałby ją pan zachować dla siebie, ale ja ją muszę mieć.

- To wyjaśniło Cooley'owi przyczynę wizyty. Pochylił się, by spojrzeć znad ramienia Cooleya na książkę. - Wspaniała - powiedział, wkładając ukradkiem małą kopertę do kieszeni antykwariusza.

- No, zastanowię się - obiecał Cooley. - Może za parę tygodni? - Wyjrzał za okno. Jakiś mężczyzna oglądał wystawę sklepu jubilerskiego po drugiej stronie pasażu. Po chwili wyprostował się i poszedł dalej.

- A nie da się wcześniej? Proszę - nalegał klient. Cooley westchnął.

- Proszę przyjść w następnym tygodniu, wtedy będziemy się mogli nad tym zastanowić. Wie pan,

inni klienci też o nią pytają.

- Ale mam nadzieję, że żaden z nich nie jest ode mnie ważniejszy? Cooley dwukrotnie mrugnął.

- W porządku.

Geoffrey Watkins pokręcił się jeszcze przez parę minut po sklepie. Wybrał sobie Keatsa, także z kolekcji zmarłego lorda i zapłacił za niego 600 funtów, po czym wyszedł. Wychodząc, zauważył młodą kobietę przy kiosku z gazetami i nie mógł wiedzieć, że druga czekała na niego z przeciwnej strony pasażu. Ta, która za nim poszła ubrana była w sposób rzucający się w oczy, nawet jej włosy ufarbowane były na kolor tak intensywnie pomarańczowy, że pewnie fosforyzowałyby, gdyby świeciło słońce. Szła za nim na zachód dwie przecznice i poszła dalej, gdy przeszedł przez ulicę. Tam przejął go inny tajniak, spacerujący wzdłuż Green Park.

Wieczorem raporty z inwigilacji trafiły do Scotland Yardu, gdzie jak zwykle wprowadzono je do komputera. Była to połączona operacja Yardu i Służby Bezpieczeństwa, niegdyś znanej jako MI-5. W odróżnieniu od FBI, ludzie z Piątki nie mieli prawa aresztować podejrzanych i musieli współpracować z policją, by zakończyć sprawę. Nie było to zbyt szczęśliwe małżeństwo. Zmuszało Jamesa Owensa do bliskiej współpracy z Davidem Ashleyem. Owens w całej rozciągłości potwierdzał osąd jego osoby wyrażony przez Murraya słowami „nadęty palant”.

- Schematy, schematy, schematy - powtarzał Ashley, popijając herbatę i przeglądając wydruk komputerowy. Wyselekcjonowali 39 osób, które miały dostęp lub mogły mieć dostęp do informacji związanych z zamachem w Londynie i transportem Millera na wyspę Wight. Któraś z nich spowodowała przeciek. Wszyscy byli teraz inwigilowani. Jak na razie akcja doprowadziła do odkrycia skłonności homoseksualnych jednej z tych osób, dwóch mężczyzn i kobiety, którzy mieli romanse pozamałżeńskie, jednego namiętnego miłośnika pornokin w Soho. Akta finansowe z policji skarbowej nie wykazały nic nadzwyczajnego, podobnie obserwacja stylu życia. Mieli zwyczajne zainteresowania, gust w doborze sztuk teatralnych i programów telewizyjnych. Niektórzy z nich utrzymywali bardzo szerokie kontakty. Inni w ogóle ich nie mieli. Tym smutnym, samotnym ludziom policjanci byli szczególnie wdzięczni, gdyż w innym przypadku należało sprawdzać także przyjaciół, co wymagało wiele trudu i czasu. Owens uważał całą operację za niezbędną, choć napawała go trochę niesmakiem. To był taki policyjny odpowiednik podglądania przez okno. Nagrania rozmów telefonicznych, zwłaszcza między kochankami, sprawiały że uszy płonęły mu ze wstydu.

Owens szanował ludzką potrzebę prywatności, a takiego przeświadczenia prywatność żadnej z tych osób by nie przeżyła. Zwłaszcza jednej z tych osób, a o to w końcu chodziło, pocieszał się.

- Widzę, że pan Watkins odwiedził dziś po południu antykwariat - odezwał się Owens znad własnego wydruku.

- Tak, zbiera stare książki. Zresztą ja też - powiedział Ashley. - Byłem w tym antykwariacie raz, czy dwa razy. Ostatnio była wyprzedaż dużej kolekcji. Może Cooley kupił coś, na czym zależało Geoffrey'owi? - Tajniak zanotował to w pamięci, by samemu sprawdzić. - Był tam dziesięć minut, rozmawiał z Dennisem...

- Pan go zna? - Owens spojrzał na niego.

- To jeden z najlepszych ludzi w branży - odparł Ashley. - Kupiłem tam żonie na gwiazdkę książkę sióstr Bronte jakieś dwa lata temu. To taki mały, tłusty pedzio, ale zna się na rzeczy. No więc, Geoffrey rozmawiał z nim przez dziesięć minut, dokonał zakupu i wyszedł. Ciekawe co kupił? - Ashley potarł oczy. Już nie pamiętał odkąd pracował po czternaście godzin na dobę.

- To pierwsza nowa osoba, z którą Watkins zetknął się od kilku tygodni - zauważył Owens. Pomyślał o tym tylko przez chwilę. Były lepsze punkty zaczepienia, a on miał za mało ludzi.

- Czy możemy więc dogadać się w sprawie tego naruszenia przepisów imigracyjnych? - zapytał

obrońca z urzędu.

- Mowy nie ma - odpowiedział Bill Shaw z drugiego końca stołu. Może jeszcze mają udzielić Clarkowi azylu politycznego, co?

- Nie oferuje pan żadnych ustępstw - poskarżył się prawnik. -Założę się, że udałoby mi się obalić zarzut o nielegalne posiadanie broni i wtedy cała pańska bajeczka o spisku weźmie w łeb.

- W porządku, mecenasie. Jeżeli to pana zadowoli, to go wypuścimy, kupimy mu bilet na samolot i nawet dodamy eskortę do domu.

- Prosto do ciężkiego więzienia, tak? - obrońca zamknął teczkę z aktami sprawy Eamona Clarka. - Pan mi w ogóle nie zostawia pola do manewru.

- Jeżeli przyzna się do nielegalnego posiadania broni i udziału w spisku, i będzie nam pomagał, to przynajmniej parę lat odsiedzi w dużo przyjemniejszym więzieniu. Ale jeżeli myśli pan, że tak po prostu wypuścimy stąd skazanego za morderstwo uciekiniera z więzienia, to chyba sobie pan ze mnie żartuje. Gdzie pan tu chce znaleźć sobie możliwość jakiegokolwiek manewru?

- Mógłby się pan zdziwić - tajemniczo odparł mecenas.

- Tak? Założę się, że panu też nic nie powiedział - agent rzucił młodemu adwokatowi wyzwanie i bacznie wyglądał jego reakcji. Bili Shaw także zdał egzamin aplikacyjny, ale swoją wiedzę prawniczą wykorzystywał do obrony społeczeństwa, a nie wolności kryminalistów.

- Treść rozmów między obrońcą a jego klientem otoczona jest tajemnicą zawodową - obrońca prowadził praktykę od dwóch i pół roku. Uważał, że sensem jego pracy jest trzymanie policji na dystans od swoich klientów. Z początku zadowolony był z tego, że Clark nic nie powiedział policji i FBI, ale niemile zaskoczyło go to, że powściągliwość rozciąga się także na niego. W końcu gdyby coś mu powiedział, to może mogliby pójść na ugodę mimo tego, co mówił ten facet z FBI. A w tej sytuacji, jak mówił Shaw, nie miał nic do zaproponowania. Chwilę czekał na reakcję agenta, ale ten tylko obojętnie mu się przyglądał. Adwokat przyznał się przed samym sobą do porażki. No cóż, w tej sprawie i tak miał niewielkie szanse na ugodę.

- Tak też myślałem. - Shaw wstał. - Proszę powiedzieć swojemu klientowi, że jeżeli w ciągu dwóch dni nie zacznie mówić, to wróci do domu odsiedzieć resztę swojego dożywocia. Proszę mu to koniecznie powiedzieć. A jeżeli tam zdecyduje się mówić, to wyślemy do niego ludzi. Mówią, że mają tam niezłe piwo. - Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby polecieć i sprawdzić osobiście, dodał w myśli.

Jedyne, czym Biuro mogło złamać Clarka był strach. Operacja, w której wziął udział boleśnie ugodziła w PIRA i powitanie, jakie na niego czekało w domu mogło się młodemu, głupiemu Nedowi niezbyt spodobać. W amerykańskim więzieniu byłby bezpieczniejszy niż w brytyjskim, ale Shaw wątpił, czy Ned był na tyle rozgarnięty, by zrozumieć, że i tak pęknie. Może po powrocie coś się da zorganizować.

Dochodzenie nie było zbyt łatwe, zresztą wcale tego nie oczekiwał. To była sprawa z tych, które albo rozwiązują się same od razu, albo trzeba czekać na rozwiązanie miesiącami i latami. Ludzie, których ścigali byli zbyt sprytni, by zostawić ślad pozwalający na szybkie rozwiązanie sprawy. On i jego ludzie musieli nastawić się na mozolną, długą harówkę. Ale w końcu była to podręcznikowa definicja policyjnego dochodzenia. Shaw dobrze o tym wiedział, gdyż był autorem jednego z podstawowych podręczników dla oficerów śledczych.



progu, chłonąc aromat.

- Czy jest dziś pan Cooley? - zapytał sprzedawczynię.

- Nie, proszę pana - odpowiedziała Beatrix. - Wyjechał w interesach za granicę. Czy mogę w czymś pomóc?

- Tak, słyszałem że macie jakieś nowe nabytki?

- A, tak. Słyszał pan też o tym pierwszym wydaniu Marlowe'a? Beatrix wyglądała naprawdę jak szara myszka. Jej włosy miały

nawet właściwy, szaro-bury odcień i były zaniedbane. Twarz miała napuchniętą, nie wiadomo, z nadmiaru picia, czy jedzenia. Oczy skrywały się za grubymi okularami. Ubierała się tak, że znakomicie pasowała do atmosfery antykwariatu, wszystko co nosiła było stare i niemodne. Ashley przypomniał sobie, że tu kupował książkę sióstr Bronte dla żony i zastanowił się, czy czasem te dwie smutne, samotne kobiety nie wyglądały właśnie tak. Szkoda. Przy niewielkim wysiłku mogłaby być naprawdę atrakcyjna.

- Marlowe? - zapytał szef piątki. - Pierwsze wydanie, powiada pani?

- Tak, proszę pana, z kolekcji świętej pamięci lorda Crundale. Jak pan wie, sztuki Marlowe'a wydrukowano dopiero w czterdzieści lat po jego śmierci - rozgadała się, ukazując coś, na co jej wygląd wcale nie wskazywał. Ashley słuchał z szacunkiem. Ta myszka знаła się na literaturze nie gorzej niż profesor (Mordu).

- Jak wy wyszukujecie takie rzeczy? - zapytał Ashley, gdy już skończyła wykład. Uśmiechnęła się.

- Pan Dennis je wyczuwa. On ciągle podróżuje, spotyka się z innymi antykwariuszami, prawnikami i kim tam jeszcze. Dzisiaj jest na przykład w Irlandii. To zadziwiające, jak dużo książek udaje mu się tam znaleźć. Ci straszni ludzie muszą mieć cudowne kolekcje. - Widać było, że Beatrix nie lubi Irlandczyków.

- Rzeczywiście - zgodził się Ashley. Nie zareagował na te wieści w żaden sposób. A w każdym razie nie dał po sobie poznać, bo w głowie nagle zapaliła mu się żaróweczka. - No cóż, to jedna z rzeczy, które wnieśli nasi przyjaciele zza wody, prócz kilku dobrych pisarzy i whiskey.

- I terrorystów - dorzuciła Beatrix. - Ja bym tam nie chciała tak dużo jeździć.

- Ja tam dość często jeżdżę na wakacje. Wspaniałe miejsce dla wędkarzy.

- Lord Mountbatten też tak myślał - dodała zgryźliwie sprzedawczyni.

- Jak często Dennis tam jeździ?

- Przynajmniej raz w miesiącu.

- Tak... A wracając do tego Marlowe'a, czy mogę go obejrzeć? - Ashley zadał to pytanie z entuzjazmem, który tylko w części musiał markować.

- Ależ oczywiście. - Dziewczyna zdjęła tom z półki i otworzyła go z wielką atencją. - Jak pan widzi, chociaż okładka jest w złym stanie, strony są zachowane idealnie.

Ashley przekartkował tomisko, wodząc oczami po otwieranych stronach. - Rzeczywiście, idealnie. Ile ona kosztuje?

- Pan Dennis na razie jeszcze nie wyznaczył ceny. Zdaje się, że jest jeszcze inny klient zainteresowany tą książką.

- Wie pani, kto to taki?

- Nie, sir, nie wiem, a zresztą i tak nie mogłabym panu powiedzieć. Szanujemy prawo naszych klientów do zachowania anonimowości - podkreśliła Beatrix.

- I tak trzymać. Tak powinno być - zgodził się Ashley. - To kiedy można się spodziewać pana Cooleya z powrotem? Chciałbym z nim porozmawiać osobiście.

- Wróci jutro po południu.
- A czy pani też tu będzie? - Ashley posłał jej czarujący uśmiech wraz z tym pytaniem.
- Nie, będę w mojej drugiej pracy.
- Szkoda. No cóż, dziękuję za pokazanie mi Marlowe'a. - Ashley skierował się ku drzwiom.
- Cała przyjemność po mojej stronie, sir.

Ashley wyszedł z pasażu i skręcił w prawo. Postanowił przespacerować się do Scotland Yardu, zamiast brać taksówkę. Ruszył wzdłuż St. James Street, skręcił w lewo obchodząc Pałac Buckingham od wschodu, potem Marlborough Road do Mallu. To było właśnie tu, myślał. Samochód ewakuacyjny tu skręcał, żeby oddalić się z miejsca zamachu. Zasadzka była zaledwie o 100 metrów na zachód stąd. Stał, patrząc przed siebie przez chwilę, przypominając sobie przebieg zdarzeń. Osobowość łapsów na całym świecie jest podobna. Nie wierzą w zbiegi okoliczności, choć wierzą w przypadek. Brak im krzty humoru, gdy chodzi o wykonywanie swojej pracy. To bierze się w nich z przeświadczenia, że zdradzić mogą tylko najbardziej zaufani, bo zanim zdradzą ojczyznę, najpierw muszą zdradzić swoich najbliższych współpracowników. Mimo zewnętrznej ogłady Ashley nienawidził zdrajców bardziej niż czegokolwiek na świecie, podejrzewał każdego i nikomu nie ufał.

Dziesięć minut później Ashley przeszedł przez wartownię Scotland Yardu i pojechał windą do biura Owensa.

- To Cooley - powiedział.

- Cooley? - Owensa zatkało na chwilę. - A, ten antykwariusz, którego wczoraj odwiedził Watkins. Byłeś u niego?

- Ładny, mały sklepik. A jego właściciel jest dzisiaj w Irlandii - spokojnie powiedział Ashley.

Owens w zamyśleniu pokiwał głową. To co było nieważne, teraz ze słowa na słowo stawało się priorytetem. Ashley wyjaśnił jak się sprawy mają w ciągu kilku minut. To nawet nie był konkretny ślad, ale sprawa wymagała bliższego przyjrzenia się. Żaden z nich nie mówił o tym, jak ważny może to być trop, bo było ich wiele i wszystkie zdawały się obiecujące, a w końcu prowadziły w ślepy zaułek. Wiele z tych ślepych uliczek było sprawdzanych równie skrupulatnie. Dochodzenie utkwilo w martwym punkcie. Ludzie nadal węszyli na ulicach, zbierając informacje w niczym nie popychające jednak sprawy naprzód. To był nowy ślad do zbadania i na razie nic więcej, ale tymczasem to wystarczało.

W Langley była jedenasta rano. Ryana nie zapraszano jeszcze na spotkanie, na których koordynowano informacje FBI i CIA. Marty Cantor wyjaśnił mu, że FBI może mieć coś przeciwko jego tam obecności. Jackowi było to nawet na rękę. Wystarczało mu, że i tak otrzyma po obiedzie zestawienie nowych informacji. Cantor chciał się zapoznać także z ocenami FBI i przemyśleniami prowadzących śledztwo. Ryan nie chciał ich poznawać. Wolał pracować nad gołymi danymi, jego świeże spojrzenie z zewnątrz sprawdzało się dobrze do tej pory, myślał więc, że pomoże mu i teraz.

Jak to nazwał Murray pod Old Bailey? „Cudowny świat międzynarodowego terroryzmu”? Nie był może cudowny, myślał Jack, ale był to rzeczywiście cały świat, ze wszystkim tym, co Grecy i Rzymianie uważali za atrybut świata cywilizowanego. Ślęczał właśnie nad danymi z rozpoznania satelitarne. Raport przewodni zawierał aż szesnaście map. Prócz dróg i miast w czterech krajach, zaznaczone na nich były czerwonymi trójkątami obozy, w których jak podejrzewano szkoleni byli terroryści. Niemal codziennie były one fotografowane przez satelity rozpoznawcze, krążące po orbicie wokół Ziemi. Do danych na temat ich liczby i rozmieszczenia jeszcze Jacka nie dopuszczano. Na razie skoncentrował się na obozach libijskich. Włoski agent widział Seana Millera schodzącego z frachtowca w Bengazi. Statek był bandery cypryjskiej, należał do holdingu spółek o bardzo skomplikowanej strukturze wewnętrznej, co zresztą nie miało znaczenia ponieważ i tak był on

wyczarterowany innemu, równie skomplikowanemu holdingowi. Amerykański niszczyiciel, który „przypadkowo” spotkał się z nim w Cieśninie Messyńskiej wykonał serię zdjęć statku. Frachtowiec był stary, ale zadziwiająco dobrze utrzymany, wyposażony w nowoczesne radary i sprzęt łączności. Regularnie pływał między portami Libii i Syrii, a krajami wschodniej Europy, przewożąc broń i sprzęt wojskowy dla państw basenu Morza Śródziemnego. Te dane zapisano też do dalszego użytku w innych sprawach. Ryan dowiedział się, że CIA i Narodowe Biuro Zwiadu bacznie przyglądały się wielu pustynnym obozom. Każdemu zdjęciu towarzyszył prosty wykres, które porównywał. Ryan szukał obozu, w którym ktoś przybył w dniu przyjazdu Millera do Bengazi. Ku swemu rozczarowaniu było ich aż cztery, w tym jeden, który przesłuchanie pojmanego specjalisty od bomb PIRA pozwoliło zidentyfikować jako bazę szkoleniową Tymczasowych. Reszta pozostała bezimienna. Ludzi w nich przebywających można było określić jako Europejczyków, gdyż na zdjęciach różnili się kolorem skóry od libijskiej załogi, ale tylko tyle. Jack był zawiedziony, że nie można było rozpoznać na tych zdjęciach twarzy, a tylko odcień skóry oraz przy pewnej dozie szczęścia i założeniu, że barwy nie są przekłamane, kolor włosów. Można było też rozpoznać marki pojazdów, ale już nie ich tablice rejestracyjne. Co dziwniejsze, ostrość nocnych zdjęć była dużo wyższa. W chłodniejszym nocnym powietrzu obraz nie załamywał się tak intensywnie, jak w spiekocie dnia. Zdjęcia w grubej teczce, którą się zajmował, przedstawiały obozy 11-5-04, 11-5-18 i 11-5-20. Nie wiedział, w jaki sposób przydzielano numery, zresztą nie interesowało go to. Obozy były niemal identyczne, różniły się jedynie rozmieszczeniem baraków.

Jack spędził niemal godzinę przeglądając zdjęcia. Doszedł do wniosku, że te cuda technologii dają mu mnóstwo technicznych informacji, które są mu zupełnie nieprzydatne. Niezależnie od tego, kto prowadził te obozy, wiedział przynajmniej tyle, żeby trzymać ludzi pod dachem, gdy przelatował satelita, z wyjątkiem tych,

o których wyposażeniu fotograficznym nie wiedział. Nawet jednak

i wtedy liczba osób widocznych na zdjęciach pozostawała niemal identyczna, więc dokładna liczebność załogi i gości obozów były domeną spekulacji. Szkoda.

Ryan odchylił się w krześle i zapalił nowego lekkiego papierosa, z paczki kupionej w kiosku piętro niżej. Nikotyna wraz z kawą powstrzymywały go od zaśnięcia. Znowu zabrnął w ślepą uliczkę. To zaczynało przypominać gry komputerowe „Zork” i „Ultima”, w które grywał czasami w domu, gdy zmęczył się pisaniem. Analiza dla potrzeb wywiadu miała w sobie coś ze strategicznych gier komputerowych. Trzeba było dojść do czegoś, ale dopóki się nie doszło, nie wiadomo było, do czego może prowadzić ślad i czy w ogóle gdzieś prowadzi. Rezultat mógł się różnić od tego, z czym zwykle się miało do czynienia bardzo, tylko trochę albo wcale.

Dwa z możliwych obozów przypisywanych ULA leżały w zasięgu 60 kilometrów od znanego obozu PIRA. To mniej niż godzina drogi, pomyślał Jack. Gdyby tylko wiedzieli... Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Tymczasowi wyrznęli ULA, na co zresztą mieli wyraźnie ochotę. Wiele wskazywało na to, że i Anglicy by nie narzekali. Jack zastanawiał się, co o tym myśli Owens i doszedł do wniosku, że chyba o tym nie wie. Zaskoczyło go to, że wie coś, o czym nie mają pojęcia tak doświadczeni gracze. Wrócił do zdjęć.

Na jednym z nich, wykonanym w tydzień po przyjeździe Millera do Bengazi, widać było samochód, wyglądający na Toyotę Land Cruiser, około kilometra od 11-5-18. Ryan zastanawiał się, gdzie też on jedzie. Zapisał datę i godzinę na dole odbitki i porównał z innymi. Po dziesięciu minutach znalazł ten sam samochód, następnego dnia, w obozie 11-5-09, obozie PIRA o 60 kilometrów od 11-5-18.

Przywołał się do porządku. Nie ma się czym podniecać, 11-5-18 mógł należeć do włoskich

Czarnych Brygad, niemieckiej Frakcji Czerwonej Armii albo innej pokrewnej PIRA organizacji. Znowu coś zanotował. To był ślad, wiadomość warta bliższego sprawdzenia.

Potem sprawdził wykres zasiedlenia obozu. Pokazywał on liczbę ogrzewanych nocą budynków i sięgał do dwóch lat wstecz. Porównał go z listą operacji ULA. Z początku nic mu to nie dało. Momenty wzmożenia aktywności obozu nie pokrywały się z datami operacji, ale zauważył pewną prawidłowość.

Mniej więcej co kwartał liczba ogrzewanych budynków wzrastała o jeden. Niezależnie od tego, ilu było obecnych, liczba używanych baraków rosła o jeden, zawsze na trzy dni. Ryan zaklął, gdy wkrótce odkrył, że i od tej zasady są wyjątki. Dwa razy w ciągu dwu lat wzrost nie nastąpił. Jakże to mogło mieć znaczenie?

- Trafiłeś w gąszcz pokręconych korytarzy i wszystkie są identyczne - wymamrotał do siebie. To był cytat z jednej z jego gier komputerowych. Talent do wyszukiwania schematów nie był widać jego najlepszą stroną. Wyszedł z pokoju po puszkę coli, ale bardziej chodziło mu o to, by się na chwilę oderwać od nurtującego go zagadnienia. Wrócił po pięciu minutach.

Wyciągnął wykresy obecności trzech bezimiennych obozów, by porównać poziom aktywności. Właściwie to przydałoby się je skserować, ale w CIA panowały bardzo ściśle przepisy regulujące kopiowanie dokumentów, a załatwianie formalności zajęłoby mu czas, którego potrzebował na co innego. Wykresy dwóch pozostałych były jednak zupełnie nieregularne. Porównanie zajęło mu godzinę. Po wykonaniu tej pracy znał już wszystkie trzy wykresy właściwie na pamięć. Musiał się od tego oderwać. Wetknął wykresy na swoje miejsce i wrócił do oglądania zdjęć.

W obozie 11-5-20 zauważył dziewczynę. A w każdym razie któraś z obecnych tam osób nosiła dwuczęściowy kostium kąpielowy. Jack przyglądał się zdjęciu przez chwilę, potem odwrócił się z niesmakiem. Zabawiał się w podglądacza, chcąc ocenić figurę kogoś, kto zapewne jest terrorystą. W obozach 04 i 18 takich atrakcji nie było. Zastanawiał się nad znaczeniem tego faktu, póki nie uprzytomnił sobie, że zdjęcia ludzi w świetle słonecznym pochodzą z jednego tylko satelity. Ryan zanotował sobie, żeby obejrzeć w bibliotece Akademii książkę o mechanice orbitalnej. Chciał się dowiedzieć, ile razy dziennie satelita mógł przelatywać nad danym miejscem.

- To cię do niczego nie doprowadzi - powiedział do siebie na głos.

- Ani nikogo innego - powiedział Marty Cantor. Ryan obrócił się na krześle.

- Dawno tu jesteś? - zapytał.

- Wiesz co Jack, ty jak się nad czymś skoncentrujesz, to cię można wynieść. Siedzę tu od pięciu minut - uśmiechnął się. - Lubię takie oddanie pracy, ale jeśli chcesz poznać moje zdanie, to trochę przeginasz, chłopie.

- Przeżyję to.

- To ty tak mówisz - Cantor powiedział z powątpiewaniem. - Jak ci się podobał nasz album ze zdjęciami?

- Ludzie, którzy to robią na cały etat, muszą dostawać kota.

- To się zdarza.

- Chyba znalazłem coś, nad czym warto się zastanowić. - Jack wyjaśnił swoje odkrycia na temat regularności zasiedlenia obozu 18.

- Nieźle, nieźle. Tak a propos, obóz 20 może należeć do francuskiej Action Directe. Francuski wywiad, DGSE, tak podejrzewa.

- A, to by wyjaśniło to zdjęcie - Ryan przerzucił kartki albumu.

- Dzięki Bogu, że Ruscy nie wiedzą do czego służy ten satelita - pokiwał głową Cantor. - Hmm, może nawet dałoby się ją zidentyfikować?

- Jak? - zapytał Jack. - Przecież tu nie ma twarzy.

- Ale można określić, z grubsza, długość włosów. No i wielkość cycków - Cantor uśmiechnął się szeroko.

- Co takiego?

- Faceci z interpretacji zdjęć są, hmmp bardzo ściśli. Żeby dać taki odblask na tym zdjęciu, dziewczyna musi mieć pełną trójkę, a przynajmniej tak mi kiedyś mówili. Ja nie żartuję, Jack. Ktoś kiedyś nawet opracowywał odpowiednie wzory, żeby to obliczyć. Z tych zdjęć można rozpoznać ludzi, określając długość i kolor włosów oraz rozmiar klatki piersiowej. W Action Directe jest mnóstwo kobiet. To się może okazać interesujące dla naszych francuskich kolegów. - Jeżeli oczywiście będą mieli ochotę na zrobienie interesu, tego już nie powiedział głośno.

- A co z osiemnastką?

- Nie wiem. Prawdę mówiąc, nigdy się nie przykładaliśmy do jego identyfikacji. Z tym, że ten samochód świadczyłby, że to jednak nie oni.

- Pamiętaj, że oni mają wtyki w PIRA.

- Ty ciągle o tym, co? No dobra, jest się nad czym zastanowić -zgodził się Cantor. - A co z tą regularnością zmian, o której mówiłeś?

- Na razie nie mam zielonego pojęcia - przyznał Jack.

- Rzućmy więc okiem na te wykresy. Jack wyciągnął je z dna teczki i rozłożył.

- Zwykle co trzy miesiące wzrasta liczba ludzi.

Cantor popatrzył przez chwilę na wykresy. Potem przekartkował album. Tylko na jednym ze zdjęć wykonanych wtedy za dnia było coś widać. Przy każdym obozie było coś, co wyglądało na strzelnicę. Na zdjęciu, które wyciągnął Cantor stało na niej trzech ludzi.

- Chyba coś znalazłeś, Jack.

- Cóż takiego? - Ryan popatrzył na zdjęcie, ale nie zauważył na nim nic nadzwyczajnego.

- Co charakteryzuje akcje ULA?

- Profesjonalizm - odparł Ryan.

- W tej swojej ostatniej analizie zwracałeś uwagę na to, że oni są zorganizowani w bardziej wojskowy sposób, niż inne tego typu organizacje, pamiętasz? Każdy z nich jest, na ile możemy stwierdzić, dobrym strzelcem.

- No i co z tego?

- Myślże, człowieku - ostro rzucił Cantor. Ryan obrócił ku niemu spojrzenie pozbawione wyrazu. - Może to okresowy trening?

- O cholera, o tym nie pomyślałem! Dlaczego nikt dotąd...

- Wiesz ile takich zdjęć przechodzi przez Agencję? Dokładnie sam nie wiem, ale mam podstawy twierdzić, że dużo, parę tysięcy tygodniowo. Wychodzi pięć minut na zdjęcie. A nas interesują w dodatku głównie Rosjanie, silosy raketowe, zakłady, ruchy wojsk, parki sprzętu i co tam jeszcze. To tymi zdjęciami zajmują się głównie analitycy, a i tak nie nadążają z obróbką tego, co wpływa. Wszystkim innym zajmują się tylko technicy - Cantor przerwał na chwilę. - Wygląda na to, że numer 18 zasługuje na próbę dokładnej identyfikacji. Nieźle.

- On złamał zasady bezpieczeństwa - powiedział Kevin O'Donnell zamiast powitania. Mówił na tyle cicho, że nikt w hałaśliwym wnętrzu pubu i tak by tego nie usłyszał.

- Może było warto? - odpowiedział Cooley. -Jakie są instrukcje?

- Kiedy wracasz?

- Lecę jutro, wcześniej rano.

O'Donnell skinął głową i skończył drinka. Wyszedł z pubu i poszedł prosto do samochodu.

Dwadzieścia minut później był z powrotem w domu. Dziesięć minut później siedział w gabinecie z szefami planowania operacyjnego i wywiadu.

- Sean, jak przebiegała współpraca z organizacją Alexa?

- Są tacy jak my, nieliczni, ale zawodowcy. Alex jest bardzo biegłym technikiem, ale jest arogancki. Nie przechodził zbyt sformalizowanego szkolenia. Jest sprytny, bardzo sprytny. I jest, jak tam mawiają, głodny. Bardzo chce się wybić.

- To dobrze, będzie miał szansę w lecie. - o'Donnell umilkł na chwilę, unosząc list dostarczony przez Cooleya. - Wygląda na to, że Jego Królewska Wysokość ma zamiar odwiedzić w lecie Amerykę. Wystawa klejnotów koronnych była takim sukcesem, że chcą ją powtórzyć. Prawie dziewięćdziesiąt procent zachowanych prac Leonarda da Vinci należy do rodziny królewskiej, więc wyślą je tam, by zbierać pieniądze na jakieś cele dobroczynne. Otwarcie wystawy planowane jest w Waszyngtonie na 1 sierpnia i ma je uświetnić swą obecnością księżę Walii. Ogłoszą to dopiero w lipcu, ale tu jest plan podróży i środków bezpieczeństwa. Na razie nie wiadomo, czy księciu towarzyszyć będzie małżonka, ale należy zakładać, że tak.

- Dzieci? - zapytał Miller.

- Obawiam się, że raczej nie, ale i to należy brać pod uwagę -podał list Josephowi McKenney'owi. Szef wywiadu ULA przeleciał oczyma tekst.

- Środki bezpieczeństwa na oficjalnych uroczystościach będą bardzo zaostrzone. Amerykanie mieli już kilka wpadek i dużo się z każdej z nich nauczyli -powiedział. Jak wszyscy oficerowie wywiadu uważał, że potencjalny przeciwnik będzie miał przytłaczającą przewagę. - Ale jeżeli to wypali...

- Tak - powiedział o'Donnell. - Chcę, żebyście razem nad tym popracowali. Mamy mnóstwo czasu, więc postarajmy się go wykorzystać w całości - odebrał list, przeczytał go powtórnie, po czym oddał Millerowi. Kiedy wyszli, napisał instrukcję dla agenta w Londynie.

Nazajutrz rano na lotnisku Cooley odszukał swego łącznika i poszedł do bufetu. Jako doświadczony podróżnik przybył na lotnisko na tyle wcześnie, by jeszcze zdążyć napić się kawy, zanim zapowiedziano jego lot. Po skończeniu wyszedł na zewnątrz, mijając się w drzwiach z właśnie wchodzącym łącznikiem. Dwaj mężczyźni otarli się o siebie w wejściu: wiadomość została niepostrzeżenie przekazana w sposób, którego uczą w każdej szkole szpiegów na całym świecie.

- Dużo podróżuje - zauważył Ashley. Odszukanie agencji podróży, z której korzystał Cooley i sprawdzenie jego podróży z okresu ostatnich trzech lat zajęło detektywom Owensa mniej niż godzinę. Dwóch innych zajęło się jego życiorysem. To była czysto rutynowa robota. Owens i jego ludzie znali się na tym zbyt dobrze, by podniecać się nowym śladem. Entuzjazm zbyt często kłócił się z obiektywizmem. Jego samochód, zaparkowany na lotnisku Gatwick, miał jak na swój wiek znaczny przebieg, ale dawało się to wyjaśnić częstymi wyjazdami w poszukiwaniu książek.

Tyle udało się o nim dowiedzieć w ciągu osiemnastu godzin. Na resztę cierpliwie poczekają.

- Jak często jeździł do Irlandii?

- Dość często, ale handluje angielskimi książkami, a w Europie są tylko dwa kraje, w których mówi się po angielsku, czyż nie? -Ashley także umiał panować nad sobą.

- Ameryka? - zapytał Owens.

- Wygląda na to, że raz do roku. Myślę że na jakąś doroczną giełdę... Mogę to sprawdzić.

- Oni też mówią po angielsku.

- Ale Szekspir tam ani nie mieszkał, ani nie drukował - uśmiechnął się Ashley. - Niewiele jest książek drukowanych w Ameryce, które są na tyle stare, by zainteresować kogoś takiego jak Cooley. Pewnie kupuje tam nasze książki, które w jakiś sposób zawędrowały za ocean, albo co bardziej

prawdopodobne, szuka nabywców. Nie, panowie, Irlandia znakomicie pasuje do jego przykrywki, jeżeli oczywiście jest to przykrywka. Zresztą ze sklepu w którym ja się zaopatruję, „Samuela Picketta i Synów”, też często jeżdżą do Irlandii. No, może nie aż tak często - dodał.

- Może coś wywnioskujemy z jego biografii - zauważył Owens.

- Miejmy nadzieję. - Ashley wypatrywał światełka w tunelu, ale na razie widział tylko ciemną czelusć.

- Jest dobrze, Jack - powiedziała Cathy.

Kiwnął głową. Wiedział, że jego żona ma rację. Pielęgniarka promieniała radością, przekazując im wieści, gdy tylko przyszli. Sally wracała do siebie szybko, jak to dzieci. Proces zdrowienia już się zaczął.

Była jednak różnica między tym, co dyktowało serce i tym, co mówił rozum. Tym razem Sally nie spała. Nie mogła oczywiście mówić, nie pozwalała jej na to rura respiratora, ale jej pomrukiwania, które mimo to do nich dochodziły mogły znaczyć tylko jedno: Boli! Obrażenia jakie to dziecko odniosło nie stały się ani trochę mniej przerażające tylko dlatego, że wiedzieli, że się goją. To, że czasami odzyskiwała przytomność było nawet gorsze. Ból wprawdzie w końcu przeminie, ale na razie ich córeczka bardzo cierpiała. Cathy mogła sobie przynajmniej powtórzyć lekarskie powiedzenie, że jest on dobrym znakiem, mimo cierpień jakie przynosi, bo ból czują tylko żywi. Jack nie miał tej pociechy. Postali przy łóżku, zanim znów nie zapadła w drzemkę. Potem wyprowadził żonę z sali.

- A jak ty się czujesz?

- Lepiej. Wypisują mnie jutro wieczorem.

Jack pokręcił głową. Nie pomyślał o tym zupełnie. Ale ze mnie dureń, pomyślał. Nie wiedząc czemu uważał, że Cathy zostanie tu, blisko Sally.

- Dom bez ciebie był taki pusty, kochanie - powiedział po chwili.

- Bez niej będzie dopiero pusty - odpowiedziała i łzy znowu spływały jej po twarzy. Wtuliła twarz w ramię męża. - Ona jest taka mała...

- Tak. - Jack przywołał obraz twarzy Sally, z parą małych niebieskich oczu, ginących w morzu sińców, jej rany, jej ból. - Ona wyzdrowieje, kochanie, a ja nie chcę więcej wysłuchiwać żadnych bzdur o tym, że to twoja wina.

- Ale to prawda!

- Nie, to nieprawda. Czy wiesz jaki jestem szczęśliwy, że obie żyjecie? Widziałem dziś raport FBI. Gdybyś nie nacisnęła hamulca, obie byście zginęły. - Chodziło o to, że w ten sposób zesła Millerowi z muszki o parę centymetrów. Co najmniej dwa pociski chybiły w ten sposób jej głowy, mówili mu eksperci od balistyki. Jack mógł ich opinię recytować z zamkniętymi oczami. - Ocaliłaś swoje i jej życie dzięki refleksowi.

Cathy zareagowała dopiero po chwili.

- A skąd ty to wiesz?

- Z CIA. Współpracują z policją. Poprosiłem, żeby mnie do tego przydzielili i oni się zgodzili.

- Ale...

- Pracuje nad tym wielu ludzi, kochanie. Ja jestem tylko jednym z nich - odpowiedział spokojnie Jack. - Teraz liczy się tylko to, żeby ich znaleźć.

- Czy myślisz, że...

- Tak - odpowiedział, w myśli dodając, że prędzej, czy później ich dorwie.

Bill Shaw nie był tak dobrej myśli. Najlepszym śladem, jaki miał, był czarny kierowca furgonetki. To nie poszło do mediów. Dla prasy i telewizji wszystkimi podejrzanymi byli biali. FBI

nie musiało okłamywać prasy, wystarczyło, że nie wyprowadziło jej z błędu, wywołanego przez strzępki informacji, które do niej przeciekły, co często miało miejsce. W ten sposób uniknięto ostrzeżenia podejrzanego. Jediną osobą, która widziała go z bliska była kasjerka z „7-Eleven”. Spędziła kilka godzin przeglądając zdjęcia Murzynów podejrzanych o przynależność do organizacji radykalnych i wybrała trzy osoby. Dwie z nich siedziały w więzieniu, jedna za napad na bank, inna za nielegalną sprzedaż materiałów wybuchowych. Trzecia zginęła z horyzontu przed siedmioma laty. Dla Biura była to tylko osoba ze zdjęcia. Nazwisko jakie podał było zapewne pseudonimem, nie było nawet odcisków palców. Odciał się od dawnych kompanów, co biorąc pod uwagę, że większość z nich od tej pory aresztowano i skazano za różne przestępstwa, było mądrym posunięciem. Po prostu zniknął. Pewnie był teraz, spekulował Shaw, szanowanym człowiekiem społeczeństwa, prowadzącym gdzieś normalne życie z rzadka rozjaśnione wspomnieniami burzliwej młodości.

Agent zajął jeszcze raz do teczek. Pseudonim brzmiał Constantine Duppens. Rzadko zabierał głos, informował TW (tajny współpracownik), ale wtedy mówił elokwentnie. Pewnie wykształcony. Choć miał kontakty z grupą nadzorowaną przez Biuro, nigdy tak naprawdę nie był jej członkiem, tak przynajmniej wyglądało to w teczkach. Nigdy nie wziął udziału w żadnej działalności przestępczej, odszedł gdy szefowie postanowili zarabiać na życie rabunkami i handlem narkotykami. Może to tylko szpaner, myślał Shaw, studencik z modnie radykalnymi poglądami, który przejrzał na oczy i doszedł do wniosku, że są tylko tym, czym widział ich Shaw - nieudacznikami, ulicznymi łobuzami dorabiającymi do tego pseudomarksistowską czy pseudohitlerowską ideologię.

Paru takim grupom udało się czasem podłożyć gdzieś jakąś bombę, ale zdarzyło się to na tyle rzadko i były to tak małe ładunki, że opinia publiczna niemal o nich nie słyszała. Kiedy rabowali bank albo furgonetkę bankową ludzie pamiętali, że nie trzeba mieć ideologii do czegoś takiego, wystarczy chciwość. Liczba aktów terrorystycznych na terenie USA spadła z 51 w 1982 roku do zaledwie 7 w 1985. Biuro udało się rozbić większość z tych amatorskich grup, zapobiegając w poprzednim roku ponad 20 atakom, dzięki dobremu rozeznaniu i szybkiej reakcji. Głównym wrogiem tych grup był ich własny brak profesjonalizmu.

W Ameryce nie było dotąd organizacji terrorystycznych o podłożu ideologicznym, a w każdym razie nie w europejskim tego słowa znaczeniu. Działały tu ekspozytury grup ormiańskich, atakujące tureckich dyplomatów, byli biali aryjscy ekstremiści z północno-zachodnich stanów, ale w obu przypadkach ich ideologią była nienawiść. Nienawiść do Turków, nienawiść do Żydów, Murzynów i kogo tam jeszcze. Te grupy były niebezpieczne, ale nie stanowiły prawdziwego zagrożenia dla społeczeństwa, bo brakowało im spójnej wizji politycznego celu. Żeby zaczęły być naprawdę skuteczne, ich członkowie musieliby dążyć do czegoś więcej niż tylko zaspokojenia niszczącej wszystko nienawiści. Najbardziej niebezpiecznymi terrorystami byli idealisci, ale Ameryka nie była najlepszym miejscem do zachwalania zalet komunizmu czy faszystów. Jaką atrakcję mógł stanowić siermiężny kolektywizm w kraju, gdzie nawet rodziny żyjące z opieki społecznej miały kolorowe telewizory? Jak w bezklasowym społeczeństwie równych ludzi znaleźć grupy ludzi zdolne z pełnym przekonaniem nienawidzić ludzi z innych klas? Z tych też powodów małe grupy wywrotowe były rybami pływającymi nie w morzu wieśniaków, jak chciał Mao, ale w morzu apatii. Żadna z tych grup nie zdążyła tej apatii przełamać, zanim została spenetrowana i rozbita przez Biuro, a i wtedy wzmianka o tym fakcie zajmowała zwykle kilka wersów na jedenastej stronie lokalnych gazet. Ich wojownicze manifesty nie były w stanie wybić się nawet na tak nikłe zainteresowanie. Dla bezimiennych wydawców gazet nie zasługiwali po prostu na miejsce w gazecie. Nawet wyroki w sprawach terrorystów nie były dla nich wiadomością.

FBI stało się w ten sposób ofiarą własnego sukcesu. Swoją robotę wykonywało tak sprawnie,



że opinia publiczna nawet nie zdawała sobie sprawy z możliwości działań terrorystycznych w Ameryce. Nawet Sprawa Ryanów, jak ją teraz nazywano, traktowana była jako po prostu jeszcze jedna brutalna zbrodnia, jakich pełno co dzień wokół. Dla Shawa była i zbrodnią i aktem terroryzmu. FBI z założenia traktowało akty terrorystyczne tak samo jak pospolite przestępstwa, bez żadnych politycznych podtekstów, które mogłyby naganiać ich sprawcom popleczników i nawet jednać im jakiś perwersyjny szacunek. To nie były tylko semantyczne gierki. Terroryci z założenia atakowali filary cywilizowanego społeczeństwa, okazywanie im więc jakiegokolwiek współczucia byłoby dla atakowanego społeczeństwa samobójczą głupotą. Biuro brało jednak pod uwagę, że nie byli to zwykli kryminaliści, którym chodzi o pieniądze. Ich cele były znacznie groźniejsze. Z tego też powodu ich przestępstwa, które normalnie leżałyby w gestii lokalnych policji, ścigane były przez agencję rządu federalnego. Shaw jeszcze raz wrócił do zdjęcia „Constatina Duppena”. Wymagać od kasjerki zatłoczonego domu towarowego, by poznała jedną twarz, widzianą wśród setek przewijających się tam co dnia, na zdjęciu sprzed lat zagrzebanym wśród tysięcy innych, to chyba była przesada. Co z tego, że starała się być pomocna i że przysięgła zachować w tajemnicy to, co tu robili. Tak naprawdę mieli teraz tylko opis ubrania sprawcy, które prawie na pewno zostało już dawno spalone i furgonetkę. Eksperci kryminalistyki rozbierali ją na śrubki tuż obok jego biura. Eksperci z laboratorium balistycznego zidentyfikowali typ broni, której użyto. Na razie mieli tylko tyle. Inspektor Shaw mógł tylko czekać na to, że któryś z agentów terenowych nagle zjawi się z jakąś nowością. Może jakiś kapuś coś podsłucha, albo znajdzie się nowy świadek, a może kryminaliści znajdą w furgonetce coś ciekawego. Mimo dwudziestu dwóch lat w tej robocie, cierpliwość ciągle musiał na sobie wymuszać.

- O, już mi się zaczynała podobać ta twoja broda - powiedział wchodzący.

- Za bardzo mnie skóra swędziała pod tym cholerstwem - Aleksander Constantine Dobbens znowu był w pracy. - Pół dnia tylko się drapałem.

- Tak, miałem to samo za młodu, na okrętach podwodnych - zgodził się jego kolega z pracy. - Jak człowiek młody, to co innego.

- Mów za siebie, dziadku! - zaśmiał się Dobbens. - Ty stary żonaty dzieciorobie! Myślisz, że jak ty chodzisz w kajdanach, to ja też muszę?

- Powinieneś się już ustatkować, Alex.

- Ten świat jest pełen ciekawszych rzeczy do roboty, a ja mam jeszcze mnóstwo do zrobienia. - Pracował jako inżynier pogotowia energetycznego w Baltimore Gas and Electric Company, głównie nocami.

Charakter jego pracy sprawiał, że większość czasu spędzał w drodze, sprawdzając instalacje i nadzorując ekipy monterskie. Alex był lubianym inżynierem, bo nie wzdragał się ubrudzić sobie rąk, bo lubił fizyczną pracę, na którą większość jego kolegów była zbyt dumna z powodu swoich dyplomów. Sam siebie nazywał człowiekiem z ludu. Jego poparcie dla związków zawodowych było źródłem stałej irytacji kierownictwa, ale był dobrym inżynierem i w dodatku Murzynem. A człowiek, który był dobrym inżynierem, popularnym wśród załogi i do tego Murzynem, był świętą krową. Był poza tym świetnym werbownikiem wśród mniejszości rasowych, wynalazł tam dla firmy kilkunastu znakomitych pracowników. Kilku z nich miało zabazgraną przeszłość, ale Alex sprawił, że ich przyjęto. Na nocnej zmianie było zwykle spokojnie i, jak zwykle, Alex kupił poranne wydanie „Baltimore Sun”. To czego szukał, zeszło już z pierwszych stron gazet, teraz wzmianki o tym wydarzeniu ukazywały się już tylko na kolumnie lokalnej. „FBI i Policja...” - czytał- „prowadzą dalsze wytężone czynności śledcze w tej bulwersującej opinię publiczną sprawie”. Nadal nie mógł wyjść z podziwu, że kobieta przeżyła. Jego wykształcenie mówiło mu, że to głównie zasługa pasów

bezpieczeństwa, no i konstrukcji samochodu. Dobra, zdecydował, może to i lepiej. Nie zależało mu specjalnie na zabiciu dziewczynki i ciężarnej kobiety. W pełni zadowalała go śmierć policjanta. Gryzła go utrata tego całego Clarka. A przecież mówił temu tępemu bucowi, że facet jest zbyt odsłonięty. Ale nie, Sean uparł się zabić całą rodzinę za jednym zamachem. Alex wiedział po co mu to było, ale uważał, że w tym przypadku zapął przesłonił Millerowi rozsądek. Cholerni magistrowie nauk politycznych, zdaje im się, że wystarczy tylko bardzo chcieć, żeby coś się samo zrobiło. Inżynierowie są jednak inni.

Dobbensa uspokoiło to, że wszyscy poszukiwani byli białymi. To machanie do helikoptera było błędem. W działalności rewolucyjnej nie ma miejsca na brawurę. To była lekcja na przyszłość, ale przynajmniej za jego błędy nikt nie musiał płacić. Dzięki rękawiczkom i kapeluszuw policjanci nie mieli na niego nic. A najśmieszniejsze było to, że mimo tylu niedoróbek, operacja była sukcesem. Tego dupka z IRA, o'jakmutam, wykopali z Bostonu z podwiniętym ogonem. Przynajmniej politycznie ta operacja miała sens. I to było miarą jej sukcesu.

Z tego punktu widzenia, powodzenie znaczyło, że on zdobył już swoje ostrogi. Wraz ze swymi ludźmi udzielił kompetentnej pomocy grupie rewolucyjnej o ustalonej renomie. Mógł teraz wypatrywać wsparcia finansowego od swych afrykańskich mocodawców. On ich wprawdzie nie uważał za Afrykańczyków, ale oni tak się właśnie określili. Można było zaszkodzić Ameryce, zdobyć rozgłos na skalę, jakiej nie udało się dotąd osiągnąć żadnej rodzimej grupie rewolucyjnej. A gdyby tak, na przykład wyłączyć światło w piętnastu stanach na raz? Alex Dobbens wiedział, jak to zrobić. Rewolucjoniści musieli wiedzieć, gdzie uderzyć ludzi, wśród których mieszkali, żeby zabołało. A co mogło zboleć bardziej niż utrata wiary w coś, co każdy uważał za oczywiste? Gdyby zdołał dowieść, że ten skorumpowany rząd nie jest w stanie zapewnić im nawet prądu? Kto wie, jakie wątpliwości mogłoby to zasiać ludziom w głowach. Ameryka to społeczeństwo przedmiotów. Co będzie, jeżeli okaże się, że przedmioty przestaną działać? Co wtedy będą myśleć ludzie? Na razie jeszcze nie znał odpowiedzi na te pytania, ale wiedział, że coś się zmieni w ich mentalności. I o tę zmianę mu chodziło.

19

## Testy i zaliczenia

- To odludek - zauważył Owens. Dossier było rezultatem trzech tygodni wyteżonej pracy. Oczywiście, można to było zrobić szybciej, ale jeżeli nie chce się, by obiekt dochodzenia dowiedział się o nim, trzeba zachować ostrożność.

Dennis Cooley urodził się w Belfaście, w rodzinie katolickiej klasy średniej. Jego oboje rodzice nie byli praktykujący, co w mieście, gdzie wyznanie przesądza o życiu i śmierci, nie było czymś codziennym. Dennis chodził do kościoła, bo musiał, jako uczeń parafialnego gimnazjum, aż do momentu, gdy zdał na uniwersytet. Wtedy przestał i już nigdy nie wrócił do regularnych praktyk religijnych. W jego kartotece kryminalnej nie było nic. Zupełnie nic. Nie figurował nawet jako osoba kontaktująca się z podejrzanym. Jako student kręcił się dookoła kilku grup aktywistów, ale do żadnej się nie przyłączył, widać wolał się zajmować literaturą. Uczelnię ukończył z najlepszymi ocenami. Zaliczył kilka konwersatoriów z marksizmu, jeszcze kilka z ekonomii, ale tylko u wykładowców o lewicowych poglądach, jak zauważył Owens. Policjant skrzywił się sceptycznie. Takich nigdy w London School of Economics nie brakowało.

Potem przez dwa lata mieli tylko zeznania podatkowe. Pracował w księgarni ojca i dla policji w ogóle nie istniał. Taka jest specyfika policyjnych rejestrów, że trafiają do nich tylko kryminaliści.

Delikatne rozpytywanie w Belfaście także niczego nie wniosło. Sklep odwiedzało mnóstwo

ludzi, nawet żołnierze brytyjscy, wysłani do Belfastu w czasie, gdy Cooley robił dyplom. Szyby wystawowe księgarni parę razy zostały rozbite przez bandy protestantów, a dziś już mało kto pamięta, że wojsko wysłano tam dla okiełznania protestanckich ekstremistów, ale nic poważniejszego się nie wydarzyło.

Młody Dennis nie włóczył się po pubach na tyle, żeby ktoś to zauważył, nie należał do żadnej organizacji kościelnej, klubu politycznego ani sportowego. „Zawsze coś czytał” - ktoś relacjonował detektywom. Też mi, cholera, rewelacja! Księgarz, który czyta.

Potem jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Owensa uderzyło w jak zwyczajny sposób zginęli. W ciężarówce, która staranowała w pewne niedzielne popołudnie ich Morrisa Mini zepsuły się hamulce. Już prawie zapomniał, że ludzie w Ulsterze mogli umierać w normalny sposób i być równie martwymi jak ci, do których nocą zakradli się terroryści, by ich zastrzelić lub wysadzić w powietrze. Dennis Cooley odebrał odszkodowanie i po cichym, niezbyt tłoczonym pogrzebie w lokalnym kościółku, dalej prowadził sklep. Po kilku latach sprzedał go i przeniósł się do Londynu, początkowo otwierając antykwariat na Knightsbridge, by wkrótce przenieść się do pasażu, w którym obecnie ją prowadził.

Zeznania podatkowe dowodziły, że zarobił na wygodne życie. Wizyta w jego mieszkaniu wykazała, że nie żyje ponad stan. Wśród kolegów po fachu cieszył się szacunkiem. Jego jedyna pracownica, Beatrix, wyraźnie lubiła te swoje pół etatu. Cooley nie miał przyjaciół, nadal nie chodził po lokalnych pubach, w ogóle wyglądało na to, że rzadko zaglądał do kieliszka. Żył samotnie, nic nie było wiadomo o jego preferencjach seksualnych. Dużo podróżował w interesach.

- To jakiś mydłek, kompletne zero - ocenił Owens.

- Tak - zgodził się Ashley. - Ale przynajmniej wiemy skąd zna Geoffreya. On był porucznikiem w jednej z pierwszych wysłanych tam jednostek armii. Pewnie wpadł do tej jego księgarni raz i drugi. A wiadomo, jaki z niego gaduła. Pewnie zaczęli gadać o książkach, bo poza tym niewiele mają ze sobą wspólnego. Nie przypuszczam, by Cooleya mogło interesować cokolwiek innego.

- Tak, to typ maniaka, albo za takiego chce uchodzić. Jeszcze coś o rodzicach?

- Pamiętają ich jako komunistów. - Ashley uśmiechnął się. - Nic bardzo poważnego, ale do czasu powstania węgierskiego zgrywali bolszewików na całego. Potem chyba się rozczarowali. Zostały im lewicowe poglądy, ale w politykę później się już nie mieszały. Właściwie wspominają ich jako ludzi raczej przyjemnych, choć trochę dziwacznych. Najwyraźniej namawiali okoliczne dzieciaki do czytania. Jeżeli nie mieli innych celów, to choćby napędzali sobie klientów w księgarni. Rachunki płacili w terminie. I nie wiemy o nich nic poza tym.

- A ta dziewczyna, Beatrix?

- O dziwo udało jej się zdobyć wykształcenie w naszym szkolnictwie publicznym. Na uniwersytet nie poszła, ale sama nauczyła się historii literatury i wydawnictw. Mieszka ze starym ojcem, emerytowanym podoficerem RAF. Życia towarzyskiego nie prowadzi, zapewne zabija czas ślepiąc w telewizor i popijając Dubonnet. Zdaje się, że bardzo nie lubi Irlandczyków, ale nie ma oporów przed pracą u „pana Dennisa”, bo jest on ekspertem w tej branży. Właściwie to wszystko.

- Tak więc mamy antykwariusza z marksistowskiej rodziny, który jednak nie ma znanych nam powiązań z grupami terrorystycznymi? - podsumował Owens. - Zdaje się, że byli z o'Donnellem w tym samym czasie na uniwersytecie?

- Tak, ale nikt nie wspomina, żeby się choć raz spotkali. o'Donnell mieszkał tylko parę przecznic od księgarni, ale znowu nikt nie pamięta, żeby tam zachodził - Ashley przerwał na chwilę. - Pamiętajmy jednak, że to było zanim Kevin ściągnął na siebie bliższe zainteresowanie. Tak więc, jeżeli się wtedy stykali, nie ma na to żadnego dokumentu. Ekonomię zdawali u tego samego

wykładowcy. To by mógł być dobry ślad, ale facet umarł dwa lata temu z przyczyn naturalnych. Inni studenci rozpięchli się na cztery wiatry, do tej pory szukamy kogoś, kto by ich obu znał.

Owens podszedł do ekspresu w rogu pokoju i nalał sobie herbaty. Facet z marksistowskiej rodziny, który studiował razem z o'Donnellem. Chociaż nie było nic wiadomo o jego powiązaniach z grupami terrorystycznymi, to był już jakiś punkt zaczepienia. Jeżeli udałoby się znaleźć coś, co by sugerowało, że Cooley znał o'Donnella, to Cooley mógł być łącznikiem między Watkinsem a ULA. To nie znaczyło, że był jakiś dowód na to, że takie połączenie rzeczywiście istniało, ale w ciągu kilku miesięcy pracy nie trafili na nic bardziej obiecującego.

- Bardzo dobrze, Davidzie, co więc proponujesz?

- Zainstalujemy mikrofony w sklepie, w mieszkaniu, no i oczywiście założymy mu podsłuch na linii telefonicznej. Na wyjazdach będzie miał towarzystwo.

Owens pokiwał aprobująco głową. On nie mógłby zrobić tyle legalnie, ale Służba Bezpieczeństwa działała według innych przepisów niż policja.

- A co z obserwacją sklepu?

- To nie będzie łatwe, biorąc pod uwagę lokalizację. Ale zawsze możemy spróbować wetknąć kogoś do pracy w którymś z sąsiednich sklepów.

- Zdaje się, że naprzeciwko jest jubiler?

- Tak, „Nicholas Reemer i Syn” - kiwnął głową Ashley. - Właściciel i dwóch pracowników.

Owens pomyślał przez chwilę.

- Może znalazłbym doświadczonego detektywa od włamań, kogoś z dużą wiedzą na temat kamieni szlachetnych...

- Dzień dobry, Jack - powiedział Cantor.

- Cześć, Marty.

Ryan skończył przeglądać zdjęcia satelitarne parę tygodni wcześniej. Teraz zajmował się poszukiwaniem powiązań między organizacjami terrorystycznymi. Które z nich utrzymywały ze sobą kontakty? Skąd miały broń? Gdzie się szkoliły? Kto je szkolił? Kto finansował? Jakich paszportów używały? Przez jakie kraje prowadziły drogi ewakuacyjne?

Największą trudnością był nie brak, ale nadmiar informacji. Dosłownie tysiące pracowników Agencji i innych zachodnich wywiadów oraz ich agentów krążyło po świecie szukając tych informacji. Wielu agentów, obywateli zagranicznych, rekrutowanych i opłacanych przez Agencję, donosiło o każdym, najbardziej nawet przelotnym spotkaniu w nadziei, że to właśnie ich strzęp informacji pozwoli rozłożyć Abu Nidala czy islamski Dżihad, czy jeszcze inną sławną organizację i przyniesie im wielkie pieniądze. W rezultacie powstał wielki szum informacyjny. Tysiące wiadomości, w większości bezużytecznych, grzebało okruczności, które trzeba było mozolnie oddzielić od plew. Jack nie zdawał sobie sprawy z ogromu tego problemu, gdy się do tego zabierał. Ludzie, którzy się tym zajmowali byli utalentowani, ale tonęli w morzu informacji, które trzeba było posegregować, ocenić, zestawić i sprawdzić w kilku źródłach, zanim można było pokusić się o sensowną analizę. Trudność odszukania organizacji była odwrotnie proporcjonalna do jej wielkości, a niektóre z nich składały się z garstki ludzi, w skrajnych przypadkach z członków jednej rodziny.

- Marty - powiedział Jack, podnosząc wzrok znad papierów na biurku - to jest szukanie igły w stogu siana.

- Być może, ale przyszedłem cię pochwalić.

- Za co?

- Pamiętasz to zdjęcie dziewczyny w bikini? Francuzi twierdzą, że ją zidentyfikowali. To Francoise Theroux. Długie, ciemne włosy, wspaniała figura i wtedy gdy zdjęcie było robione, nie

było jej w kraju. To by potwierdziło, że ten obóz należy do Action Directe.

- A kim jest ta dziewczyna?

- Zabójcą - odpowiedział Cantor. Podał Jackowi zdjęcie z bliska. -i to dobrym. Przypisuje się jej trzy morderstwa: dwóch polityków i przemysłowca, wszystkie z pistoletu, z bliska. Wyobraź sobie, jesteś mężczyzną w średnim wieku, idziesz sobie ulicą, widzisz piękną dziewczynę, ona się do ciebie uśmiecha, może nawet pyta o drogę, czy coś takiego. Ty się zatrzymujesz i następne co widzisz, to pistolet w jej ręce. Pa, kochanie!

Jack popatrzył na zdjęcie. Wcale nie wyglądała groźnie, ba, wyglądała jak marzenie każdego mężczyzny.

- Tak, w koledżu mówiliśmy, że to nie jest dziewczyna, którą by się wygoniło z łóżka. Jezu, w jakim my świecie żyjemy, Marty?

- No, ty chyba wiesz lepiej niż ja. W każdym razie prosili nas, żebyśmy mieli oko na ten obóz. Jak znowu ją tam spotkamy, to Francuzi chcą, żebyśmy im od razu wysłali jej nowe zdjęcia.

- Chcą się tam po nią wybrać?

- Nie mówili, ale obaj wiemy, że mają wojska w Czadzie, może ze 600 kilometrów stamtąd. I to wojska powietrznodesantowe, ze śmigłowcami.

- Cóż za marnotrawstwo. - Jack oddał mu zdjęcie.

- Pewnie. - Cantor schował zdjęcie i papiery. - A jak ci idzie z danymi?

- Jak na razie mam mnóstwo niczego. Ci, co to robią na cały etat...

- Tak, tak. Przez jakiś czas trzeba było nad tym pracować całymi dniami. Musieliśmy ich złuzować, bo by się nam całkiem wypalili. Wpuszczanie danych do komputera niewiele pomogło. Raz wyszło nam, że szefa jednej grupy terrorystycznej widziano w sześciu różnych portach lotniczych naraz. Wtedy przynajmniej od razu wiadomo, że to do dupy, ale często się zdarzają dobre informacje. W marcu zeszłego roku minęliśmy się z jednym gościem koło Bejrutu o pół godziny. Trzydzieści pięciu minut, masz pojęcie? Do tego trzeba przywyknąć - zakończył Cantor.

Trzydzieści minut, pomyślał Jack. Jeżeli wyszedłbym z biura pół godziny wcześniej, też już bym nie żył. Jak do cholery mam do tego przywyknąć?

- A co byście z nim wtedy zrobili?

- Na pewno byśmy mu nie przedstawili jego praw - odpowiedział Cantor. - No, dobra. Udało ci się znaleźć jakieś powiązania?

- Ta ULA to cholernie mała organizacja - pokręcił głową Ryan. -Znalazłem 16 grup, z którymi ma powiązania IRA. Którąś z nich mogą być nasi ulubieńcy, ale kto to może wiedzieć. W raportach nie ma zdjęć, a rysopisy mogą przedstawiać kogokolwiek. Nawet gdybym trafił na kontakt IRA z jakąś grupą, z którą ci się kontaktować nie powinni, na przykład z ULA, to po pierwsze, podstawa naszego wnioskowania może być błędna, a po drugie, to może być ich pierwszy kontakt z IRA! Marty, jakim cudem do cholery można się w tych śmieciach rozeznąć?

- No cóż, następnym razem jak cię ktoś zapyta, co CIA robi w sprawie terroryzmu, będziesz mógł z czystym sumieniem odpowiedzieć, że nie wiesz. - Cantora to rzeczywiście ubawiło. - Ludzie, których szukamy, to nie głupcy. Wiedzą co im grozi, gdy ich wytropimy. Nawet jeżeli sami ich nie załatwimy, bo czasem nie jest nam to na rękę, zawsze można na nich poszczuć Izraelczyków. Terrorysty są twardzi, to paskudne dranie, ale nie mają szans w starciu z regularnym wojskiem i wiedzą o tym. W tej robocie łatwo o frustrację. Mój szwagier jest majorem w armii, a dokładniej w Szóstej Grupie Delta w Forcie Bragg. Widziałem ich akcje. Taki obóz, jak ten ze zdjęć rozwaliliby w ciągu dwóch minut, zabijając wszystkich i znikając, zanim umilkłoby echo strzałów. Są groźni i efektywni, ale bez właściwych informacji nie wiedzieliby gdzie mają być groźni i efektywni. To

samo jest w policji. Myślisz, że mafia długo by istniała, gdyby gliny wiedziały gdzie i jak prowadzą swoje interesy? Ile by banków obrabowano, gdyby wewnątrz czekał na rabusiów oddział SWAT? Ale trzeba drani zlokalizować. Tu chodzi o informację, a informacje trafiają do zgrai biurokratów odsiewających ziarno od plew. Ludzie zbierają informacje dla nas, my je przetwarzamy i przesyłamy zespołom operacyjnym. Tu także toczy się bitwa, Jack. Właśnie tu, w tym budynku, bierze w niej udział grupa podreferentów i nadreferentów, którzy idą wieczorem do domu, do swoich rodzin.

Ale przecież tę bitwę przegrywamy, pomyślał Jack. Jasne jak słońce, że jej nie wygrywamy.

- A jak idzie FBI? - zapytał.

- Nic nowego. Ten Murzyn, no cóż, równie dobrze mogłoby go w ogóle nie być. Mają tylko zdjęcie sprzed kilku lat, żadnych odcisków palców i dziesięć linijek raportu mówiącego, że był na tyle cwany, żeby trzymać gębę na kłódkę. Biuro szuka w środowisku dawnych radykałów, ale na razie bez powodzenia. To zabawne, jak wielu z nich się ustatkowało na starość.

- A co z tymi co polecili tam dwa lata temu? - Nie tak dawno reprezentacja kilku grup amerykańskich radykałów poleciała do Libii, by spotkać się z „postępowymi środowiskami” trzeciego świata. Echa tej wycieczki do tej pory dźwięczały w służbach zajmujących się zwalczaniem terroryzmu.

- Zauważyłeś, że z Bengazi nie ma żadnych zdjęć? Nasz agent wpadł, to była jedna z tych okropnych przypadkowych wysp. Nas kosztowało to dwa zdjęcia, ale jego głowę. Na szczęście nigdy nie odkryli, że pracował dla nas. Znamy tylko parę nazwisk z tej grupy, ale nie wszystkie.

- Sprawdziliście paszporty? Cantor oparł się o framugę drzwi.

- Powiedzmy, że pan X, Amerykanin poleciał do Europy na urlop. No dobra, ale tam lata dziesiątki tysięcy ludzi miesięcznie. Spotyka się tam z kimś, a potem podróżuje dalej, nawet nie oglądając z bliska normalnej kontroli paszportowej. To łatwe, ludzie Agencji ciągle tak robią. Gdybyśmy mieli nazwisko, moglibyśmy sprawdzić, czy w interesującym nas czasie był w kraju. Od tego można by zacząć, tylko że my nie mamy nazwiska do sprawdzenia.

- W ogóle nic nie mamy! - warknął Ryan.

- Jak to nic? A to wszystko? - Cantor zatoczył ręką krąg nad biurkiem tonącym w powodzi papieru. - Tam skąd je przyniesiono, jest ich jeszcze więcej. Gdzieś w tym stosie leży odpowiedź.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Zawsze kiedy w końcu nam się udaje coś rozgryźć, okazuje się, że najważniejszą informację mieliśmy pod samym nosem. Komisja nadzoru w Kongresie bierze nas potem za to na ząb. Gdzieś w tej stercie, Jack, jest ślad prowadzący wprost do rozwiązania. To wynika ze statystyki. Tyle że to jest ten jeden, jedyny istotny ślad wśród dwustu czy trzystu prowadzących donikąd.

- Nie oczekiwałem cudów, ale myślałem, że chociaż będę mógł pchnąć sprawę do przodu - spokojnie powiedział Jack, do którego wreszcie zaczęła przemawiać wielkość problemu.

- Ależ pchnąłeś ją! Zauważyłeś coś, na co nikt z nas nie zwrócił uwagi. Być może znalazłeś Françoise Theroux. A teraz jeżeli Francuzi natkną się na coś, co może się nam przydać, to nam to podeślą. Może nie wiedziałeś tego, ale praca w wywiadzie jest jak wymiana barterowa. Coś im dajemy, to oni nam też coś dają, bo inaczej nic już więcej nie dostaną. A jeżeli to się uda, to będą nam winni dużą przysługę. Oni bardzo chcą dorwać tę dziewczynę. Sprzątnęła bliskiego przyjaciela ich prezydenta i ten bardzo to sobie wziął do serca. W każdym razie masz pochwały od admirała i DGSE. Przy okazji, szef mówi, żebyś sobie trochę odpuścił.

- Odpuszczę sobie, jak dorwiemy tych skurwieli.

- Czasem trzeba dać sobie chwilę wytchnienia. Okropnie wyglądasz, jesteś przemęczony. Przemęczenie owocuje pomyłkami. A my nie tolerujemy pomyłek. Nie będzie więcej siedzenia po

godzinach, Jack, to mówimy ci ja i Greer. O szóstej ma cię tu nie być. - Cantor odszedł, nie dając Jackowi dojść do słowa.

Ryan odwrócił się do biurka, ale wpatrywał się przez jakiś czas w ścianę. Cantor miał rację. Siedział tu tak długo, że prawie nie miał czasu jeździć do Baltimore, żeby odwiedzić córkę. Pocieszał się jednak, że codziennie odwiedzała ją żona, która często nawet nocowała u Hopkinsa, byle być blisko niej. Cathy miała swoją pracę, a on miał swoją. Przynajmniej, przekonywał ścianę, miał jakieś sukcesy. Pamiętał, iż to był przypadek, że to Marty pomyślał jaki użytek zrobić z jego obserwacji. Ale prawdą też było, że zrobił to, czego oczekiwano od analityka, znalazł coś odbiegającego od normy i powiadomił kogo trzeba. Musiał sobie pogratulować. Znalazł terrorystę, chociaż na pewno nie tego, którego szukał. To tylko początek. Jego sumienie zastanawiało się, co też Francuzi zrobią z tą piękną dziewczyną, gdy ją złapią i jak on się z tego powodu będzie czuł. Byłoby lepiej, gdyby terroryści nie byli przystojni, ale ich ofiary były równie nieżywe niezależnie od ich urody. Obiecał sobie, że nie będzie się rozpraszał na dociekanie, co ją spotkało. Jack wrócił do swego stosu papieru, szukając tej jednej, jedynej ważnej informacji. Gdzieś w tym stosie chowali się ludzie, których szukał. Musiał ich znaleźć.

- Cześć Alex - powiedział Miller wsiadając do samochodu.

- Jak podróż? - Dobbens zauważył, że Sean dalej nosi swoją brodę. No cóż, nikt mu się nie zdążył przyjrzeć. Tym razem poleciał do Meksyku, pojechał przez granicę, a potem poleciał krajowym rejssem do Waszyngtonu, gdzie spotkał się z Alexem.

- Ta wasza kontrola na granicy to jakiś pieprzony dowcip.

- Bardzo byś się ucieszył, gdyby się to zmieniło? - spytał Alex. - Przejdźmy do interesów. - To gwałtowne przejście zaskoczyło Millera. Czyżby nie był dumny z zakończenia operacji?

- Mamy dla ciebie następną robotę,

- Jeszcze nic nie zapłaciliście za poprzednią, ptaszyno. Miller podał mu książeczkę czekową.

- Numerowe konto, w banku na Bahamach. Mam nadzieję, że suma się zgadza.

Alex schował do kieszeni książeczkę.

- Nawet lepiej, niż myślałem. Dobra, więc mamy następną robotę. Mam nadzieję, że to nie będzie taki ekspres jak ostatnio?

- Mamy kilka miesięcy na planowanie.

- Zamieniam się w słuch. - Przez dziesięć minut Alex chłonał informacje. Gdy Sean skończył, odpowiedział krótko. - Odpierdoliło wam już zupełnie?

- Czy zebranie potrzebnych informacji będzie bardzo trudne?

- Z tym nie ma żadnego problemu, Sean. Problemy zaczynają się z przerzutem twoich ludzi do Stanów i z powrotem. Nie ma mowy, żebym ja się tym mógł zająć.

- To już moje zmartwienie.

- Gówno prawda! Jeżeli mają w tym brać udział moi ludzie, to jest to także moje zmartwienie. Gdyby ten palant Clark zaczął sypać, spaliłby melinę i mnie przy okazji!

- Ale nie sypał, nie? Właśnie dlatego go wybrałem.

- Słuchaj, gównu mnie to obchodzi, co robisz ze swoimi podwładnymi. Chodzi mi o moich. To, co dla was ostatnio robiliśmy, to była liga okręgowa.

O co chodziło z tą „ligą okręgową” Miller domyślił się z kontekstu.

- No nie, operacja była politycznie słuszna, wiesz o tym przecież. Może zapomniałeś, że cele są zawsze polityczne. I z politycznego punktu widzenia, operacja była całkowitym sukcesem.

- Nie musisz mi tego powtarzać! - odparł napastliwie Alex. Miller był nadętym, dumnym bucem, któremu Alex urwałby łeb jednym chwytem za gardło. - Straciłeś człowieka, bo podszedłeś do tego

osobiście, nie zawodowo. Wiem, o co ci chodziło. To był nasz pierwszy wielki numer, tak? Dobra synku, myślę że dowiedliśmy że jesteśmy dobrzy w te klocki, nie? I ja cię ostrzegałem, że ten twój człowiek jest zbyt odsłonięty. Gdybyś mnie słuchał, nie miałbyś teraz faceta w pudle. Wiem, że masz imponującą przeszłość, ale tu jest moje podwórko i ja je znam lepiej.

Miller wiedział, że musi to wytrzymać. Jego twarz nic nie wyrażała.

- Alex, gdybyśmy byli niezadowoleni ze współpracy z tobą, nigdy byś nas więcej nie widział. Tak, jesteś dobry w te klocki. -Pieprzony bambusie, dodał w myśli. - Czy możesz nam dostarczyć informacji, których potrzebujemy?

- Pewnie. Jak dobrze zapłacicie, to czemu nie? Chcecie żebyśmy wam pomogli w tej operacji?

- Jeszcze nie wiemy - ucziwie odpowiedział Miller. Cholerni kowboje, pomyślał, ciągle tylko o tych pieniądzech.

- Jeżeli mamy w tym brać udział, to ja chcę mieć głos w planowaniu. Po pierwsze, chcę wiedzieć jak macie zamiar się tam dostać i wydostać stamtąd, bo może będę musiał iść z wami. A jeżeli znowu olejecie moje rady, to zabieram swoich i idziemy.

- Teraz jest jeszcze za wcześnie na to, żeby coś stwierdzić na pewno, ale planujemy coś nieskomplikowanego...

- Myślisz, że to się uda? - zapytał Alex po wysłuchaniu planu. Po raz pierwszy od przyjazdu Sean widział, że Murzyn skinieniem głowy aprobuje jego pomysł. - To jest niezłe. Pomogę wam w tym. To naprawdę niezłe. A teraz pogadajmy o cenie.

Sean wypisał na kartce sumę i podał ją Alexowi.

- Starczy? - Na ludziach łasych na pieniądze łatwo jest zrobić wrażenie.

- O, kurde, bracie, ja też bym chciał mieć konto w twoim banku!

- Jak to wypali, będziesz je miał.

- Mówisz poważnie? Miller pokiwał głową.

- Bezpośredni dostęp. Obiekty treningowe, paszporty, te rzeczy. Wasze umiejętności wykazane przy okazji ostatniej roboty zrobiły wrażenie. Nasi przyjaciele chcą mieć aktywną grupę rewolucyjną w Ameryce. - W myśli dodał, że jeżeli rzeczywiście zależało im na kontaktach z tymi czarnuchami, to już ich zmartwienie. - Kiedy możemy liczyć na informacje?

- Może być koniec tego tygodnia?

- Możecie to zrobić to tak szybko bez wzbudzenia podejrzeń?

- To już moja broszka - odpowiedział Alex z uśmiechem.

- Macie coś nowego? - zapytał Owens.

- Niewiele - przyznał Murray. - Mamy mnóstwo śladów do analizy, ale tylko jednego świadka, który widział jedną twarz, tylko że nie możemy jej zidentyfikować z całą pewnością.

- A co z miejscowymi pomocnikami?

- To właśnie ten na wpół zidentyfikowany. Poza tym nic. Może nauczyli się tego od ULA. Żadnego manifestu, żadnych oświadczeń, nic. Nasze wtyki w organizacjach radykalnych, które jeszcze istnieją, też nic nie wiedzą. Wciąż nad tym pracujemy, wydaliśmy kupę pieniędzy, ale ciągle nie mamy żadnego rezultatu - Murray przerwał na chwilę. - Ale to się zmieni. Bill Shaw to geniusz, jedna z najlepszych głów w Biurze. Parę lat temu przeszedł do antyterrorystycznego z kontrwywiadu, gdzie odnosił oszałamiające sukcesy. A co nowego u was?

- Jeszcze nie mogę mówić o szczegółach - odpowiedział Owens - ale chyba mamy przełom. Na razie oceniamy czy to naprawdę to. To dobra wiadomość. Złą jest to, że Jego Królewska Wysokość wybiera się latem do Ameryki. O jego planach wie mnóstwo ludzi, w tym sześć osób z naszej listy podejrzanych.



- Jak do cholery mogłeś na to pozwolić, Jimmy?

- Nikt mnie nie pytał, Dan - kwaśno odparł Owens. - W kilku przypadkach zatajenie tej wiadomości mogłoby wzbudzić podejrzenia. A zresztą, przecież nie można tak nagle przestać ufać ludziom. Co do reszty to było zwykłe przeoczenie. Jakaś sekretarka rozesłała plan podróży według normalnego rozdzielnika, nie konsultując się z nami. - Dla obu rozmówców nie było to nic nowego. Zawsze znajdzie się ktoś, do kogo nie dotrze ostrzeżenie.

- Fajnie. No to odwołajcie to. Niech zachoruje w odpowiednim czasie na gripę czy co innego - podsunął Murray.

- Jego Wysokość nie pójdzie na to. W tym punkcie jest nieugięty. Nie pozwoli terrorystom wpływać w żaden sposób na swoje życie,

Murray chrząknął.

- Trzeba przyznać, że ma chłopak jaja, ale...

- Właśnie - zgodził się Owens. Niezbyt podobało mu się, że o jego przyszłym królu mówiono per „chłopak z jajami”, ale zdążył się już przyzwyczaić do amerykańskiej bezpośredniości. - Ale nam to wcale nie ułatwia pracy.

- Na ile niezmiennie są te plany podróży? - zapytał Murray, wracając do spraw zawodowych.

- Parę punktów można oczywiście zmienić, ale dużo jest wydarzeń oficjalnych, nie do ruszenia. Nasi ludzie od ochrony będą konferować z waszymi w Waszyngtonie, lecą tam w przyszłym tygodniu.

- No cóż, wiadomo, że możecie liczyć na pełną współpracę wszystkich zainteresowanych, Ochrony Białego Domu, Biura, lokalnych policji, wszystkich. Dobrze się o niego zatroszczymy - zapewnił Murray. - Księżę i jego małżonka są bardzo popularni w Stanach. Zabierają dzieci?

- Nie, to na szczęście zdołaliśmy wybić im z głowy.

- Okej. Jutro zadzwonię do Waszyngtonu i ruszę sprawę. Co słychać u naszego przyjaciela Neda Clarka?

- Na razie nic. Jego kumple w celi najwyraźniej dają mu wycisk, ale on jest za głupi, żeby się złamać.

Murray pokiwał głową. Znał ten typ ludzi.

No cóż, sami chcieli żebyśmy wcześniej kończył, pomyślał Ryan. Przyjął zaproszenie na odczyt na Uniwersytecie Georgetown. Szkoda tylko, że odczyt ten był nieporozumieniem. Profesor David Hunter był enfant terrible Uniwersytetu Columbia, czołowym amerykańskim specjalistą od sytuacji politycznej we wschodniej Europie. Jego wydana rok wcześniej książka „Opóźniona rewolucja” była dogłębnym studium politycznych i ekonomicznych problemów niestabilnego radzieckiego imperium i Ryan, jak wielu innych, chętny byłby usłyszeć co nowego w tej dziedzinie się zdarzyło. Niestety, odczyt był czymś w rodzaju streszczenia wydanej przed rokiem książki, z dosyć kontrowersyjną tezą, że NATO powinno intensywniej niż dotąd działać na rzecz rozluźnienia więzów ZSRR z krajami satelickimi. Ryan uważał to za szaleństwo, chociaż teza wzbudzała ożywione dyskusje na przyjęciu.

Pod koniec odczytu Ryan wymknął się pośpiesznie do sali bankietowej. Żeby tu zdążyć na czas musiał sobie odpuścić obiad w domu. Na stole stał duży półmisek zakąsek, więc Jack nałożył ich, tak spokojnie jak tylko mu się udawało, cały talerz i poszukał sobie cichego kącika przy windach. Niech tam sobie inni dyskutują z panem profesorem. A w ogóle, miło było znowu być w Georgetown, nawet na tych parę godzin. Galeria w Centrum Kulturalnym była przeciwieństwem obskurności CIA. Czteropiętrowe atrium budynku lingwistyki okalały szklane okna biur, dwa drzewa w donicach sięgały konarami szklanego dachu. Placyk przed budynkiem wyłożony był ceglana kostką, więc studenci nadali mu nazwę Placu Czerwonego. Na zachód stąd zaczynał się stary dziedziniec i cmentarz, gdzie spoczywali mnisi, którzy nauczali tu od niemal dwustu lat. Było to bardzo przyjemne

miejsce, jeżeli pominąć zakłócający ciszę huk silników odrzutowców, startujących z lotniska National, położonego kilka kilometrów w dół rzeki. Ktoś trącił Ryana, gdy kończył kanapki.

- Przepraszam, doktorze. - Ryan odwrócił się i ujrzał mężczyznę nieco niższego od siebie, rumianego, w tandetnym garniturze.

W jego niebieskich oczach igrały ogniki rozbawienia, a w głosie pobrzmiwał wyraźny obcy akcent. - Czy podobał się panu odczyt?

- Był interesujący - odparł Ryan bez przekonania.

- Oczywiście. No, widzę że kapitaliści łgają nie gorzej od nas, biednych komunistów. - Jego rozmówca odezwał się szczerym, wesołkowatym śmiechem, ale Ryan dostrzegał u niego w oczach coś innego prócz rozbawienia. To było badawcze spojrzenie, część gry, w którą grano już z nim w Anglii. Ryan zdążył poczuć niechęć do tego człowieka.

- Czy myśmy się już spotkali?

- Siergiej Płatonow - uścisnęli sobie dłonie, gdy Ryan odstawił talerzyk na stół. - Jestem trzecim sekretarzem ambasady ZSRR. Moje zdjęcie w Langley pewnie nie należy do najbardziej udanych.

Kacap, pomyślał Ryan, starając się nie okazywać zdumienia. Kacap, który wie, że pracuję w CIA. Trzeci sekretarz, to mogło oznaczać, że jest człowiekiem KGB lub wydziału zagranicznego KPZR. A zresztą co za różnica? „Legalny” szpieg działający pod przykrywką dyplomaty. No i co ja teraz zrobię? Wiedział, że będzie musiał jutro napisać raport dla Agencji o tym spotkaniu, opisując w jakich okolicznościach go spotkał i o czym rozmawiali. Straci na to pewnie z godzinę czasu. Z wysiłkiem zmusił się do zachowania uprzejmości.

- Musiał mnie pan z kimś pomylić, panie Płatonow, ja jestem tylko wykładowcą historii. Pracuję w Akademii Marynarki w Annapolis. Zaproszono mnie tu, bo to moja macierzysta uczelnia.

- Nie, nie - pokręcił głową Rosjanin. - Poznaję pana ze zdjęcia na okładce pańskiej książki. Wie pan, kupiłem jej dziesięć egzemplarzy w lecie.

- Coś takiego? - Jack był znowu zaskoczony i nie udało mu się tego ukryć. - Dziękuję panu, także w imieniu mojego wydawcy, sir.

- Nasz attache morski był nią zafascynowany, panie doktorze. Uważa, że powinna być lekturą obowiązkową Akademii Frunzego i pewnie też Akademii Marynarki imienia Greczki w Leningradzie.

- Płatonow roztaczał swój czar. Ryan zdawał sobie sprawę z tego, ale... - Szczerze mówiąc, ja ją tylko przekartkowałem. Odniosłem wrażenie, że jest starannie ułożona, a nasz attache morski mówi, że pańska analiza sposobu podejmowania decyzji w gorączce bitwy była wielce trafna. .

- No cóż... - Jack starał się nie wbijać się nadmiernie w dumę, ale przychodziło mu to z trudem. Akademia im. Frunzego szkoliła oficerów Sztabu Generalnego, była wyższą uczelnią wojskową dla młodych, wybijających się oficerów z szansami na stopnie generalskie. Akademia im. Greczki była tylko nieco mniej prestiżowa.

- Siergieju Nikołajewiczu - zabrzmiał znajomy głos - eto niekulturno żerować na próżności bezradnych młodych pisarzy. -

Ojciec Timothy Riley dołączył do rozmowy. Niski, krępy jezuita był dziekanem wydziału historii w Georgetown. Był to błyskotliwy intelektualista, mający na swoim koncie kilka książek, w tym dwa dogłębne studia historii marksizmu, które, czego Ryan był pewien, raczej nie trafiły do biblioteki Akademii im. Frunzego. - Jak tam rodzina, Jack?

- Cathy wróciła do pracy, ojcze. Sally przenieśli do Hopkinsa, a jak będziemy mieli szczęście, to wróci do domu na początku przyszłego tygodnia.

- Czy pańska córeczka wyzdrowieje całkowicie? - zapytał Płatonow. - Czytałem o zamachu na

pańską rodzinę w gazecie.

- Tak myślimy. Wygląda na to, że poza utratą śledzony nie będzie innych trwałych urazów. Lekarze mówią, że szybko dochodzi do zdrowia, a odkąd jest u Hopkinsa, Cathy może do niej wpadać codziennie. - Ryan mówił nieco na wyrost. Sally była teraz innym dzieckiem. Jej nogi jeszcze w pełni nie wyzdrowiały, ale co gorsza, niegdyś pełna radości dziewczynka była teraz bardzo smutna. Życie dało jej lekcję, przed którą Jack miał nadzieję uchronić ją jeszcze chociaż dziesięć lat. Świat nie jest bezpiecznym miejscem, nawet jeśli jest się pod opieką mamy i taty. To ciężka lekcja dla dziecka, ale jeszcze cięższa dla rodziców. Ale przeżyła, pomyślał Jack, nieświadom grymasu twarzy. Czas i miłość uleczą wszystko poza śmiercią. Lekarze i pielęgniarki ze szpitala Hopkinsa troszczyli się o nią, jak o własne dziecko. Czasami dobrze mieć lekarza w rodzinie.

- To straszne. - Płatonow pokręcił głową z wyrazem szczerego obrzydzenia na twarzy. - To straszne, atakować niewinnych ludzi zupełnie bez powodu.

- Czyżby, Siergieju? - powiedział Riley głosem, który Ryan znał tak dobrze. Kiedy ojciec Tim chciał, jego język mógłby służyć do piłowania drewna. - Zdaje się że to Lenin powiedział, że zadaniem terroru jest terroryzowanie, a litość u rewolucjonisty jest równie godna potępienia, co tchórzostwo na polu bitwy.

- To były inne, ciężkie czasy, ojczy - łagodnie odpowiedział Płatonow. - Mój kraj nie ma nic do czynienia z tymi szaleńcami z IRA. To nie są rewolucjoniści, choćby nie wiem jak bardzo się pod nich podszywali. Oni nie mają rewolucyjnej etyki. To co robią, to szaleństwo. Proletariusze powinni się łączyć, zwracać szeregi przeciw wspólnemu wrogowi, który ich wyzyskuje, a nie zabijać się nawzajem. Obie strony tego konfliktu są ofiarami swoich przywódców, którzy szczują je na siebie dla własnej korzyści. A one zamiast zdać sobie z tego sprawę, zabijają się nawzajem jak wściekłe psy, zupełnie bez sensu. To są bandyci, a nie rewolucjoniści - zakończył. Jego rozmówcy zdaje się nie widzieli większej różnicy między tymi kategoriami.

- Może i tak, ale jeżeli kiedykolwiek wpadliby w moje ręce, chętnie udzieliłbym im lekcji rewolucyjnej sprawiedliwości. - Publiczne okazanie nienawiści ulżyło Jackowi.

- Nie czujecie dla nich żadnego współczucia? - zapytał Płatonow. - Obaj pewnie mieliście wśród przodków ofiary brytyjskiego imperializmu. Czy nie dlatego wasi przodkowie przybyli do Ameryki?

Ryana zaskoczyła ta uwaga. Ta wypowiedź wydała mu się zupełnie niewiarygodna, dopóki nie zauważył, że Rosjanin uważnie śledzi ich reakcję.

- Równie dobrze mogłem mieć w rodzinie ofiarę sowieckiego imperializmu - odpowiedział. - Ci dwaj w Londynie mieli Kałasznikowy. Także ci, którzy strzelali do mojej żony i dziecka. - To już zmyślił. - Takiej broni nie kupuje się w sklepie za rogiem. Czy pan to przyzna, czy nie, większość terrorystów pozuje na marksistów. A to ustawia ich po pańskiej, nie po mojej stronie i każe się zastanowić, czy to że używają rosyjskiej broni jest tylko przypadkiem.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, w ilu krajach produkowana jest broń radzieckiej konstrukcji? Niestety, nie zawsze mamy wpływ na to, w czyje ręce wpada.

- Tak czy owak, moje współczucie dla nich jest, powiedzmy, ograniczone przez dobór metod. Na morderstwach nie da się zbudować cywilizacji, chociaż wielu próbowało.

- Byłoby dobrze, gdyby historia toczyła się spokojnie - Płatonow zignorował przytyk do ZSRR - ale dzieje tego świata dowiodły, że państwa rodzą się we krwi, z waszym też tak było. Kiedy państwa dojrzewają, wyrastają z tego. To nie jest łatwe, ale myślę, że wszyscy doceniamy wagę pokojowej koegzystencji. Jeśli chodzi o mnie, doktorze Ryan, współczuję panu z całego serca. Mam dwóch synów, a kiedyś mieliśmy jeszcze córkę, Nadię. Umarła dawno temu, miała wtedy siedem lat,

na białaczkę. Wiem, jak trudno patrzeć na cierpienie własnego dziecka, ale pan miał więcej szczęścia ode mnie. Pańska córeczka będzie żyć -jego głos zmiękł. -Jest wiele zagadnień, w których się nie zgadzamy, ale człowiek nie może nie kochać własnych dzieci. Tak więc - płynnie zmienił temat-jaka jest panów prawdziwa opinia o odczycie profesora Huntera? Czy Ameryka powinna szerzyć kontrrewolucję w krajach demokracji ludowej w Europie?

- A czemu pan nie spyta o to Departamentu Stanu? To nie moja działka, ja uczę historii marynarki. Ale jeśli chce pan poznać moją prywatną opinię, to nie widzę sensu w podjudzaniu ludzi do buntu, jeżeli nie mamy możliwości pomóc im bezpośrednio, kiedy pański kraj zacznie reagować na ich ruchy.

- Aha, rozumie więc pan, że musimy udzielać bratniej pomocy zagrożonym agresją zaprzyjaźnionym państwom?

Ryan pomyślał, że może to i dobry chłop, ale miał zbyt duże doświadczenie w wygadywaniu takich rzeczy.

- Nie nazwałbym zachęcania ludzi do wyzwolenia się formą agresji, panie Płatonow. Zanim zrobiłem dyplom z historii byłem maklerem, a takie korzenie raczej wykluczają mnie z grona sympatyków pańskich poglądów politycznych. Chodzi mi o to, że pański kraj zdusił już siłą nastroje demokratyczne na Węgrzech i w Czechosłowacji. Zachęcanie ludzi do samobójstwa jest niemoralne i bezproduktywne.

- A co na ten temat myśli pański rząd? - zapytał Rosjanin z serdecznym uśmiechem.

- Jestem historykiem, a nie plotkarzem. W tym mieście wszyscy oni pracują dla „Washington Post”. Niech pan ich spyta.

- W każdym razie nasz morski attache bardzo chciałby spotkać się z panem i podyskutować o pańskiej książce. Dwunastego urządzamy w ambasadzie przyjęcie. Ojciec Timothy także przyjdzie, więc będzie mógł uchronić pańską duszę od naszych miazmatów. Czy możemy liczyć na pańskie przybycie z małżonką?

- Najbliższe kilka tygodni planujemy spędzić w domu z rodziną. Moja córka potrzebuje mnie teraz najbardziej.

Dyplomata nie dał się zbić z pantałyku.

- Tak, rozumiem. To może kiedy indziej?

- Chętnie, proszę zadzwonić w lecie - powiedział Jack, zastanawiając się, czy Rosjanin mówił poważnie.

- Znakomicie. A teraz panowie wybaczą, chciałbym porozmawiać z profesorem Hunterem. - Uścisnęli sobie dłonie i dyplomata skierował się do grupki historyków, spijających słowa z ust Huntera.

Ryan odwrócił się do ojca Rileya, który w milczeniu śledził jego rozmowę, popijając szampana.

- Interesujący gość, ten Siergiej - odezwał się Riley. - Uwielbia sondować ludzkie reakcje. Ciekawe czy naprawdę wierzy w ten swój system, czy tylko gra na punkty?

Ryan zadał pytanie bardziej na czasie.

- Ojcze, o co tu do cholery chodziło?

- Jesteś sprawdzany, Jack - zachichotał Riley.

- Ale dlaczego?

- Pracujesz w CIA, a jeżeli się nie mylę, admirał Greer chce, żebyś wszedł na stałe do jego zespołu. W przyszłym roku Marty Cantor odchodzi i zaczyna wykładać na Uniwersytecie Stanu Teksas. Ty jesteś jednym z kandydatów na jego miejsce. Nie wiem, czy Siergiej zdaje sobie z tego

sprawę, ale i tak stanowiłeś jeden z ciekawszych celów dla niego w tej sali, on chciał cię po prostu wyczuć. To się zdarza.

- Na miejsce Cantora? Ale... Nikt mi o niczym nie mówił!

- Świat jest pełen niespodzianek. Pewnie jeszcze cię nie skończyli prześwietlać, więc nie proponują ci nic, zanim nie skończą. Zdaje się, że masz nadal bardzo ograniczony dostęp do informacji?

- Nie mogę o tym z ojcem mówić. Jezuita uśmiechnął się.

- Tak właśnie myślałem. Robota, którą tam właśnie wykonałeś zrobiła wrażenie na kim trzeba. Jeżeli dobrze mi się wydaje, to traktują cię tam jako inwestycję z perspektywami. - Riley wziął następną lampkę szampana. - O ile znam Jamesa Greera, to po prostu cię w to wpuścił. To zasługa tej twojej Pułapki Na Kanarka. To naprawdę zrobiło wrażenie na paru ludziach.

- A skąd ojciec to wie? - zapytał Ryan, wstrząśnięty tym co usłyszał.

- Jack, a jak ci się zdaje, jak żeś się tam dostał za pierwszym razem? Kto ci załatwił członkostwo Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych? Tamtym ludziom też podobała się twoja praca. Oprócz mojej i ich opinii, Marty uznał w zeszłym roku, że warto na ciebie zwrócić uwagę i poszło ci lepiej, niż się ktokolwiek spodziewał. Jest w tym mieście grono ludzi, którzy liczą się z moim zdaniem.

- Ach, tak. - Ryan musiał się uśmiechnąć. Pozwolił sobie zapomnieć o podstawowej właściwości Towarzystwa Jezusowego: oni znali każdego i mogli się dowiedzieć niemal wszystkiego. Rektor uniwersytetu należał zarówno do klubu Cosmos, jak i do University, a to oznaczało, że miał dostęp do większości ważnych uszu i ust w Waszyngtonie. Pewnie tam się to wszystko zaczęło. Każdy czasem potrzebuje się poradzić w jakiejś sprawie, więc nie mogąc zasięgnąć opinii współpracowników, zwraca się z tym niekiedy do duchownego. A nikt się do tego zadania nie nadawał lepiej, niż starannie wykształcony jezuita, zwykle dobrze znający sprawy tego świata, ale przezeń nie zepsuty. Każdy z nich był dobrym słuchaczem, jak to duchowny. Towarzystwo było tak skuteczne w zbieraniu informacji, że łamaczom kodów Departamentu Stanu zlecono kiedyś rozpracowanie szyfrów jezuitów. To zadanie wzburzyło pracowników Czarnego Gabinetu, ale wkrótce wiadomości, które tą drogą zaczęły napływać zaczęły zdumiewać oburzonych.

Gdy Św. Ignacy Loyola, stary wiarus, zakładał zgromadzenie, postanowił, że jego członkowie koncentrować się będą na dwu zagadnieniach: szerzeniu wiary przez misje i zakładaniu szkół. Jedno i drugie szło im znakomicie. Wpływ, jaki zyskali na tych, którym dali wykształcenie, nigdy nie wygasał. Nie zdobywali go makiawelicznymi zabiegami. W ich szkołach filozofia, etyka i teologia były przedmiotami obowiązkowymi, służyły przemianie grzesznych umysłów i wyostrzaniu intelektu. Przez stulecia jezuita kształcili kadry dla innych, jednocześnie zyskując sobie potężną władzę, zwykle w służbie dobra. Własności intelektu ojca Rileya były powszechnie znane, wielu zasięgało jego opinii, podobnie jak innych wybitnych naukowców, a to wszystko szło w parze z moralnym autorytetem dyplomowanego teologa.

- Nie jesteśmy raczej groźni dla bezpieczeństwa państwa, Jack - dobrotliwie uspokoił go ojciec Tim, - Ciężko nas chyba sobie wyobrazić jako sowieckich szpiegów, co? W każdym razie, czy byłbyś zainteresowany tą posadą?

- Sam nie wiem. - Ryan spojrzął na swoje odbicie w szybie. - To by oznaczało więcej czasu poza domem, a w lecie spodziewam się drugiego dziecka.

- Gratuluję, to dobra wiadomość. Wiem, że jesteś człowiekiem rodzinnym, Jack. Ta praca będzie wymagać pewnych poświęceń, ale byłbyś właściwym człowiekiem na tym miejscu.

- Tak ojciec myśli?-zapytał Jack, odpowiadając w myśli, że jak dotąd nie udało mu się puścić

świata z dymem.

- Wolałbym tam kogoś takiego jak ty, niż innych, których znam. Jack, jesteś wystarczająco bystry. Umiesz podejmować decyzje, ale co ważniejsze, jesteś dobrym człowiekiem. Wiem, że jesteś ambitny, ale masz zasady, wartości. Należę do tych, którzy jeszcze wierzą, że to ma jakieś znaczenie na tym świecie, niezależnie od tego jak paskudnie się rzeczy mają.

- A mają się naprawdę paskudnie, ojciec - odpowiedział po chwili Ryan.

- Jak blisko jesteście znalezienia ich?

- Całkiem bli... - Jack powściągnął się po czasie. - No, ładnie to ze mnie ojciec wyciągnął.

- Nie o to mi chodziło - odpowiedział poważnie ojciec Tim. - Temu światu wyjdzie na dobre, jeśli tacy jak oni nie będą chodzić po ulicach. Coś musi być nie w porządku z ich myśleniem. Ciężko zrozumieć, jak ktokolwiek mógłby świadomie skrzywdzić dziecko.

- Ojciec, naprawdę nie trzeba ich próbować zrozumieć. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich znaleźć.

- To jest zadanie policji, sądów i ławy przysięgłych. Od tego mamy prawo, Jack - łagodnie odpowiedział Riley.

Ryan ponownie odwrócił się do okna. Spojrzał na swoje odbicie w szybie i zastanawiał się nad tym, co widzi. - Ojciec, dobry z ojca człowiek, ale nigdy ojciec nie miał dzieci. Może mógłbym wybaczyć komuś, kto dybie na mnie, ale nie temu kto chce skrzywdzić moją córeczkę. Jak go dorwę...

20

## Informacje

To była wyjątkowo nudna taśma. Owens przyzwyczał się już do drętwych raportów policyjnych, protokołów przesłuchań, czy najgorszych w tym względzie, analiz wywiadowczych, ale ta taśma była jeszcze gorsza. Mikrofon podrzucony do sklepu Cooleya przez Służbę Bezpieczeństwa uruchamiany był głosem i był na tyle czuły, że najmniejszy dźwięk włączał magnetofon. Zamiłowanie Cooleya do chrząkania pod nosem sprawiło, że Owens gorzko tego żałował. Detektyw, który słuchał tej taśmy przed nim pozostawił jedynie kilka minut tych atonalnych, okropnych dźwięków, by uzmysłowić szefowi, przez co musiał się przebijać. W końcu odezwał się dzwonek u drzwi. Owens słyszał skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi, który na taśmie nabrał metalicznego poddźwięku. Potem usłyszał krzesło obrotowe Cooleya, przesuwane tam i z powrotem, drapiące podłogę. Pewnie kółko odpada, pomyślał Owens.

- Dzień dobry - to głos Cooleya.

- Nawzajem - odpowiedział przybysz. - No jak, nacieszył się pan już tym Marlowem?

- Tak.

- To ile chce pan za niego?

Cooley nie odpowiedział, ale Ashley poinformował Owensa, że antykwariusz nigdy nie podawał cen, a tylko pisał je na odwrocie karty katalogowej. Owens uznał, że to pewnie sposób na uniknięcie targowania się.

- No, wie pan, to trochę drogo - odezwał się Watkins.

- Mógłbym dostać więcej, ale pan jest jednym z naszych najlepszych klientów - odpowiedział Cooley.

Z taśmy dobiegło westchnienie.

- Dobrze, jest tego warta.

Transakcji dokonano na miejscu. Słysząc było szelest odliczanych nowych banknotów.

- Może niedługo będę miał coś nowego z kolekcji w Kerry - powiedział Cooley.

- O? - w głosie klienta wyczuć można było zainteresowanie.

- Pierwsze wydanie „Wielkich Nadziei” Dickensa, z autografem. Widziałem je podczas ostatniej podróży. Czy byłby pan zainteresowany?

- Mówi pan, z autografem?

- Tak, proszę pana, podpisana przez samego Boża. Zdaję sobie sprawę, że książki z czasów wiktoriańskich wykraczają poza pańskie zainteresowania, ale ta jest z autografem autora...

- Rzeczywiście. Chciałbym ją oczywiście obejrzeć.

- To się da załatwić.

- W tej chwili - Owens odezwał się do Ashleya - Watkins pochylił się nad kontuarem i nasz agent u jubilera stracił go z oczu.

- Czyli mógł przekazać wiadomość?

- Prawdopodobnie. - Owens wyłączył magnetofon. Reszta rozmowy nie miała już znaczenia.

- Ostatnim razem w Irlandii Cooley nie był w hrabstwie Kerry. W ogóle nie ruszał się poza Cork. Odwiedził tam trzech antykwariuszy, spędził noc w hotelu i wypił kilka piw w pubie - zrelacjonował Ashley.

- W pubie?

- Tak, w Irlandii pije, ale w Londynie nigdy.

- Spotkał się tam z kimś?

- Tego nie da się stwierdzić z pewnością. Nasz człowiek nie podchodził do niego zbyt blisko. Miał nakaz być dyskretnym i udało mu się nie zostać zauważonym. - Ashley umilkł na chwilę, szukając jakiegoś fragmentu na taśmie. - To brzmiało tak, jakby płacił gotówką za tę książkę.

- Tak i to jest niezwykle. Jak większość z nas używa czeków i kart kredytowych do większości transakcji, ale tu płacił gotówką. W jego rejestrach bankowych nie ma ani jednego czeku wystawionego na antykwariat, często natomiast pobiera dość duże sumy w gotówce. To może się pokrywać z jego zakupami tam, ale może też nie.

- Bardzo dziwnie - Ashley myślał na głos. - Wszyscy... no w każdym razie ktoś, musiał wiedzieć, że tam chodzi.

- Czeki są datowane - podsunął Owens.

- Być może. - Ashley nie był przekonany, ale prowadził już dosyć dochodzeń, żeby wiedzieć, że nigdy nie miało się odpowiedzi na wszystkie pytania. Zawsze czegoś brakowało. - Zajrzałem wczoraj raz jeszcze do wojskowych akt Geoffa. Czy wiedziałeś, że stracił w Irlandii czterech ludzi ze swojego plutonu?

- Co takiego? No, to znaczy, że pasowałby do naszej łamigłówki. - Owens nie uważał tego za dobrą wiadomość.

- Tak też pomyślałem - zgodził się Ashley. - Kazałem jednemu z moich ludzi w Niemczech, którego pułk jest teraz częścią Brytyjskiej Armii Renu, pogadać z jednym z kolegów Watkina. Dowodził plutonem w tej samej kompanii, a teraz jest już podpułkownikiem.

Wspomniał, że Geoff ciężko to przeżył, upierał się że byli nie tam i nie wtedy, gdzie trzeba i że przez to stracił ludzi. To go przedstawia jakby w nieco innym świetle, nieprawdaż?

- Jeszcze jeden porucznik, który wie lepiej jak wygrać wojnę - uśmiechnął się Owens.

- Tak, wynieśmy się stąd i niech się ci cholerni Irlandczycy sami pozabijają. To dość powszechna opinia w wojsku.

Owens pomyślał, że to także dość powszechna opinia w całej Anglii.

- No, ale nawet to nie jest chyba wystarczającym motywem, czyż nie?

- Lepszy taki, jak żaden. Policjant mruknął aprobująco.

- Co jeszcze ten pułkownik powiedział twojemu człowiekowi?

- Wygląda na to, że Geoff miał w Belfaście pełne ręce roboty. On i jego ludzie widzieli dużo. Byli tam, gdy katolicy witali armię i widzieli, jak sytuacja diametralnie się zmienia. To były paskudne czasy dla każdego - niepotrzebnie dodał Ashley.

- To nadal niewiele. Mamy więc byłego młodszego oficera, teraz już paradującego we fraku, któremu nie podobało się w Północnej Irlandii. Zdarza mu się kupować stare książki od faceta stamtąd, który teraz prowadzi w pełni legalny interes w centrum Londynu. Każdy adwokat powie ci, że to czysty przypadek. Nie mamy nic, co by mogło służyć za dowód. Przeszłość każdego z tych ludzi jest tak czysta, że mogłaby kwalifikować ich do beatyfikacji.

- Ale to właśnie tych ludzi szukaliśmy - upierał się Ashley.

- Ja to wiem - Owens niemal się zdziwił, gdy powiedział to po raz pierwszy. Jego profesjonalizm mówił mu, że to może być pomyłka, ale instynkt podpowiadał mu co innego. Taki rozdźwięk nie był dla szefa C-13 niczym nowym, ale zawsze sprawiał, że czuł się nieswojo. Jeżeli jego instynkt go zwodził, to traciłby czas na zaglądnienie nie tam, gdzie trzeba, na badanie niewłaściwych ludzi. Tyle że do tej pory instynkt nigdy go nie zawiódł. -Ja to wiem, ale znasz reguły gry, a według nich nie mam nic, co mógłbym pokazać przełożonym. Komisarz wykopałby mnie z tym z biura i miałby rację. Nie mamy nic, poza niczym nie podbudowanymi podejrzeniami.

Obaj panowie popatrzyli na siebie przez kilka sekund w milczeniu.

- Nigdy nie chciałem być policjantem - potrząsnął głową uśmiechając się Ashley.

- Ja też nie. W wieku sześciu lat chciałem być maszynistą, ale ojciec powiedział, że w naszej rodzinie było już dosyć kolejarzy. Więc zostałem gliną. - Roześmieli się. Nic więcej nie mogli zrobić.

- Wzmoczymy inwigilację Cooleya na wyjazdach. Myślę, że z pańskiej strony niewiele więcej da się zrobić - powiedział w końcu Ashley.

- Musimy czekać na ich błąd. Wcześniej czy później, każdy się kiedyś musi pomylić.

- Ale czy zdążą się pomylić, zanim będzie za późno? Oto było pytanie.

- Tylko spojrzysz - powiedział Alex.

- Skąd to wytrzasnęliście? - zapytał zdumiony Miller.

- Normalka, chłopie. Firmy energetyczne ciągle robią zdjęcia lotnicze terenu, na którym działają. To pomaga w planowaniu i pomiarach. A tu - sięgnął do teczki -jest mapa topograficzna. Oto twój cel, chłopcze. -Alex podał Seanowi szkło powiększające zabrane z pracy, przez które obejrzał kolorowe zdjęcie, robione w słoneczny dzień. Można było rozróżnić nawet marki samochodów. To było pewnie zdjęcie z poprzedniego lata, bo trawa była świeżo skoszona.

- Jak wysoki jest klif?

- Wystarczająco, by nie chcieć z niego spaść. I na dodatek niestabilny. Nie pamiętam już, czy on jest z piaskowca, czy jakiejś innej kruszącej się skały, ale trzeba na niego uważać. Widzisz ten płot? Facet wie, że od krawędzi trzeba trzymać się z daleka. Mamy taki sam problem z elektrownią na Calvert Cliff. Tam jest taka sama struktura geologiczna i trzeba było dużo pracy, żeby zakład stanął na stabilnych fundamentach.

- Tylko jedna droga dojazdowa - zauważył Miller.

- I to ślepa. To jest problem. Mamy żleby tu i tu. Zauważ, że linia wysokiego napięcia idzie na przełaj, od tej drogi. Wygląda na to, że wzdłuż niej szła polna droga, łącząca się tu z tą drogą, teraz zarośnięta. To może nam pomóc.

- Jak? Nikt po niej nie przejedzie.

- Później ci powiem. W piątek idziemy na ryby.

- Co takiego? - Miller spojrzął na niego ze zdziwieniem.



- Chciałeś rzucić okiem na ten klif, nie? A poza tym teraz jest sezon na wątlusze. Uwielbiam wątlusze.

Breckenridge przypiął tarcze sylwetkowe. Wypadki Jacka na strzelnicę były teraz rzadsze, zwykle wpadał rano, przed zajęciami. Incydent pod bramą numer 3 dał do myślenia wartownikom z piechoty morskiej i cywilnym strażnikom. Dwóch żołnierzy i strażnik trenowało obok strzelanie z broni służbowej. To nie było już strzelanie na zaliczenie. Wszyscy starali się uzyskiwać jak najlepsze wyniki. Jack włączył silnik i ściągnął tarczę do siebie. Wszystkie pociski trafiły w środek tarczy.

- Nieźle, doktorze - skomentował stojący za jego plecami sierżant. - Jeżeli ma pan ochotę, możemy zrobić małe zawody. Myślę, że wystrzelałby pan jakiś medal.

Ryan pokręcił głową. Musiał się jeszcze wykąpać po porannym bieganiu.

- Nie chodzi mi o punkty, sierżancie.

- Kiedy mała wraca do domu?

- Mam nadzieję, że w przyszłą środę.

- To dobrze, sir. Kto się nią będzie opiekował?

- Cathy weźmie kilka tygodni urlopu.

- Żona pytała, czy będziecie państwo potrzebować jakiejś pomocy - powiedział Breckenridge.

Jack odwrócił się zdumiony.

- Sissy, znaczy żona komandora Jacksona, będzie z nami przez większość tego czasu. Proszę podziękować żonie w naszym imieniu, to było bardzo miłe z jej strony.

- Nie ma sprawy. Znalazł pan tych skurwieli? - Wycieczki Ryana do CIA nie były już tutaj sekretem.

- Jeszcze nie.

- Dzień dobry, Alex - powitał go kierownik. - Widzę, że zostałeś po godzinach. Mogę ci w czymś pomóc?

Bert Griffin przychodził do pracy wcześniej, ale rzadko spotykał Dobbensa, który o siódmej zwykle wracał do domu.

- Przyglądałem się planom tego nowego transformatora Westinghouse'a.

- Nudzisz się na nocnej zmianie, co? - zapytał z uśmiechem Griffin. Ta pora roku w pracy pogotowia energetycznego była zawsze martwym sezonem. W lecie, kiedy wszyscy włączają klimatyzatory, będzie oczywiście zupełnie inaczej. Wiosna sprzyjała nowościom.

- Myślę, że już dojrzelismy do tego, żeby go wypróbować.

- Czy on jest już dopracowany w szczegółach?

- Prawie całkiem, w każdym razie wystarczająco, żeby go sprawdzić w terenie.

- Dobra. - Griffin usiadł głębiej w fotelu. - Opowiadaj.

- Przede wszystkim, sir, martwię się tymi awariami. To się jeszcze pogorszy, jak będziemy remontować stare transformatory. W zeszłym miesiącu mieliśmy ten wylew...

- O, tak - Griffin przewrócił oczami. Większość używanych przez nich transformatorów zawierała PBB (polibrominaty dwufenolowe) jako chłodziwo wewnątrz bloków przetwornika. To powodowało zagrożenie dla obsługujących je techników, którzy powinni przystępować do pracy przy nich w ubraniach ochronnych, ale mimo surowych zarządzeń, często nie zwracali sobie tym głowy. Substancja ta była więc zagrożeniem dla monterów, poza tym, okresowo trzeba ją było spuszczać i utylizować. To było drogie, groziło wylewami i wymagało tyle

papierków, że zaczynało iść w zawody z komplikacjami wiążącymi się z użytkowaniem należącej do firmy elektrowni atomowej. Westinghouse eksperymentował z transformatorem chłodzonym całkowicie obojętną dla środowiska cieczą zamiast PBB.

Transformatory takie, choć droższe, gwarantowały tańszą eksploatację, czyli większą opłacalność na dłuższą metę, a poza tym, pomagały zapobiec kłopotom z organizacjami obrońców środowiska, co było warte każdych pieniędzy.

- Alex, jeżeli uda się uruchomić taki transformator, to osobiście wręczę ci kluczyki do nowego firmowego samochodu.

- No cóż, chciałbym go wypróbować. Westinghouse zgodził się użyczyć nam jednego do prób za darmo.

- To zaczyna brzmieć naprawdę dobrze - przyznał Griffin. - Ale czy oni już całkiem usunęli wady prototypów?

- Mówią, że im się udało, poza chwilowymi wahaniami napięcia. Nie mogą dojść do tego, co je powoduje i chcą poddać transformator testom terenowym, żeby się dowiedzieć.

- Jak duże są te wahania?

- Marginalne. - Alex wyciągnął dokument i odczytał liczby. - Wygląda na to, że wywołuje je otoczenie. Zdaje się, że występują wtedy, gdy temperatura powietrza zmienia się gwałtownie. Jeżeli naprawdę to jest przyczyną, to powinno się dać ten problem rozwiązać bez większych trudności.

Griffin pomyślał nad tym kilka chwil.

- Dobrze, gdzie chciałby pan go ustawić?

- Wybrałem takie miejsce w okręgu Anne Arundel, na południe od Annapolis.

- To daleko stąd. Dlaczego właśnie tam?

- Bo to ślepa linia. Jeżeli transformator wysiadzie, ucierpi tylko kilka domów. Poza tym zaledwie trzydzieści kilometrów stamtąd mam ekipę przeszkoloną na tym nowym sprzęcie. Ustawimy aparaturę pomiarową, a potem będą mogli przez pierwsze parę miesięcy codziennie tam wpadać i robić przeglądy. Jak wszystko wypali, to na jesieni będziemy mogli wysłać zamówienie i zacząć instalować je od następnej wiosny.

- Dobrze. Gdzie to dokładnie jest? Dobbens rozwinął mapę na stole Griffina.

- O, tu.

- Ekskluzywna okolica - zauważył niepewnie kierownik.

- Oj, szefie - parsknął Alex. - Jak to będzie wyglądało w gazetach, jeżeli będziemy eksperymentować tylko na biedakach? A poza tym - uśmiechnął się - tylko maniacy od ochrony środowiska mogą sobie pozwolić na mieszkanie w czymś takim, czyż nie?

Dobbens rozmyślnie potrzącił tę strunę. Jednym z ulubionych worków treningowych Griffina byli „obrońcy środowiska z Park Avenue”. Kierownik miał pod miastem małą farmę i bardzo nie lubił dyletantów tłumaczących mu na siłę zawiloci natury.

- Dobrze, możesz się tym zająć. Kiedy zaczynacie?

- Westinghouse może nam podesłać transformator w końcu następnego tygodnia, trzy dni później będzie już zmontowany i uruchomiony. Potem chciałbym sprawdzić linię, a jeżeli nie będzie pan miał nic przeciwko temu, to chciałbym go zamontować osobiście.

Griffin aprobująco pokiwał głową.

- Podobasz mi się, synu. Większość chłopaków po szkole, którzy teraz przychodzą, boi się pokalać sobie rączki. Informuj mnie na bieżąco.

- Tak, sir.

- Pracuj tak dalej, Alex. Chwaliłem cię w dyrekcji.

- Doceniam to, panie Griffin.

Dobbens wyszedł i pojechał do domu dwuletnim firmowym Plymouthem. Większość kierowców wjeżdżało teraz do miasta w porannych godzinach szczytu, podczas gdy on wyjeżdżał.

W ciągu mniej niż godziny był w domu. Sean Miller właśnie się obudził, pił herbatę i oglądał telewizję. Alex zastanawiał się jak można zaczynać dzień od herbaty. Zrobił sobie kawę.

- No i jak? - zapytał Miller.

- Bez problemu - uśmiechnął się Alex, ale zaraz spoważniał. Wydało mu się, że minął się z powołaniem. Po całej tej gadaninie o dawaniu Mocy ludowi, zdał sobie sprawę po rozpoczęciu pracy w BG&E, że jako inżynier energetyk robi właśnie to, o czym mówił. Jak na ironię, służył teraz zwyczajnym ludziom, choć może w mniej efektowny sposób. Dobbens uznał to za dobrą wprawkę przed realizacją swych bardziej ambitnych celów na przyszłość. Pamiętał, że służy nawet ten, kto służy w pokorze. To ważna lekcja na przyszłość.

- Chodź, pogadamy o tym w łodzi.

Środa była specjalnym dniem. Jack odłożył na bok obie prace, niósł teraz misia, podczas gdy Cathy prowadziła wózek, na którym siedziała ich córka. Miś był prezentem od słuchaczy, którzy uczęszczali na jego wykłady. Był to ogromny potwór, ważący dwadzieścia pięć kilo i mający niemal metr sześćdziesiąt wzrostu, z kapeluszem Misia Smokey, a dokładniej instruktora musztry piechoty morskiej podarowanym przez Breckenridge'a i wartowników, na głowie. Policjant otworzył drzwi, torując drogę procesji. To był wietrzny marcowy dzień, ale rodzinne kombi było zaparkowane tuż obok drzwi. Jack wziął córkę na ręce, podczas gdy Cathy dziękowała pielęgniarce. Upewnił się, że siedzi w swoim foteliku na środku tylnej kanapy i sam zapiął jej pasy. Miś jechał z tyłu.

- No co, Sally, gotowa jesteś na powrót do domu?

- Tak. - Jej głos brzmiał apatycznie. Pielęgniarki mówiły, że jeszcze zdarza jej się krzyczeć przez sen. Jej nogi zagoiły się już wreszcie całkowicie. Znowu mogła chodzić, z trudem i niepewnie, ale chodziła. Poza utratą śledziony była znowu cała. Włosy miała teraz obcięte na krótko, do równego z włosami wyrosłymi w wygolonych miejscach głowy, ale i te wkrótce odrosną. Nawet blizny miały według chirurgów zniknąć, a pediatrzy zapewniali go, że za kilka miesięcy skończą się także nocne koszmary. Jack odwrócił się, żeby pogłaskać ją dłonią po buzi i został za to wynagrodzony uśmiechem. Nie do takich uśmiechów przywykł niegdyś. Za zasłoną własnego uśmiechu gniew Jacka znowu zaczął kipieć, ale powiedział sobie, że teraz nie było na to czasu. Sally potrzebowała ojca, a nie mściciela.

- Czeka na ciebie niespodzianka - powiedział.

- Jaka? - zapytała.

- Jak ci powiem, to nie będzie niespodzianka - tłumaczył ojciec.

- Tatum! - Przez chwilę była dawną Sally.

- Poczekaj, to zobaczysz.

- Co zobaczysz? - zapytała Cathy wsiadając do samochodu.

- Niespodziankę.

- Jaką niespodziankę?

- Widzisz - powiedział Jack córeczce - nawet mama nie wie.

- Jack, o co chodzi?

- Porozmawiałem sobie z doktorem Schenkiem w zeszłym tygodniu - Ryan powiedział tylko tyle.

Zwolnił ręczny hamulec i ruszył ku Broadwayowi.

- Ja chcę mojego misia - powiedziała Sally.

- Ale on jest za duży, żeby siedział razem z tobą, kochanie - odpowiedziała Cathy.

- Za to możesz założyć jego kapelusz. Zgodził się na to. - Jack podał go do tyłu. Wojskowy kapelusz z szerokim rondem wpadł jej głęboko na uszy.

- Podziękowałaś dzieciakom za misia? - zapytała Cathy.

- Pewnie, że tak - przez chwilę się uśmiechał. - W tej sesji nikt nie obleje. Ale nie mów tego nikomu.

Jack miał opinię surowego egzaminatora, która to opinia pewnie nie przeżyje tego semestru. Do cholery z zasadami, pomyślał. Jego słuchacze zasypywali Sally ciągłym strumieniem kwiatów, zabawek, układanek i pocztówek, dających rozrywkę dziewczynce i potem trafiających dalej do ponad pięćdziesięciu chorych dzieci. Miś Smokey był ukoronowaniem wszystkiego. Pielęgniarki mówiły, że to był przełom w kuracji. Ogromna zabawka siedziała na łóżku małej, która tuliła się do niej. Teraz będzie z tym trudniej, ale Jack już się postarał o coś nowego. Skip Tyler zajmował się właśnie ostatnimi przygotowaniami.

Jack nie śpieszył się, jadąc jakby wiózł ładunek popękanych jajek. Jego pobyt w CIA obudził w nim głód nikotyny, ale wiedział, że teraz będzie musiał z tym skończyć, bo Cathy będzie stale w domu. Starał się unikać tej drogi, którą jechała Cathy tego dnia, gdy... Dłonie zacisnęły mu się na kierownicy, jak za każdym razem gdy

o tym pomyślał. Wiedział, że musi przestać myśleć o tym tyle. To już zaczynała być obsesja, a wiedział, że to w niczym nie pomoże.

Okolica zmieniła się od czasu... czasu wypadku. Gołe drzewa okryte były pąkami i liśćmi, zaczynała się wiosna. Konie i krowy były na pastwiskach. Widać było żrebaki i cielęta, a Sally przykleiła się nosem do szyby, oglądając je. Jak co roku natura odradzała się, pomyślał Ryan. Jego rodzina była znowu w komplecie i on ją tak utrzyma. Wreszcie dojechali do ostatniego zjazdu, na Falcon's Nest Road. Jack zauważył, że furgon pogotowia energetycznego stał jeszcze w tym samym miejscu. Przez chwilę, zastanowił się, co mogło się stać i skręcił w lewo na drogę dojazdową do domu.

- Jest tam Skip? - zapytała Cathy.

- Tak wygląda - odpowiedział Jack z tłumionym uśmiechem.

- Są w domu - powiedział Alex.

- Tak - zauważył Louis. Obaj siedzieli na szczycie słupa linii energetycznej, łącząc przewody doprowadzające prąd do eksperymentalnego transformatora.

- Wiesz, w dzień po tamtej robocie - powiedział monter - w gazetach były zdjęcia tej kobiety. Jakiś dzieciak wjechał w szybę

i miał całą twarz pociętą. Ten mały był czarny, Alex, a ona mu uratowała wzrok, człowieku.

- Pamiętam, Louis - Alex podniósł aparat i zrobił serię zdjęć.

- Nie lubię pieprzyć się z dziećmi, człowieku - ciągnął Louis. - Gliniarz, to inna sprawa - dodał na swoją obronę. Że ojciec dziewczynki byłby też inną sprawą, nie musiał dodawać. To był biznes. Tak jak w Alexie, kołatały się w nim jeszcze resztki skrupułów i robienie krzywdy dzieciom nie przychodziło mu łatwo.

- Może mieliśmy trochę szczęścia. - Alex wiedział, że obiektywnie rzecz biorąc była to jak na rewolucjonistę bardzo głupia myśl. W jego misji nie było miejsca na sentymenty, które przeszkadzały, wydłużając sprawę i pociągając więcej ofiar po drodze. Wiedział także, że tabu nieszkodzenia dzieciom jest częścią genetycznego programu każdej istoty ludzkiej. Rodzaj ludzki poczynił w nauce wielkie postępy od czasów Marksa i Lenina. Zakładał, że to zjedna mu sympatię w społeczeństwie, które miał zamiar wyzwolić.

- Tak.

- No więc, co tam widziałeś?

- Mają pokojówkę, oczywiście czarną. Bardzo ładna babka, jeździ Chevroletem. Teraz jest tam jeszcze ktoś. Duży, biały facet, który jakoś tak śmiesznie chodzi.

- Dobra. - Alex zanotował pierwszą wiadomość, drugą puszczał mimo uszu. To pewnie jakiś przyjaciel rodziny.

- Gliny, policja stanowa, zaglądały tu co minimum dwie godziny. Wczoraj jeden pytał, co tu robimy. Do domu doprowadzona jest nowa linia telefoniczna, pewnie podłączona do alarmu. Czyli mają alarm w mieszkaniu i gliny są zawsze w pobliżu.

- Dobrze. Obserwuj dalej, ale staraj się nie rzucać w oczy.

- Tak jest.

- Jesteśmy w domu - odetchnął z ulgą. Zatrzymał samochód i wysiadł, obchodząc go i otwierając drzwi Sally.

Zauważył, że tym razem dziewczynka nie bawiła się zamkiem swojego pasa. Sam zajął się jego odpięciem, a potem wziął córkę na ręce i wyciągnął ją z wozu. Objęła go ramionami za szyję i przez chwilę życie było znowu wspaniałe. Poniósł Sally do drzwi frontowych przyciskając ją do piersi.

- Witaj w domu. - Skip zdążył już otworzyć drzwi.

- Gdzie moja niespodzianka? - domagała się Sally.

- Niespodzianka? - Tyler aż się cofnął. - Nic nie wiem o żadnej niespodziance.

- Tato! - Jack odebrał oskarżycielskie spojrzenie.

- Wejdz dalej - powiedział Tyler.

Pani Hackett też tam była. Przygotowała dla wszystkich obiad. Będąc samotną matką dwojga dzieci ciężko pracowała na ich utrzymanie. Ryan postawił córkę na podłodze, a ta poszła do kuchni. Skip Tyler i Jack obserwowali jak pokonuje ten dystans na sztywnych nogach.

- Boże, aż dziw jak się wszystko na tych dzieciakach goi - zauważył Tyler.

- Co takiego? - zdziwił się Jack.

- Złamałem kiedyś nogę grając w piłkę, niech mnie cholera jeżeli tak szybko doszedłem do siebie. Chodź. - Tyler skinął na Jacka, by wyszedł za drzwi. Najpierw obejrzel misia w bagażniku - Słyszałem, że to kawał niedźwiedzia, ale on wygląda jakby grał w Chicago!

(Chicago Bears (Chicagowskie Niedźwiedzie) - zawodowa drużyna hokejowa ligi NHL z Chicago).

Potem poszli między drzewa na północ od domu Ryanów. Tam znaleźli niespodziankę, przywiązaną do drzewa. Jack odwiązał łańcuch i wziął ją na ręce.

- Dzięki za przywiezienie jej tutaj.

- Nie ma sprawy. Dobrze, że już wróciliście do domu.

Dwaj mężczyźni wrócili do domu. Jack wyjrzał zza rogu i zobaczył, że Sally pochłania właśnie kanapkę z masłem orzechowym.

- Sally - zawołał córkę. Żona patrzyła na niego z szeroko otwartymi ustami. Głowa córki odwróciła się właśnie wtedy, gdy stawiał szczeniaka na podłodze.

To był czarny labrador, wyrosnięty akurat na tyle żeby można go było oddzielić od matki. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by wiedział, kto będzie odtąd jego panią. Podbiegł do Sally ślizgając się po parkiecie, głównie bokiem, dziko wywijając ogonem. Sally usiadła na podłodze, obejmując go. Chwilę potem pies wylizywał jej twarz.

- Ona jest za mała na szczeniaka - powiedziała Cathy.

- Dobrze, więc możemy go jeszcze dzisiaj oddać - spokojnie odpowiedział Jack. Ta uwaga ściągnęła na niego gniewne spojrzenie. Sally pisnęła, gdy pies zaczął gryźć obcas jednego z jej butów. - Na kucyka jest jeszcze za mała, ale myślę, że pies będzie akurat w sam raz.

- Ty go będziesz tresował!

- To będzie łatwe. Ma wspaniałą rodowód. Jego ojcem jest Champion Chesapeake's Victor

Hugo Black, masz pojęcie? Labradory mają miękkie pyski i lubią dzieci - kontynuował Jack. - Zapisałem go na szkolenie.

- Jakie szkolenie? - Cathy już zupełnie nic nie rozumiała.

- To są myśliwskie labradory - podkreślił Jack.

- A jak duży urośnie?

- Och, może ze czterdzieści kilo...

- Czyli będzie większy od niej!

- Tak, poza tym one uwielbiają pływać. Będzie jej pilnował w basenie.

- Przecież my nie mamy basenu.

- Zaczniemy mieć za trzy tygodnie - uśmiechnął się Jack. - Doktor Schenk mówił, że pływanie to dobra terapia przy tego rodzaju urazach.

- Widzę, że nie marnowałeś czasu - zauważyła żona. Ona już też się uśmiechała.

- Chciałem kupić nowofunlanda, ale one są po prostu za duże, dochodzą do sześćdziesięciu kilogramów - Jack nie powiedział, że początkowo chciał psa, który byłby na tyle duży i miał na tyle siły, by urwać łeb każdemu, kto zbliży się nieproszony do ich córki, ale zdrowy rozsądek wziął górę.

- Dobra, na razie masz robotę. - Cathy wskazała palcem.

Jack wziął papierowy ręcznik by wytrzeć kałużę, która pojawiła się na kaflach podłogi. Zanim się do tego zabrał, córka o mało go nie udusiła, wyściskując w podzięce. Musiał się opanować, bo jego córka mogłaby nie zrozumieć, dlaczego tata płacze. Świat wrócił na swoje miejsce. Teraz tylko trzeba go było tam utrzymać.

- Jutro będę miał zdjęcia. Chciałem, żeby je wykonano zanim liście zasłonią widok. Potem domu z drogi nie będzie widać tak dobrze - podsumował Alex wyniki rekonesansu.

- Co z tym domem?

Alex odczytał informacje z notatek.

- Skąd do cholery bierzesz to wszystko? Dobbens parsknął śmiechem, otwierając piwo.

- To proste, człowieku. Jeżeli chcesz danych o zabezpieczeniach, po prostu dzwonisz do firmy, która je zakładała i podajesz się za agenta ubezpieczeniowego. Podajesz im numer polisy, oczywiście zmyślony na poczekaniu, a oni ci podają żądane informacje. Ryan ma obwodowy system ochrony terenu i pomocniczy alarm włamaniowy „z kluczami”, to znaczy, że ta firma ma klucze od jego domu. Gdzieś tam są zainstalowane czujniki podczerwieni, pewnie na podjeździe, między drzewami. Ten facet nie jest głupi, Sean.

- To nie gra roli.

- Dobra, tak tylko mówię. I jeszcze jedno.

- Tak?

- Tym razem nic nie może się stać dziecku ani żonie, jeżeli chcesz, żebyśmy wam pomogli.

- To nie leży w moich zamiarach - zapewnił go Miller. Ty pieprzony gnoju, pomyślał. Nauczył się tego słowa tu, w Ameryce. Co z ciebie za rewolucjonista?

- To wyszło od moich ludzi - ciągnął Alex, mówiąc tylko pół prawdy. - Musisz zrozumieć Sean, że ataki na dzieci są tu bardzo źle widziane. A nie chcemy przecież wyrobić sobie takiego wizerunku, kapujesz?

- I chcecie ewakuować się z nami?

- To może okazać się konieczne - przytaknął Dobbens.

- Myślę, że tego da się uniknąć. Wystarczy zlikwidować wszystkich, którzy widzieli wasze twarze.

Ty mały zimny skurwysynu, pomyślał Dobbens, choć przecież to miało jak najbardziej sens.

Trupy nie zeznają.

- Dobrze. Teraz tylko musimy znaleźć sposób na to, żeby ochrona się odprężyła - powiedział Irlandczyk. - Nie chciałbym się tam wdzierać przemocą.

- Myślałem o tym. - Alex pomilczał przez chwilę, zanim zaczął mówić dalej. - Jak armie wygrywają bitwy?

- O co ci chodzi? - zapytał Miller.

- O wielkie, wspaniałe plany, takie, które wypaliły. One się wszystkie sprawdzają, bo przeciwnikom podsuwa się to, czego oczekują, tak? Spraw, żeby pogonili za fałszywą przynętą, ale ta fałszywka musi być naprawdę dobra. Musimy sprawić, żeby szukali niewłaściwych rzeczy w niewłaściwym miejscu i uwierzyli w to.

- Ale jak to zrobić?

Po dwóch minutach wyjaśnień kiwnął głową.

Alex wyszedł parę minut później do siebie, zostawiając Millera przed telewizorem z materiałami do przejrzania. Ogólnie była to bardzo użyteczna wycieczka. Plan zaczynał przybierać konkretny kształt. Będzie wymagał masy ludzi, ale to wiadomo było od początku.

Co dziwne, jego szacunek dla Alexa malał. Był kompetentny, owszem, nawet błyskotliwy w planowaniu akcji dezinformacyjnej, ale ten absurdalny sentymentalizm! Sam Miller też nie lubował się w krzywdzeniu dzieci, ale jeżeli tego wymagała rewolucja, to była to cena, którą należało zapłacić. Poza tym, to przyciąga uwagę ludzi. Przekonywało ich, że on i jego organizacja na serio zabierali się do roboty. Dokąd Alex do tego nie dorośnie, nie ma szans na zwycięstwo. Ale to nie był problem Millera. Pierwsza część operacji rysowała mu się w głowie. Część druga była gotowa i jej realizacja raz już została przerwana. Ale nie tym razem, obiecał sobie Miller.

Przed południem następnego dnia Alex wręczył mu zdjęcia i odwiózł go na pętlę waszyngtońskiego metra. Miller pojechał metrem na lotnisko międzynarodowe, żeby wsiąść w pierwszy z czterech samolotów, które miały go zawieźć do domu.

Jack wszedł do sypialni córki tuż przed jedenastą. Pies, którego Sally nazwała Ernie, był niewidocznym kształtem w rogu pokoju. Jego zakup był jedną z najmądrzejszych rzeczy, jakie zrobił w życiu. Sally była zbyt zakochana w Erniem, by myśleć o bólu, goniła za nim tak szybko, jak pozwalały jej poranione nogi. To wystarczało, by ojciec nie zwracał uwagi na pogryzione buty i zdarzające się czasem pomyłki, których rezultaty zaśmiecały dom. Za kilka tygodni wszystko się unormuje. Jack okrył córkę szczelnie, zanim wyszedł.

Cathy była już w łóżku, gdy dotarł do sypialni.

- Wszystko u niej w porządku?

- Śpi jak aniołek - odpowiedział Jack, wślizgując się pod koc obok niej.

- A Ernie?

- Jest tam gdzieś. Słyszałem jak uderzał ogonem o ścianę.

Objął ją ramionami. Trudno było ją teraz do siebie przytulić. Położył jedną rękę na jej brzuchu i starał się wyczuć kształty nienarodzonego dziecka.

- A jak tam małeństwo?

- Wreszcie się uspokoił. Boże, jaki on jest aktywny. Tylko go nie budź.

Jackowi pomysł, że dzieci śpią przed narodzeniem wydawał się absurdalny, ale nie będzie się przecież kłócił z lekarzem.

- On?

- Tak mówi Madge.

- A co mówiła o tobie? - Czuł jej zębra obok. Za bardzo wystawały. Zawsze była szczupła, ale

to już była przesada.

- Znowu nabieram wagi - odpowiedziała Cathy. - Nie musisz się o nic martwić, wszystko jest w porządku.

- To dobrze - pocałował ją.

- Tylko tyle? - dobiegł go głos z ciemności.

- A myślisz, że dasz sobie radę z czymś więcej?

- Jack, nie idę jutro do pracy - zauważyła.

- Ale niektórzy z nas muszą - zaprotestował, ale bez przekonania.

21

Plany

- On jest dokładny - zauważył O'Donnell. Miller wrócił ze zdjęciami lotniczymi, które skopiował dla niego Dobbens, mapami topograficznymi, zdjęciami domu Ryanów od lądu i z morza. Do tego dołączone były notatki zrobione przez Alexa i jego ludzi oraz inne dane, które mogły mieć znaczenie.

- Ale niestety pozwala swoim odczuciem przeszkadzać sobie w pracy - zimno wtrącił Miller.

- A ty tego nie robisz, Sean? - łagodnie wytknął mu O'Donnell.

- To się więcej nie powtórzy - przyrzekł oficer operacyjny.

- To dobrze. Ważne, że potrafisz uczyć się na błędach. Teraz przejdźmy do proponowanej operacji.

Sean wyjął jeszcze dwie mapy i w ciągu dwudziestu minut przedstawił swój plan. Zakończył sugestią dezinformacyjną Dobbensa.

- Podoba mi się. - O'Donnell zwrócił się do szefa wywiadu. - A co ty o tym myślisz, Joseph?

- Siły przeciwnika będą oczywiście znaczne, ale plan bierze to po pod uwagę. Niepokoi mnie tylko to, że będziemy musieli użyć prawie wszystkich ludzi, jakich mamy.

- Nic innego nie rokuje szans na realizację - odpowiedział Miller. - Chodzi nie tyle o przedostanie się wystarczająco blisko celów, co o wydostanie się stamtąd po wykonaniu zadania. Najważniejsze jest zgranie w czasie...

- A kiedy liczy się zgranie w czasie, plan musi być prosty - skinął głową O'Donnell, - Czy jest jeszcze coś, czego może spróbować przeciwnik?

- Chyba nie - powiedział McKenney. - Ten plan budowano w oparciu o najmniej korzystne założenia.

- Śmigłowce - powiedział Miller. - Poprzednim razem omal nas nie dorwały. Jeżeli będziemy na to przygotowani, nie stanowi to zbytniego problemu, ale musimy być na to przygotowani.

- Dobrze - powiedział O'Donnell. - A druga część operacji?

- Oczywiście musimy wiedzieć, kiedy wszystkie cele zbiorą się razem - odparł szef wywiadu. - Kiedy mam uruchomić naszych ludzi? - Agenci McKenneya trwali w uśpieniu od kilku tygodni.

- Jeszcze nie teraz - z namysłem odparł dowódca. - To także sprawa zgrania w czasie. Sean?

- Myślę, że ewakuację należałoby rozpocząć dopiero po upewnieniu się, że zadanie zostało wykonane.

- Tak, poprzedni raz dowiodł, że to dobry pomysł - zgodził się dowódca. - Ilu ludzi potrzeba do przeprowadzenia operacji?

- Przynajmniej piętnastu. Myślę, że możemy liczyć na trzech dobrze wyszkolonych ludzi od Alexa, wliczając w to jego. Ale na tym koniec, powinniśmy ograniczyć jego udział do niezbędnego minimum.



- Zgoda - odezwał się McKenney.

- Trening? - zapytał o'Donnell.

- Jak jeszcze nigdy dotąd.

- Kiedy zaczynamy?

- Na miesiąc przed - odparł Miller. - Wcześniej byłoby to marnotrawstwem. Na razie i tak mam pełne ręce roboty.

- No więc tak wyglądają plany - powiedział Murray. - Mogą mieszkać w waszej ambasadzie, albo umieścimy ich w Blair House, po drugiej stronie ulicy od prezydenta.

- Z całym należnym chłopcom z Ochrony Białego Domu szacunkiem... - szef Ochrony Korpusu Dyplomatycznego nie musiał kończyć. Bezpieczeństwo Ich Królewskich Mości leżało w jego rękach i nie chciał polegać na cudzoziemcach bardziej niż to było konieczne.

- Tak, rozumiem. Zapewnimy im cały oddział z Ochrony Białego Domu, dwóch łączników FBI i jak zwykle asystę lokalnej policji. Poza tym mamy tam dwie grupy antyterrorystyczne na ostrym dyżurze w czasie wizyty, jedną w Waszyngtonie i drugą odwodową w Quantico.

- Jak wielu ludzi o tym wie? - zapytał Ashley.

- Członkowie Ochrony Białego Domu i ludzie z Biura zostali poinformowani o wszystkim. Kiedy wasi ludzie zaczną tam przybywać, oni zabezpieczą już większość miejsc. Lokalne policje będą się dowiadywać w miarę konieczności.

- Powiedział pan, że zabezpieczona będzie większość miejsc, ale nie wszystkie?

- Czy chcecie byśmy zabezpieczali nie ogłoszone oficjalnie punkty programu już teraz?

- Nie. - Szef OKD pokręcił głową. - Wystarczająco źle jest, że już teraz mieliśmy ujawnić oficjalne punkty programu. Zresztą, to że Ich Królewskie Mości jadą do Ameryki nie zostało jeszcze podane do wiadomości. Zaskoczenie jest naszą najlepszą obroną.

Owens spojrzał na niego, ale nie zareagował. Szef OKD był na jego liście podejrzanych, a jemu nakazano nie zdradzać nikomu ustaleń śledztwa. Owens nie podejrzewał go, ale jego detektywi znaleźli w życiu prywatnym tego człowieka kilka haków, które jakoś do tej pory uszły uwagi dotychczasowych kontroli. Póki nie będzie pewności, że nie jest zagrożony szantażem, nie będzie się mógł dowiedzieć, że kilku podejrzanych już widziało rozkład wizyty. Szef C-13 rzucił Murrayowi ironiczne spojrzenie.

- Mam wrażenie, że panowie trochę przesadzacie, ale to wasz problem - powiedział przedstawiciel FBI. - Wasi ludzie odlatują jutro?

- Zgadza się.

- Okej, na lotnisku Dullesa będzie na nich czekał Chuck Avery z Ochrony Białego Domu. Powiedźcie im, żeby nie mieli oporów przed proszeniem o to, co im będzie potrzebne. Będziecie mieli z naszej strony pełną współpracę.

Popatrzył na nich, gdy wychodzili. Pięć minut później Owens był z powrotem.

- Co jest, Jimmy? - zapytał Murray.

- Czy są jakieś postępy w sprawie tych, którzy zaatakowali Ryanów?

- Nic przez ostatnie dwa tygodnie - przyznał Murray. - A u was?

- Chyba zlokalizowaliśmy przeciek, a dokładniej podejrzewamy, że być może znamy prawdopodobne źródło.

Łącznik FBI uśmiechnął się.

- Znam to uczucie. Kto to taki?

- Geoffrey Watkins. Reakcja nastąpiła po chwili.

- Ten facet ze spraw zagranicznych? Cholera! Czy jest na liście jeszcze ktoś, kogo znam?

- Facet, z którym przed chwilą rozmawiałeś. Ludzie Ashleya wygrzebali mu, że wierność małżeńską traktuje z przymrużeniem oka.

- Chłopcy czy dziewczynki? - Murray przyjął kpiarski ton Owensa. - Czyli on nie wie, Jimmy?

- Jeszcze nie wie, że plan podróży jest spalony. Watkins jest na tej samej liście, co nasz przyjaciel z OKD.

- Nie no, po prostu wspaniale! Plan może być spalony, ale nie można o tym powiedzieć szefowi ochrony, bo być może to właśnie on kabluję!

- To właściwie niemożliwe, ale musimy to brać pod uwagę.

- Odwołaj ten wyjazd, Jimmy. Choćbyś mu musiał złamać nogę, odwołaj go w cholere!

- Nie możemy. On się nie zgodzi. Rozmawiałem z Jego Wysokością przedwczoraj i przedstawiłem mu problem. On nie pozwoli, żeby jego życiem rządzono w ten sposób.

- To po co mi to mówisz? - Murray przewrócił oczami.

- Komuś muszę powiedzieć, Dan. Jeżeli nie mogę przemówić do rozsądku swoim, to... - Owens rozłożył ręce.

- Czyli chcesz, żebyśmy ten wyjazd odwołali za ciebie, tak? - naciskał Murray. Wiedział, że Owens mu tego nie powie. - Powiedzmy to sobie jasno i szczerze. Chcicie, żeby nasi ludzie mieli się na baczności, gdyż istnieje realne zagrożenie atakiem, a jeden z waszych chłopaków może okazać się wrogiem.

- Zgadza się.

- To nie wprawi ludzi u nas w dobry nastrój.

- Mnie to też niezbyt odpowiada, Dan - odpowiedział Owens.

- No cóż, Bill Shaw będzie miał o czym myśleć. - Nagle uderzyła go inna myśl. - Jimmy, na tym haku wisi cholernie droga żywa przynęta...

- On o tym wie. A naszą robotą jest odganianie rekinów, czyż nie? Murray pokiwał głową. Najlepiej byłoby znaleźć jakiś powód do

odwołania wizyty, a co za tym idzie zwałenia problemu na Owensa i Ashleya. Ale to by oznaczało udział Departamentu Stanu. Dyplomaci utopiliby taki pomysł od razu, tego Murray był pewien. Nie można nie zaprosić przyszłej głowy zaprzyjaźnionego państwa tylko dlatego, że FBI i Ochrona Białego Domu nie są pewne, czy mogłyby mu zapewnić bezpieczeństwo. „Reputacja amerykańskich organów ścigania byłaby przez to wystawiona na pośmiewisko”. Pewnie tak by to ujęli, wiedząc że w razie czego to nie oni będą odpowiadać za jego bezpieczeństwo.

- Co macie na Watkina? - spytał po chwili.

Owens zaprezentował mu nikły „materiał dowodowy”.

- I tyle?

- Dalej szukamy, ale jak na razie nie znaleźliśmy nic bardziej namacalnego. To wszystko mogą być oczywiście zbiegi okoliczności.

- Nie, wygląda na to, że macie rację. - Murray też nie wierzył w zbiegi okoliczności. - Ale też nie ma tu nic, co by można zanieść do sądu. Myśleliście o tym, żeby go wystawić?

- Mówisz o tym, żeby go sprowokować jakąś nagłą zmianą planu podróży? Tak, braliśmy to pod uwagę. Ale co wtedy? Załóżmy, że to zrobiliśmy. Widzimy, że Watkins wchodzi do sklepu. Zgarniamy ich obu, jeżeli oczywiście będziemy w stanie udowodnić, że robią to, o czym myślimy. Tyle tylko, że w ten sposób palimy jedyny ślad ULA, jaki kiedykolwiek mieliśmy, Dan. W tej chwili śledzimy Cooleya tak blisko, jak to tylko możliwe. On ciągle podróżuje. Jeżeli ustalimy, z kim się kontaktuje, może będziemy mogli zwinąć ich wszystkich. To co sugerujesz, to jest jakiś sposób, ale nie najlepszy. Na razie, jak wiesz, mamy czas. Mamy jeszcze kilka miesięcy na zastanowienie, zanim

pójdziemy na tak drastyczne rozwiązanie.

Murray pokiwał głową, nie tyle zgadzając się z Owensem, co rozumiejąc jego sytuację. Możliwość znalezienia i zniszczenia bandy o'Donnella musiała bardzo nęcić Scotland Yard. Zapuszkowanie teraz samego Cooleya na pewno by nie wynagrodziło straconej szansy. Nie można jej było tak po prostu odrzucić. Wiedział, że Biuro działałoby zapewne tak samo.

- Jack, chciałbym żebyś ze mną poszedł - powiedział Marty Cantor. - Nie zadawaj pytań.

- Co? - Ryan napotkał karcący wzrok. - No dobra, dobra. Poskładał teczki nad którymi pracował, zamknął je w sejfie, a potem zdjął z oparcia krzesła marynarkę.

Cantor zaprowadził go za róg do wind. Zjechawszy na pierwsze piętro poprowadził go szybko korytarzem na zachód, przez łącznik do nowego budynku, wybudowanego za starym. Po wejściu do niego przeszli przez pięć bramek kontrolnych. Dla Ryana to był rekord wszechczasów. Zastanowił się, czy Cantor musiał przeprogramować komputer kontrolujący przepustki, żeby go tutaj wprowadzić. Po dziesięciu minutach stali na czwartym piętrze przed drzwiami oznaczonymi tylko numerem.

- Jack, przedstawiam ci Jean-Claude'a. To nasz francuski kolega.

Ryan uściśnął dłoń człowieka starszego od niego o dwadzieścia lat, którego twarz była wcieleniem cywilizowanej ironii.

- O co chodzi, Marty?

- Profesorze Ryan - rzekł Jean-Claude - poinformowano mnie, że to pan jest człowiekiem, któremu powinniśmy podziękować.

- Ale za... - Ryan urwał. A, takie buty. Francuz zaprowadził go do monitora telewizyjnego.

- Jack pamiętaj, że ty tego nigdy nie widziałeś - zastrzegł Cantor, gdy na ekranie uformował się obraz. To musiały być zdjęcia satelitarne. Ryan od razu to poznał po kącie widzenia, który zmieniał się bardzo powoli.

- Kiedy? - zapytał.

- Zeszłej nocy według naszego czasu, według lokalnego o trzeciej nad ranem.

- Zgadza się - kiwnął głową Jean-Claude, wpatrzony w obraz. To obóz 20, pomyślał Ryan. Ten, który należał do Action Directe.

Rozlokowanie baraków było znajome. Obraz w podczerwieni wskazywał, że w trzech włączone było ogrzewanie. Jasność ich widma wskazywała, że przy gruncie musiało być około zera. Na południe od obozu, za wydumą, zaparkowane były dwa samochody. Jack nie mógł rozpoznać, czy to dżipy, czy to małe ciężarówki.

Przy dokładniejszym przyjrzeniu można było dostrzec zarysy poruszających się przy nich ludzi, ledwie odcinające się od zimnego tła. Ze sposobu w jaki się poruszali natychmiast poznał, że to byli żołnierze. Naliczył ośmiu rozdzielonych na dwie równe grupy. Koło jednego z baraków widać było jaśniejszy punkt. Wyglądało na to, że stał tam człowiek. Trzecia nad ranem, gdy funkcje organizmu są najbardziej zwolnione. Jeden z wartowników palił papierosa, na pewno po to, by odgonić sen. Ryan wiedział, że to był błąd. Błysk zapalniczki spowodował, że nie widział nic w ciemności. No, tak...

- Teraz - powiedział Jean-Claude.

Koło jednego z napastników coś krótko błysnęło. W oglądaniu tych obrazów bez dźwięku było coś dziwnego. Ryan nie widział, czy wartownik poruszył się w wyniku strzału, ale jego papieros odleciał o jakieś dwa metry, a potem oba obrazy: wartownika i papierosa, pozostały nieruchome.

Zabity, powiedział do siebie Ryan. Boże drogi, na co ja patrzę? Osiem białych cieni zbliżyło się do obozu. Najpierw wdarły się do baraku załogi, zawsze tego samego w każdym obozie. Chwilę później wyłoniły się z niego z powrotem. Teraz rozdzieliły się na dwie grupy po czterech ludzi,

kierujące się każda ku jednemu z ogrzewanych baraków.

- Co to za żołnierze? - spytał Jack.

- Spadochroniarze - odpowiedział krótko Jean-Claude. Kilku z nich pojawiło się ponownie po trzydziestu sekundach. Po kolejnych trzydziestu z baraku wyłoniły się kolejne sylwetki. Ryan zauważył, że wyszło ich więcej niż weszło. Wyglądało na to, że coś wynoszą. Wtem na ekranie pojawiło się coś nowego. To była jasna plama widma, która przytłumiła część obrazu, śmigłowiec z turbinami, które na obrazie w podczerwieni zdawały się płonąć. Jakość obrazu znacznie się pogorszyła i po chwili obiektów stracił ostrość, przesuwał się na nowy obiekt.

W pobliżu były jeszcze dwa inne helikoptery. Jeden wylądował obok samochodów, które wjechały zaraz do jego ładowni. Po jego starcie drugi obniżył lot i poleciał wzdłuż śladów opon, zacierając je podmuchem wirnika. Zanim skończył, kamery satelity straciły z oczu miejsce akcji i obraz zniknął. Całość nie trwała nawet dziesięciu minut.

- Szybka i czysta robota - mruknął Cantor.

- Macie ją? - Jack musiał o to spytać.

- Tak - odparł Jean-Claude. - I pięciu innych, z tego czterech żywcem. Zabraliśmy wszystkich, w tym załogę obozu, która, z żalem muszę stwierdzić, nie przeżyła tej nocy - widać było, że wzmianka o żalu Francuza wynika jedynie z dobrego wychowania. Jego twarz wyrażała zupełnie co innego.

- Ktoś z waszych ludzi ucierpiał? - zapytał Cantor.

- Nie. Oni wszyscy spali - pokręcił głową z rozbawieniem. - Jeden spał z pistoletem pod ręką i miał nieszczęście sięgnąć po niego.

- Zabraliście wszystkich, nawet strażników?

- Oczywiście. Wszyscy są teraz w Czadzie, a ci co przeżyli są teraz przesłuchiwani.

- A jak załatwiliście przekaz satelitarny?

Odpowiedź była przejawem galijskiego poczucia humoru.

- Ó, to był szczęśliwy zbieg okoliczności...

Tak, pomyślał Ryan, ładny mi zbieg okoliczności. Właśnie oglądałem sobie powtórkę transmisji ze śmierci trzech albo czterech ludzi. Terrorystów, sam się poprawił. Zgranie w czasie nie mogło być zbiegiem okoliczności. Francuzi chcieli, żebyśmy się przekonali, że oni traktują walkę z terroryzmem na serio.

- Po co mi to pokazaliście?

- Ależ to pan to umożliwił - rzekł Jean-Claude. - Mam przyjemność przekazać panu podziękowania w imieniu mojego rządu.

- Co się z nimi stanie? - Jack chciał to wiedzieć.

- Czy pan wie, ilu oni ludzi zamordowali? Za te zbrodnie poniosą odpowiedzialność. Zostanie im wymierzona sprawiedliwa kara.

- Chciałeś zobaczyć sukces, Jack - powiedział Cantor. - No to właśnie go zobaczyłeś.

Ryan myślał nad jego słowami. Usunięcie ciał strażników zasugerowało mu jak się skończyła ta operacja. Pewnie, zostało trochę dziur po pociskach, plam krwi, ale ciała zniknęły. Uczestnicy rajdu zatarli za sobą ślady dość dokładnie. Całej operacji łatwo się było wyprzeć. Nie zostało nic, co by wskazywało na Francuzów. W tym sensie była to doskonała operacja specjalna. Skoro więc tyle wysiłku włożono w maskowanie, porwani członkowie Action Directe mieli niewielkie szansę na publiczny proces. Nikt nie zadawałby sobie tyle trudu tylko po to, żeby te wysiłki zniweczyć przez nagłaśnianie procesu, myślał dalej Ryan. Żegnaj, Francoise Theroux.

To ja skazałem tych ludzi na śmierć, pomyślał w końcu. Śmierć tylko jednego człowieka wystarczyłaby, by obciążyć jego sumienie. Przypomniał sobie policyjne zdjęcie jej twarzy i

rozmazany satelitarny obraz dziewczyny w bikini.

- Ona zamordowała co najmniej trzech ludzi - powiedział Cantor, czytając myśli Jacka.

- Profesorze Ryan, ona nie miała serca. Żadnych uczuć. Proszę się nie dać zwieść jej twarzy - włączył się Jean-Claude. - Nie wszyscy zbrodniarze mogą wyglądać jak Hitler.

Ryan wiedział, że to nie wszystko. Jej wygląd tylko przypominał mu, że była człowiekiem, którego życie miało być teraz nienaturalnie skrócone. Tak jak ona skracała je innym, przypominał sobie. Przyznał też, że gdyby nosiła nazwisko Sean Miller, to nie odczuwałby wcale tych wyrzutów sumienia.

- Przepraszam - powiedział. - To pewnie moja romantyczna natura.

- Ależ oczywiście - wyrozumiale przyznał Francuz. - Można tych ludzi żałować, ale to oni dokonali wyboru tej drogi, a nie pan, profesorze. Pomógł pan pomścić życie wielu niewinnych ludzi i uratował pan życie wielu innych, których nigdy pan nie pozna. Wystosujemy na pana ręce oficjalne podziękowanie, tajne, rzecz jasna, za pańską pomoc.

- Cieszę się, że mogliśmy panu pomóc, pułkowniku - powiedział Cantor. Wszyscy uścisnęli sobie dłonie i Marty wyprowadził Jacka z powrotem do głównego budynku.

- Nie wiem, czy chciałbym coś takiego oglądać raz jeszcze - powiedział Ryan na korytarzu. - To znaczy nie chciałbym znać ich twarzy. To znaczy... cholera, nie wiem o co mi chodzi. Może tylko... może to jest inaczej, kiedy jest się od tego z daleka? Wiesz, to było jak transmisja meczu w telewizji, ale to nie był mecz. A w ogóle, kto to był?

- Jean-Claude jest szefem waszyngtońskiej delegatury DGSE, to on przekazał wiadomość. Jej pierwsze nowe zdjęcie dostaliśmy półtorej doby temu. Oni mieli już wszystko gotowe do tej operacji i zdołali ją uruchomić w ciągu sześciu godzin. Imponująca operatywność.

- Myślę, że chcieli nam zaimponować. Nie mają zamiaru ich przewozić, tak?

- Nie. Poważnie wątpię w to, czy ci ludzie wrócą do Francji, by stanąć przed sądem. Pamiętasz, jakie mieli problemy ostatnim razem, gdy chcieli publicznie sądzić członków Action Directe? Sędziowie zaczęli dostawać po nocy telefony z pogrózkami i w końcu sprawę trzeba było umorzyć. Pewnie nie będą chcieli bawić się w to znowu - westchnął Cantor. - No, ale to nie nasza sprawa. Ich system różni się od naszego. A my w końcu dostarczyliśmy tylko sojusznikom informacji.

- Amerykański sąd nazwałby to pomocą w dokonaniu zabójstwa pierwszego stopnia.

- Może i tak - zgodził się Cantor. - Osobiście przychyliam się raczej do wersji Jean-Claude'a.

- Więc dlaczego chcesz odejść w sierpniu? - zapytał Ryan. Cantor odpowiedział nie patrząc mu w oczy.

- Może sam się kiedyś tego dowiesz, Jack.

Siedząc ponownie samotnie w zaciszu swego pokoiku Jack nie mógł odegnąć myśli o tym, co widział. Siedem tysięcy kilometrów stąd agenci Dyrektoriatu Operacyjnego DGSE przesłuchiwali teraz dziewczynę.

W filmach techniki przesłuchań były brutalne. Czego naprawdę używano Ryan nie chciał wiedzieć. Mówił sobie, że członkowie Action Directe sami to sobie na głowę ściągnęli. Po pierwsze w pełni świadomie wybrali swój zawód. Po drugie, podważając legalny wymiar sprawiedliwości w zeszłym roku dali swoim przeciwnikom do ręki poręczną wymówkę, usprawiedliwiającą obdarcie ich z ich konstytucyjnych uprawnień. Ale czy rzeczywiście potrzeba było wymówki?

- Co by na to powiedział tata? - mruknął do siebie. Coś go nagle uderzyło. Ryan podniósł słuchawkę i wybrał numer.

- Cantor.

- Dlaczego, Marty?

- Co dlaczego, Jack?

- Dlaczego daliście mi to obejrzeć?

- Jean-Claude chciał cię poznać i on też chciał, żebyś zobaczył co wyszło z twojej informacji.

- Pieprzysz, Marty! Pokazaliście mi przekaz satelitarny w czasie rzeczywistym, zgoda, z taśmy, ale to w końcu to samo. W tym kraju jest tylko garść ludzi, których dopuszczono do czegoś takiego. Mnie to do niczego nie jest niezbędne, nie muszę wiedzieć, jak dobry jest przekaz. Trzeba mu było powiedzieć, że ja nie mam dopuszczenia do czegoś takiego i byłoby po wszystkim.

- Dobra, widzę że miałeś trochę czasu i trochę nad tym pogłówkowałeś. Wal, co ci leży na wątrobie.

- Nie podoba mi się to.

- Dlaczego? - zapytał Cantor.

- To było naruszenie prawa.

- Nie naszego. Tak jak ci już dwadzieścia minut temu mówiłem, my tylko dostarczaliśmy zaprzyjaźnionemu państwu informacji wywiadowczej.

- A oni jej użyli do zabijania ludzi.

- A jak ci się zdaje, Jack, po co istnieje wywiad? Co mieli zrobić? Nie, najpierw powiedz mi, a gdyby to byli zagraniczni terroryści, którzy zamordowali Francuzów w... no, dajmy na to, w Liechtensteinie i potem zwiali do tej bazy?

- To nie to samo. To już bardziej... to już jakby akt wojny, jak zabicie tych strażników. Ludzie, których ścigali byli ich własnymi obywatelami, którzy popełnili przestępstwa we własnym kraju i podlegają francuskiemu prawu.

- A gdyby to był inny obóz? Gdyby ci spadochroniarze odwalili robotę za nas, czy za Anglików i na przykład zgarnęli twoich przyjaciół z ULA?

- To co innego! - wybuchnął Jack. A właściwie dlaczego, zapytał sam siebie chwilę później. - To jest sprawa osobista. Nie możesz ode mnie wymagać, żebym w tych obu sprawach odczuwał tak samo!

- Czyżby? - zapytał Cantor i odłożył słuchawkę.

Ryan patrzył przez kilka sekund na głuchą słuchawkę, zanim odłożył ją na widełki. Co Marty chciał mu powiedzieć? Jack wracał pamięcią do ostatnich wydarzeń, próbując wymyśleć coś sensownego. Ale czy to miało sens? Czy miało sens wyrażanie odmiennych poglądów politycznych za pomocą bomb i serii z broni maszynowej? Czy miało sens posługiwanie się przez mniejszy kraj terroryzmem, by w ten sposób wpłynąć na politykę większego. Ryan zachnął się. To zależało od punktu widzenia pytającego, a w każdym razie byli ludzie, którzy tak uważali. Czy to coś innego?

I tak, i nie. Terroryzm państwowy, przybierający formę piractwa na Morzu Śródziemnym był pierwszym wyzwaniem dla potęgi Ameryki. Przeciwnikiem powodowała wówczas jedynie chciwość. Państwa arabskie żądały haraczu od statków bandery amerykańskiej za prawo do swobodnego poruszania się. Było to jakiś czas tolerowane, ale do czasu. Preble powiódł rodzącą się wówczas US Navy na Morze Śródziemne i położył kres temu procederowi. Nie, położył kres uległości Ameryki, poprawił się Jack.

Boże, to nawet było w tym samym miejscu, pomyślał. „Po wybrzeża Trypolisu” mówiły słowa „Hymnu Piechoty Morskiej”, tam gdzie porucznik Presley O'Bannon zaatakował ze swoimi ludźmi fort w Dernie. Jack zastanawiał się, czy to miejsce jeszcze istnieje, bo sam problem na pewno.

Przemoc nie uległa zmianie. Zmieniły się zasady działania większych państw i cele ich nieprzyjaciół. Dwieście lat temu, gdy małe państwo uraziło duże, sprawę załatwiano okrętami i wojskiem. Ale teraz nie było to już proste łomotanie brudasów. Małe kraje miały teraz arsenały

nowoczesnej broni, która taką ekspedycję karną mogła uczynić zbyt kosztowną dla społeczeństw, które nauczyły się cenić życie swych młodych mężczyzn. Teraz już nie dawało się sprawy załatwić pułkiem wojska, a wysłanie całej armii też już nie było tak proste. Wiedząc o tym, małe państwo mogło sobie pozwolić na zadawanie strat większemu, albo nawet bezpieczniejszemu dla siebie, na sponsorowanie innych, by za nie to robili, w sposób pozwalający na wyparcie się swego udziału. Mogło też w ten sposób wymuszać ruch większego państwa w pożądanym kierunku. Nawet nie trzeba się było śpieszyć. Takie konflikty mogły trwać latami, gdyż nakłady na nie były mikroskopijne, a i ofiar padało po obu stronach dużo rzadziej niż zwykle. Nowa więc była nie tyle przemoc, co bezkarność państwa, która jej dokonywała lub zlecała. Póki to się nie zmieni, ludzie będą nadal ginąć i nic temu nie położą kresu.

Tak więc na poziomie międzynarodowym terroryzm był formą wojny, która nie zakłócała normalnych stosunków dyplomatycznych. Ameryka nadal utrzymywała ambasady w takich krajach. Bliżej domu jednak, terroryzm był traktowany jak przestępstwo kryminalne. Pamiętał, że spotkał Millera w Old Bailey, a nie przed sądem wojskowym. Oni to nawet mogą wykorzystać przeciw nam, pomyślał. To była zaskakująca myśl. Oni prowadzą przeciw nam wojnę, a my nie możemy tego przyznać bez rezygnacji z czegoś, na czym zależy naszemu społeczeństwu. Jeżeli traktujemy terrorystów jak bojowników powodowanych ideologią, robimy im zaszczyt, na który nie zasługują. Jeżeli potraktujemy ich jak wrogich żołnierzy i jako takich zabijemy, za jednym zamachem łamiemy nasze prawo i legitymizujemy ich działania. Właściwie z odpowiednią dawką wyobraźni można by uznać zorganizowaną przestępczość za rodzaj terroryzmu. Jediną słabością terrorystów była ich totalna negacja. Byli ruchem politycznym, który nie miał nic do zaoferowania ludziom, poza przekonaniem, że ich własne społeczeństwo jest dla nich niesprawiedliwe. Tak długo, jak inni ludzie nie podzielali ich opinii, terroryści byli wyalienowani. Demokratyczny proces sprawowania władzy niósł im korzyści, ale był także ich politycznym wrogiem numer jeden. Ich głównym celem była zatem jego eliminacja, zamiana sprawiedliwości w niesprawiedliwość, by wzrosły szeregi niezadowolonych i sympatyzujących z terrorystami.

Uderzająca była perfidia tej koncepcji. Terroryści toczyli wojnę, w której chroniły ich demokratyczne mechanizmy wroga. Gdy ten odchodził od nich, terroryści zyskiwali dodatkowe poparcie polityczne, ale tak długo jak procesy demokratyczne pozostawały nienaruszone, ich zwalczanie było skrajnie trudne. Terroryści utrzymywali więc społeczeństwo jako zakładnika jego własnymi rękami i siłą jego moralnych zasad, które jednocześnie chcieli zmienić. Mogli więc działać swobodnie, mając przewagę wolności, która określała demokratyczny status ich państwa i korzystać z pomocy innego państwa, z którym kraj będący ich ojczyzną i celem nie umie, bądź nie chce obejść się jak na to zasługuje.

Jedynym rozwiązaniem była więc międzynarodowa współpraca. Terrorystów trzeba odciąć od źródeł zaopatrzenia. Gdyby musieli działać na własną rękę, byłiby co najwyżej organizacją przestępczą. Ale państwa demokratyczne uważały, że łatwiej będzie im się zajmować ich wewnętrznymi problemami samodzielnie, niż zewrzeć siły i zadać decydujący cios tym, którzy je podważali. Taka była prawda i cała gadanina o tym, że jest wręcz przeciwnie nie była w stanie jej zmienić. Czyżby to się miało wreszcie zmienić? CIA przekazało informację, która doprowadziła do uwieńczonej sukcesem akcji. To więc, co widział, było krokiem we właściwą stronę, nawet jeżeli nie był to właściwy krok. Był więc świadkiem jednej z wielu nieprawidłowości tego świata, choć tym razem wynikała ona ze słusznych pobudek. To, że go to wzburzyło, było wynikiem wychowania i cywilizacji. To, że teraz nad tym rozmyślał, było więc rezultatem... No właśnie, czego?

Cantor wszedł do biura admirała Greera.

- No i jak? - zapytał wicedyrektor.
- No cóż, cztery plus, może pięć minus, zależnie od tego jakie wyciągnie z tego wnioski.
- Ciężki atak wyrzutów sumienia? - zapytał admirał.
- Tak.

- No, to dowiedział się we właściwym czasie, na czym polega ta praca. Każdy musi przez to przejść. Zostanie - ocenił Greer.

- Prawdopodobnie.

Półciężarówka chciała wjechać na podjazd prowadzący pod główną siedzibę FBI, ale strażnik gestem nakazał jej odjechać. Kierowca zawahał się, częściowo zawiedziony, częściowo zastanawiając się co teraz zrobić. Gęsty ruch nie pomógł w podejmowaniu decyzji. W końcu zawrócił i zaczął krążyć po okolicznych przecznicach, szukając parkingu. Parkingowy kręcił nosem na plebejski pojazd, przyzwyczajony raczej do Cadillaców i Buicków i dał temu wyraz ruszając na wolne miejsce z piskiem opon. Kierowca i jego syn nie przejmując się jego dąsami przeszli przez ulicę i zeszli w dół zjazdem, wstępu na który zabroniono ich ciężarówce. W końcu dotarli do drzwi i weszli do środka.

Agent siedzący przy wejściu zauważył wejście dwóch niezbyt elegancko ubranych ludzi, z których starszy niósł coś pod pachą pod skórzaną kurtką. To ściągnęło na nich uwagę agenta i kazało mu się mieć na baczności. Przywołał ich gestem lewej ręki. Prawą miał zajęętą czym innym...

- Czym mogę panu służyć?

- Cześć - odpowiedział przybysz. - Mam tu coś dla was - rzekł wyciągając zza poły kurtki pistolet maszynowy. Szybko przekonał się, że nie był to najlepszy pomysł na nawiązanie miłej pogawędki w FBI.

Dyżurny agent sięgnął ku broni i wytrącił ją pod blat, jednocześnie wstając i wyciągając służbowy rewolwer. Przycisk alarmowy pod biurkiem był już wciśnięty i wkrótce przybiegło jeszcze dwóch agentów z bronią w ręku. Dyżurny rzucił okiem na broń, natychmiast zauważając, że zamek był spuszczone, a w chwycie nie było magazynka.

- To ja go znalazłem! - dumnie obwieścił syn.

- Co? - zapytał jeden z nadbiegających.

- Pomyślałem, że to tutaj przywiozę - powiedział ojciec.

- Co tu się, do kurwy nędzy, dzieje? - zapytał dyżurny.

- Popatrzmy - orzekł kierownik zmiany, który w międzyczasie przybył na miejsce z wartowni zaopatrzonej w monitory telewizyjne. Dyżurny sprawdził, czy broń jest rozładowana, potem podał mu ją.

To był Uzi, izraelski pistolet maszynowy kalibru 9 mm, popularny na świecie z uwagi na jakość, wyważenie i celność. Tandetne wytłoczki metalowe pokryte były czerwono-brązową rdzą, z komory zamkowej kapiała woda. Agent odciągnął zamek i zajrzał do lufy. Z broni strzelano jakiś czas temu i nie czyszczono potem. Na pierwszy rzut oka nie sposób było określić jak długo broń leżała w wodzie, ale FBI nie prowadziła zbyt wielu spraw z użyciem takiej broni.

- Gdzie pan to znalazł?

- W gliniance przy kopalni, jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd

- odpowiedział ojciec.

- To ja go znalazłem - podkreślił syn.

- To prawda, on go znalazł - potwierdził ojciec. - Pomyślałem, że tu jest miejsce takich znalezisk.

- Miał pan rację, sir. Proszę za mną.



Dyżurny wydał im obu identyfikatory dla interesantów. On i dwóch pozostałych dyżurnych wrócili do pracy, zastanawiając się co tu się do cholery stało.

Na ostatnim piętrze nieliczni przechodzący korytarzem zdziwieni byli widząc człowieka chodzącego z bronią maszynową w rękę, ale okazywanie zbyt wielkiego zaaferowania byłoby nie w stylu agentów FBI, zresztą uzbrojony człowiek miał identyfikator Biura i niósł broń zgodnie z przepisami. Kiedy jednak weszli do biura, sekretarka zareagowała inaczej.

- Jest Bili? - zapytał agent z Uzi w rękę.

- Tak... Ja zaraz... - bąkała sekretarka, nie spuszczać oczu z broni.

Agent machnął ręką, żeby zeszła z drogi i gestem wskazał prowadzonym interesantom, żeby szli za nim, a potem podszedł do drzwi biura Shawa. Drzwi były otwarte. Agent specjalny Richard Alden podszedł prosto do biurka Shawa i położył broń na blacie.

- Jezus, Richie! - Shaw spojrzał na agenta, potem znowu na broń.

- Co to takiego?

- Bili, ci dwaj właśnie wparadowali na dół i nam to przynieśli. Pomyślałem sobie, że to może cię zainteresować.

Shaw spojrzał na dwóch gości i poprosił ich, by usiedli na sofie pod ścianą. Zadzwoił po dwóch innych agentów, by przyłączyli się do nich

i po kogoś z laboratorium balistycznego. Kiedy wezwani zbierali się, sekretarka zrobiła kawę dla ojca i przyniosła napój dla syna.

- Czy mógłbym prosić o panów nazwiska?

- Nazywam się Robert Newton, a to jest mój syn, Leon - dalej podał adres i telefon już bez pytania.

- A gdzie została znaleziona ta broń? - pytał dalej Shaw, podczas gdy jego asystenci notowali.

- Ludzie nazywają to Glinianką Jonesa. Mogę panu pokazać na mapie.

- Co tam robiliście?

- Ja łapałem ryby. To ja znalazłem broń - przypomniał Leon.

- A ja zbierałem drewno na opał.

- O tej porze roku?

- Najlepiej robić to w lecie, kiedy jest upał - sensownie wywodził pan Newton. - Może wtedy przeschnąć. Ja jestem robotnikiem budowlanym. Pracuję na rusztowaniach, a teraz akurat jest martwy sezon, więc poszedłem po drewno. Chłopak ma dzisiaj wolne w szkole, więc wziąłem go ze sobą. Leon lubi wędkować, kiedy ja rąbię drewno. Tam w gliniance zdarzają się duże ryby - dodał mrużąc oko.

- Ach, tak - uśmiechnął się Shaw. - Leon, złapałeś już jakąś?

- Nie, ale ostatnio byłem blisko - odpowiedział młodzieniec.

- I co?

Pan Newton skinął głową.

- Mój haczyk zaczepił o coś ciężkiego, więc ciąglem i ciąglem. Jakżem popuścił, żyłka była luźna, ale nie mogłem tego wyciągnąć. Więc zawołałem tatę.

- Ja to pociągnąłem - wyjaśnił pan Newton. - A jak żem zobaczył, że to spluwa, mało się w gacie nie zesrałem. Haczyk zaczepił o kabłąk spustu. A tak w ogóle, co to za broń?

- Uzi. Robią je głównie w Izraelu - włączył się do rozmowy ekspert balistyki, oglądający broń.

- Leżał w wodzie przynajmniej miesiąc.

Słyszając to Shaw i jeden z agentów spojrzeli po sobie.

- Chyba za bardzo go wymacałem - powiedział Newton. - Mam nadzieję, że nie stałem

odcisków palców.

- W wodzie i tak by się nie zachowały, panie Newton - odpowiedział Shaw. - A potem przyniósł pan to prosto tutaj?

- Tak, wyciągnęliśmy go jakies - spojrzął na zegarek - półtorej godziny temu. Tylko go dotykaliśmy, nic poza tym. Magazynka już nie było.

- Zna się pan na broni? - zapytał balistyk.

- Rok czasu spędziłem w Wietnamie. Byłem szeregowym w 173. Powietrznodesantowej. Znam się dość dobrze na M-1 6- uśmiechnął się Newton senior. - Poza tym trochę polowałem, głównie na ptaki i króliki.

- Proszę nam opowiedzieć o tych gliniankach - poprosił Shaw.

- To w bok od głównej drogi, jakiś kilometr. Dużo drzew. To dlatego jeżdżę tam po drewno. Nawet nie wiem, do kogo należy ten teren. Staje tam mnóstwo samochodów. To takie miejsce, w którym dzieciaki parkują w sobotnie wieczory, wie pan.

- Czy kiedykolwiek słyszał pan tam strzały?

- Nie, nie poza sezonem polowań. Tam są wiewiórki, mnóstwo wiewiórek. Więc co jest z tą bronią? Czy to się wam na coś przyda?

- Może nawet bardzo. Takiej broni użyto do zabicia policjanta i...

A, tak i tej pani z dzieckiem pod Annapolis, tak? - przerwał na chwilę. - Cholera!

Shaw spojrzął na chłopca. Miał jakieś dziewięć lat, ocenił agent, sprytne, dociekliwe oczy, którymi omiatał rzeczy wiszące na ścianach gabinetu Shawa, jego pamiątki z wielu spraw i funkcji.

- Panie Newton, wyświadczył nam pan wielką usługę.

- Tak? - spytał Leon - A co zrobicie z bronią? Na pytanie odpowiedział balistyk.

- Najpierw ją oczyścimy i upewnimy się, czy jest bezpieczna. A potem będziemy z niej strzelać - spojrzął na Shawa. - O innych badaniach kryminalistycznych można zapomnieć. Ta woda w gliniance musi być aktywna chemicznie. Korozja jest bardzo silna - zwrócił się znowu do Leona. - Jeżeli złapiesz tam jakąś rybę, synu, pamiętaj żebyś jej nie jadł, zanim ojciec nie powie ci, że jest w porządku.

- Dobrze - zapewnił go chłopiec.

- Włókna - powiedział Shaw.

- Tak, może coś będzie. Nie ma obawy. Jeżeli będą jakieś ślady, to je znajdziemy.

- A co z lufą?

- Być może. Przy okazji, ten pistolet pochodzi z Singapuru. To znaczy, że jest nowy. Izraelczycy sprzedali im licencję dopiero półtora roku temu. Robi je ten sam zakład, który produkuje M-16 na licencji Colta. - Odczytał numer, by za parę minut wysłać go teleksem do oddziału FBI w Singapurze.

- A teraz bierzmy się do roboty.

- Czy mogę popatrzeć? - zapytał Leon. - Nie będę przeszkadzać.

- Wiesz co? - powiedział Shaw. - Chciałbym pogadać z twoim tatą. Może pójdziesz z którymś z agentów do naszego muzeum? Będiesz mógł zobaczyć, jak kiedyś łapaliśmy bandytów. Poczekaj na zewnątrz, ktoś po ciebie przyjdzie.

- Świetnie!

- Mamy o tym nikomu nie mówić, tak? - zapytał Newton po wyjściu syna.

- Właśnie, sir - Shaw przerwał na chwilę. - To jest ważne z dwóch powodów. Po pierwsze, nie chcemy by przestępcy wiedzieli, że osiągnęliśmy przełom w sprawie, a to jest wielki przełom, panie Newton, zrobił pan coś bardzo ważnego. Poza tym chodzi o bezpieczeństwo pańskie i pańskiej rodziny. Ci ludzie są bardzo niebezpieczni. Proszę pana, oni próbowali zabić kobietę w ciąży i

czteroletnią dziewczynkę. To przekonało rozmówcę. Robertowi Newtonowi, ojcu pięciorga dzieci, w tym trzech córek, bardzo się to nie spodobało.

- Czy kiedykolwiek widział pan tam jakichś ludzi?

- O kogo chodzi?

- O wszystkich.

- Jest ze dwóch, może trzech ludzi, którzy też chodzą tam po drewno. Znam ich, to znaczy znam ich imiona, wie pan? Poza tym parkuje tam mnóstwo dzieciaków - zaśmiał się. - Raz żem nawet musiał jednym pomagać się stamtąd wydostać. Wie pan, droga tam nie za olaboga, a ten dzieciak utknął w błocie i... - Głos Newtona zamarł, twarz mu się zmieniła. - Raz w jeden wtorek, jak żem nie mógł pracować, bo dźwig się zepsuł, a w domu mi się siedzieć nie chciało, poszedłem po drewno. A tam jakaś furgonetka wyjeżdżała z drogi. Naprawdę miała kłopoty z błotem. Musiałem czekać z dziesięć minut, a ona się ciągle ślizgała i buksowała.

- Co to była za furgonetka?

- Jakaś ciemna. Miała odsuwane drzwi, pewnie była przerabiana na zamówienie, bo miała też przyciemniane szyby...

Bingo!

- Czy widział pan kierowcę, albo kogoś wewnątrz? Newton pomyślał przez chwilę.

- Tak... to był czarny. On... tak, pamiętam, strasznie się wydzierał. Myślę, że był wkurzony na to, że tam utknął. To znaczy nie słyszałem go, ale to widać, jak ktoś krzyczy, nie? Miał brodę i taką skórzaną kurtkę, jaką noszę do pracy.

- Coś jeszcze o tej furgonetce?

- Strasznie hałasowała, jakby miała ośmiocylindrowy silnik. No tak, to musiała być przerabiana furgonetka z takim silnikiem.

Shaw patrzył na swoich ludzi, zbyt podekscytowanych, by się uśmiechać znad notatek.

- W gazetach pisali, że wszyscy bandyci byli biali - powiedział Newton.

- Gazety nie zawsze mają rację - zauważył Shaw.

- Mówi pan, że ten skurwiel, który zabił policjanta był czarny? -Newtonowi się to nie podobało. On też był Murzynem. -i chciał też zabić tę rodzinę... Cholera!

- Panie Newton, to jest tajemnica. Rozumie mnie pan? Niech pan o tym nikomu nie mówi, nawet synowi. Czy on tam był wtedy z panem?

- Nie, wtedy był w szkole.

- Dobrze, no więc proszę żeby pan o tym nikomu nie mówił. To dla bezpieczeństwa pańskiego i pańskiej rodziny. Mówimy tu o bardzo groźnych ludziach.

- Dobra, człowieku. - Newton popatrzył na stół przez chwilę. -Mówi pan, że mamy tu ludzi, którzy biegają z karabinami maszynowymi i strzelają do ludzi? Tutaj? Nie w Libanie, czy gdzieś tam, tylko tutaj?

- Tak to mniej więcej wygląda.

- Nie, no człowieku! Nie po to spędziłem rok w Wietnamie, żeby ten syf mieć tu, gdzie żyję.

Kilka pięter niżej dwaj eksperci laboratorium balistycznego rozłożyli już Uzi na części. Małym odkurzaczem ściągnęli wszystkie włókna w nadziei, że któreś będzie pasowało do znalezionych w furgonetce. Potem jeszcze raz dokładnie obejrzelili części. Uszkodzenia od korozji dotknęły głównie wytłoczki z miękkiej stali. Lufa i zamek wykonane były z dużo lepszej stali i zachowały się dużo lepiej. Szef laboratorium sam zmontował broń z powrotem, pokazując podwładnym, że jeszcze to potrafi. Nie śpieszył się, oliwił części z uwagą, na koniec poruszając zamkiem, by sprawdzić prawidłowość montażu.

- Dobra - mruknął do siebie. Położył Uzi na stole, ze spuszczonego zamkiem, rozładowane. Wyjął z szafy pasujący do broni magazynek i załadował dwadzieścia naboju 9 mm. Potem wsadził go do kieszeni fartucha. To zawsze uderzało zwiedzających jako coś nie pasującego do tego miejsca. Wszyscy eksperci nosili na strzelnicy białe laboratoryjne kitle, jak lekarze. Ekspert założył słuchawki tłumiące hałas, wetknął lufę w otwór i oddał jeden strzał, by sprawdzić działanie broni. Wszystko było w porządku. Wtedy wcisnął spust ponownie, trzymając go, dopóki nie opróżnił magazynka. Wyciągnął pusty magazynek, sprawdził czy w lufie nie pozostał niewypał i podał broń asystentowi.

- Idę umyć ręce. Zbierzcie pociski i łuski, obejrzą je - szef laboratorium był człowiekiem bardzo wymagającym. Zanim umył ręce, przyniesiono mu dwadzieścia wystrzelonych pocisków. Metalowy płaszcz każdego z nich pocięty był charakterystycznymi smugami śladów gwintu w lufie. Ślady te były mniej więcej identyczne, ale jednak nieco się różniły dla każdej broni.

Z akt sprawy wyjął małe pudełeczko. Wewnątrz był dowodowy pocisk, który przebił ciało policjanta. I czymś takim, kawałkiem metalu o masie poniżej 10 gramów można zabić człowieka, zawsze go to zdumiewało. W dodatku wyglądał na niemal zupełnie nieuszkodzony przy uderzeniu. Osadził go pod jednym obiektywem mikroskopu porównawczego, pod drugim osadzając jeden ze świeżo wystrzelonych. Potem zdjął szkła i pochylił się nad okularami mikroskopu. Pociski prawie pasowały. Na pewno wystrzelone były z tego samego typu broni. Zmienił pocisk porównawczy. Jeszcze lepiej, ale jeszcze nie to. Trzeci pocisk pasował jeszcze lepiej. Ostrożnie obracał pocisk, szukając odpowiadających pól...

- Pasuje - odchylił się od mikroskopu, a inny ekspert zajął jego miejsce, by się o tym przekonać.

- Zgadza się, pasuje jak ulał - potwierdził.

Szef kazał sprawdzić pozostałe pociski dowodowe, a sam poszedł do telefonu.

- Shaw, słucham.

- To jest ta sama broń, na sto procent. Pasuje do pocisku, który zabił policjanta. Teraz porównujemy te z Porsche.

- Dobra robota, Paul!

- Pewnie, że tak. Zaraz będę u ciebie.

Shaw odłożył słuchawkę i spojrzał na swoich asystentów.

- Panowie, właśnie nastąpił przełom w sprawie Ryanów.

22

Postępowanie

Robert Newton zaprowadził wieczorem agentów do glinianki. Do następnego ranka przez ręce zespołu ekspertów kryminalistyki przeszła każda bryłka ziemi nad jej brzegiem. Para nurków zanurzyła się w mętnej wodzie, a dziesięciu agentów obstawiało teren, wypatrując ciekawskich. Inny zespół odnalazł i przesłuchał wskazanych przez Newtona zbieraczy drewna. Pobrano próbki, by je porównać ze znalezionymi w furgonetce. Pofotografowano także ślady opon do dalszych ekspertyz.

Laboratorium balistyczne dalej badało i Porównywało łuski z zebranymi w furgonetce i na poboczu szosy. Wszystkie wykazywały idealne pasowanie śladów czółka zamka, iglicy i wyrzutnika. Tożsamość broni była teraz niepodważalna. Fabryka w Singapurze potwierdziła numer seryjny, teraz badano gdzie i komu sprzedano broń. Nazwiska były w pamięci komputera FBI. Celem istnienia całego szeroko rozgałęzionego pionu kryminalistycznego FBI było wyciągnięcie ile się da z jednego śladu, jednej przesłanki i rozwikłanie sprawy. Jednak tak szeroko zakrojonych poszukiwań nie dało się długo utrzymać w tajemnicy.

Alex Dobbens przejeżdżał codziennie obok zjazdu do kopalni w drodze do pracy. Pewnego dnia

zobaczył, że dwa samochody wyjeżdżają z polnej drogi prowadzącej z kopalni na szosę. Chociaż i radiowóz i furgonetka z laboratorium były nieoznakowane, Alex zauważył rządowe tablice rejestracyjne. Więcej już nie musiał widzieć.

Dobbens nie był człowiekiem poddającym się emocjom. Jego techniczne wykształcenie kazało mu patrzeć na życie jako na ciąg oddzielnych małych problemów, z których każdy miał swoje rozwiązanie. Kiedy już odpowiednia liczba małych problemów zostanie rozwiązana, można się powoli zająć większymi, po jednym naraz, bez pośpiechu. Był też człowiekiem dokładnym. Wszystko co robił, było częścią jakiejś większej całości, która z kolei tworzyła wraz z innymi coś jeszcze innego. Jego ludziom trudno się było z tym pogodzić, ale z sukcesem się nie dyskutuje, a strategia Alexa powodowała, że wszystko co robił, wieńczone było sukcesem. To zyskiwało mu szacunek i posłuszeństwo ludzi, którzy niegdyś byli zbyt radykalni jak na to, co Alex uważał za ich misję w życiu.

Dało mu do myślenia to, że z drogi wyjechały naraz dwa takie samochody. Aż dwa wozy na rządowych numerach na jednej polnej drodze to zdecydowanie przekraczało zwykłe prawdopodobieństwo. Musiał więc uznać, że w jakiś sposób federalni dowiedzieli się, że używali tej kopalni jako strzelnicy. Stąd się dowiedzieli? Od jakiegoś myśliwego? Od jednego z tych wsioków, którzy polowali tam na wiewiórki i ptaki? Być może. Albo od jednego z drwali? Albo może od jakiegoś szczeniaka z pobliskiej farmy? W końcu, co za różnica.

Byli tam strzelać tylko trzy, czy cztery razy, ostatnio kiedy przyjechał ten Irlandczyk. Hmm, o czym to może świadczyć? To było przecież parę miesięcy temu. Za każdym razem strzelali w godzinach porannego szczytu. Nawet tak daleko od stolicy na szosie był taki ruch od rana do późnego popołudnia, że nie robili zbyt dużego hałasu. Nikt ich więc nie mógł słyszeć. To dobrze.

Za każdym razem, kiedy tu strzelali, Alex pilnował zbierania i zdawania łusek i był pewien, że nie zostało nic, nawet jednego niedopałka, który dowodziłby ich obecności. Pozostawienia śladów opon nie dało się uniknąć, ale wybrał to miejsce dlatego, że parkowało tam mnóstwo dzieciaków w weekendy i wszędzie było pełno śladów opon. Wyrzucili tam broń, przypomniał sobie, ale kto by ją tu znalazł? Woda w gliniance miała ponad trzydzieści metrów głębokości, sam sprawdzał, wyglądała raczej nie zachęcająco, mętna, błotnista, brudna od wszelkiego śmiecia splukiwanego do niej i pływającego po powierzchni. To nie było miejsce do pływania. Wyrzucili tam tylko broń, z której strzelali. W jakiś niepojęty sposób tamci musieli ją znaleźć.

Jak to się stało, nie miało w tej chwili znaczenia. Innych rzeczy już też się pozbyli. W końcu nową broń zawsze można znaleźć. Czego gliny mogą się dowiedzieć? Nieźle znał się na sposobach działania policji. Tego wymagało rozpoznanie przeciwnika. Alex miał w swojej bibliotece wiele podręczników technik śledczych, których gliny używały w swoich akademiach, w rodzaju „Dochodzenie w przypadku zabójstwa” Snydera czy „Biblia policjanta”. On i jego ludzie studiowali je równie pilnie, co przyszli policjanci. Na broni nie mogły zostać odciski palców. Po pobycie w wodzie tłuszcz z potu, który tworzy ślady linii papilarnych musiał ulec zmyciu. Poza tym Alex wytarł broń zanim ją wyrzucił, więc z tym nie powinno być problemu.

Furgonetki się pozbyli. Najpierw ją ukradli, potem jeden z ludzi Alexa ją przerobił, używali do niej czterech różnych zestawów tablic. Tablic już dawno się pozbył, tkwiły teraz w fundamencie słupa wysokiego napięcia gdzieś w okręgu Anne Arundel. Gdyby coś z tego wynikło, dawno by już o tym wiedział. Furgonetkę dokładnie wyczyścili, wytarli odciski, wymietli pył z drogi do kopalni... Zaraz, a może to... Nie, tak czy inaczej furgonetka była ślepą uliczką. Nie zostawili w niej nic, co mogłoby ich z nią łączyć.

Może któryś z jego ludzi się wygadał? Może ten, któremu sumienie dokuczało, bo dzieciak o

mało nie zginął? Gdyby tak było, to rano obudziłby go widok odznaki i towarzyszącej jej lufy, a nie budzik. Czyli nie to. Chociaż... Będzie musiał z nimi pogadać, przypomnieć, że mają nikomu się nie zwierzać z tego, co robią.

Czy ktoś widział jego twarz? Alex znowu wyrzucał sobie to, że nie oparł się pokusie pokazania wała tym z helikoptera. Ale przecież nosił kapelusz, okulary słoneczne i brodę, których już dawno się pozbył, podobnie jak kurtki, dzinsów i butów noszonych w dniu zamachu. Zostały tylko rękawice, ale te były tak często spotykane, można je było kupić w każdym sklepie z narzędziami. No to je wyrzucić i kupić sobie następne, głębie! Żeby tylko były tego samego koloru, i zachowaj paragon.

Przeleciał w pamięci raz jeszcze potencjalne ślady. Może przesadzam, pomyślał. Przecież federalni mogli tam być z zupełnie innego powodu. Z drugiej strony głupotą byłoby się bez potrzeby narażać. Trzeba się będzie pozbyć wszystkiego, czego używali w kopalni. Zrobi pełną listę ewentualnych śladów i wyeliminuje je wszystkie po kolei. Już nigdy się tam nie pokaże. Gliny mają swoje zasady postępowania, a on bez wahania wykorzysta to, że je zna z myślą o tym, by pozbawić ich korzyści z ich stosowania. Jego zasady ukształtowały się, gdy zobaczył jak katastrofalne rezultaty przynosi brak jakichkolwiek zasad. Grupa radykałów, koło której kręcił się w czasie koledżu zginęła z powodu swej arogancji i głupoty, niedoceny umiejętności przeciwnika. Zginęli, bo nie byli wariaci sukcesu. Zwycięstwo przychodzi tylko do tych, którzy gotowi są na nie i zdecydowani są je osiągnąć. Darował sobie gratulacje z powodu zauważenia fedziów. To była tylko spostrzegawczość, nic genialnego. W końcu po to tamtędy jechał, żeby zwracać uwagę na takie rzeczy. Miał już namierzone lepsze miejsce na strzelnicę.

- Erik Martens - powiedział Ryan. - Znowu się spotykamy.

Wszystkie ustalenia FBI przekazano w ciągu kilku godzin grupie roboczej Centralnej Agencji Wywiadowczej. Znaleziono Uzi (swoją drogą, myślał Ryan, ciekawe jak do tego doszło) wyprodukowano w Singapurze, w fabryce, która produkowała M-16, karabin, który Ryan miał w czasie służby w piechocie morskiej. Robili jeszcze kilka typów broni, ze Wschodu jak i z Zachodu, na sprzedaż dla krajów trzeciego świata... albo każdego chętnego. Ze swojej pracy zeszłego lata Ryan pamiętał, że istnieje sporo takich fabryk i rządów, dla których jedyną liczącą się cechą nabywcy broni jest jego wypłacalność. Nawet jednak ci, którzy coś tam mówili o świadectwach końcowego użytkownika, zwykle przymykali oko na reputację handlarzy bronią, którzy często mieliby problem z dowiedzeniem, że są po właściwej stronie cienkiej linii oddzielającej uczciwych od innych. A ponieważ takim oddzielaniem zajmował się zwykle rząd kraju producenta, do i tak już skomplikowanego równania dochodziła jeszcze jedna niewiadoma.

Tak było i w przypadku pana Martensa. W swoim fachu był to człowiek bardzo kompetentny, z szeroko sięgającymi powiązaniem. Swego czasu uzbrajał wspierane przez CIA oddziały angolańskiej UNITA, zanim znaleziono dla niej bardziej regularne kanały zaopatrzenia. Głównym jednak zadaniem Martensa było zaopatrywanie rządu RPA. Jego ostatnim w tej mierze wyczynem było zdobycie kompletu sprawdzianów i narzędzi do produkcji przeciwpancernych pocisków kierowanych Milan, której to broni ze względu na obowiązujące embargo rząd Afrykanerów nie mógł kupić legalnie. A teraz po trzech miesiącach jego twórczej działalności, rządowe zakłady Armscorp będą ją mogły produkować same. Jego honorarium zapewne było warte zachodu, myślał Ryan, choć CIA nie ustaliło jeszcze jego wysokości. Facet miał własny odrzutowiec, Grummana G-3, o zasięgu pozwalającym podróżować po całym świecie. By zapewnić sobie swobodę poruszania, Martens zaopatrywał każdego. Uzbrajał rządy Czarnej Afryki, sprzedawał nawet pociski rakietowe Argentyńczykom. Gdziekolwiek by poleciał, trafiłby na rząd, który coś mu zawdzięczał. Ten gość byłby sensacją na każdej giełdzie świata, pomyślał Ryan. Potrafił się dogadać z każdym, bronią

handlował z równą swobodą, co ludzie w Chicago przyszłorocznymi zbiorami zbóż.

Uzi z Singapuru trafiły do niego. Izraelczycy sprzedawali je tysiącami dla policji i wojska na całym świecie, prawie zawsze w zgodzie z zasadami, które narzucali im Amerykanie. Trochę trafiło i do RPA, zanim embargo to uniemożliwiło. Czyżby dlatego sprzedali licencję?

Jack zastanowił się nad tym. Niech ktoś inny poszerza za ciebie rynek, a ty tylko siedź z wyciągniętą ręką i czekaj na płatności... Dobrze. W dostawie było pięć tysięcy sztuk... Tak. Razem w hurcie ze dwa miliony dolarów. To niewiele, wystarczyłoby dla policji w dużym mieście lub dla pułku spadochroniarzy, w zależności od priorytetów zamawiającego. Ledwie tyle, żeby pan Martens wyszedł na swoje, bez zwracania na siebie uwagi. Jedna ciężarówka, myślał Ryan, może dwie? Palety skrzynek upchnięte gdzieś w kącie magazynu, pod nadzorem klienta, albo raczej u Martensa.

To o tym mówił w czasie obiadu Sir Basil Charleston, przypomniał sobie Ryan. Nie przywiązywał wtedy zbyt dużej wagi do tego gościa z południa Afryki. Czyli Anglicy uważają, że on bezpośrednio zaopatruje terrorystów? Nie, tego jego rząd by nie tolerował. Przecież w ten sposób broń mogłaby trafić do Afrykańskiego Kongresu Narodowego, który stawiał sobie za cel zniszczenie tego rządu. Teraz trzeba więc szukać możliwego pośrednika. Znalezienie teczki z kontraktami Martensa zajęło mu pół godziny i wymagało telefonu do Marty'ego Cantora.

To była katastrofa. Martens miał ośmiu udokumentowanych i piętnastu domniemanych pośredników. Jednego albo nawet dwóch w każdym kraju, do którego sprzedawał... Oczywiście! Ryan znowu wybrał numer Cantora.

- Marty, przypuszczam, że nikt od nas nie rozmawiał z Martensem? - zapytał.

- Nie w ciągu ostatnich kilku lat. Kiedyś dostarczał dla nas broń do Angoli, ale nie byliśmy zadowoleni z jego usług.

- Jak to?

- Wiesz, ten facet to kawał bandziora - odpowiedział Cantor. - To się często zdarza w tej branży, ale staramy się unikać takich typów. Kiedy tylko Kongres zniósł restrykcje na takie operacje, zorganizowaliśmy to sami.

- Mam tu dwadzieścia trzy nazwiska - powiedział Ryan.

- Tak, znam tę teczkę. W listopadzie zeszłego roku podejrzewaliśmy, że zaopatruje w broń pewną proirańską grupę, ale okazało się, że to nie on. Ustalenie, że jest czysty zajęło nam dwa miesiące. Gdyby można z nim pogadać, sprawa byłaby znacznie prostsza.

- A Anglicy?

- Człowieku, to jest jak mur - odpowiedział Cantor. - Ile razy ktoś chce z nim porozmawiać, jakaś afrykanerska szycha mówi „nie”. Nie można mieć im tego za złe, w końcu jeżeli Zachód traktuje ich jak pariasów, to pewne jak cholera, że będą się zachowywać jak wyrzutki. A wyrzutki trzymają się razem.

- Czyli nie wiemy tego, co byśmy chcieli wiedzieć o nim i nie spróbujemy nawet się dowiedzieć?

- Tego nie powiedziałem.

- Czyli kogoś tam wysłano, żeby przewąchał sprawę?

- Tego też nie powiedziałem.

- Cholera by cię, Marty!

- Jack, nie masz dopuszczenia do wiadomości na temat operacji w terenie. Gdybyś dotąd tego nie zauważył, to w żadnej z teczek, które dostajesz nie ma wzmianki o źródłach informacji.

Ryan zauważył to już wcześniej. Informatorzy nie byli wymienieni z nazwiska, skrzynki kontaktowe nie były lokalizowane, nigdzie nie było wzmianek o sposobach przekazywania

informacji.

- Dobrze, czy mogę więc zakładać, że jakimiś nieznanymi mi sposobami będzie można uzyskać trochę informacji o tym panu?
- Możesz zakładać, że istnieje znaczne prawdopodobieństwo, iż jest to rozważane.
- To może być nasz najlepszy ślad - przekonywał Jack.
- Wiem o tym.
- Taka rzecz może człowieka zniechęcić. - Jack z ulgą podzielił się tą natrętną myślą.
- Mów do mnie jeszcze - zachichotał Marty. - Poczekaj jak dostaniesz coś naprawdę ważnego.

Przepraszam, wiem że dla ciebie to jest najważniejsze, ale wiesz o co mi chodzi. Co naprawdę myśli Politbiuro o czymś, czy jak celne są ich rakiety i jak duże przenoszą głowice, albo czy czegoś tu nie podzucili.

- Powoli, nie wszystko naraz.
- O tak, to musi być fajne: mieć tylko jeden problem na raz.
- Kiedy można się spodziewać czegoś o Martensie?
- Dowiesz się, jak tylko przyjdzie - obiecał mu Cantor. - Cześć.
- Cudownie.

Resztę dnia i część następnego Ryan spędził na przeglądaniu listy klientów Martensa. Z ulgą wrócił na dwa dni do uczenia, ale zanim to nastąpiło, znalazł możliwy punkt zaczepienia.

Silniki Mercury, doczepione do Zodiaca użytego przez ULA przeszły, o ile prowadzona w Europie księgowość była pełna, przez ręce hurtownika z Malty, który robił interesy z Martensem.

Ernie szybko się uczył. Już po dwóch tygodniach nauczył się załatwiać na zewnątrz, co uwolniło Jacka od konieczności reagowania na wiadomości w stylu „Taato, tu jest mały problem!”, czemu towarzyszyła zwykle uwaga żony w stylu „Dobrze się bawisz, Jack?”. Zresztą nawet żona musiała przyznać, że pies w roli rehabilitanta sprawował się znakomicie. Erniego dawało się oderwać od ich córki tylko silnym szarpnięciem za smycz. Spał z nią teraz w łóżku, co parę godzin wstając i patrolując cały dom. Początkowo trochę go denerwował widok psa, czy raczej czarnej masy, ciemniejszej od nocy, o kilka centymetrów od twarzy, gdy przychodził pod koniec obchodu, jakby meldując, że wszystko w porządku, zanim wrócił do pokoju Sally na kolejne dwie godziny warty. Stale był jeszcze szczeniakiem, na niewiarygodnie długich nogach, z masywnymi, miękkimi łapami i ciągle jeszcze lubił podgryzać różne rzeczy. Odgryzienie nogi jednej z lalek Barbie należących do Sally zakończyło się wielką awanturą wszczętą przez jego panią i zakończoną, gdy zaczął jej lizać twarz, jakby na przeprosiny.

Sally była już wreszcie znowu zdrowa. Tak jak obiecywali lekarze, jej nogi wróciły do normy i teraz biegła jak gdyby nigdy nic się nie zdarzyło. Dziś wróciła do Giant Steps. Sposób w jaki pędziła do nich, strącając szklanki ze stołów, mówił jej rodzicom, że wszystko jest w porządku, co cieszyło ich na tyle że nie mieli siły karcnąć jej za zachowanie niegodne damy. Ze swej strony Sally mężnie znosiła nadmierną dawkę uścisków, których przyczyny nie pojmowała. Chorowała, ale teraz wyzdrowiała i tyle. Jack powoli zdawał sobie sprawę z tego, że nie dotarło do niej, że była ofiarą zamachu. Rzadko wracała do przeszłości, zawsze mówiąc przy tym o czasie „zanim popsuł się samochód”. Ciągle jeszcze musiała przyjeżdżać na kontrolne badania co parę tygodni. Nie lubiła ich i bała się, ale dzieci potrafią dostosowywać się do zmieniającej się rzeczywistości łatwiej niż ich rodzice.

Jedną z takich zmian było zachowanie jej matki. Dziecko rosło teraz szybko. Drobna sylwetka Cathy zdawała się słabo przystosowana do takich ekstrawagancji. Po każdym porannym prysznicu oglądała się nago w lustrze na drzwiach szafy i doznawała mieszanych uczuć radości i żalu gładząc



szybko rosnący brzuch.

- Będzie gorzej - odezwał się Jack, wychodząc spod prysznic.

- Dzięki, Jack, naprawdę mnie podniosłeś na duchu.

- Widzisz jeszcze swoje stopy? - spytał z uśmiechem.

- Nie, ale czuję - stopy jej puchły, a wraz z nimi łydki.

- Jak dla mnie, wyglądasz cudownie - stanął za nią i objął ramionami jej rosnący brzuch.

Podbródek oparł na czubku jej głowy. - Kocham cię.

- Łatwo ci mówić! - Stała patrząc w lustro. Jack zobaczył na jej ustach nikły uśmiech. Czyżby zaproszenie? Sięgnął ręką wyżej, żeby się przekonać.

- Au! Boli!

- Przepraszam - zwolnił uścisk, teraz tylko podtrzymując jej piersi. - Hmm, czy tu się coś zmieniło?

- Tak długo trwało, zanim dostrzegłeś? - Uśmiech rozszerzył jej twarz. - Tyle musiałam przejść, żeby to nastąpiło.

- A czy ja się kiedy skarżyłem? Wszystko u ciebie było zawsze na piątkę z plusem. Może ta ciąża obniżyła stopień do cztery mniej, ale tylko z jednego przedmiotu...

- Ta szkoła rzuca ci się na głowę, profesorku - uśmiech rozszerzył się tak, że widać było zęby.

Odchyliła się do tyłu, ocierając się o zarośniętą pierś męża. Bardzo to lubiła.

- Jesteś piękna - powiedział. - Promieniejesz.

- No, to muszę sobie wypromieniować drogę do pracy. - Jack nie cofnął rąk. - Muszę się ubrać, Jack.

- Jak miłuję cię, niechaj wyliczę sposoby..." - wymamrotał w jej wilgotne włosy. „Na jeden... na drugi... na trzeci..."

- Nie teraz, napaleńcu!

- Dlaczego? - Jego dłonie poruszały się bardzo delikatnie.

- Bo ja za trzy godziny muszę operować, a ty jedziesz do miasteczka szpiegów. - Ale nie wyrywała się. Nie mieli zbyt wielu chwil, gdy byli tylko we dwoje.

- Dzisiaj nie jadę. Mam zaległości semestralne w Akademii. Zdaje się, że na wydziale kręcą na mnie nosem. - Nadal patrzył w lustro. Jej oczy były zamknięte. A pieprzyć wydział, pomyślał. - Boże, jak ja cię kocham.

- Wieczorem, Jack.

- Słowo?

- Kupiłam ten pomysł, dobrze? A teraz... - schwyciła jego dłoń, pociągnęła ją w dół i przyłożyła do napiętej skóry brzucha.

Mały, bo dzieciak na pewno będzie chłopcem, a w każdym razie oni tak go nazywali, rozbudzony kręcił się i kopał jak szalony, rozpychając się w ciasnej przestrzeni.

- Ohoho - zauważył ojciec. Dłonie Cathy zacisnęły się na jego, przesuając je w ślad za ruchem dziecka. - Jak się czujesz?

Lekko odwróciła głowę.

- Dobrze, chyba że próbuję zasnąć albo kopie mnie w pęcherz w czasie operacji.

- Czy Sally też była taka silna?

- Chyba nie. - Nie powiedziała mu, że takich rzeczy się nie pamięta. Dla niej to był po prostu znak tego, że dziecko jest żywe i zdrowe, a mężczyzna nie byłby w stanie tego zrozumieć. Nawet Jack. Cathy była dumną kobietą. Wiedziała, że jest jednym z najlepszych chirurgów ocznych na świecie. Wiedziała, że jest atrakcyjna i że ciężko pracowała nad tym, by to utrzymać. Nawet teraz, w

cięży wiedziała, że trzyma się dobrze. Mówiła jej o tym biologiczna reakcja męża, którą dobrze wyczuwała plecami. Ale oprócz tego wiedziała, że jest kobietą, która robi coś, czego Jack nigdy nie byłby w stanie powtórzyć ani w pełni zrozumieć. Cóż, dopowiedziała sobie, Jack też robi rzeczy, których ja nie rozumiem. - Puść mnie już, muszę się ubrać.

- Dobrze - odpowiedział Jack, całując ją w nasadę karku. To im będzie musiało wystarczyć do wieczora. - Doszedłem do jedenastu.

- Jakich jedenastu? - odwróciła się.

- Sposobów - roześmiał się Jack.

- Ty indorze! Tylko jedenastu? - Machnęła za nim biustonoszem.

- Jest za wcześnie. Mój mózg jeszcze się nie rozkręcił.

- Ale nie z powodu złego ukrwienia, co? - Ciekawe, że Jack nie uważał się za zbyt przystojnego. Podobały jej się jego miłe, kochające oczy. Patrzyła na szramę na jego ramieniu, która przypominała jej zrazu przerażenie odczuwane, gdy jej mąż wystawił się na niebezpieczeństwo, a potem dumę z tego, czego dokonał. Cathy wiedziała, że wraz z Sally omal nie zginęły z tego powodu, ale przecież on nie mógł tego w żaden sposób przewidzieć. To była też jej wina, wiedziała o tym i przyrzekła sobie, że już nigdy nie pozwoli jej bawić się kłamrą pasów. Obie zapłaciły cenę za to, jaki bieg obrało ich życie. Sally już niemal całkowicie się z tego otrząsnęła, ona też. Wiedziała jednak, że nie Jack, który widział to wszystko, podczas gdy one spały.

Kiedy To się zdarzyło, ja przynajmniej byłam nieprzytomna. Jack musiał przez to przejść na żywca. Ciągłe płaci swoją cenę. Pracuje na dwóch etatach, ciągle z wyrazem konsternacji na twarzy, zaaferowany czymś, o czym nie może mówić. Nie wiedziała dokładnie co robił, ale była pewna, że jeszcze nie skończył.

Jej lekarskie wykształcenie nieoczekiwanie dało jej wiarę w przeznaczenie. Dla niektórych ludzi po prostu jeszcze nie wybił ich czas. Dla nich to jeszcze nie był ich czas, szczęście lub dobry chirurg mogli je uratować, ale jeśli ich czas przyjdzie, wszyscy lekarze świata nie będą tego w stanie zmienić. Doktor Caroline Ryan wiedziała, że jak na lekarza ma dość niezwykle poglądy, ale równoważyła je przekonaniem, że jest w stanie pokrzyżować plany siłom rządzącym światem. Na wszelki wypadek specjalizowała się w dziedzinie, w której rzadko dochodziło do walki o życie pacjenta. Zdawała sobie z tego sprawę. Jej przyjaciel ze studiów wybrał specjalizację z onkologii dziecięcej, zajmował się leczeniem dzieci chorych na raka. Ta dziedzina, wymagająca najwyższych umiejętności medycznych kiedyś i ją kusiała, ale wiedziała, że nie zniesie tego ciężaru. Jak mogłaby nosić w sobie dziecko widząc, jak inne dzieci umierają na jej oczach? Jak mogłaby tworzyć nowe życie, nie mogąc zapobiec jego utracie? Jej wiara w przeznaczenie mogłaby sobie nie dać z tym rady, więc bojąc się, że mogłoby to zaszkodzić jej psychice, wybrała specjalność równie wymagającą, ale w inny sposób. Co innego kłaść swoje życie na szali, co innego zaś duszę.

Wiedziała, że Jack miałby odwagę stawić czoła temu wyznaniu. Ale to też miało swoją cenę. To wahanie, które czasem u niego zauważała mogło być oznaką tego, że stał przed takim problemem. Była pewna, że jego praca w CIA, o której nie mógł nic mówić, miała na celu znalezienie i zabicie ludzi, którzy na nich napadli. Uważała to za nieuniknione i wiedziała, że nie będzie płakać po tych bydlakach, którzy o mało nie uśmiercili jej i ich dziewczynki. Sama nie mogła, jako lekarz, rozważać czegoś takiego. Dla jej męża wyraźnie nie było to łatwym zadaniem. Coś się zdarzyło przed kilkoma dniami. Zmagał się z tym w samotności, nie mogąc nikomu o tym powiedzieć, jednocześnie próbując utrzymać cały swój świat bez skazy, kochając swoją rodzinę, pracując nad... czyżby uśmierceniem innych? To mu nie mogło przyjść łatwo. Jej mąż był człowiekiem dobrym z natury, w tylu sprawach, przynajmniej dla niej, ideałem. Zakochała się w nim na pierwszym spotkaniu i pamiętała każdą

fazę zalotów. Pamiętała jego niezgrabne i, z perspektywy lat, zabawne oświadczenia, przerażenie w jego twarzy, gdy zawahała się przez sekundę z odpowiedzią, jakby poczuł się nagle niewartym jej idiotą. Najlepiej pamiętała wyraz jego twarzy, kiedy narodziła się Sally. Człowiek, którego stać było na to, by odwrócić się plecami do zajadłego świata bankowości, tego świata, który po śmierci matki przemienił jej ojca w nieszczęśliwego zgryźliwca, by powrócić do uczenia młodych, chłonnych ludzi, był teraz uwikłany w coś, co mu się nie podobało. Ale wiedziała, że robi co w jego mocy, a wiedziała na co go stać. Właśnie tego doświadczyła. Cathy żałowała, że nie może dzielić z nim jego wątpliwości i niepokoju, tak jak dzieliła się z nim zwątpieniem po nieudanej operacji. Tak jak ona potrzebowała jego przed kilkoma tygodniami, tak teraz on potrzebował jej. A ona nie mogła mu tego zapewnić. A może mogła?

- Co cię dręczy? Czy mogę ci pomóc?

- Naprawdę nie mogę o tym z tobą rozmawiać - odpowiedział Jack, wiążąc krawat. - To było słuszne, ale dumą nie napawa.

- Czy to byli ci ludzie...

- Nie, nie oni. Gdyby to byli... - Odwrócił się do niej. - Gdyby to byli oni, byłbym radosny jak skowronek. To byłby przełom. FBI... Nie powinienem ci tego mówić, ale wiem że to nie wyjdzie z tego pokoju. Poza tym... Nie, tego ci już powiedzieć nie mogę. Przepraszam, naprawdę chciałbym.

- Ale nie zrobiłeś nic złego? - Jego twarz zmieniła się po tym pytaniu.

- Nie. Dużo o tym myślałem w ostatnich dniach. Pamiętasz ten dzień, kiedy musiałaś usunąć oko tej pani? To było niezbędne, ale nadal nie jesteś z siebie zadowolona. To było właśnie coś takiego. - Spojrzał w lustro. No, może niezupełnie, pomyślał.

- Jack, kocham cię i wierzę w ciebie. Wiem, że robisz właściwe rzeczy.

- Cieszę się, kochanie, bo mnie czasem tej pewności brakuje. - Wyciągnął rękę, a ona przytuliła się do niego. W pewnej wojskowej bazie w Czadzie inna młoda kobieta nie miała raczej co liczyć na miłosne uściski, pomyślał. Czyja to była wina? Jedno jest pewne, ona nie jest taka jak moja żona. Ona jest inna niż moja dziewczyna. Czuł ją przy sobie, czuł jak poruszyło się znowu ich dziecko i wreszcie odnalazł pewność. Jego żona, podobnie jak inne kobiety, dzieci i w ogóle ludzie żyjący na całym świecie potrzebowali ochrony przed terrorystami szkolonymi w tych obozach, dla których byli jedynie abstrakcyjnymi celami. Oni sami nie byli abstrakcyjni, byli rzeczywistością. To terroryści postawili siebie samych poza nawiasem cywilizowanego społeczeństwa i trzeba ich zwalczać nie oglądając się na metody. Jeżeli da się to robić cywilizowanymi środkami, to dobrze, ale jeżeli nie, to trzeba zrobić co w naszej mocy dla osiągnięcia celu, kierując się sumieniem, by nie upodobnić się do nich. Uważał, że może ufać swemu sumieniu. Trzymał je teraz w ramionach. Jack pocałował żonę delikatnie w policzek.

- Dziękuję. To dwunasty.

Seminarium otwierało ostatnie dwa tygodnie zajęć przed ostatnią sesją, po której nastąpić miała promocja i kolejny rocznik słuchaczy zasili szeregi marynarki oraz piechoty morskiej.

Koty już wkrótce przestaną być kotami i to pozwoliło im się nawet raz, czy dwa razy dziennie uśmiechnąć w miejscu publicznym. Akademiki uciszyły się, gdyż młodsze roczniki wyjechały na krótkie, dwutygodniowe wakacje poprzedzające staże we flocie, by nabrać sił przed kaespe nowego rocznika. Ryan był przez tydzień zbyt zawalony papierkową robotą, żeby mógł się zająć prawdziwą pracą. Narobił sobie tyłów zarówno na wydziale historii Akademii, jak w CIA. Jego wysiłki, by służyć dwóm panom na raz nie przyniosły sukcesu. Obie roboty cierpiały na tym i Ryan wiedział, że w końcu będzie musiał wybrać między nimi. Świadomie odwlekał tę decyzję, podczas gdy wokół narastały góry dowodów jej konieczności.

- Hej, Jack' - Robby wszedł do pokoju w służbowym białym mundurze.

- Siadaj, komandorze. Jak tam latanie?

- Nie narzekam. Znowu w siodle! - odparł Jackson, siadając. - Żebyś ty był w górze ze mną na Tomcacie w zeszłym tygodniu. Człowieku, nareszcie znowu na swoim miejscu. Goniłem faceta na A-4, który grał intruza i dałem mu popalić. Fajnie było! - Uśmiechnął się jak lew na widok stada antylop z poprzetrącanymi nogami. - Jestem gotów!

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Mam się zgłosić do służby piątego sierpnia, więc pewnie wyjadę koło pierwszego.

- Ale wcześniej musicie wpaść do nas na kolację - Jack zajrzał do kalendarza. - Trzydziestego jest w piątek. O siódmej?

- Aye, aye, sir!

- A co tam będzie robić Sissy?

- No cóż, mają tam w Norfolk filharmonię. Będzie ich drugą solową pianistką, a na boku będzie dawać lekcje.

- Wiesz, że mają tam też centrum leczenia bezpłodności? Może będziecie jednak mogli mieć dziecko.

- Tak, Cathy jej o tym mówiła. Myślmy o tym, ale... Sissy przeżyła już tyle rozczarowań...

- Chcesz, żeby Cathy spróbowała ją przekonać raz jeszcze? Robby zastanowił się przez chwilę.

- Tak, ona to potrafi. A co tam u niej?

- Narzeka na swoją figurę - zaśmiał się Jack. - Dlaczego one nigdy nie rozumieją, jak piękne są w ciąży?

- Właśnie - uśmiechnął się w odpowiedzi Robby, zastanawiając się czy Sissy kiedykolwiek będzie miała szansę na to, by też tak narzekać. Jack rozumiał, że dotknął bolącego miejsca i pełen wyrzutów sumienia szybko zmienił temat.

- Przy okazji, co się stało z kutrami? Widziałem, że kilka z nich było zaparkowanych na nabrzeżu.

- „Wyslipowanych”, głąbie - poprawił go przyjaciel. - Zmieniają kable w bazie marynarki po drugiej stronie rzeki. To potrwa ze dwa miesiące. Coś się sypnęło w starych, izolacja nie wytrzymała, albo coś takiego. Jak zwykle wykonawca zamówienia rządowego coś spieprzył. Nic wielkiego. Skończą przed początkiem semestru. Zresztą, co mnie to już obchodzi. Do tego czasu, chłopie, będę spędzał ranki na dziesięciu tysiącach metrów, tam gdzie moje miejsce. A ty co będziesz robił?

- Cholera wie. - Wyjrzał za okno. - Rob, mamy dziecko w drodze i kupę rzeczy do przemyślenia.

- Nie znalazłeś ich jeszcze? Jack pokręcił głową.

- Myśleliśmy, że mamy przełom, ale nie wyszło. To są zawodowcy, Robby.

Reakcja przyjaciela zdumiała go pasją.

- Gówno prawda, człowieku! Zawodowcy nie robią krzywdy dzieciom. Chcą strzelać do żołnierza, policjanta, dobra, to mogę rozumieć. Nie popieram, ale mogę zrozumieć. Żołnierze i policjanci mogą oddać, mają broń i umieją się nią posługiwać. Mają równe szansę, z jednej strony zaskoczenie, z drugiej wyszkolenie i to jest fair. Ale strzelanie do cywilów, Jack, to robi z nich zwykłych pieprzonych bandytów! Może są sprytni, ale na pewno nie są zawodowcami. Zawodowcy mają jaja. Zawodowcy nie szukają łatwizny.

Jack pokręcił głową. Robby nie miał racji, ale nie wiedział jak go przekonać. On wyznawał wartości wojownika, który kieruje się cywilizowanymi zasadami. Pierwszą i najważniejszą z nich było: „Nie będziesz rozmyślnie krzywdził bezbronnych”. Wystarczająco źle było, gdy zdarzało się to

przez przypadek. Ale rozmyślne działanie w tym celu było tchórzliwe i zasługiwało tylko na pogardę. Ci którzy robili coś takiego, zasługiwali tylko na śmierć. Byli poza nawiasem.

- Oni grają w pieprzoną grę, Jack - ciągnął pilot. - Nawet piosenkę o tym śpiewają. Słyszałem ją w czasie obchodów Dnia Św. Patryka, na Riordan. „Poznałem wszystkich bohaterów i chciałem im dorównać, spróbować gier patriotów", czy coś w tym stylu. - Jackson pokręcił głową, zdegustowany. - Wojna to nie zabawa, to zawód. A oni grają w te swoje gierki, nazywają siebie patriotami, a potem biorą broń i zabijają małe dzieci. Skurwiele! Jack, tam, we flocie, latamy Tomcatami i bawimy się z Rosjanami w kotka i myszkę. Nikt nie ginie, bo obie strony są zawodowcami. Niezbyt lubię Ruskich, ale ich piloci latający na Tu-95 Bear znajdują się na rzeczy. My też znamy się na rzeczy i obie strony szanują się nawzajem. Są reguły i obie strony się ich trzymają. I tak powinno być.

- Świat nie jest tak prosty, Robby - spokojnie odpowiedział Jack.

- No więc do cholery powinien być! - Jack był zdumiony uporem przyjaciela. - Powiedz tym w CIA, żeby ich znaleźli, a jeśli tylko ktoś na górze wyda rozkaz, będę eskortował ten nalot.

- Dwa razy ostatnio próbowaliśmy i skończyło się stratą ludzi - przypomniał Ryan,

- Ryzykujemy. Za to nam płacą, Jack.

- Dobra, ale zanim znowu rzucisz kostką, może byście wpadli na tę kolację?

Jackson uśmiechnął się niewinnie.

- Nie będę pyskował przy damach, obiecuję. Czy to będzie galowa okazja?

- Robby, czy ja kiedykolwiek robiłem galę?

- Powiedziałem im, żeby się zbytnio nie stroili - mówił potem Jack.

- To dobrze - zgodziła się Cathy. - Miałam nadzieję, że im to powiesz.

Spojrzał na nią. Jej skóra błyszczała, oświetlona światłem księżyca.

- Naprawdę jesteś piękna.

- Już to mówiłeś...

- Nie ruszaj się. Zostań tam, gdzie jesteś - poprosił, a jego ręka przesuwała się wzdłuż jej boku.

- Dlaczego?

- Powiedziałaś, że dziś to ostatni raz przed porodem. Nie chcę już kończyć.

- Następnym razem będziesz mógł być na górze.

- Warto będzie czekać, ale nie będziesz już tak piękna, jak teraz.

- Nie czuję się piękna.

- Cathy, uwierz mi, mówi ci to ekspert - przemówił jej mąż. - W tym domu jestem jedynym, kto może z dystansu i bez emocji wyrazić ocenę piękności jakiegokolwiek istoty rodzaju żeńskiego, żywej czy umarłej. Ja mówię, że jesteś piękna i koniec dyskusji.

Cathy Ryan miała na ten temat odmienne zdanie. Jej brzuch naznaczony był rozstępami, piersi miała nabrzmiałe i obolałe, stopy i łydki spuchnięte, a nogi jej drętwiały.

- Jack, jesteś durniem.

- Nigdy nie słucha - poskarżył się sufitowi.

- To tylko feromony - wyjaśniła. - Kobieta w ciąży inaczej pachnie i to pewnie na ciebie w jakiś sposób wpływa.

- Tak? No to jak to się dzieje, że wydajesz mi się piękna nawet wtedy, kiedy mam katar? Jak to wyjaśnisz?

Sięgnęła palcami do włosów na jego piersi i zaczęła w nich przebierać. Jack zaczął drgać, to go łaskotało.

- Miłość jest ślepa.

- Całuję cię zawsze z otwartymi oczami.

- Nie wiedziałam!

- Wiem - uśmiechnął się. - Bo ty je zawsze wtedy zamykasz. Może twoja miłość jest ślepa, bo moja nie.

Gładził ją opuszkami palców po brzuchu. Jeszcze była śliska od oliwki dla niemowląt, której używała do nawilżania skóry. Jego palce zaczęły kreślić kręgi na napiętej, gładkiej powierzchni.

- Jesteś przeżytkiem. Urwałeś się żywcem z filmów z lat 30. - Teraz ona zaczęła drgać, odczuwając łaskotanie. - Przestań!

- Errol Flynn nigdy tego w filmach nie robił - zauważył Jack, nie przerywając.

- Bo wtedy była cenzura.

- Niektórzy ludzie po prostu nie mają poczucia humoru. - Jego ręce poszerzyły teraz pole działania. Przeniósł się na nasadę jej karku. Trudno było tam sięgnąć, ale efekt wart był wysiłku. Znowu zadrżała. - A poza tym, z drugiej strony ja...

- Mmmmm...

- Tak myślałem.

- Oho, znowu się obudził.

Jack wyczuł jego ruch niemal w tej samej chwili, co Cathy. On, czy ona, obracał się. Jack zastanowił się jak to możliwe, skoro dziecko nie miało się o co zaprzeć, od czego odepchnąć. Widać był jakiś sposób, skoro mógł wyczuć ręką ruch czegoś co wystawało. To coś było głową dziecka, a może wręcz przeciwnie. Ale poruszało się. Żyło. Czekало na rozwiązanie. Spojrzał na żonę, uśmiechając się i rozumiejącą, o co mu chodzi.

- Jesteś piękna i bardzo cię kocham. Czy ci się to podoba czy nie. - Zaskoczyły go łzy w jej oczach. Jeszcze bardziej zdziwił się tym, co nastąpiło potem.

- Ja też cię kocham, Jack. Jeszcze raz?

- No, może to jednak nie był ostatni raz...

23

Ruch

- Dostaliśmy to wczoraj wieczorem.

W CIA wyraźnie zmieniły się priorytety, pomyślał Ryan. Człowiek współpracujący z nimi nad zdjęciami był szpakowaty, nosił okulary ze szklami bez oprawki i muszkę. Widok zarękawków na jego mankietach wcale by Jacka nie zdziwił. Marty stał milcząc w rogu pokoju.

- To jeden z tych trzech obozów, prawda?

- Tak, inne już zidentyfikowaliśmy - kiwnął głową Ryan. To ściągnęło na niego sceptycyzm gościa.

- To ty tak uważasz, synu.

- No dobrze, więc te dwa działają, ten od zeszłego tygodnia, a tamten od dwóch dni.

- A co z obozem 20, tym po Action Directe? - zapytał Cantor.

- Zamknięty od czasu jak żabojady zrobiły z nim porządek. Widziałem to na taśmie. - Gość uśmiechnął się z uznaniem. - W każdym razie, popatrzcie tutaj.

To było jedno z niewielu zdjęć zrobionych w dzień i to nawet kolorowe. Na strzelnicy obok obozu stało w jednej linii sześciu ludzi. Kąt widzenia uniemożliwiał stwierdzenie czy byli uzbrojeni, czy nie.

- Szkolenie strzeleckie? - zapytał ostrożnie Ryan.

- Jeśli nie, to pewnie odlewają się na komendę.

- Chwileczkę, powiedział pan, że to przyszło w nocy?

- Proszę spojrzeć na kąt padania promieni słonecznych - cierpliwie zwrócił uwagę gość.

- Ach, to wczesny ranek.

- Czyli około północy naszego czasu. Bardzo dobrze - pochwalił i pomyślał, że wszystkim tym dyletantom wydaje się, że umieją czytać zdjęcia z rozpoznania satelitarnego. - Żadnej broni nie widać, ale jak się panom zdaje, co to są te błyski światła, o tutaj? To mogą być odbłaski słońca na wyrzucanych łuskach. Dobrze, czyli mamy tu sześciu ludzi. Pewnie Europejczyków z północy, sądząc z tego, jak są bladzi. O, ten się spiekł na raka, widzicie to różowe ramię? Z fryzur i ubrania wygląda na to, że to wszystko mężczyźni. I teraz zasadnicze pytanie, kim oni do cholery są?

- To nie Action Directe - powiedział Marty.

- A skąd wiesz? - zapytał Ryan.

- Tych, których zgarnęli Francuzi już nie ma wśród żywych. Zostali osądzeni przez sąd wojskowy i dwa tygodnie temu rozstrzelani.

- Jezu! - Ryan odwrócił się znad zdjęcia. - Tego nie chciałem wiedzieć, Marty!

- Ci co chcieli, mieli księdza. Myślę, że to szlachetnie ze strony naszych kolegów. - Przerwał na chwilę, po czym dokończył. - Okazuje się, że francuskie prawo dopuszcza taki proces w wyjątkowych okolicznościach. Tak więc wbrew temu, co nam się obu zdawało, wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Teraz ci lepiej?

- Trochę - przyznał Ryan. Terrorystom niewiele to zmieniło, ale przynajmniej formalnościom stało się zadość, a to była jedna z rzeczy składających się na pojęcie „cywilizacja”.

- To dobrze. A poza tym śpiewali jak kanarki i DGSE mogła na tej podstawie zwinąć jeszcze dwóch członków spoza Paryża. To się na razie nie dostało do gazet. W kilku magazynach znaleziono mnóstwo broni i materiałów wybuchowych. Może jeszcze nie wypadli z interesu, ale to ich zdrowo nadszarpnęło.

- Tak - potwierdził facet w muszce. - A, to jest ten gość, który się do tego przyczynił?

- A wszystko dzięki temu, że lubi oglądać cycki z odległości pięciuset kilometrów - odpowiedział Cantor.

- Jak to się stało, że nikt tego wcześniej nie zauważył? - zapytał Ryan. Wolałby, żeby to zrobił ktoś inny.

- Bo nie mam u siebie dość ludzi. Dopiero teraz pozwolili mi zatrudnić dziesięciu nowych. Ale przynajmniej mogłem wybrać. To są ludzie, którzy odchodzą z sił powietrznych. Fachowcy.

- Dobra, co z innymi obozami?

- Proszę. - Na stół powędrowało kolejne zdjęcie. - Bardzo podobne. Tu widać dwóch...

- Jedna z tych osób to dziewczyna - wtrącił się Ryan.

- Jedna z tych osób ma długie włosy - zgodził się analityk. - Ale to jeszcze nie znaczy, że koniecznie musi być kobietą.

Jack myślał nad tym, przyglądając się postawie i sylwetce na fotografii.

- Jeżeli założymy, że to dziewczyna, to co nam to mówi? - zapytał Cantora.

- Sam sobie odpowiedz.

- Nie mamy żadnych wiadomości o tym, żeby ULA miała żeńskich członków, ale wiemy że ma ich PIRA. To jest ten obóz... Pamiętacie tego dzipa, który krążył między obozami? A potem tu parkował? - Ryan umilkł nagle. Co do diabła... Złapał poprzednie zdjęcie z sześcioma sylwetkami na strzelnicy i porównał je. - To jest ten sam facet!

- A na czym pan do cholery opiera swoje twierdzenie? - zapytał nieco już rozdrażniony jego wtrącaniem się analityk.

- Może pan to nazwać silnym przeświadczeniem - odpowiedział Ryan.

- No pięknie. Następnym razem jak pojedę na wyścigi, zabiorę pana, żeby mi pan wyznaczył porządek. Proszę pana, na tych zdjęciach widać tylko to, co na nich jest. Jeżeli się pan zacznie za bardzo w nie wgryzać, to wynikają z tego pomyłki. I to duże. Tu widać tylko sześć sylwetek, prawdopodobnie - zaakcentował to słowo - uzbrojonych. I tyle.

- Czy jest coś jeszcze? - zapytał Cantor.

- Nocny przelot satelity będzie miał miejsce około dwudziestej drugiej lokalnego czasu, czyli po południu naszego. Jak tylko będę miał zdjęcie, zaraz je wam przyślę.

- Bardzo dobrze. Dziękuję - pożegnał go Cantor. Gość opuścił ich pokój, by powrócić do swych ukochanych aparatów fotograficznych.

- Myślę, że ten typ człowieka można określić mianem empiryka - zauważył po chwili Ryan.

Cantor uśmiechnął się.

- Coś w tym rodzaju. Jest w tym interesie już od czasów, jak wysyłaliśmy nad Rosję U-2. To naprawdę ekspert. Najważniejsze, że nigdy nie mówi, że jest czegoś pewny, dopóki nie jest tego naprawdę pewien. W jednym miał rację, naprawdę można z tym przegiąć.

- No dobrze, ale zgadzasz się ze mną?

- Tak. - Cantor usiadł na biurku obok Ryana i obejrzał oba zdjęcia raz jeszcze pod szkłem powiększającym.

Sylwetki sześciu mężczyzn stojących na pustynnej strzelnicy nie były całkowicie ostre. Gorące powietrze falujące nad pustynią nawet o poranku zacierało kontury. Obraz wyglądał jakby sfotografowano go z drugiej strony rozgrzanej słońcem autostrady. Aparat fotograficzny satelity miał bardzo krótki czas naświetlania, obraz utrwalany był elektronicznie, co pozwoliło zminimalizować efekty zakłóceń. Mimo to dysponowali tylko nieostrym zdjęciem wykonanym pod bardzo dużym kątem, na którym widać było zarysy sylwetek dziesięciu ludzi. Z pewnością można było ustalić, że nosili beżowe podkoszulki, także długie spodnie, możliwe było też ustalenie koloru włosów. Odblask na rękę jednego z nich wskazywał na zegarek lub bransoletę. Twarz innego była ciemniejsza od pozostałych, co wyraźnie kontrastowało z jego odsłoniętym jasnym przedramieniem i wskazywało na brodę. Ryan przypomniał sobie, że Miller nosi teraz brodę.

- Cholera, żeby było choć trochę lepsze...

- Tak - zgodził się Marty. - Ale i tak to, co tu widzisz to rezultat trzydziestu lat pracy i Bóg jeden wie jak wielkich pieniędzy. W umiarkowanym klimacie wychodzi to dużo lepiej, ale i tam nie da się rozpoznać twarzy.

- To jest on, Marty. To jest ten sam facet. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby to potwierdzić.

- Chyba się nie da. Nasi francuscy koledzy przesłuchiwali zatrzymanych, a ci mówili, że te obozy są całkowicie od siebie odseparowane. Grupy spotykają się ze sobą tylko na neutralnym gruncie. Oni nawet sami nie byli pewni, gdzie leży ich własny obóz.

- No, to już nam coś mówi!

- Chodzi ci o ten samochód? To mógł być ktoś z ich armii. Może jakiś dowódca straży. To nie musiał być jeden z terrorystów jeżdżący stąd do obozu Tymczasowych. Co więcej, to jest właśnie dowód na to, że tak nie było. Ścisła segregacja jest logicznym środkiem bezpieczeństwa. A ci ludzie doceniają wagę zachowania bezpieczeństwa. Jeżeli nawet do tej pory nie doceniali, to historia Francuzów przekonała ich na pewno.

Ryan nie pomyślał o tym. Akcja na obóz Action Directe musiała mieć wpływ na działalność innych obozów.

- Uważasz więc, że to była samobójcza bramka?



- Nie, wysłaliśmy im ostrzeżenie, które warte było wysłania. Jak dotąd nie wiemy, czy ktokolwiek wie, co się tam naprawdę wydarzyło. Mamy podstawy uważać, że podejrzewa się tam o atak jakieś konkurencyjne ugrupowanie, które wyrównało z nimi rachunki. Nie wszyscy kursanci kochają się nawzajem. Tak więc udało nam się chociaż posiać wśród nich ziarno wzajemnych podejrzeń wobec kolegów i gospodarzy. Być może z czasem pozwoli nam to zebrać jakieś informacje.

- W każdym razie, teraz wiemy, że to może być ten obóz, o który nam chodzi. I co z tym zrobimy?

- Popracujemy nad tym. Na razie nie mogę ci powiedzieć nic więcej.

- Dobra. - Ryan machnął ręką. - Chcesz kawy, Marty? Twarz Cantora przybrała dziwny wyraz.

- Nie, na jakiś czas mam spokój z kawą.

Cantor nie powiedział, że szykuje się wielka operacja. Typowe w niej było to, że mało który jej uczestnik wiedział, o co chodzi. Grupa lotniskowcowa marynarki z lotniskowcem USS „Saratoga” wyruszyła z Morza Śródziemnego na zachód i miała przejść na północ od Zatoki Wielka Syrta za kilka dni. Jak zwykle formacja miała na ogonie towarzystwo radzieckiego AGI, kutra rybackiego łowiącego informacje zamiast makreli, który powiadamiał o jej ruchach Ubijczyków. Kiedy lotniskowiec dopłynął na wysokość Trypolis, w środku nocy francuski agent przerwie dopływ prądu do instalacji radarowych zaraz po tym, jak rozpocznie się nocny start samolotów z pokładu okrętu. Miało to na celu tylko ściągnięcie uwagi obrony przeciwlotniczej, gdyż samoloty nie miały w planach nic poza rutynową kolejką nocnych startów i lądowań. W tym samym czasie zespół francuskich komandosów, który uprzednio zaatakował obóz 20 miał zająć się obozem 18. Cantor nie mógł tego powiedzieć Ryanowi, ale francuska gotowość do wyświadczenia tej przysługi Amerykanom była wyrazem ich zadowolenia z udanego rajdu przeciw Action Directe. Chociaż nie był to pierwszy przejaw międzynarodowej współpracy w tej dziedzinie, była to jedna z zaledwie trzech dotychczasowych operacji uwieńczonych sukcesem. CIA pomogło pomścić śmierć przyjaciela francuskiego prezydenta. Mimo wszelkich różnic i napięć w stosunkach między dwoma krajami, długi honorowe były płacone co do grosza. To przemawiało do poczucia słuszności Cantora, ale wiedziało o tym zaledwie dwadzieścia osób w całej Agencji. Operacja miała nastąpić za cztery dni. Starszy oficer Departamentu Operacyjnego już współpracował z francuskimi spadochroniarzami, którzy według jego raportów przepełnieni byli chęcią powtórnej demonstracji swej skuteczności.

Przy odrobinie szczęścia grupa terrorystyczna, która miała czelność popełnić morderstwa w USA i Wielkiej Brytanii zostanie przykładnie ukarana przez wojska jeszcze innego kraju. Jeżeli operacja się uda, wydarzenie to może otwierać ważną kartę w dziejach walki z terroryzmem.

Dennis Cooley przeglądał księgi rachunkowe. Było wcześniej. Sklep był jeszcze zamknięty, a on zwykł o tej porze zajmować się buchalterią. Nie było to trudne zadanie. W jego sklepie nie zawierano zbyt wielu transakcji. Zaczął chrząkać i nucić coś pod nosem, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, jakie rozdrażnienie opanowuje z tego powodu człowieka, który słucha nagrań z ukrytego za jedną z półek mikrofonu. Nagle mruczenie urwało się i głowa antykwariusza uniosła się znad księgi. Coś było nie tak...

Mały człowiek niemal wyskoczył z krzesła, gdy poczuł kwaśny zapach dymu. Rozglądał się gorączkowo po sklepie przez kilka chwil, zanim nie skierował spojrzenia na sufit. Dym wydobywał się z oprawy oświetleniowej pod sufitem. Podbiegł do wyłącznika na ścianie i uderzył weń dłonią. Wewnątrz wyłącznika błysnął błękitny ognik, a jego rękę prąd poraził do łokcia. Popatrzył na rękę ze zdumieniem, rozprostowując palce. Zdawało mu się, że dymią. Nie czekał, by się upewnić. Miał na zapleczu gaśnicę, pobiegł po nią, wrócił, wyjął zawleczkę i skierował ją na wyłącznik. Ale dymu już

więcej nie było. Stał więc na krześle, by sięgnąć nią do żyrandola, ale stamtąd też dym się już nie sączył. Został tylko zapach. Cooley stał na krześle przez ponad minutę, kolana mu drżały, gdy krzesło chwiało się pod nim. Trzymał gaśnicę i zastanawiał się co dalej. Wzywać straż pożarną? Ale przecież już nie było ognia. Wszystkie jego drogocenne książki... Wielu rzeczy go uczono, ale nie gaszenia pożarów. Dyszał ciężko przez chwilę, zanim nie zdecydował, że nie ma powodu do paniki. Rozejrzał się i zobaczył troje ludzi na ulicy, przyglądających mu się z zaciekawieniem.

Opuścił gaśnicę z zawstydzonym uśmiechem i na migi pokazał gapiom, że nie ma światła i wyłącznik nie działa. Pożaru, jeśli to był pożar, już nie było. Trzeba będzie wezwać elektryka.

Cooley otworzył drzwi, by wyjaśnić właścicielom sąsiednich sklepów co się zdarzyło. Jeden z nich powiedział, że kable w pasażu były bardzo stare. Cooley nigdy o tym nie myślał. Prąd to prąd. Naciska się wyłącznik, żarówka się zapala i tyle. Denerwowało go, że coś co uważał za pewne wcale się takim nie okazało. Chwilę później zadzwonił do zarządcy budynku, który obiecał mu, że elektryk będzie za pół godziny.

Przybył po czterdziestu minutach, przepaszając i usprawiedliwiając się korkami na ulicach. Zatrzymał się na moment, podziwiając półki z książkami.

- Po zapachu sądząc, drut się wytopił - ocenił. - Miał pan szczęście, sir. To często powoduje pożary.

- Trudno będzie naprawić?

- Myślę że trzeba będzie wymienić wszystkie kable. Zresztą, to powinno być już dawno zrobione. To jest stary budynek, wie pan, ta instalacja jest starsza ode mnie, czyli prawie o połowę za stara -uśmiechnął się.

Cooley zaprowadził go do skrzynki z bezpiecznikami na zapleczu i elektryk zabrał się do roboty. Dennis bał się używać lampy na biurku i zasiadł w półmroku, podczas gdy monter zaczął pracować.

Zaczął od wyłączenia głównego wyłącznika i obejrzał skrzynkę bezpieczników. Była na niej oryginalna tabliczka znamionowa, na której starłszy kciukiem kurz odczytał datę: 1919. Pokręcił zdumiony głową. Siedemdziesiąt pieprzonych lat! Żeby dostać się do ściany musiał parę rzeczy zdemontować i zdziwił się widząc świeży gips. To było równie dobre miejsce do rozpoczęcia pracy, jak każde inne. Nie chciał niszczyć ściany bardziej niż to konieczne. Przyłożył mesel do gipsu i uderzył młotkiem. Pod nim biegł zupełnie nowy kabel...

Ale to nie ten, pomyślał. Ten był w plastikowej, a nie gutaperkowej izolacji, jak w czasach jego dziadka. Poza tym biegł inaczej niż powinien. Dziwne. Pociągnął za przewód. Wysunął się całkiem łatwo.

- Panie Cooley? - zawołał. Antykwariusz pojawił się chwilę później. - Czy pan wie co to takiego?

- Kurwa mać! - wyrwało się detektywowi w pokoju piętro wyżej. - Kurwa żesz mać!

Obrócił się do swego towarzysza z wyrazem zaszokowania i frustracji.

- Dzwon do Owensa!

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem... - elektryk odciął kabel i podał go antykwariuszowi. Nie rozumiał dlaczego pan Cooley nagle tak pobladł.

Cooley też jeszcze nic takiego nie widział, ale wiedział doskonale co to było. Na końcu kabla nie było nic, izolacja po prostu się kończyła, ale nie wystawał z niej miedziany drut jak zwykle. Wewnątrz umieszczony był mikrofon o dużej czułości. Antykwariusz szybko się pozbierał, choć jego głos był jeszcze nieco drżący.

- Nie mam zielonego pojęcia. Proszę kontynuować.

- Tak, sir. - Elektryk powrócił do poszukiwania przepalonego kabla.

Cooley podniósł słuchawkę i wybrał numer.

- Halo?

- Beatrix?

- Dzień dobry, panie Cooley.

- Czy mogłabyś przyjść teraz do sklepu? Mamy tu małą awarię.

- Oczywiście. - Mieszkała tylko o przecnicę od stacji metra Halloway Road, a linia Picadilly dojeżdżała prawie pod drzwi antykwariatu. - Będę za kwadrans.

- Dziękuję, Beatrix. Kochana z ciebie dziewczyna - dodał przed odłożeniem słuchawki. Myśli przelatowały mu przez głowę z prędkością dźwięku. W domu ani w sklepie nie miał nic kompromitującego. Podniósł znowu słuchawkę i zawahał się. Jego instrukcje w takim wypadku polecały mu zadzwonić pod numer, który wbił sobie w pamięć. Ale jeżeli mikrofony były w sklepie, to także telefon w sklepie... i domowy... Cooley oblewał się potem, mimo że na dworze było chłodno. Nakazał sobie zachować spokój. Nigdy nie mówił nic niebezpiecznego przez telefon? Nigdy. Mimo całego doświadczenia i dyscypliny, Cooley nigdy nie znalazł się w sytuacji zagrożenia i teraz zaczynał panikować. Musiał skupić całą uwagę, by przypomnieć sobie procedury operacyjne, rzeczy których latami uczył się i trenował. Mówił sobie, że nigdy ich nie naruszał. Nawet raz. Tego był pewien. Kiedy wreszcie opanował dreszcze, zadzwonił dzwonek zawieszony na drzwiach. To była Beatrix. Złapał swój płaszcz.

- Wróci pan później?

- Jeszcze nie wiem. Potem zadzwonię. - Wyszedł, zostawiwszy za sobą ekspedientkę z bardzo głupią miną.

Znalezienie Jamesa Owensa zajęło im dziesięć minut. Dowódca C-13 był w samochodzie na południe od Londynu. Natychmiast wydał rozkaz śledzenia i aresztowania Cooleya, gdyby próbował opuścić kraj.

Dwóch ludzi pilnowało jego samochodu, gotowych śledzić go, gdyby tylko zdecydował się z niego skorzystać. Dwóch innych wysłano do pasażu, ale Cooley wyszedł w momencie, gdy przyjechali z przeciwnej strony. Jeden z nich wyskoczył z wozu i poszedł za nim, oczekując, że skręci w Berkeley Street, do agencji podróży, w której zwykle kupował bilety. Ale Cooley zszedł do stacji metra. Zaskoczony detektyw pobiegł do zejścia na stację po jego stronie ulicy, lecz tłum pasażerów w porannych godzinach szczytu uniemożliwił śledzenie antykwariusza. Minutę później jego podopieczny złapał pociąg, do którego policjant nie zdołał się precyzyjnie przeczekać przez tłum. Cooley uciekł. Detektyw wybiegł na ulicę i powiadomił przez radio policję na Heathrow, gdzie kończyła się ta linia metra. Cooley zawsze latał, chyba że brał samochód. Poza tym wezwał radiowozy na wszystkie stacje linii Picadilly. Na to już jednak nie było czasu. Cooley wysiadł na następnej stacji, tak jak go uczono i wziął taksówkę do dworca Waterloo. Stamtąd zadzwonił.

- 55-29, słucham.

- O, przepraszam, pomyliłem się. Chciałem się połączyć z numerem 66-30. Przepraszam - głos umilkł.

- A... nic nie szkodzi, w porządku - zapewnił po dwóch sekundach wahania rozmówca Cooleya głosem, który wyrażał wszystko, tylko nie to, że było w porządku.

Cooley odłożył słuchawkę i poszedł na peron. Tylko tyle mógł zrobić, żeby nie oglądać się przez ramię.

- Geoffrey Watkins, słucham - rzucił w słuchawkę.

- Och, przepraszam - odezwał się głos ze słuchawki. - Chciałem się połączyć z panem Titusem. Czy to jest numer 62-91? - Ten sygnał oznaczał „Zerwać wszystkie kontakty do odwołania. Brak

rozeznania co do bezpieczeństwa. Czekać na dalsze instrukcje, dostarczane w miarę możliwości".

- Nie, to jest 62-19 - „Zrozumiałem”. Watkins odwiesił słuchawkę i wyjrzał za okno. Czuł w żołądku jakby bryłę zamrożonego ołowiu. Przełknął dwukrotnie ślinę, potem sięgnął po herbatę. Przez resztę przedpołudnia miał kłopoty ze skoncentrowaniem się nad Białą Księgą MSZ, którą czytał. Dopiero dwa drinki wypite przed obiadem pomogły mu wziąć się w garść.

Około południa Cooley był w Dover, na pokładzie promu płynącego przez Kanał. Jego nerwy były w pełni napięte. Siedział na siedzeniu w kącie górnego pokładu i spoglądał znad rozłożonej gazety, czy nikt go nie obserwuje. Chciał wsiąść na poduszkowiec do Calais, ale zrezygnował z tego pomysłu. Gotówki miał akurat na prom do Dunkierki, na droższy poduszkowiec już by mu nie starczyło, a nie chciał zostawiać za sobą papierowych śladów. W końcu to i tak tylko dwie godziny i kwadrans. Kiedy już dotrze do Francji, złapie pociąg do Paryża, stamtąd zacznie latać. Po raz pierwszy od wielu godzin zaczął czuć się bezpiecznie, ale zdołał to szybko w sobie zdusić. Cooley jeszcze nigdy tak się nie bał i teraz zaczynał czuć niesmak. Cicha nienawiść, narastająca w nim od lat paliła go teraz jak kwas. To oni zmusili go do ucieczki. Szpiegowali go! Całe jego szkolenie, wszystkie środki bezpieczeństwa, z takim zaangażowaniem realizowane i umiejętności, których nabył, wszystko to pchało go do tego, żeby nigdy nie brał pod uwagę możliwości wpadki. Myślał, że jest na to zbyt dobry. To, że się mylił, rozwścieczało go i po raz pierwszy w życiu robił sobie wymówki. Stracił swój sklep, ze wszystkimi ukochanymi książkami. Ci pieprzeni Angole okradli go! Złożył starannie gazetę i położył ją na kolanach, gdy prom odbił się od brzegu i ruszył ku wyjściu z portu, ku wodom kanału, spokojnym, oświetlonym promieniami słońca. Spoglądał na wodę z miną człowieka rozmyślającego o grządkach w ogródku, podczas gdy jego myśli zdominowały krew i śmierć.

Tak wściekłego Owensa jego ludzie jeszcze nie widzieli. Inwigilacja Cooleya zdawała się prosta i rutynowa, ale to nie była wymówka, wyraźnie im to zapowiedział. Ten pedzio-niewiniątko, jak go nazywał Ashley, zgubił śledzących równie sprawnie jak prymusi akademii GRU. Na każdym lotnisku międzynarodowym w Wielkiej Brytanii ktoś międlilił jego fotografię w rękach. Gdyby użył karty kredytowej do zakupu jakiegokolwiek biletu, komputery banków powiadomiłyby natychmiast Scotland Yard. Mimo wszystko Owens miał bolesne przeczucie, że już go nie ma w kraju. Dowódca C-13 kazał się rozejść swoim ludziom.

W pokoju był też Ashley, równie zaskoczony rozwojem wypadków. Obaj mieli na twarzach wyraz gniewu i desperacji. Detektyw położył na stole taśmę z nagraniem rozmowy telefonicznej Watkina, przeprowadzonej w niecałą godzinę po zniknięciu Cooleya. Ashley odtworzył ją. Trwała wszystkiego 20 sekund. To nie był głos Cooleya. Gdyby to był jego głos, aresztowaliby go natychmiast. A tak, mimo wszystkich wysiłków nadal nie mieli nic na Watkina.

- W budynku pracuje rzeczywiście pan Titus. Podano właściwy numer telefonu. To mogła być zwykła pomyłka.

- Ale nie była, nieprawdaż?

- Wie pan, tak się to robi. Ustalone sygnały ubrane są w całkiem niewinną formę. Ktokolwiek szkolił tych facetów, musiał o tym mieć niezłe pojęcie. Co ze sklepem?

- Ta cała Beatrix nic nie wie. W tej chwili w sklepie trwa przeszukanie, ale jak dotąd nie znaleźli nic poza pieprzonymi książkami. W mieszkaniu to samo. - Owens wstał i ciągnął głosem pełnym perwersyjnego zdumienia. - Pieprzony elektryk... Całe miesiące roboty poszły na marne, bo ten kutas pociągnął nie za ten drut co trzeba...

- Musi się gdzieś wychylić. Bez pieniędzy długo nie pociągnie. Będzie musiał użyć karty kredytowej.

- Pewnie już jest za granicą. Nie, oszczędź sobie zaprzeczeń. Jeżeli był na tyle sprytny, żeby robić to, co zrobił...

- Tak - z niechęcią przyznał Ashley. - Nie zawsze można wygrywać, Jamesie.

- Miło mi to usłyszeć! - warknął Owens. - Te dranie zrobiły nas w balona na całego. A jutro inspektor mnie zapyta, jak to się stało, żeśmy tej sprawy na czas nie skończyli. I nie wiem, co ja mu powiem.

- To co robimy?

- Przynajmniej wiemy, jak wygląda. My... Podzielimy się informacjami z Amerykanami. Wszystkim, co mamy. Dziś wieczorem jestem umówiony z Murrayem. Napomknął ostatnio, że coś szykują, ale nie mógł nic powiedzieć dokładniej. Pewnie CIA coś wykombinowała.

- Zgoda. Umówiłeś się u nich, czy tu?

- U nich - przerwał na chwilę. - Rzygać mi się już chce na widok tego miejsca.

- Jamesie, powinieneś ocenić swe niepowodzenia, porównując je z sukcesami - uspakajał go Ashley. - Od wielu lat jesteś najlepszy w tej branży.

Owens tylko się zachnął. Wiedział, że to prawda. Pod jego dowództwem C-13 odniosła kilka spektakularnych sukcesów w walce z Tymczasowymi. Ale w tej robocie przełożeni rozliczali z dzisiejszych sukcesów. Wczoraj to już zamierzehła historia.

- Facet, którego podejrzewaliśmy o kontakty z Watkinsem zwiął - oświadczył trzy godziny później.

- Co się stało? - Słuchając wyjaśnień Murray zmrużył oczy i pokręcił głową. - Też mieliśmy takie przypały - odezwał się gdy Owens skończył. - Śpioch w CIA. Pilnowaliśmy jego mieszkania, wszystko szło utartym szlakiem i nagle bum! Zrobił w konia zespół inwigilujący i po tygodniu odnalazł się w Moskwie. To się zdarza, Jimmy.

- Ale nie mnie - niemal wybuchł Owens. - A w każdym razie, dotąd nie.

- Jak on wygląda? - Owens podał mu przez biurko plik fotografii. Murray przerzucił je szybko. - Pieprzona szara myszka, nie?

- Prawie łysy.

Łącznik FBI zastanowił się chwilę, potem podniósł słuchawkę i wykręcił czterocyfrowy numer.

- Fred? Tu Dan. Możesz wpaść do mnie do biura na chwilę? Wezwany pojawił się minutę później. Murray nie przedstawił go,

a Owens się nie pytał, ale i tak wiedział, że to facet z CIA. Podał mu dwa komplety zdjęć.

Fred, jeden z „ludzi z dołu”, wziął zdjęcia i przyjrzał się im.

- Co to za ptaszek? Owens wyjaśnił mu pokrótce.

- A teraz już pewnie wyjechał z kraju - zakończył.

- Dobra, jak trafi w którąś z naszych sieci, damy wam znać - obiecał i wyszedł.

- Wiecie już co oni knują? - Owens zapytał Murraya.

- Nie. Wiemy tylko, że coś szykują. Biuro i Agencja mają wspólny zespół, który zajmuje się tym zagadnieniem, ale każdy wie tylko tyle ile musi, a jak widać ja jeszcze nie muszę.

- Czy to wasi ludzie załatwili Action Directe?

- Nie wiem o czym mówisz - niewinnie odparł Murray. Skądeś ty się o tym do cholery dowiedział, Jimmy?

- Tak też myślałem - odparł Owens. Cholerne tajemnice! - Dan, martwimy się tu bezpieczeństwem...

- Wiem, wiem - Murray podniósł ręce do góry. - I macie rację. Powinniśmy odciąć od tego waszych ludzi. Sam zadzwonię w tej sprawie do Dyrektora.

Zadzwoił telefon. Do Owensa.

- Tak? - rzucił w słuchawkę dowódca C-13. Przez minutę słuchał w milczeniu, potem podziękował i odłożył słuchawkę. Westchnął. - Dan, on już jest na kontynencie. Trzy godziny temu użył karty kredytowej do zakupu biletu kolejowego z Dunkierki do Paryża.

- Czy Francuzi go przechwycili?

- Za późno. Pociąg dojechał dwadzieścia minut temu. Teraz to już wsiąkł na dobre. A poza tym, przecież nie mamy go za co aresztować.

- I jeszcze ostrzegł Watkinsa.

- Chyba żeby to była prawdziwa pomyłka. Ja myślę, że nie, ale spróbuj to udowodnić w sądzie.

- Tak. - Obaj wiedzieli, że sędziowie nie wierzą żadnemu instynktowi poza swoim.

- I nie mów mi, że nie zawsze się wygrywał! Bo mnie właśnie za to płacą. - Owens spuścił wzrok, potem go podniósł. - Przepraszam za ten wybuch.

- A, tam! - machnął ręką Murray. - Już nieraz miewałeś złe dni. Ja też. To jest wpisane w naszą robotę. Jak się coś takiego zdarza, to trzeba pójść na kufelek. Chodź na dół, postawię ci hamburgera.

- Kiedy zadzwonisz do Dyrektora?

- U nas jest teraz przerwa na lunch. On ma zawsze wtedy jakieś spotkanie, więc i tak trzeba będzie parę godzin poczekać.

Ryan jadł lunch z Cantorem w bufecie CIA. Tak mogłaby wyglądać stołówka w jakiegokolwiek instytucji rządowej. Jedzenie było równie niewyszukane. Ryan wybrał lasagne, ale Marty zdecydował się jedynie na sałatkę i ciastko. Jackowi wydawało się to dość dziwnym zestawem obiadowym, póki nie zobaczył, że Marty bierze przed jedzeniem tabletkę i popija ją mlekiem.

- Wrzody?

- Skąd wiesz?

- Moja żona jest lekarzem, jeśli nie pamiętasz. Właśnie wzięłaś Tagamet, a to jest lekarstwo na wrzody żołądka.

- Wiesz, to miejsce po jakimś czasie daje popalić - wyjaśnił Cantor. - Żołądek zaczął mi się buntować w zeszłym roku i od tego czasu się nie poprawiło. W mojej rodzinie wszyscy na to prędzej czy później zapadają. To musi być pewnie jakaś genetyczna wada. Prochy trochę pomagają, ale łapiduch mówi, że muszę znaleźć sobie spokojniejszą pracę - chrząknął.

- A ty zasuwasz w nadgodzinach - zauważył Ryan.

- W każdym razie, mojej żonie zaproponowano pracę na Uniwersytecie Stanu Teksas, ona jest matematykiem. A na przynętę zaoferowali i mnie miejsce, na wydziale nauk politycznych. Poza tym płacą lepiej niż tu. Spędziłem tu dwanaście lat - powiedział cicho. - Kawał czasu.

- No to czym się martwisz? Nauczanie jest piękne. Uwielbiam to, a ty będziesz dobry w tym fachu. Poza tym będziesz miał pod bokiem dobry zespół futbolowy do oglądania.

- Tak, no wiesz, ona już prawie na stałe tam siedzi, a i ja wyjeżdżam za parę tygodni. Chyba będę tęsknił za tym miejscem.

- Przejdzie ci. Wyobraź sobie, będziesz mógł wchodzić do budynków bez pytania komputera o zgodę. Hej, ja też rzuciłem swoją pierwszą pracę.

- Tak, ale to jest ważna praca. - Cantor odstawił mleko na stolik i spojrzał na Jacka. - Co zamierzasz zrobić dalej?

- Spytaj mnie, jak się dziecko urodzi. - Ryan uciął tę kwestię od razu.

- Agencja potrzebuje takich ludzi jak ty, Jack. Masz talent. Nie myślisz i nie działasz jak biurokrata. Mówisz to, co myślisz. A nie każdego w tym budynku stać na to. I dlatego admirał cię lubi.

- Zaraz, przecież ja z nim słowa nie zamieniłem od czasu...

- On wie o wszystkim, co robisz - uśmiechnął się Cantor.

- Aha - Ryan zrozumiał wreszcie. - To o to chodziło...

- Masz rację. Stary naprawdę chce cię, Jack. Pewnie dalej nie wiesz, jak ważne było to, co wypatrzyłeś na tym zdjęciu?

- Ja ci je tylko pokazałem - zastrzegł się Ryan. - To ty wyciągnąłeś z niego wnioski.

- Zrobiłeś dokładnie to, czego wymaga się od analityka wywiadu. To jest bardziej umysłowa robota, niż ci się wydaje. A ty masz talent do takiej pracy. Jeżeli tego nie dostrzegasz, to ci mówię. - Cantor obrzucił podejrzliwym spojrzeniem makaron na talerzu Jacka. Jak ktokolwiek może jeść tę tłustą truciznę? - Jeszcze ze dwa lata i będziesz gotów do objęcia mojej funkcji.

- Powoli, Marty, powoli.

Godzinę później był z powrotem w swoim biurze. Po chwili wszedł Cantor.

- Znowu pranie mózgu? - uśmiechnął się Jack.

- Dostaliśmy zdjęcie człowieka podejrzanego o członkostwo w ULA. Jeszcze ciepłe, ma najwyżej z tydzień. Dwie godziny temu przyszło z Londynu.

- Dennis Cooley - przeczytał Ryan i zaśmiał się. - Wygląda jak alfons. Co to za historia?

Cantor wyjaśnił.

- Angole mieli pecha, ale może nam się poszczęści. Rzuć na to zdjęcie okiem jeszcze raz i powiedz mi coś ciekawego.

- Chodzi ci o... A! On jest prawie łysy. To znaczy, że będzie go można zidentyfikować, gdyby się pojawił w którymś z obozów. Nikogo więcej łysego tam przecież nie ma.

- No właśnie. Szef dopuścił cię do informacji, że szykujemy skok na obóz 18.

- Co to będzie?

- Już raz to widziałeś. Czy nadal masz wyrzuty sumienia?

- Nie, ani trochę. - Prawdę mówiąc, miał wyrzuty sumienia właśnie z powodu tego, że nie miał wyrzutów. Może powinien? - A na pewno nie będę miał z powodu akurat tych ludzi. Kiedy?

- Na razie nie mogę ci powiedzieć, ale wkrótce.

- No to po cholere mi o tym w ogóle mówisz? Nieźle sobie to wymyśliłeś, Marty. Chociaż może niezbyt subtelnie. Czy admirał chce mnie aż tak?

- Domyśl się.

Godzinę potem pojawił się spec od fotografii. Kolejny satelita przeleciał nad obozem o 22.08 czasu lokalnego. Obraz w podczerwieni ukazywał osiem osób w linii na strzelnicy. Dwie z sylwetek naznaczone były jasnymi jęzorami ognia. Trenowali strzelanie w nocy i było ich co najmniej ośmiu.

- Co się stało? - zapytał o'Donnell. Spotkał się z Cooleyem na lotnisku. Szef dostał już cynk, że Cooley musiał uciekać, ale na wyjaśnienie musiał czekać do tej chwili.

- Miałem pluskwę w sklepie.

- Jesteś pewien?

Zamiast odpowiedzi Cooley podał mu to, co znalazł elektryk. Trzymał ten drut w kieszeni od trzydziestu godzin. o'Donnell zatrzymał samochód, żeby go obejrzeć.

- Marconi robił je kiedyś dla wywiadu. Bardzo czuły. Jak dawno mógł się tam znaleźć?

Cooley nie przypominał sobie, żeby wpuszczał kiedykolwiek kogoś na zaplecze.

- Nie mam zielonego pojęcia.

o'Donnell ruszył, kierując się ku pustyni. Przez kilka kilometrów myślał w milczeniu. Coś poszło nie tak, ale co?

- Czy kiedykolwiek zauważyłeś, żeby cię ktoś śledził?

- Nigdy.

- A sprawdzałeś dokładnie?

Cooley zawahał się i o'Donnell przyjął to za odpowiedź.

- Dennis, czy kiedykolwiek zrobiłeś coś wbrew zasadom? Kiedykolwiek?

- Nie, Kevin, oczywiście że nie. To niemożliwe, żeby... Na Boga, Kevin, od tygodni nie widzieliśmy się z Watkinsem.

- Czyli od ostatniego wyjazdu do Cork - uściślił o'Donnell.

- Tak, zgadza się. Wysłałeś wtedy za mną ubezpieczenie. Czy oni zauważyli, żeby mnie ktoś śledził?

- Jeżeli ktoś to robił, musiał być bardzo sprytny i trzymać się z daleka... - Była jeszcze druga możliwość, że to Cooley sypnął. To także brał pod uwagę. Ale jeżeli by go odwrócili, czy przyjeżdżałby tu? Przecież zna mnie, wie gdzie mieszkam, zna McKenneya, zna Seana Millera, wie o firmie rybackiej w Dundalk. o'Donnell zdał sobie sprawę z tego, że Cooley wie dużo. Nie, gdyby zdradził, nie przyjechałby tu. Cały się spocił, mimo że w samochodzie była klimatyzacja. Dennis nie miał na tyle jaj, żeby ryzykować życiem w taki sposób. To było widać.

- No to co mamy z tobą zrobić, Dennis?

Serce Cooleya na chwilę wypadło z rytmu, ale odpowiedział z determinacją.

- Chcę wziąć udział w następnej operacji.

- Że co proszę? - o'Donnell aż się odwrócił ze zdziwienia.

- Ci pierdoleni Angole... Kevin, oni chcieli mnie dorwać!

- No cóż, to jest ryzyko zawodowe, nie?

- Ja mówię serio - nalegał Cooley.

W końcu co za problem mieć jednego człowieka więcej?

- A masz na tyle kondycji?

- Wyrobię sobie. Dowódca podjął decyzję.

- No to zaczynamy dziś po południu.

- A co to będzie? o'Donnell wyjaśnił mu.

- Wygląda na to, że pańskie przecucie, doktorze Ryan było słuszne - powiedział człowiek w okularach bez oprawy nazajutrz po południu. - Chyba wezmę pana ze sobą na wyścigi.

On tam stał, przed jednym z baraków. Przysadzisty grubasek z wielkim odbłaskiem słońca na spoczonej łysinie. Obóz 18 należał bez wątpienia do ULA.

- Znakomicie - odezwał się Cantor. - Nasi angielscy przyjaciele bardzo nam pomogli.

Dziękujemy panu - zwrócił się do analityka.

- Kiedy będzie ta operacja? - zapytał Ryan, gdy tylko zamknęły się drzwi za gościem.

- Pojutrze wczesnym rankiem. To będzie... ósma wieczorem naszego czasu.

- Czy będę mógł to oglądać na żywo?

- Może.

- Trudno utrzymać w tajemnicy taką wiadomość.

- Jak większość dobrych - zgodził się Cantor. - Ale...

- Tak, wiem. - Jack założył płaszcz i zamknął teczeki do sejfu. - Powiedz admirałowi, że jestem jego dłużnikiem.

Jadąc do domu Ryan myślał o tym, co się wydarzy. Zdał sobie nagle sprawę, że jego niecierpliwość i wyczekiwanie niewiele różnią się od tego, co odczuwają dzieci przed Gwiazdką. Nie, to złe skojarzenie. Zastanowił się, co mógł czuć jego ojciec tuż przed aresztowaniem, zamykającym długie śledztwo. Nigdy go o to nie zdążył zapytać. W końcu zapomniał o tym, tak jak



powinien zrobić ze wszystkim co widział i czego się dowiedział w Langley.

Przed domem, koło niewykończonego basenu, stał obcy samochód. Kiedy przyjrzał mu się bliżej, zauważył dyplomatyczne tablice. Wszedł do domu i zastał tam trzech mężczyzn rozmawiających z jego żoną. Twarz jednego wydała mu się znajoma, ale nie pamiętał nazwiska.

- Witam, Sir Ryan. Jestem Geoffrey Bennett z ambasady brytyjskiej. Spotkaliśmy się w...

- A tak, przypominam sobie. W czym możemy być pomocni?

- Ich Królewskie Wysokości odwiedzą za kilka tygodni Stany Zjednoczone. Jak rozumiem, zapraszał je pan do siebie przy ostatnim spotkaniu, więc teraz chcieliby się upewnić, czy jest to nadal aktualne.

- Pan żartuje?

- Nie, to nie są żarty. Jack. Ja się już zgodziłam - poinformowała go żona. Nawet Ernie kręcił ogonem z wyczekiwaniem.

- Oczywiście. Proszę przekazać, że będzie dla nas zaszczytem gościć ich tutaj. Czy zostaną na noc?

- Raczej nie. Wybierają się tu wieczorem.

- Na kolację? Bardzo dobrze. Kiedy to będzie?

- W piątek, 30 lipca.

- Załatwione.

- Znakomicie. Mam nadzieję, że nie będą państwo mieć nic przeciwko temu, żeby nasi ludzie z ochrony razem z waszymi, rozejrzeli się po okolicy i domu w przyszłym tygodniu.

- Czy mam być wtedy w domu?

- Ja się tym zajmę, Jack. Jestem na urlopie, pamiętasz?

- Oczywiście - powiedział Bennett. - Kiedy planowane jest rozwiązanie?

- W pierwszym tygodniu sierpnia... Och, z tym może być problem - ponieważ zorientowała się Cathy.

- Jeżeli zdarzy się coś niespodziewanego, możecie państwo liczyć na to, że Ich Królewskie Wysokości na pewno zrozumieją. Jeszcze jedno. To będzie wizyta prywatna, a nie wydarzenie publiczne. Chcemy państwa prosić o utrzymanie tego w całkowitej tajemnicy.

- To się rozumie samo przez się - odpowiedział Ryan.

- Skoro mają przyjść na kolację, czy jest coś, czego nie można podać? - zapytała Cathy.

- Co pani ma na myśli?

- No wie pan, czasem ludzie bywają na przykład uczuleni na ryby, albo coś takiego...

- A, rozumiem. Nie, o ile mi wiadomo, nie ma nic takiego.

- Dobrze, czyli zwyczajna kolacja Ryanów - podsumował Jack. -Ja... Oj, zaraz...

- O co chodzi?

- Jesteśmy już umówieni na ten wieczór.

- Och, Robby i Sissy...

- Czy tego nie da się odwołać?

- To jest przyjęcie pożegnalne. Robby... Wie pan, on jest pilotem Marynarki, razem wykładamy na Akademii... On wraca na okręt. Czy Ich Królewskie Wysokości miałyby coś przeciwko?

- Doktorze Ryan, Jego Wysokość...

- Jego Wysokość to swój chłop. Robby też. To on był ze mną tej nocy, kiedy się spotkaliśmy. Jego nie mogę odwołać, panie Bennett. To przyjaciel. Ale zdaje mi się, że Jego Wysokość go polubi. On także latał na myśliwcach, prawda?

- Tak, ale...

- Pamięta pan wieczór, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz? Bez Robby'ego mógłbym wtedy z tego żywy nie wyjść. Niech pan słucha, ten facet jest komandorem Marynarki Stanów Zjednoczonych, któremu zdarza się latać samolotami wartymi po 40 milionów dolarów. On nie zagraża bezpieczeństwu. A jego żona znakomicie gra na fortepianie. - Ryan widział, że jeszcze nie przekonał rozmówcy. - Panie Bennett, niech pan sprawdzi Robby'ego przez waszego attache i proszę zapytać Jego Wysokość, czy się zgodzi.

- A jeżeli się nie zgodzi?

- Zgodzi się na pewno. Poznałem go osobiście. To chyba lepszy człowiek, niż się panu zdaje - zauważył Jack. Pewnie, że nie będzie miał nic przeciwko, głupku. Najwyżej te wypierdki z ochrony będą się czepiać.

- Dobrze. - Ta uwaga trochę go ostudziła. - Nie mogę pana winić za lojalność wobec przyjaciół, doktorze. Wyślę to pytanie do biura Jego Wysokości. Ale muszę nalegać na to, by także komandorowi Jacksonowi nic nie mówić o tym, kto jeszcze będzie gościem.

- Ma pan na to moje słowo. - Jack niemal się roześmiał. Nie mógł się doczekać miny Robby'ego, kiedy się dowie. To chyba wyrówna ich rachunki za ten mecz kendo.

- Zacznij przec - mówił Jack. Trenowali oddychanie przed spodziewanym porodem. Cathy zaczęła wydychać gwałtownie powietrze. Jack wiedział, że to było potrzebne. To tylko wyglądało głupio. Śledził cyfry na swoim zegarku elektronicznym - Kończ przec. Głęboki oddech. Myślę, że zrobimy stek z grilla, do tego pieczone kartofle, świeża kukurydza na kaczanie i sałatka.

- To chyba zbyt powszednie - zaprotestowała Cathy.

- Wszędzie gdzie jada, wpychają im te wyrafinowane francuskie świństwa. Ktoś powinien im wreszcie zaproponować porządne amerykańskie danie. Wiesz, że robię znakomite steki z grilla, a twoja sałatka ze szpinaku słynna jest aż po szosę.

- Dobrze już. - Cathy zaczęła się śmiać. W jej stanie to zaczynało przeszkadzać. - Tak czy inaczej, jak postoję nad kuchnią parę minut dłużej, to pojedę do Rygi.

- Cięża musi nieźle dawać w kość...

- Spróbuj sam, to zobaczysz.

- No, w końcu to jedyna ciężka praca, jaką wykonują kobiety.

- Co takiego? - Oczy Cathy niemal wyskoczyły z orbit.

- Spójrz na to od strony historii. Kto wychodził zapolować na bawołu? Mężczyzna. Kto go potem przyciągał do jaskini? Mężczyzna. Kto odganiał niedźwiedzie? Mężczyzna. Wszystkie ciężkie roboty zawsze spadały na nas. Ja jeszcze ciągle wynoszę co wieczór śmiecie! Ale czy ja narzekam?

Zaczęła znowu chichotać. Dobrze odczytał jej nastrój. Nie chciała, żeby się nad nią litował. Na to była zbyt dumna.

- Walnęłabym cię w ten zakuty łeb, ale nie ma sensu marnować dobrej maczugi na coś aż tak bezwartościowego.

- Poza tym, jak byłem tam ostatnio, to wcale nie wyglądało tak źle...

- Gdybym się tylko mogła ruszyć, to bym cię za to zabiła! Przysunął się do niej.

- Daj spokój, lepiej sobie coś wyobraź.

- Co takiego?

- Wyobraź sobie minę Robby'ego jak przyjdzie tu na tę kolację. Już się skręcam ze śmiechu.

- Założę się, że Sissy zniesie to lepiej.

- O ile?

- Dwie dychy.

- Stoi. - Spojrzał na zegarek. - Zacznij przec. Głęboki wdech. Minutę później Jack ze

zdziwieniem zauważył, że oddycha  
w tym samym rytmie co Cathy. Oboje się roześmieli.

24

Domysły trafne i chybione

W dniu ataku nie było nowych zdjęć obozu 18.

W czasie przejścia satelity nad terenem szalała burza piaskowa i nie dało się przez nią nic zobaczyć. Do obiadu jednak burza ucichła, jak informował geostacjonarny satelita nadzorujący pogodę. Tuż przed przerwą obiadową Ryanowi doniesiono, że grupa uderzeniowa wyruszyła, więc całe popołudnie upłynęło mu na niecierpliwym wyczekiwaniu. Dokładna analiza zdjęć z poprzednich dni wykazała, że w obozie przebywało od dwunastu do osiemnastu ludzi, nie licząc załogi. Jeżeli ta wyższa liczba byłaby prawdziwa, a ocena liczebności ULA byłaby trafna, oznaczałoby to, że przebywa tam połowa jej członków naraz. Ryan trochę się tego obawiał. Jeżeli Francuzi wyślą tam znowu tylko ośmiu spadochroniarzy... Ale zaraz przypomniał sobie własne doświadczenia z Korpusu Piechoty Morskiej. Będą uderzali o trzeciej rano, z przewagą zaskoczenia. Zespół uderzeniowy będzie miał broń gotową do strzału i wycelowaną w ludzi, którzy dopiero będą się budzili. Atak komandosów z przewagą zaskoczenia to jak tornado w Kansas. Nic mu się nie oprze.

Teraz lecą śmigłowcami, myślał. Przypomniał sobie własne doznania z lotów tymi delikatnymi paskudztwami. Siedzisz sobie, obładowany sprzętem, w czystym mundurze, z bronią pod ręką i wiesz, że mimo tego wszystkiego jesteś równie bezbronny jak dziecko w brzuchu matki. Zastanawiał się, co to będą za ludzie i doszedł do wniosku, że nie będą pewnie różnić się zbytnio od tych, z którymi służył w Korpusie. Sami ochotnicy i to podwójni, bo na przeszkolenie spadochronowe też trzeba się zgłosić. Trzeci raz zgłosili się na ochotnika, żeby się dostać do jednostki antyterrorystycznej. Po części przyciągnął ich wyższy żołd, ale przeważała zapewne duma z przynależności do nielicznego, elitarnego oddziału specjalnego. Ci ludzie zrobili tak również dlatego, że wierzyli w to, że ich działania mają sens. Wszyscy co do jednego żołnierze gardzili terrorystami, każdy z nich chciałby się z nimi rozprawić w walnej bitwie. Wśród prawdziwych zawodowców idea Pola Chwały była wiecznie żywa. Miało to być miejsce, gdzie o rozstrzygnięciu decydują wyszkolenie i odwaga, prawdziwe męstwo. To czyniło z zawodowych żołnierzy romantyków, idealistów wciąż wierzących w Zasady.

Będą się denerwować tam w helikopterze. Niektórym będą się trzęsły ręce i będą się tego wstydzić. Inni będą szpanować ostrząc wielkie noże. Jeszcze inni będą żartować z cicha. Ich oficerowie i sierżanci zbiorą się w kącie, zajmując się planami i dawaniem przykładu. A wszyscy będą wodzić oczyma po wnętrzu śmigłowca i w duchu nienawidzić tej drgającej, hałaśliwej pułapki. Przez chwilę Jack był z nimi duchem.

- Powodzenia chłopaki - szepnął. - Bonne chance.

Godziny ciągnęły się jak guma. Ryanowi wydawało się, że cyfry na jego zegarku w ogóle nie chciały się zmieniać. To uniemożliwiło mu koncentrację nad pracą przez całe popołudnie. Znowu przerzucał zdjęcia obozów, licząc figurki ludzi, oglądając teren i zastanawiając się, jaki będzie plan ostatecznej rozprawy. Zastanawiał się, czy rozkazy wydane komandosom przewidywały branie jeńców. Nie mógł się zdecydować. Z prawnej perspektywy było to bez znaczenia. Jeżeli założyć, że terroryzm to współczesna odmiana piractwa, a taka analogia wydawała się całkiem na miejscu, wtedy sezon polowań na ULA był otwarty cały rok dla każdej armii świata. Z drugiej strony, żywego terrorystę można byłoby postawić przed sądem i wystawić na widok publiczny. Psychologiczny wpływ takiej demonstracji na inne grupy mógł być znaczny. Jeżeli nawet nie zaszczepiłoby to w nich

bojaźni bożej, to w każdym razie mogło służyć jako ostrzeżenie, że nie będą bezpieczni nawet w najdalszym zakątku świata. Niektórzy członkowie mogą się wykruszyć, może jeden albo dwóch zacznie sypać. Nie trzeba dużo z nich wycisnąć, żeby rozbić resztę. Ryan widział to całkiem jasno. Wystarczyło się dowiedzieć, gdzie się ukrywają, to wszystko. Wiedząc to można było, używając całej potęgi dostępnej współczesnym mocarstwom, dobrać się do nich, a wtedy mimo całej swej arogancji i brutalności, nie mieliby żadnych szans.

Marty wszedł do jego biura.

- Gotów?

- Jeszcze jak!

- Jadłeś kolację?

- Nie, może potem.

- Dobra, jak chcesz.

Przeszli razem do nowego budynku. Korytarze były niemal puste o tej porze. Pod tym względem CIA przypominało każde inne biuro. Po piątej większość pracowników jechała do domu, na kolacje i wieczorny program telewizyjny.

- W porządku, Jack. To będzie transmisja w czasie rzeczywistym. Przypominam, że nie wolno ci z nikim dyskutować żadnych aspektów dzisiejszego wydarzenia. -,Ryan pomyślał, że Cantor sprawiał wrażenie zmęczonego.

- Marty, jeżeli to się powiedzie, powiem żonie, że ULA jest już niegroźna. Ona ma prawo to wiedzieć.

- Rozumiem, ale nie może wiedzieć jak to się stało.

- Nawet nie będzie chciała pytać - zapewnił go Jack, gdy wchodzili do pomieszczenia z monitorem. Znowu był tam Jean-Claude.

- Dobry wieczór panie Cantor, profesorze Ryan - powitał ich człowiek z DGSE.

- Jak przebiega operacja?

- Na razie zachowują ciszę radiową.

- Nie rozumiem, jak mogą liczyć na to, że uda im się zrobić dwa razy to samo.

- Istnieje pewne ryzyko, ale użyjemy małej dezinformacji - tajemniczo dodał Jean-Claude. - Poza tym wasz lotniskowiec skupił na sobie ich uwagę.

- „Saratoga” prowadzi nocne ćwiczenia - wyjaśnił Marty. - Dwa dywizjony myśliwskie i trzy szturmowe, plus zakłócanie i obserwacja radarowa. Patrolują Linie Śmierci, a według danych rozpoznania radioelektronicznego Libijczycy dostają niezłego kota. No, cóż...

- Za dwadzieścia cztery minuty satelita wyjdzie ponad linię horyzontu - zameldował starszy technik. - Pogoda na miejscu wygląda na dobrą. Powinniśmy mieć ładny widok.

Ryan żałował, że nie wziął papierosów. Palenie skracało czas oczekiwania, ale Cathy robiła mu awanturę za każdym razem, gdy wyczuła je od niego. W tej chwili zespół uderzeniowy powinien podczołgiwać się ostatnie tysiąc metrów. Ryan też to kiedyś robił. Pozdzierał sobie kolana i łokcie do krwi, w rany nawcierał sobie piasku. Czołganie po miękkim piasku było strasznie męczące, a obecność uzbrojonych żołnierzy wroga tylko pogarszała sprawę. Trzeba było czekać, aż popatrzą w inną stronę, a i wtedy trzeba było zachować ciszę. Mają na sobie niezbędne minimum ekwipunku, broń osobistą, może parę granatów, jakieś krótkofalówki, skradają się jak tygrysy, wypatrujące i nasłuchujące zwierzyny.

Wszyscy wpatrywali się w ciemny ekran monitora, każdy wyobrażał sobie co za chwilę ujrzy.

- Okej - powiedział technik. - Kamery wchodzą na linię, sterowanie i śledzenie celu automatyczne, dane programowania telemetrycznego wprowadzone. Śledzenie celu za

dziewięćdziesiąt sekund.

Monitor rozbłysł światłem. Na razie pokazywał obraz kontrolny. Ryan nie widział czegoś takiego już od lat.

- Dostajemy sygnał.

Wtedy pojawił się obraz. Niestety, znowu w podczerwieni. Ryan sam nie wiedział czemu oczekiwał czego innego. Ujęcie z bardzo ostrego kąta pokazywało niewiele szczegółów obozu. Nie zauważyli żadnego ruchu. Technik mruknął coś i poszerzył pole widzenia. Dalej nic, nawet helikopterów.

Kąt widzenia zmieniał się tak powoli, że trudno było uwierzyć, że satelita pędził po orbicie z prędkością trzydziestu tysięcy kilometrów na godzinę. W końcu zobaczyli wszystkie baraki. Ryan zamrugał oczami. Tylko jeden z nich był rozświetlony na obrazie w podczerwieni. Tylko jeden barak, załogi, był ogrzewany. Co to mogło oznaczać? Wynieśli się, nikogo nie ma w domu... Co gorsza zespołu uderzeniowego też.

- Coś się spieprzyło - Ryan wypowiedział to, co inni tylko myśleli.

- Kiedy będą mogli nam powiedzieć co poszło nie tak? - zapytał Cantor.

- Ciszy radiowej nie mogą przerwać jeszcze przez parę godzin. Minęły dwie godziny. Przesiedzieli je w gabinecie Marty'ego.

Przyniesiono im tam jedzenie. Jean-Claude nic nie powiedział, ale widać po nim było, że niezbyt mu smakowało. Cantor w ogóle nie tknął swojego. Zadzwonił telefon. Francuz przejął słuchawkę i rozmawiał w swoim języku. Rozmowa trwała cztery, może pięć minut. Jean-Claude odłożył słuchawkę.

- Sto kilometrów od obozu zespół uderzeniowy natknął się na regularny oddział armii libijskiej, jednostkę zmechanizowaną na nocnych ćwiczeniach. Tego nikt się nie spodziewał. Nadlatywali nisko, natknęli się na nich niespodziewanie, a tamci otworzyli ogień. Element zaskoczenia został utracony, więc musieli zawrócić - Jean-Claude nie musiał dodawać, że tylko co druga, jak dobrze poszło, taka operacja kończy się sukcesem.

- Tego się obawiałem. - Jack wlepił wzrok w podłogę. Nikomu nie musiał mówić, że tej operacji nie da się jeszcze raz spróbować. Wystarczająco ryzykowali próbując dwa razy przeprowadzić taką akcję w ten sam sposób. Trzeciego razu nie będzie.

- Nic im się nie stało?

- Nie, jeden ze śmigłowców odniósł uszkodzenia, ale zdołał wrócić do bazy. Obyło się bez strat.

- Proszę podziękować swoim za to, że próbowali, panie pułkowniku. - Cantor przeprosił obecnych w pokoju i poszedł do łazienki łączącej się z jego gabinetem. Tam zwymiotował. Jego wrzody znowu krwawiły. Marty próbował się podnieść, ale zemdłał. Padając uderzył mocno głową w drzwi.

Jack usłyszał hałas i poszedł zobaczyć co się stało. Drzwi nie chciały ustąpić, ale w końcu Ryan zdołał pokonać opór i zobaczył Marty'ego leżącego na podłodze. W pierwszym odruchu chciał krzyknąć do Francuza, żeby wezwał doktora, ale zdał sobie sprawę z tego, że on też nie wie jak to zrobić. Pomógł Martyemu wstać i wprowadził go do gabinetu, sadzając w fotelu.

- Co się stało?

- Wymiotował krwią... Jak to się nazywa...? - Ryan dał sobie spokój z mądrymi słowami i wybrał numer do admirała Greera.

- Marty zemdłał, potrzebuję lekarza.

- Zajmę się tym. Za dwie minuty będę na miejscu - odpowiedział admirał.

Jack wrócił do łazienki, przyniósł szklanę wody i zwitek papieru toaletowego. Wytarł nim twarz Cantora i podniósł szklanę. - Wypłucz usta.

- Nic... nic mi nie jest - zaprotestował Marty.

- Nie pieprz - odpowiedział Ryan. - Ty durniu. Siedziałeś pewnie do późna, po nocach próbując uporządkować sprawy do przekazania, co?

- Mu... musiałem.

- Musieć to ty musisz wynieść się stąd do diabła, zanim cię ta robota zeżre.

Cantor znowu poczuł nudności.

Jack pomyślał, że Marty nie przesadzał mówiąc, że tu też toczy się wojna. On sam był jedną z jej ofiar. Chciał tak samo jak Jack, żeby ta misja zakończyła się sukcesem.

- Co się tu do cholery dzieje!?! - Greer wpadł do pokoju. Wyglądał na trochę rozeźlonego.

- Pęknięcie wrzodu żołądka - wyjaśnił Jack. - Rzygał krwią.

- O Jezusie, Marty!

Ryan nie wiedział, że w Langley była przychodnia. Ktoś, kto przedstawił się jako sanitariusz wszedł za admirałem. Szybko zbadał Cantora, a potem wraz ze strażnikiem załadowali go na fotel na kółkach. Wyjechali z nim pośpiesznie, a trzech mężczyzn wymienili spojrzenia.

- Ciężko się umiera na wrzody żołądka? - zapytał Ryan żony tuż przed północą.

- A ile lat ma pacjent? - odpowiedziała pytaniem. Jack powiedział jej. Zastanowiła się przez chwilę. - Zawsze może się coś zdarzyć, ale na to się rzadko umiera. Ktoś z pracy?

- Mój szef w Langley. Bierze Tagamet, ale dziś zwymiotował krwią.

- Może próbował, czy wytrzyma bez niego. To jest jeden z problemów z wrzodowcami. Dajesz takiemu lek, a ten jak tylko się trochę lepiej poczuje, to od razu go odstawia. To się zdarza nawet rozsądnym ludziom - zauważyła Cathy. - Czy praca tam jest aż tak stresująca?

- Dla niego chyba tak..

- Pięknie - to było powiedziane takim tonem, jakby miała zamiar porządnie zmyć mu głowę, ale od jakiegoś czasu Cathy nie miała już na to siły i energii. - Chyba wyjdzie z tego. W dzisiejszych czasach trzeba się nieźle natrudzić, żeby sobie zaszkodzić wrzodami. Jesteś pewien, że chcesz tam mimo to pracować?

- Nie. Oni mnie chcą, ale ja odkładam decyzję do czasu jak stracisz trochę na wadze.

- Lepiej żebyś nie był tak daleko, jak będą mnie zabierać na porodówkę.

- Będę przy tobie, kiedy będziesz mnie potrzebowała.

- Prawie ich mieliśmy - powiedział Murray.

- To pewnie ta sama banda co zrobiła porządek z Action Directe, co? Słyszałem, że to była bardzo ładna akcja. Co poszło źle? - zapytał Owens.

- Zespół uderzeniowy został zauważony sto dziesięć kilometrów przed celem i musiał się wycofać. W dodatku ze zdjęć wynikało, że nasi przyjaciele się wynieśli.

- Cudownie! Jak widzę, nasza dobra passa trwa. A wiecie chociaż dokąd się wybrali?

Murray chrząknął.

- Chyba musimy założyć to samo, co ty, Jimmy.

- Patrzcie państwo. - Wyjrzał za okno. Słońce zaraz wzejdzie. - A myśmy wyeliminowali szefa OKD i wprowadziliśmy go we wszystko.

- Jak to przyjął?

- Od razu zaproponował dymisję, ale inspektor i ja zdołaliśmy go od tego odwieść. W końcu nikt nie jest doskonały - dodał wspaniałomyślnie. - W tym co robi jest bardzo dobry. Pewnie będzie ci miło, że jego reakcja na to wszystko była dokładnie taka sama jak twoja. On też zaproponował,

żebyśmy pomogli Jego Wysokości spaść z jednego z jego koni do polo i złamać nogę. Tylko nie cytuj nas nigdzie.

- Dużo prościej chronić tchórzy, nie? To odważni komplikują nasze życie. Wiesz co? On będzie kiedyś dla was dobrym królem. Jak dożyje - dodał. Pomyślał sobie, że trudno chłopaka nie polubić. Ta jego żona też była jak dynamit. - Jeżeli ci to poprawi humor, to ochrona w czasie wizyty w Stanach będzie ścisła. Tak jak dla prezydenta. Zresztą zajmują się tym ci sami ludzie.

- I ma mi być od tego lepiej? - zapytał Owens, myśląc ilu amerykańskich prezydentów otarło się ostatnio o śmierć z rąk szaleńców, nie licząc Kennedy'ego, którego zabili. Mogło oczywiście być tak, że ULA wróciła do domu, ale instynkt podpowiadał mu co innego. Murray był kumplem, Owens znał też i podziwiał kilku innych agentów Ochrony Białego Domu. Ale ochrona Ich Królewskich Wysokości powinna należeć do Scotland Yardu i nie podobało mu się, że leżała teraz w dużej części w rękach obcych. Owens poczuł się urażony widząc jak podczas ostatniej wizyty prezydenta USA w Anglii Ochrona odpychała ludzi daleko od niego. Teraz trochę lepiej ich rozumiał.

- Jaka jest opłata? - zapytał Dobbens.

- Czterdzieści pięć miesięcznie - odpowiedział agent z biura wynajmu. - Jest umeblowane.

- Aha. - Meble nie były raczej zwalające z nóg. Zresztą wcale nie musiały. - Kiedy mój kuzyn będzie się mógł wprowadzić?

- A to nie dla pana?

- Nie, dla mojego kuzyna. Zajmuje się tym samym co ja. Ale czynsz ja będę płacił. Mówił pan, że za trzy miesiące z góry?

- Tak jest. - Agent mówił o dwumiesięcznym depozycie, ale nie wyprowadzał klienta z błędu.

- Może być gotówka?

- Pewnie, że tak. Wracajmy do biura, dokończymy formalności.

- Przepraszam, ale robi się trochę późno. Ma pan może umowę ze sobą?

Agent kiwnął głową.

- Tak, możemy to podpisać tutaj. - Wyszedł i wrócił po chwili niosąc podkładkę i umowę najmu bojlera. Nawet nie wiedział, że w ten sposób podpisał na siebie wyrok śmierci. Nikt inny w biurze nie widział twarzy jego klienta.

- Poczta przychodzi do skrzynki, odbieram ją po drodze do pracy. - To załatwiało sprawę adresu.

- A czym się pan zajmuje, bo już mi wyleciało z głowy?

- Pracuję w Laboratorium Fizyki Stosowanej, jestem inżynierem energetyki. Obawiam się, że nic więcej nie mogę panu powiedzieć. Nasz zakład pracuje dla rządu, wie pan. - Alexowi żal było jakoś tego człowieka. Był dość sympatyczny, nie woził go po całej okolicy jak inni pośrednicy. Szkoda, ale takie jest życie.

- Pan zawsze płaci gotówką?

- To jedyny sposób, żeby się upewnić, że mnie na coś stać - zażartował Alex.

- Proszę tu podpisać.

- Już się robi. - Alex podpisał własnym długopisem, lewą ręką, tak jak się nauczył. - A tu jest sto trzydzieści pięć. - Odliczył banknoty.

- Łatwo poszło - powiedział agent, podając mu klucze i rachunek.

- No pewnie. Dziękuję panu. - Alex uściśnił mu dłoń. - Wprowadzi się pewnie w przyszłym tygodniu, a już na pewno w ciągu następnego.

Obaj mężczyźni udali się do swoich samochodów. Alex spisał numer rejestracyjny agenta. Jeździł swoim wozem, nie firmowym, zauważył. Na wszelki wypadek zapisał także rysopis, żeby

jego ludzie nie zabili przez pomyłkę kogo innego. Cieszył się, że to nie kobieta. Alex wiedział, że będzie musiał wcześniej czy później przewyciężyć ten przesąd, ale na razie cieszył się, że mógł tego uniknąć. Przez kilka przecznic jechał za agentem, potem skręcił i szybko pojechał z powrotem do wynajętego domu.

Nie był idealny, ale niewiele mu brakowało. Trzy małe sypialnie, ale za to kuchnia z jadalnią i salonik były w porządku. Najważniejsze, że miał garaż i stał na niemal akrze gruntu, okolonym żywopłotem, w podmiejskiej dzielnicy robotniczej, w której domy oddalone były od siebie o piętnaście metrów. Na melinę będzie akurat.

Skończywszy, pojechał do Waszyngtonu i z krajowego portu lotniczego poleciał do Miami. Tam po trzech godzinach przerwy złapał samolot do Mexico City. Miller czekał na niego w umówionym hotelu.

- Cześć, Sean.

- Cześć, Alex. Napijesz się?

- A co masz?

- Przywiozłem butelkę porządnej whiskey, ale jak chcesz możemy zamówić coś miejscowego. Piwo jest niezłe, ale trafiła mi się butelka z pływającym robalem.

Alex zdecydował się na piwo. Nie zaprzętał sobie głowy szklanką.

- No więc?

Dobbens załatwił się z piwem jednym długim haustem. Dobrze było móc się wreszcie odprężyć, naprawdę odprężyć. Ciągłe udawanie wykańczało go.

- Urządziłem melinę. Dziś rano. Do tego co chcemy, będzie się świetnie nadawać. Co z twoimi ludźmi?

- Jada. Przybędą zgodnie z planem. Alex kiwnął głową, biorąc drugie piwo.

- Dobra, teraz zajmijmy się planem.

- Tak naprawdę, Alex, to ty go wymyśliłeś. - Miller otworzył teczkę, wyjmując mapy i zdjęcia. Rozłożyli je na stoliku. Alex nie uśmiechnął się. Miller brał go pod włos, a on tego nie lubił. Słuchał przez dwadzieścia minut.

- Niezłe, całkiem niezłe, ale parę punktów trzeba będzie zmienić.

- Które? - Ton Dobbensa zaczynał denerwować Millera.

- Słuchaj, człowieku, na miejscu będzie z piętnastu ochroniarzy. - Alex puknął palcem w mapę. - Trzeba ich będzie szybko załatwić, kapujesz? To nie będą zwykłe krawężniki. To będą ludzie wyszkoleni i dobrze uzbrojeni. I do tego niegłupi. Więc jeżeli chcesz żeby to zadziałało, człowieku, to pierwsze uderzenie musi być silniejsze. Zgranie w czasie też pozostawia dużo do życzenia. To trzeba będzie poprawić, Sean.

- Ale oni będą pilnować nie tej strony, co trzeba - zaprotestował Sean z całym opanowaniem, na jakie było go stać.

- I co, chcesz ich zostawić, żeby się pętali pod nogami? Nie ma mowy! Lepiej zastanów się, jak ich załatwić w ciągu pierwszych dziesięciu sekund. To nie będzie „bierz forsę i w nogi”. Planujemy bitwę.

- Ale jeżeli ochrona będzie tak szczelna, jak mówisz...

- Ja się tym zajmę, chłopie. Zwróciłeś może uwagę na to, gdzie ja pracuję? Mogę dowieźć twoich strzelców tam gdzie trzeba, dokładnie w oznaczonym czasie.

- I jak ci się to ma do cholery udać?! - Miller nie wytrzymał. Było w Alexie coś, co wyprowadziło go z równowagi.

- To bardzo proste, człowieku - uśmiechnął się Dobbens. Lubił wyjaśniać temu nadętemu



gnojowi podstawy rzemiosła. - Trzeba tylko...

- I wydaje ci się, że to się ot tak, da zrobić? - wybuchnął Miller, gdy Alex skończył.

- To łatwizna. Przecież ja sam piszę zlecenia dla swoich ekip, nie pamiętasz?

Miller znowu stoczył ze sobą walkę i tym razem wygrał. Spojrzał na plan Alexa z dystansu i musiał z niechęcią przyznać, że to miało sens. Ten czarnuch, amator, uczył go, jak planować operacje i co gorsze, miał rację.

- Człowieku, to nie jest lepszy, ale tylko łatwiejszy wariant. - Alex spuścił nieco z tonu. Te aroganckie białasy miały bardzo wrażliwe ego. Ten chłoptaş przywykł do tego, że to on rządzi. Był dość sprytny, fakt, Dobbens musiał mu przyznać, ale nie był elastyczny. Jak raz coś postanowił, to nie zmieniał planu, choćby nie wiem co. Nigdy nie byłoby z niego dobrego inżyniera. - Pamiętasz ostatnią robotę? Zaufaj mi, człowieku. Miałem wtedy rację, nie?

Pomimo całej swojej biegłości technicznej, Dobbens nie umiał za bardzo postępować z ludźmi. Ta uwaga omal nie wyprowadziła Millera z równowagi, ale Irlandczyk zdołał to ukryć biorąc głęboki wdech i wlepiając wzrok w mapę. Teraz już wiedział, dlaczego Jankesi tak kochają swoich czarnuchów.

- Pomyślę o tym.

- Pewnie. Wiesz co ci powiem? Ja się teraz idę przespać, a ty możesz siedzieć nad mapą ile tylko chcesz.

- Będzie tam ktoś jeszcze poza celami i ochroną? Alex przeciągnął się.

- Może kogoś wynajmą. Skąd mam wiedzieć? Pewnie będzie ich pokojówka. W końcu trudno zajmować się tak licznym towarzystwem bez chociaż jednego służącego, nie? Ale jej też nic się nie może stać, człowieku, to Murzynka. I pamiętaj co mówiłem o żonie i dziecku. Jeżeli będzie to niezbędne, to trudno, niech tam, ale jeżeli rąbniesz ich ot tak, dla zabawy, to będziesz za to odpowiadał przede mną, Sean, Załatwmy to profesjonalnie. Mamy tam trzy cele polityczne. Starczy. Reszta to karty przetargowe, można na ich przykładzie wykazać naszą dobrą wolę. Może dla ciebie to nieważne, ale dla mnie to jest kurewsko ważne, chłopie. Rozumiesz?

- Bardzo dobrze, Alex. - W tej chwili Sean zdecydował, że Dobbens nie dożyje końca operacji. To się da załatwić. Z tym swoim absurdalnym sentymentalizmem i tak się nie nadawał na rewolucjonistę. No więc zginiesz męczeńską śmiercią za sprawę, przynajmniej taki będzie z ciebie pożytek, durniu.

Dwie godziny później Miller przyznał w duchu, że będzie go szkoda. Ten facet miał dryg do planowania.

Ochroniarze pojawili się na tyle późno, że Ryan zdążył przyjechać tuż za nimi. Było ich trzech, dowodził Chuck Avery z Ochrony Białego Domu.

- Przepraszamy, że tak późno, ale obowiązki nas zatrzymały - powiedział Avery, ściskając dłoń Jacka. - To jest Bert Longley i Mikę Keaton, nasi dwaj brytyjscy koledzy.

- Witam, panie Longley - powitała ich Cathy, stojąc w progu. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, widząc w jakim jest stanie.

- Boże, chyba będziemy musieli zabrać lekarza. Nie miałem pojęcia, że to już tak zaawansowana cięża.

- No cóż, to jeszcze pamiątka z Anglii - wyjaśnił Jack. - Proszę do środka.

- Pan Longley eskortował nas w Londynie, kiedy ty leżałeś w szpitalu - wyjaśniła Cathy mężowi. - Miło znowu pana widzieć.

- Jak się pani czuje? - zapytał Longley.

- Trochę zmęczona, ale poza tym w porządku.

- No i jak, sprawdziliście Robby'ego? - zapytał Jack.

- Tak, oczywiście. Proszę wybaczyć panu Bennetowi. Zdaje się, że rozumiał swoje instrukcje zbyt dosłownie. Oficer marynarki nie stanowi kłopotu. Jego Wysokość bardzo chce się z nim spotkać. Czy możemy się teraz trochę porozglądać?

- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko, chciałbym rzucić okiem na ten pański klif - dorzucił Avery.

- Proszę panów ze mną. - Jack przeprowadził trzech rozmówców przez odsuwane szklane drzwi do salonu z widokiem na zatokę Chesapeake.

- Wspaniały widok! - zauważył Longley.

- Problem tylko w tym, że jadalnia i salon stanowią jedną całość. Tak to już zostało zaprojektowane i nie bardzo widzę jak by to można zmienić. Ale za to z tych okien rozciąga się piękny widok, czyż nie?

- Rzeczywiście, piękny stąd widok - zgodził się Keaton, rozglądając się po okolicy.

Pewnie chciał powiedzieć, że piękne stąd pole ostrzału, pomyślał Ryan.

- Ilu będzie ludzi ochrony? - zapytał Jack.

- Obawiam się, że tego nie możemy panu powiedzieć - odpowiedział Longley.

- Więcej niż dwudziestu? - naciskał Jack. - Chciałbym ich poczęstować kawą i kanapkami. Nie bójcie się, nikomu nie powiem. Nawet Robby jeszcze nic nie wie.

- Tyle co dla dwudziestu, będzie aż nadto - odpowiedział Avery po chwili ociągania. - Wystarczy kawa. - Przez te parę dni wypiją morze kawy, pomyślał.

- Dobrze, obejrzymy teraz klif. - Jack zszedł po stopniach z tarasu na trawnik. - Proszę tylko uważać, panowie.

- Czy krawędź jest bardzo niestabilna? - zapytał Avery.

- Sally przeszła za ten płot dwa razy i za każdym razem dostała lanie. Klif bardzo silnie eroduje. Zbudowany jest z jakiejś miękkiej skały, chyba piaskowca. Próbowałem ustalić grunt. Ludzie z ochrony przyrody namówili mnie na obsadzenie go tym cholernym kudzu i... Ani kroku dalej!

Keaton postawił nogę po drugiej stronie niskiego płotku.

- Ze dwa lata temu widziałem, jak oderwała się stąd bryła, jakieś pięć metrów kwadratowych. To dlatego posadziłem te cholerne pnącza. Chyba nie myślicie, że ktoś może się po tym wspiąć?

- To jedna z rzeczy, które musimy wziąć pod uwagę - odpowiedział Longley.

- Nie brałby pan, gdyby miał pan okazję popatrzeć na to z łodzi. Klif nie wytrzyma obciążenia. Wiewiórka może się po nim wspiąć, ale nic większego.

- jak tu wysoko?

- Dwanaście metrów tam, tu prawie piętnaście. A pnącza kudzu jeszcze pogarszają sprawę. Tego cholerstwa nie da się wyplenić, ale tylko spróbuj bracie złapać się za nie, to się zdziwisz. Jak mówiłem, jeżeli chcecie obejrzyć ten klif, to lepiej od strony morza.

- Dobrze, stamtąd też obejrzymy - zapewnił go Avery.

- Ta droga dojazdowa ma jakieś sto metrów, nieprawdaż? - spytał Keaton.

- Licząc zakręty, trochę ponad sto trzydzieści. Niezłe się przy niej naharowałem.

- A co z tymi ludźmi od basenu?

- Mają go dokończyć w przyszłą środę.

Avery i Keaton obeszli dom wzdłuż północnej ściany. Dwadzieścia metrów od domu rosły drzewa, a dalej ciągnęła się w nieskończoność gęstwina jeżyn. Ryan posadził je tam, by znaczyły granice posiadłości. Tam Sally także nie chodziła.

- Wygląda to całkiem bezpiecznie - powiedział Avery. - Między drogą a drzewami jest dwadzieścia metrów otwartego terenu, a potem znowu pusto między domem a basenem.

- Zgadza się - zażartował Ryan. - Karabiny maszynowe możecie rozmieścić na linii drzew, a moździerz wokół basenu.

- Panie Ryan, my traktujemy serio naszą pracę - osądził go Longley.

- Nie wątpię. Ale to przecież niespodziewana wizyta, prawda? Oni nie mogą... - Jack urwał, widząc jaki wyraz przybrały ich twarze. Avery przerwał ciszę.

- Zawsze zakładamy, że przeciwnik zna nasze plany.

- Aha. - Ryan zastanowił się, czy to wszystko, czy może wiedzą coś więcej. Wiedział, że nie ma sensu o to pytać. - No cóż, mówiąc jako były oficer piechoty morskiej, nie chciałbym się tu władować na zimno. Wiem co nieco o tym, jak szkoleni są wasi chłopcy. Nie miałbym ochoty z wami zadzierać.

- Staramy się, jak możemy - zapewnił go Avery, stale rozglądając się po terenie. Drogę dojazdową, wijącą się wśród drzew można było zablokować furgonetką łącznościową. Przypomniawszy sobie, że będzie tu dziesięciu ludzi z jego agencji, sześciu Angoli, łącznik Biura i pewnie dwóch albo trzech stanowych policjantów do kierowania ruchem. Każdy z jego ludzi będzie uzbrojony w rewolwer i pistolet maszynowy. Trenowali przynajmniej raz w tygodniu.

Avery ciągle jednak nie był zadowolony, nie pozwalała mu na to świadomość, że w pobliżu krążyła być może grupa uzbrojonych terrorystów. Ale porty lotnicze były powiadomione, lokalna policja zaalarmowana. Prowadziła tu tylko jedna droga. Okolica utrudniałaby skryte przedarcie się nawet plutonowi żołnierzy, a co dopiero terrorystom. Terrorysty raczej nie przywykli do toczenia regularnych bitew. To nie był Londyn, tu potencjalne cele nie jeździły bez troski z jednym uzbrojonym ochroniarzem.

- Dziękujemy, panie Ryan. Obejrzymy jeszcze klif od strony morza. Jeżeli zobaczy pan kuter Straży Przybrzeżnej, to będziemy my.

- Wiecie panowie jak dojechać do ich bazy na przylądku Thomasa? Trzeba wjechać na Forest Drive w kierunku wschodnim do Arundel-on-the-Bay, a potem w prawo. Tam się nie da nie trafić.

Pośrednik nieruchomości wyszedł z biura tuż przed dziesiątą. Dziś była jego kolej zamykania biura. Do aktówki schował kopertę, którą miał wrzucić do nocnego trezora w banku i parę umów do przejrzenia rano w drodze do pracy. Położył teczkę obok na siedzeniu i uruchomił silnik. Dwa światła zatrzymały się tuż za jego samochodem.

- Czy możemy porozmawiać? - zapytał głos z ciemności. Agent odwróciwszy się, zobaczył zbliżającą się sylwetkę.

- Obawiam się, że biuro już jest zamknięte. Jutro otwieramy o... - zauważył wycelowaną w siebie broń.

- Chcę forszę, człowieku. Zachowuj się spokojnie, to nic ci się nie stanie - powiedział napastnik. Nie było sensu straszyć tego faceta. Mógłby spróbować czegoś głupiego i jeszcze by mu się mogło poszczęścić.

- Ale ja nie mam żadnych...

- Teczka i portfel. Powoli, spokojnie, to za pół godziny będziesz w domu.

Najpierw wyjął portfel. Trzy razy próbował, zanim wreszcie udało mu się odpiąć guzik kieszeni na biodrze, jego ręce trzęsły się nadal, gdy podawał portfel. Potem przyszła kolej na teczkę.

- Tam są tylko czekiki, żadnej gotówki.

- Wszyscy tak mówią. Kładź się na siedzeniach i licz do stu. Nie wystawiaj głowy zanim nie skończysz, to wszystko będzie w porządku. Licz głośno, żebym słyszał. - Wsadził rękę z bronią przez otwarte okno. Tak, serce powinno być gdzieś tu... Agent doliczył do siedmiu. Huk strzału z wytłumionego pistoletu został dodatkowo wygłuszony wewnątrz samochodu. Ciało drgało jeszcze

przez chwilę, ale nie na tyle długo, by marnować drugi pocisk. Morderca otworzył drzwi, zamknął okno, wyłączył światła i silnik, a potem odszedł ku swojemu samochodowi. Wyjechał na drogę i jechał zgodnie z przepisami. Dziesięć minut później wyrzucił pustą teczkę i portfel do pojemnika na śmieci przy supermarkecie. Wrócił na szosę i pojechał w przeciwną stronę. Pozostawienie broni było niebezpieczne, ale jej należało się pozbyć w pewniejszy sposób. Zabójca odprowadził samochód na miejsce, pod dom rodziny, która go zostawiła wyjeżdżając na wakacje i poszedł dwie przecznice dalej do własnego samochodu. Alex miał rację jak zwykle, myślał. Jeżeli zaplanujesz wszystko, wszystko weźmiesz pod uwagę i co najważniejsze, nie zostawisz śladów, to możesz zabić kogo tylko ci się podoba.

- Cześć Ernie - powiedział Jack. Pies stanowił ciemną plamę na jasnym dywanie w salonie. Była czwarta nad ranem. Ciekawa rzecz z tymi psami, że śpią inaczej niż ludzie. Ernie popatrzył na niego kilka chwil, kręcąc ogonem, a potem otrzymawszy należną mu porcję drapania między uszami wrócił do pokoju Sally. To zaskakujące, pomyślał Jack, ten pies zepchnął całkowicie w cień olbrzymiego misia. Wydawało mu się, że nic nie jest w stanie tego dokonać.

Jack wstał z sofy i podszedł do okna. Noc była pogodna. Daleko na wodach zatoki widać było światła pozycyjne statków pływających do i z Baltimore, czasem bardziej dekoracyjne „choinki” powolnych barek z holownikami.

Zastanowił się jak to możliwe, że był aż tak tępy. Może dlatego, że ruch w obozie 18 tak bardzo pokrywał się ze schematem, który tyle razy próbował ustalić. Właśnie teraz powinni się byli tam zjawić na zwyczajowy trening odświeżający. Ale mogli równie dobrze trenować przed jakąś wielką akcją. Na przykład tutaj...

- Jezu, Jack, za dużo się tym zajmujesz - szepnął do siebie. To, że oni przyjadą, wiadomo było wszystkim od jakiegoś czasu. ULA już wykazała, że i w Stanach potrafi działać skutecznie. A my sobie zapraszamy oczywiste cele ataku do domu! Bardzo sprytnie, Jack, nie ma co. Zdziwił się wspominając jak bez wahania ponowili zaproszenie na rewizytę, a potem jeszcze sobie żartował jak przyjechała ochrona. Ty durniu!

Myślał o zabezpieczeniach, znowu wracając myślami do swego krótkiego okresu służby w Korpusie. Jako abstrakcyjne pole bitwy, jego dom był ciężkim orzechem do zgryzienia. Ze wschodu nic się nie wskóra, bo klif był przeszkodą bardziej niebezpieczną niż pole minowe. Z północy i południa zarośla jeżyn były tak gęste i splątane, że nawet najlepiej wyszkoleni komandosi nie mogli się przezeń przedostać bezszelestnie. A już na pewno nie ludzie szkoleni na gołej, piaszczystej pustyni. Czyli pozostawał zachód. O ilu ludziach mówił Avery? Właściwie to nie powiedział nic, ale odnieść można było wrażenie, że będzie ich ze dwudziestu. Dwudziestu ochroniarzy, uzbrojonych i wyszkolonych. Przypomniawszy sobie dni Szkoły Oficerskiej Korpusu w Quantico, a zwłaszcza noc. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata, był niezwyciężony i nieśmiertelny, pił piwo w okolicznych barach. Pewnego wieczora trafili do lokalu zwanego „Command Post”, udekorowanego portretem generała Pattona na ścianie. Tam zaczął dyskutować z dwoma instruktorami z Akademii FBI, zlokalizowanej na południe od bazy Korpusu. Przepęłniała ich duma, zupełnie jak jego kolegów z piechoty morskiej. Nawet nie mówili jesteście najlepsi". Od razu zakładali, że wszyscy to po prostu wiedzą. Zupełnie jak my, pomyślał. Nazajutrz przyjął ich zaproszenie na strzelnicę, na mały dżentelmeński mecz. Stwierdzenie, że jeden z nich był szefem instruktorów szkolenia ogniowego kosztowało go dziesięć doków. Jezu, nie wiem czy nawet Breckenridge dałby mu radę! Ci z Ochrony Białego Domu nie będą pewnie gorsi, biorąc pod uwagę, jakie zadanie im przydzielono.

Zakładając, że ci z ULA są tak dobrzy jak na to wyglądają i że to jest niezapowiedziana wizyta, taki prywatny skok w bok... Nie będą wiedzieć, że tu ich mogą spotkać, a gdyby nawet, to będą za

sprytni, by się za to zabrać... Powinno być bezpieczeństwo, prawda?

Ale to słowo na zawsze straciło już swoje pierwotne znaczenie. Bezpieczeństwo. Coś takiego już nigdy nie będzie możliwe. Jack okrążył kominek i wszedł do skrzydła, w którym mieściły się sypialnie. Sally spała, a Ernie leżał zwinięty w kłębek u jej stóp. Jego głowa uniosła się, gdy Jack wszedł do pokoju, jakby pytając, czego sobie życzy.

Jego córeczka leżała tam spokojna, śniąc dziecięce sny, gdy jej ojciec rozmyślał nad koszmarem, który ciągle wisiał nad jego rodziną, o którym pozwolił sobie zapomnieć na kilka godzin. Poprawił jej kołdrę, poklepał psa po głowie i wyszedł.

Jack zastanawiał się, jak to robią osoby publiczne. One ciągle żyły z koszmarem nad głową. Przypomnił sobie jak gratulował księciu tego, że nie pozwala by zagrożenie atakiem zdominowało jego życie. Tak trzymać, chłopie, pokaż im! Bądź nieustraszoną tarczą! Zupełnie inaczej było być samemu tarczą, przyznał Ryan, kiedy to twoja rodzina jest na celowniku. Robisz odważną minę, wykonujesz dokładnie zalecenia i zastanawiasz się, czy w każdym z samochodów na ulicy kryje się facet z karabinem maszynowym, który chce twoją śmiercią podkreślić wagę swego manifestu politycznego. W ciągu dnia, gdy masz dużo pracy, możesz tę myśl utrzymać z daleka, ale nie w nocy, gdy rozum błądzi i napływają sny.

To rozdwojenie było niewiarygodne. Nie można się tym bez przerwy zadrećcać, ale i zapomnieć nie wolno. Nie można pozwolić, by życiem rządził strach, ale jednocześnie nie wolno uwierzyć w swoje bezpieczeństwo. W takiej sytuacji najlepiej żyło się fatalistom, ale Ryan zawsze uważał się za kowala swego losu i nie dopuszczał myśli, że może być inaczej. Chciał się rzucić z pięściami jeśli nie na nich, to chociaż na przeznaczenie, ale jedno i drugie było poza jego zasięgiem, tak jak światła tych statków, przepływających o mile od jego okien. Już niemal zapewnił bezpieczeństwo swojej rodzinie...

- Tak niewiele brakowało! - wyszeptał w ciemność. Prawie im się udało. Niemal wygrali jedną bitwę, a inne pomogli wygrać. Mógł więc ich bronić i wiedział, że najlepiej to robi, biorąc cały etat w Langley. Może nie będzie panem swego losu, ale przynajmniej będzie mógł się starać. Już się postarał. To było ważne, choć przypadkowe odkrycie, które zmieniło życie Francoise Theroux, tej pięknej, ale szurniętej dziewczyny, która teraz nie żyła. I wtedy podjął decyzję. Ludzie z bronią mieli swoją działkę do obrobienia, a ludzie zza biurka też mieli swoją. Będzie tęsknił za Akademią, będzie mu brakować chłonnych, młodych umysłów, ale to będzie cena za to, że wróci do gry. Napił się wody i wrócił do łóżka.

Letni Kurs Szkolenia Podstawowego, zwany też „Gonieniem Kota” zaczął się zgodnie z planem. Jack przypatrywał się z beznamiętnym współczuciem jak świeżo upieczonych abiturientów wprowadza się w rygory wojskowego życia.

Cała ta procedura obliczona była na jak najwcześniejsze odsianie jednostek zbyt słabych, za co odpowiedzialność spoczywała na starszych rocznikach, które same przez te męczarnie dopiero co przechodziły. Nowe „koty” wydane były na wątpliwą łaskę świeżo upieczonych „dziadków”, starszych o rok, czy dwa, goniących obciętych przy skórze nowicjuszy biegiem po całym terenie.

- Cześć, jack! - Robby przyszedł na parking, by popatrzeć na to z bliska.
- Wiesz co, Rob, w Boston College nigdy nie było czegoś takiego.
- Jeżeli ci się wydaje, że to co widzisz to jest kaespe, to powinieneś zobaczyć jak to wyglądało za moich czasów!
- Założę się, że to samo mówią tu od stu lat.
- Pewnie tak. - Ubrana na białą grupa kotów przebiegła koło nich jak stado bizonów, ciężko walcząc o haust powietrza w wilgotnym upale poranka. - Ale szyk trzymaliśmy lepiej.

- Już pierwszego dnia?
- Pierwsze parę dni pamiętam jak przez mgłę - przyznał Jackson.
- Pakujesz się?
- Większość gratów już jest w pudłach - kiwnął głową Robby. -Muszę jeszcze do końca załatwić przeniesienie.
- Ja też.
- Zwalniasz się? - zdziwił się Robby.
- Powiedziałem admirałowi Greerowi, że chcę u niego pracować.
- Admirałowi... a, temu facetowi z CIA? To jednak chcesz to zrobić? Co na to na wydziale?
- No cóż, można powiedzieć, że obyło się bez łez. Dziekan nie był zachwycony z powodu moich częstych absencji w tym roku. Czyli że będziemy wydawać wspólnie pożegnalną kolację.
- Boże, to już ten piątek?
- Tak. Będziecie piętnaście po ósmej?
- Pewnie, że tak. Mówisz, że to nie będzie żadna gala?
- Zgadza się - uśmiechnął się Jack.

Samolot VC-10 Królewskich Sił Powietrznych wylądował w bazie lotniczej Andrews o godzinie ósmej wieczorem i podkołował do terminalu używanego przez Air Force One, samolot prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dziennikarze zauważyli, że ochrona była bardzo szczelna, widać było chyba całą kompanię żandarmerii sił powietrznych, nie licząc tajniaków z Ochrony Białego Domu. Ale w końcu, mówili między sobą, w tej części bazy środki bezpieczeństwa zawsze były bardzo skrupulatnie przestrzegane. Samolot podkołował dokładnie na wyznaczone miejsce, schody podjechały do przednich drzwi, które otworzyły się po chwili.

U stóp schodów oczekiwali ambasador Zjednoczonego Królestwa i oficjele z Departamentu Stanu. Wewnątrz samolotu ochrona gości dokonała ostatecznego przeglądu sytuacji przez okno. W końcu w drzwiach pojawił się Jego Wysokość w towarzystwie swej młodej żony, pozdrawiając dłonią odległy tłum widzów. Ze schodów zeszli żwawo, mimo nieco zesztywniałych po kilku godzinach lotu nóg. Poniżej salutowali im liczni oficerowie z obu krajów, a urzędniczka z Departamentu Stanu dygnęła, co ściągnęło na nią nazajutrz reprimendę w porannym wydaniu „Washington Post”. Sześciolatka wnuczka dowódcy bazy wręczyła Jej Wysokości tuzin żółtych róż. Błyskały flesze, a oboje goście posłusznie uśmiechali się do obiektywów, podczas gdy niespiesznie witali miłymi słowami każdego w rzędzie oczekujących. Książę wymienił żarty z oficerem Marynarki Królewskiej, który kiedyś był jego dowódcą, a księżna powiedziała coś o okropnej, mglistej pogodzie, która trwała mimo zmierzchu. Żona ambasadora napomknęła, że panujący tu klimat sprawił, że kiedyś uznawano Waszyngton za garnizon o podwyższonym stopniu szkodliwości. Choć od tego czasu wytępiono już szerzące malarię komary, klimat niewiele się zmienił. Na szczęście każdy tu miał klimatyzację. Reporterzy komentowali kolor, styl i krój stroju księżnej, a zwłaszcza jej nowy, „śmiały” kapelusz. Stała w pozie zawodowej modelki, podczas gdy jej mąż wyglądał tak zwyczajnie jak kowboj z Teksasu, wręcz niestosownie, z jedną ręką w kieszeni i rozluźnionym uśmiechem na twarzy. Amerykanie, którzy dotąd nie znali tej pary uznali go za cudownie swobodnego, a każdy mężczyzna i tak od dawna był na zabój zakochany w księżnej, jak większość zachodniego świata.

Ochroniarze nic z tego nie widzieli. Wszyscy stali tyłem do gości, wodząc czujnie oczyma po tłumie. Na wszystkich ich twarzach wryta była jedna troska: „Boże, tylko nie na mojej zmianie, proszę!”. Każdy z nich miał w uchu słuchawkę, z której nieprzerwanie docierały komunikaty rejestrowane przez ich mózgi w czasie, gdy oczy zajęte były czym innym.

Wreszcie wsiedli do Rolls-Royce'a z ambasady i kolumna limuzyn zaczęła się formować. Baza Andrews miała kilka bram, wybór tej, przez którą wyjadą zapadł dopiero godzinę temu. Na drodze do miasta uformował się wnet korek z oznaczonych i nieoznaczonych radiowozów, W kolumnie jechały jeszcze dwie identyczne limuzyny Rolls-Royce, tego samego modelu i koloru, każda z dwoma samochodami eskorty, jednym przed, a drugim za nią. Nad kolumną krążył śmigłowiec. Gdyby ktokolwiek zadał sobie trud policzenia ile sztuk broni wieziono w konwoju wynik byłby w granicach setki. Godzinę przyjazdu wybrano tak, by umożliwiła szybki przejazd przez Waszyngton i dwadzieścia pięć minut później kolumna dotarła do ambasady brytyjskiej. Kilka minut później Ich Wysokości były już bezpieczne w budynku i chociaż na chwilę ciężar zapewnienia im bezpieczeństwa spadł na kogoś innego. Większość miejscowych ochroniarzy rozeszła się do domów lub na posterunki, ale dziesięć osób obu płci pozostało wokół budynku, większość schowana w samochodach i furgonetkach zaparkowanych w okolicy. Chodnik przed ambasadą patrolowało kilku dodatkowych policjantów.

- Ameryka - rzekł podniośle o'Donnell. - Kraina nadziei. - Telewizyjna relacja z przyjazdu pojawiła się o jedenastej.

- Jak myślisz, co teraz robią? - zapytał Miller.

- Pewnie walczą ze zmęczeniem po podróży. Śpią smacznie. A tu, wszystko gotowe?

- Tak, melina jest przygotowana na jutro. Alex i jego ludzie są gotowi, a ja wprowadziłem poprawki do planu.

- Też autorstwa Alexa?

- Tak, ale jeżeli usłyszę jeszcze jedną dobrą radę od tego aroganckiego skurwysyna...

- Mówisz o jednym z naszych drogich towarzyszy walki rewolucyjnej - upomniał go z uśmiechem o'Donnell. - Chyba wiem co masz na myśli.

- Gdzie jest Joe?

- W Belfaście. Będzie prowadził drugą fazę planu.

- Wszystko zgrane w czasie?

- Tak. Obaj dowódcy brygad i cała Rada Armii. Powinniśmy dorwać ich wszystkich naraz. - o'Donnell wreszcie ujawnił cały swój plan. Agenci McKenneya, penetrujący Tymczasowych, pracowali blisko ich szefów, albo znali tych, którzy z nimi pracują. Na rozkaz o'Donnella mieli ich wszystkich pozabijać, za jednym zamachem likwidując całe dowództwo Skrzydła Tymczasowych IRA. Nie zostanie nikt, kto mógłby nim kierować. Poza jednym człowiekiem, którego to mistrzowskie posunięcie osadzi z powrotem w siodle i przywróci mu posłuch szeregowych członków IRA. Mając takich zakładników, uzyska zwolnienie wszystkich więzionych towarzyszy broni, choćby nawet dla uzyskania tego miał wysyłać księcia Walii po kawałeczku pocztą. Tego o'Donnell był pewien. Mimo wielkich słów padających w Whitehall, minęły już wieki od czasów, gdy któremukolwiek z brytyjskich monarchów groziła śmierć, a idea męczeństwa była popularna wśród rewolucjonistów, a nie rządzących. Zmusi ich do tego opinia publiczna. Będą musieli negocjować, by uchronić życie następcy tronu. Ten sukces tchnie nowe życie w Sprawę i Kevin Joseph O'Donnell poprowadzi rewolucję odrodzoną w krwi i zuchwałości.

- Zmiana warty, co Jack? - zauważył Marty. On także się wyprowadzał. Oficer ochrony sprawdzał jego rzeczy przed odjazdem.

- Jak się czujesz?

- Lepiej, ale oglądanie porannego programu telewizji jest męczące.

- Bierzesz lekarstwo? - zapytał Ryan.

- Już nigdy nie zapomnę, mam - obiecał.

- Widzę, że nie ma nic nowego o naszych przyjaciółach.

- Tak. Zniknęli znowu w tej czarnej dziurze, w której dotąd mieszkali. FBI niepokoi się, że może są tutaj, ale nic na to nie wskazuje. Fakt, że ile razy ktoś mający z tymi draniami do czynienia poczuł się bezpiecznie, to oni gryźli go w tyłek. Tyle że tutaj wszystko jest postawione w stan alarmu, może z wyjątkiem Szóstej Grupy Delta. Wszystkie atuty są w pogotowiu. Jeżeli gdzieś tu są i pokażą komukolwiek choćby koniuszek nosa, zwali się na nich cały świat. Tak mówiliśmy w Wietnamie. - Cantor chrząknął. - Będę w poniedziałek i wtorek, więc nie musisz już teraz mówić do widzenia. Baw się dobrze w weekend.

- Ty też. - Ryan wyszedł z nową przepustką na szyi i marynarką zawieszoną na ramieniu. Na zewnątrz był upał, a jego Rabbit nie miał klimatyzacji. Jazdę do domu drogą numer 50 utrudniali ludzie jadący do Ocean City na weekend albo i dłużej, byle tylko uciec od piekielnego upału, który przez dwa tygodnie palić będzie okolicę. Ale się natną, pomyślał. Nadchodził zimny front atmosferyczny.

- Policja Okręgu Howard - powiedział dyżurny podoficer. - Słucham.

- To jest 911, prawda? - odezwał się męski głos w słuchawce.

- Tak proszę pana. W czym problem?

- Zona mówi, że nie powinienem się mieszać, ale wie pan...

- Czy może pan podać swoje nazwisko i numer telefonu?

- Mowy nie ma! Widzi pan, tu jest taki dom, eee,, obok na ulicy. Tam są jacyś uzbrojeni ludzie, wie pan. Mają karabiny maszynowe.

- Proszę powtórzyć. - Oczy sierżanta rozszerzyły się.

- Karabiny maszynowe. Panie, ja nie zalewam, widziałem tam Af 60, taki jak w wojsku, wie pan, kaliber trzydzieści, zasilany z taśmy, ciężki jak cholera do noszenia, ale zajebisty karabin maszynowy. Widziałem jeszcze inne rzeczy.

- Gdzie?

- Green Cottage Lane 1116 - głos przyśpieszył. - Tam jest chyba... To znaczy widziałem czterech ludzi, jednego czarnego i trzech białych. Wyładowywali broń z furgonetki. To była trzecia rano. Musiałem wstać, żeby się odlać i wyrzalem przez okno z łazienki, wie pan. Drzwi od garażu były otwarte, światło w środku zapalone, więc jak go wyciągnęli, to wyraźnie widziałem że to była sześćdziesiątka. Biegałem z taką w wojsku, wie pan. No w każdym razie, powinniście chyba coś z tym zrobić, nie? To wasza działka. - Połączenie się urwało. Sierżant wezwał natychmiast kapitana.

- O co chodzi? - rzucił okiem na notatkę sierżanta. - Karabin maszynowy? M-60?

- To on tak mówi, powiedział „Kaliber trzydzieści, zasilany z taśmy”. To wygląda na M-60. A my mieliśmy to ostrzeżenie z FBI, kapitanie...

- Tak. - Komendant widział już oczyma wyobraźni awans migający mu przed oczyma, ale i wizję jego ludzi toczących regularną bitwę z lepiej uzbrojonymi przestępcami. - Ściągaj wozy. Każ im się trzymać poza zasięgiem wzroku i nie podejmować żadnych działań. Ja ściągnę SWAT i federalnych.

Niecałą minutę później we wskazany rejon skierował się pierwszy radiowóz. Prowadził go policjant z sześcioletnim stażem interwencji, który bardzo chciał dożyć tego, by być siedmioletnim weteranem. Zaparkował wóz o przecznicę dalej, za wielkim krzewem, skąd mógł obserwować teren bez wystawienia się na widok.

W spoconych rękach ścisnął teraz śrutówkę załadowaną loftkami, która zwykle wisiała smętnie pod tablicą przyrzędów. Następny wóz dotarł cztery minuty później, przywożąc jeszcze dwóch funkcjonariuszy. Potem zjawił się tam chyba cały świat, podoficer dowodzący patrolami, porucznik,



dwóch kapitanów i wreszcie dwóch agentów z biura FBI w Baltimore. Pierwszy policjant czuł się tani jak Indianin z plemienia, w którym więcej było wodzów niż wojowników.

Agent kierujący biurem w Baltimore uruchomił radiowe łącze z centralą FBI z Waszyngtonu, ale pozostawił dowodzenie akcją w rękach miejscowej policji.

Policja okręgu miała, jak większość lokalnych policji, swój własny zespół SWAT, który szybko wziął się do roboty. Przede wszystkim zajął się ewakuacją ludzi z domów w okolicy. Ku powszechnej uldze, wszystkie domy miały tylne wejścia. Ewakuowanych ludzi natychmiast przesłuchiowano. Tak, widzieli jakichś ludzi w tym domu. Tak, w większości byli biali, ale był też co najmniej jeden czarny. Nie, nie widzieli żadnej broni, tak naprawdę, to w ogóle rzadko widywali tych ludzi. Jedna pani zeznała, że mieli furgonetkę, ale jeżeli tak, to musieli ją ciągle trzymać w garażu. Przesłuchanie jeszcze trwało, gdy zespół SWAT przystąpił do akcji. Wszystkie domy w okolicy były tej samej konstrukcji, więc wystarczyło szybko obejrzeć jeden z nich, by poznać rozkład pomieszczeń pozostałych. Inni członkowie zespołu rozłożyli się z karabinami snajperskimi w domu po drugiej stronie ulicy i zaglądali w okna przez celowniki. Zespół SWAT mógł czekać dalej, ale im dłużej zwlekano, tym większe ryzyko wypłoszenia „zwierzyny”. Poruszali się powoli i ostrożnie, umiejętnie kryjąc się i korzystając z przeszkód terenowych, aż dotarli na pięćdziesiąt metrów od domu. Napięte i czujne spojrzenia omiatały okna, szukając oznak ruchu wewnątrz, ale nic nie było widać. Czyżby wszyscy spali? Dowódca ruszył pierwszy, przebiegając przez podwórko i padając pod oknem. Przykleił w rogu okna mikrofon na przyssawce, nasłuchując odgłosów ludzkiej obecności wewnątrz. Jego zastępca obserwował jak komicznie przechyla głowę, a potem rozległ się w radiostacji jego głos.

- Telewizor jest włączony. Żadnych rozmów. I jeszcze coś dziwnego. - Gestem wezwał swój oddział, by do niego pojedynczo dołączali. On tymczasem kucnął pod oknem z bronią gotową do strzału. Po trzech minutach zespół był gotów do dalszego działania.

- Dowódca zespołu - zatrzeszczało radio. - Tu porucznik Haber. Jakiś chłopak twierdzi, że widział jak furgonetka wyjechała pełnym gazem z tego domu za piętnaście piąta, to znaczy w chwili, gdy wezwano radiowozy.

Dowódca potwierdził gestem, że zrozumiał i zignorował wiadomość. Zespół wdarł się do domku. Dwa jednoczesne wystrzały ze śrutówek odstrzeliły zawiasy drzwi, które nie zdążyły jeszcze spaść na ziemię, gdy dowódca zespołu był już w kuchni, omiatając wzrokiem i lufą pomieszczenie. Nic. Przeszli przez cały dom, poruszając się ruchami, które wyglądały jak przerażający balet. Całość nie trwała nawet minuty. W eter poszła wiadomość, że budynek jest czysty. Dowódca wyszedł przez frontowe drzwi, z lufą śrutówki opuszczoną w dół i ściągnął czarną kominiarkę. Potem wezwał do siebie ruchem ręki prowadzących akcję. Porucznik i agent FBI przebiegli przez ulicę, gdy obcierał pot z powiek.

- No i co?

- Spodoba wam się - odpowiedział dowódca. - Chodźcie. - W salonie stał na stole włączony mały kolorowy telewizor. Podłogę zaścielały opakowania z McDonalda, a w zlewie piętrzył się równy stos około pięćdziesięciu papierowych kubków. W głównej sypialni, większej od dwóch pozostałych o kilka metrów kwadratowych, zorganizowany był magazyn broni. Na honorowym miejscu stał amerykański karabin maszynowy M-60 z dwiema skrzynkami na taśmę, po 250 nabojów każda. Poza tym był tuzin karabinów Kałasznikowa, z których trzy rozłożone były do czyszczenia i powtarzalny karabin z celownikiem optycznym. Obok na dębowej szafce stał skaner radiowy z zapalającymi się co chwila diodami. Nastawiony był na częstotliwość używaną przez policję okręgu Howard. W odróżnieniu bowiem od FBI, lokalne policje z reguły nie używały bezpiecznej, to jest

kodowanej, łączności radiowej. Agent FBI wyszedł i połączył się z samochodem z Billem Shawem.

- Czyli podsłuchiwali policję i dali dyla - podsumował Shaw kilkuminutowy raport agenta.

- Na to wygląda. Miejscowa policja ma opis furgonetki, którą uciekli. Przynajmniej musieli wiać tak szybko, że zostawili mnóstwo broni. Może się spietrali. A u was co nowego?

- Nic. - Shaw siedział w pokoju 5005 Budynku Hoovera, gdzie mieściło się kryzysowe stanowisko dowodzenia. Wiedział o francuskiej próbie ataku na obóz. Teraz drugi raz uciekli dzięki łutowi szczęścia. -Dobra, pogadam z policją stanową. Zespół kryminalistyczny już do was jedzie. Siedź tam i koordynuj prace miejscowej policji.

- Tak jest. Bez odbioru.

Ochroniarze już się rozlokowali. Dyskretnie, jak zauważył, zaparkowali koło basenu, napełnionego wodą zaledwie przed dwoma dniami, obok stała furgonetka, która, jak przypuszczał, mieściła sprzęt łączności specjalnej. Jack naliczył ośmiu ludzi na podwórzu, dwóch miało Uzi. Avery oczekiwał na niego, gdy podjechał zaparkować.

- Mam dla pana dla odmiany dobrą wiadomość, a właściwie i dobrą i złą.

- Co się stało?

- Ktoś zadzwonił do glin i powiedział, że widział ludzi z bronią. Zajęli się tym piorunem. Goście zwiali, bo podsłuchiwali rozmowy radiowe policji, ale zgarnęliśmy mnóstwo broni. Wygląda na to, że nasi przyjaciele założyli sobie tam melinę. Tyle tylko, że to nie wypaliło. Może złapiemy ich w pościgu. Wiemy jakiego samochodu używają, lokalna policja zablokowała teren i przeczesują cały stan. Gubernator nakazał nawet użycie do poszukiwań śmigłowców Gwardii Narodowej.

- Gdzie oni są teraz?

- W okręgu Howard, taka mała dziura na południe od Dystryktu Columbia. Minęliśmy się z nimi o całe pięć minut, ale jadą w otwartym terenie, więc to tylko kwestia czasu.

- Mam nadzieję, że gliny traktują to serio - powiedział Ryan.

- Tak, sir.

- Były jakieś problemy?

- Nie, wszystko idzie jak z płatka. Pańscy goście przybędą za kwadrans ósma. A co będzie na kolację? - zapytał Avery.

- No cóż, po drodze zerwałem trochę świeżej białej kukurydzy, mijał pan to miejsce po drodze do domu. Steki z grilla, pieczone kartofle i sałatka szpinakowa Cathy. Damy im trochę porządnego, amerykańskiego jedzenia. - Jack otworzył bagażnik Rabbita i wyciągnął torbę świeżo zerwanej kukurydzy.

- Ślinka mi zaczyna lecieć - uśmiechnął się Avery.

- O wpół do siódmej przyjedzie facet z baru z jedzeniem dla was. Zrazy i kotlety na zimno. Nie będziecie chłopaki pracować cały czas z pustymi żołądkami, co? - nalegał Ryan. - Nie można być ciągle w pogotowiu na głodniaka.

- No cóż, zobaczymy. Dziękuję.

- Mój tata był gliną.

- Przy okazji, próbowałem włączyć oświetlenie basenu, ale nie działa.

- Wiem, coś się dzieje z prądem od kilku dni. Elektrownia mówi, że mają tu nowy transformator, nad którym pracują, czy coś takiego - wzruszył ramionami. - Wygląda na to, że poszedł korek na linii nad basenem, ale jak na razie w domu wszystko w porządku. Zresztą chyba nie zamierzaliście się kąpać, nie?

- Nie. Chcieliśmy się tam podłączyć, ale nie było prądu.

- Przykro mi. No cóż, trzeba będzie się tym potem zająć. Avery popatrzył jak odchodzi i po raz

ostatni wrócił do swoich

rozmyślał nad rozmieszczeniem ludzi. Dwa radiowozy stanowej policji staną kilkaset metrów w dół drogi, żeby zatrzymywać i kontrolować wszystkie nadjeżdżające samochody. Większość jego ludzi będzie pilnować drogi. Dwóch z każdej strony polany. Zarośla wyglądały na nieprzebyte, ale lepiej żeby ktoś ich pilnował. Ci czterej stanowili Zespół Pierwszy. Zespół Drugi składał się z sześciu ludzi. W domu będzie trzech ludzi. Trzech dalszych, w tym łącznościowiec z furgonetki, między drzewami koło basenu.

Miejsce kontroli radarowej znane było miejscowym bardzo dobrze. W każdy weekend jeden albo dwa radiowozy pilnowały tego odcinka 1-70. Pisali o tym nawet w lokalnej gazecie. Ale nie czytawali ich obcy.

Policjant stał za niewielkim pagórkem, przez co kierowcy pędzący ku Pennsylvanii nadjeżdżali prosto na jego radar, nawet o tym nie wiedząc. „Branie” było tak duże, że chociaż nie chciało mu się ruszać za nikim jadącym poniżej stu na godzinę, to i tak co najmniej dwa razy w ciągu wieczora zgarniał kogoś, kto pędził sto dwadzieścia.

Szukać czarnego furgonu, marka i rocznik nieznane, mówił komunikat nadany parę minut temu. Dobre sobie, w stanie Maryland jeździło pewnie z pięć tysięcy takich wozów i pewnie wszystkie będą w drodze w piątkowy wieczór. Ktoś inny będzie się tym musiał zająć. „Zachować szczególną ostrożność”.

Jego radiowóz aż zakoiysał się jak łódka na fali, gdy obok przemknął jakiś samochód. Czytnik radaru wskazał sto trzydzieści pięć kilometrów. Do roboty! Policjant wrzucił bieg i rozpoczął pościg, gdy zorientował się, że to była czarna furgonetka. Zachować szczególną ostrożność... Nawet numeru cholera, nie podali...

- Hagerstown, tu Jedenaście. Jadę za czarnym furgonem, który rozwija prędkość stu trzydziestu pięciu kilometrów. Poruszam się na zachód drogą 1-70, jestem około pięciu kilometrów na wschód od zjazdu numer 35.

- Jedenaście, podaj numer rejestracyjny, ale nie próbuj, powtarzam, nie próbuj zatrzymywać. Podaj numer, odpuść i utrzymuj kontakt wzrokowy. Wysyłamy wsparcie.

- Roger. Zbliżam się do odczytania numerów. - Cholera!

Wcisnął gaz do dechy i obserwował jak wskazówka prędkościomierza dojeżdża do stu czterdziestu.-Furgonetka jakby trochę zwolniła. Dzieliło go od niej jakieś dwieście metrów. Zamrugał oczami. Widział tablicę, ale numerów jeszcze nie. Ostrożnie zmniejszyła dystans. Z pięćdziesięciu metrów mógł rozpoznać tablicę, inwalidzką. Podniósł mikrofon do ust, by podać numer, gdy nagle drzwi furgonetki otworzyły się.

Nagła myśl uderzyła mu do głowy. Przecież właśnie tak zginął Larry Fontana. Wdepnął hamulec i chciał obrócić kierownicę, ale ręka zaplątała mu się w kabel od mikrofonu. Policjant skulił się, chowając pod tablicą przyrządów zwalniającego samochodu i wtedy zobaczył błysk, biały jęzor ognia kierujący się wprost na niego. Zanim zrozumiał, co to takiego, usłyszał uderzające w samochód pociski. Jedna z opon rozerwała się, potem wybuchła chłodnica, wysyłając w niebo kolumnę pary i deszcz wrzątku. Kolejne pociski zryły prawą stronę maski i policjant skulił się jeszcze bardziej pod kierownicą, podczas gdy samochód kołysał się w dół i w górę na pękniętej oponie. Potem hałas ucichł. Wystawił głowę spod tablicy i zobaczył furgonetkę przyśpieszającą pod górę. Próbował mówić przez radio, ale nie działało. Chwilę potem okazało się, że dwa pociski rozbiły akumulator, z którego ciekł na jezdnię kwas. Stał tam przez chwilę, zastanawiając się jak wyszedł z tego żywy. Wkrótce podjechał następny radiowóz.

Jedenastka trząsał się tak bardzo, że musiał trzymać mikrofon w obu rękach.

- Hagerstown, ten skurwiel ostrzelał mój wóz z broni maszynowej. To furgonetka Forda, rocznik chyba osiemdziesiąty czwarty, inwalidzkie numery, Nancy 22-91, ostatnio widziany na 1-70 w kierunku zachodnim pięć kilometrów na wschód od zjazdu numer 35.

- Czy zostałeś trafiony?

- Ja nie, ale wóz jest kompletnie rozpieprzony. Strzelali do mnie z pierdolonego karabinu maszynowego!

Ten meldunek sprawił, że sprawy potoczyły się szybciej. Powiadomiono FBI i wszystkie dostępne helikoptery skierowano nad rejon Hagerstown. Po raz pierwszy w śmigłowcach siedzieli ludzie z bronią maszynową. W Annapolis gubernator rozważał użycie Gwardii Narodowej. Ogłoszono alarm w kompanii piechoty, która i tak miała ćwiczenia w ten weekend, ale na razie udział Gwardii ograniczono do wsparcia policji stanowej śmigłowcami. W górzystym centrum stanu Maryland ruszyło polowanie. Ostrzeżono ludzi audycjami w lokalnych sieciach radiowych i telewizyjnych. Prezydent wypoczywał w tym rejonie, co stanowiło dodatkową komplikację. Piechota morska w pobliskim Camp David i kilku innych tajnych instalacjach obronnych w okolicy pozdejnowała galowe granatowe mundury i białe pasy do pistoletów, przebierając się w polowe drelichy i pobierając z magazynu karabiny M-16.

25

Spotkanie

Przyjechali dokładnie o czasie. Dwa radiowozy policji stanowej pozostały na drodze, a trzy wozy z ochroniarzami towarzyszyły Rolls-Royce'owi w drodze do domu Ryana. Szofer, jeden z ochroniarzy, podjechał pod same drzwi i wyskoczył, by otworzyć drzwi pasażerom. Jego Wysokość wysiadł pierwszy i pomógł wysiąść żonie. Ochroniarze wyroili się wokół. Szef grupy brytyjskiej odbył krótką konferencję z Averym i jego ludzie zajęli wyznaczone stanowiska. Gdy Jack zszedł ze stopni, by powitać gości, miał wrażenie, że jego dom stał się celem inwazji.

- Witamy w Peregrine Cliff.

- Cześć, Jack! - Księżę uściśnął mu rękę. - Wspaniale wyglądasz.

- Pan też, sir - odwrócił się do księżny, której dotąd właściwie nie znał. - Wasza Wysokość, bardzo mi przyjemnie.

- Nam też, doktorze. Wprowadził ich do domu.

- Jak się udała podróż?

- Strasznie gorąco - odpowiedział księżę. - Zawsze tu tak jest jak tego lata?

- Mamy teraz dwa paskudne tygodnie - odpowiedział Jack. Temperatura dochodziła do 35 stopni Celsjusza parę godzin wcześniej. - Mówią, że do jutra się to zmieni. Przez następne kilka dni nie będzie więcej jak trzydzieści.

Odpowiedź nie zdradzała ani krzty entuzjazmu.

Cathy czekała wewnątrz z Sally. Ta pogoda bardzo źle na nią działała teraz, tak blisko rozwiązania. Uściśnęli sobie dłonie, ale Sally przypomniała sobie z Anglii, jak się dyga i wykonała tę figurę znakomicie, choć przy akompaniamencie chichotu.

- Dobrze się pani czuje? - zapytała księżna Cathy.

- Znakomicie, tylko ten upał... Dzięki Bogu mamy tu klimatyzację.

- Czy mogę państwa oprowadzić? - Jack poprowadził ich do salonu.

- Ten widok jest cudowny - ocenił księżę.

- Zaczniemy jednak od tego, że w tym domu nie chodzi się w marynarkach - oznajmił Ryan. - Zdaje się, że w Anglii nazywa się to „Przywilejem Gospodarza”.

- Znakomity pomysł - podchwycił książkę, Jack odebrał od niego marynarkę i powiesił ją do szafy obok swej starej parki, po czym pozbył się swojej. Przez ten czas Cathy porozsadzała wszystkich. Sally siedziała obok matki i ze stopami wysoko nad ziemią usiłowała obciągnąć sukienkę na kolanach. Cathy bardzo trudno było znaleźć sobie wygodne miejsce na krześle.

- Długo jeszcze? - zapytała księżna.

- Osiem dni, z tym że przy drugim dziecku to może być w każdej chwili.

- Za siedem miesięcy sama się przekonam.

- Naprawdę? Gratulacje! - Obie kobiety uśmiechnęły się.

- Wszystkiego najlepszego, sir - dodał Jack.

- Dziękuję, Jack. Co porabiałeś ostatnio?

- Chyba już pan wie, gdzie pracuję?

- Tak, słyszałem od jednego z naszych ludzi. Powiedziano mi, że zlokalizowałeś i zidentyfikowałeś obóz terrorystów, który później...

Ryan dyskretnie przytaknął głową.

- Obawiam się, że nie mogę o tym rozmawiać, sir.

- To zrozumiałe. A jak się czuje twoja mała dziewczynka po tym...

- Sally - zwrócił się do córki Jack. - Jak się czuje moja mała dziewczynka?

- Ja już jestem duża! - z naciskiem na ostatnie słowo odpowiedziała Sally.

- No i co pan powie?

- Myślę, że mieliście cholerne szczęście.

- Jak dla mnie, trochę więcej. Myślę, że słyszał pan już ostatnie wieści?

- Tak - urwał na chwilę. - Mam nadzieję, że wasi ludzie są czujni. Jack potwierdził, potem wstał słysząc hamujący samochód.

Otwierając drzwi zobaczył Robby'ego i Sissy wysiadających z należącej do pilota Corvetty. Furgonetka łączności wracała na swoje miejsce, blokując podjazd. Robby wbiegł po schodach.

- Ty, co tu się dzieje? Prezydent do ciebie przyjechał, czy co? Cathy jednak musiała wygadać, zauważył Jack. Sissy miała na sobie prostą, ale bardzo ładną granatową sukienkę, a Robby był pod krawatem. Niedobrze.

- Wejdz i przyłącz się do zabawy - powiedział Jack z paskudnym uśmiechem na twarzy.

Robby ujrzał dwóch mężczyzn koło basenu, spacerujących w rozpiętych marynarkach, popatrzył ze zdziwieniem na Jacka, ale podążył za nim bez wahania. Gdy obeszli ceglany kominek, oczy pilota rozszerzyły się ze zdumienia.

- Pan komandor porucznik Jackson, jak się domyślam? - powitał gościa Jego Wysokość.

- Jack - szepnął Robby. - Zatlukę cię, bydlaku! - I głośniej. - Dobry wieczór, sir. To moja żona, Cecilia.

Jak to zwykle na przyjęciach bywa, panie i panowie zajęli się sobą nawzajem.

- Pan jest pilotem marynarki?

- Tak, sir. Właśnie wracam do dywizjonu. Latam na F-14 - Robby starał się panować nad swoim głosem i prawie mu się to udawało.

- A, tak, Tomcaty. Ja latałem na Phantomach. Pan też?

- Wylatałem na nich 120 godzin. Mój dywizjon przesiadł się na czternastki parę miesięcy po tym, jak mnie do niego przydzielili. Ledwie zdarzyłem się do nich przyzwyczać, a już je zabrali. Ja... Sir, czy pan czasem nie jest też oficerem marynarki?

- Tak, mam stopień komandora.

- Dziękuję, teraz wiem, jak się do pana mam zwracać, komandorze - odpowiedział z widoczną

ulgą Robby. - Mogę się tak do pana zwracać?

- Pewnie. Patrzenie na zakłopotanych ludzi bywa męczące. Ten twój kumpel mnie ładnie rozpracował parę miesięcy temu.

- Wie pan jak to jest z tymi z piechoty morskiej, sir. - Robby wreszcie się uśmiechnął. - Mocny w gębę, ale rozumu tyle co brudu pod paznokciami.

Jack zorientował się, że wreszcie zapanował pożądany nastrój.

- Czego się panowie napiją?

- Ja jutro latam, Jack- odpowiedział Robby. Spojrzał na zegarek. - Obowiązuje mnie już dwunastogodzinna prohibicja.

- Naprawdę tak serio do tego podchodzicie? - zapytał księżę.

- Jasne, że tak, sir, te ptaszki kosztują po trzydzieści, czterdzieści melonów. Jak się który rozwali, to niech ręka boska broni pilota, u którego znajdą ślad alkoholu we krwi. Raz przez to przechodziłem i starczy.

- O, a co się stało?

- Silnik eksplodował, kiedy włączyłem dopalacz. Chciałem dociągnąć na krypę, ale pięć mil przed nią straciłem ciśnienie w hydraulice i musiałem wysiadać. Dwa razy w życiu musiałem się katapultować i na Boga, wystarczy.

- Tak? - To pytanie spowodowało, że Robby zaczął opowieść o tym, jak skończyły się dni jego pracy jako pilota-oblatywacza w bazie Patuxent River.

- Byłem wtedy na trzech tysiącach... - Jack poszedł do kuchni po mrożoną herbatę dla wszystkich. Zastał tam dwóch ochroniarzy, Amerykanina i Anglika.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak. Wygląda na to, że naszych przyjaciół wypatrzone pod Hagerstown. Ostrzelali radiowóz policji stanowej i zwiali. Policjantowi nic się nie stało, spudłowali tym razem. W każdym razie ostatnio podążali na zachód. - To zdawało się sprawiać tajniakowi największą radość. Jack wyjrzał, czy inni stoją na swoich miejscach.

- Jesteście pewni, że to oni?

- To była furgonetka, znowu na inwalidzkich numerach. Oni zwykle działają schematycznie - wyjaśnił agent. - Prędzej czy później im się to przytrafia. Teren jest izolowany. Będziemy ich mieli.

- To dobrze. - Jack podniósł tacę ze szklankami.

Gdy wrócił, Robby dyskutował z księciem o jakiś zawiłościach sztuki latania. Widać to było po skomplikowanych ruchach, które wykonywał rękami.

- No więc jeżeli odpali się Phoenixa wewnątrz tego promienia, to on po prostu nie zdoła uciec. Ten pocisk jest w stanie znieść większe przeciążenie niż jakikolwiek pilot - zakończył Jackson.

- A, to tak jak ze Sparrowami, tak?

- Dokładnie, komandorze, tylko promień jest mniejszy. - Oczy Robby'ego rozjarzyły się. - Latał pan już kiedy Tomcatem?

- Nie, ale chciałbym.

- To się da załatwić. Cholera, ciągle latamy z cywilami, to znaczy tymi, których do tego dopuszczono itede, ale lataliśmy już nawet z aktorami z Hollywood. Załatwienie panu przelotu to pestka, chyba nie stanowi pan zagrożenia dla obronności kraju. - Robby roześmiał się i podniósł szklankę. - Dzięki, Jack. Komandorze, jeżeli tylko wykroi pan chwilę czasu, to ja panu znajdę ptaszka na przejażdżkę.

- Bardzo bym chciał, ale mamy tu bardzo niewiele wolnego czasu...

- Więc zróbmy to.

- Widzę, że przypadliście sobie do gustu, panowie.

- Rzeczywiście - przyznał książę. - Od lat chciałem spotkać pilota F-14. Mówił pan, że to rozwiązanie z kamerą z teleobiektywem jest dobre?

- Tak, sir! To nic wielkiego. Obiektów o dziesięciokrotnym powiększeniu i mała kamera telewizyjna, ale można za ich pomocą rozpoznać cel na dziewięćdziesiąt kilometrów, a to już czas na Phoenixa. Jak się to dobrze rozegra, można gościa załatwić zanim się dowie, że nie jest sam. I o to zdaje się chodzi, nie?

- Czyli w ten sposób unikacie pojedynku?

- Nie pojedynku, tylko MWP, manewrowej walki powietrznej -poprawił ignoranta Robby. - Jak dostaniemy nowe silniki, to może się to zmieni, ale komandorze, im dalej jest się w stanie uderzyć, tym lepiej, prawda? Czasem trzeba się wikłać w pogoń za własnym ogonem, ale nie wolno pozbawiać się największego atutu. Naszym zadaniem jest usunięcie zagrożenia jak najdalej od okrętu. To się nazywa Zewnętrzna Linia Obrony Powietrznej.

- Przydałoby nam się coś takiego na Falklandach - zauważył Jego Wysokość.

- Racja. Jeżeli walczy się z przeciwnikiem nad własnym pokładem, to on już wygrał najważniejszą część bitwy. My staramy się rozpocząć walkę trzysta mil od okrętu i tłuc równo przez całą drogę. Gdyby wasza marynarka miała porządny lotniskowiec, to tej niepotrzebnej wojenki w ogóle by nie było. Przepraszam, sir. To nie była pańska wina.

- Czy mogę panów oprowadzić po domu? - zapytał Jack. Ciągle to samo. Ściągniesz na przyjęcie dwóch ludzi, których chcesz ze sobą poznać i nagle okazuje się, że do niczego więcej nie jesteś im już potrzebny.

- Ile lat ma ten dom, Jack?

- Wprowadziliśmy się kilka miesięcy przed narodzinami Sally.

- Te belki są fantastyczne. A tam jest pewnie biblioteka?

- Tak jest, sir. - Dom był zbudowany tak, że salon położony był nieco wyżej niż biblioteka i można było z niego do niej zajrzeć, a z kolei główna sypialnia znajdowała się nad biblioteką i miała w ścianie prostokątne okno, przez które można było zajrzeć do salonu. Ryan zdecydował się zasłonić je obrazem umocowanym na szynie, tak by można je było w razie potrzeby odsłonić. Jack wprowadził ich do biblioteki. Wszystkim spodobało się to, że z okna, umieszczonego nad biurkiem Jacka rozciągał się wspaniały widok na zatokę.

- Nie masz żadnej służby, Jack?

- Nie, sir. Cathy namawia mnie na nianię, ale jeszcze nie jestem przekonany. Wszyscy gotowi do jedzenia?

Odpowiedź była entuzjastyczna. Kartofle już się piekły, Cathy nastawiła teraz kukurydzę. Jack wyjął steki z lodówki i wyprowadził panów na zewnątrz, gdzie stało palenisko.

- Będą panu smakować, komandorze. Jack robi znakomite steki.

- Wszystko zależy od węgla drzewnego - wyjaśnił Ryan. Na ruszcie wylądowało sześć wspaniałych płatów polędwicy i hamburger dla Sally. - Dobre mięso też nie zaszkodzi.

- Wiem, że to spóźnione pytanie Jack, ale skąd bierzesz mięso?

- Jednym z moich klientów jeszcze z czasów, kiedy pracowałem na giełdzie, była firma zaopatrująca restauracje. Te steki są z Kansas City. -Jack umieścił ruszt na palenisku. Do uszu obserwatorów dotarł syk i skwierczenie, drażniące podniebienie. Rozsmarował na płatach trochę sosu.

- Wspaniały masz stąd widok - zauważył Jego Wysokość.

- Pięknie to wygląda, kiedy statki płyną - zgodził się Jack. - Ale w tej chwili ruch zamarł.

- Pewnie słuchają radia - wtrącił się Robby. - Dzisiaj zapowiadali silną burzę z piorunami.

- Nic o tym nie słyszałem.

- Przyniesie ją przedni skraj tego zimnego frontu. Nad Pittsburghiem rozwija się dość szybko. Jutro mamy latać, jak mówiłem, więc zadzwoniłem do stacji meteo w Patuxent River, żeby się dowiedzieć co mnie czeka. Mówili, że na radarze te burze wyglądają dość paskudnie. Silny deszcz i podmuchy. Będzie koło dziesiątki w skali Beauforta.

- Często tu tak bywa? - zapytał Jego Wysokość.

- Pewnie, komandorze. Nie mamy tu takich tornad jak na Środkowym Zachodzie, ale nasze burze potrafią niejednemu postawić włosy dęba. Raz wracałem ptaszkiem z Memphis, jakieś dwa lata temu i pamiętam, że to było jak na huśtawce. W ogóle się nie kontrolowało ruchów maszyny. Te cholerstwa potrafią naprawdę przerazić. W Patuxent ściągają wtedy co się da do hangaru, a resztę porządnie przywiązują linami do ziemi.

- A niech tam, byle tylko się trochę ochłodziło - powiedział Jack, odwracając steki.

- To prawda. To zresztą będzie tylko zwykła burza, panie komandorze. Wielkie miewamy tu trzy, cztery razy do roku. Przewrócą parę drzew, ale nic nikomu nie grozi, chyba że leci samolotem albo pływa czymś małym. U nas w domu, w Alabamie, jakby szła taka burza, to można byłoby się obawiać tornada. O, to jest dopiero straszne!

- Widział pan je kiedyś?

- Nieraz, panie komandorze. Tam u nas bywają głównie na wiosnę. Kiedy miałem z dziesięć lat, widziałem jak jedno takie przeszło nad drogą, podniosło dom jak zabawkę i przeniosło o pół kilometra. Ale dziwna sprawa, że z kościoła taty nigdy nawet wiatrowskazu nie zwiało. Tak się zdarza. Warto coś takiego zobaczyć, ale lepiej z bezpiecznej odległości.

- Czyli głównym zagrożeniem dla samolotów są wtedy zawirowania powietrza?

- Zgadza się, sir. Z tym, że groźna jest też woda. Znam przypadki, gdy silniki odrzutowe nabrały przez chwytaki tyle wody wymieszanej z powietrzem, że po prostu gasły. - Robby pstryknął palcami. - Pstryk i nagle lecisz szybowcem. Niewesoła sytuacja. Więc lepiej trzymać się w ogóle z daleka od burz.

- A jak się nie da?

- Kiedyś musiałem siadać na łajbie w czasie burzy i do tego jeszcze w nocy. Zdaje się, że to był pierwszy raz kiedy byłem bliski złania się ze strachu, odkąd skończyłem dwa lata. - Jeszcze teraz wzdrygnął się na samo wspomnienie.

- Wasza Wysokość, muszę panu pogratulować wyciągnięcia tego wszystkiego z Robby'ego. Ja go znam ponad rok i nigdy nie przyznał mi się, żeby kiedykolwiek bał się choć trochę - uśmiechnął się Jack.

- Nie chciałem ci mącić obrazu - wyjaśnił Jackson. - Jackowi trzeba przystawić pistolet do głowy, żeby wsiadł do jakiegokolwiek samolotu, więc nie chciałem go jeszcze bardziej wystraszyć.

Punkt dla Robby'ego.

Upał zelżał, taras był teraz w cieniu i wiała lekka północna bryza. Jack przewrócił steki na ruszcie. Po zatoce pływało niewiele łodzi, a i te zdawały się raczej wracać do portu. Ryan aż podskoczył, gdy nagle przeleciał nad nimi z hukiem i gwizdem odrzutowy myśliwiec. Zdażył się jeszcze odwrócić i zobaczyć pomalowany na biało samolot lecący na południe.

- Robby, co tu się do cholery dzieje? Robią tak od dwóch tygodni! Jackson śledził wzrokiem znikające w oddali podwójne usterzenie samolotu.

- Wypróbują nowy osprzęt na F-18. O co ci chodzi?

- Ale ten hałas! - Ryan znowu przewrócił steki. Robby zaśmiał się.



- Ależ, Jack, to nie żaden hałas. To pieśń wolności.

- Pięknie powiedziane - ocenił książkę.

- A co byście mądrale powiedzieli o pieśni kolacji? - zapytał Jack.

Robby podstawił półmisek, na który Jack przełożył mięso. Sałatka już była na stole. Cathy robiła wysmienitą sałatkę ze szpinaku, z domowym sosem. Jack zauważył, że kukurydzę i ziemniaki nakładała Sissy, ubrana w chroniący sukienkę fartuch. Rozłożył steki, włożył hamburgera Sally w bułkę. Potem wsadził córkę do jej wysokiego krzesła. Szkoda tylko, że nikt nic nie pił. Postawił na stole cztery butelki znakomitego kalifornijskiego czerwonego wina, ale upał sprawił, że nikt nie miał na nie ochoty.

- Jack, prąd jest z powrotem - zameldowała Cathy. - A już się przez chwilę bałam, że nie zdołamy dokończyć tej kukurydzy.

Agent Ochrony Białego Domu wyszedł na środek drogi, zmuszając furgonetkę do zatrzymania.

- O co chodzi? - zapytał kierowca.

- Co tu robicie? - Marynarka agenta była rozpięta. Żadnej broni nie było widać, ale kierowca wiedział, że miał ją pod ręką. Naliczył sześciu ludzi w promieniu dziesięciu metrów od furgonetki i jeszcze czterech dalej.

- Już mówiłem policjantom - machnął ręką za siebie. Oba radiowozy policji stanowej stały nie więcej niż 200 metrów od nich.

- To niech pan jeszcze raz mi powie.

- Mamy problem z transformatorem na końcu tej drogi. Widzi pan przecież, że to wóz pogotowia energetycznego BG&E, nie?

- Niech pan chwilę poczeka.

- Jak dla mnie nie ma sprawy, człowieku. - Kierowca wymienił spojrzenie z siedzącym obok drugim Murzynem w kombinezonie. Agent za chwilę wrócił z drugim, który miał w ręku radio.

- Co się stało?

- Znowu? To już będzie trzeci raz... No więc mamy problem z tym transformatorem na końcu drogi. Nikt tu się nie skarżył na przerwy w dostawie prądu?

- Tak, ja też to zauważyłem - odpowiedział agent Avery. - Co się tam dzieje?

Odpowiedział mu człowiek z drugiego przedniego siedzenia.

- Inżynier serwisowy Alexander Dobbens. Mamy na tej linii nowy, jeszcze eksperymentalny transformator. W jego obudowie zamontowane jest urządzenie przekazujące informacje o pracy zespołu i ono pokazuje, że coś dziwnego z nim się dzieje, jakby całe to pudło miało wysiąść. Jedziemy to sprawdzić.

- Czy mogę prosić o jakiś dokument?

- Proszę bardzo. - Alex wysiadł i obszedł furgonetkę. Podał mu swój identyfikator z BG&E. - A właściwie co tu się do cholery dzieje?

- Nie mogę panu powiedzieć - odparł Avery, oddając mu legitymację. - Ma pan zlecenie?

Dobbens podał mu formularz.

- Jeżeli chce pan to dokładniej sprawdzić, to proszę zadzwonić pod ten numer, tam na górze. To biuro pogotowia w siedzibie firmy w Baltimore. Proszę poprosić kierownika zmiany, pana Griffina.

Avery kazał przez radio zrobić to jednemu ze swoich ludzi,

- Możemy zajrzeć do wozu?

- Proszę bardzo - odpowiedział Dobbens. Poprowadził dwóch agentów na tył. Zauważył, że pozostałych czterech nie spuszcza z nich wzroku, stoją oddaleni od siebie, w rozpiętych marynarkach, a ręce zwisają im luźno wzdłuż tułowia. Reszta agentów stała rozstawiona na podwórku. Odsunął

drzwi i gestem zaprosił do środka.

Agenci zobaczyli kłębowisko kabli, narzędzi i mierników. Avery polecił podwładnemu je przeszukać.

- Czy musicie robić to właśnie teraz?

- Transformator może sięść w każdej chwili. Mnie to wisi, ale ludzie w okolicy mogą być niezadowoleni jak im światło pogaśnie. Tacy już są ludzie. A w ogóle to co wyście za jedni?

- Ochrona Białego Domu. - Avery machnął mu przed nosem legitymacją. Dobbensa najwyraźniej zamurowało.

- Jezu! To tam jest prezydent?

- Nie mogę odpowiedzieć. Co jest z tym transformatorem? Mówił pan, że jest nowy.

- O, tak. Jeszcze w fazie prób. Użyto w nim neutralnego dla środowiska chłodziwa zamiast PBB, jak dawniej, i ma wbudowany system ochrony przed przegrzaniem. To chyba on właśnie nawala z powodu tego upału. Wygląda na to, że cały zespół jest zbyt wrażliwy na zmiany temperatury. Już parę razy próbowaliśmy go wyregulować, ale jakoś nie możemy utrafić. Od dwóch miesięcy już się z nim tak bawię. Zwykle robią to moi ludzie, ale tym razem szef kazał mi samemu rzucić na to okiem. - Wzruszył ramionami. - W końcu to ja odpowiadam za wdrożenie trafo.

Młodszy z agentów wyłonił się wreszcie z wozu i przecząco pokręcił głową. Avery potwierdził skinieniem i połączył się z wozem łączności, skąd dzwoniło do BG&E i potwierdzono to, co mówił Alex.

- Chcecie kogoś z nami wysłać do pilnowania? - zapytał Dobbens.

- Nie, w porządku. Ile to potrwa?

- Diabli wiedzą, sir. To pewnie coś prostego, ale jeszcze nie wiemy. Poza tym rozwiązań najprostszych szuka się zwykle najdłużej.

- Burza nadciąga. Nie chciałbym w taką pogodę siedzieć na słupie - zauważył jeden z agentów.

- Tak, my tu gadu, gadu, a robota leży. Czy teraz wszystko w porządku?

- Dobra. Możecie jechać.

- I nie powie mi pan, kto tam jest?

- Niestety - uśmiechnął się Avery.

- Dobra, ja i tak na niego nie głosowałem - roześmiał się Dobbens.

- Stać! - krzyknął drugi agent.

- Co jest?

- Ta lewa przednia opona - wskazał palcem agent.

- Louis, do jasnej cholery! - krzyknął Alex na kierowcę. Opona była starta tak, że wystawał z niej stalowy oplot.

- Szefie, to nie moja wina. Mieli ją zmienić rano. Wniosek wypisałem w środę - bronił się kierowca. - Nawet jeszcze mam ten świstek.

- Dobra, nie gorączkuj się - Dobbens obrócił się do agenta. - Dzięki za zwrócenie uwagi, koleś.

- Nie możecie jej teraz zmienić?

- Nie mamy lewarka, ktoś go zakosił. Wiecie, jak to jest ze służbowymi samochodami. Zawsze czegoś brakuje. Będzie w porządku. No dobra, transformator czeka. Czołem. - Alex wsiadł z powrotem do wozu i pomachał im, gdy odjeżdżali,

- Dobra robota, Louis.

- Tak, z tą oponą to był znakomity pomysł, - Kierowca uśmiechnął się. - Naliczyłem czternastu.

- Zgadza się. Trzech pod drzewami. Pewnie ze czterech jeszcze wewnątrz. Ale to już nie nasze zmartwienie - przerwał, spoglądając na chmury zbierające się nad horyzontem. - Mam nadzieję, że

Ed i Willy nie spieprzyli roboty.

- Nie, ostrzelali tylko glinowóz i nawiali po zmianie samochodu. Blacharze byli bardziej rozluźnieni niż przypuszczaliśmy.

- A czemu nie? Przecież spodziewali się nas gdzie indziej. - Alex wyjął radiotelefon ze skrzynki narzędziowej. Agent nie zwrócił na niego uwagi, bo i skąd miał wiedzieć, że ten egzemplarz ma zmieniony zakres częstotliwości. W wozie nie było żadnej broni, ale to radio było o wiele groźniejsze. Przekazali przez nie swoje obserwacje na temat ochrony i uzyskali potwierdzenie. Uśmiechnął się. Żaden z agentów nawet nie zapytał po co im aż tak długie rozsuwane drabiny, które wieźli na dachu. Sprawdził czas. Zostało półtorej godziny do spotkania.

- Problem w tym - powiedziała Cathy - że nie istnieje cywilizowany sposób jedzenia kukurydzy, a co dopiero smarowania jej masłem.

- Mimo to jest wspaniała - pochwalił księżę. - Czy pochodzi z jakiejś farmy w okolicy, Jack?

- Zwędziłem ją dzisiaj w drodze do domu - potwierdził Jack. - To najlepszy sposób.

Sally grzebała się z jedzeniem. Wciąż jeszcze mozoliła się nad swoim talerzem, ale nikomu się nie śpieszyło z odejściem od stołu.

- Jack, Cathy, to była wspaniała kolacja - obwieścił Jego Wysokość.

- I nie trzeba po niej wygłaszać przemówień - dodała jego żona.

- Domyślam się, że te ciągłe gale musiały wam dać w kość - powiedział Robby, starając się, by zabrzmiało to jak pytanie o to "Jak to jest być księciem?", którego nikt nie śmiał zadać.

- To by nawet nie było takie złe, gdyby starali się być oryginalni, a my od lat słuchamy tego samego! - odpowiedział księżę zgryźliwie. - Przepraszam. Nie wolno mi takich rzeczy mówić, nawet w gronie przyjaciół.

- To zupełnie tak, jak na kolegiach wydziału historii - dorzucił Jack.

W siedzibie ZOZ w Quantico w stanie Wirginia zadzwonił telefon. Brygada antyterrorystyczna FBI, znana oficjalnie jako Zespół Odbijania Zakładników, miała swą kwaterę w oddzielnym budynku na końcu długiego ciągu strzelnic służących Centrum Wyszkolenia Federalnego Biura Śledczego. Za nim stał pozbawiony silników DC-4, służący do ćwiczeń w odbijaniu porwanych samolotów. Dalej znajdował się „Nawiedzony Dom” i inne obiekty, na których jej członkowie codziennie doskonalili swe umiejętności. Odebrał agent specjalny GUS Werner.

- Cześć, GUS - odezwał się Bill Shaw.

- Znaleźliście ich już? - zapytał Werner. Był to trzydziestopięcioletni, niski, żyłasty rudzielec ze szczotkowatym wąsem, na który za dykcji Hoovera nikt by mu nie pozwolił.

- Nie, ale chciałbym, żebyś zebrał grupę alarmową i przyleciał tu. Gdyby coś się działo, będziemy was potrzebować na miejscu.

- W porządku. A gdzie jedziemy?

- Hagerstown, koszary policji stanowej. Koordynator z Baltimore będzie tam już na was czekał.

- Dobra, wezmę sześciu ludzi. Będziemy gotowi za jakieś trzydzieści, no czterdzieści minut, jak tylko przyleci śmigłowiec. Zadzwoń, gdyby coś się zdarzyło.

- Zadzwonię. Do zobaczenia. - Shaw odłożył słuchawkę.

Werner przełączył telefon i ogłosił alarm dla załogi śmigłowca. Potem poszedł do sali wykładowej po drugiej stronie budynku. Pięciu członków grupy alarmowej spędzało tam czas, głównie czytając i oglądając telewizję. Już od kilku dni działali w trybie alarmowym, na zmiany. Dzięki temu trenowali intensywniej, głównie jednak dla zabicia czasu, dłużącemu się w oczekiwaniu na coś, co może nigdy się nie zdarzyć. Red Sox grali właśnie przeciw Jankesom. Widzowie nie byli wymuskanymi lalusiami w garniturach od Brook Brothers. Nosili drelichowe kombinezony z

mnóstwem kieszeni. Poza doświadczeniem paroletniej służby w policji, większość z nich miała za sobą służbę wojskową, niektórzy nawet doświadczenia frontowe, a wszyscy byli znakomitymi strzelcami, którzy doskonalili swe umiejętności, zużywając po kilka skrzynek amunicji tygodniowo.

- Ej, wy tam obiboki, słuchajcie! - zaczął Werner. - W Hagerstown potrzebują grupy interwencyjnej. Za pół godziny będzie tu po was wiatrak.

- Ale przecież ogłoszono ostrzeżenie przed silną burzą - zgrywał się jeden z komandosów.

- No to pamiętaj, żebyś wziął pigułki na rzyganie - odpowiedział Werner.

- Znaleźli ich już? - zapytał inny.

- Jeszcze nie, ale chcą być przygotowani.

- W porządku. - Pytającym był snajper oddziału. Jego robiony na zamówienie karabin leżał na podłodze w wyściełanej gąbką walizce. Sprzęt grupy od dawna leżał pod ścianą, spakowany w dwanaście worków marynarskich. Pozapinali bluzy. Paru poszło się załatwić przed podróżą. Nikt się specjalnie nie przejmował. Ich robota polegała w większej mierze na czekaniu niż na działaniu. ZOZ istniał już od kilku lat, ale dotąd nie miał okazji uwolnić ani jednego zakładnika. Zamiast tego używano ich w charakterze doborowego oddziału interwencyjnego policji. Zdążyli sobie w tej roli zyskać znakomitą, choć ograniczoną do środowiska policyjnego, reputację.

- Oho - powiedział Robby. - Nadchodzi. To będzie piękna burza. - W ciągu dziesięciu minut wiatr z łagodnych podmuchów zmienił się w porywisty wichur targający wysokim dachem.

- „To była ciemna i burzliwa noc” - zaśmiał się Jack, wychodząc do kuchni. Trzech agentów szykowało tam kanapki dla kolegów przy drodze. - Mam nadzieję, że oni mają peleryny.

- Dla nas to normalka - zapewnił go jeden z nich.

- Ten deszcz przynajmniej będzie ciepły - zawtórował mu drugi, z akcentu sądząc Brytyjczyk. - Bardzo dziękujemy za kawę i jedzenie.

Pierwszy grom odbił się dalekim, przeciągłym echem.

- Nie stawajcie tylko pod drzewami - ostrzegł Jack. - Piorun może w któreś uderzyć.

Wrócił do jadalni. Goście nadal rozmawiali przy stole. Robby znów opowiadał o lataniu. Tematem chwili były tym razem katapulty.

- Do tego nigdy nie można się przyzwyczaić - mówił. - W ciągu dwóch sekund dochodzi się od zera do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

- A jeżeli coś się zepsuje? - zapytała księżna.

- To trzeba umieć pływać - odpowiedział Robby.

- Panie Avery - zaskrzeczał głośnik radiotelefonu.

- Tak? - odpowiedział wywołany.

- Waszyngton na linii.

- Dobra, zaraz tam będę. - Avery wrócił na podjazd, do wozu łączności. Dołączył do niego Longley, szef Brytyjczyków. I tak mieli wrócić po peleryny, których będą za kilka minut bardzo potrzebować. Błyskawice przecinające niebo ciemne od chmur zbliżały się szybko.

- No i koniec ładnej pogody - stwierdził Longley.

- A miałem nadzieję, że nas ominie. - Uderzył w nich znowu podmuch wiatru, niosący kurz i pył z zaoranego pola po drugiej stronie drogi. Minęli dwóch ludzi niosących tace z kanapkami, za którymi dreptał czarny psiak w nadziei, że zgubią choć jedną.

- Równy chłop z tego Ryana, nie?

- Ma fajnego dzieciaka. Dużo można powiedzieć o rodzicach, patrząc na dzieci - myślał na głos Avery. Dochodzili już do wozu łączności, gdy spadły pierwsze krople deszczu. Agent Ochrony Białego Domu wziął słuchawkę.

- Avery, słucham.

- Chuck, tu Bill Shaw z Biura. Właśnie dostałem raport od naszego zespołu kryminalistycznego w okręgu Howard.

- No i?

Po drugiej stronie Shaw wpatrywał się w mapę i walczył z myślami.

- Nie znaleźli żadnych odcisków palców, Chuck. Mają od cholery broni i amunicji, część karabinów rozebrana jest do czyszczenia, ale nie ma na nich ani jednego odcisku palca. Nawet na opakowaniach od hamburgerów. Coś mi tu śmierdzi.

- A co z tym radiowozem ostrzelanym w stanie Maryland?

- Nic, ni cholery. Zupełnie jakby wskoczyli w czarną dziurę i wciągnęli ją za sobą.

Shaw nie musiał Averemu mówić nic więcej. Chuck był w Ochronie Białego domu odkąd dorósł, zwykle był członkiem zespołu bezpośredniej ochrony prezydenta. Myślał tylko w kategoriach zagrożeń. To była nieunikniona konsekwencja tej roboty. Pilnował bezpieczeństwa ludzi, których inni chcieli zabić. To wypaczało jego spojrzenie na świat. Jego umysł pracował szybko. „Oni są niezwykle przebiegli”, przypomniał sobie raport.

- Dzięki za informacje, Bili. Będziemy mieli oczy otwarte. - Avery założył pelerynę i podniósł radiotelefon. - Zespół Pierwszy, tu Avery. Uwaga. Zebrać się przy wjeździe. Być może mamy nowe zagrożenie. - A reszta przy okazji, dopowiedział w myśli.

- Co się dzieje? - zapytał Longley.

- W tej melinie nie było żadnych śladów, ludzie z kryminalistyki nie znaleźli tam ani jednego odcisku palca.

- Przecież nie zdążyliby tego powycierać przed ucieczką. - Longley'owi też nie trzeba było długo klarować. - A więc to było z góry ukartowane, żeby nas...

- Dokładnie. Chodźmy pogadać z ludźmi. Po pierwsze, trochę ich trzeba porozsuwać. Potem ściągnąć posiłki z policji. - Deszcz dzwonił już na dobre w dach wozu łączności. - Chyba wszyscy nieźle zmokniemy.

- Potrzebuję jeszcze dwóch ludzi do domu - powiedział Longley.

- Zgoda, ale najpierw odprawa. - Odsunął drzwi i obaj wyszli na podjazd.

Agenci zebrali się w miejscu, gdzie podjazd odchodził od szosy. Mieli się na baczności, ale w zacinającym deszczu mieszającym się z pyłem nawiewanym przez wiatr z pola po drugiej stronie drogi nic nie było widać. Kilku usiłowało dokończyć kanapki. Jeden z agentów przeliczył ich. Jednego brakowało, więc wysłał podwładnego, by poszukał kolegi, któremu najwyraźniej zepsuł się radiotelefon. Za wysłanym agentem pobiegł Ernie, wdzięczny za pół kanapki, które od niego dostał.

- To co, przechodzimy do salonu? - Cathy wskazała ręką na drugą część pokoju, odległą o dwa metry. - Chciałabym posprzątać ze stołu.

- Ja to zrobię, Cathy - zaoferowała się Sissy Jackson. - Ty sobie posiedź. - Poszła do kuchni po fartuch. Ryan był już pewien, że Cathy ostrzegła Jacksonów, a w każdym razie Sissy, która założyła naprawdę drogą sukienkę. Wszyscy wstali, a Robby wyszedł do łazienki się załatwić.

- No to jesteśmy - powiedział Alex zza kierownicy. - Wszyscy gotowi?

- Jazda! - odpowiedział o'Donnell. Podobnie jak Alex, wolał być w pierwszej linii, ze swoimi żołnierzami. - Bogu dzięki za taką pogodę.

- Racja - zgodził się Alex. Przełączył światła na długie, wydobywając z mroku dwie grupy agentów oddalone od siebie o kilka metrów.

Ochroniarze zobaczyli światła, więc jako ludzie wyszkoleni w szybkiej reakcji, zwrócili na nie baczność, mimo że wiedzieli co to takiego i co tam robi. Jakies trzydzieści metrów od nich dał

się słyszeć huk. Kilku instynktownie złapało za broń, ale wkrótce wszyscy zauważyli, że to w furgonie pogotowia energetycznego pękła opona, a kierowca usiłował odzyskać kontrolę nad wozem kołyszającym się na flaku. Stał dokładnie na podjeździe. Nikt nie pytał o drabiny przedtem, to i teraz nikt nie zauważył ich braku. Kierowca wysiadł i obejrzał koło.

- Kurwa mać!

Dwieście metrów dalej Avery ujrzał samochód stojący na podjeździe i w głowie zadzwonił mu dzwonek alarmowy. Zaczął biec w kierunku zebranych tam agentów.

Nagle drzwi furgonu odsunęły się, ukazując czterech ludzi z bronią maszynową. Agenci zareagowali natychmiast, ale było już za późno. Gdy tylko drzwi odsunęły się, padły strzały. Tłumiki wygłuszyły huk strzałów, ale nie zdusiły płomieni wylotowych, które rozświetliły ciemność. Pięciu ludzi zginęło już w ciągu pierwszej sekundy. W miarę odsuwania się drzwi dołączali się kolejni strzelcy i pierwsza grupa zginęła, nie odpowiadawszy nawet jednym strzałem. Jeden z agentów z drugiej grupy zdołał wyjąć Uzi i wystrzelić krótką serię, która trafiła jednego z napastników, ale koledzy terrorysty zabili go w chwilę potem. Zginęło jeszcze dwóch agentów, a czterech padło na ziemię i odpowiedziało ogniem.

- Co się tam do cholery dzieje? - zapytał Ryan. Dochodzący dźwięk był trudny do rozpoznania wśród poszumu

deszczu i łoskotu piorunów. Głowy obecnych w pokoju odwróciły się do okna. W kuchni był brytyjski ochroniarz, na tarasie dwóch agentów Ochrony Białego Domu. Ich głowy także odwróciły się w kierunku, skąd dochodził hałas, a jeden sięgnął po radiotelefon.

Avery dobył swój rewolwer służbowy. Jako dowódca nie nosił nic poza swoim Smith & Wessonem .357 Magnum. W drugiej ręce trzymał radio.

- Zawiadom Waszyngton, że zostaliśmy zaatakowani. Niezidentyfikowani napastnicy pojawili się z zachodu. Mamy straty, potrzebujemy pomocy i to, do kurwy nędzy, już!

Alex wyciągnął z wozu granatnik RPG-7. Dwa radiowozy zaledwie majaczyły w odległości dwustu metrów. Glin nie było widać, ale musieli gdzieś tam być. Podniósł broń na ramię, złapał w celownik zarys jednego z samochodów i pociągnął za spust, dodając jeszcze jeden grzmiący huk do szalejącej burzy. Pocisk upadł kilka metrów przed celem, ale jego odłamki przebiły bak i zapaliły benzynę. Zbiornik eksplodował, spowijając oba wozy w kulę ognia.

- O w mordę!

Za jego plecami napastnicy rozsypali się w tyralierę i oskrzydłili broniących się agentów. Wkrótce już tylko jeden się ostrzeliwał. Alex widział, że poległo jeszcze dwóch członków ULA, ale reszta zaszła obrońcę od tyłu i szybko wykończyła go ulewą ognia.

- Boże! - Avery też to widział. Wraz z Longleyem popatrzyli po sobie, odgadując nawzajem swoje myśli. Nie dostaną ich, chyba że po moim trupie!

- Shaw - radiotelefon odpowiedział kaskadą wyładowań statycznych.

- Zostaliśmy zaatakowani. Mamy straty - odezwał się wreszcie głośnik ze ściany. - Nieznana liczba napastników... To jest jak jakaś pierdolona wojna! Potrzebujemy pomocy i to zaraz!

- Dobrze, nie wyłączajcie się, już się tym zajmujemy. - Shaw wydał kilka szybkich rozkazów i telefony rozjarzyły się światłkami. Pierwsze wezwanie o pomoc poszło do najbliższych jednostek policji lokalnej i stanowej. Potem do ZOZ w Waszyngtonie. Ich Chevy Suburban stał gotowy do drogi w garażu. Spojrzał na zegar i zadzwonił do Quantico.

- Wiatrak właśnie siada - zameldował Werner.

- Wiesz gdzie jest dom Ryana? - zapytał Shaw.

- Pewnie, jest na mapie. Tam są teraz goście, tak?

- Został zaatakowany. Jak szybko możecie się tam dostać?

- Jak tam to wygląda? - spytał Werner, wyglądając przez okno na swoich ludzi, pakujących sprzęt do śmigłowca.

- Cholera wie. Właśnie wysłaliśmy tam drugą grupę, ale chyba zdążycie przed nimi. Łącznościowiec mówi, że są atakowani i mają straty.

- Gdyby przyszły jakieś uzupełniające wiadomości, daj nam znać. Za dwie minuty wylatujemy. - Werner wybiegł do swoich ludzi. Musiał do nich krzyczeć, by usłyszeli go przez narastający hałas wirnika. Potem wrócił do budynku, gdzie oficer dyżurny wzywał pozostałych członków ZOZ do siedziby. Gdy wrócił do śmigłowca, jego ludzie powyciągali już z worków broń. Zaraz potem śmigłowiec oderwał się od ziemi i skierował ku narastającej na horyzoncie burzy.

Ryan zauważył poruszenie wśród ochroniarzy. Anglik z kuchni wybiegł na taras skonsultować się z amerykańskimi kolegami. Właśnie wracał, gdy taras rozświetliły błyski. Jeden z agentów obrócił się, dobył broń i padł na plecy. Szyba, przed którą stał, rozsypała się w drobny mak. Pozostali dwaj padli, potem jeden wstał, żeby strzelić i zaraz upadł obok kolegi. Ostatni wskoczył do salonu i kazał wszystkim paść na podłogę. Jack zdążył się tylko przestraszyć, zanim kolejne okno posypało się i ostatni z ochroniarzy padł. Na tarasie pojawiły się uzbrojone postaci. Napastnicy ubrani byli na czarno, buty i łokcie mieli usmarowane błotem. Jeden z nich zdjął kominiarkę. To był Sean Miller.

Avery i Longley leżeli sami na samym środku podwórza. Anglik widział, jak uzbrojone postaci sprawdzają, czy wśród agentów leżących przy podjeździe nie został ktoś żywy. Potem sformowali się w dwie grupy i ruszyli ku domowi.

- Jesteśmy tu za bardzo wystawieni - powiedział Longley. - Jeżeli mamy coś zrobić, to musimy się dostać między drzewa.

- Ty idź pierwszy. - Avery ujął swój rewolwer w obie dłonie i wycelował w ubraną na czarno sylwetkę, migającą w świetle błyskawic. Napastnik był oddalony o sto metrów, stanowczo za daleko, jak na broń krótką. Gdy kolejny błysk oświetlił cel, wystrzelił. Spudłował i ściągnął na siebie huragan ognia. Napastnicy strzelali w ciemno, ich ogień także był niecelny, choć odgłos pocisków uderzających w ziemię dochodził z niepokojąco bliskiej odległości. Potem ogień się przeniósł. Pewnie zobaczyli Longleya, biegnącego ku linii drzew. Avery strzelił raz jeszcze, tym razem starannie celując i widział, jak jeden z napastników pada, trzymając się za nogę. Ich ogień także był teraz celniejszy. Agent Ochrony Białego Domu wystrzelał resztę bębena. Zdążył jeszcze zauważyć, że trafił drugiego napastnika, gdy nagle obraz uciekł gdzieś do góry.

Longley dotarł do drzew i obejrzał się. Avery leżał nieruchomo, mimo że dzieliło go od zbliżającej się tyraliery tylko 50 metrów. Anglik zaklął i zajął się zbieraniem ocalałych ludzi. Łącznik FBI miał tylko rewolwer, trzech Anglicy pistolety, a jedyny ocalały agent Ochrony Białego Domu Uzi z dwoma magazynkami. Nawet jeżeli nie mieli już kogo bronić, to i tak nie mieli gdzie uciekać.

- A więc znowu się spotykamy - powiedział Miller. Trzymał w ręku Uzi i schylił się po broń zabitego agenta. Za nim pojawiło się pięciu uzbrojonych ludzi, którzy rozstawili się w półkole, trzymając pod lufami Ryana i jego gości. - Wstawać! Ręce trzymać na widoku!

Jack wstał, obok niego księżę. Potem podniosła się Cathy z Sally w ramionach i na końcu Jej Wysokość. Trzech odwróciło się, gdy otworzyły się drzwi kuchni i stanęła w nich Sissy Jackson z talerzami, które poleciały na podłogę, gdy jeden z napastników podbił jej ręce do góry.

No tak, mieli przecież pokojówkę, przypomniał sobie Miller, widząc fartuch na ciemnej sukience. Czarna. Przystojna. Wszystko się zgadza. Uśmiechnął się. Hańba uprzednich niepowodzeń

była teraz daleko poza nim. Miał teraz wszystkie cele tuż przed sobą, a w ręku narzędzie do wykończenia ich wszystkich.

- Dołącz do innych! - rozkazał.

- A co do cholery...

- Ruszaj się, smoluchu! - Jeden z pozostałych, najniższy z grupy popchnął ją brutalnie w kierunku reszty gości. Oczy Ryana przez chwilę skupiły się na jego twarzy. Gdzie ja już wcześniej widziałem tę gębę?

- Ty śmieciu! - Oczy Sissy rozbłyły gniewem. Na moment zapomniała o niebezpieczeństwie, ruszając w jego stronę.

- Mogłabyś lepiej wybierać pracodawców - powiedział Miller, wskazując jej łufą miejsce obok reszty jeńców. - Ruszaj się!

- Co z nami zrobicie? - zapytał Jack.

- A, to będzie niespodzianka...

Dziesięć metrów dalej Robby mył ręce, z niczego nie zdając sobie sprawy. Grzmoty piorunów ignorował, lecz nagle usłyszał odgłos strzałów z tarasu. Jackson wybiegł z łazienki i zajrzał z korytarza do salonu, ale nic nie zobaczył. Dźwięk mówił jednak sam za siebie. Odwrócił się i pobiegł po schodach na górę, do sypialni. W pierwszym odruchu chciał zadzwonić po policję, ale telefon był głuchy. Jego umysł szybko szukał wyjścia z sytuacji. To nie był lot myśliwcem.

Zaraz, Jack mówił Breckenridge'owi, że gdzieś tu ma broń... Ale gdzie on ją trzyma, do cholery? W sypialni było ciemno, a on nie mógł zapalić światła.

Na zewnątrz tyraliera napastników nacierała w kierunku lasu. Longley rozmieszczał swoich ludzi na stanowiskach obronnych. W wojsku był zbyt dawno, by cokolwiek pamiętać, a praca w ochronie niezbyt go przygotowywała do czegoś takiego, ale starał się jak mógł. Między drzewami byli dobrze ukryci, a niektóre z nich były na tyle grube, że mogły nawet zatrzymać pocisk. Amerykanina z jedyną bronią maszynową rozmieścił na lewej flance.

- FBI, tu kontrola obszaru Patuxent River. Transponder 4019, odbiór.

Na pokładzie śmigłowca pilot obracał pokrętkami transpondera, aż wreszcie ustawił podany kod. Potem odczytał z mapy koordynaty lądowiska. Znał teren ze zdjęć lotniczych, ale to było w dzień. W nocy okolica wygląda zupełnie inaczej, poza tym mógł mieć kłopoty ze sterownością. Już tutaj, wysoko nad ziemią boczny wiatr o prędkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę miotał maszyną, a warunki pogarszały się z każdą chwilą. W tylnym przedziale członkowie ZOZ usiłowali się przebierać w nocne ubiory maskujące.

- 4019, skreć w lewo na kierunek 204. Utrzymuj pułap. Uwaga, w rejon wyznaczonego lądowiska zbliża się bardzo silny ośrodek burzowy - rozległ się głos kontrolera ruchu powietrznego.

- Odradzam wznoszenie się ponad trzysta metrów. Postaram się podprowadzić cię bokiem.

- Roger - twarz pilota wykrzywił grymas. Jasno z tego wynikało, że pogoda będzie jeszcze gorsza, niż przewidywał. Opuścił fotel, dociągnął pasy i włączył światła burzowe. Poza tym mógł się już tylko spocić, ale to przyszło samo.

- Wy tam, z tyłu! Przypnijcie się porządnie!

o'Donnell wstrzymał natarcie sto metrów od linii drzew. Wiedział, że są na niej uzbrojeni rozbitkowie z ochrony. Jedna grupka poszła na lewo, druga na prawo. Mieli atakować na przemian skrzydłami, na zmianę nacierając i osłaniając ogniem natarcie drugiej grupy. Wszyscy jego ludzie byli ubrani na czarno i uzbrojeni w pistolety maszynowe, poza jednym, który posuwał się z tyłu za resztą oddziału. Żałował teraz, że nie zabrali żadnej cięższej broni. Zresztą i tak było jeszcze wiele rzeczy do zrobienia, jak choćby zebranie ciał poległych. Jeden z jego ludzi zginął, dwóch było



ranych. Ale najpierw podniósł radio i dał rozkaz do ataku.

Po prawej od o'Donnella jedyny ocalały Amerykanin oparł się o dąb i podniósł do ramienia swe Uzi. On i jego koledzy nie mieli się już dokąd wycofać.

Czarnych przyrządów celowniczych niemal nie było widać w nocy, a przeciwnicy zupełnie zginęli w mroku. Błyskawice oświetliły teren, ukazując na mgnienie oka trawnik z sylwetkami w czarnych kombinezonach. Wybrał cel i wystrzelił krótką serię, ale chybił. Obie grupy napastników odpowiedziały ogniem i agent skulił się, słysząc jak z tuzin pocisków uderzyło w drzewo, za którym się ukrył. Cały horyzont zdawał się migać błyskami wystrzałów. Agent wychylił się na chwilę zza drzewa i wystrzelił następną serię. Jedna z grup nacierała wprost na niego i już osiągnęła linię krzaków na lewo od niego. Za chwilę go okrążą... Ale wtedy pojawili się znowu, strzelając w krzaki, skąd odpowiadano ogniem. Wszystkich to zdumiało na tyle że sytuacja wymknęła się na chwilę spod kontroli obu stron.

o'Donnell planował nacierać po obu stronach polany, ale niespodziewanie odezwał się ogień z lasu na południu i jedna z jego grup znalazła się pod ogniem z obu skrzydeł. Szybko przeanalizował sytuację i wydał nowe rozkazy.

Ryan patrzył na to wszystko z bezsilną wściekłością. Napastnicy dokładnie wiedzieli, czego chcą, a to nie dawało mu szansy na nic. Jego i gości pilnowało sześć luf i nic nie mógł na to poradzić. Z jego prawej strony Cathy trzymała Sally i nawet ona była spokojna. Ani Miller, ani nikt z jego ludzi nie robili żadnego zbędnego ruchu ani hałasu.

- Sean, tu Kevin - zaskrzeczał głośnik krótkofalówki. - Obrona zepchnięta na linię drzew. Macie ich?

- Tak, Kevin, sytuacja jest pod kontrolą.

- Potrzebuję tu pomocy.

- idziemy. - Miller schował radio do kieszeni. Skinął na podwładnych. - Wy trzej, przygotujcie ich. Jak będzie trzeba, zabić wszystkich. Wy dwaj, za mną.

Wyprowadził ich przez roztrzaskane drzwi i zniknął w mroku.

- Chodźcie. - Trzej napastnicy zdjęli maski. Dwóch było wysokich, niemal wzrostu Ryana, jeden z nich był blondynem, drugi brunetem. Trzeci był niski, pulchny i łysiejący. Znam cię skądś, tylko skąd? On był najbardziej przerażający. Twarz skręcały mu emocje, których Jack nawet nie próbował odgadywać. Blondyn rzucił mu zwój lin. Za chwilę okazało się, że są to wcześniej pocięte kawałki, którymi mieli ich związać.

Robby, gdzieś ty się do cholery podział? Jack spojrzał na Sissy, która myślała zapewne o tym samym. Nieznacznie skinęła mu głową i wciąż miała nadzieję w oczach. Jej gest nie uszedł uwagi niskiego.

- Nie bój się - powiedział - dostaniesz zapłatę.

Położył broń na stole i ruszył naprzód, podczas gdy blondyn i brunet odsunęli się, by mieć ich wszystkich na oku. Dennis Cooley zabrał się najpierw za księcia, wykręcając mu ręce do tyłu.

O, tu jest! Robby spojrzał w górę. Jack mówił, że strzelba leży na najwyższej półce szafy, wraz z pudełkiem naboju. Musiał stanąć na palcach, by ją ściągnąć i gdy to zrobił, na podłogę spadł pistolet w kaburze. Jackson skrzywił się, słysząc ile hałasu narobił, ale podniósł go, wyjął z kabury i wetknął za pasek od spodni. Potem sprawdził strzelbę, odciągając zamek. Nabój był w komorze, spust zabezpieczony. Dobra. Wypełnił kieszenie dodatkowymi nabojami i wrócił do rozmyślań.

No i co dalej? To nie był F-14, w którym radar wyszukiwał cele na sto mil, a skrzydłowy osłaniał ogon.

Ten obraz na szynach... Żeby zza niego wyjrzeć, trzeba klęknąć na łóżku. Dlaczego do cholery

ten Jack tak głupio porozstawiał meble? Odłożył strzelbę na bok i obiema rękami odsunął powoli obraz o parę centymetrów, tyle żeby mógł coś zobaczyć.

Ilu ich jest? Jeden, drugi... Trzeci. Czy jest tam jeszcze ktoś? A jak który zdąży?

Kiedy Robby wyglądał zza obrazu, Cooley wiązał właśnie Jacka. Księżę, dla Robby'ego komandor, był już związany i siedział tyłem do pilota. Kurdupel skończył z Jackiem i pchnął go na sofę. Teraz zabrał się do żony Robby'ego.

- Co z nami zrobicie? - zapytała Sissy.

- Zamknij się, czarna ściero! - odpowiedział Cooley. Robby wiedział, że nie ma się czym denerwować. Sytuacja była dostatecznie skomplikowana nawet bez rasistowskich uwag jakiegoś białego dupka. Ale krew się w nim zagotowała, gdy zobaczył, że to białe gówno poszturčuje jego żonę.

Myśl, chłopie, mówiło mu coś w tyle głowy. Nie śpiesz się. Musisz trafić za pierwszym razem. Spokojnie...

Longley zaczął odzyskiwać nadzieje. Z lewej byli jeszcze swoi. Może to ci z domu, pomyślał. Przynajmniej jeden z nich miał UzI W trawie czerniały sylwetki jeszcze trzech zabitych, a w każdym razie nie poruszających się, napastników. Wystrzelił pięć naboju i nie trafił ani razu, po prostu było za daleko na celne strzelanie z pistoletu, ale udało się odeprzeć atak. Pomoc była w drodze. Na pewno była. Wóz łączności był pusty, ale łącznik FBI na pewno zdążył nadać wiadomość. Teraz musieli tylko wytrwać, przeczekać jeszcze te kilka minut.

- Widzę błyski na ziemi z przodu - powiedział pilot. - Zaraz... Błyskawice oświetliły na chwilę teren. Nie mogli zobaczyć nikogo

na ziemi, ale to był właściwy dom, więc te błyski to musiały być płomieniami wylotowymi z broni, kilometr od przebijającego się przez wiatr i deszcz śmigłowca. Tyle tylko widział. Światła na tablicy nastawione były na cały regulator, a błyskawica sprawiła, że migały mu przed oczyma zielone i granatowe plamy.

- Jezu - odezwał się Werner. - W co my się ładujemy?

- W Wietnamie - spokojnie odpowiedział pilot - nazywaliśmy to gorącym lądowiskiem. -i tak samo srałem w gacie ze strachu, dorzucił w myśli.

- Daj mi Waszyngton. - Drugi pilot przestawił radiostację na właściwy kanał i wezwał ręką agenta, gdy obaj zajęli się manewrowaniem.

- Tu Werner.

- Bill Shaw. Gus, gdzie jesteście?

- Widzimy dom. Tam się toczy pieprzona regularna bitwa! Mamy kontakt z naszymi?

- Nie, całkowita cisza. ZOZ z Waszyngtonu ma jeszcze pół godziny drogi. Policja jest bliżej, ale też jeszcze nie na miejscu. Burza poprzewracała drzewa i drogi są zablokowane. Na miejscu jesteś tylko ty, i będziesz się musiał tym zająć.

Zadaniem ZOZ była ocena sytuacji, rozwiązanie jej i uwolnienie zakładników, w miarę możliwości bez użycia siły. Nie byli oddziałem szturmowym, lecz agentami FBI. Ale tam na dole ginęli koledzy.

- Wchodzimy. Powiedz policji, że federalni wchodzą do akcji. Spróbujemy cię informować o przebiegu zdarzeń.

- Dobra. Uważajcie na siebie, Gus.

- Podrzucić nas tam - zwrócił się Werner do pilota.

- Okej. Najpierw przelecę nad domem, potem okrążę go i wysadzę was po zawietrznej. Nie mogę siadać za blisko, bo wiatr jest zbyt silny i mógłby mnie znieść na dom.

- Ruszaj. - Werner odwrócił się. Jego ludzie jakoś zdołali założyć cały ekwipunek. Każdy miał pistolet. Do tego czterech miało pistolety maszynowe MP-5, a on miał piątą.

- Snajper i jego obserwator wysiadają pierwsi! - przekrzyknął huk silnika.

Jeden z jego ludzi pokazał kciukiem, że zrozumieli. Gest wyglądał dużo raźniej, niż mówiły ich odczucia.

Śmigłowiec ruszył ku ziemi, gdy nagły podmuch rzucił go w dół. Pilot wczepił się w dźwignię zespoloną i zdołał wyrównać niecałe trzydzieści metrów nad lasem. Dom był odległy o kilkaset metrów. Przemknęli nad południowym brzegiem polany, pozwalając wszystkim na pokładzie rozeznac się w sytuacji.

- Hej, chłopaki, ten kawałek między domem a klifem może być akurat - powiedział pilot. Dodał gazu, gdy śmigłowiec zaczął z mozołem przebijać się pod wiatr.

- Śmigłowiec! - krzyknął ktoś na prawo od o'Donnella. Dowódca spojrzał w górę i zlokalizował ciemny kształt, od którego dolatywał charakterystyczny klekot wirnika. To było zagrożenie, na które był przygotowany.

Obok drogi jeden z jego ludzi ściągnął pokrowiec z wyrzutni pocisków przeciwlotniczych Redeye, zakupionej wraz z resztą sprzętu.

- Będę musiał użyć reflektora, nic nie widzę - powiedział przez interkom pilot. Jakies pięćset metrów od domu Ryana obrócił śmigłowiec na zachód. Chciał przelecieć nad domem, potem za nim obniżyć lot i schować się przed wiatrem za jego ścianą. Boże, pomyślał, tu jest naprawdę zupełnie jak w Wietnamie. Z rozkładu ogni wylotowych można było wywnioskować, że dom broni się nadal. Pilot sięgnął w dół do wyłącznika i zapalił reflektor. To było ryzyko, ale ryzyko na które można było pójść.

- Bogu dzięki, znowu coś widać - mruknął pod nosem. Ziemia widoczna była przez połyskującą kurtynę deszczu. Pomyślał, że burza jest coraz gorsza. Musiał nadlecieć od zawietrznej. Gdyby leciał pod wiatr, widziałby tylko na kilka metrów. Tak przynajmniej miał widoczność na jakieś sto, może... Co to jest, do kurwy nędzy!?

Na środku pola stał człowiek i trzymał na ramieniu coś podłużnego. Pilot ściągnął drążek w momencie, gdy jakiś czerwony ślad ruszył ku śmigłowcowi. Jego oczy śledziły to coś, co mogło być tylko kierowanym pociskiem przeciwlotniczym. Dwie sekundy jego lotu ciągnęły mu się jak dwie godziny, ale wreszcie pocisk przemknął między łopatami wirnika i poleciał gdzieś dalej. Natychmiast odepchnął drążek, ale na wyprowadzenie zabrakło już pułapu. Śmigłowiec ciężko zarył w zaoranym polu, jakieś 400 metrów przed domem Ryanów. Teraz mógł już tylko czekać na ciężarówkę ze złomowiska.

Jakimś cudem tylko dwie osoby odniosły obrażenia, w tym Werner, który mocno stłukł sobie plecy. Snajper i jego obserwator otworzyli drzwi i wysiedli przodem. Za nimi wydostali się pozostali, pomagając wyjść Wernerowi i jednemu z kolegów, który podskakiwał niezgrabnie, chroniąc zwichniętą kostkę.

Potem przyszła kolej na księżnę. Była wyższa od Cooleya i zdołała posłać mu spojrzenie kryjące coś więcej niż pogardę. Antykwariusz szarpnął nią, obracając rękami do tyłu.

- Ale się potem zabawimy - obiecał jej, skończywszy.

- Ty gnoju, założę się, że nawet byś nie wiedział jak to zrobić - powiedziała Sissy i dostała za to mocno po twarzy. Robby patrzył na to, czekając aż blondyn wyjdzie na czystą pozycję. Wreszcie wyszedł, podchodząc do pozostałych...

## Pieśń wolności

Łofki wystrzelone ze strzelby lecą stożkowym snopem, którego średnica zwiększa się o dwa centymetry co metr drogi. Błyskawica rozbłysła za oknem, a Ryan aż się skulił od łoskotu towarzyszącego jej pioruna. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że huk nadbiegł za szybko jak na piorun. Śruciny minęły jego głowę o jakiś metr. Zanim zrozumiał, co miało miejsce, głowa blondyna odskoczyła do tyłu, eksplodując chmurą czerwieni, a jego ciało upadło, uderzając

o nogi stołu. Brunet wyglądał w tym czasie przez okno w rogu pokoju i zanim się obrócił, jego kolega leżał na podłodze, nawet nie zdając sobie sprawy z tego co go zabiło. Przez sekundę rozglądał się rozpaczliwie, a potem na jego piersi wykwitła czerwona plama wielkości płyty kompaktowej i on też poleciał na ścianę. Antykwariusz wiązał wówczas ręce Cathy i ciut za bardzo się na tym skoncentrował. Po pierwszym strzale nie zorientował się, co jest grane. Rozpoznał dopiero drugi strzał, ale wtedy było już za późno.

Książę skoczył na niego, przewracając go barkiem i przywalając sobą. Jack przeskoczył nad stolikiem i mocno kopnął go w głowę. Trafił, ale stracił równowagę i upadł na plecy. Cooley był przez chwilę zamroczony, ale otrząsnął się i ruszył do stołu, na którym leżała jego broń. Ryan zdążył się podnieść i rzucił się na jego nogi. Książę także już się podniósł. Antykwariusz zadał mu silny cios i próbował kopniakami pozbyć się Ryana. Nagle przestał, czując ciepły i śmierdzący siarkowodorem wylot śrutówki, opierający się o jego nos.

- Leż spokojnie, palancie, albo ci łeb rozwalę!

Cathy wyswobodziła się z niedociągniętych więzów i rozwiązała Jacka. Ryan pochylił się nad blondynem, jego ciało wciąż drgało, a krew sączyła się, nadal pompowana do tego surrealistycznego koszmaru, który był jego twarzą jeszcze pół minuty temu. Ryan wyjął z jego rąk Uzi, poszukał zapasowych magazynków. W tym czasie książę robił to samo z brunetem, którego ciało leżało nieruchomo pod oknem.

- Robby - powiedział, kontrolując położenie bezpiecznika swojej broni - wynośmy się stąd w cholerę.

- Nie ma sprawy, Jack, tylko dokąd? - Jackson docisnął lufą głowę Cooleya do podłogi. Oczy terrorysty niemal komicznie skrzyżowały się na niewłaściwym końcu śrutówki Remingtona, - Może on wie coś użytecznego? Jak się stąd mieliście ewakuować, chłoptasiu?

- Nie wiem, - Cooley wydusił z siebie tylko tyle. Zdał sobie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy naprawdę nie nadawał się do tej roboty.

- Ach tak? - zapytał Jackson niskim, gniewnym tonem, przechodząc na murzyński akcent z ghetta. - Słuchaj no, koleś. Ta pani tam, którą nazwałeś czarną ścierą to moja żona, koleś, moja pani. Widziałem, żeś ją uderzył. Powiniennem cię za to zabić, rozumiesz? - Na jego twarzy pojawił się perwersyjny uśmiech, gdy lufa śrutówki podążyła z twarzy jeńca w dół, ku jego kroczu. - Ale cię nie zabiję. Zrobię z ciebie dziewczynkę, gnoju. - Wcisnął lufę w suwak rozporka. - Namyśl się dobrze i bądź grzecznym chłopcem, póki jeszcze możesz...

Jack słuchał tego ze zdumieniem. Nigdy nie słyszał, żeby Robby mówił coś takiego. Ale brzmiało to przekonująco. Nawet Ryan wierzył, że w tej chwili lotnik byłby zdolny zrealizować swoją zapowiedź.

Cooley także dał się przekonać.

- Łodzie... łodzie są na dole klifu...

- Nie mógłbyś mądrzej kłamać? Dobra, powiedz im do widzenia... - Lufa poruszyła się nieznacznie.

- Łodzieeee!! U podnóża klifu czekają dwie łodzie!! Tam jest długa drabina...

- Ilu ludzi pilnuje tych łodzi? - zapytał Jack.

- Tylko jeden. To wszystko, naprawdę! Robby spojrział na Ryana.

- Jack?

- Hej, ludzie, idziemy na przejażdżkę łodzią. Ta strzelanina na zewnątrz znowu się zbliża. - Jack podszedł do szafy i wyjął każdemu jakieś okrycie. Robby'emu przypadła stara parka Jacka, której Cathy tak nienawidziła. - Załóż to na tę swoją białą koszulkę, bo cię widać na kilometr.

- Łap. - Robby rzucił Jackowi jego pistolet. - Wziąłem jeszcze pudełko naboju do śrutówki. - Zaczął je przekładać do kieszeni z przodu kurtki, a potem przerzucił przez ramię Uzi Cooleya. - Zostawiamy z tyłu naszych, Jack - dodał cicho.

Ryanowi też się to nie podobało.

- Wiem, ale jeżeli go dorwą, to wygrali. A poza tym to nie jest miejsce dla kobiet i dzieci.

- Okej, ty tu jesteś z piechoty morskiej - kiwnął głową Robby. Jest jak jest.

- Wynośmy się stąd. Ja prowadzę. Rozejrzę się tylko trochę. Rob, ty pilnuj tego kurdupła.

Książę, pan zajmie się kobietami.

Jack pochylił się nad Cooleyem i złapał go za gardło.

- Narozrabiasz coś, gnoju, to jesteś trup. Nie opierdalaj się z nim Robby, tylko od razu w cymbał.

- To rozumiem. - Jackson odsunął się od terrorysty. - Wstawaj powoli, kutasie.

Jack wyprowadził ich przez roztrzaskane drzwi. Dwaj martwi agenci leżeli pozwijani na tarasie. Nie podobało mu się to, że nie może się nimi zająć, ale wkrótce przeszedł na coś w rodzaju autopilota, odgrzebując w pamięci to, co wtłoczył w nią Korpus Piechoty Morskiej. Stres sytuacji bojowej sprawił, że nagle wszystkie wykłady i ćwiczenia wprost wylewały się nagle ze wszystkich zakamarków mózgu, gdzie zdawały się na wieki pogrzebane. Nawet nie zauważył, kiedy przemókł do suchej nitki. Zbiegł ze schodów i wyjrzał za węgiel.

Longley i jego ludzie byli zbyt zajęci odpieraniem ataku od czoła, by zauważyć zagrożenie, które pojawiło się z tyłu. Anglik wystrzelił cztery razy do nadbiegających czarnych figur i zdążył jeszcze z satysfakcją zauważyć, że jedna z nich upadła po jego strzale, gdy potężne uderzenie rzuciło nim o drzewo. Odbił się od niego i na wpół odwrócił, a gdy upadał, zauważył inną czarną sylwetkę z bronią o zaledwie trzy metry od siebie. Broń tamtego jeszcze raz błysnęła i wśród drzew zapadła cisza.

- Boże! - mruknął snajper. Przebiegł pochylony obok ciał pięciu agentów, ale nie miał czasu się nimi zajmować. On i jego obserwator przypadli do ziemi obok rozłożystego krzaka. Snajper włączył celownik noktowizyjny i skierował go na linię drzew, majaczącą o kilkaset metrów przed nimi. Na zielonym obrazie widać było jasne sylwetki ludzi, kierujące się ku brzegowi lasu.

- Widzę jedenastu - powiedział obserwator.

- Tak - potwierdził snajper. Jego karabin załadowany był nabojami kalibru 7,62 mm do strzelań precyzyjnych. Potrafił kilka razy z rzędu trafiać w ruchomy cel średnicy dziesięciu centymetrów na dystans ponad dwustu metrów pierwszym strzałem, ale na razie jego zadaniem było tylko prowadzenie rozpoznania. Miał zebrać informacje i przesłać je dowódcy. Zanim zespół mógł wejść do akcji, musieli wiedzieć co się dzieje w okolicy. Na razie wiedzieli tylko tyle że wokół panował chaos.

- Werner, tu Paulson. Naliczyłem jedenastu napastników przemieszczających się między nami a domem. Wygląda na to, że są uzbrojeni w lekką broń maszynową. - Powiódł lufą karabinu po horyzoncie. - Sześciu gryzie trawę na podwórzu. Dookoła leży mnóstwo naszych. Jezu, mam nadzieję, że sanitarki są już w drodze.

- Widzisz jakichś naszych żywych?
- Nie, lepiej żebyście to obeszli z drugiej strony. Możesz mi tu kogoś podesać do wsparcia?
- Już wysyłam ci jednego. Jak dotrze, ruszajcie, ale ostrożnie. Nie śpiesz się, Paulson.
- Dobra.

Dalej na południe Werner i dwóch komandosów posuwało się wzdłuż krawędzi lasu. Ich nocne ubrania maskujące ufarbowane były w mozaikę jasnozielonych zygzaków, zaprojektowaną przez komputer. Nawet w świetle błyskawic zupełnie rozmywały się w mroku.

Coś się musiało stać. Jack widział nagle natężenie błysków, po którym zapadła cisza. Mimo tego co powiedział Robby'emu, Jackowi nie podobało się to, że ucieka z pola walki. Ale co miał innego zrobić? Gdzieś tam była nieznana liczba terrorystów, a on miał tylko trzech uzbrojonych mężczyzn do eskortowania trzech kobiet, dziecka i jeńca. Ryan zaklął i wrócił do reszty.

- Dobra kurdupłu, pokazuj drogę - powiedział, szturchając go w pierś lufą Uzi.
- Tam - pokazał jeniec i Ryanowi wyrwało się jeszcze jedno przekleństwo.

Przez cały czas ich pobytu tutaj, Ryan uważał tylko, żeby się trzymać z daleka od klifu, który mógłby się załamać pod nim, pod Cathy czy Sally. Widok z domu zapierał dech w piersiach, ale wysokość klifu powodowała, że u jego podnóża rozciągała się szeroka na trzysta metrów martwa strefa widoczności, którą wykorzystali terroryści do skrytego podejścia. I użyli drabiny do wejścia na górę. Oczywiście, że tak. W końcu po to są drabiny! Miejsce, w którym jej szczyt opierał się o krawędź klifu oznaczone było w sposób zalecany przez podręczniki każdej niemal armii świata, drewnianymi kołkami, które dla lepszej widoczności okręcono bandażem.

- Dobra - zaczął Ryan, rozglądając się dookoła. - Kurdupel i ja idziemy przodem. Wasza Wysokość, pan idzie za mną z kobietami. Robby, zostań dziesięć metrów z tyłu i osłaniaj nas.
- Ja też umiem dobrze strzelać - zaprotestował książę. Ryan pokręcił głową z naciskiem.
- Nie ma mowy. Jak pana złapią, to wygrają. Gdyby coś się stało, ufam że zajmie się pan moją żoną i dziećmi, sir. Jakiś kilometr stąd jest wąwóz. Idźcie nim w głąb łądu i nie zatrzymujcie się przed asfaltową drogą. Teren jest tam gęsto zarośnięty, więc wszystko powinno być w porządku. Robby, jak zobaczysz cokolwiek, wal.

- Ale...

- Żadnych ale! Co się rusza, to wróg. Wal bez gadania! - Jack rozejrzał się po raz ostatni. Och, mieć tu pięciu dobrze wyszkolonych ludzi, powiedzmy Breckenridge'a i czterech innych, ale byśmy urządzili pułapkę na tych skurwysynów!

- Ty, łysy, ruszaj przodem, jak coś spieprzysz, to najpierw cię rąbnę, a potem będę się zastanawiał, co się dzieje. Wierzysz mi?

- Tak.

- No to jazda.

Cooley wszedł na drabinę i zaczął po niej schodzić tyłem, a Ryan podążał kilka metrów nad nim. Aluminiowe pręty były śliskie od deszczu, ale przynajmniej klif zasłaniał od wiatru. Zastanawiał się, jak oni tu umieścili tę drabinę, która teraz chwiała się pod jego ciężarem. Starał się nie spuszczać oka z jeńca, ale raz się przez to pośliznął i o mało nie odpadł w połowie wysokości klifu. Nad nim na drabinę wchodziła druga grupa. Księżna zajęła się Sally, przyciskając ją ciałem do drabiny, by nie spadła. Mimo to słyszał, jak jego córka płakała ze strachu. Musiał to zignorować. W jego umyśle nie było teraz miejsca ani na gniew, ani na współczucie. Musiało im się udać za pierwszym razem, bo drugiej szansy na pewno nie będą mieli. W świetle błyskawic zauważył dwie łodzie o jakieś sto metrów na północ. Nie było widać, czy ktoś ich pilnował, czy nie. W końcu zeszedli na dół. Cooley zrobił kilka kroków w kierunku łodzi, więc Ryan zeskoczył i wycelował w niego.

- Poczekaj no chwilę, co?

Obok niego na ziemię zszedł książkę, potem kobiety i w końcu Robby. W parce Jacka niemal nie było go widać na tle ciemnej ściany klifu. Zsunął się szybko po drabinie i metr nad plażą zeskokczył.

- Wrócili do domu w chwili, gdy ruszałem na dół. Może to ich trochę opóźni. - Wyciągnął rękę z dwoma obandażowanymi kołkami. Znalezienie po ciemku zejścia zajmie im teraz mnóstwo czasu.

- Dobra robota, Robby. - Jack odwrócił się. Łodzie zniknęły znowu w mroku i deszczu. Kurdupel mówił, że pilnuje ich tylko jeden człowiek. A jeżeli kłamał? Ale czy ten facet chce umrzeć? Czy zdolny byłby się poświęcić, by ostrzec innych? Żebyśmy zginęli? A czy to cokolwiek zmienia? Czy mamy jakiś wybór? Nie!

- Ruszaj łysolu. - Ryan wskazał lufą kierunek. - Tylko pamiętaj, kto pierwszy zginie w razie czego.

Był akurat przyplływ i woda sięgała niemal do podnóża klifu. Piasek pod stopami był mokry i twardy. Ryan trzymał się metr za terrorystą. Jak daleko do łodzi? Sto metrów?

Reszta grupy trzymała się blisko klifu obrośniętego kudzu. Bardzo trudno ich było dojrzeć, ale jeżeli na łodziach ktoś był, to zauważy w końcu, że się zbliżają.

Serca wszystkich stanęły na chwilę, gdy niebo rozświetliła błyskawica. Piorun uderzył w drzewo zaledwie ze dwieście metrów za nimi, na krawędzi klifu. Przez krótką chwilę znów zobaczył łodzie. W każdej z nich widać było człowieka.

- Tylko jeden, co? - wymamrotał Jack. Jeniec stanął, ale po chwili ruszył dalej, trzymając ręce wzdłuż tułowia. Gdy na powrót zapadła ciemność, łodzie znów zginęły z oczu. Wiedział, że nagły błysk oślepił nie tylko jego. Mózg przywołał widziany przez ułamek sekundy obraz. Facet w najbliższej łodzi stał na środku, przy lewej burcie, trzymając w dłoniach broń.

- Jakie jest hasło?

- Nie ma hasła - odpowiedział Cooley drżącym głosem. Rozmyślał nad swoją sytuacją, która widziana z jego perspektywy była niewesoła. Znajdował się między lufami załadowanej broni z obu stron i każda z nich mogła w każdej chwili zacząć strzelać. Umysł Cooleya gorączkowo szukał sposobu na odwrócenie złej passy. Ryan zastanawiał się, czy powiedział prawdę, ale uznał, że nie czas na rozważania.

- Dalej! - rozkazał.

Łódź pojawiła się znowu. Najpierw była po prostu plamą, odróżniającą się od piachu i mroku. Pięć metrów bliżej nabrała już bardziej konkretnych kształtów. Deszcz był na tyle gęsty, by rozmazać wszystko co widział, ale pozostawał biały, niemal prostokątny kształt tam w przedzie. Ryan ocenił, że odległość wynosi teraz nie więcej niż 50 metrów. Modlił się, by błyskawice wzięły na wstrzymanie. Jak błysnie, ci z łodzi mogą poznać twarze i jak zobaczą na przedzie grubasa z niewyraźną miną...

Jak to zrobić? Można być albo żołnierzem albo gliną. Nie da się być jednym i drugim na raz. Słowa Joe Evansa, wypowiedziane w Tower wróciły do niego i one były wskazówką.

Jeszcze czterdzieści metrów. Plaża była kamienista i Jack musiał uważać, żeby się nie potknąć. Lewą ręką odkręcił ciężki tłumik. Wetknął go za pasek od spodni. Nie podobało mu się, że psuje wyważenie broni.

Trzydzieści metrów. Pomacał palcami i znalazł zatrask kolby Uzi. Rozłożył ją, wepchnął stopkę w ramię i opuścił lufę w dół. Jeszcze parę sekund...

Dwadzieścia pięć metrów. Teraz już wyraźnie widział płaskodziobą łódź, której długość ocenił na jakieś sześć metrów. Dwadzieścia metrów dalej na piasku leżała druga, identyczna. W pierwszej łodzi na środku, przy lewej burcie stał człowiek, który patrzył prosto na nadchodzących ludzi.

Jack pchnął bezpiecznik prawym kciukiem naprzód, przestawiając mechanizm spustowy na ogień ciągły i poprawił chwyt w dłoni. Nie miał w ręku Uzi od czasu nauki o broni w Quantico, ale pamiętał, że bezpiecznik chwytowy wymaga bardzo dokładnego wciśnięcia, by broń w ogóle wystrzeliła. Poza tym była to, z tego co pamiętał, bardzo przyjemna i dobrze wyważona broń. Z tym, że jej czarne przyrządy celownicze były teraz zupełnie bezużyteczne. A on musiał trafić...

Dwadzieścia metrów. Pierwsza seria musi trafić, Jack. Cholera, musi trafić...

Zrobił pół kroku w prawo i przyklęknął na kolano. Podniósł broń, celując pod cel, z lewej. Potem ściągnął spust i wystrzelił cztero-strzałową krótką serię. Broń uniosła się w górę i w prawo, a pociski przecięły cel po przekątnej. Człowiek w łodzi upadł od razu, a Ryan znowu ośleplł, tym razem od błysku płomienia wylotowego. Słyszając strzały Cooley padł na piasek.

- Wstawaj! - Ryan szarpnął nim i popchnął go naprzód, ale sam się przy tym potknął. Gdy się pozbierał, zobaczył że Cooley biegnie ku łodzi, krzycząc coś, czego on nie mógł zrozumieć. Tam może znaleźć broń i nas wszystkich pozabijać, pomyślał. Zanim jednak wstał i pobiegł za nim, ten dobiegł już do leżącej na plaży łodzi.

I zginął. Pilnujący drugiej łodzi terrorysta wystrzelił długą serię w ich kierunku właśnie w chwili, gdy Cooley wspiął się na burtę. Ryan zobaczył jak jego głowa leci do tyłu i Cooley wali się na dno łodzi jak worek kartofli. Jack przyklęknął i odpowiedział krótką serią, po której i drugi terrorysta upadł. Trafiony czy nie, tego nie było widać. Zupełnie jak na ćwiczeniach w Quantico. Pełny chaos, a wygrywa ten, kto popełni mniej błędów.

- Do łodzi! - krzyknął. Wstał, podbiegł do łodzi i wskoczył, trzymając broń w pogotowiu. Nie odwracał się, ale poczuł, że pozostali wsiedli za nim. W błysku pioruna zobaczył człowieka, do którego strzelał, leżącego na dnie łodzi z czterema czerwonymi plamami na piersi, z oczyma pełnymi zdumienia i rozdziawionymi ustami. Obok tamtego leżał łysy, z potwornie rozłupaną czaszką. Między nimi na dnie łodzi z włókna szklanego chlupotała kałuża krwi. Robby wskoczył do łodzi ostatni. Nad burtę drugiej wystawiła się jakaś głowa, więc Ryan wygarnął i do niej krótką serię.

- Robby, zjeżdżajmy stąd! - Jack podpełzł na czworakach do przeciwległej burty, upewniając się po drodze, że wszyscy mają głowy schowane. Jackson wdrapał się na stanowisko sternika i zaczął szukać zapłonu. Okazało się, że wszystko urządzone jest jak w samochodzie, a w stacyjce pod kierownicą tkwi kluczyk. Obrócił go, silnik zakrzuszył się, ale zapalił. W tej samej chwili z drugiej łodzi nadleciała seria pocisków. Ryan słyszał jak uderzają w fiberglasowe poszycie łodzi. Robby skulił się, ale uszedł z życiem, gdyż właśnie sięgał po dźwignię przepustnicy. Jack podniósł broń i odpowiedział ogniem.

- Ludzie na klifie! - krzyknął książę.

O'Donnell zebrał szybko ludzi i wydał nowe rozkazy. Wszyscy ochroniarze zginęli, tego był pewien, ale na zachodzie wylądował ten cholerny śmigłowiec. Nie przypuszczał, żeby pocisk przeciwlotniczy trafił, ale upewnić by się mógł tylko znajdując wrak.

- Dziękuję za pomoc, Sean. Okazało się, że byli lepsi, niż przypuszczaliśmy. Masz tamtych w domu?

- Zostawiłem na straży Dennisa i dwóch innych. Chyba już powinniśmy się zbierać.

- Masz rację - zgodził się Alex. Wskazał na zachód. - Chyba będziemy mieli towarzystwo.

- Dobra. Sean, zabierz ich i sprowadź nad klif.

Miller wraz ze swoimi dwoma ludźmi pobiegli do domu. Przyłączył się do nich Alex i jeden z jego ludzi. Drzwi frontowe były szeroko otwarte, wbiegli w nie w piątkę do środka. Okrążyli kominek i nagle ich замуrowało.

Paulson, jego obserwator i przydzielony im do wsparcia agent także biegli. Snajper



poprowadził ich wzdłuż linii drzew do zakrętu drogi dojazdowej, po czym padł i rozstawił swój karabin na dwój-nogu. Z daleka dochodził już stłumiony jęk syren. Ustawiając celownik noktowizyjny, zastanawiał się dlaczego dojazd zajął im aż tyle czasu. Zaczął przeszukiwać przedpole w poszukiwaniu celów. Złapał w krzyż celownika sylwetki biegnące wzdłuż północnej ściany domu.

- Coś tu nie gra - powiedział.

- Tak - zgodził się obserwator. - Na pewno nie planowali ewakuacji drogą. No to którądy?

- Lepiej, żeby ktoś to zbadał - powiedział Paulson, wyciągając radio.

Werner przedzierał się południową stroną podwórza, z całych sił starając się ignorować narastający ból pleców. Radio zaskrzeczało znowu, po czym nakazał swoim ludziom posuwać się ostrożnie.

- No, to gdzie oni są, człowieku? - zapytał Alex. Miller rozejrzał się z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy. Dwaj jego ludzie leżeli martwi na podłodze, ich bronie nie było, zakładników też...

- No gdzie oni kurwa są, co?! - powtórzył Alex.

- Przeszukać dom! - wrzasnął Miller. On i Alex zostali w pokoju. Murzyn przyglądał mu się spojrzeniem, w którym próżno by szukać współczucia.

- Czy ja musiałem przez to wszystko przejść, żeby znowu zobaczyć jak ty wszystko spieprzysz?!

Trzech ludzi wróciło po chwili, meldując że dom jest pusty. Miller upewnił się, że broń jego ludzi zniknęła. A więc coś poszło nie tak. Wyprowadził ich na dwór.

Paulson zauważył ich i mógł się wreszcie przyjrzeć celowi. Naliczył dwunastu ludzi, potem z domu wybiegło jeszcze kilku. Niektórzy rozmawiali, inni kręcili się wokół, czekając na rozkazy. Kilku wyglądało na rannych, ale nie był pewien.

- Zniknęli - powiedział Alex, uprzedzając Millera.

o'Donnell nie mógł w to uwierzyć. Sean pokrótce wyjaśnił mu co zastał w domu, trzymając głos na wodzy. Dobbens przyglądał mu się z boku.

- Po prostu znowu spierdoliłeś robotę, chłopie - podsumował. Tego już było za wiele. Miller przerzucił swoje Uzi za plecy, jednym

płynnym ruchem poderwał zdobyczą broń agenta Ochrony Białego Domu i z metra wpakował serię w pierś Alexa. Louis przez sekundę stał zszokowany, a gdy sięgnął po broń, Sean i jego ściał serią.

- Co jest do kurwy nędzy? - zapytał obserwator. Paulson odbezpieczył karabin i wycelował w pierś człowieka, który właśnie zastrzelił tamtych dwóch. Właściwie co to byli za jedni? Miał strzelać w obronie życia zakładników i swoich, a zabici najwyraźniej w świetle należeli do grupy napastników. Na ile stąd widział, nie było żadnych zakładników do uwalniania. Gdzie oni się do cholery podziali? Jeden z ludzi nad krawędzią klifu zaczął coś krzyczeć, potem inni do niego podbiegli. Snajper miał teraz wiele celów do wyboru, ale bez danych do identyfikacji nie wolno mu było strzelać.

- No dalej, dziecińco - przemawiał Jackson do silnika. Silnik był jeszcze zimny i pracował nierówno, gdy włączył wsteczny bieg. Łódź powoli ruszyła do tyłu, zsuwając się z plaży. Ryan trzymał UZI wycelowane w drugą łódź. Znowu pojawiła się w niej głowa strażnika, więc ściał spust. Broń umilkła po trzech strzałach. Zaklął i zmienił magazynek, po czym krótkimi seriami nie pozwalał mu podnieść głowy.

- Ludzie na klifie - powtórzył książkę. Wziął śrutówkę i wycelował, ale nie strzelał. Nie wiedział kto tam jest, a poza tym odległość i tak była za duża. Potem pojawiły się błyski wystrzałów. Ktokolwiek to był, strzelał do łodzi. Ryan odwrócił się, słysząc jak pociski uderzają w wodę za

burtą, a dwa w rufę łodzi. Sissy Jackson krzyknęła i złapała się za stopę. Księżę strzelił trzy razy.

Robby odpłynął trzydzieści metrów od plaży i ostro zakręcił kierownicą, odwracając łódź, a jednocześnie ustawiając ciąg do przodu. Gdy pchnął naprzód dźwignię przepustnicy, silnik znowu zakrzuszył się na przeraźliwie długą chwilę, po czym złapał obroty i łódź ruszyła szybko naprzód.

- Dobra! - krzyknął lotnik. - Jack, dokąd płyniemy? Może do Annapolis?

- Ruszaj! - zgodził się Ryan. Spojrzał za rufę. Po drabinie schodzili ludzie, niektórzy nawet strzelali w trakcie schodzenia, pudłując straszliwie. Wtedy zauważył, że Sissy trzyma się za stopę.

- Cathy, poszukaj apteczki - powiedział Jego Wysokość. Obejrzał już ranę, ale siedział teraz na rufie, ze śrutówką gotową do strzału. Jack wypatrzył białe plastikowe pudełko pod siedzeniem sternika i popchnął je ku żonie.

- Rob, Sissy oberwała w stopę - powiedział.

- Ze mną wszystko w porządku - od razu odezwała się ranna. Jej głos świadczył o czymś wręcz przeciwnym.

- Co z tobą, Sis? - zapytała Cathy, zbliżając się do niej.

- Boli, ale poza tym okej - odpowiedziała przez zaciśnięte zęby, usiłując się uśmiechnąć.

- Na pewno wszystko w porządku, kochanie? - zapytał Robby.

- Mną się nie zajmuj, tylko zasuważ, Rob.

Jack przeszedł na rufę i obejrzał jej stopę. Pocisk przeszedł na wylot przez jej wierzch, plamiąc jej jasne pantofle ciemną czerwienią. Rozejrzał się wokół, czy poza Sissy nie ma innych rannych, ale wyglądało na to, że na strachu się skończyło.

- Może ja przejmę ster? - zapytał księżę.

- W porządku, komandorze, niech pan steruje prosto przed siebie. - Robby oderwał się od podobnego do kierownicy koła sterowego, gdy podszedł do niego Jego Wysokość. - Kurs 036. Ostrożnie, jak wypłyniemy spoza klifu, może być ciężko, a poza tym tu jest bardzo duży ruch statków. - Widać już było, że sto metrów dalej podmuchy wiatru wznoszą metrowe fale.

- Dobra, a skąd będę wiedział kiedy dopłyniemy do Annapolis? - Księżę usiadł za sterem i zaczął sprawdzać położenie manetek ciągu.

- Proszę mnie zawołać, gdy zobaczy pan światła mostu Bay Bridge. Znam tę zatokę, doprowadzę nas na miejsce.

Księżę skinął głową. Zmniejszył gaz o połowę, gdy wypłynęli na burzliwe wody i przeniósł co chwila wzrok z kompasu na wodę i z powrotem. Jackson ruszył ku żonie. Sissy odpędziła go jednak gestem dłoni.

- O nich się martw, ja sobie poradzę.

Za chwilę poczuli się jak na kolejce w lunaparku, gdy łódź zaczęła się przebijać przez coraz wyższe fale. To była sześciometrowa łódź rybacka z jezior, lubiana przez miejscowych rybaków ze względu na dużą szybkość na spokojnym morzu i małe zanurzenie, jej tępy przód nie nadawał się jednak do sztormowania. Brali wodę dziobem, choć na szczęście założona na nim pokrywa i falochron wokół stanowiska sternika odprowadzały większość wody za burtę. Woda, która dostawała się do kadłuba odpływała szpigatem koło komory silnika. Ryan nigdy nie pływał dotąd taką łodzią, ale wiedział do czego może być zdolna. Zabudowany w kadłubie stu pięćdziesięciokonny silnik napędzał zaburtową kolumnę ze śrubą, wychylającą się na boki i spełniającą zarazem rolę steru. Dno i burty łodzi wypełnione były pianką zapewniającą pływalność. Mogła być pełna wody, a i tak by nie zatonała. Dla nich ważniejsze było to, że włókno i pianka zapewne były w stanie zatrzymać pocisk z pistoletu maszynowego. Jack sprawdził jeszcze raz pasażerów. Cathy opatrywała Sissy. Księżna tuliła jego córkę. Poza nim, Robbym i księciem u steru, wszyscy trzymali głowy

poniżej nadburcia. Zaczynał się powoli rozluźniać. Byli daleko, znowu dzierząc swój los we własnych rękach. Jack przysięgał sobie, że to już nigdy się nie zmieni.

- Ścigają nas - powiedział Robby, doładowując śrutówkę dwoma nabojami. - Są jakieś trzysta metrów za nami. Widziałem ich w świetle błyskawicy, ale w tym deszczu przy odrobinie szczęścia możemy ich zgubić.

- Jak oceniasz widzialność?

- Bez błyskawic nie więcej niż sto metrów - wzruszył ramionami Robby. - Nie zostawiamy dużego kilwateru, więc nas nie widzą. Nie wiedzą też dokąd płyniemy - przerwał na chwilę. - Szkoda że nie mamy radia. Moglibyśmy wezwać Straż Przybrzeżną albo kogo innego i zastawić zasadzkę.

Jack siedział na dnie łodzi, po przeciwnej od swego przyjaciela stronie komory silnika, wyglądając za rufę. Widział, że jego córka zasnęła w ramionach księżny. Fajnie jest być dzieciakiem.

- Ty to masz fart, Robby!

- Odwal się, stary! Po prostu wiedziałem, kiedy iść się odlać. Ryan pokiwał głową.

- Nie wiedziałem, że tak dobrze radzisz sobie ze strzelbą, Robby.

- Jak byłem mały, Ku-Klux-Klan miał takie hobby, że w każdy wtorek wieczorem zalewali pałę i jechali puścić z dymem murzyński kościół. Tak sobie, żebyśmy wiedzieli gdzie nasze miejsce. No więc pewnej nocy tym dupkom strzeliło do tych zakutych łbów, żeby spalić kościół papcia. Dostaliśmy cynk od krtajpiarza. Nie wszyscy biali to palanty. W każdym razie, czekaliśmy na nich z papciem. Nikogośmy nie zabili, ale musieli pewnie narobić w te swoje białe prześcieradła ze strachu. Udało mi się wtedy rozwalić chłodnicę w jednym z ich samochodów. - Robby zaśmiał się na to wspomnienie. - Już nigdy nie wrócili. Gliny jak zwykle nikogo nie zgarnęły, ale wtedy ostatni raz próbowano w okolicy podpalić kościół, więc myślę, że ta lekcja dotarła do tych ich ptasich mózdków - przerwał na chwilę. Potem kontynuował już dużo poważniejszym tonem, - Dzisiaj po raz pierwszy w życiu zabiłem człowieka, Jack. Wiesz, to dziwne, ale w ogóle nic nie czuję, zupełnie nic.

- Poczekaj do jutra, to zobaczysz. Robby spojrzał na przyjaciela.

- Tak, chyba masz rację.

Ryan patrzył za rufę, ściskając Uzi. Nic nie było widać. Niebo i woda zlały się w jedną, amorficzną, szarą masę, a deszcz zacinał ich po twarzach. Łódź ciężko pracowała na falach i przez chwilę Jack zastanawiał się, dlaczego jeszcze nikt nie ma morskiej choroby.

Rozbłysły znów błyskawice, ale nie było nic widać, jakby byli na nierównej, iskrzącej się odbłaskami podłodze, nakryci szarym kloszem.

Zniknęli. Gdy snajper zameldował, że zniknęli za krawędzią klifu, ludzie Wenera przeszukali dom, znajdując w nim tylko ciała zabitych. Na miejsce dotarła już waszyngtońska grupa ZOZ, około dwudziestu policjantów, tłum strażaków, pogotowie ratunkowe. Trzech agentów Ochrony Białego Domu jeszcze żyło, podobnie jeden z rannych terrorystów. Wszystkich odtransportowano do szpitali. Zginęło łącznie siedemnastu ochroniarzy i co najmniej czterech napastników, z tego dwóch zabitych przez swoich.

- Wszyscy wpełnęli się do łodzi i odpłynęli w tamtym kierunku - powiedział Paulson. - Mogłem paru załatwić, ale nie można było rozpoznać, kto jest kto.

Dobrze zrobił. Wiedzieli o tym i Werner i snajper. Nigdy nie strzela się do nierozpoznanego celu.

- To co teraz robimy? - zapytał kapitan policji stanowej. Było to pytanie o tyle retoryczne, że nikt nie miał na nie gotowej odpowiedzi.

- Sugeruje pan, że zakładnicy zdołali uciec? - zapytał Paulson. - Nie widziałem nikogo, kto

wyglądałby na zakładnika, a ze sposobu, w jaki działali napastnicy widać było, że coś im nie poszło. Dzisiaj wszystkim coś nie poszło...

Tak, coś poszło nie tak, to prawda, pomyślał Werner. Tu się toczyła pieprzona regularna bitwa. Zginęło dwudziestu kilku ludzi, a poza trupami nie ma nikogo.

- Zakładając, że zakładnicy jakoś uciekli... Nie, założmy jedynie, że to napastnicy uciekli łodzią. Dobra. Dokąd mogli popłynąć? - zapytał Werner.

- Panie, wiesz pan ile tu jest przystani w okolicy? - odparł kapitan. - Jezu, a ile domów ma swoje prywatne slipy? Setki, jeśli nie tysiące! Przecież nie możemy wszystkich sprawdzić!

- Rozumiem, ale róbmy cokolwiek, do jasnej cholery! - odwarknął Werner. Jego gniew potęgował narastający ból pleców. Podszedł do nich czarny pies. W jego oczach malował się ten sam wyraz zagubienia, co u ludzi dookoła.

- Chyba ich zgubiliśmy.

- Może i tak - odpowiedział Jackson. Światło ostatniej błyskawicy nic nie wydobyło z mroku. - Zatoka jest duża, a wokół nic nie widać. Tyle tylko, że ten deszcz nam bardziej przeszkadza w obserwacji niż im. Widzą dalej o jakieś dwadzieścia metrów, w sam raz tyle że starczy.

- To może popłyniemy bardziej na wschód? - zaproponował Ryan.

- Na główny tor wodny? Człowieku, jest piątek wieczór. Tor będzie pełen statków wypływających z Baltimore przed weekendem. Te łajby zasuwiają po dziesięć, dwanaście węzłów, a widzą tyle samo co i my. - Robby pokręcił głową. - Nie, bracie, nie po to się tyle telepaliliśmy, żeby nas teraz rozjechała jakaś zardzewiała balia pod tanią banderą. Nasza wycieczka i bez tego jest wystarczająco ekscytująca.

- Światła na kursie - zameldował ksiązę.

- No to jesteśmy w domu, Jack. - Robby przejął ster, a ksiązę przeszedł na rufę. Światła dwóch bliźniaczych mostów nad zatoką Chesapeake migają w oddali.

Wszyscy już dawno przemokli na deszczu na wylot i teraz drżeli z zimna na wietrze. Jackson zwrócił łódź na zachód. Wiatr wiał teraz od dziobu, prosto z wąwozu rzeki Severn. Fale nieco się uspokoiły, gdy przepłynęli między główkami falochronu miejskiego portu. Deszcz był ciągle intensywny, więc Robby nawigował głównie na pamięć.

Światła wzdłuż nabrzeża Akademii Marynarki, równoległego do Sims Drive, tworzyły przymgloną, podłużną lunę, przeświecającą przez kurtynę deszczu. Robby sterował na nią, walcząc z wiatrem. Ledwie zdołał ominąć dużą boję, która nagle wyrosła im przed dziobem. Po chwili dostrzegli linię szarych kadłubów kutrów ratowniczych, stojących na betonowym nabrzeżu na czas remontu ich slipów po drugiej stronie rzeki. Robby wstał, żeby widzieć lepiej i wprowadził łódź między dwa drewniane kutry szkolne. Właściwie chciał na początku wpłynąć do basenu jachtowego, ale teraz był on pewnie zbyt zatłoczony. W końcu dobił dziobem do nabrzeża.

- Hej, wy tam! Zatrzymajcie się! - Na nabrzeżu pojawił się żołnierz piechoty morskiej w pelerynie i z plastikowym pokrowcem na czapce. - Tu nie wolno cumować!

- Jestem komandor podporucznik Jackson - przedstawił się Robby. - Pracuję tu. Uwaga. Jack, zajmij się dziobową cumą.

Jack zanurkował pod owiewkę i odpiął osłonę. Biała nylonowa lina leżała równo zwinięta na swoim miejscu. Ryan stanął w pogotowiu, a Robby manewrował tak, by doprowadzić łódź do nabrzeża burtą. Jack wyskoczył i zarzucił cumę na poler. Rufą zajął się ksiązę. Robby wyłączył silnik i podszedł do wartownika.

- Poznajesz mnie, synu? Wartownik zasalutował.

- Przepraszam, panie komandorze, ale... - poświecił latarką do wnętrza łodzi. - Jezu Chryste!

Dobrze chociaż, że deszcz i bryzgi fal zmyły krew do szpigatów. Ale tego co zostało: dwóch trupów, trzech kobiet, w tym jednej postrzelonej, a drugiej w zaawansowanej ciąży i śpiącego dziecka wystarczyło, żeby mu szczeka opadła ze zdumienia. Do tego jeszcze zauważył pistolet maszynowy na szyi wykładowcy historii. Nagle nudna służba w deszczową, sobotnią noc na pustym nabrzeżu zaczęła nabierać rumieńców.

- Masz radio? - zapytał Robby. Wartownik uniósł je, a Jackson przechwycił je i obejrzał. To był mały radiotelefon Motoroli, podobny do używanych w policji.

- Wartownia, tu komandor Jackson.

- Panie komandorze, melduje się starszy sierżant sztabowy Breckenridge. Nie wiedziałem, że ma pan dzisiaj służbę, sir. Czym mogę służyć?

Jackson odetchnął głęboko z ulgą.

- Cieszę się, że to pan, Gunny. Niech pan posłucha, proszę zaalarmować oficera dyżurnego. Potem niech pan natychmiast wyśle uzbrojony pododdział piechoty morskiej na zachodnie nabrzeże basenu jachtowego. Mamy tu kłopoty, więc proszę nie zwlekać.

- Aye, aye, sir! - zaskrzeczało radio. Rozkazy zostały wydane. Pytania mogły poczekać.

- Jak się nazywacie? - spytał Robby wartownika.

- Kapral Green, sir!

- Dobrze, Green, proszę pomóc paniom wyjść z łodzi. - Robby wyciągnął ku nim rękę. - Drogie panie, idziemy.

Green wskoczył do łodzi i pomógł wyjść najpierw Sissy, potem Cathy, a w końcu księżnie, która wciąż tuliła Sally. Robby schował je wszystkie za kadłubem jednego z wyciągniętych na nabrzeże kutrów ratowniczych.

- A co z tymi tam? - Green wskazał na ciała.

- Nic im nie będzie. Wracajcie tu, kapralu!

Green jeszcze raz obrzucił ciała uważnym spojrzeniem.

- Też tak myślę - mruknął do siebie. Zdążył już rozpiąć pelerynę i otworzyć kaburę.

- Co tam się dzieje? - rozległ się kobiecy głos. - O, to pan, panie komandorze.

- A co pani tu robi, pani bosman? - zapytał Robby.

- Mam dzisiaj służbę przy łodziach, sir. Basen jest pełny, wiatr by je porozbijał w drzazgi o falochron, gdybyśmy... - Starszy bosman Mary Znamirowski dopiero teraz zauważyła resztę grupy na nabrzeżu. - Sir, co tu się do cholery...?

- Pani bosman, lepiej żeby pani zebrała swoich ludzi i gdzieś ich ukryła. Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia.

Chwilę później przyjechała półciężarówka. Stała na parkingu naprzeciwko nich. Kierowca wyskoczył i podbiegł, a w ślad za nim poszły jeszcze trzy osoby. Rozpoznali w nim wkrótce Breckenridge'a. Sierżant spojrzął przelotnie na babiniec na przystani i zadał niewątpliwie najpopularniejsze pytanie tego wieczoru:

- Sir, co tu się do cholery dzieje?

Robby bez słowa wskazał na łódź. Breckenridge popatrzył bez słowa trzy, może cztery sekundy.

- Jeeezu - mruknął.

- Byliśmy na kolacji u Jacka - wyjaśnił Jackson. -i wtedy jacyś ludzie zepsuli przyjęcie. Polowali na niego - Robby wskazał Księcia Walii, który odwrócił się do nich i uśmiechnął. Oczy sierżanta rozszerzyły się ze zdumienia, gdy rozpoznał gościa Ryanów. Szybko się jednak pozbierał i zrobił to, co w Korpusie robili żołnierze, gdy nie wiedzieli, co mają robić. Wykonał wzorowy salut, zasługujący na uwiecznienie w „Podręczniku szeregowca”.

- Pozabijali mnóstwo ochroniarzy - kontynuował Robby. - A my mieliśmy fart. Chcieli uciec łodziami, ale myśmy im jedną zwinęli, więc teraz pływa tu gdzieś druga, pełna wkurwionych i dobrze uzbrojonych facetów. Chyba nas śledzili.

- Jak uzbrojonych?

- W coś takiego, Gunny. - Ryan pokazał mu swoje Uzi. Sierżant kiwnął głową i sięgnął pod kurtkę. Wyciągnął radio.

- Wartownia, tu Breckenridge. Ogłaszam Stan Alarmowy Pierwszego Stopnia. Budzić wszystkich. Wezwijcie kapitana Petersa. Chcę mieć za pięć minut pluton żołnierzy pod bronią na zachodnim nabrzeżu. Wykonać!

- Roger - zaskrzeczał głośnik. - Alarm Pierwszego Stopnia.

- Zabierzmy stąd kobiety - gorączkował się Ryan.

- Jeszcze nie, sir - odpowiedział Breckenridge. Rozejrzał się szybko, jego zaprawione oko szybko analizowało sytuację. - Najpierw poczekajmy na posiłki. Wasi przyjaciele mogliby wylądować dalej w górze rzeki i spróbować zacząć się na was u nasady nabrzeża. Ja bym tak zrobił na ich miejscu. Za dziesięć minut będziemy tu mieli pluton żołnierzy do przeczesywania terenu, a za pięć minut przynajmniej pełną drużynę. Jeżeli moi ludzie nie zalali się zanadto - zakończył, przypominając wszystkim, że jest piątkowa noc i wielu żołnierzy dopiero co wróciło z przepustek do miasta, w którym nie brakowało knajp. - Cummings i Foster, zajmijcie się paniami. Mendoza, włącz na którąś z tych kryp i obserwuj podejścia. Słyszeliście co jest grane, więc lepiej miejcie oczy otwarte.

Breckenridge chodził tam i z powrotem wzdłuż nabrzeża, szukając pozycji z najlepszym polem obserwacji i ostrzału. Czterdziestkapiątka Colta niemal ginęła w jego ręce. Widać było po jego twarzy, że nie podoba mu się ta sytuacja, zwłaszcza z tak szczupłymi siłami i pałętającymi się cywilami. Poszedł zobaczyć, co się dzieje z kobietami.

- Widzę, że nic paniom nie jest... O, przepraszam, pani Jackson. Zaraz panią odtransportujemy do izby chorych.

- Nie da się jakoś zgasić tych cholernych świateł?

- Nie wiem jak to zrobić. Też mi się nie podobają. Spokojnie, panie poruczniku. Za nami jest otwarty teren, nikt się tamtędy niezauważony nie przedostanie. Jak tylko coś zorganizujemy, odeślę panie do przychodni i przydzielę im tam eskortę. Nie jesteście tu tak bezpieczni, jakbym chciał, ale posiłki już jadą. Jak wam się udało wymknąć?

- Tak jak mówił Robby, mieliśmy szczęście. Załatwił dwóch ze śrutówki, ja jeszcze jednego w łodzi. Ten drugi oberwał od swoich. - Ryanem wstrząsnął dreszcz, ale nie z zimna czy od deszczu. - Przez chwilę było naprawdę paskudnie.

- Wierzę panu. Czy oni są dobrzy?

- Teryści? Jeszcze jak! Z tym, że atakowali z zaskoczenia, a to znacznie zwiększa szansę.

- Zajmiemy się tym - kiwnął głową Breckenridge.

- Łódź nadpływa! - głos Mendoza dobiegł z jednego z kutrów na nabrzeżu.

- Okej - westchnął sierżant, trzymając pistolet w ugiętej ręce, na wysokości głowy. - Poczekajcie jeszcze chwilę, wpadnie tu paru porządnie uzbrojonych ludzi.

- Płyną powoli - donosił obserwator.

Sierżant upewnił się, że kobiety są bezpiecznie ukryte. Potem rozkazał wszystkim rozstawić się, umieszczając ich w przerwach między zacumowanymi jednostkami.

- I na litość boską, trzymajcie nisko te zakute łby!

Ryan sam wybrał sobie miejsce. Inni rozstawili się co dziesięć metrów. Pod rękami czuł

żelbeton nabrzeża. Był pewien, że jest w stanie zatrzymać pociski. Czterech marynarzy z patrolu pani bosman zostało z kobietami, osłanianymi przez dwóch podoficerów piechoty morskiej. Tylko Breckenridge przemieszczał się po kei, kucając za nabrzeżem. Śledząc białą łódź doszedł do stanowiska Ryana.

- Tam, jakieś osiemdziesiąt metrów stąd, przesuwają się z lewej na prawo. Też się rozglądają. - No poczekajcie jeszcze chwilę, prosił ich w myślach.

- Tak, widzę - potwierdził Ryan, odbespieczając broń i wychylając połowę twarzy zza betonowej osłony. Widział na razie tylko biały kształt, ale wyraźnie słyszał przytłumiony dźwięk silnika. Łódź terrorystów zakreśliła w kierunku miejsca, gdzie zacumowana była pierwsza łódź. To ich pierwszy jak dotąd poważny błąd, pomyślał Ryan.

- Wspaniale. - Sierżant opuścił lufę pistoletu i wycelował, osłonięty przez kadłub wyciągniętego na pirs kutra. - Dobrze panowie. Chodźcie, skoro już musicie.

Na Sims Drive pojawił się kolejny samochód. Podjechał bez świateł, zatrzymał się obok kutra, za którym kryły się kobiety. Z tyłu wyskoczyło ośmiu żołnierzy z karabinami M-16. Dwóch pobiegło wzdłuż pirsu i ukazało się w oświetlonej przerwie pomiędzy dwoma kutrami. Łódź rozbłysła ognikami wystrzałów i dwaj żołnierze upadli. Pociski uderzały w kutry obok nich. Breckenridge odwrócił się i wydał rozkaz.

- Ognia!

Okolica rozbrzmiała hukami wystrzałów. Ryan wycelował w jeden z rozbłysków na łodzi i uważnie ściągnął spust. Peem wystrzelił cztery razy, zanim zamek nie zatrzymał się na pustym magazynku. Zaklął i bezmyślnie wlepił wzrok w swoją broń, zanim nie przypomniał sobie, że ma za paskiem załadowany pistolet. Wyciągnął Browninga i strzelił raz, zanim zdał sobie sprawę, że tam już nie ma łodzi. Dźwięk silnika znacznie przybrał na głośności.

- Przerwać ogień! Przerwać ogień! Odpływają! - zawołał Breckenridge. - Są ranni?

- Tutaj! - odezwał się głos z rejonu, gdzie schowały się kobiety. Ryan podbiegł tam wraz z sierżantem. Dwóch żołnierzy leżało

na betonie. Jeden miał przestrzelone ramię, a drugi, z raną uda, darł się wniebogłosy. Cathy już się nim zajęła.

- Mendoza, jak sytuacja?

- Odpływają, zaraz... Tak, oddalają się na wschód.

- Zabierz te ręce, żołnierzu - mówiła Cathy. Starszy szeregowy otrzymał bolesny postrzał w lewe udo, tuż pod ładownicą, wiszącą na pasie. - Dobra jest, nic ci nie będzie. To boli, ale tętnica jest cała, będzie dobrze.

Breckenridge schylił się po karabin rannego i rzucił go Cummingsowi.

- Kto tu dowodzi? - zapytał kapitan Mike Peters.

- Chyba ja - odparł Robby.

- Jezu, Robby, co tu się dzieje?

- A na co to do kurwy nędzy wyglądasz, co?

Przyjechała kolejna półciężarówka, tym razem przywożąc sześciu żołnierzy. Nowoprzybyli ogarnęli wzrokiem sceny odbywające się na nabrzeżu i bez zbędnych słów przeładowali karabiny.

- Kurwa mać, Robby...sir? - ryknął Peters. Sfinks się cholera, znalazł. Na zagadki mu się zebrało.

- Terroryci. Chcieli nas dorwać u Jacka. Chodziło im o... zresztą sam zobacz.

- Dobry wieczór, panie kapitanie - przywitał się książę, który tymczasem zdążył się upewnić, że jego żonie nic się nie stało. - Dostaliśmy któregoś? Nie bardzo miałem ich jak trafić z mojego

stanowiska. - W jego głosie czuć było wyraźnie zawód.

- Nie wiem, sir - odparł Breckenridge. - Widziałem, że sporo pocisków spadło za blisko, a poza tym pistoletowe pociski nie są w stanie przebić burty takiej łodzi.

Kolejne błyskawice rozświetliły okolicę.

- Widzę ich, wypływają na zatokę! - zawołał Mendoza.

- Cholera! - zagotował się Breckenridge. - Wy tam czterej, odwieźcie panie do lekarza. - Pochylił się, by pomóc wstać księżnej, a Robby podniósł Sissy. - Proszę przekazać pieczę nad małą szeregowcowi, proszę pani. Zabiorą panie do szpitala, żebyście mogły się wysuszyć.

Ryan widział, że jego żona nadal zajmuje się rannym żołnierzem. Popatrzył na kuter stojący obok na nabrzeżu.

- Robby?

- Tak, Jack?

- Czy ta balia ma radar?

- Wszystkie mają - odpowiedziała pani bosman Znamirowski. Żołnierz piechoty morskiej otworzył klapę z tyłu samochodu i pomógł Jacksonowi załadować żonę.

- Co kombinujesz, Jack?

- Ile węzłów wyciągają?

- Ze trzysta. To chyba trochę za mało.

Pani bosman popatrzyła na łódź, którą przyплыли Jack i Robby.

- Na tak wzburzonym morzu będę w stanie dogonić to maleństwo, idę o zakład. Ale muszę mieć radarzystę. A w patrolu nie mam żadnego operatora.

- Ja się tym mogę zająć - zaoferował książę. Miał już dość bycia zwierzyną i nikt nie zdołałby go odwieść od tego zamiaru. - To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność.

- No, nie wiem... Robby, ty tu dowodzisz.

- Czy to aby legalne? - zapytał Peters, przebierając palcami po swoim pistolecie.

- Panie kapitanie. - Ryan odpowiedział mu zanim ktokolwiek zdążył zabrać głos. - Byliśmy przed chwilą świadkami zbrojnej napaści obywateli obcego państwa na obiekt wojskowy należący do rządu Stanów Zjednoczonych. To jest akt wojny i ograniczenia prawa pościgu nie mają zastosowania. - A w każdym razie tak mi się wydaje, dodał w myśli. - Czy ktoś widzi jakiś powód, dla którego mielibyśmy ich nie ścigać?

Nie było takiego powodu.

- Pani bosman, czy ma pani jakiś kuter gotowy do wyjścia w morze?

- Pewnie, że mam, do cholery. Możemy wziąć siedemdziesiątkę-szóstkę.

- Proszę ją przygotować. Kapitanie Peters, potrzebujemy kilku żołnierzy.

- Sierżancie Breckenridge, proszę zabezpieczyć teren i przyprowadzić dziesięciu ludzi.

- Tak jest! - Sierżant zostawił oficerów ich własnym problemom i dopilnował załadunku cywilów i rannych na samochody. Złapał w przelocie plutonowego Cummingsa.

- Plutonowy, proszę zająć się cywilami, zawieźć ich do izby chorych i przydzielić im tam ochronę. Proszę wzmocnić warty, ale pańskim podstawowym obowiązkiem jest opieka nad tymi ludźmi. Odpowiada pan za ich bezpieczeństwo i nie zejdzie pan z posterunku, zanim ja pana nie zwolnię osobiście. Zrozumiano?

- Tak jest, sir!

Ryan pomógł żonie wsiąść na tył półciężarówki.

- Ruszamy za nimi.



- Wiem. Jack, uważaj na siebie, proszę!  
- Będę na pewno. Tym razem zrobimy z nimi porządek, kochanie - pocałował ją. Na jej twarzy zauważył dziwny wyraz, trochę więcej niż troski. - Dobrze się czujesz?  
- Będzie dobrze. Martwię się o ciebie. Bądź ostrożny!  
- Pewnie, kochanie. Ja wrócę. - Ale oni nie, dodał w myśli. Jack odwrócił się, żeby wskoczyć na kuter. Wszedł do nadbudówki i odszukał schodnię prowadzącą na mostek.  
- Jestem starsza bosman Mary Znamirowski, obejmuję dowództwo nad tym okrętem - ogłaszała właśnie pani bosman.

Nie wyglądała na swój stopień, ale młoda sterniczka wyprężyła się na baczność.  
- Prawy dwie trzecie wstecz, lewy jedna trzecia wstecz, ster lewo na burt!  
- Rufowa cuma klar! - zameldował marynarz z rufy. Przynajmniej on był mężczyzną w tym mateczniku wilczyc morskich.  
- Dobrze - potwierdziła i przystąpiła do wydawania dalszych komend na ster i do maszyny, wyprowadzając kuter z przystani. Po chwili odbili od nabrzeża i wypłynęli spomiędzy innych jednostek.

- Ster prawo na burt, oba cała naprzód! Kurs 135! - odwróciła się.  
- Jak tam radar?  
Książę zapoznawał się jeszcze z nieznanym mu typem urządzenia. Znalazł wreszcie włącznik i pochylił się nad ekranem.

- Cel w niemieckim 118, odległość 1300, podąża kursem na północny wschód z prędkością... ośmiu węzłów.  
- To by się zgadzało, tam zaczynają się fale. - Odwróciła się do Robby'ego. - Co robimy, panie komandorze?  
- Możemy trzymać się blisko nich?  
- Postrzelali mi łodzie, sir! Proszę tylko powiedzieć słówko, a staranuję skurwieli, sir! - odpowiedziała pani bosman z determinacją. - Prędkość trzynastu węzłów możemy utrzymywać tak długo, jak to będzie konieczne. Przy tym stanie morza więcej niż dziesięć węzłów nie będą w stanie wyciągnąć.

- Okej. Chcę ich śledzić z bliska, ale nie na tyle żeby nas wypatrzyli. Pani bosman otworzyła drzwi sterówki i wyjrzała na zewnątrz.  
- Zbliżyliśmy się na jakieś trzysta metrów. Co dalej?  
- Na razie trzymajmy się blisko. Co do reszty, jestem otwarty na propozycje.  
- Może byśmy zobaczyli, dokąd się udadzą - zaproponował Jack  
- a potem ściągniemy kawalerię?  
- To brzmi rozsądnie. Jeżeli spróbują gdzieś lądować... Cholera, ja jestem pilot myśliwski, a nie glina! - Robby podniósł do ust mikrofon radiostacji. Widniał na nim znak wywoławczy kutra, NAEF.  
- Baza marynarki Annapolis, tu November Alfa Echo Fokstrot. Jak mnie słyszysz, odbiór? - powtórzył wywołanie dwa razy, zanim otrzymał potwierdzenie odbioru.  
- Annapolis, połączcie mnie telefonicznie z komendantem.  
- Właśnie do nas dzwoni, sir. Proszę zaczekać. - W głośniku rozległo się kilka trzasków i szum.  
- Admirał Reynolds, z kim mówię?  
- Tu komandor podporucznik Jackson, sir, na pokładzie kutra numer 76. Jesteśmy milę na południowy wschód od Akademii, prowadząc pościg za łodzią, z której ostrzelano naszą przystań.  
- Dobrze, kto jest jeszcze na pokładzie?  
- Starsza bosman Znamirowski, załoga dyżurna, kapitan Peters z pododdziałem piechoty

morskiej, doktor Ryan i hmm... komandor Wales\* z Królewskiej Marynarki - odpowiedział Robby.

- Jezu, Robby, a mnie tu FBI głowę o niego suszy na drugiej linii. Powtórz ocenę sytuacji i zamiary.

- Sir, ścigamy łódź, z której zaatakowano przystań. Mamy zamiar zbliżyć się do niej i śledzić jej ruchy na radarze, by określić cel jej ucieczki, a następnie wezwać odpowiednie służby policji, sir.

- Robby uśmiechnął się do mikrofonu, starannie dobierając słowa.

- Za chwilę wywołam Straż Przybrzeżną w Baltimore, sir. Wygląda na to, że w tej chwili udają się w ich kierunku.

- Zrozumiałem. Dobrze, pozwalam kontynuować akcję według przedstawionego planu, ale proszę pamiętać, że spoczywa na panu odpowiedzialność za bezpieczeństwo naszego gościa. Proszę powstrzymać się, powtarzam, powstrzymać się od podejmowania niepotrzebnego ryzyka. Potwierdzić.

- Tak jest, sir. Kontynuować akcję, unikać niepotrzebnego ryzyka.

- Proszę się kierować własnym rozeznaniem sytuacji i meldować o postępach w miarę potrzeby, komandorze. Bez odbioru.

- No, to rozumiem, to jest głos zaufania - podsumował Robby.

- Kontynuować.

- Ster prawo piętnaście! - rozkazała pani bosman, omijając przylądek Greenbury. - Wejść na kurs 020.

- Cel w namiarze 014, odległość 1400, prędkość nadal 8 węzłów

- meldował planszecznicę księżę. - Opływają ten przylądek krótszą drogą.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała znad stołu nakresowego pani bosman. - Od tego miejsca mamy już wszędzie dosyć głębokiej wody.

- Pani bosman, nie mamy jakiejś kawy na pokładzie?

- W kambuzie jest ekspres, sir, ale nie ma nikogo wolnego.

- Ja się tym zajmę - zgłosił się Jack. Zszedł na dół, potem na prawo i znowu w dół. Kambuz był małeńki, ale ekspres, jak można się było spodziewać, był aż nadto odpowiednich rozmiarów. Ryan włączył go i wrócił na górę. Breckenridge rozdawał wszystkim kamizelki ratunkowe, co zdawało się sensownym środkiem ostrożności. Żołnierze rozlokowali się w nadbudówce, za sterówką.

- Kawa będzie za dziesięć minut - ogłosił.

- Powtórz, Straż Przybrzeżna - powiedział do mikrofonu Robby.

- November Echo Fokstrot, tu Straż Przybrzeżna Baltimore, jak mnie słyszysz, odbiór.

- Teraz lepiej,

- Możecie nam powiedzieć, co jest grane?

- Śledzimy małą, najwyżej sześciometrową łódź z co najmniej dziesięcioma uzbrojonymi terrorystami na pokładzie - dalej podał pozycję, kurs i prędkość celu. - Proszę potwierdzić.

- Roger. Łajba pełna świrów z bronią maszynową? To ćwiczenia, czy bez jaj? Odbiór.

- To prawda, synku. A teraz nie pieprzmy dłużej przez radio, tylko bierzmy się do roboty. - Tym razem odpowiedź była już nieco poważniejsza.

- Roger. Wysyłamy czterdziestkę jedynek, a za dziesięć minut trzydziestkę dwójek. Ale to są małe kutry patrolowe z zatoki, a nie kanonierki, sir, one się nie nadają do prowadzenia walki nawodnej.

- Mamy na pokładzie drużynę piechoty morskiej - odpowiedział Jackson. - Potrzebujecie pomocy?

- Jak cholera! Znaczący... Tak jest, Echo Fokstrot. Rozmawiałem przez telefon z policją i FBI,

które także kierują się w ten rejon.

- Dobrze, niech ta wasza czterdziestkajedynka nas wywoła, gdy tylko wypłynie. Potem niech ich namierza od przodu, a my będziemy śledzić od tyłu. Jeżeli uda się ustalić miejsce, w które się udają, zawiadamiamy policję.

- Nie ma sprawy, zaraz puszczam wszystko w ruch, Navy. Nie wyłączaj się.

- Statek - podrzucił książkę.

- Pewnie tak będzie - poparł go Ryan. - Tak samo to rozwiązali, jak odbijali tego skurwiela Millera. Robby, czy możemy wydostać ze Straży Przybrzeżnej listę statków zacumowanych w porcie?

Werner i oba ZOZ byli już w drodze. Zastanawiał się, co się tej nocy zdarzyło, co poszło zgodnie z planem, a co wbrew. Jeszcze nieraz będą się nad tym różni głowili. Na razie agenci i policja udawali się do Akademii Marynarki, objąć ochroną tych, których mieli odbijać z rąk porywaczy. Jego ludzie rozdzielili się, część jechała Chevroletem grupy waszyngtońskiej, inni w dwóch radiowozach policji stanowej. Cała kawalkada jechała Ritchie Highway na północ, w kierunku Baltimore. Gdyby tylko mogli użyć śmigłowca, myślał. Pogoda jednak zupełnie to wykluczała, a i jego ludzie mieli na dziś dosyć walki z burzą w powietrzu. Znowu byli tylko zespołem SWAT, robili to, co umieli najlepiej. Mimo że tej nocy wszystko się popieprzyło, mieli teraz grupę terrorystów wystawioną na strzał na otwartym terenie...

- Proszę, oto lista statków - porucznik Straży Przybrzeżnej podawał ją przez radio. - Większość statków wypłynęła w piątek przed wieczorem, więc lista będzie krótka. Zacznę od terminalu w Dundalk. „Nissan Courier”, bandery japońskiej, samochodowiec, port macierzysty Jokohama, z ładunkiem samochodów osobowych i ciężarowych. „Wilhelm Shoerner”, bandery zachodniemieckiej, kontenerowiec, port macierzysty Brema, z ładunkiem drobnicy. „Constanza”, bandery cypryjskiej, port macierzysty La Valetta na Malcie, z ładunkiem...

- Bingo! - krzyknął Ryan.

-...planowane wyjście w morze za pięć godzin. „George McReady”, bandery amerykańskiej, przywiózł ładunek drewna z Portland w stanie Oregon. W Dundalk to już wszystko.

- Co jeszcze wiadomo o tej „Constanzie”? - zapytał Robby, spoglądając na Jacka.

- Przyplłynęła na pusto, załadowała głównie maszyny rolnicze i trochę innej drobnicy. Ma wypłynąć przed świtem, prawdopodobnie z powrotem na Maltę.

- To pewno będzie ten - cicho powiedział Jack.

- Nie wyłączajcie się, Straż. - Robby odłożył mikrofon. - Skąd wiesz?

- Nie wiem, ale mam podstawy przypuszczać. Kiedy zrobili ten skok na prom w święta, przejął ich na Kanale statek bandery cypryjskiej. Przypuszczamy, że ich broń pochodzi od handlarza na Malcie, który współpracuje z RPA, poza tym wielu terrorystów przepływa przez Maltę, tamtejszy rząd ma silne powiązania z pewnym krajem na południu basenu Morza Śródziemnego, wiesz o który mi chodzi? Maltańczycy nie maczają w tym palców, ale są mistrzami świata w odwracaniu wzroku za godziwe pieniądze.

Robby skinął głową i włączył z powrotem mikrofon.

- Straż Przybrzeżna, czy porozumieliście się już z policją?

- Oczywiście, Echo Fokstrot.

- Proszę im przekazać, że przypuszczamy, iż kierują się w stronę statku „Constanza”.

- Roger. Wysyłamy 32, żeby go obserwowała i zawiadamiamy policję.

- Tylko ich nie wystraszcicie!

- Tak jest, Navy. Chwileczkę... Navy, kuter 41 melduje, że nawiązał z wami i celem kontakt radarowy, a cel okrąża przylądek Bodkin. Czy potwierdzacie? Odbiór.

- Tak jest! - odezwał się planszecista, malujący wykres kursów celu z namiarów radaru.

- Straż Przybrzeżna, potwierdzamy. Przekażcie swoim, żeby trzymali się 500 metrów przed celem. Potwierdzić.

- Roger, 500 metrów. Dobra, daję znać glinom. Bez odbioru.

- Mamy ich! - Ryan klasnął w dłonie.

- Eeh... Panie poruczniku, niech pan się przez chwilę nie rusza, sir -odezwał się Breckenridge. Sięgnął ręką do paska spodni Ryana i wyciągnął zza niego jego Browninga. Jack zdziwił się, widząc że wetknął go tam z odwiedzionym kurkiem i zwolnionym bezpiecznikiem. Breckenridge spuścił powoli kurek i włożył pistolet z powrotem tam, skąd go wyjął. - Niech pan zawsze myśli o bezpieczeństwie, panie poruczniku. Inaczej odstrzelili pan sobie coś, czego może pan później żałować.

Ryan potulnie kiwnął głową.

- Dzięki, Gunny.

- Ktoś musi w końcu pilnować poruczników, nie? - zazartował sierżant. - Dobra chłopaki - zwrócił się do zaokrętowanych żołnierzy - uważać tam!

- Przydzielił pan kogoś do ochrony księcia? - zapytał Jack.

- I to jeszcze zanim admirał zdążył o tym pomyśleć. - Breckenridge wskazał kaprała stojącego z karabinem o metr od Jego Wysokości, z rozkazem zasłonięcia go ciałem w razie strzelaniny.

Pięć minut później trzy radiowozy policji stanowej podjechały po cichu, z wygaszonymi światłami na nabrzeże numer 6 terminalu morskiego w Dundalk. Samochody zatrzymały się w cieniu ogromnej suwnicy do ładowania kontenerów i pięciu funkcjonariuszy podeszło do trapu. Dyżurujący przy nim marynarz próbował ich zatrzymać, ale jakoś, pewnie ze względu na barierę językową, mu się to nie udało. Chwilę później towarzyszył policjantom, z rękami fachowo skutymi za plecami. Dowodzący policjantami wspiął się po trapie na mostek.

- Co pan tu robi? - dobiegło go pytanie.

- A pan coś za jeden, żeby pytać? - odpowiedział pytaniem zza opartej o ramię śrutówki.

- Jestem kapitanem tego statku - ogłosił Nicolai Frenza.

- A ja jestem, panie kapitanie, sierżant William Powers z policji stanu Maryland i chciałbym panu zadać parę pytań.

- Nie ma pan prawa wdzierać się na mój statek! - gorączkował się kapitan mieszaniną akcentu greckiego i jeszcze jakiegoś. - Będę rozmawiał tylko ze Strażą Przybrzeżną i nikim więcej!

- Chciałbym panu coś wyjaśnić. - Powers przeszedł trzy metry w kierunku kapitana, nie rozluźniając chwytu na swej tthace Featherweight kalibru 12. - Pański statek jest przycumowany do wybrzeża stanu Maryland, a z tej lufy wyrasta moje upoważnienie do tego, żebym na nim robił to, co uznam za stosowne. Dostaliśmy informację, że w kierunku tego statku podąża łódź pełna terrorystów, którzy jak wynika z meldunków, zabili mnóstwo ludzi, w tym trzech moich kolegów, policjantów. - Powers zaakcentował ostatnie zdanie, dociskając lufę do piersi kapitana. - Panie kapitanie, jeżeli oni tu przyplłyną, albo

będzie mi pan dalej pierdolił głupoty, to niech się pan spodziewa całej fury kłopotów. Zrozumieliśmy się?

Powers zauważył, że kapitan zmieszał się. A więc ten cynk był trafiony, pomyślał. Dzięki Bogu.

- Lepiej, żeby się pan zdecydował z nami współpracować, bo jedzie tu większa ekipa i zobaczy pan wkrótce na tym pokładzie więcej policjantów naraz, niż w całym życiu, A wtedy przydałby się panu ktoś, kto by za panem szepnął dobre słowo. Jeżeli ma mi pan coś do powiedzenia, to chciałbym to teraz usłyszeć.

Frenza zawahał się, omiół oczami statek od dziobu do rufy. Był teraz między młotem a

kowadłem, a za to mu nie płacono.

- Na pokładzie jest ich czterech. Są z przodu, na prawej burcie, koło dziobu. Nie wiedzieliśmy, że...

- Zamknij się pan lepiej. - Powers skinął na kaprała z radiem. - Co z pańską załogą?

- Jest pod pokładem, przygotowują statek do wyjścia w morze.

- Sierzancie, Straż Przybrzeżna melduje, że są trzy mile stąd i kierują się do wejścia do portu.

- Dobrze. - Powers odczepił od pasa kajdanki. On i jego ludzie przykuli kapitana i trzech innych marynarzy do koła sterowego i poręczy na mostku. - Kapitanie, jeżeli pan, albo pańscy ludzie narobicie hałasu, to wrócę tu i rozwalę was na kawałeczki. To nie są żarty!

Powers sprowadził swoich ludzi na lewą stronę głównego pokładu i poprowadził ich naprzód. Na „Constanzy” nadbudówka znajdowała się na samej rufie. Przed nią rozpościerał się pokład kontenerowy, zawalony kontenerami wielkości naczepy ciężarówki, w trzech lub czterech warstwach. Między rzędami kontenerów biegły trapy szerokości około metra, którymi mogli się przedostać na dziób niezauważeni. Sierżant nie był członkiem SWAT, ale jego ludzie mieli śrutówki i jakie takie pojęcie o taktyce.

Przypominało to właściwie patrol na ulicy, tyle że płyty chodnikowe były z zardzewiałej stali. Deszcz przycichł, ale wciąż bębnił o blaszane kontenery na tyle głośno, by maskować ich poruszanie się. Doszli do przedniego skraju. Dalej pokład był odsłonięty, a za prawą burtę spuszczone były dźwig. Powers wyrztał ostrożnie zza rogu kontenera i ujrzał dwóch mężczyzn, opartych o przeciwległe nadburcie. Wypatrywali czegoś na południowym wschodzie, od strony wejścia do portu. Nie było możliwości skrytego podejścia do nich. Powers i jego ludzie kucnęli i ruszyli prosto ku nim. Doszli do połowy pokładu, gdy jeden z wypatrujących odwrócił się.

- Kto tam?

- Policja! - Podnosząc broń Powers zwrócił uwagę na akcent pytającego. Miał właśnie do niego strzelić, gdy potknął się i jego pierwszy strzał poszedł w powietrze. Pytający dobył pistolet i strzelił, także pudłując, po czym uskoczył za róg kontenera. Jeden z policjantów wyskoczył na odkryty pokład i strzelił w narożnik kontenera, za którym zniknęli, kryjąc podejście kolegów. Powers usłyszał ożywioną rozmowę i tupot nóg biegnącego człowieka. Wziął głęboki oddech i podbiegł do prawego nadburcia.

Nie było tam nikogo. Biegnącego ku rufie nie było już ani widać, ani słychać. Od otwartej bramki w relingu prowadził w dół metalowy trap. Nie było tu nic więcej, poza porzuconym radiotelefonem.

- Kurwa mać! - sytuacja taktyczna była paskudna. Gdzieś obok, ale nie wiadomo gdzie, przyczaili się czterej uzbrojeni przestępcy, a w drodze była jeszcze cała łódź ich wymachujących pistoletami maszynowymi kompanów. Wysłał jednego ze swoich ludzi, żeby pilnował lewej burty, a drugiego na prawą. Potem wziął radio i dowiedział się, że odsiecz jest w drodze. Zdecydował się więc pozostać na miejscu i zapolować na tych drani. Znał Larry'ego Fontanę, wynosił jego trumnę z kościoła i nie mógłby patrzeć w lustro, gdyby nie dorwał tych, którzy go zabili, skoro nadarzyła się okazja.

Radiowóz policji stanowej prowadził kawalkadę. FBI było już na moście Francisca Scotta Keya, rozciągniętym nad Zatoką Baltimorską. Teraz musieli zjechać z autostrady i dostać się do terminalu. Policjant, który mówił, że zna skrót prowadził trzy samochody. W tym samym momencie pod mostem przepływała sześciometrowa łódź.

- Cel kieruje się w prawo, prawdopodobnie ku statkowi zacumowanemu przy kei w namiarze 352 - zameldował księżę.

- To „Constanza” - powiedział Ryan. - Mamy ich.  
- Pani bosman, zbliżmy się trochę - rozkazał Robby.  
- Mogą nas zauważyć, sir. Deszcz osłabił. Jeżeli płyną na północ, możemy ich wyprzedzić z lewej strony. Płyną przecież do tego statku, więc chyba możemy tam na nich zaczekać, czyż nie? - zapytała bosman Znamirowski.

- W porządku, pani bosman, zrobmy tak.  
- Okej. Wyślę kogoś do obsługi reflektora. Kapitanie Peters, niech pan rozmieści swoich żołnierzy na prawej burcie. Szykuje się alarm bojowy nawodny. - Pani bosman promieniała. Regulamin stanął jej na drodze do dowodzenia jednostką bojową, a mimo to i tak jej się to udało!

- Tak jest! - Peters wydał rozkazy i Breckenridge rozmieścił żołnierzy. Ryan wyszedł ze sterówki i poszedł na rufę. Zdecydował się. Gdzieś tam był Sean Miller.

- Słyszę łódź - zameldował po cichu policjant.  
- Tak - potwierdził Powers i przeładował śrutówkę.

Popatrzył za siebie.

Wzdłuż burty stali ludzie z bronią.

Z tyłu dobiegł go odgłos kroków wielu ludzi.

Posiłki!

- Kto tu dowodzi?

- zapytał kapral.

- Ja - odparł Powers.

- Zostańcie tutaj.

Wy dwaj, do tyłu.

Jak zobaczycie głowę wystającą zza kontenera, walcie bez gadania.

- Widzę ją!

- Powers już też ją widział.

Biała łódź z włókna szklanego pojawiła się w odległości stu metrów, wolno kierując się ku spuszczonemu trapowi.

- O Jezu!

- Łódź była pełna ludzi, z których jeśli wierzyć meldunkom, każdy miał Uzi.

Bezwiednie pomacał stalowe nadburcie, zastanawiając się czy zdoła zatrzymać pocisk.

Większość policjantów nosiła już kamizelki kuloodporne, ale Powers nie zdecydował się na to do tej pory.

Odbezpieczył śrutówkę.

Już czas.

Łódź zbliżała się, niczym samochód szukający miejsca na zatłoczonym parkingu.

Sternik doprowadził ją dziobem do podestu trapu, ktoś zarzucił nań cumę.

Dwóch ludzi zeszło na podest.

Pomogli wysiąść komuś i, podtrzymując go, zaczęli wspinać się z nim po schodach.

Powers pozwolił im dojść do połowy.

- Stać!

Policja stanowa!

- On i dwóch jego ludzi wycelowało śrutówki prosto w łódź.

- Ruszy się który, to dostanie!

- dodał i zaraz pożałował.

Zabrzmiało to jak kwestia z tandetnego telewizyjnego kryminału.

Zobaczył, że podniosło się parę głów, ale zanim ich śladem podążyła jakaś lufa, od strony morza rozbłysł reflektor, łapiąc ich w krąg światła.

Powers był wdzięczny za to światło. Widział teraz wyraźnie jak kręcili głowami dookoła, to znów spoglądali do góry. Widział wyraz ich twarzy. Byli w pułapce i już wiedzieli o tym.

- Ej, wy tam! - dotarł kobiecy głos znad wody, od strony reflektora. - Jak któremu co głupiego do łba przyjdzie, to mam tu na pokładzie dziesięciu żołnierzy piechoty morskiej, którzy poszatkują was na sałatkę. Jeśli chodzi o mnie, to już mogą zaczynać -zakończyła wojownicza niewiasta. Sierżant Powers zachichotał.

Potem dołączyło drugie światło.

- Tu Straż Przybrzeżna Stanów Zjednoczonych. Jesteście aresztowani!

- Takiego wała! - wrzasnął Powers. - Ja byłem pierwszy!

W ciągu następnej minuty kwestia tego, kto dokonał aresztowania została wyjaśniona ku obopólnemu zadowoleniu. Szary kuler ratowniczy marynarki ustawił się wzdłuż burty statku, blokując łódź terrorystów. Powersowi ulżyło, gdy zobaczył kolejne dziesięć luf wycelowanych w swoich aresztantów.

- Dobrze, a wy tam, odłóżcie broń i wychodźcie pojedynczo na górę. - Jego głowa drgnęła na odgłos strzału pistoletowego gdzieś z tyłu, po którym nastąpiły dwa wystrzały ze śrutówki. Sierżant skrzywił się, ale zebrawszy wszystkie siły zignorował to zamieszanie, nie spuszczając oka z łodzi.

- Widziałem go! - krzyknął ktoś z tyłu. - Jest jakieś trzydzieści metrów za nami!

- Kryjcie go - rozkazał Powers. - No co jest, wy tam, wyłazić do cholery na górę!

Dwóch pierwszych weszło, wnosząc trzeciego, rannego w klatkę piersiową. Powers kazał im się położyć na wolnej części pokładu kontenerowego, twarzą do pokładu, z szeroko rozłożonymi kończynami. Reszta wychodziła pojedynczo. Naliczył dwunastu, w tym kilku rannych. W łodzi zostało trochę broni i jakieś ciało.

- Hej, żołnierze! Może byście pomogli?

Nie trzeba ich było długo zachęcać. Ryan, który stał na pokładzie rufowym kutra, skoczył w dół, do łodzi, ale pośliznął się lądując i upadł. Breckenridge podążył za nim i zaczął od oględzin zwłok, w których czole czerniała niemal dwucentymetrowa dziura.

- Tak mi się też zdawało, że jednemu dosunąłem. Pan prowadzi, panie poruczniku - wskazał gestem trap. Ryan wbiegł po schodach z pistoletem w garści. Za nim ruszył kapitan Peters, krzycząc coś, czego Jack nie słyszał.

- Ostrożnie, mamy jeszcze paru między tymi kontenerami -ostrzegł Powers.

Jack obszedł pierwszy rząd kontenerów i zobaczył rozciągniętych na pokładzie mężczyzn z rękami na karkach, których pilnowało dwóch policjantów. Za chwilę dołączyło do nich sześciu żołnierzy.

Kapitan Peters podszedł do sierżanta policji, który jak się zdawało dowodził akcją na pokładzie „Constanzy”.

- Mamy jeszcze dwóch, może czterech, którzy kryją się gdzieś pomiędzy tymi kontenerami - powiedział Powers.

- To może pomóc wam je przetrząsnąć?

- Pewnie, zabierajmy się od razu do tego. - Powers uśmiechnął się w ciemności. Zebrał swych ludzi, pozostawiając więźniów pod strażą Breckenridge'a i trzech żołnierzy. Ryan też tam został. Czekał, aż inni pójdą na tył.

Wtedy zaczął się przyglądać twarzom.

Miller też się rozglądał, myśląc gorączkowo nad tym, jak się wydobyć z tej sytuacji. Obrócił

głowę w lewo i zobaczył Ryana, który patrzył na niego z odległości sześciu metrów. Natychmiast się nawzajem rozpoznali, a wtedy Miller zobaczył u niego coś, co dotąd rezerwował na własny użytek.

Jestem śmiercią, mówiła twarz Ryana. Przyszłam po ciebie.

Ryanowi zdawało się, że jego ciało jest z lodu. Palce zacisnęły się na chwycie pistoletu, gdy powoli przechodził na lewą burtę. Jego oczy utkwione były w twarzy Millera. Nadal było w nim widać zwierzę, ale to już nie był dumny drapieжник. Jack podszedł do niego i kopnął go w nogę. Pistoletem pokazał mu, że ma wstać, ale nie wypowiedział ani słowa. Z gadami się nie rozmawia. Gady się rozdeptuje.

- Poruczniku... - Breckenridge jeszcze się nie połapał, co się szykuje.

Jack popchnął Millera plecami na metalowy kontener, wciskając mu przedramię w gardło. Przyglądał się swojemu nadgarstkowi opartemu na szyi tego drania. To on, ten nędzny skurwysyn, który o mało nie wymordował mu rodziny. Nie mógł tego wiedzieć, ale jego twarz nie wyrażała w tej chwili zupełnie nic, żadnych uczuć.

Miller spojrzał mu w oczy i zobaczył nicość. Po raz pierwszy w życiu Sean Miller poczuł przerażenie. Zobaczył swoją śmierć, przypomniał sobie dawno przebrzmiałe lekcje religii w katolickiej szkole, przypomniał sobie to, co mówiły mu zakonnice, przeraził się, że może miały rację. Twarz pokryła mu się potem, ręce zaczęły drżeć, gdy nagle mimo całej pogardy dla religii, tego opium dla mas, zaczął się bać wieczności cierpień w piekle, które czekało zapewne na jego duszę.

Ryan dostrzegł to w jego oczach i rozpoznał. Żegnaj, Sean, mam nadzieję, że ci się tam spodoba...

- Poruczniku!

Jack wiedział, że ma niewiele czasu. Podniósł pistolet i wcisnął go Millerowi w usta, przewiercając go jednocześnie wzrokiem. Wyprostował palec na spuście, tak jak go uczono. Teraz tylko lekko ściągnąć, tak żeby nawet nie wiedzieć, kiedy spadnie kurek...

Ale nie się nie zdarzyło. Naraz wielka dłoń opadła na pistolet.

- On nie jest tego wart, panie poruczniku. Po prostu nie warto. - Breckenridge zabrał rękę, a Ryan zauważył, że kurek jest spuszczone. Jeżeli chciał strzelać, powinien go odciągnąć. - Niech pan nad tym pomyśli.

To był koniec. Jack dwukrotnie przełknął ślinę i wziął głęboki oddech. Człowiek, którego teraz zobaczył przed sobą nie miał już wiele z potwora, jakim był jeszcze niedawno. Strach nadał Millerowi cech ludzkich, których tak mu niegdyś brakowało. Już nie był zwierzęciem. Stał się na powrót człowiekiem, przykładem zła, które powstawało, gdy istota ludzka zatraci to, czego potrzebują wszyscy ludzie. Miller oddychał haustami, gdy Ryan wyciągał mu lufę z ust. Oklapł zupełnie, ale nie mógł paść, bo ręka Jacka stale wbijała mu się w gardło. Ryan zrobił krok do tyłu, pozwalając więźniowi upaść bezwładnie na pokład. Sierżant odepchnął rękę z pistoletem w dół.

- Wiem, co pan czuje po tym, co ten drań zrobił pańskiej dziewczynce, ale nie warto robić takich rzeczy. Ja bym zeznał, że go pan zabił w czasie próby ucieczki, chłopcy by to potwierdzili, do procesu nigdy by nie doszło, ale naprawdę nie warto brać czegoś takiego na sumienie. Pan nie jest urodzonym mordercą - łagodnie tłumaczył Breckenridge. - Zresztą niech pan sam popatrzy, co pan z nim zrobił. Nie wiem, co to jest w tej chwili, ale człowiek to to już z pewnością nie jest, już nie.

Jack skinął głową, wciąż niezdolny do wyduszenia choćby słowa. Miller trwał na czworakach, z oczyma wbitymi w pokład, niezdolny do tego, by spojrzeć znów Ryanowi w oczy. Jackowi zaczynało wracać czucie. Czuł krew pulsującą w żyłach, która mówiła mu, że żyje i jest cały. Wygrałem, pomyślał, gdy tylko rozum odzyskał panowanie nad wzburzonymi emocjami. Wygrałem, zwyciężyłem go i do tego nie zniszczyłem samego siebie. Jego ręka zacisnięta wokół chwytu pistoletu rozluźniła



się.

- Dziękuję, Gunny. Gdyby nie pan...

- Gdyby pan naprawdę chciał go zabić, to by pan nie zapomniał o tym kurku. Rozpracowałem pana dużo wcześniej - podkreślił swe słowa skinieniem głowy. - Ty, wracaj na swoje miejsce! - rozkazał Millerowi, który powoli zastosował się do polecenia.

- Zanim któremu przyjdzie do łba, że ma szczęście, chciałbym wam coś przypomnieć, ptaszyny - powiedział następnie sierżant. -Dopuszciliście się wielokrotnego morderstwa w miejscu, gdzie za to skazuje się na komorę gazową, i możecie tam wylądować wszyscy naraz. Pomyślcie o tym.

Zespół Odbijania Zakładników przybył na statek, gdy było już po wszystkim. Zastali tam grupę żołnierzy i policjantów, przeczesujących zakamarki pokładu kontenerowego. Parę minut później było już wiadomo, że wśród kontenerów nikt się nie kryje. Pozostali czterej członkowie ULA skorzystali zapewne z trapów, by przedostać się na rufę i schować pod pokład. Werner przejął dowodzenie. Szybko izolował teren. Nikt nie miał prawa nigdzie przechodzić. Inna grupa agentów FBI udała się na dziób, by przejąć aresztowanych terrorystów.

Trzy wozy telewizyjne przyłączyły się do innych na nabrzeżu, dołączając swoje światła do pozostałych, które i tak już zmieniły tam noc w dzień. Policja na razie nie dopuszczała nikogo w pobliże statku, ale przekazy na żywo szły już w eter. Pułkownik policji stanowej udzielał wywiadu.

- Sytuacja - mówił do kamery - została opanowana dzięki odrobinie szczęścia i mnóstwu dobrej policyjnej roboty.

Wszyscy terroryści na dziobie byli już wtedy skuci i ponownie, dokładniej, obszukani. Agenci przeczytali im ich konstytucyjne prawa, podczas gdy część ekipy zeszła do łodzi zabezpieczyć broń i inne dowody rzeczowe. Księżę wszedł w końcu po trapie na statek, w otoczeniu licznej eskorty. Podeszedł do siedzących obecnie terrorystów. Popatrzył na nich może przez minutę w całkowitym milczeniu. Nic nie musiał mówić.

- Dobra, to ten cały burdel mamy teraz odcięty na rufie. Ma ich tam być czterech, tak mówili ci z załogi - omawiał sytuację jeden z członków ZOZ. - Siedzą gdzieś na dole i trzeba ich będzie namówić do wyjścia. To powinno pójść łatwo, tym bardziej że czasu mamy od cholery.

- Jak ich stamtąd wyciągniecie? - zapytał Powers.

- Jeszcze nie wiemy, ale najpierw trzeba stąd usunąć osoby postronne. To dotyczy także żołnierzy. Dziękujemy za pomoc, panie kapitanie.

- Mam nadzieję, że nic nie spieprzyliśmy, włączając się w to wszystko.

Agent pokręcił głową.

- O ile ja się na tym znam, to nie złamaliście żadnych przepisów. Zebraliśmy także wszystkie potrzebne dowody.

- Okej, no to wracamy do Annapolis.

- Dobrze. Będzie tam czekała grupa agentów, żeby was przesłuchać w charakterze świadków. Proszę od nas podziękować załodze kutra.

- Sierżancie, proszę zebrać ludzi.

- Dobra chłopaki, spadamy stąd! - zawołał Breckenridge. Dwie minuty później wszyscy byli już na pokładzie kutra, który

kierował się ku wyjściu z portu. Deszcz wreszcie ustał, niebo się przejaśniło, a chłodne powietrze znad Kanady przełamało falę upałów, spopielających okolicę. Żołnierze mogli się wreszcie wyciągnąć na kojach w kubryku kutra. Załoga pod dowództwem pani bosman zajęła się prowadzeniem kutra. Ryan i reszta zebrali się w kambuzie, zabierając się za kawę, której do tej pory nikt nie tknął.

- To był długi dzień - powiedział Jackson. Spojrzał na zegarek. - Za parę godzin mam lot. No cóż i tak miałem..

- Wygląda na to, że w końcu to myśmy wygrali - powiedział kapitan Peters do Ryana.

- Łatwo nam to nie przyszło - odparł Ryan.

- To nigdy nie przychodzi łatwo - powiedział po kilku sekundach ogólnego milczenia Breckenridge.

Kuter zadrżał, gdy zwiększano obroty silnika. Jackson podniósł słuchawkę interkomu i zapytał o przyczynę tego pośpiechu. Usłyszawszy odpowiedź uśmiechnął się, ale nie powiedział ani słowa.

Ryan pokręcił głową, otrząsając resztki przeżyć i wyszedł na górę. Po drodze wpadła mu w oko paczka papierosów należąca do kogoś z załogi i zwędził jednego. Poszedł na rufę. Port w Baltimore niknął już w oddali, a kuter skręcał na południe, ku Annapolis, płynąc z prędkością 13 węzłów. Na lądzie to niespełna dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, a jednak na wodzie wydaje się, że to szybko. Wydmuchiwany przez niego dym ciągnął się smugą za rufą.

Czy Breckenridge miał rację? Częściowo tak. Nie nadaję się na mordercę. Może z tym drugim też miał rację. Miejmy nadzieję...

- Zmęczony, co Jack? - zapytał księżę, stając obok niego.

- Chyba powinienem być, ale jeszcze jestem za bardzo nabuzowany.

- Nic dziwnego - spokojnie stwierdził Jego Wysokość. - Chciałem ich spytać dlaczego. Jak tam wszedłem i popatrzyłem na nich, chciałem..

- Tak. - Ryan zaciągnął się ostatni raz i pstryknął niedopałek za burtę. - Można ich było zapytać, ale wątpię czy odpowiedź cokolwiek by znaczyła.

- Więc jak do licha rozwiązać ten problem?

Problem jest już rozwiązany, pomyślał Jack. Już nie będą polować na moją rodzinę. Ale nie o to chodzi, prawda?

- Myślę, że to sprawa sprawiedliwości. Jeżeli ludzie wierzą w swoje społeczeństwo, to nie łamią zasad nim rządzących. Problem polega na tym, jak sprawić by w nie uwierzyli. To się nie zawsze udaje. - Jack odwrócił się do księcia. - Ale trzeba próbować, ze wszystkich sił, nieprzerwanie. Każdy problem daje się rozwiązać, jeżeli tylko odpowiednio długo nad nim popracować. Macie tam całkiem niezły system. Tylko musicie sprawić, by zaczął działać dla wszystkich jednakowo i to na tyle dobrze, żeby ludzie w to uwierzyli. To nie jest łatwe, ale myślę, że możecie to zrobić. Prędzej czy później cywilizacja zawsze bierze górę nad barbarzyństwem. - Myślę, że właśnie tego dowiodłem, pomyślał. Mam nadzieję.

Księżę Walii przez chwilę wyglądał za rufę.

- Jack, jesteś dobrym człowiekiem.

- Ty też, kolego. I dlatego wygrywamy.

Widok był okropny, ale w nikim z przypatrujących mu się nie wzbudzał ani krzty współczucia. Ciało Geoffreya Watkina było jeszcze ciepłe, jego krew wciąż kapłała z sufitu. Kiedy fotograf skończył dokumentowanie miejsca zdarzenia, jeden z detektywów wyjął ze sztywniejącej dłoni rewolwer. Telewizor nadal był włączony, w porannym dzienniku kończyła się właśnie relacja bezpośrednia z Ameryki. Pokazywano aresztowanych terrorystów. To go pewnie do tego popchnęło, pomyślał Murray.

- Co za kretyn! - westchnął Owens. - Przecież nie mieliśmy na niego nawet strzępka dowodu.

- Teraz już mamy. - Detektyw trzymał w ręku trzy gęsto zapisane kartki papieru. - Niezły liścik, szefie. - Wsadził je w plastikową okładkę.

Na miejscu był już też sierżant Bob Highland. Jeszcze uczył się na nowo chodzić, wciąż z nogą

w gipsie i z laską. Stał teraz i w milczeniu patrzył na ciało człowieka, przez którego o mało nie osierocił swoich dzieci.

- No to zamknąłeś sprawę, Jimmy - powiedział Murray.

- Nie tak ją chciałem zamknąć - odparł Owens. - Teraz pan Watkins będzie odpowiadał przed wyższą instancją.

Kuter przyplłynął do Annapolis czterdzieści minut później. Ryan zdziwił się, że Znamirowski ominęła keję kutrów i podplłynęła prosto pod szpital. Podprowadziła łódź idealnie równolegle do nabrzeża, gdzie czekało kilku żołnierzy. Ryan i wszyscy poza stałą załogą kutra wyskoczyli na brzeg.

- Wszystko w porządku - zameldował Breckenridge'owi plutonowy Cummings. - Mamy tu z milion glin i fedziów, Gunny. Wszystko jest pod kontrolą.

- Bardzo dobrze. Jesteście wolni.

- Doktorze, niech pan ze mną pozwoli. Tylko pośpieszmy się - powiedział młody plutonowy. Poprowadził go wolnym truchtem pod górę, do szpitala marynarki. Nogi Ryana drżały ze zmęczenia, jakby były z gumy.

- Chwileczkę! - Agent federalny zatrzymał ich przy wejściu i zabrał Jackowi pistolet zza paska. - Wezmę go na przechowanie, dobrze?

- Och, przepraszam - bąknął zmieszany Ryan.

- Teraz w porządku, może pan wchodzić.

Nikogo nie było widać. Plutonowy Cummings kiwnął ręką, by Ryan podążał za nim.

- Gdzie się wszyscy podzieli?

- Sir, pańska żona jest na porodówce - uśmiechnął się Cummings.

- Nikt mi nie powiedział! - wykrzyknął zaskoczony Ryan.

- Prosiła, żeby pana nie niepokoić, sir. - Doszli na właściwe piętro. Cummings pokazał palcem. - To tam. Tylko niech pan butów nie pogubi! - krzyknął za Jackiem.

Ryan biegł wskazanym korytarzem.

Zatrzymał go sanitariusz, który skierował go do przebieralni.

Jack pozrywał z siebie ubranie i wskoczył w chirurgiczne zielone dreluchy.

Zajęło mu to trochę czasu, bo z przemęczenia drżały mu ręce.

Wszedł do poczekalni, w której zastał wszystkich swoich przyjaciół.

Sanitariusz wprowadził go na salę porodową.

- Nie robiłem tego już od lat - mówił doktor.

- Co się pan martwi, ja też - pocieszyła go Cathy.

- A pan

powinien wzbudzać w pacjentach nadzieję i zaufanie.

- Zaczęła od dychać, walcząc ze skurczem, jack wziął ją za rękę.

- Cześć, kochanie.

- Zdażył pan w samą porę - zauważył doktor.

- Pięć minut temu byłoby lepiej.

Dobrze się czujesz?

- zapytała.

Tak jak za pierwszym razem, twarz ociekała jej potem i malowało się na niej zmęczenie, i była taka piękna.

- Już po wszystkim.

Po wszystkim - powtórzył.

- ja się czuję

wspaniale, a ty?

- Wody odeszły dwie godziny temu i byłoby już i tu po wszystkim, gdyby tu wszyscy nie czekali, aż pan wróci z tej przejażdżki łodzią.

Poza tym wszystko w porządku - odpowiedział za nią doktor.

Wydawał się dużo bardziej zdenerwowany sytuacją niż rodząca.

- Gotowa do parcia?

- Tak!

Cathy ścisnęła jego dłonie.

Zacisnęła oczy i napreżyła się cała z wysiłku.

Powoli wypuszczała powietrze.

- jest głowa!

Wszystko w porządku.

Jeszcze jedno pchnięcie

i będzie po sprawie - mówił doktor.

Ręce w rękawicach ustawił tak,

by złapać dziecko.

Jack obrócił się, by zobaczyć rodzące się dziecko.

Z tej pozycji

widział wszystko nawet wcześniej niż lekarz.

Niemowlę zaczęło

płakać, tak jak powinno zdrowe dziecko.

To też, pomyślał Ryan, jest pieśń wolności.

- Chłopiec - powiedział do żony John Patrick Ryan junior, a potem ją pocałował.

- Kocham cię!

Sanitariusz pomógł doktorowi odciąć pępowinę i zawinął niemowlę w białą płachtę.

Łóżysko wyszło bez przeszkód.

- Małe rozdarcie - zameldował lekarz.

Zanim zabrał się do szycia, podał jej środek przeciwbólowy.

- Tak, czuję - odpowiedziała z lekkim grymasem na twarzy.

-

Czy z małym wszystko w porządku?

, - Wygląda na to, że tak - odpowiedział sanitariusz.

- Sześć kilo,

i wszystko ma na swoich miejscach.

Drogi oddechowe bez zarzutu.

Dzieciak ma wspaniałe serce.

Jack uniósł swego synka, mały, hałaśliwy pakunek czerwonego ciała z absurdalnie sterczącym noskiem.

- Witaj na tym świecie, mały.

Jestem twoim ojcem - powiedział cicho.

A twój ojciec nie jest mordercą, dodał w myśli.

Może to niewiele, ale to dużo więcej, niż się ludziom wydaje.

Przez chwilę przytulił nowonarodzonego do piersi, potem spojrzał na żonę.

- Chcesz go potrzymać?

- Dobrze się czujesz?
- Poza Sally niczego mi tu nie brakuje, Jack.
- Skończone - odetchnął z ulgą doktor.
- Położnik to ze mnie może nietęgi, ale szyję cudownie.
- Spojrzał na dziecko i zaczął się zastanawiać, dlaczego nie zdecydował się na specjalizację z położnictwa.

To mogłaby być najszcześniejsza z możliwych dyscyplin medycyny.

No tak, ale godziny pracy są barbarzyńskie, przywołał się do porządku.

Sanitariusz zabrał dziecko i odprowadził Ryana na oddział po łożniczy, gdzie jak na razie jego żona i syn byli jedynymi pacjentami.

Przynajmniej pediatrzy będą mieli zajęcie.

Jack obserwował jak jego żona zasypia po, jak obliczył, dwudziestotrzygodzinnym dniu.

Bardzo potrzebowała tego snu.

On też, ale nie aż tak bardzo jak ona.

Pocałował ją jeszcze raz, zanim pielęgniarz nie wyprowadził go z sali.

Na razie nie miał tu nic więcej do roboty.

Ryan wyszedł do poczekalni ogłosić narodziny ich syna, przy stojnego młodziana, na którego oczekiwały tam dwa, jakże odmienne, komplety rodziców chrzestnych.

Koniec